

НОВАЯ ПОЛЬША

WYDANIE
SPECJALNE



2005-2011

Nieznane epizody biografii Tadeusza Zielińskiego,
Stefanii Sempołowskiej, Wery Kostrzewy i innych

ROSYJSKIE SPOJRZENIE NA SPRAWĘ KATYŃSKĄ

„Polski mit” w świadomości rosyjskich inteligentów

Wywiady z: Czesławem Miłoszem, Markiem Safjanem,
Andrzejem Mandalianem, Borysem Strugackim

„NOWAJA POLSZA” I JEJ CZYTELNICY

WARSZAWA

ISSN 1508-5589

НОВАЯ ПОЛЬША



WYDANIE
SPECJALNE
2005-2011

ISSN 1508-5589

ОБЩЕСТВЕННО-ПОЛИТИЧЕСКИЙ И ЛИТЕРАТУРНЫЙ ЕЖЕМЕСЯЧНИК

„NOWAJA POLSZA” DLA NOWEJ ROSJI	3
Oleg Lukianczenko NIEZNANE KARTY BIOGRAFII TADEUSZA ZIELIŃSKIEGO	5
Siergiej Gindin HORYZONTY FILOLOGII OCZAMI FADDIEJA FRANCEWICZA ZIELIŃSKIEGO	15
MIASTO W PAMIĘCI <i>Rozmowa z Jarosławem Zielińskim</i>	17
Lija Dołżanska CZERWONY KRZYŻ PONAD PODZIAŁAMI	23
Galina Kornilowa POLSKA BABCIA ROSYJSKIEGO PISARZA	28
Żanna Słoniowska POLSKI ŚWIAT ROSYJSKICH PISARZY	30
Anna Griszyna MARIA KOSZUTSKA. LATA OPORU	32
Andrzej Nowak DZIESIĘĆ PYTAŃ	44
Aleksandr Czerkasow WSPÓLNY LOS	49
Aleksander Pamiatnych NIEPOSPOLITA KSIĄŻKA O KATYNIU	50
Anna Griszyna NIEZNANY EPIZOD Z PRAC KOMISJI BURDENKI	59
Natalia Gorbaniewska KATYŃ W ROSYJSKIM INTERNECIE	62
Borys Roginski RYSOWANIE I KONNE PRZEJAŻDŻKI	68
Jewgienij Krinko, Tatiana Chłynina REHABILITACJA „UKARANYCH NARODÓW”	72
Mark Sołonin NIEUNIKNIONE	75
Wiera Wasiliewa POLSKI SYN RADZIECKIEGO PUŁKU	80
Michał Florysiak 9 MAJA 45 – 9 MAJA.PL. PAMIĘĆ I POJEDNANIE	86
Tatiana Maksimowa, Natalia Gorbaniewska „KULTURA” – „KONTYNENT”	91
POZOSTAĆ ANTYIMPERIALISTAMI ... <i>Wywiad z Borysem Strugackim</i>	96
W LATACH 1980-1981 POLSKA BYŁA W CENTRUM... <i>Rozmowa z Wiktorem Szejnisem</i>	99
Ksenia Starosielska MÓJ KONWICKI	108
Piotr Czeromuszkin GUSTAW ZEMŁA: „DUSZA TO NIE PASTA DO ZĘBÓW”	110
Tatiana Kosinowa POLSKA W BADANIACH MŁODYCH ANALITYKÓW SPOŁECZNYCH Z PETERSBURGA	115

Jan Malicki	
STYPENDIA DLA KANDYDATÓW ZE WSCHODU	117
Zuzanna Mączyńska	
Z ŻABIEJ PERSPEKTYWY	120
Jewgienij Jefimow	
O TASZKIENCKIEJ ANTOLOGII POETÓW POLSKICH	124
Natalia Gorbaniewska	
ACHMATOWA POMORSKIEGO	126
Walerij Mastierow	
MIŁOSZ ZAGŁĄDA W XXI WIEK	129
Walerij Mastierow	
TANGO STEFANA MELLERA	132
Tatiana Kosinowa	
„ŚPIJ MĘŻNY...”	134
TRADYCJA I PRZYSZŁOŚĆ	
<i>Rozmowa ze Stefanem Starczewskim</i>	137
SOLISTA	
<i>Z Andrzejem Mandalianem rozmawia Joanna Szwedowska</i>	143
POLSKA UCZY SIĘ PRAWA	
<i>Rozmowa z Markiem Saffanem</i>	148
POCHODZENIE ZOBOWIĄZUJE	
<i>Rozmowa z Piotrem Wierzbickim</i>	153
Wiktor Kurelski	
SPIDOLA	160
SĄ RZECZY, KTÓRYCH NIE MOŻNA NIE ZROBIĆ	
<i>Rozmowa z Wiktorem Kulerskim</i>	163
Jerzy Pomianowski	
POETKA NATALIA GORBANIEWSKA	
ZASŁUGUJE NA TYTUŁ NAUKOWY	167
Michał Komar	
JUBILAT	169
Leszek Szaruga	
TŁUMACZ	170
LEOPOLD UNGER DO JERZEGO POMIANOWSKIEGO	172
LISTY DO REDAKCJI. POLEMIKI	174

Rada programowa

Stefan Bratkowski
Henryk Woźniakowski
Jerzy Kłoczowski
Karol Modzelewski
Janusz Tazbir
Stanisław Ciosek

Jerzy Pomianowski

(redaktor naczelny)

Kolegium redakcyjne

Halyna Dubyk
Natalia Gorbaniewska
Wiktor Kulerski
Nikita Kuzniecowa
Piotr Mitzner (z-ca red. naczelnego)
Jerzy Redlich (sekretarz redakcji)
Elżbieta Sawicka
Ewangelina Skalińska (sekretariat)
Leszek Szaruga
Dmitrij Szewionkow-Kisielow
(grafika)
Eliza Wolska

Paulina Zielona (skład i łamanie)

Maria Kozyra
Małgorzata Jóźwiak

(współpraca przy numerze polskim)

Adres redakcji

al. Niepodległości 213
02-086 Warszawa
tel.: (22) 608 27 95; 608 25 65
fax: (22) 608 25 05; 608 27 96
e-mail nowpol@instytutksiazki.pl

Wydawca

INSTYTUT KSIĄŻKI,
ul. Szczepańska 1
31-011 Kraków
DZIAŁ WYDAWNICTW:
al. Niepodległości 213
02-086 Warszawa
tel./fax: 22 608 24 88

Foto: Agencja Gazeta (str. 132, 134, 143, 148), Archiwum (str. 23, 24, 32, 96, 110, 163, 167, 170), Archiwum O. Lukianczewki (str. 5 – 10), E. Lempp (str. 126, 153), Muzeum Historii Fotografii w Krakowie, fot. J. Zimowski (str. 46, 48), E. Wolska (str. 86), P. Zielona (str. 172), www.hro1.org (str. 81, 85)



„NOWAJA POLSZA” DLA NOWEJ ROSJI

Oddajemy do rąk polskiego czytelnika wybór tekstów, które ukazały się (w większości w ciągu ostatnich pięciu lat) na łamach miesięcznika „Nowaja Polska”. Podobną publikacją odnotowaliśmy swego czasu pięciolecie istnienia naszego pisma.

Znalazły się tu przede wszystkim teksty autorów rosyjskich, pisane specjalnie dla „Nowej Polszy”, które, jak sądzimy, powinny zainteresować polskiego czytelnika. Oprócz tego uznaliśmy, że warto dać kilka ważniejszych artykułów polskich autorów i wywiadów. Jest to także próbka tego, w jaki sposób na łamach „Nowej Polszy” powstaje obraz naszego kraju.

Do numeru dołączamy płytę CD zawierającą bibliografię zawartości czasopisma od początku jego istnienia do nr 4 z 2011 roku.

■ Kiedy we wrześniu 1999 roku zaczęła się ukazywać „Nowaja Polska”, wielu powątpiewało w sens tego przedsięwzięcia. Czy warto robić miesięcznik dla Rosjan o naszym kraju? To prawda, przed laty ukazywało się czasopismo „Polsza” (podobnie jak „Pologne”, „Poland”). Było wtedy dla inteligencji w Związku Sowieckim tym, czym dla nas „Ameryka”, a właściwie czymś więcej. Dawało możliwość kontaktu z dobrą literaturą, sztuką nowoczesną. Kontakt z weselszym barakiem. Za wschodnią granicą polonofil był już niemal dysydentem. Od tego czasu historia dokonała kilku salt i zwrotów. Wydawać by się mogło, że od lat dziewięćdziesiątych Rosja patrzy daleko na Zachód ponad głowami Polaków.

Żołęziec, redaktor naczelny „Nowej Polszy”, Jerzy Pomianowski był jednak uparty. Podobnie jak Jerzy Giedroyc, którego inspiracja leżała u początków tego, nie oczywistego przecieży, przedsięwzięcia.

Redaktor „Kultury” uważał, że powstania „Nowej Polszy” „nie można przecenić – pisał do Pomianowskiego. – Od normalizacji bowiem stosunków polsko-rosyjskich zależy nie tylko przyszłość naszych krajów, ale również przyszłość powstającej Zjednoczonej Europy. Nasze dzieje są krwawym rejestrem krzywd i porachunków. Te antagonizmy są pogłębione wzajemną ignorancją. Zarówno Polacy, jak i Rosjanie mają skrzywiony wzajemny obraz. Ambitnym zadaniem Pana pisma będzie skupienie ludzi dobrej woli po obu stronach, aby bliżej się poznać i wspólnie szukać dróg nie tylko normalizacji, ale i współpracy. Takie próby były przecież w przeszłości podejmowane, jak np. w działalności Hercena czy obecnie mojej «Kultury», tak aby Polacy i Rosjanie mogli na siebie patrzeć bez uprzedzeń, to znaczy bez stereotypów.”¹

Miesięcznik ukazuje się w pięciu tysiącach egzemplarzy, z czego ponad trzy tysiące idzie do bibliotek, nawet do najodleglejszych zakątków Rosji. Reszta rozcodzi się wśród indywidualnych czytelników. Są miejsca, gdzie nie docierają żadni rewizorzy, a ludzie spotykają się wieczorami i czytają na głos „Nową Polskę”. Tomasz Kizny, znany fotografik, podczas wyprawy do kraju Jakutów miał ze sobą kilka egzemplarzy pisma i chciał jeden ofiarować tubylcom. Na to usłyszał: „Czerwcowy numer już mamy”.

Od 2003 roku „Nowaja Polska” posiada swoją stronę internetową, na której można znaleźć znaczną część tekstów publikowanych w wersji papierowej. Odwiedza ją mniej więcej 500 osób dziennie (w kwietniu 2010, ze zrozumiałych względów, liczba ta się podwoiła), stali czytelnicy-internauci pochodzą z całego świata: z najdalszych zakątków Federacji Rosyjskiej, z Kalifornii i z Wysp Owczych.

Do kogo jest skierowana „Nowaja Polska”? W redakcji mówi się krótko: dla inteligentów. Jerzy Pomianowski powiedział kiedyś publicznie, że „dla tych, którzy kiedyś będą w Rosji u władzy, albo będą za tę władzę myśleć”.

Na ogół rosyjski czytelnik rozpoczyna lekturę miesięcznika od „Kroniki (niektórych) wydarzeń bieżących”, skrupulatnie układanej przez członka redakcji Wiktora Kulerskiego. Później zapuszcza się wedle upodobań:

¹ Druk w języku rosyjskim: „Nowa Polska” 1999, nr 1. Wersja polska: „Nowaja Polska. Wydanie specjalne (1999-2004)”.



w materiały poświęcone kulturze (tu znakomity przegląd prasy literackiej autorstwa Leszka Szarugi i prezentacje twórczości pisarzy współczesnych oraz kronika kulturalna Elżbiety Sawickiej), sprawom społecznym lub historii. Po co historia, i to ta XIX-wieczna? Niewykluczone, że Rosjanie mają silniejszy zmysł przeszłości niż my w obecnej chwili, że myśląc o skomplikowanych splotach polsko-rosyjskich, chcą odwoływać się do zdarzeń minionych. I dyskutować o nich. Czasem także publikujemy materiały źródłowe, jak choćby wydobyta z archiwów korespondencję między Dymitrem Fiłosofowem i Marianem Zdziechowskim, nieznane materiały do biografii generała Stanisław Bułak-Bałachowicza, inedita Tadeusza Zielińskiego czy zapomniane artykuły z przedwojennej rosyjskiej prasy emigracyjnej, ukazującej się w Polsce. Pomost między przeszłością i teraźniejszością stanowią często przez nas publikowane rozmowy Tatiany Kosinowej z petersburskiego „Memoriału”, jej interlokutorami są przeważnie dawni sowieccy dysydenci, którzy opowiadają o swoim doświadczeniu „polskiego mitu”, polskiej kultury w ZSRR i postrzeganiu Polski po 1989 roku.

Rosjan interesuje też dzisiejsza Polska, wzloty i kryzysy naszych reform gospodarczych, a przede wszystkim to, co prezentowane jest w „Nowej Polsce” w cyklu *Była by idea*, czyli wszelkie pomysły, działania na szczeblu lokalnym: prywatne, rodzinne, samorządowe. Tu polski miesięcznik pełni rolę poradnika. W pewien sposób skoligacone z tymi materiałami są sylwetki (*Nasi ludzie*). Niemal w każdym numerze publikowany jest szkic poświęcony komuś, kim Polska może się pochwalić, kto zrobił lub robi coś istotnego (byli tu na przykład: Jacek Kuroń, Leon Kieres, Julia Pitera, Jurek Owsiak, Stefan Starczewski, Henryka Krzywonos, Marek Safjan). Malkontentom, którzy w rozmaitych dyskusjach narzekają na kryzys autorytetów w naszym kraju, można zaproponować lekturę „Nowej Polski”.

Publikujemy przedruki z innych czasopism i gazet. Najczęściej z „Gazety Wyborczej”, „Tygodnika Powszechnego”, „Polityki”, „Newsweeka”. Nieraz znajdujemy ciekawe artykuły w prasie lokalnej. Rzecz jasna, dobór pism nie jest uzależniony od ich tak zwanej „opcji”. Kryterium jest waga, nawet kontrowersyjnego, tekstu. Zdarza się, że publikujemy też (lub cytują ich w swoich przeglądach Wiktor Kulerski i Leszek Szaruga) kontrowersyjnych autorów, których poglądom nie podzielamy. Chodzi jednak o to, by pokazać w miarę pełny obraz polskiego życia i polskiej myśli.

Przynajmniej połowa materiałów to jednak teksty zamawiane, pisane z myślą o rosyjskim czytelniku. W sumie jeśli do tej pory drukowaliśmy 800 autorów, to jedną czwartą z nich stanowią Rosjanie. Chyba najbardziej satysfakcjonujące jest właśnie to, że o sprawach polsko-rosyjskich, a nawet stricte polskich wypowiadają się właśnie oni. Wszystkie artykuły poświęcone sprawie katyńskiej pochodzą od Rosjan, bo właśnie ich głos ma tu wagę szczególną. Ale podejmują też tematy współczesne. W maju 2010 otrzymaliśmy od młodej autorki analizę porównawczą sytuacji mieszkaniowej w Rosji i w Polsce. Bo też tematyka gospodarcza, której staramy się poświęcać więcej uwagi, jest dla naszych czytelników ważna, a niewątpliwie jednym z najbardziej znanych tam Polaków okazuje się Leszek Balcerowicz.

Teksty na rosyjski tłumaczą ludzie, dla których jest on językiem ojczystym, a weryfikacją przekładów i strażniczką czystości mowy Puszkina w „Nowej Polsce” jest mieszkająca w Paryżu poetka, niegdyś znana dysydentka, później redaktorka emigracyjnej „Russkoj Mysli”, Natalia Gorbaniewska.

„Nowa Polska” rozchodzi się też na Ukrainie, Białorusi, w zachodniej Europie, Stanach Zjednoczonych – wszędzie tam, gdzie są ludzie ciekawi naszych spraw i mający ochotę czytać o nich w języku rosyjskim. Zasada jednak jest taka, że do krajów postsowieckich wysyłamy miesięcznik tylko na wyraźną prośbę, żeby uniknąć zarzutu, że przy okazji rusyfikujemy wolne narody. Okazjonalnie ukazują się numery specjalne w innych językach: dwa wydania miał numer gruziński „Nowej Polski”, dwukrotnie wyszedł numer w języku ukraińskim. Sprawy ukraińskie mają dla nas wagę szczególną i staramy się wyjaśniać rosyjskiemu czytelnikowi, jak może być i jak jest budowane porozumienie polsko-ukraińskie. To szalenie ważne, w świadomości bowiem, a czasem podświadomości rosyjskiej sama nawet niepodległość Ukrainy nie zawsze jest czymś oczywistym.

Mamy zasadę, by nie omijać kwestii trudnych, a Polskę na łamach naszego miesięcznika przedstawiamy tak, jak ją widzą sami Polacy, także krytyczni, czyli ci, którym na niej naprawdę zależy. Szkoda że w Rosji nie powstało podobne pismo w języku polskim. Na pewno zainteresowałoby polskiego czytelnika.

Redakcja



Oleg Lukianczenko

NIEZNANE KARTY BIOGRAFII TADEUSZA ZIELIŃSKIEGO

Korespondencja Faddieja Francewicza (Tadeusza) Zielińskiego z najmłodszą córką Ariadną



Portret Tadeusza Zielińskiego
z ok. 1910 roku. Na odwrocie
odręczny napis: „Drogiej Ariadnie
od taty. 23.VI.1937”

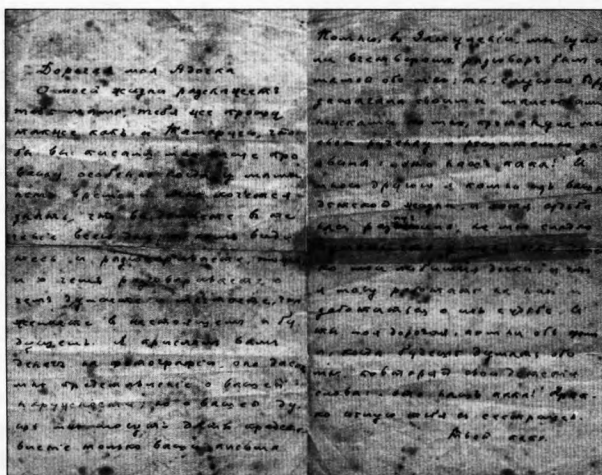
Droga Adoczko!

O moim życiu opowie Ci mama, Ciebie zaś proszę, jak i Tamar-
kę, żebyście mi pisały częściej o waszych sprawach, szczególnie, jak
mamusia nie ma czasu. Chciałbym wiedzieć, co robicie w ciągu całego
dnia, z kim się spotykacie i rozmawiacie, a także o czym te rozmowy,
o czym myślicie i marzycie, jakie macie pragnienia teraz i na przy-
szłość. Przysłałem wam pieniądze na fotografię, dzięki której będę
miał wyobrażenie jak wyglądacie; o waszej duszy zaś, wyobrażenie
mogą dać mi tylko listy od was. Pamiętam, jakeśmy w Zatuleni¹ spa-
cerowali we czwórkę. Rozmowa z mamą toczyła się na mój temat; ty
zaś, słuchając, nagle ruszyłaś na swoich małych nóżkach w moim kie-
runku, wyciągnęłaś do mnie rączkę i zdecydowanie oświadczyłaś: „To
nasz tato!”. Pamiętam wiele innych zdarzeń z waszego dzieciństwa,
i chociaż los nas rozdzielił, słodczy mnie ogarnia jak pomyśleć, że,
choć daleko, mam swe ukochane córeczki, na które mogę pracować,
i o los których mogę się troszczyć. Ty również, moja droga, o tym
pamiętaj, a kiedy będziesz o mnie myśleć, powtarzaj swe dziecięce
słowa: „To nasz tato!”. Całuję mocno Ciebie i siostrzyczkę.

Twój tato

Słowa te skierowane są do najmłodszej córki
Faddieja Francewicza Zielińskiego – Ariadny
(Adoczki). Kartka, zniszczona przez czas,
nieposiadająca ani daty, ani wskazówek co do
miejsca pobytu adresata czy nadawcy, już dzie-
więtę dziesięciolecie przechowywana jest przez
nią jak drogocenna relikwia. Z treści wynika, że
została włożona do koperty z listem, jaki niegdyś
otrzymała matka Adoczki i Tamarki. Kim są te
trzy kobiety, o które tak czule dba profesor? Do
którego okresu jego życia odnosi się zacytowany
wyżej list? Jak układały się i na czym polegały
jego relacje z tymi, nieznanymi dotychczas bio-
grafom Zielińskiego ludźmi?

Źródła, pozwalające odpowiedzieć na te py-
tania, przechowywane są w osobistym archiwum
Ariadny Faddiejewny, która do dziś mieszka



Pierwszy list do Ariadny

¹ Zatulenie – wioska w dzisiejszym rejonie łuzkim w obwodzie leningradzkim.



w Rostowie nad Donem. Należą do nich listy Faddieja Francewicza, jego starszych dzieci Feliksa i Amaty, pamiątki samej Ariadny, które w skrócie zostały opublikowane w rostowskim czasopiśmie „Kowczeg” (2005, nr VII-VIII, w wersji elektronicznej pod adresem: www.kovcheg-kavkaz.ru/issue_7_52.html; www.kovcheg-kavkaz.ru/issue_9_108.html) oraz niedokończone wspomnienia jej matki Zofii Pietrowny Czerwińskiej, istniejące w rękopisie.

Latem 1910 roku profesor Faddiej Zieliński wraz z grupą słuchaczy Bestużewskich Kursów odbył podróż do Grecji. Podróż ta stała się momentem zwrotnym w życiu osobistym wybitnego uczonego: na parostatku rozpoczął się jego romans z osiemnastoletnią dziewczyną, która, jak później pisał, była jego ostatnią miłością.

Zofia Czerwińska, córka znanego statystyka, działacza ziemskiego, niegdyś narodnickiego literata Piotra Piotrowicza Czerwińskiego (1849–1931), ukończyła w Petersburgu niemieckie gimnazjum, a następnie rozpoczęła Wyższe Kursy Żeńskie (Bestużewskie). Zieliński należał do rady opiekuńczej gimnazjum i już wtedy zwrócił uwagę na zdolną dziewczynę, która miała wspaniałe wyniki ze wszystkich przedmiotów, lecz wyróżniała się przy tym swawolnymi obyczajami i była niejednokrotnie karcona na radach pedagogicznych za swoje psoty. Z powodu nieumyślnej swawoli rozpoczęła się również ich znajomość w nowej postaci. Omyłkowo otwarte przez dziewczynę drzwi do kajuty profesora sprawiły, że na zawsze już zapamiętał on krople soku wiśniowego na kołnierzyku jej białej bluzki... Niebawem Zieliński miał nową rodzinę i dwie maleńkie córeczki – Tamarę (Tamarusię) oraz Ariadnę (Adoczkę)...



Zofia Czerwińska
Petersburg, 1910 rok

Ariadna wspomina: „Ojciec otoczył nową rodzinę troską i miłością. Wynajęte zostało piękne mieszkanie, najęta służba, tak by mama wolna była od obowiązków domowych i mogła kontynuować naukę. Wykłady Faddieja Francewicza cieszyły się dużą popularnością nie tylko w Rosji, lecz także za granicą. W morską podróż do Francji zabrał ze sobą mamę i maleńką Tamarę. W jednym z późniejszych listów szczegółowo opowiadał o tej podróży, podczas której Tamarze wyróżnął się ząb. Żartując, współpasażerowie gratulowali mu «zębiastej» córki. Gdy na świat przyszła jego najmłodsza córka, to znaczy ją, kochał mnie nie mniej niż Tamarę. Miałśmy przepiękne masywne złote krzyżyki z wygrawerowanymi napisami «Zbaw i chroń», imienną srebrną zastawę, kosztowne naszyjniki – ja – wiśniowo-czerwone granaty, a Tamara błękitne, przepiękne książki... I mnóstwo innych rzeczy. Ojciec robił wszystko, aby nasze dzieciństwo było szczęśliwe, szykował nam również wspaniałą przyszłość. Niestety, wszystkie marzenia zniweczyła władza sowiecka...”

W *Autobiografii* z 1924 roku („Nowaja Polska” 2005, nr 12) Zieliński szczegółowo opowiada o skomplikowanych okolicznościach swego powrotu do historycznej ojczyzny. Zapewne, najbardziej istotną z nich była troska o bezpieczeństwo bliskich, którzy w Sowdepai, jak nazywał profesor Rosję sowiecką, pozostawali faktycznymi zakładnikami. Posiadając już status profesora Uniwersytetu Warszawskiego, zmuszony był w tych ciężkich latach wojny domowej, przebywać w Petersburgu.

Zofia Pietrowna wraz z dwiema maleńkimi córkami mieszkała w tym czasie w Anapie, skąd powróciła do Piotrogradu jesienią 1920 roku. Okazało się wtedy, że jej mieszkanie zostało „wywłaszczone” na rzecz rewolucyjnych marynarzy, wraz z całym wyposażeniem, a nawet dziecięcymi zabawkami. „Zatelefonowałam do Faddieja Francewicza – pisze w swoich wspomnieniach. – Przyszedł bardzo szybko... Zdecydowano, że najważniejszym dla mnie wyjściem będzie praca w domu dziecka, ponieważ będę miała tam dzieci przy sobie, a i wyżywienie będziemy miały zagwarantowane. Trafiłam do jednego z najlepszych domów dziecka – do byłego niemieckiego cerkiewnego przytułku. Trudy podróży z Anapy do Piotrogradu nie wyszły mi na dobre – poważnie zachorowałam... Doktor z domu dziecka zdiagnozował u mnie tyfus... Faddiej Francewicz odwiedzał mnie codziennie, a dla uspokojenia nerwów przynosił do czytania powieści Waltera Scotta – w czym miał zupełną rację – ponieważ rzeczywiście okazało się to uspokajającą i odrywającą od trudnych, natrętnych myśli oraz wspomnień lekturą...”



Do lata 1921 roku zdrowie Zofii Pietrowny poprawiło się i wraz z córkami wyjechała do Połocka. W przeddzień wyjazdu, jak wspominała, „Faddiej Franciewicz uznał nasze dzieci, dając im oraz mnie swoje nazwisko... Nasz pociąg ruszył i do końca życia nie zapomnę tego momentu – Faddiej Franciewicz szedł za pociągiem i rzewnie płakał. Okazało się, że rzeczywiście było to nasze ostatnie spotkanie!...”.

Przyczynę wyjazdu rodziny do Połocka, miasta graniczącego wtedy z Polską, Ariadna tłumaczy następująco: „Z opowiadań mamy oraz listów ojca wiadomo, że przed swoim ostatecznym wyjazdem do Warszawy postanowił wysłać nas, do momentu aż urządzi się na nowym miejscu, do chrzestnej matki Tamary, do Połocka. Później miałyśmy pojechać do niego do Warszawy. Mama posiadała wszystkie potrzebne dokumenty. Wszystko przygotował. Lecz po naszym przybyciu do Połocka wydarzyło się to, czego nikt nie mógł przewidzieć i co gruntownie zmieniło nasz dalszy los. Mama poznała się z jedną z mniszek i znalazła się pod jej całkowitym wpływem. Postanowiła wstąpić do klasztoru, zabierając ze sobą mnie i siostrę. Było to ciężkim ciosem dla ojca”.

Faddiej Zieliński ostatecznie osiadł w stolicy Polski w kwietniu 1922 roku i od razu rozpoczął korespondencję z Połockiem.

8 maja 1922, Warszawa

Moja kochana i mądra Adoczko. To już druga kartka, jaką stąd do Ciebie posyłam. Mam nadzieję, że dostaniesz ich jeszcze ode mnie wiele, i że, mimo wszystko, jeszcze się zobaczymy i nie będzie już następnej rozłąki. Ty również o mnie nie zapominaj i pisz do mnie gorliwie. Jestem już zupełnie zdrow, dużo spaceruję i wykładam. Wszyscy mnie tu lubią i byłoby mi zupełnie dobrze, gdybyście tylko Wy, moje drogie, były ze mną. [...] Mocno Cię całuję, słodziutka moja córeczko. Twój tata



Córki F.F. Zielińskiego – Ariadna (z lewej) i Tamara. Połock, I połowa lat dwudziestych

Z tych słów wynika, że ojciec ma jeszcze nadzieję na szybkie spotkanie z córkami, lecz okazuje się ona złudna, a jedynym sposobem kontaktu pozostaje korespondencja. Z przerwami, z przyczyn, o których mowa będzie niżej, trwała ona do lata 1937 roku. Większość zachowanej przez Ariadnę korespondencji z lat dwudziestych stanowią pocztówki z widokami osobliwości krajów europejskich, w których wybitny uczony i pisarz był jako oczekiwany i honorowy gość. Dzięki tym kartkom można prześledzić geografie podróży Zielińskiego. I tak, 15 lutego 1925 roku informuje o trasie czekającej go podróży: „z Wiednia płynę parostatkiem do Budapesztu, następnie do Belgradu, dalej do Sofii i Bułgarii w ogóle, a w drodze powrotnej również do Bukaresztu... Na wykłady. Proszę, abyście na razie towarzyszyły mi tam myślami i aby widokówki, jakie będę posyłać, Wam w tym pomogły...”. Kartki przychodzą z Ulm, Rzymu, Heidelbergu, Pragi, Wenecji, Hamburga, Rygi, Krakowa, Kopenhagi, Lund, Visby, Norynbergi, Locarno, Genui, Barcelony...

Następnie, po krótkiej notatce, adresowanej do Ariadny, korespondencja z ojcem na kilka lat się urwała.

22 grudnia 1930, Warszawa

Droga Adoczko, wysłałem do Ciebie ostatnio krótki, lecz treściwy list, a ten piszę ot tak, nadprogramowo. Mam nadzieję, że znajdziecie wolną chwilę, aby napisać o sobie; rozumiesz, oczywiście, jak drogie są mi Wasze listy, prócz Was samych, nie ma komu pisać mi o Was – niedługojsze źródło dawno wyschło, a czemuż wyschło, po dziś dzień nie wiem i odgadnąć nie potrafię. Całuję mocno, dziewczynko ty moja. Nie zapomnij o mnie. Kochający ---



„...W morzu zakochany”.

Na odwrocie odręcznie napisane przez Zielińskiego: „Ukochanej córce Adoczce z okazji urodzin 23 marca 1929 roku od taty (wykonano w sierpniu 1928 nad Morzem Wągrowskim)”



Co się wydarzyło? I dlaczego w miejscu zwyczajowego podpisu *tata* jest zagadkowe podkreślenie?

Oczywiście, serdecznie traktowanemu sławnemu uczonemu, radośnie witanemu przez całą kulturalną Europę, trudno było sobie wyobrazić, w jakich warunkach żyją jego małoletnie córki, czy mają możliwość chociażby w myślach towarzyszyć ojcu w pasjonujących podróżach. Zofia Pietrowna z córkami mieszkała w klasztorze, przy którym prowadzony był dom dziecka. Lecz w 1925 roku klasztor został zlikwidowany przez władze sowieckie. Mniszki wysiedlono dwadzieścia kilometrów za miasto w dzikie i niezamieszkałe miejsce, pełne ogromnych pni, pozostałych po wykarczowanym w czasie wojny lesie. Stworzyły tam spółdzielnię pracy „Pieńki”. Zamiast nauki małe dziewczynki przechodziły surową „szkołę życia”: pasły krowy i kozy, same zdobywały dla siebie pożywienie. Wspominając ten czas, Ariadna pisze: „Nasz ojciec był zrozpaczony obrazem życia, jakie wiodłyśmy. Pisał do mamy: «Czemuś wciągnęła dzieci w tę absurdalną sytuację? Powinny zdobywać wykształcenie, uczyć się języków, muzyki, a nie spędzać cały czas z krowami i w nawozie». Ale cóż mógł poradzić, znajdując się po tamtej stronie «żelaznej kurtyny», skoro na wyjazd do niego, a tym bardziej oddanie mu nas, mama się nie zgadzała. Ojciec pisał do nas listy pełne miłości i troski, przysyłał pieniądze i paczki, lecz nie poprawiało to naszego życia. Pieniądze szły na budowę domu i budynków gospodarczych, a także na wkłady do kasy spółdzielni. Na należny nam chleb zarabialiśmy ciężką pracą, nosiliśmy się bardzo biednie... I ciągle marzyłam o spotkaniu. Często, moknąc ze swoim stadem w padającym bez końca jesiennym deszczu, przemoknięta na wskroś i zziębnięta, wyobrażałam sobie, że tata przyjedzie, zabierze nas i że będziemy już nierozłączni w tym nowym szczęśliwym życiu. Niestety! Tym marzeniom nigdy nie dane było się ziścić. Nasz ojciec nie tylko nie mógł pojawić się w «naszym młodym pięknym kraju», lecz również byłoby to dla niego niebezpieczne”.

Niebawem w korespondencji z ojcem zaczęły się przerwy. „Mama napisała do niego, aby nie podpisywał listów i widokówek słowami «tój tata», ponieważ jest to dla nas niebezpieczne. My z kolei nie powinnyśmy były zwracać się do niego «drogi tato», lecz «drogi ojcie chrzestny». Dokumenty, które potwierdzały jego ojcostwo, mama przy nas, bez naszej zgody, spaliła w piecyku. Przyjęłyśmy nazwisko panińskie matki i z Zielińskich stałyśmy się Czerwińskimi. Wyglądało to tym bardziej absurdalnie, że oficjalnie korespondencja z zagranicą wcale nie była zakazana, a nasz kraj był ponoć ostoją wolności. W rzeczywistości ci, którzy mieli krewnych i przyjaciół za granicą, uważani byli za politycznie niepewnych. Tatę bardzo to smuciło. Z wyrzutami pisał do mamy: «Nie jestem przecież emigrantem, tylko obywatelem zaprzyjaźnionego państwa, tak więc korespondencja ze mną nikogo kompromitować nie może...».

W tym przypadku Faddiej Francewicz miał mylne wyobrażenie o sytuacji. On, obywatel wolnego państwa, dla którego stały otworem granice praktycznie wszystkich krajów europejskich, nie miał pojęcia o realiach życia mieszkańców „Sowpedii”. A Zofia Pietrowna i jej małoletnie córki we wczesnych latach trzydziestych nieraz znajdowały się na granicy katastrofy.

W okresie rozkułaczania matka Ariadny i Tamary została aresztowana „za organizowanie pseudokołchozu” i trafiła do więzienia. Aby przeżyć, osierocone niepełnoletnie dziewczynki, jako „społecznie obcy element”, zmuszone były wstąpić kołchozu, gdzie czekała je poniżająca katorżnicza praca. Po półtorarocznym więzieniu Zofię Pietrowną zwolniono, lecz wkrótce ponownie została aresztowana.

Ariadna Faddiejewna wspomina: „Wracając pewnego zimowego wieczora ze szkoły, ze zdziwieniem zauważyłyśmy stojący nieopodal naszej chałupy samochód. Kiedy weszłyśmy do domu, zobaczyłyśmy, jak dwóch mężczyzn w mundurach GPU przeprowadza rewizję, przekopując i przetrząsając wszystko. Dziwiły ich nędzne warunki, w jakich żyłyśmy. Pytali mamę: «Przecież otrzymywała pani od ojca waszych dzieci duże sumy pieniędzy. Gdzie się one podziały? Dlaczego żyjecie tak biednie, a wasze córki są tak źle ubrane?». Po zakończeniu rewizji i nieznaalezieniu niczego interesującego, zabrali wszystkie utwory naszego ojca, w tym przepiękne wydanie jego przekładu tragedii Sofoklesa, listy ojca i starą Biblię, którą mama bardzo ceniła. Mamę zabrali...”. Wypuścili ją dopiero po pół roku. „Śledztwo wykazało, że mama nie była powiązana ani z japońskim, ani z żadnym innym wywiadem, i że nie przekazywała na cele szpiegowskie pieniądze przesyłanych nam przez ojca...”.

Dla absolwentki Bestużewskich Kursów znalazła się w kołchozie praca w charakterze starszej świniarki. Natomiast jej córkom, po wielu dramatycznych wydarzeniach, wbrew zakazom władzy, udało się wstąpić do Połockiego Technikum Budowlanego. Wtedy też, w 1934 roku, ośmieliły się



Ariadna, Połock, 1934 rok

wznowić korespondencję z ojcem. „Odpowiedź przyszła bardzo szybko. Ojciec pisał, że przez wszystkie te lata naszego milczenia żył w nieustającym strachu o nas. Cieszył się, że udało nam się wyrwać z tej dziury i przynajmniej gdzieś się uczymy. Oznajmił jeszcze, że będzie pomagać nam finansowo, ale nie w takiej mierze, jak wcześniej. «Moja ręka nie jest już tak silna, lata robią swoje». Ale comiesięcznie będziemy dostawać od niego na Torgsin² po dziesięć dolarów. Niebawem też przyszły nasze dolary. Byłyśmy po prostu oszołomione bogactwem, jakie na nas spadło i którym pierwszy raz w życiu mogłyśmy dysponować według własnego uznania. Jak w bajce pojawiło się u nas wszystko, co tylko mogłyśmy sobie zażyczyć, a czego tak niesprawiedliwie pozbawiło nas ubogie dzieciństwo. Strojne suknie, pantofle z dobrej skóry na wysokim obcasie, ładne futerka, modne wtedy berety – ja czerwony, a siostra biały. Po raz pierwszy posmakowałyśmy masła śmietankowego... Dobrze znana w Połocku przeszłość mamy – najpierw pobyt w klasztorze, później w więzieniu – uniemożliwiały jej znalezienie pracy w zawodzie. Ale tatusiowe dolary pozwalały nam żyć bezpiecznie.”

Listy Faddieja Francewicza, zachowane przez Ariadnę, napisane są na maszynie, a słowa rosyjskie podane zostały w łacińskiej transkrypcji. Jedynie końcówkę listu nadal podpisuje odręcznie, niekiedy tylko przypominając sobie o koniecznej „konspiracji”.

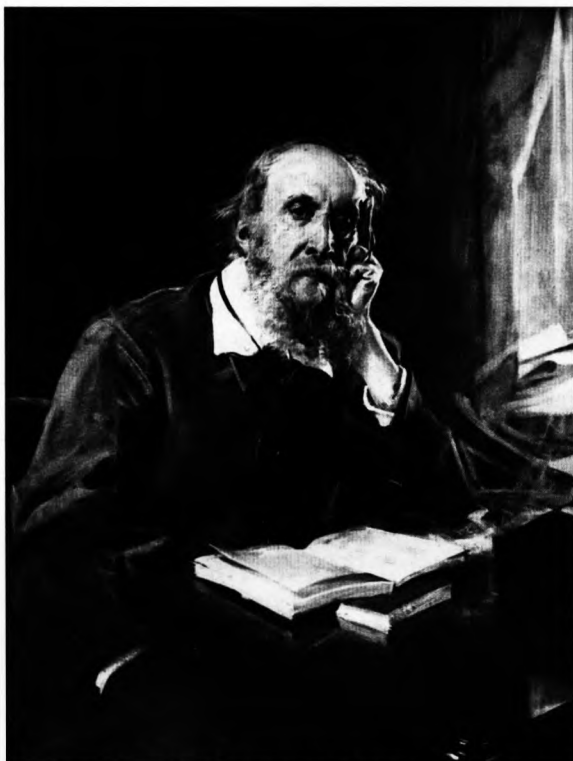
3 lutego 1935 r., Warszawa

Moja droga córeczko Adoczko,

Dziękuję za twój list, chciałbym jednak dowiedzieć się od Ciebie o wiele więcej [...]. Ponawiam pytania o Waszą mamę, jakie zadalem w ostatnim liście. Czy ona nie rozumie, że lepiej byłoby dla wszystkich, gdyby przestała się na mnie dąsać, ponieważ ja jej żadnego powodu ku temu nie dałem, i wznowiła korespondencję ze mną. Przeszłości zmienić się nie da, a rzeczywistość wygląda tak, że ona jest waszą matką, a ja ojcem, i wspólna troska o Was powinna nas w tym połączyć. Niechże się opamięta; wyrzutów z mojej strony niech się nie obawia, choć powodów ku temu miałbym wiele. Lecz na razie napiszcie mi o niej. Jeśli zaś macie w tej kwestii pytania bądź coś Was kłopotuje, to też śmiało piszcie: nie mam przed wami sekretów i nic oprócz miłości Was ode mnie nie spotka.

Moje życie znów jest aktywne; wykorzystują mnie niemilosierdzie: to artykuł napisać, to wygłosić referat; a że jedno i drugie nieźle mi wychodzi, to i nie odmawiam, czasu też na wszystko wystarcza. O listopadowej podróży do Szwecji pisałem Wam, z kolei teraz, w lutym, chcieli posłać mnie do Helsinek na obchody Dnia Kalevali, lecz się wykręciłem – wszakże to wyjątkowo niesposobny czas dla wyprawy na tak daleką północ. Natomiast uśmiecha mi się inny plan podróży, mianowicie w kwietniu do Nicei na międzynarodowy kongres naukowy. Zostałem wybrany na delegata naszego wydziału, a i organizatorzy kongresu zapraszają; pora równie dogodna – wspaniała południowa wiosna. Jeśli kiedykolwiek słyszałyście o Nicei, to trzeba Wam wiedzieć, że miejscowość ta uważana jest za raj na ziemi, w którym stykają się dwa piękna – Alpy i morze. Jest to też miasto, jak je określam, patentowanego próżniactwa, stolica wszelakiej międzynarodowej hołoty, która zjeżdża tam trwonić pieniądze. W innym czasie bym nie pojechał, lecz będzie tam kongres naukowy, co zmienia stan rzeczy. Słowem – pojadę z chęcią, o ile będzie to delegacja naukowa, i jeśli dadzą mi na tę podróż pieniądze, oczywiście jest przecież, że za własne jechać nie mogę. Myślę, że wszystko wyjaśni się w przeciągu tego miesiąca; tak mnie tu rozpieszczą.

² Torgsin (od ros. *torgowlia s inostrancami*) – sieć sklepów walutowych działająca w ZSRR w latach 1931-1936.



Portret F.F. Zielińskiego, o którym mowa w liście

Mogę się Wam jeszcze pochwalić, że w mojej głowie zakochał się jeden tutejszych malarzy i namalował mi portret, który teraz prezentowany jest na tutejszej wystawie, a wiosną zostanie przesłany do Paryża na tzw. „Salon Wiosenny”. Osobiście bardzo jestem z niego zadowolony i uważam, że jest on najlepszym ze wszystkich, jakie mi namalowano. Jestem więc już uwieczniony, zarówno w rzeźbie jak i w malarstwie. W następnym liście przekażę Wam jego fotografię, same zobaczycie...

[...] Jednym słowem powtarzam: rozpieszczę mnie tu, rysują moje karykatury i trafiają do operetek, co również świadczy o popularności. Mimo tego wszystkiego nie opuszczają mnie myśli i troska o moje córki, dla których o tak pięknej przyszłości pod moją opieką marzyłem, a z którymi zostałem beznadziejnie rozłączony. Spróbujmy tę rozłąkę w miarę możliwości niwelować i nie wzmagać nieuniknionego smutku. Całuję mocno. Pisz możliwie najczęściej. Twój kochający tata

9 kwietnia 1935 r., Warszawa

Moja droga najmłodsza,

Sumienie, jeśli o Ciebie idzie, tym razem

mam wyjątkowo czyste: 22 marca wysłałem Tobie i siostrze po liście, 29-go jeszcze jeden na fotokarcie, a teraz jeszcze piszę. 1-go znów wysłałem Wam poprzez Torgsin 15 dolarów; mam nadzieję, że trafią do Waszych rąk, zanim otrzymacie te listy. Bardzo miło ze strony Tamarusi, że z okazji Twoich urodzin odstąpiła Ci ze wspólnej kwoty sporą część; cieszy mnie wszystko, co świadczy o Waszym siostrzanym przywiązaniu, moje biedne sierotki. To przywiązanie będzie Waszą najlepszą inwestycją również w przyszłości. Dodam jeszcze – zrozum mnie tylko jak należy – żebyście zawsze pamiętały, że jesteście Zielińskimi, nawet, jeśli inaczej się nazywacie. [...]

Twoja siostra pisała mi o swoich planach związanych z wyższym wykształceniem; a jakie są Twoje zamierzenia? To, co jej odpowiedziałem, tyczy się po części Ciebie: życzyłbym sobie, abyście się po pierwsze nie rozłączały, a po drugie, abyście w tym celu przeprowadziły się do stolicy, gdyż tam możliwości wykształcenia są nieporównywalnie większe niż na prowincji³. Jeśliby moje życie ułożyło się tak, jak planowałem dla siebie i dla Was, tobyście nawet z niej nie wyjeżdżały; a dlaczego przenieśliem Was do Połocka, wiecie: jak na ówczesne warunki i Wasz wiek, było to najlepszą rzeczą, jaką mogłem dla Was zrobić. Byłoby to na pewien czas naprawdę dobrym rozwiązaniem, gdyby Wasza mama uważniej słuchała moich rad. Teraz tych warunków już nie ma i trzeba myśleć o przeprowadzce do stolicy, tym bardziej, że mieszka tam pewna bardzo bliska mi osoba, o której, swego czasu pisałem Ci Adoczko⁴.

Jest to mój ostatni list przed wyjazdem za granicę. Wyjazd nastąpi mniej więcej za dziesięć dni; mam nadzieję otrzymać do tego czasu po liście od was. [...] Z podróży będę Wam posyłał jedynie wi-

³ W życzeniu ojca, aby córka zdobywała wykształcenie w stolicy, uwiadamia się jego oderwanie od warunków życia w kraju sowieckim. Córki żyją w ciągłym strachu spowodowanym ich korespondencją z zagranicą. Ukończywszy dwie klasy technikum, Ariadna wstąpiła na Uniwersytet Woroneski na Wydział Biologiczny. Ojciec marzył, aby zdobyła wyższe wykształcenie w Petersburgu (ówczesnym Leningradzie), lecz matka uważała, że w ich sytuacji bezpieczniej pozostać na prowincji. Decyzji tej nie zrozumiał Zieliński.

⁴ „Bardzo bliska mi osoba” – chodzi o starszą córkę Zielińskiego, Amatę (po mężu – Ludmiłę Beneszewicz, 1888-1967).



dokówki; nie zabieram ze sobą maszyny do pisania, więc listów pisać mógł nie będę – wiecie przecież jaki mam charakter pisma. Zatrzymam się na kilka dni u syna⁵, spotkam z ciocią Kara⁶: opowiem jej o Was, gdyż zawsze się Wami interesowała, rzekłbym nawet, podwójnie – jako moja synowa i jako przyjaciółka Waszej mamy. Byłbym rad, gdybyście zaczęły korespondować, najlepiej za moim pośrednictwem. Radziłem swego czasu Waszej mamie wznowić z nią korespondencję, tym bardziej, że ona (tj. ciocia Kara) także tego pragnęła, lecz i w tym mnie nie usłuchała. Oddam jej przy tej okazji bajkę Waszej mamy, która mnie również bardzo przypadła do gustu⁷.

Cieszę się bardzo na tę podróż; zabierze mnie ona po części w krainy znajome, a po części w nieznane, między innymi na wyspę Korsykę, dokąd dawno już mnie ciągnie. Czy macie możliwość śledzić moją podróż? Czy macie atlas geograficzny lub choćby mapę Europy? Jeśli nie – musicie koniecznie sobie sprawić, w przeciwnym wypadku będziecie cudzoziemkami na ziemi. A jak u Was z książkami? Odpowiedzcie mi, gotów jestem Wam pomóc (oczywiście pieniądze), trzeba się tylko umówić.

Słowem: piszcie, piszcie; im więcej, tym lepiej; tak bardzo cieszę się Wasze listy, przy każdym w myślach wypowiadam te słodkie mi słowa „moja córka”. Widzicie, że i ja z chęcią piszę; gdybym jeszcze wiedział, co szczególnie interesuje Was w moich listach... Ale właśnie ta częsta korespondencja do tego doprowadzi. Tak więc całuję Ciebie tak mocno, jak twój kochający tata

1 lutego 1936 r., Warszawa

Droga Adoczko. Doczekałem się w końcu listu od Ciebie. [...] Spodziewałaś się siostry na święta; przyjechała? Jeśli nie, to czemu? Czy otrzymała tych 30 dolarów, które do Ciebie dla niej posłałem? Pisziesz, że liczysz, że zobaczysz ją i mamę; jak ona się u niej znalazła? Miałybyście, i ty i ona, o czym pisać, nawet bardzo, jeśli byście odpowiadały na moje zapytania; czekam na odpowiedzi i, nie uzyskując ich, bardzo bywam strapiiony. Powinno być dla was jasne, iż powodem moich pytań jest to, że przejmuję się Wami, tym jakie jesteście, i waszym losem; wiem, o czym mogę pisać, a o czym nie, i pytań, które mogłyby sprawić Wam kłopot, nie zadaję. [...] Dalej: dlaczegoś, akurat, wybrała Uniwersytet Woroneski? To również zagadka, pozostająca bez wyjaśnienia. Wiesz przecież, że planowałem dla Was coś innego; dlaczego okazało się to niemożliwe? Chciałem zbliżyć Cię do brata⁸, lecz mi stanowczo oznajmiłaś, że do niego nie napiszesz; zgodzisz się, że tak bezpośrednia odmowa bez podania przyczyny była dla mnie obraźliwa – przecież tylko Wasze dobro miałem na myśli. Lecz mogę Ci powiedzieć, co z tego wyjdzie: stanie się tak, że kiedy umrę, to nawet się o tym nie dowiedzie i tylko długi czas bez listów pokaże, że tego, kto mógłby je do Was napisać, już nie ma wśród żywych. Czy tego właśnie oczekujecie? Nadal oczekuję odpowiedzi na wszystkie te pytania [...]

Ogólnie rzecz ujmując, korespondencja bywa tym ciekawsza, im jest częstsza, bo wtedy każdy nawet drobiazg nabiera znaczenia. Napisałem do Was szereg listów na temat Waszego wczesnego dzieciństwa, miałem nadzieję, że ożywi to naszą korespondencję, że podążą za tym pytania, dopowiedzenia, nawet zaprzeczenia – byłoby to w pełni naturalne, jeśli byście o tym rozmawiały ze swoją mamą czy chrzestną. Nic takiego się jednak nie wydarzyło; wydaje mi się nawet, że Wasze wcześniejsze listy były treściwsze i obawiam się czegoś w rodzaju obcości. Moje uczucia do was pozostają niezmiennie: tak jak Wasza mama była moją ostatnią miłością, tak i Wy jesteście ostatnimi promykami szczęścia w moim życiu. Jeśli by, z jakiegokolwiek przyczyny – oczywiście, nie z mojej winy – nasza korespondencja miała się urwać, możecie być pewne, że moje ostatnie myśli będą przy Was, myśli pełne smutku, ale także ciepła i miłości.

[...] A teraz wyobraź sobie, że trzymam Cię za ręce, wpatruję w Twoje czarne oczęta, mocno całuję i mówię na pożegnanie: bądź zdrowa, droga moja córeczko. Twój tata

⁵ Syn – Feliks Zieliński (1886-1970); ojciec był częstym gościem u niego w Schondorfie (Bawaria).

⁶ Ciocia Kara – Karin Edmundowna Zielińska, z domu Borman (1892-1964), żona Feliksa, przyjaciółka z lat młodości Zofii Pietrowny, jej rówieśnica.

⁷ Rękopis bajki, o której mowa, nie zachował się.

⁸ Feliksa.



4 kwietnia 1936 r., Warszawa

Droga Adoczko.

Wysłałem Ci wczoraj przez nasz Bank Zachodni 100 złotych, czyli po wymianie na Waszą walutę mniej więcej tyle samo rubli; to dla Was obydwu, Ciebie i Tamarusi.

Jeśli o mnie chodzi, to, najprawdopodobniej, znów czeka mnie podróż, tym razem na północ, do Finlandii. Proszę o wygłoszenie dwóch wykładów w Helsinkach, wystosowano ponad dwa lata temu, jednakowoż dotąd nie mogłem temu sprostać. Tak więc teraz, pamiętając o wstępnej obietnicy, postanowiłem upewnić się wpraw, czy nadal mnie tam oczekują i akurat wczoraj otrzymałem odpowiedź, że owszem – oczekują i serdecznie zapraszają. [...] Jeśli wszystko pójdzie jak należy, to wyjedziemy 20 kwietnia: po drodze będziemy musieli zatrzymać się na jeden dzień w Dorpacie, gdzie mam wygłosić wykład, potem pojedziemy do Helsinek, by po kilku dniach ruszyć z powrotem, drogą morską. To ostatnie jest dla mnie główną zanętą, wiesz przecież, że jestem zakochany w morzu.

Jedziemy, oczywiście, nie na mój rachunek (nie posiadam takich pieniędzy), lecz na koszt zapraszającego, tzn. Uniwersytetu Helińskiego; sama rozumiesz, że w tych okolicznościach takie zaproszenie to nie tylko przyjemność, lecz i duży zaszczyt, należy więc być godnym tego zaszczytu i postarać dobrze się spisać. Innymi słowy, wykład musi być interesujący w treści, reprezentować wysoki poziom naukowy, posiadać ciekawą formułę, a także zostać wygłoszony dźwięcznie i nieusypiająco. Wczoraj właśnie wygłosiłem publiczny wykład na naszym uniwersytecie. Trwał półtorej godziny, ludzi przyszło mnóstwo, pełen sukces. Co prawda wykład był po polsku, a w Helsinkach przyjdzie mi wygłaszać go po niemiecku (fińskiego nie znam), lecz bynajmniej mnie to nie peszy, gdyż władam tym językiem niegorzej od przeciętnego Niemca.

Nastrój dopisuje mi teraz wiosenny. Od 1 kwietnia wznowiłem nawet swoje poranne spacerowanie po naszym uniwersyteckim ogrodzie. W tym celu sumiennie wstaję o 6 rano, biorę ze sobą jabłko i chodzę miarowym krokiem pod górę i z góry przez godzinę – tyle czasu mniej więcej potrzeba, aby obejść wszystkie dróżki i ścieżki. Potem wracam do domu, pracować. O 8.30 wstaje córka⁹ (ze względu na serce powinna dłużej spać), pijemy razem kawę, czytamy poranne gazety i opowiadamy sobie, jaki się komu sen przysnił. Po kawie znowu praca, tak do dwunastej trzydzieści, a potem można iść do miasta coś załatwić, czy zrobić sprawunki. Obiad jest o 2.00, gotuje córka, gdyż służby nie mamy – środki nie pozwalają. Po obiedzie – godzinny odpoczynek. Między 4.00 a 5.00 w ciągu roku szkolnego mam wykład na uniwersytecie (teraz są wakacje). Po 5.00 niekiedy przychodzą do nas znajomi, prawie wyłącznie z kręgów uniwersyteckich; wtedy bywa skromny poczęstunek. Wieczorem od 8.00 z rzadka teatr bądź koncert – to drugie jest tu na wysokim poziomie, a my jesteśmy wielbicielami poważnego dramatu i poważnej muzyki. Takie byłybyście i Wy, jeślibym mógł mieć wpływ na Wasze wychowanie. Później, oczywiście, kładziemy się spać. Jeśli wieczór spędzamy w domu, to po kolacji córka gra na pianinie, następnie spędzamy jeszcze godzinkę na milej rozmowie. Masz oto obraz mego codziennego życia, niezbyt może urozmaiconego lecz treściwego, i zmieniać go nie miałbym życzenia. Mocno całuję. Twój tata

23 czerwca 1937, Warszawa

Droga Adoczko.

Piszę do Ciebie, korzystając z wolnego wieczoru. [...] Są teraz letnie wakacje, lecz dla mnie to czas najbardziej wytężonej pracy. Do tego dochodzą jeszcze wyjazdy, a właściwie wyloty. Tydzień temu polecałem z wnuczką¹⁰ do Krakowa, na posiedzenie tamtejszej Akademii Nauk¹¹, do której, podobnie jak i do połowy tuzina innych, należę. Za około dziesięć dni polecę do Gdyni na wykład, ale już jeden. Takie przeloty to dla mnie oszczędność – na przykład jazda do Krakowa pociągiem pociągami pociągami trwa sześć godzin, samolotem – godzinę. Zaoszczędzony czas wykorzystam na pracę, tak więc wydatek

⁹ Weronika (1892-1942).

¹⁰ W tym czasie u Faddieja Francewicza i Weroniki gościła Aja (ur. w 1917 r.), córka Kornelii (Nelli) (1890-?), drugiej córki Zielińskiego, która wyszła za mąż za Japończyka i mieszkała w Japonii.

¹¹ Mowa o Polskiej Akademii Umiejętności.



się opłaci. Nie wspominając już o przyjemności, która jest olbrzymia: lecisz wśród chmur, nad sobą masz słońce i błękit nieba, pod sobą, w dziurach między obłokami widać ziemię, dokładnie jak mapę geograficzną. Martwiłem się o wnuczkę, dla której był to pierwszy lot, lecz jej przykro było jedynie, że tak szybko się skończył. Teraz, gdy mieszkamy w domu we trojkę, jest weselej, lecz i trosk przybyło.

[...] Niedobrze że Tamarusia nic do mnie nie pisze, wyzdrowiała przecież, a ja nawet nie wiem, gdzie ona teraz się znajduje. Niedobrze, że obie zaniechałyście korespondencji z Kiską¹², która zawsze była Wam niezwykle życzliwa i tak jakby reprezentowała moje tradycje. Tak, In den Ocean segelt mit tausend Masten der Jungling – Still im geretteten Kahn treibt in den Hafen der Greis¹³... A ponieważ, jak sama mówisz, nieco próbujesz po niemiecku, posyłam Ci dwuwiersz Schillera (jest to samodzielny epigram, na równi z innymi, równie dobrymi). Dołączam również, zgodnie z twym życzeniem, portret tego Jungling mniej więcej w tym wieku, w jakim został on Waszym ojcem¹⁴. Wygląd imponujący, nieprawdaz? Wiele osób tak wówczas uważało.

Cóż, wszystko ma swój czas, a i uskarżać się na dzień dzisiejszy, byłoby grzechem. Najważniejsze, że dane jest mi pracować. To również konieczność: pensji nie wystarcza, trzeba zarabkować pracą literacką i wykładami. Jedno i drugie jest zajmujące. Przy okazji, pytałaś mnie, iloma językami władam. Zależy to od tego, co rozumiemy pod słowem „władać”. Gdy byłem w Hiszpanii czy Grecji, całkiem swobodnie mówiłem tamtejszymi językami, po hiszpańsku wygłosiłem nawet mowę na bankiecie; jeśli więc liczyć i te dwa języki, w sumie będzie ich dziesięć. Lecz poza ich orbitami język zaczyna się plątać.

[...] Cały czerwiec zamierzam spędzić tutaj, lecz na sierpień i część września pojadę za granicę pracować w tamtejszych bibliotekach. Przydatne będzie, jak już wcześniej wspominałem, moje członkostwo w szeregu akademii – ze względu na poważanie i ułatwiony sposób wypożyczania książek do domu. Jest to dla mnie konieczne, ponieważ jedynie w domu mogę korzystać z maszyny do pisania – w czytelnich jej stukot przeszkadzałby pracować innym. Kończę teraz Cesarstwo rzymskie, wyjdzie z tego solidny tom; później zabiorę się za historię religii antycznych, brakuje jeszcze dwóch tomów. Dwóch tomów! Łatwo powiedzieć! Jakże mam je napisać, skoro stuknęło mi już 78 lat? Jak – tego nie wiem, lecz próbować trzeba.

Dopomóżcie mi w tym również Wy, podtrzymując we mnie dziarski nastrój oraz wiarę, że w mej kruchej łódce, jak niegdyś siedzą drogie postaci moich młodziutkich córeczek. A teraz doszła mi jeszcze jedna wnuczka¹⁵; piszcie o niej i o wszystkich, których znam i kocham, i kogo pokochałbym, jeśli by poznać było mi dane. Nigdy nie pozwólcie, by w Waszych sercach wygasła miłość. „Miłość należy pielęgnować” – nie wiem już, gdzie tę mądrą radę przeczytał, lecz mądrą jest ona rzeczywiście „serce opustoszałe raz, nie napelni się znów” – to również z poety niemieckiego, tyle że innego („ist das Herz geleert, wird's nicht mehr voll”). A żyć z pustym sercem – uwierzcie mi, moje drogie, nie jest łatwo.

Zapamiętajcie ten morał; kto wie, kiedy się przyda. Sama widzisz, korespondencja się nawiązała, nie dajcie jej ostygnąć. Mocno Was wszystkich całuję. Twój tata

Na przekór nadziejom ojca, list ten okazał się ostatnim. Kiedy Ariadna studiowała na trzecim roku Uniwersytetu Woroneskiego, niespodziewanie wezwano ją do NKWD i zażądano zaprzestania korespondencji. Okazało się, że sąsiadka z domu akademickiego odkryła jeden z listów Zielińskiego i jako „oddany władzy sowieckiej człowiek” skleiła donos. „Był to straszliwy rok 1937 – wspomina Adrianna Faddiejewna. – Przez cały kraj przetaczały się masowe aresztowania niewinnych ludzi, z których większość zniknęła na zawsze. Męcząca była myśl o tym, jak bardzo cierpieć będzie ojciec, nie otrzymując ode mnie wiadomości i nie znając przyczyny mego milczenia. Wyjścia jednak nie było. Postanowiłam na czas pewien zakończyć korespondencję.” Ukończywszy w 1940 roku uniwersytet (było to w Rostwie nad Donem), napisała do ojca na stary warszawski adres. Lecz w tym czasie już ani adresu, ani adresata tam nie było. Spełniła się gorzka przepowiednia Faddieja Francewicza: „Kiedy umrę, to nawet się o tym nie dowiedzie...”.

¹² Kiska – rodzinne przezwisko matki chrzestnej.

¹³ *Młódź o tysiącu masztów przez ocean żegluj, / Spokojnie w swej szalupie starzec osiąga port*, przeł. Jerzy Litwiniuk.

¹⁴ Patrz fot. 1.

¹⁵ 15 lutego 1937 r. Tamarze urodziła się pierwsza córka – Lidia (zm. w 1998 r.).



Dopiero w 1958 roku, w okresie pewnej liberalizacji sowieckiego reżymu, córki dowiedziały się o losie ojca. Ariadna wysłała zapytanie do Uniwersytetu Warszawskiego i otrzymała odpowiedź od jego uczennicy, profesor Lidii Winniczuk. Dzięki tej dobrej kobiecie udało się nawiązać kontakt z bratem Feliksem i siostrą Amatą.

„Ciocia Kara” w liście z 26 września 1958 roku opowiedziała o ostatnich latach życia Faddieja Zielińskiego:

Droga Adrianno! Przesłano mi Twój list, który napisałeś w nadziei, że odnajdziesz ślady swojego ojca. Umarł 8 maja 1944 roku, miał 84 lata... Ostatnie lata swego życia spędził u nas. Przybył tutaj w listopadzie 1939 roku, zaraz po pierwszym zburzeniu Warszawy, wraz ze swoją córką Weroniką, jego wierną towarzyszką. Otaczała go zawsze wzruszającą troską i wszędzie mu towarzyszyła... Po zdobyciu Warszawy dla obydwójga nastały bardzo ciężkie czasy. Ich mieszkanie spaliło się, jak zresztą prawie cały Uniwersytet Warszawski. Te wstrząsy przyczyniły się do udaru, po którym ledwie mógł się poruszać, z kolei Weronika od dawna już cierpiała na chorobę serca. Na szczęście, dzięki naszej pomocy, udało się uzyskać pozwolenie na przyjazd do nas; udało nam się ich całkiem dobrze urządzić. Cieszył się, że mógł być z nami, jednak bardzo cierpiał z powodu ciężkiego losu, jaki spotkał jego ojczyznę. Po udarze powrócił do względnego zdrowia i chociaż z trudem, mógł chodzić. Jego możliwości umysłowe nie ucierpiały. Doskonale władał wieloma europejskimi językami, znał na pamięć wspaniałe utwory literatury światowej, a niedługo przed śmiercią ukończył swoją sześciotomową historię religii... Rękopis piątego tomu spalił się w Warszawie, więc napisał go od nowa i niedługo przed śmiercią zakończył swe dzieło tomem szóstym.

Długie życie Zofii Pietrowny i jej córek pełne było dramatycznych wydarzeń. To dłuższa historia. Ograniczymy się jedynie do podstawowych informacji. Podczas wojny Ariadna przymusowo pozostała w okupowanym Rostowie. W czasie okupacji straciła półtoraroczną córkę Tanię. Zofia Pietrowna z Tamarą i dwiema małymi wnuczkami Lidią i Jeleną również przebywała na terytorium zajętym przez hitlerowców, w obwodzie woroneskim. Wszystkie cudem przeżyły. W 1944 roku Ariadnie udało się zorganizować przeprowadzkę matki i siostry z dziećmi do Rostowa nad Donem, w którym spędziły resztę życia. Zofia Pietrowna do emerytury w 1959 roku wykładała język niemiecki na Uniwersytecie Rostowskim, zmarła w 1978 roku. Tamara Faddiejewna pracowała jako nauczycielka w szkole średniej, urodziła syna Piotra. Zmarła w 2005 roku. Doczekała dwóch wnuków, czterech wnuczek oraz prawnuków. Ariadna Faddiejewna została doktorem nauk biologicznych. Już na emeryturze napisała wspomnienia *Dni mego życia*. Ma dwoje dzieci – autora tych słów oraz córkę Larysę, a także dwoje wnucząt.

Swe wspomnienia najmłodsza córka Faddieja Francewicza Zielińskiego kończy słowami o ojcu: „Nie ma już wśród żywych tych drogich bliskich, z którymi zmuszona byłam zerwać kontakt w czasach władzy sowieckiej. Jednakże przez całe życie odczuwałam dojmujący ból i ogromną tęsknotę za nieziszczonym spotkaniem z ojcem i bratem, a z biegiem lat ból ten nie zmniejsza się, lecz narasta”.

2009, nr 7/8

Tłum. Eliza Wolska



Siergiej Gindin

HORYZONTY FILOLOGII OCZAMI FADDIEJA FRANCEWICZA ZIELIŃSKIEGO

Encyklopedie w dzisiejszym świecie pełnią przede wszystkim funkcję informacyjną. Odpowiednio również i od artykułów w nich zawartych oczekuje się zazwyczaj precyzyjnej i pełnej systematyzacji, nie zaś nowin naukowych. Dlatego też ci, którzy zbierają i ponownie wydają spuściznę wielkich uczonych, często zapominają o ich artykułach encyklopedycznych. Tak też nigdy nie był wznawiany artykuł Faddieja Francewicza (Tadeusza) Zielińskiego *Filologia*, opublikowany w 1902 roku w XXXV tomie znakomitego *Słownika encyklopedycznego Brockhousa i Efrona*, nie ma go nawet w polskim spisie prac uczonego w czasopiśmie „Meander”.

Miedzy innymi właśnie konieczność precyzyjnej systematyzacji popycha niekiedy autorów do oryginalnego podejścia, zapewniającego dalszy rozwój nauki. Przykładem mogą tu być wydrukowane w tymże *Słowniku encyklopedycznym* artykuły Jana Baudouina de Courtenay *Język i języki* i *Językoznawstwo*. Takim jest również artykuł Zielińskiego o filologii.

Słowniki opisowe i encyklopedyczne ostatnich dziesięcioleci, zarówno w Polsce, jak i w Rosji, definiują filologię jako połączenie nauk, badających język i literaturę, bądź też jako kompleksową naukę o kulturze danego narodu lub grupy pokrewnych narodów. Obie definicje są dobrze znane i oddzielnie każda z nich wydaje się całkowicie zrozumiałą. Spróbujmy jednak dopasować je do rzeczywistego życia właściwych dziedzin i wtedy okaże się na przykład, że językoznawcy od stu pięćdziesięciu lat obstają przy zasadniczym rozdziale swojej nauki od filologii, a do badania kultury pretendują antropologia kultury i kulturologia, zupełnie z filologią niezwiązane.

Pytanie o przedmiot i naturę filologii ma bardzo długą historię. W złotym okresie filologii klasycznej, w XV-XVII wieku, wielcy jej przedstawiciele, opracowując na nowo i przygotowując do publikacji rękopisy autorów starożytnych, nieumyślnie stawali się pierwszymi badaczami języka tych utworów i odzwierciedlonej w nich rzeczywistości – faktów historycznych i kulturowych wyobrażeń. Lecz pod koniec XVIII wieku, kiedy filologia zyskała w Niemczech status samodzielnej uniwersyteckiej specjalizacji, wraz z nią ukształtowały się, już jako samodzielne dyscypliny, nauka historyczna oraz lingwistyka porównawcza. Pytanie o to, czym przedmiot filologii różni się od przedmiotów jej młodszych rywalek, zyskało na aktualności.

Przez długi czas debaty o rozgraniczeniu filologii i historii toczyły się przeważnie w Niemczech. Jednakże, pod koniec lat siedemdziesiątych XIX wieku, główne prace Friedricha Augusta Wolfa i Philippa Augusta Böckha zostają przełożone i szczegółowo omówione w Rosji. Zielińskiemu, który studiował filologię klasyczną w Lipsku, Monachium i Wiedniu, przeznaczone więc było podjąć stare poszukiwania i przenieść je na grunt rosyjski.

Artykuł Zielińskiego *Filologia* składa się z sześciu niezatytułowanych części, oddzielonych od siebie charakterystycznym w XIX wieku podwójnym znakiem przestankowym „kropka-myslnik” (.-).

Pierwsza, najkrótsza, poświęcona jest miejscu historii i filologii w ogólnej klasyfikacji nauk. Uznając za niemożliwe rozgraniczenie historii i filologii w badanym materiale, autor łączy je w całościową „naukę historyczno-filologiczną”. Pozostałe nauki humanistyczne (wg ówczesnej terminologii „nauki o duchu”), badając swój przedmiot poza czasem, dostarczają wyobrażenia o nim. W odróżnieniu od nich nauka historyczno-filologiczna ma za zadanie „badanie twórców ducha ludzkiego w ich kolejności, tzn. w ich procesie rozwoju”.

Druga część zawiera pasjonujący szkic ewolucji znaczenia słów „historia” i „filologia” oraz słów z nimi związanych, takich jak „annały” i „kronika”. Słowem „historia” określano pierwotnie zapis tego, co autor zobaczył, a przede wszystkim usłyszał podczas wędrówek – czyli to, co ma początek w źródłach ustnych. Z kolei filologia od początku związana była z badaniem słowa pisanego. Z czasem historia, stając się opowieścią o losach narodów, zaczęła włączać fakty, znane ze źródeł pisanych, a filologia zaczęła zajmować się tekstami antycznymi, i na początku XIX wieku zakresy dwóch pojęć praktycznie się zbiegły.



Jednak zbiegł się jedynie ich zakres, lecz nie treść. W trzeciej części artykułu Zieliński dowodzi, że „gruntowna różnica” historii i filologii zawiera się w ich metodach. Przyczyna nieusuwalnej dwoistości nauki historyczno-filologicznej polega na sposobie zdobywania informacji o badanych obiektach. We wszystkich innych naukach badacz ma możliwość mniej lub bardziej bezpośredniego kontaktu z badanym zjawiskiem. W nauce historyczno-filologicznej, zajmującej się przeszłością, kontakt taki jest z definicji niemożliwy. Badacz otrzymuje jedynie zapośredniczoną informację, pochodzącą z pozostawionych przez przodków śladów materialnych, nazywanych „zabytkami”. Konieczność pracy z zabytkami prowadzi do rozdzielenia nauki historyczno-filologicznej: im bardziej uczony koncentruje się na odzwierciedlonych w zabytku wydarzeniach i zasadach rozwoju, tym bardziej staje się historykiem. Z kolei im bardziej zajmuje go zabytek sam w sobie, tym bardziej staje się filologiem. W praktycznej pracy uczony musi być zarówno historykiem, jak i filologiem, lecz im bardziej oddalona w czasie i specyficzna kulturowo jest badana epoka, tym większe znaczenie ma praca filologiczna.

W czwartej części przed czytelnikiem rozpościera się oszałamiająca panorama możliwych rodzajów zabytków. Są to nie tylko zwyczajowo kojarzone z filologią teksty literackie bądź inskrypcje na nagrobkach, pomnikach, ścianach budowli. Okazuje się, że zabytkiem historycznych wydarzeń może być dzisiejszy krajobraz miejsc, w których się one toczyły („zabytki geograficzne”). Dzisiejszy stan języka, wiara i obyczaje, na przykład Włochów, stanowią odrębny, „etnologiczny” zabytek historii starożytnego Rzymu!

Ukazawszy możliwą różnorodność zabytków, Zieliński przechodzi do charakterystyki tego, co właściwie filolog może i powinien robić z zabytkami. Zabytki rzadko trafiają do nas w pierwotnej postaci; „zachodnie wybrzeże Azji Mniejszej znacznie się zmieniło... wskutek zamulenia ujścia rzek, religia Greków zmieniła się wskutek przyjęcia chrześcijaństwa – dana płaskorzeźba bądź dany napis zachowane są w niepełnej postaci, a wskutek ignorancji lub samowoli przepisujących ucierpiał utwór literacki”. Sądy o przeszłości, na podstawie tak zmienionego zabytku, łatwo doprowadzić mogą do fałszywych wywodów. Dlatego pierwszym zadaniem filologii jest „sparaliżowanie wpływu stuleci” i, w miarę możliwości, doprowadzenie do tej postaci, jaką miał on w interesującej nas epoce. Gałąź filologii, zajmująca się tym problemem, nazywana jest krytyką filologiczną.

Drugie najważniejsze zadanie filologii polega na tym, aby tenże zabytek zrozumieć. Nauka, która się tym zajmuje, nazywana jest hermeneutyką. Zieliński opisuje, że możliwe są dwa rodzaje rozumienia tego terminu i, odpowiednio, dwa rodzaje hermeneutyki.

Możemy od razu rozpatrywać odbudowany przez krytykę zabytek jako źródło informacji, pomocne przy rozwiązaniu konkretnego zadania naukowego. Będzie nas wtedy interesować jedynie ta część jego treści, która odnosi się do danego zadania, i od razu będziemy starali się połączyć tę informację z analogiczną, pochodzącą z innych zabytków. Takie częściowe, „zorientowane problematycznie” (we współczesnej terminologii), rozumienie przypisywał Zieliński hermeneutyce syntetycznej, stanowiącej przejście od rozumienia ściśle filologicznego do historycznego.

Jest również drugi typ rozumienia – rozumienie odtworzonego zabytku jako całości. Rozumienie „bardziej wszechstronne”, niepozostawiające w zabytku „ani jednej niewyjaśnionej kwestii”. O takim rozumieniu mówi hermeneutyka analityczna i właśnie ono charakterystyczne jest dla filologii i jest jej bezpośrednim i nieodłącznym zadaniem.

Zieliński twierdził, że hermeneutyka analityczna powinna zajmować się zabytkiem przed syntetyczną, co oznacza również, że praca filologiczna z tymże zabytkiem powinna poprzedzać jego wykorzystanie w innych naukach.

Jak pamięta Czytelnik, w artykule Zielińskiego jest jeszcze część piąta i szósta... Nie będziemy jednak próbować „objąć nieobjętego” w nadziei, że Czytelnik sam zechce *Filologię* przeczytać.

2005, nr 12

Tłum. Eliza Wolska

Sergej Gindin (ur. 1945). Kierownik katedry lingwistyki teoretycznej i stosowanej RGGU (Moskwa). Autor 400 publikacji dotyczących lingwistyki tekstu, wersologii, poetyki, historii literatury rosyjskiej oraz historii i teorii filologii, m. in: *Swiaznyj tekst: formal'noje opriedelenie* (1971), *Biografija w strukturnie pisem i epistolarnogo powedenija* (1989), *Programma poetiki nowogo wieka* (1993).



MIASTO W PAMIĘCI

Rozmowa z Jarosławem Zielińskim

– Podjął się pan gigantycznego zadania, w pojedynkę tworzy pan *Atlas dawnej architektury ulic i placów Warszawy*.

– Przede wszystkim z tęsknoty za utraconym miastem. Myślę, że czytelnik rosyjski dobrze to zrozumie, bo przecież II wojna światowa zmiotła z powierzchni ziemi również wiele miast rosyjskich.

Warszawa, w moim odczuciu, już nigdy nie wróciła do dawnej kondycji. Widać to nie tyle po jej wyglądzie, ile po mieszkańcach, którzy zatracili tę wielkomiejskość. Poza tym jest jeszcze jeden powód, który kazał mi zwrócić uwagę na to, o czym piszę, brak świadomości i brak szacunku dla tych okrucieństw przeszłości, które ocalały. Postanowiłem rzucić się z motyką na słońce i spróbować zrekapitulować zasoby tego, co ocalało, dokładnie to zinwentaryzować, opisać. Zresztą ta książka ma w tej chwili pewnego rodzaju emanację, ponieważ do tej pory ukazało się dwanaście tomów, ale to nie wszystko, istnieje już, z dużym wyprzedzeniem realizowana, wersja komputerowa, która jest uzupełniana, robiona przez moją współpracowniczkę, dokumentacją fotograficzną. Tak powstaje ogromna baza danych. Pierwotnie robiłem ją na miarę swoich możliwości, mając nadzieję, że w tej epoce przemian, kiedy na moich oczach rozwala się kolejne przedwojenne obiekty, będzie to ostatni zapis, pamiątka po tych obiektach. Natomiast ratunek dla innych, ich zbawienie, dlatego że najbardziej bezbronny jest obiekt anonimowy. Kamienica, która nie ma nazwiska właściciela, która nie ma nazwiska architekta i historii, jest podniszczona, staje się rudera, zawalidroga. Wiem, że w wielu wypadkach moja książka uratowała życie starym budynkom.

Bardzo mnie intryguje szukanie tych pamiątek, aczkolwiek nie wszyscy patrzą na to w sposób zdecydowanie pozytywny. Niektórzy wyrażają przypuszczenie, że na pewno dostanę za to jakiś medal w Izraelu, bo wskazuję kamienice, które należały do Żydów, ich spadkobiercom. Nie mam takich zamiarów, poza tym nawet jeśli się takie sytuacje zdarzają, że ktoś moją książkę przeczyta i znajdzie swojego przodka, to z tego nie wynika, że zaraz dochodzi swoich praw. W końcu ja tylko udowodniłem, że ta kamienica należała do niego, więc nie popełniłem przestępstwa, przecież tym ludziom coś się też należy, zainwestowali swoje pieniądze w jakieś obiekty, które im potem zabrano. Natomiast w swojej pracy badacza staram się być absolutnie obiektywny i zupełnie nie przeszkadza mi, czy dany obiekt jest związany z historią rodziny żydowskiej, rosyjskiej, czy polskiej. To z mojego punktu widzenia nie stanowi żadnej różnicy, dla mnie to po prostu historia, uważam, że wszelkiego rodzaju jej zafałszowanie jest szkodliwe, a przecież do tej pory była ona brutalnie fałszowana. Nie wszyscy to rozumieją. Spotykam się z wypowiedziami typu: „No jak to, Polakiem jesteś itd. Powinieneś przede wszystkim polską stronę promować”. Ja odpowiadam, że to jest tak, jakby człowiek dbał tylko o zdrowie jednej ręki, można by powiedzieć, że ja, będąc warszawiakiem, mam w sobie kilka dusz, bo moi przodkowie mieszkający tu, od nie wiem jak dawna, mieli głębokie powiązania z różnymi narodami, różnymi kulturami itd. Dla mnie Warszawa bez tej historii żydowskiej, rosyjskiej jest Warszawą niepełną, jest Warszawą wycinkową, tak więc by to miasto zrozumieć, trzeba je traktować w całości. Robię to dla czystej satysfakcji historycznej, nie mając żadnych ukrytych podtekstów, nie jestem nacjonalistą polskim, natomiast jestem zdecydowanie szowinistą warszawskim. To jest moja narodowość.

– Czy mógłby pan powiedzieć kilka słów na temat swojego warsztatu, metod pracy i problemów z nią związanych?

– Jeśli chodzi o warsztat. Badanie dziejów Warszawy jest zadaniem niewspółmiernie trudniejszym niż badanie historii innych miast. Taki na przykład Antanas Čaplinskas, czyli z polską Antoni Czapliński, badacz Wilna, ma do dyspozycji w pełni zachowane archiwa i niemal w pełni zachowaną architekturę. My zaś nie mamy ani jednego, ani drugiego. Zostały zburzone nie tylko domy, ale zostały spalone całkowicie archiwa, wszystkie właściwie archiwa, w tym archiwum planów architektonicznych. Tak że praca badacza



architektury warszawskiej jest niemalże pracą archeologa, ponieważ dotyczy obiektów w dużej mierze nieistniejących, których metryki można odtwarzać tylko metodami naukowymi. W Berlinie lub w Petersburgu lub w jakimkolwiek innym mieście badacz idzie do archiwum, znajduje odpowiednie zezwolenie na budowę, nazwisko architekta, cenę budynku i w zasadzie pozostaje pracowite przepisywanie, kopiowanie materiałów. U nas tylko sporadycznie zachowują się tego typu rzeczy, dlatego znakomita większość drugorzędnych, mniej znanych budynków, jest traktowana bez szacunku, bo nie żyją ani ich właściciele, ani nie przetrwały plany, a w przypadku kiedy budynek nie istnieje, to można powiedzieć, szukaj wiatru w polu. Niemniej nauczyłem się paru metod, które pozwalają w większości przypadków takie metryki odtwarzać. Jakimś cudem Niemcy nie zdążyli spalić zbioru ksiąg hipotecznych, a hipoteki były zakładane w czasach cesarza Napoleona w Księstwie Warszawskim i zawierają nawet dokumenty jeszcze z XVIII wieku. Tak że przynajmniej jeśli chodzi o te czasy, od końca XVIII wieku po rok 1944, to w znakomitej większości przypadków zachowały się rozmaite materiały.

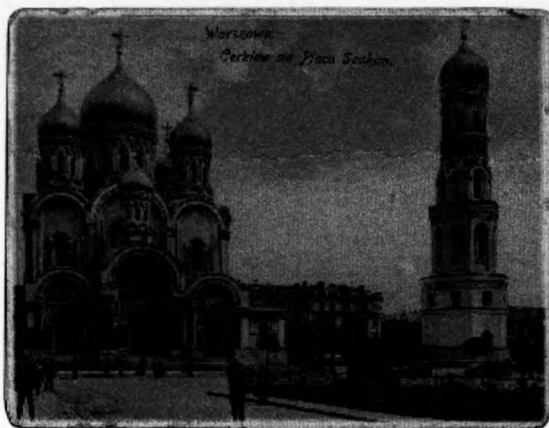
Księga hipoteczna odnotowuje przede wszystkim stan własnościowy i jego zmiany, ale najwięcej ciekawych rzeczy można znaleźć między wierszami, bo przecież są tam jeszcze dziesiątki stron brudnopisów. W tych brudnopisach często są umieszczane notatki, których na czysto nie pisano, na przykład nazwisko architekta. Przy księdze hipotecznej znajduje się zbiór dokumentów i ten zbiór dokumentów zawiera często rzeczy rewelacyjne, nawet projekty, choć jest to absolutnie rzadki przypadek, natomiast prawie zawsze zawiera szczegółowe plany posesji. Tutaj już można wiele rzeczy znaleźć. Choć nawet w księdze nie jest powiedziane *expressis verbis*, w którym roku budynek został postawiony, to bardzo często można znaleźć odpowiedni zapis. Jest to metoda opracowana przez profesor Jadwigę Roguską z Politechniki Warszawskiej: porównując ceny kupna i sprzedaży danej posesji, można ustalić, często bardzo ściśle, w którym roku budynek został postawiony. Szczególnie że kamienice były bardzo często sprzedawane. To znaczy widać, że ktoś kupował plac za, powiedzmy, 10 tysięcy rubli, a za rok sprzedawał tę samą nieruchomość za 100 tysięcy. Z tego wniosek, że wybudował tam kamienicę. To jest właśnie jeden z elementów wnioskowania. W okresie międzywojennym już jednak stało się prawie regułą, że dołączano dokument mówiący, że ktoś dostał zezwolenie na budowę, podawał nazwisko właściciela, nazwisko architekta. W czasach carskich nie było to takie precyzyjne, raczej można mówić o bałaganie. Natomiast jest coś, czego, jak przypuszczam, żaden badacz architektury nie sprawdził – sporo jeszcze będzie można znaleźć w Petersburgu. Ponieważ w Warszawie istnieją brudnopisy zezwoleń na budowę zachowane w tzw. Aktach Gubernialnych, mam bardzo poważne podejrzenie, że w Petersburgu da się znaleźć całe dokumenty, bo na pewno robiono kopię, która zostawała w tamtejszym archiwum, a w bardzo wielu wypadkach budynków użyteczności publicznej, kościołów, teatrów itd., zezwolenie było wydawane w Petersburgu, tak więc komplet planów wraz z dokumentami itd. musiał tam jechać. Jest to następny krok, który w badaniach trzeba będzie wykonać. Niemniej na razie brudnopisy i księgi hipoteczne wiele mi powiedziały.

Jeśli chodzi o księgi hipoteczne, dla rosyjskiego badacza wyglądałyby one swojsko, ponieważ w swoim czasie były drukowane po rosyjsku, pod tytułem *Ипотечный Указат'ель* i normalnie pisano je po rosyjsku. Tutaj trzeba się troszeczkę językowo pogimnastykować, ponieważ księgi mają wpisy rosyjskie, polskie, niemieckie, francuskie, zależnie od tego, kto aktualnie rządził w mieście. Przy czym charakterystyczne, że te wpisy rosyjskie zaczynają się od 1865 roku, kiedy to wszedł w życie ukaz, na mocy którego wszystkie dokumenty w Królestwie Polskim miały być sporządzane w języku rosyjskim. No i zaczęła się tragedia, ponieważ najgorzej czyta się te właśnie dokumenty rosyjskie, gdyż przygotowywali je ci sami ludzie, którzy wcześniej kaligrafowali po polsku. Do momentu, kiedy te dokumenty sporządzano po polsku, były cudownie, przejrzyste czytelne, ale ci sami ludzie, zmuszeni nagle do pisania po rosyjsku, nie znając zasad kaligrafii rosyjskiej, bazrali jak kura pazurem, gdyż byli Polakami. Pisali strasznie, jest to dla mnie zawsze ogromnym wyzwaniem, bo to przypomina stenografię. Mimo że dosyć dobrze posługuję się językiem rosyjskim, to jednak tutaj czasami rwę włosy z głowy. W związku z tym stosuję metodę, że jak nie mogę czegoś pokonać, to fotografuję i odkładam na jakiś czas, potem siadam, włączam komputer, patrzę na ekran i z reguły od razu łapię sens tego brakującego mi zdania. Ale wracając jeszcze do warsztatu i źródeł. Pracuję w ten sposób, że staram się zgromadzić maksymalnie dużo danych na określony temat, który właśnie opracowuję, a więc składam wizyty w Archiwum Państwowym m. st. Warszawy, gdzie zachowały się wspaniałe komplety map,



m.in. chyba najwspanialszy w Europie zbiór barwnych planów szczegółowych miasta, sporządzony przez Lindleyów dla wodociągów warszawskich. Fantastyczne plany, ostatnio wydane, przynajmniej w części, w formie książkowej, które zostały opracowane nawet w skali 1:200, 1:100, gdzie widać na przykład schody prowadzące do budynku, podłączenia wszystkich mediów itd. Te plany robiono właśnie na potrzeby wodociągów i kanalizacji. Ale potem były uzupełniane i stały się podstawą szczegółowej kartografii miasta aż do II wojny światowej i na szczęście ocalały.

Do tego są fotoplany, kolejny materiał niezbędny dla badacza. Najstarsze zdjęcia lotnicze miasta były robione podczas I wojny światowej, ale pierwszy systematyczny, niemal fotogrametryczny zbiór fotografii miasta powstał w 1926, następny w 1935, kolejny zrobiło Luftwaffe po bombardowaniach, w październiku 1939, następne zaś Rosjanie w 1945 roku i nasze służby fotogrametryczne w 1947. I tu ciekawa rzecz, może zainteresuje czytelnika rosyjskiego, że ten fotoplan rosyjski z 1945 roku jest dostępny w internecie, na stronie Urzędu Miasta, jako „Ortofotomapa1945”, wystarczy wpisać taki kod w wyszukiwarce. Jest to niezbędne dla badacza, widać każdą posesję, a w 1945 roku jeszcze nic, co zostało zniszczone, nie zostało rozebrane, więc budynki, mimo że wypalone, to pokazują nie tylko swój obrys, ale nawet swoje wnętrza, wewnętrzny podział ścian, widać wszystkie szczegóły zabudowy. Podpieranie się tymi planami plus tymi wszystkimi zachowanymi dokumentami, hipoteką, plus późniejszymi źródłami i opracowaniami, przedwojennymi i powojennymi, to jest właśnie taki podstawowy mój warsztat. Kiedy przystępuję do pisania



kolejnego tomu, to najpierw oczywiście siedzę tyle, ile muszę w archiwach i bibliotekach. Na szczęście mam już na tyle wyrobione ścieżki, że w taki czy inny sposób kopiuję te materiały, żeby pracować w domu, albo sam fotografuję czy skanuję, albo zamawiam kopie. Taszczę to wszystko do domu i dopiero kiedy mam już wszystko pod ręką, wiem, czym dysponuję i jakie mam luki, zaczyna się proces pisania. I sam ten proces tworzenia danego tomu to jest już rzecz krótka, zajmuje mi trzy – cztery miesiące.

Oczywiście, tutaj są potrzebne różnego rodzaju uzupełnienia, sięganie do ksiąg adresowych, telefonicznych, do rejestrów handlowych, nawet spisu przedsiębiorstw, to wszystko się jakoś zajeżdża. I oczywiście prasa. To jest najcięższy temat,

bo przewertowanie roczników, powiedzmy, „Kuriera Warszawskiego”, gazety, już przed wojną liczącej kilkadziesiąt stron, a to przecież było pismo codzienne o dwóch wydaniach (porannym i wieczornym), to żmudna praca. Tam zakodowanych jest mnóstwo szczegółowych, drobnych informacji, które, zestawione, dają niesamowite efekty. Zależy mi w „Atlasach” na uchwyceniu dwóch rzeczy. Każdy rozdział jest monografią jednej ulicy. Ulicę traktuję jako coś więcej niż zagadnienie architektoniczno-urbanistyczne. Teoretycy architektury i urbanistyki badają miasto kwartałami, blokami zabudowy, ja badam ulicami, ponieważ interesuje mnie również ludzka strona tej historii, a nie tylko historia zabudowy. Tymczasem to nie blok zabudowy ma swoją specyfikę, ponieważ on może wychodzić na cztery różne ulice o zupełnie różnym charakterze, tylko właśnie dana ulica, na której odbywał się taki lub inny rodzaj handlu, że było na niej więcej lub mniej Żydów, Rosjan czy Niemców niż Polaków, mogła mieć inny charakter. Tu decyduje więc wiele czynników. Stąd porównywanie tych wszystkich danych tych historii gazetowych z czysto fachowymi źródłami daje pełen obraz i wtedy piszę rozdział poświęcony dziejom danej ulicy. Natomiast drugą częścią monografii ulicy jest katalog, który rekapitułuje wszystko, co się zachowało. Tutaj każdy obiekt, który przetrwał, jest zinwentaryzowany do ostatniego szczegółu, nawet takiego jak ciekawsze kłamki. To są elementy, które masowo giną nawet teraz, to się niszczy, np. bramy, drzwi na klatkach schodowych, wymienia się posadzki, wyrzuca się stare mozaiki i tego typu rzeczy. Tymczasem jest to temat absolutnie nieprzebadany.

– Jak pan ocenia stan badań nad architekturą i historią Warszawy?



– Ja tej oceny całościowej jeszcze nie mam, bo do tej pory badacze próbę tej oceny podejmowali na podstawie przebadanego kwartału czy budowli najbardziej znanych, natomiast ja nie różnicuję, ja badam każdą zachowaną budowlę. Czasami jest to kompletna nędza budowlana, niemniej jeśli sobie uświadomimy, że ta nędza mogła stanowić, powiedzmy, 60% całości zasobów, no to zupełnie inaczej te proporcje się postrzega. Z tego prawie nic nie ocalało, nad tym się nikt nie litował, cała ta muranowska, żydowska dzielnica chociażby. Owszem zdarzały się kamienice piękne, ale przecież przeważały budynki budowane tragicznie. Jeżeli tego dzisiaj w ogóle nie ma, to praktycznie trudno jest we właściwych proporcjach to zobaczyć. Trzeba umieć pewne rzeczy uchwycić i porównać.

Przeciętny warszawiak lewobrzeżny odczuwał zawsze i odczuwa obcość Pragi, czyli Warszawy prawobrzeżnej, ze względu na jej pewną odmiennność, większą bliskość w stosunku do Moskwy i Petersburga niż do świata zachodniego. Praga była do końca XVIII wieku odrębnym miastem, ale to nie jest powód, dla którego jest tak traktowana. Po wojnie, będąc najmnij warszawską dzielnicą, stała się najbardziej warszawska, bo nie została zniszczona. Przetrwali nie tylko jej mieszkańcy, ale miejsce zamordowanych Żydów zajęły tysiące ludzi, którzy stracili swoje domy na lewym brzegu. A więc w zasadzie to Praga stała się esencją przedwojennej „warszawskości” z wszystkim naleciałościami, śmiesznościami, sposobem mówienia, gwarami. Tam one dożywały swego kresu.

Zabudowa dotrwała tam niemal nienaruszona do lat siedemdziesiątych, kiedy to błędnie pojęta modernizacja miasta – jak w Rydze – doprowadziła do prawie zupełnej zagłady architektury drewnianej. Na Pradze było jej mnóstwo, czego nie spotykało się na lewym brzegu. Z tym, co pozostało, i tak skrajnie się różniła od lewobrzeżnej Warszawy, odbudowanej po wojnie w zupełnie innym kształcie. Dlatego też była postrzegana jako całkiem inne miasto, bo zabrakło jego odpowiedników na lewym brzegu. Widzę mnóstwo podobieństw architektonicznych między taką dzielnicą jak Praga a przedwojennym żydowskim Muranowem, dzisiaj zupełnie nową dzielnicą. Gdyby ta dzielnica istniała, ten stary Muranów, to Praga nie wydawałby się taką egzotyczną, bo miałyby swoje odpowiedniki. A przecież większość architektów czy właścicieli tych kamienic to byli Żydzi z lewobrzeżnej Warszawy, którzy tam inwestowali, bo tam były tańsze grunty, więc można powiedzieć, że mitem, w pewnym sensie, jest ta odrębność praska, bo to zazwyczaj ci sami ludzie zamieszkiwali po obu stronach rzeki, tyle tylko że komponenty układały się inaczej. No większy odsetek Rosjan, to fakt, więcej naleciałości wschodnich to fakt, ale generalnie te same nazwiska, wystarczy wziąć spisy właścicieli kamienic. A cała reszta ludności? Ich różnicowanie to też mity, bo czym się różnił robotnik mieszkający na Pradze od robotnika z lewobrzeżnej Woli. Tylko tym, z której wsi przeszedł. Oczywiście ci, którzy mieszkali na Pradze, z reguły przyszli ze wsi położonych bardziej na wschód od miasta, powiedzmy z Siedleckiego, natomiast ci, którzy przychodzili na Wolę, przychodzili gdzieś tam spod Sochaczewa, czyli od zachodu, i to już wystarczyło, żeby oni już mieli inny dialekt i inną kulturowość. Bo ci ze wschodu byli bliżsi kulturze Wielkiego Księstwa Litewskiego, często jeszcze z naleciałościami białoruskimi. W zależności od kierunku pochodzenia mieli inny sposób funkcjonowania i na tej bazie tworzyły się odrębne gwary. Inną gwarę miała Praga, inną Wola, inną Powiśle i Czerniaków. To się nie wzięło znikąd, to wynikało po prostu z ogromnego procentu ludzi ze wsi, którzy napływali do miasta, przyciągał ich gigantyczny przemysł.

Co to znaczy być rodowitym warszawiakiem? Rodowitym warszawiakiem dzisiaj jest ten, kto żyje tutaj od czasów przedwojennych. Tymczasem przed wojną przynajmniej połowa ludzi to byli imigranci ze wsi, którzy po prostu ciągnęli do stolicy, bo dawała im pracę. To oni ginęli potem jako warszawiacy podczas wojny. Oni legitymowali się zamieszkaniem tutaj od kilku, góra kilkunastu lat. Przecież nie możemy na przyrost naturalny przełożyć tego, że o ile w 1918 Warszawa miała 800 tysięcy mieszkańców, to dwadzieścia lat później prawie 1,3 miliona.





– Na ile istotna była obecność Rosjan w Warszawie, na ile zaważyła na jej kształcie architektonicznym?

– Obecność administracyjna i polityczna jest najzupełniej oczywista. Wystarczy wziąć jakiś kalendarz z tej epoki. Taki jak to kiedyś były modne kalendarze w formie opasłych tomów. Zawsze się zaczynał od dat urodzin członków rodziny carskiej, zaraz potem były nazwiska wszystkich carskich oficjeli na różnych szczeblach; widać było, że praktycznie zajmowali oni prawie wszystkie jej szczeble i niewiele było tam nazwisk polskich. Dopiero wszyscy zastępcy i trochę niższe stopnie to Polacy. Na czele tych wszystkich resortów, urzędów itd. stali Rosjanie, głównie wojskowi, plus ta cała, oczywiście cywilna, sieć czynowników, sieć policyjna, gdzie też jednak kluczowymi postaciami byli Rosjanie z odległych guberni. Możliwe, że to właśnie w pewien sposób rzutowało na zachowanie, sposób funkcjonowania tutaj Rosjan. Zupełnie inaczej funkcjonowali ci, który czuli się z miastem związani, po prostu, a inaczej skierowani zwyczajnie carskim rozkazem / ukazem po to, by objąć tutaj jakieś stanowisko. Te postawy przedstawiały się bardzo różnie.

Jeszcze inna sprawa to był garnizon rosyjski, nieprawdopodobnie liczny – dziesiątki tysięcy ludzi, łącznie ponad 100 tysięcy przed 1914 rokiem. Ogromna liczba koszar. Warszawa była przecież miastem-twierdzą, duszącą się w pierścieniach tej twierdzy. Jeśli dodamy do wojskowych całą otoczkę w postaci rodzin, służby obsługującej wojsko itd., otrzymujemy gigantyczną maszynę. Żołnierze kwaterowali w koszarach, ale tylko część oficerów mieszkała czy kwaterowała przy jednostkach wojskowych, inni kupowali nieruchomości w Warszawie. Były obszary, które w sporym stopniu zdominowali Rosjanie, np. południowe krańce Śródmieścia, czyli rejon, powiedzmy, ul. Nowowiejskiej, pl. Zbawiciela, pl. Unii Lubelskiej. Tam mieszkało ich stosunkowo najwięcej, ale również w al. Róż, w pobliżu Al. Ujazdowskich czy ul. Pięknej, Koszar Ujazdowskich. Tam były po prostu całe kolonie rosyjskie. Przejawiało się to oczywiście licznymi budynkami, związanymi z życiem tych ludzi. To były nie tylko cerkwie, ale również kasyno, projektowano w tym rejonie teatr rosyjski, do budowy którego ostatecznie nie doszło. Drugim takim rejonem była Warszawa prawobrzeżna, czyli Praga, gdzie bardzo dużo kamienic kupili Rosjanie, a symbole prawosławia były znacznie bardziej czytelne nawet niż w Warszawie lewobrzeżnej. I trzeci taki rejon to tereny podmiejskie dzisiaj należące do Warszawy, ówczesne Powązki, Ruda, Marymont, gdzie Rosjanie budowali sobie dacz. Dosłownie kilkanaście lat temu jeszcze takie drewniane dacz na Marymoncie można było zobaczyć. Do dziś trochę zachowanych ocalało na przedmieściach Warszawy prawobrzeżnej, wzdłuż linii kolejowej do Otwocka, ale tam trudno je odróżnić od dacz, które budowali Polacy czy Żydzi. Ich styl zwany popularnie „świdermajerem” (od miejscowości Świder i stylu biedermeier) korzenie miał niewątpliwie w architekturze rosyjskiej, bo przecież tego typu budowle są do dzisiaj w krajobrazie współczesnej Rosji doskonale widoczne.

Cerkwie były tym chyba najbardziej istotnym elementem krajobrazu Warszawy pod zaborem rosyjskim i miały pewien charakterystyczny rys, bo tylko nieliczne spośród nich służyły ludności cywilnej, większość to były cerkwie wojskowe. Każdy pułk stacjonujący w Warszawie miał własną cerkiew garnizonową. O wielu z nich praktycznie już nic nie wiemy, nawet nie zachowały się żadne dokładniejsze wizerunki. Z prostego względu, bo służyły tylko wojsku, tylko wojsko w nich było i praktycznie cywile nie mieli do nich dostępu, tym bardziej cywile nie-Rosjanie. W większości były budowane na terenach koszarowych. Trudno często stwierdzić, jak wyglądały. Dzisiaj istnieje tylko jedna taka cerkiew, która pełni obecnie rolę kościoła polsko-katolickiego przy ul. Czerniakowskiej. Jest to budynek właściwie nieprzekształcony, chociaż np. kopuły ma dzisiaj bardziej starobizantyjskie niż rosyjskie, bo pierwotnie była to taka cerkiew z cebulastymi, charakterystycznymi kopułami. Jest jeszcze jedna wojskowa cerkiew o bardzo zmienionym wyglądzie.



Tylko ta z kolei należy do Kościoła katolickiego. Nie ma śladu kopuły, jest za to strzelista wieża. To cerkiew Keksholmskiego Pułku Huzarów przy pl. Unii Lubelskiej. I co ciekawe, jest to cerkiew, która gdybyśmy sobie mogli wyobrazić jej stan pierwotny, byłaby taka sama jak ta, którą możemy obejrzeć w Grodnie na przykład, w Dęblinie czy gdziekolwiek indziej na dawnym pograniczu imperium Romanowów. Po prostu dlatego, że był to seryjny model cerkwi stawiany dla garnizonów wojskowych. One nie różniły się od siebie, miały bardzo specyficzną, charakterystyczną cechę. Typowa cerkiew cywilna była z reguły zbliżona rzutem do kwadratu, z centralną kopułą i otaczającymi ją kopułami. Natomiast cerkwie wojskowe miały kształt bardzo wydłużony. Chodziło o to, żeby po prostu mogło tam wmaszerować wojsko na nabożeństwo; te wszystkie kopułki były zepchnięte w kierunku prezbiterium i to jest coś, co na pierwszy rzut oka pokazuje nam, że mamy do czynienia z cerkwią garnizonową – taki kształt ma właśnie cerkiew Pułku Keksholmskiego.

Były też cerkwie, które stawiano wyłącznie po to, aby zdominować panoramę miasta, stać się symbolem panowania Romanowów nad Warszawą. Taką rolę pełnił sobór na pl. Saskim. Nie było żadnej potrzeby religijnej, żeby taką cenną i wielką świątynię wznieść w miejscu, gdzie miejsca do jej podziwiania było stosunkowo mało, a i Rosjan nie za wielu. Właściwie dla wszystkich cywilnych Rosjan starczyłoby 3-4 cerkwie, tymczasem w Warszawie było ich kilkadziesiąt.

Dawna cerkiew przy ul. Czerniakowskiej ma tradycyjny plan krzyża greckiego, podobnie zresztą jak najpiękniejsza zachowana cerkiew katedralna Marii Magdaleny, naprawdę jedna z najlepszych cerkwi, najciekawszych, które stoją dotąd. Została nam jeszcze cerkiew na cmentarzu prawosławnym na Woli, która nadal spełnia swoją rolę. Te dwie, ostatnie przeze mnie wymienione, to jedyne w tej chwili cerkwie prawosławne z tamtych czasów, które funkcjonują tak jak dawniej. Część cerkwi została zburzona, głównie cerkwie wojskowe, oczywiście sobór na pl. Saskim. Została zburzona cerkiew przy Szpitalu Dzieciątka Jezus, bo na siłę dobudowano ją obok kościoła katolickiego. Te cerkwie po prostu najbardziej Polaków drażniły i to trzeba zrozumieć, bo były symbolami pewnego dyktatu. Natomiast większość z nich przestała istnieć w panoramie miasta z oczywistego powodu, bo były zagarniętymi i przekształconymi kościołami katolickimi, tak jak pierwsza katedra prawosławna przy ul. Długiej przerobiona z kościoła Pijarów czy kościół na Reducie Wolskiej. To miało rangę symbolu, że ten kościół został przebudowany na cerkiew, no bo w końcu było to miejsce bohaterskiej obrony wojsk polskich podczas wojny 1831 roku i miejsce śmierci generała Sowińskiego itd. Te świątynie zostały przywrócone do swojej pierwotnej, barokowej postaci.

Ciągnę ten wątek po lekturze książki Kiryła Sokoła i Aleksandry Sosny pt. *Russkaya Warszawa* (Moskwa 2002), która pokazuje ten akt burzenia cerkwi jako przejaw barbarzyństwa Polaków, którzy niszczyli tak wspaniałe obiekty itd. Tylko że trzeba pamiętać, że większość z tych cerkwi nie miała żadnych wartości jako zabytek czy dzieło sztuki, kiedy je rozbierano po 1918 roku, to były obiekty, które miały często zaledwie po kilkadziesiąt lat, tak jak sobór na pl. Saskim.

Oczywiście żał niektórych świątyń, bo były ciekawe – na przykład wojskowa cerkiew przy placu Na Rozdrożu, w pewnym stopniu wzorowana na soborze Wasyla Błażennego na pl. Czerwonym w Moskwie, ale to wyjątki. Natomiast w odpowiedzi na oskarżenia Sokoła, że sobór na pl. Saskim był pełen dzieł sztuki, trzeba zaznaczyć, że nie zniszczono m.in. mozaik, zostały wymontowane i niektóre z nich znajdują się w cerkwi św. Marii Magdaleny, a większość w jednej z cerkwi w Baranowiczach na Białorusi.

Zresztą trzeba powiedzieć, że i w polskim społeczeństwie po I wojnie trwała bardzo żywa dyskusja, czy soboru po prostu nie przebudować dla potrzeb Wojska Polskiego, ale w końcu przeważała niechęć. Dzisiaj powtarza się ta dyskusja z Pałacem Kultury i Nauki, osławionym „darem” Stalina dla Warszawy. To jest dokładnie to samo, z czym nasi dziadkowie czy pradiadkowie mieli do czynienia. Na początku lat dwudziestych spór o sobór był też bardzo ostry. Tutaj te wyrzuty sumienia na pewno mieliśmy.

2007, nr 7/8

Rozmawiał Przemysław Deles



Lija Dołżanska

CZERWONY KRZYŻ PONAD PODZIAŁAMI

Jekatierina Pieszkowa i Stefania Sempołowska

Jesień 1920 roku. W Rosji trwa wojna domowa. Toczy się również wojna z Polską (Józef Piłsudski rozpoczął działania wojenne w styczniu 1920 roku, a w kwietniu tego roku oddziały polskie rozpoczęły generalne natarcie). Oczywiście już jest, że w wojnie domowej (z dużym trudem, ale zdecydowanie) szala zwycięstwa przechyliła się na stronę bolszewików. Natomiast w wojnie z Polską sytuacja Rosji nie wygląda zbyt optymistycznie: pod koniec lata stało się już jasne, że kontynuowanie tej wojny prowadzi do coraz większych strat i że najlepszym wariantem jest jak najszybsze zawarcie pokoju lub przynajmniej zawieszenie broni. Polska wycieńczona sześcioletnią wojną również dąży do pokoju. Zawieszenie broni udało się podpisać 12 października 1920 roku, a po pięciu miesiącach jego obowiązywania, 24 lutego 1921 roku w Rydze zawrzeć porozumienie pokojowe.

A tymczasem 4 września 1920 roku w Berlinie zaczęły się rozmowy pomiędzy przedstawicielami Rosyjskiego i Polskiego Czerwonego Krzyża. Prowadzono je zgodnie z konwencją genewską w sprawie poprawy sytuacji ofiar wojny – cywilnych jeńców. 6 września przedstawiciele obu stron podpisali porozumienie (ze strony RSFRR¹ podpisał je Stefan Brodowski-Bratman, ze strony polskiej zaś Edward Zaleski), w myśl którego w Rosji i w Polsce miały być utworzone przedstawicielstwa Czerwonego Krzyża drugiego państwa (Biuro Pełnomocnika). Na pełnomocnika Rosyjskiego Stowarzyszenia Czerwonego Krzyża (RSCK) w Polsce wyznaczona została znana działaczka społeczna Stefania Sempołowska, natomiast na pełnomocnika Polskiego Czerwonego Krzyża w RSFRR strona polska zaproponowała Jekatierinę Pawłownę Pieszkową. 4 września, w pierwszym dniu rozmów, został do niej wysłany radiotelegram z prośbą o przyjęcie propozycji. W tym momencie nastąpiła przerwa w rozmowach.



Jekatierina Pieszkowa

Powód był taki, że kandydatura Pieszkowej wzbudzała szereg wątpliwości strony rosyjskiej. Pieszkowa nie pracowała w państwowym Rosyjskim Stowarzyszeniu Czerwonego Krzyża, które pozostawało pod kontrolą WCzK², a była wiceprzewodniczącą Moskiewskiego Politycznego Czerwonego Krzyża – organizacji społecznej, na czele ze wspieranym prawnikiem Nikołajem Murawjowem, o poglądach bardzo różniących się od bolszewickich. Polityczna przeszłość samej Pieszkowej również była bardzo wątpliwa: członek partii eserów, co więcej, przez czas jakiś członek KC tej partii, a w 1917 roku – deputowaną Moskiewskiej Dumy z ramienia tej partii. W owym czasie niewygodną dla władz była również działalność Maksyma Gorkiego – jej ślubnego męża, ojca jej syna i – mimo że w tym czasie żyli już osobno – bliskiego jej człowieka. Gorki w tamtym okresie o bolszewikach mówił „oni” i podejmując konfrontację z władzami, starał się uratować wielu „niewygodnych”

dla rządzących osób. Rosyjska delegacja nie zdecydowała się wziąć na siebie odpowiedzialności za zatwierdzenie kandydatury Pieszkowej na stanowisko pełnomocnika i wystosowała stosowne zapytanie do „Centrokriestu” (Komitet Centralny Rosyjskiego Stowarzyszenia Czerwonego Krzyża – „Центрокрест”). „Centrokriest” ze swej strony skierował to pytanie do Ludowego Komisariatu Spraw Zagranicznych. Tutaj urzędnicy nie odważyli się wziąć na siebie tej odpowiedzialności i zwrócili się bezpośrednio do Feliksa Dzierżyńskiego, który nie tylko stał na czele WCzK, ale był również członkiem „Polbiura” (Polskiego Biura)

¹ Rosyjska Socjalistyczna Federacyjna Republika Rad.

² Wszechrosyjska Komisja Nadzwyczajna do Walki z Kontrrewolucją i Sabotażem, później Wszechrosyjska Komisja Nadzwyczajna do Walki z Kontrrewolucją, Spekulacją i Nadużyciami Władzy.



przy KC RKP(b). Na front (w tym czasie Dzierżyński znajdował się na froncie zachodnim) został wysłany stosowny radiotelegram z pytaniem, na które Dzierżyński odpowiedział: „dopuszczyć obywatelkę Pieszkową do pełnienia wymienionych funkcji”, ale pod kontrolą i we współdziałaniu z „Nadzwyczajnym Pełnomocnikiem”. Na funkcję „nadzwyczajnego pełnomocnika” Dzierżyński oddelegował do „Centrokriestu” członka Polbiura Jakowa Sosnowskiego.

W związku z tak długotrwałymi rozmowami porozumienie o stworzeniu instytucji opiekuńczych dla cywilnych jeńców zostało zawarte dopiero 25 września. Po dwóch dniach, czyli 27 września, pod przewodnictwem Dzierżyńskiego odbyło się posiedzenie Polbiura, na którym podjęto decyzję, że w związku z tym, że z formalnego punktu widzenia porozumienie podpisane w Berlinie 6 września nie może mieć mocy wiążącej wobec RSFRR, to nie będzie ono realizowane. Polbiuro postanowiło również kontynuować rozmowy w Berlinie.

Dalszy rozwój wydarzeń w znacznym stopniu został zdeterminowany przez aktywny charakter Pieszkowej i jej osobowość. Radiotelegram z 4 września, w którym w imieniu Polskiego Czerwonego Krzyża zaproponowano jej podjęcie się opieki nad polskimi obywatelami, więzionymi w RSFRR, został dostarczony dopiero po 10 września. Po kilku dniach wyraziła zgodę, po czym znowu przez kilka dni nie dostawała żadnej odpowiedzi. Wówczas sama zaczęła dowiadywać się, jaka jest sytuacja. 24 września została zaproszona do „Centrokriestu” na rozmowy. O decyzji Polbiura najwyraźniej wówczas nie wiedziała, ale do swoich praw i obowiązków odniosła się z charakterystyczną dla niej odpowiedzialnością, przyjmując aktywną postawę. Na temat podjęcia pracy w charakterze pełnomocnika Polskiego Czerwonego Krzyża w RSFRR zachował się suchy raport Pieszkowej (wykonano to i to – oczywiście – zdumiewa jednak, jak wiele zostało zrobione w tak krótkim czasie) oraz dość barwne sprawozdanie nadzwyczajnego pełnomocnika „Centrokriestu” ds. kontroli i wspierania (tak nazywała się ta funkcja), który na wszelkie sposoby usiłował hamować działalność Pieszkowej.



Stefania Sempołowska

Do podjęcia działalności potrzebne były jej pieniądze. „Centrokriest” odmówił, ale dostała je od Dzierżyńskiego – 5 milionów rubli. „Nadzwyczajny pełnomocnik” tak wytłumaczył tę sytuację: „Czerwony Krzyż nie mógł uzyskać dużej kwoty pieniędzy w Goskontroli. W związku z tym tow. Dzierżyński, jako przedstawiciel WCzK, czasowo wyasygnował 5 000 000 rubli w charakterze pożyczki. Następnie Czerwony Krzyż – wychodząc naprzeciw przedsięwzięciom – zwrócił te pieniądze WCzK”. Działacze Rosyjskiego Stowarzyszenia Czerwonego Krzyża najwyraźniej zrozumieli, że Dzierżyńskiemu nie są obojętne losy tych Polaków, którzy stali się ofiarami wojny i że z takim jego podejściem trzeba będzie się liczyć. Później Dzierżyński również różnymi sposobami wspierał działalność Pieszkowej jako pełnomocnika Polskiego Czerwonego Krzyża. Dzięki temu oczywistemu wsparciu w znacznym stopniu okazywali jej pomoc również niektórzy inni oficjalni urzędnicy oraz instytucje. Można tutaj podać przykład listu nadzwyczajnego pełnomocnika Jakowa Sosnowskiego do Dzierżyńskiego, w którym stwierdzał on, że „kwestia zapewnienia środków finansowych dla p. Pieszkowej jest rozwiązana, gdyż „Centrokriest” nie tylko zwróci mu pożyczoną kwotę, ale również zobowiązuje się w przyszłości – do momentu wyjaśnienia sprawy zapewnienia finansowania p. Pieszkowej – dostarczać jej stosowne środki”.

Najbardziej palącą kwestią był problem, skąd brać (kupować) produkty żywnościowe dla więzionych Polaków. Nadzwyczajny pełnomocnik informował: „Obywatelka Pieszkowa zwracała się do mnie z wnioskiem, by wystąpić do Ludowego Komisariatu ds. Żywności. Ja, jako przedstawiciel Rosyjskiego Stowarzyszenia Czerwonego Krzyża ds. wspierania jej działalności, nie mogłem kategorycznie jej odmówić, ale zawsze uchylałem się od tego, a zwłaszcza od wspólnego wystąpienia. Co więcej, kiedy dowiedziałem się, że ob. Pieszkowa sama zwróciła się do Ludowego Komisariatu ds. Żywności i tam Jej obiecano udostępnienie żywności (wbrew mojemu stanowisku), natychmiast o tym meldowałem zarówno w «Centrokriescie»



[...] jak również towarzysowi Dzierżyńskiemu, ażeby zapobiec, w ten czy inny sposób, uzyskaniu tych produktów. Niemniej jednak, mimo moich składanych we właściwym czasie doniesień, żywność z Ludowego Komisarjatu ds. Żywności została przekazana i do dziś obywatelka Pieszkowa otrzymuje ją zgodnie z miesięcznymi przydziałami na człowieka, przewidzianymi przez lekarza Czerwonego Krzyża”. W swoim sprawozdaniu Pieszkowa wykazała, że na 1 grudnia 1920 roku na żywność wydatkowała nieco ponad 200 tysięcy rubli i wyjaśniła, że jest to suma nieznaczna, gdyż wspomniane artykuły spożywcze zakupywane były według sztywnych cen.

Wiele problemów Pieszkowej udawało się rozwiązywać dzięki „życzliwości” otaczających ją ludzi, w tym również z kręgów władzy. Sosnowski na przykład poświęcił wiele czasu na szukanie pomieszczenia dla kancelarii Biura Polskiego Czerwonego Krzyża. Poszukiwania te zakończyły się fiaskiem. Natomiast Pieszkowej Moskiewski Wydział ds. Żywności „grzecznościowo” udostępnił dwa pokoje w zajmowanym przez Wydział mieszkaniu.

Potrzebni byli pracownicy. W czasie rozmów w „Centrokriescie”, 24 września, Pieszkowa wyraziła chęć współpracy z technicznymi służbami Politycznego Czerwonego Krzyża. „Centrokriest” odmówił, w związku z czym Pieszkowa zgodziła się na pracowników Rosyjskiego Stowarzyszenia Czerwonego Krzyża, ale już w październiku uzyskała zezwolenie na przyjęcie własnych pracowników. Na stanowisko swojego zastępcy przyjęła Michaiła Lwowicza Winawera (tak jak i Pieszkowa będącego wiceprzewodniczącym Politycznego Czerwonego Krzyża).

W październiku 1920 roku „obywatelka Pieszkowa uzyskała prawo do reprezentowania Polskiego Czerwonego Krzyża w granicach, które zostały zakreślone w Polsce dla tow. Sempołowskiej” (interesujące jest to, że w dokumentach z tego okresu Pieszkowa figuruje jako „obywatelka”, w odróżnieniu od innych osób, w tym również pani Sempołowskiej, które nazywane są „towarzyszami”).

Stronie rosyjskiej bardzo odpowiadała kandydatura Sempołowskiej. Stefania Sempołowska pomagała cywilnym jeńcom od końca kwietnia 1920 roku. Mandat pełnomocnika uzyskała 6 września 1920 roku, a 10 września zaczęła pomagać nie tylko cywilnym, ale również wojskowym jeńcom, co zdążyła zawczasu uzgodnić z przedstawicielem Rosyjskiego Stowarzyszenia Czerwonego Krzyża – Brodowskim.

Już w pierwszych dniach września Sempołowska poprzez Zaleskiego wysłała sprawozdanie ze swojej działalności. W tym sprawozdaniu poinformowała, że liczba rosyjskich jeńców w polskich obozach i koloniach pracy wynosi około 70 tysięcy osób. Warunki w tych obozach były „po prostu nieludzkie, urągające nie tylko wymaganiom higienicznym, ale kulturze w ogóle” (tak scharakteryzował sytuację polski nadzwyczajny komisarz ds. walki z epidemiami Edward Godlewski). Rosyjscy jeńcy wojenni umierali z wycieńczenia i chorób, wywołanych brakiem żywności i lekarstw, jak i z powodu okrucieństwa lokalnych naczelników.

Sempołowska poruszyła również kwestię wymiany – rosyjskich obywateli, znajdujących się w polskiej niewoli za Polaków, przetrzymywanych w Rosji – na drodze ograniczonego, nieoficjalnego porozumienia. Wydawało się jej jednak, że rosyjska delegacja nie dość uważnie odniosła się do tej propozycji. Wysłała więc do „Centrokriestu” list ze skargą na lekceważenie i żądaniem zaproszenia jej do Rygi, gdzie prowadzone były rozmowy. W rezultacie przedstawiciele „Centrokriestu” zaczęli zdecydowanie wnioskować, aby Ludowy Komisarjat Spraw Zagranicznych zażądał od Polaków wezwania do Rygi „naszych oficjalnych przedstawicieli” – Stefanii Sempołowskiej i jej asystentki Wandy Gąsiorowskiej, jako „osób najlepiej znających nasze potrzeby i mogących nawiązać bezpośredni kontakt z naszymi uwięzionymi towarzyszami”. Jednocześnie „Centrokriest” nie wykluczał, że „w przypadku żądania Polaków trzeba by na zasadzie wzajemności delegować Pieszkową. Jednakże w związku z nieocenionymi usługami, które może okazać Sempołowska, należy być przygotowanym również i na to”.

W grudniu 1920 roku Sempołowska i Pieszkowa spotkały się w Rydze.

W końcu 1920 roku, po powrocie Pieszkowej z Rygi, Polski Czerwony Krzyż zwrócił się do niej z propozycją objęcia opieką również polskich jeńców wojskowych. Za aprobatą „Centrokriestu” Pieszkowa wyraziła zgodę.

Oficjalnie Biuro Pełnomocnika Polskiego Czerwonego Krzyża rozpoczęło działalność 15 października 1920 roku (trzy dni po zawarciu porozumienia o zawieszeniu broni). Informacja o tym, że w Moskwie zaczął działać Polski Czerwony Krzyż była opublikowana w gazecie „Izwestia” 26 stycznia 1921 roku.



W październiku 1920 roku w Biurze Pełnomocnika Polskiego Czerwonego Krzyża pracowały trzy osoby. W lutym 1921 roku – już 32 osoby. Wszyscy pracownicy Biura byli zatwierdzani przez Wydział Tajny WCzK i otrzymywali takie samo wynagrodzenie i taki sam miesięczny przydział żywności: taki sam jak miesięczna przesyłka żywnościowa dla osób osadzonych (pełnomocnik i jego zastępca przydziału nie otrzymywali).

W listopadzie 1920 roku Biuro obsługiwało osiem miejsc, w których przetrzymywani byli polscy jeńcy. Do marca 1921 roku liczba ta wzrosła do 22, a liczba przetrzymywanych tam cywilnych i wojskowych jeńców wynosiła około 4 tysięcy osób. Działalność Biura ograniczała się praktycznie do granic Moskwy i najbliższych okolic. Pieszkowa starała się rozszerzyć swoją działalność również na prowincję, ale te prace przebiegały powoli. Jedną z przyczyn był brak niezbędnego zapasu żywności. W styczniu 1921 roku kwestia zaopatrzenia w żywność została częściowo rozwiązana poprzez dostawy z Polski, która wysłała dwa wagony z rzeczami i artykułami żywnościowymi. Od marca 1921 roku zaczęły się powroty do ojczyzny polskich jeńców cywilnych i wojskowych. W pierwszej połowie marca do Polski przez Moskwę wyjechały dwa eszelony, w których łącznie było około tysiąca osób. 21 marca w gazecie „Izwestia” został opublikowany dekret Wszechzwiązkowego Centralnego Komitetu Wykonawczego, na mocy którego, zgodnie z porozumieniem pokojowym, wszyscy polscy obywatele mogli być wysłani do Polski.

Pracę Pieszkowej na prowincji utrudniał brak oficjalnego mandatu. Taki mandat z podpisem Dzierżyńskiego uzyskała 1 sierpnia 1921 roku. Stwierdzał on, że Pieszkowej „zezwała się bez przeszkód wizytować miejsca, w których znajdują się uwięzieni Polacy”. W celu podróży po kraju został jej przydzielony specjalny wagon. W tym momencie uzyskała prawo i możliwość wizytowania każdego miejsca w Rosji, w którym więzieni byli Polacy. Uzyskała prawo widzenia się z osobami, będącymi obywatelami Polski, w każdej sprawie, nie tylko politycznej. Uzyskała prawo udzielania pomocy obywatelom wszystkich bez wyjątku narodowości, którzy byli oskarżeni w „polskich sprawach”. Mogła też pomagać księżom katolickim wszystkich narodowości.

Już dwa tygodnie później udała się ze swą misją na Syberię. W ciągu dwóch lat zjeżdżała całą europejską Północ (Archangielsk, Chełmogory, Jarosław i inne) oraz odwiedziła Piotrogród. Jesienią 1924 roku przeprowadziła inspekcję więzień w Smoleńsku, Mohylowie, Witebsku, Mińsku i Homlu, a w lutym 1925 roku – miejsc przetrzymywania Polaków na Ukrainie.

Do 1925 roku proces repatriacji w zasadzie był zakończony. Za zasługi wobec Polski Pieszkowa otrzymała Odznakę Honorową Polskiego Czerwonego Krzyża.

Jednym z największych osiągnięć pełnomocników było przeprowadzenie wymian – masowych i indywidualnych. Dwa razy w roku Pieszkowa wyjeżdżała do Warszawy, gdzie wspólnie ze Stefanią Sempołowską ustalały listy wymiany i rozwiązywały inne problemy swojej pracy. Wyjazdy za granicę pomagały Pieszkowej zbierać środki dla więźniów w ZSRR, którym miała pomagać, kierując organizacją pomocy więźniom politycznym. Umożliwiono jej to w 1922 roku po zamknięciu Politycznego Czerwonego Krzyża. Najprawdopodobniej w uzyskaniu zezwolenia (podpisanego przez Józefa Unslichta) najistotniejszą rolę odegrała jej praca w Polskim Czerwonym Krzyżu, w której wyniku zdobyła szacunek i sympatię Polaków, którzy w owym czasie stali na czele OGPU³.

Sempołowska po zakończeniu wymiany jeńców wojennych opiekowała się więźniami politycznymi, spośród których większość stanowiły osoby oskarżone o szerzenie propagandy komunistycznej, jak również ukraińscy i białoruscy nacjonaści oraz osoby odbywające wyroki za szpiegostwo na korzyść ZSRR. Dość często przyjeżdżała do Moskwy. Utrzymywała przyjacielskie stosunki z Jeleną Stasową – przedstawicielką KC Międzynarodowej Organizacji Pomocy Rewolucjonistom (MOPR) i w czasie pobytów w Moskwie zatrzymywała się w jej znanym „domu na nabrzeżu”. Tam spotykała się z przebywającym na emigracji kierownictwem Komunistycznej Partii Polski.

Stefania Sempołowska cieszyła się poparciem Józefa Piłsudskiego. Poznali się w 1905 roku, kiedy to Piłsudski oskarżony o przynależność do partii eserów, został wtrącony do więzienia w Warszawie, gdzie był przetrzymywany w warunkach ścisłej izolacji. Spotkania z nim udawało się wywalczyć tylko energicznej Sempołowskiej. Po śmierci Piłsudskiego (1935 rok) jej sytuacja znacznie się skomplikowała. Defensywa

³ Zjednoczony Państwowy Zarząd Polityczny.



zarządziła całodobową jej obserwację, jej korespondencja była kontrolowana. W 1937 roku gwałtownie zaktywizowały się napaści szeregu prawicowych polskich organizacji na Biuro Sempołowskiej (znajdowało się ono bezpośrednio w jej mieszkaniu w centrum Warszawy, przy ul. Smolnej 6). Na wniosek rządu polskiego, zgodnego, *nota bene*, ze stanowiskiem rządu radzieckiego, od kwietnia 1937 roku Biura Pełnomocników Rosyjskiego i Polskiego Czerwonego Krzyża zostały zlikwidowane.

Wkrótce po zamknięciu Biura Pełnomocnika Polskiego Czerwonego Krzyża w ZSRR aresztowany został Michał Winawer, który miał polskie obywatelstwo. Został oskarżony o szpiegostwo na rzecz Polski i skazany na 10 lat zamknięcia w obozie koncentracyjnym. Z łagru już nie wrócił. Według dokumentów na początku 1942 roku został zwolniony z obozu na mocy amnestii jako obywatel Polski. 29 września 1942 roku zmarł.

Stefania Sempołowska (1869-1944) zmarła w okupowanej Warszawie. Jekatierina Pawłowna Pieszkowa dożyła czasów, kiedy władze rehabilitowały jej byłych podopiecznych (w przytłaczającej większości pośmiertnie). Tym, którzy pozostali przy życiu, pomagała przywrócić dobre imię.

■ Początek lat dziewięćdziesiątych. Badacze uzyskali dostęp do wielu archiwów, które wcześniej były utajnione, w tym również do archiwum Pełnomocnika Polskiego Czerwonego Krzyża w ZSRR. Zachowane dokumenty pozwalają ocenić, jak ogromnej liczbie Polaków, należących do bardzo różnych kategorii (w tym m.in. represjonowanym księżom katolickim różnych narodowości), udzieliła pomocy Pieszkowa i należycie ocenić działalność zarówno jej samej, jak i jej Biura.

Nie dysponujemy informacją odnośnie tego, czy zachowało się archiwum Biura Pełnomocnika Rosyjskiego Stowarzyszenia Czerwonego Krzyża w Polsce. Nazwisko Stefanii Sempołowskiej we współczesnej Rosji znają tylko nieliczni. Pieszkowa nie pozostawiła wspomnień; niektóre informacje o jej życiu można uzyskać z jej listów. Są w nich również wzmianki o spotkaniach z Sempołowską. Nie jest nam wiadomo, czy Stefania Sempołowska, która była również pisarką, pozostawiła wspomnienia o spotkaniach z Pieszkową.

Kilka lat temu nazwisko Sempołowskiej pojawiło się na łamach radzieckiej prasy. W grudniu 2002 roku w gazecie „Trud” zamieszczono wywiad z jednym z najstarszych czekistów, Borysem Gudziem. Wywiad zatytułowany był *Widziałem jak Dzierżyński całował damę w rękę*. Oto jego fragment: „Pewnego razu widziałem, jak na podeście drugiego piętra, koło windy, Dzierżyński witał damę – sądząc po stroju najwyraźniej nie-Rosjankę. I Feliks Edmundowicz witając się z nią – schylił się i ucałował ją w dłoń. Okazało się, że jest to polska arystokratka Sempołowska – działaczka społeczna z Czerwonego Krzyża, która przyjechała do Moskwy w sprawach, związanych z pomocą komunistom, aresztowanym w Polsce. A u nas, można by powiedzieć, że analogicznie, funkcjonowała Jekatierina Pawłowna Pieszkowa, która opiekowała się aresztowanymi Polakami w ZSRR”.

Na zakończenie chcę jeszcze opowiedzieć o scenie, zapamiętanej z dzieciństwa przez wnuczkę Jekatieriny Pawłowny, Martę Maksimownę Pieszkową. Będąc w Warszawie (najprawdopodobniej było to jesienią 1931 roku), Jekatierina Pawłowna wraz z Martą przyszła do pani Sempołowskiej, do jej mieszkania, które zaskoczyło małą Martę swoją oryginalnością. Jekatierina Pawłowna zaparzyła kawę według własnej receptury i obie panie (nazwisko Sempołowskiej trwale zapadło w pamięci Marty) siedziały przy stole, piły kawę i omawiały swoje sprawy.

2008, nr 6

Thum. Stanisław Filipczak



Galina Kornilowa

POLSKA BABCIA ROSYJSKIEGO PISARZA



Konstanty Paustowski

Opowieść o życiu Konstantego Paustowskiego jest jego autobiografią. Czytelnik odkrywa w niej jedną dziwną sprawę. Autor bardzo mało miejsca poświęca swojej najbliższej rodzinie – ojcu, matce, braciom i siostrze. W prywatnym archiwum pisarza nie znajdzie się ani jednej fotografii ojca – Georgija Maksimowicza. Wiadomości na temat matki, jej charakteru oraz poglądów na życie, otrzymujemy głównie z przytoczonych listów do syna, w których z żelazną konsekwencją czyni mu wymówki, że wybrał „nikczemny” zawód pisarza.

Za to mnóstwo rozdziałów w *Opowieści o życiu* poświęca on innym krewnym – polskiej babci, jej synom i córkom, mieszkającym w Czerkasach nad Dnieprem.

Najważniejszą osobą dla Paustowskiego jest babcia – Wikentia Iwanowna Wysoczańska, postać niebanalna, obdarzona wieloma talentami. To właśnie ona wywarła ogromny wpływ początkowo na pozbawione prawdziwej rodzicielskiej miłości dziecko, w późniejszych latach – na szukającego własnej drogi życiowej młodzieńca.

Godny uwagi jest już wygląd zewnętrzny babci, opisany przez Paustowskiego: „Wikentia Iwanowna zawsze chodziła w żałobie i czarnym

czepku. Żałobę nałożyła po upadku powstania styczniowego i od tamtej pory nigdy jej nie zdejmowała”.

Jednak nie patrząc na żałobne szaty, w domu Wysoczańskich rządziła radosna młodzież. Przecież babcia wychowała trzech synów i pięć córek! Wesoło w domu stało się zwłaszcza wtedy, gdy przyjeżdżała młodsza córka Wysoczańskich – Nadia – studentka moskiewskiego konserwatorium, śpiewaczka i ślicznotka, a w ślad za nią, z Petersburga, jej brat – junkier Nikołaj.

W tej przyjaznej i utalentowanej rodzinie Kostka ugaszczano i rozpieszczano tak, jak tylko to możliwe. Wikentia Iwanowna była doskonałą kucharką. Przyszły pisarz na całe życie zapamiętał baby, jakie mistrzowsko wypiekała na Wielkanoc, i mnóstwo najróżniejszych „mazurków” – suchych ciast z rodzynkami i migdałami.

Pośród wielu talentów babci należy też podziwiać jej rękę do kwiatów – przez całą zimę w domu kwitły oleandry i fuksje, a latem jej ogród wypełniał takie mnóstwo kwiatów, że wyglądał jak olbrzymi bukiet.

„Babciny ogród – pisze Paustowski – i te wszystkie kwiaty z niezwykłą siłą oddziaływały na moją wyobraźnię. Może to właśnie w tym ogrodzie rodziło się we mnie pragnienie podróży”.

Osobiście mogę zaświadczyć, że kiedy w 1961 roku poznałam Konstantego Georgiewicza Paustowskiego, byłam zdumiona jego ogromną wiedzą na temat wszelkich możliwych roślin. Młodzi pisarze, spacerujący wraz z nim znaną Carską Drogą w Jałcie, co i raz prosili, żeby podał im nazwę jakiejś rosnącej tam rzadkiej roślinki – czy to kwiatka, czy krzewu – i za każdym razem otrzymywaliśmy odpowiedź, bez zastanowienia i pomyłki.

O głębokim zainteresowaniu i miłości do botaniki świadczy również fakt, że w Tarusie, na stole, przy którym pracował, zawsze leżała opasła książka, zatytułowana *Klucz do oznaczania roślin*.

Jednak wpływ Wikentii Iwanowny na wnuka, mający swe konsekwencje dla całego dalszego życia pisarza, nie kończył się na ukochaniu natury. „Babcia – pisze Paustowski – była bardzo odczytana. Religijność zadziwiająco przeplatała się w niej z postępowymi ideami. Zachwycała się Hercenem i równocześnie Sienkiewiczem. Portrety Puszkina i Mickiewicza zawsze wisały w jej pokoju obok obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej. Podczas rewolucji 1905 roku ukrywała studentów-rewolucjonistów, a w czasie pogromów – Żydów.”



Przyszły pisarz nie znajdował oparcia w swojej najbliższej rodzinie, wstrząsanej wciąż awanturami między ojcem a matką. Potem, kiedy ojciec ostatecznie porzucił rodzinę, matka doszła do wniosku, że nie da rady utrzymać syna; zatrzymała przy sobie córkę, Kostka zaś wysłała do Wysoczańskich, wiedząc, że zostanie tam przyjęty z otwartymi ramionami. I choć taka decyzja matki wywołała u подростка traumę, to pobyt między ludźmi, którzy go kochali, a przede wszystkim zawsze starali się zrozumieć, okazał się dla chłopca błogosławieństwem.

Wikentia Iwanowna dbała nie tylko o to, żeby Kostek był zawsze najedzony i zdrowy. Od najmłodszych lat wywierała na niego silny moralny i duchowy wpływ. Na przykład razem z babcią, tylko we dwoje, postanowili pielgrzymować do znanych klasztorów; zwiedzili Wilno, gdzie uczestniczyli w nabożeństwie w kaplicy Matki Boskiej Ostrobramskiej, byli w Warszawie (z której wówczas Kostek zapamiętał tylko pomnik Kopernika i „kawiarnię”, w których babcia ugaszczala go „przewróconą kawą”). Pojechali do Częstochowy, żeby obejrzeć klasztor na Jasnej Górze z cudownym obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej.

Najważniejsze wydarzenia w życiu Kostka Paustowskiego odbywały się z udziałem babci Wikentii Iwanowny. Jak choćby rozpoczęcie szkolnej edukacji – drżącego ze strachu chłopca szykowano do klasy wstępnej gimnazjum. „Babcia Wikentia Iwanowna w tym czasie przebywała u nas w Kijowie. Przeżegnała mnie i powiesiła na szyi krzyżyk na chłodnym łańcuszku. Trzęsącymi się rękami rozpięła kołnierzyk mojego czarnego mundurka, wsunęła krzyżyk pod koszulę, odwróciła się i przycisnęła chusteczkę do ust.

– No, idź, – powiedziała i lekko mnie odsunęła, – Bądź mądry, ucz się!”

Po kilku latach, będąc już uczniem wyższych klas gimnazjum, Paustowski znowu mieszkał z babcią. Tym razem w domu należącym do jednej z córek Wikentii Iwanowny, również w Kijowie. To w tym czasie najpełniej pojął, kim była dla niego babcia.

„Przyjaźniłem się z babcią, – przyznaje Paustowski. – Kochałem ją najbardziej z całej rodziny. A ona odpowiadała mi tym samym.”

Akurat w tym czasie napisał swoje pierwsze opowiadanie; zaniósł je z trwogą w sercu do redakcji gazety o dziwnym tytule „Rycerz” – z niecierpliwością i strachem czekał na odpowiedź. A kiedy opowiadanie ukazało się drukiem, szczęście Wikentii Iwanowny nie miało granic.

„Ona cieszyła się z mojego pierwszego opowiadania bardziej niż ja” – zaświadcza wnuk.

Z okazji takiego wydarzenia babcia wydała uroczyste śniadanie, ze swoimi słynnymi „mazurkami”, włożyła czarną, jedwabną suknię, w której chodziła jedynie w czasie Wielkanocy.

„Widać Bóg zmiłował się nade mną, – powiedziała – i dał mi na ostatek taką radość. [...] Jej czarne oczy śmiały się, kiedy patrzyła na mnie.”

Krytycy piszący o twórczości Konstantego Paustowskiego zgodni byli co do jednego: krajobrazy, przyroda opisywane w jego utworach niezmiennie zachwycają swoją zapierającą dech urodą, delikatnym pięknem, żywymi barwami. Ale nikt do tej pory nie zauważył, że takim pełnym zachwyty stosunkiem do żywego świata istniejącego dokoła nas zaraziła go (w niemałym stopniu) niezwykła kobieta – Wikentia Iwanowna Wysoczańska.

Zresztą sam pisarz o tym wspomina:

„Już wtedy, gdy byłem małym chłopcem, lubiłem ogrody, drzewa. Nie łamałem gałązek, nie niszczyłem ptasich gniazd. Może dlatego, że babcia Wikentia Iwanowna zawsze mi powtarzała, że świat jest cudem i człowiek powinien w nim żyć i pracować jak w wielkim ogrodzie”.

...Długie lata na cmentarzu w Tarusie leżał duży kamień, na którym wryto imię i nazwisko pisarza. Jednak nie tak dawno nad grobem Paustowskiego stanął duży drewniany krzyż. Czytelnikom jego książek będzie on zawsze przypominał ten maleńki krzyżyk na chłodnym łańcuszku, który założyły na szyję przestraszonego „wstępniaka” ręce jego ukochanej babci.

2005, nr 2
Tłum. Hanna Miązek

Galina Kornilowa, prozaik, redaktor naczelny czasopisma „Mir Paustowskowo”



Żanna Słoniowska

POLSKI ŚWIAT ROSYJSKICH PISARZY

*Jeśli do Was, z daleka, od wolnych narodów
Aż na północ zalecą te pieśni żalodne
I odezwą się z góry nad krainą lodów, –
Niech wam zwiastują wolność, jak żurawie wiosnę.*

Wiersz Adama Mickiewicza *Do przyjaciół Moskali* w rosyjskim przekładzie Anatolija Winogradowa otwiera numer czasopisma „Świat Paustowskiego” poświęcony polskim wątkom w życiu i twórczości znanych rosyjskich pisarzy, a także polsko-rosyjskim więziom kulturalnym.

Wspomnieniowy szkic Paustowskiego *Trzecie spotkanie* świadczy o tym, że Polska kojarzyła mu się z postacią pięknej dziewczyny. Ukazuje się jako jasnowłosa dziewczyna, której „zmieszany uśmiech zdawał mi się ucieleśnieniem całego miłego kraju”, jako dziewczyna w zabytkowym gdańskim kościele „najlepszego ucieleśnienia delikatności i wrażliwości polskich kobiet. Powiadają, że nic nie może się z nią równać”. Polska dla Paustowskiego to również jego babcia, Wikentia Iwanowna Wysoczańska, o której możemy przeczytać w artykule redaktor naczelnej czasopisma i redaktor odpowiedzialnej za to wydanie – Galiny Korniłowej. Rodzice przyszłego pisarza porzucili go, i jedynie babcia – Polka, nosząca do końca życia żałobę po upadku powstania styczniowego, okazała się najbliższą mu krewną. Do Polski przyjechał po raz pierwszy dzięki babci; podróż do Warszawy, Wilna i Częstochowy zapamiętał do końca życia.

Konstanty Paustowski był człowiekiem pogranicza. „Mogę twierdzić, nie obawiając się omyłki, że Iwaszkiewicz doświadczył tego samego wpływu trzech kultur, jaki stał się udziałem i moim, i nas wszystkich – kijowian – kultury rosyjskiej, ukraińskiej i polskiej...” – pisał. Z Jarosławem Iwaszkiewiczem nie chodził do jednej klasy, jak powszechnie twierdzono. W tym samym okresie uczyli się w różnych kijowskich gimnazjach. Poznali się bliżej dopiero jako ludzie dorośli. Paustowski nieraz podkreślał, że warto byłoby zbadać fenomen kijowskich gimnazjów początku XX wieku. Ich mury opuścili: Jan Parandowski, Jan Brzechwa, Michaił Bułhakow, Borys Latoszyński i wielu innych pisarzy, poetów, muzyków. Być może to marzenie Paustowskiego spełni współczesna publikacja Mariusza Korzeniowskiego *Za Złotą Bramą*. Działalność społeczno-kulturalna Polaków w Kijowie w latach 1905-1920 nominowana do nagrody Jana Długosza w 2010 roku. Polacy uczący się w tym czasie w Kijowie to dzieci inżynierów, pracowników różnych zakładów rozsiąanych po prawobrzeżnej Ukrainie lub zarządzających wielkimi polskimi majątkami. Jarosław Iwaszkiewicz urodził się w rodzinie pracownika cukrowni znajdującej się w okolicach Winnicy. Polski pisarz nieraz próbował znaleźć odpowiedź na pytanie, dlaczego właśnie twórczość Paustowskiego, a nie innych, może nawet bardziej znanych rosyjskich pisarzy okresu radzieckiego jest tak bliska sercu polskiego czytelnika. Według Iwaszkiewicza czar Paustowskiego kryje się w wyjątkowo osobistym stosunku pisarza do przyrody i człowieka, a w jego prostych, bardzo oszczędnych słowach kryje się niebywała plastyczność opisów. Nie potrzebuje wielu słów, żeby opisać ludzi, krajobraz lub ulubione zwierzęta.

W książce *Dalekie lata* Konstanty Paustowski wspomina młodzieńczą przyjaźń z Tadeuszem Ficowskim, ojcem poety – Jerzego Ficowskiego. Tadeusz był świadkiem „przyjścia na świat” pierwszej publikacji Kostka. Niestety, w dorosłym wieku kontakty między nimi urwały się, nie tylko osobiste, ale nawet i korespondencyjne. Jerzy Ficowski z żalem wspominał wieloletnie bezowocne poszukiwania prowadzone zarówno przez jego ojca, jak i niego samego, i o tym, jak w końcu wszystkie próby nawiązania kontaktu spęłzyły na niczym.

Ze stron książek Andrzeja Drawicza wyłania się postać Paustowskiego – niezmordowanego włóczęgi, od najmłodszych lat przemierzającego miasta i wioski Rosji, Ukrainy, Litwy, Gruzji – całego dawnego ZSRR, później również i Europy Zachodniej. Paustowski zmieniał zawody jak przysłowiowe rękawiczki – był korepetytorem, konduktorem, motorniczym, sanitariuszem, dziennikarzem, redaktorem. Ale zawsze i wszędzie pamiętał o Polsce i polskiej kulturze. „Wszystko w Polsce było prawdziwe – pisał. – Ale trzeba było wnikać głębiej, a wtedy to, co było realne, zaczynało obierać cechami baśni”. Ta czarowna baśń całe życie ożywiała wyobraźnię i zapierała pisarzowi dech w piersiach. Polska, ucieleśniona w obrazie delikatnej, kochającej, ale nieuchwytniej dziewczyny, była nieśmiertelną muzą Paustowskiego.



W jednym z działów czasopisma „Świat Paustowskiego” – *Polsko-rosyjskie stosunki kulturalne* – warto przeczytać esej Jarosława Iwaszkiewicza o Aleksandrze Błoku. Wyłania się tam postać ojca poety, ponurego i tajemniczego profesora Uniwersytetu Warszawskiego, wspaniałego pianisty. Znajduje się tu również wprowadzenie do książki *Dziennik 1920 roku* Izaaka Babla pióra polskiego pisarza i tłumacza Jerzego Pomianowskiego oraz opis przyjazdu Herberta Wellesa do głodnego i straszego Piotrogradu lat dwudziestych.

Na szczególną uwagę zasługuje obszerny dział zatytułowany *Na rozdrożach historii*. Warto przeczytać choćby fragmenty książki rosyjskiego emigracyjnego pisarza Romana Gula *Dzierżyński* z nowymi szczegółami biografii „żelaznego Feliksa”. Na przykład taki:

„Na zebraniach u Lenina istniał jeszcze zwyczaj porozumiewania się za pomocą krótkich notatek. Tym razem kolejną notatkę otrzymał Dzierżyński: «Ilu niebezpiecznych kontrrewolucjonistów jest w naszych więzieniach?». W odpowiedzi Dzierżyński przekazał notatkę Leninowi: «Okolo 1500». Lenin przeczytał, chrząknął, postawił obok cyfry krzyż i zwrócił ją Dzierżyńskiemu [...] Dzierżyński wstał i, jak to miał w zwyczaju, nie patrząc na nikogo wyszedł z zebrania [...] Okazało się, że Dzierżyński ich wszystkich «około 1500 niebezpiecznych kontrrewolucjonistów» jeszcze tej samej nocy rozstrzelał, ponieważ «krzyż» Lenina odczytał jako polecenie.”

Według mnie najważniejszymi tekstami tego działu są – szkic Bułata Okudźawy *Nieoczekiwana radość* i wspomnienia Ksawerego Pruszyńskiego *Noc na Kremlu*.

Pierwszy tekst, głęboko osobisty, poświęcony jest matce poety, która powróciła do domu w 1947 roku po dziesięciu latach spędzonych w obozie i w 1949 roku znowu została aresztowana. Historia podobna do miliona innych i może właśnie dlatego tak istotna. „Od tej pory zacząłem już co nieco rozumieć, jakaś nieśmiała analiza zaczęła kształtować się w mojej otumanionej głowie, rodziły się gorzkie pytania: Za co? Dlaczego? Po co?” – wspomina Okudźawa. Nagle matka znowu wsiada do aresztanckiego wagonu. Dowódca strażników, po otrzymaniu łapówki, pozwala bliskim podać jej tylko stary czajnik. Krewni cieszą się z tego niebywałego sukcesu – a po latach okazuje się, że czajnik jednak do niej nie dotarł. Przez niedopatrznie? Złośliwość? Chciwość? Nie wiadomo. Zaginiony czajnik symbolizuje wszystkie szczeble absurdów radzieckiego ustroju.

Drugi materiał, autorstwa Ksawerego Pruszyńskiego, opisuje historyczny dla Polaków wieczór 3 grudnia 1941 roku, kiedy na Kremlu został podpisany dokument o utworzeniu polskiej armii pod dowództwem generała Andersa. Pruszyński jest dociekliwym obserwatorem – zatrzymuje się na rzeczach pozornie drugoplanowych: na złocie i bieli kremłowskich ścian, szczegółach luksusowego menu, kroju ubioru Stalina. Huk faszystowskich dział wstrząsa ścianami Kremla, Władimir Mołotow przekonuje polskich gości, że pakt Ribbentrop-Mołotow w gruncie rzeczy nie był zły, a Stalin cynicznie obiecuje im, że elita przedwojennego polskiego wojska, już dawno rozstrzelana w Katyniu, wkrótce powróci z obozów. Komentując tekst Pruszyńskiego, Galina Korniłowa załącza stenogram rozmowy „wielkiego wodza” z wysoko postawionymi gośćmi z Polski.

Tom zaznajamia rosyjskich czytelników z fragmentami współczesnej prozy polskiej autorstwa Ryszarda Kapuścińskiego, Marka Nowakowskiego, Pawła Huelle, Jana Himilbacha, Macieja Malickiego, a także z polską poezją. Wiersze Wisławy Szymborskiej, Juliana Przybosia, Czesława Miłosza i wielu innych można przeczytać we wspaniałych przekładach Anny Achmatowej, Maryny Cwietajewej, Josifa Brodskiego i Natalii Gorbaniewskiej.

Wybór wierszy poetów rosyjskich piszących o Polsce układa się w swojego rodzaju „hymn miłości”. Wypada przytoczyć tu choć fragmentarycznie ten przepiękny wielogłos:

„Warszawo, ja ciebie kocham łatwo, smutno i na wieki” – przekonuje Bułat Okudźawa.

„I wtedy zakochałam się w obcych wierszach, szeleszczących tak, że inni krzywili się: «Syczenie»...” – przyznaje się Natalia Gorbaniewska.

„Tutaj cicho, tutaj każdy ból ucicha” – pisze o Krakowie Anna Stremińska-Bożko.

„Twoich słów, mój ukochany kraju, muszę się uczyć na nowo” – wspomina Natalia Astafiewa.

„...Pradze – brawa! A Warszawie – miłość” – kategorycznie stwierdza Władimir Korniłow.

Polski numer almanachu „Świat Paustowskiego” zawiera eseje i prace naukowe, poezję i prozę, ogólnie 170 stron znakomitych tekstów. W pewnym sensie jest to minicyklopedia stosunków polsko-rosyjskich.

2011, nr 2
Tłum. Hanna Miązek



Anna Griszyńska

MARIA KOSZUTSKA. LATA OPORU

Świetlanej pamięci niezapomnianej
Celiny Budzyńskiej, od której
po raz pierwszy usłyszałam
imię Marii Koszutkiej



„...Przeprowadzono postępowanie sprawdzające i ustalono, że Kostrzewa była aresztowana wraz z innymi polskimi emigrantami politycznymi na podstawie zbrodniczej dyrektywy wroga ludu Jeżowa, zgodnie z którą aresztowano **wszystkich** [podkreślenie moje – A.G.] Polaków, przybyłych do ZSRR z Polski, nie zważając na brak jakichkolwiek materiałów świadczących o ich wrogiej działalności. Wobec osób aresztowanych na podstawie tej dyrektywy stosowano metody przymusu fizycznego i w ten sposób wymuszali od nich wymyślone zeznania.”

Z oświadczenia zastępcy naczelnika I sekcji I wydziału Biura Śledczego KGB
przy Radzie Ministrów ZSRR majora Popowa
podczas procesu rehabilitacyjnego Kostrzewy Wery Karłowny.
9 marca 1955 r.

■
Uważałam za niezbędne rozpocząć od tak długiego wstępu, dlatego że w innym przypadku nie mogłabym powoływać się na obciążające ją zeznania jej towarzyszy (a także innych osób). Oczywiście, obecnie wszyscy już wiedzą, że NKWD/KGB praktykowało tortury, jednak ten fragment, z bardzo wczesnej, a może nawet pierwszej, oficjalnej sprawy rehabilitacyjnej członka KPP, zawierający potwierdzenie tego faktu, jak również słowa „wszyscy Polacy, którzy przybyli do ZSRR”, wciąż wywołuje mocne wrażenie.

■
W grudniu 1993 roku do Sekcji Polskiej Stowarzyszenia „Memoriał” wpłynął list od pani Olgi Koszutkiej z prośbą o „zbadać sprawę i przekazanie wszystkich informacji wraz z datą śmierci i miejscem pochówku mojej krewnej Marii Koszutkiej (pseudonim partyjny Wera Kostrzewa)”.

Zajęłam się więc poszukiwaniem akt śledztwa w sprawie Marii Koszutkiej – Wery Kostrzewy. Trwało to całe długie dwa lata. Kontaktowałam się z różnymi urzędami, które powinny je posiadać (i które, jak się dużo później okazało, posiadały), ale zewsząd padała jednobrzmiąca odpowiedź, że „żadnych dokumentów dotyczących aresztowania, procesu sądowego oraz żadnej wiedzy na temat ewentualnego miejsca przechowywania materiałów archiwalnych dotyczących sprawy Koszutkiej (Kostrzewy) Marii Karłowny nie posiadają”. Dopiero w końcu 1995 roku otrzymałam dobrą wiadomość: Archiwum Białoruskiego Sądu Federacyjnego poinformowało mnie, że akta sprawy znajdują się u nich. Początkowo dotarł do mnie wyciąg z akt, zawierający jedynie kilka zdań. W tym czasie jednak dysponowałam już upoważnieniem Olgi Koszutkiej do wglądu w pełną dokumentację, w związku z czym, powołując się na artykuł 11 Ustawy „O rehabilitacji ofiar represji politycznych” z 18 października 1991 roku, zażądałam okazania mi całości akt sprawy. Tak też się stało. Akta otrzymałam, nauczyłam się ich prawie na pamięć i w znacznym stopniu przepisałam ręcznie (krewni mogą otrzymać kserokopie, ale tylko oficjalnych materiałów śledztwa, bez protokołów zeznań świadków i protokołów konfrontacji). Niestety, nie mogłam przeczytać wszystkich stron akt, ponieważ zostały one przede mną „zakryte”, a dokładnie – zaszyte grubymi białymi nićmi. A było ich niemało! Sprawa została mi wyjaśniona następująco: dotyczyły one „działalności szpiegowskiej” Koszutkiej,



w czasach gdy była pracownikiem Kominternu. Tak, tak – znowu wątek szpiegowski, podobnie jak w akcie oskarżenia, ale wówczas – w 1937 roku – obwiniano ją o działalność na rzecz „Dwójki”, czyli II Oddziału Sztabu Generalnego Wojska Polskiego.

Pierwszy raz o Marii Koszutskiej usłyszałam w 1990 roku w Warszawie, od pani Celiny Budzyńskiej. Później nieraz nazwisko to przewijało się w rozmowach z różnymi osobami. Dziwiło mnie, że w ówczesnej, skrajnie antykomunistycznej Polsce ludzie, którzy o niej opowiadali (niektórzy z nich rzucili legitymacje partyjne w dniu wprowadzenia w Polsce stanu wojennego 13 grudnia 1981 roku), wspominali Marię Koszutką, wieloletniego członka Biura Politycznego przedwojennej Komunistycznej Partii Polski, nie tylko z szacunkiem, ale wręcz z zachwytem. Opowiadano mi o niej legendy – to znaczy mnie, moskwiżance, wydawało się, że są to legendy.

Czytając oskarżenia, zawarte w aktach śledztwa prowadzonego przeciwko Marii Koszutskiej, jakie kierowali pod jej adresem towarzysze partyjni (przypominam wstęp do materiału), zorientowałam się, że tkwi w nich żdźbło prawdy. Kłamstwem absolutnym, pełną fantasmagorią jest oczywiście główny wątek oskarżenia – jej związki z POW, Polską Organizacją Wojskową, utworzoną przez Piłsudskiego w 1914 roku, która działała na terytorium Polski aż do odzyskania niepodległości, a na terenie Rosji Radzieckiej prawdopodobnie do 1921 lub 1922 roku.

Sprawa POW – fałszywka stworzona przez NKWD w latach trzydziestych – była podstawą do aresztowania i rozstrzelania tysięcy Polaków (lub ludzi z Polską związanych) z całego terytorium ZSRR, w tym wszystkich komunistów, którzy imigrowali tu z Polski. Ta sprawa jest doskonale znana. Niczego specjalnie nowego śledztwo przeciwko Marii Koszutskiej do niej nie wniosło, jeżeli nie liczyć znacznej liczby wspomnianych nazwisk oraz okoliczności, w jakich zostali oni „zwerbowani” i w jakich działali. O „sprawie POW” pisano już m.in. w „Karcie” („Karta” nr 11/1993), a więc nie będę się tu powtarzać.

W Polsce wydano wiele książek o Marii Koszutskiej, głównie w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych (nie zapominając o komunistycznych wydawnictwach z lat dwudziestych i trzydziestych, w których znalazły się jej artykuły i niektóre przemówienia). Przywołam tu dwie nowsze pozycje: Maria Koszutska, *Pisma i przemówienia*, t. 1-3, wyd. Warszawa 1962 oraz Janina Kasprzakowa, *Maria Koszutska*, Warszawa 1988.

Kasprzakowa wykorzystuje wiele dokumentów z archiwum KC PZPR; są to głównie kopie dokumentów ze zbiorów Kominternu, które na prośbę KC PZPR zostały przekazane stronie polskiej w 1957 roku. Źródła dokumentów wykorzystanych przeze mnie są znacznie bardziej zróżnicowane – już po wydaniu książki ujawniono nowe materiały źródłowe; przeanalizowałam szereg dokumentów pisanych po rosyjsku – a więc w języku będącym urzędowym językiem Kominternu, do swojego artykułu ściągałam nie tylko przemówienia i wypowiedzi Marii Koszutskiej, ale i rozliczne oświadczenia, tezy, przemówienia i artykuły jej przeciwników, których w swoim życiu miała wielu.

Nigdy nie myślałam, że kiedykolwiek będę musiała tak naukowo, w oparciu o liczne dokumenty, podchodzić do historii KPP. Powtórzę jeszcze raz – czytając akta tej sprawy, zrozumiałam, że nie wszystko jest fałszywką. Dokładnie rzecz biorąc – fałszywką jest sposób wykorzystania faktów, ich interpretacja, natomiast same fakty są prawdziwe. Szczególnie ujawniło się to w obszernych zeznaniach Wiktora Bertyńskiego (Żytlowskiego) z 1 sierpnia 1937 roku (wyciąg z protokołu zeznań). Przedstawiając główne fakty z historii KPP od chwili jej powstania do 1936 roku (niekiedy myląc daty wydarzeń i kolejność faktów), Bertyński przypisuje Marii Koszutskiej i niektórym jej partyjnym kolegom to, co wtedy – w 1937 roku – było strasznym obwinieniem, a obecnie wspomina się z ciekawością i szacunkiem, czyli nieustanne przeciwstawianie się dyktatowi Kominternu (Zinowiewowi, Bucharinowi i Stalinowi) oraz wytycznym, będącym w coraz większej sprzeczności z ich własnymi poglądami. Po to, żeby zrozumieć, o co w tym wszystkim w końcu rzeczywiście chodzi, musiałam zająć się historią KPP, co równało się konieczności dokładnego przejrzania setek teczek z dokumentami.

Zresztą, to, czym się zajmowałam, to nie tylko historia KPP i w ogóle Polski, ale i historia ZSRR. W 1930 roku w niepodległej Polsce było 3310 członków KPP, w zachodniej Ukrainie i zachodniej Białorusi – około 2 tysięcy. Stanowi to niewielki ułamek mieszkańców kraju. Wpływ KPP bazował oczywiście na wpływach ZSRR, a historyczna ewolucja KPP kształtowała się zgodnie z ewolucją ZSRR i światowego ruchu komunistycznego w kierunku totalitaryzmu. Właśnie temu starała się przeciwstawić Maria Koszutska, jednak bez powodzenia.



Maria Koszutska urodziła się w 1879 roku w majątku swojego ojca w Głównicy koło Kalisza. Już to zwykłe zdanie wymaga komentarza. Dobrze wiem, że w 1976 roku obchodzono 100. rocznicę jej urodzin, opublikowano kilka artykułów na jej temat w różnych czasopismach. W liście Olgi Koszutskiej również podana była data urodzin 2 lutego 1876. Ale mam przed sobą dwa osobiste dokumenty Marii Koszutskiej – jeden to rękopis autobiografii napisanej 10 kwietnia 1925 roku, drugi to ankieta aresztowanego znajdująca się w aktach śledztwa z 1937 roku. Autobiografia zaczyna się słowami: „Urodziłam się w 1879 roku”, w ankiecie na pytanie „rok urodzenia” pada odpowiedź „1879”. O co tu chodzi? Kobieta chce być młodszą? Kominternowska konspiracja? Wera Kostrzewa nie powinna urodzić się w jednym roku z Marią Koszutką? Najwidoczniej tak.

Córka niebogatego ziemianina pierwsze lata spędziła w ojcowskim majątku, później została oddana na, bardzo znaną w Warszawie, pensję Henryki Czernickiej, po jej ukończeniu kontynuowała naukę na rocznym kursie pedagogicznym na Sorbonie. Dyplom, który zdobyła, dał jej uprawnienia nauczycielki szkolnej. Po powrocie do Polski zamieszkała w Łodzi – mieście polskiego kapitalizmu, gdzie najłatwiej było zobaczyć bogactwo jednych i nędzę drugich, jak również przesiąknąć ideami socjalizmu. Maria Koszutska całe swoje życie poświęciła propagowaniu ich oraz walce z wypaczeniami i fałszowaniem ideologii socjalistycznej.

Jej pedagogiczna i rewolucyjna działalność zaczęły się równocześnie – w 1900 roku. Jesienią 1902 roku została dyrektorką szkoły w Łodzi i w tym samym roku członkiem PPS. Młoda, dobrze wychowana, wykształcona i bardzo ładna dziewczyna (o czym mówią ci, którzy ją znali, i widać to również na zdjęciach), córka polskiego ziemianina, wstąpiła na tę drogę, która na przestrzeni wieków urzekała i przyciągała licznych przedstawicieli polskiej i rosyjskiej inteligencji, młodzieży, także szlacheckiej. Prawie od razu rozpoczęły się represje. Pierwszy raz została aresztowana w początkach 1903 roku i zwolniona za kaucją. Kontynuowała socjalistyczną działalność (pracowała we wsiach pod Warszawą) i znowu w 1904 została aresztowana, ale tym razem otrzymała wyrok zesłania na 3 lata na teren guberni archangielskiej, gdzie zamieszkała w Chołmogorach (w dokumencie urzędu żandarmerii guberni archangielskiej zanotowano: „Na podstawie Najwyższego rozkazu 28 kwietnia 1904 r.”). W moim posiadaniu znajdują się kopie dwóch dokumentów, przechowywanych obecnie w Państwowym Archiwum Obwodu Archangielskiego, potwierdzające te informacje.¹

W Chołmogorach Koszutska niedługo pomieszkała. Już jesienią 1904 roku udało jej się zbiec. Tak zaczęło się jej nielegalne życie zawodowego rewolucjonisty. Członek Warszawskiego Komitetu PPS, w początkach 1906 roku znowu została aresztowana, zwolniona za kaucją – a jej sprawę przekazano do Sądu Wojskowego. Aktywnie walczyła o utworzenie PPS-Lewicy, po rozłamie została członkiem komitetów okręgowych w Łodzi i w Rejonie Dąbrowskim, a od końca 1907 roku – członkiem CK PPS-Lewicy. W zaborze rosyjskim przebywać już nie mogła, dlatego od 1908 roku mieszkała w Krakowie i w Wiedniu. Zajmowała ją praca redakcyjna i kierowanie Biurem Zagranicznym CK PPS-Lewicy. Krótko przebywała w Rosji (rok 1912). Znowu Kraków, po wybuchu wojny praca w rejonie dąbrowskim i w Łodzi oraz – nielegalnie – w Warszawie.

Niepodległość Polski przyjęła radośnie, zawsze pozostawała wierna idei niepodległej Polski, czemu wielokrotnie dawała wyraz w swoich artykułach. Za to właśnie bez końca była łżona, oskarżana to o „pepesowski narodowy kretynizm”, to o „wielkomocarstwowy szowinizm”. Jej przeciwnicy uważali, że sprawa narodowa dla komunistów to część pytania o władzę – jakie poglądy są w danej chwili korzystne dla przejęcia władzy – tych trzeba się trzymać. Takie działanie nazywało się – jak wiadomo – „pryncypiami bolszewickiej celowości”. Koszutska starała się trzymać od tego z daleka.

W końcu 1918 roku Maria Koszutska była członkiem Komisji do opracowania politycznych podstaw działania KPRP, aktywnie pracowała na rzecz zjednoczenia PPS-Lewicy i SDKPiL i utworzenia jednej partii komunistycznej. Na I Zjednoczeniowym Zjeździe KPRP w grudniu 1918 roku została wybrana na członka KC tej partii.

Rozpoczął się okres komunistycznej działalności partyjnej, redakcyjnej i teoretycznej – do 1921 roku w Warszawie (w styczniu 1920 została aresztowana przez władze niepodległej Polski, wolność odzyskała w grudniu 1920), później przede wszystkim działała za granicą. Po IV Kongresie Kominternu (1922) została przedstawicielem KPRP przy Komitecie Wykonawczym Kominternu.

Te pięć lat jej życia – od I do II Zjazdu KPRP – to okres, kiedy mogła jeszcze swobodnie, bez ponoszenia konsekwencji, wygłaszać swoje poglądy i wykorzystywać je w praktycznej działalności. Kulminacją

¹ Składam podziękowania dyrektorowi Archiwum w Archangielsku W.A. Mitinowi za przysłanie mi tych dokumentów.



tego okresu, a może także całego jej życia, był II Zjazd KPRP, odbywający się w miejscowości Bolszewo pod Moskwą od 19 września do 2 października 1923 roku. Pracami zjazdu kierował ówczesny CK KPRP – Koszutska, Warski, Brand (Henryk Lazur²), Próchniak. W oficjalnych dokumentach zjazdu Marii Koszutskiej i jej towarzyszom udało się przedstawić własne poglądy na temat głównych zadań i działalności KPRP (taktyka wspólnego frontu, sposoby rozwiązywania kwestii narodowej i chłopskiej). Tych poglądów nie wybaczone im do końca ich życia.

Wyjeżdżając z Polski w końcu 1921 roku, Koszutska nie przypuszczała nawet, że opuszcza ojczyznę na zawsze. Zostając w 1922 roku pracownikiem Kominternu, zmieniła swoje nazwisko na dwa pseudonimy – Wera i Kostrzewa, które później stały się jednym: Wera Kostrzewa.

Od chwili przyjazdu Koszutskiej do Moskwy i rozpoczęcia pracy w Komitecie Wykonawczym Kominternu ujawniła się rozbieżność między jej poglądami a oficjalną polityką KPR(b) i Kominternu. Już w 1922 roku napisała do swoich towarzyszy w Polsce o „terrorze” w Kominternie³. Listy, wyrażające jej odmienne poglądy, znalazłam w archiwach Kominternu. Czy dotarły do adresatów w Polsce – nie wiem. Niedawno przeczytałam w niepublikowanych jeszcze wspomnieniach historyk Koki Aleksandrowny Antonowej: „z początku mama (jej matka Sofia Michajłowna Antonowa była członkiem RSDRP⁴ od 1904 roku) była sekretarzem technicznym Lenina na II Kongresie Kominternu, a później pracowała w sekretariacie Zinowiewa... Kierowała cenzurowaniem listów kominternowców do ojczyzny: ona dawała listy do czytania zaufanym członkom partii, którzy dobrze znali języki obce, w celu uniemożliwienia nadawcom przekazywania zabronionych informacji. Ponieważ w tamtym czasie nie było nikogo, kto znałby pismo chińskie, według słów mamy, listy Chińczyków po prostu palono”⁵.

Jednak szczególnie jawnie i wyraźnie stanowisko ówczesnych liderów KPRP, przeciwne do zajmowanego przez Koszutką, przejawiało się w piśmie plenum KC KPRP do Prezydium Komitetu Wykonawczego Kominternu adresowanym do Zinowiewa i do Biura Politycznego CK RKP z 23 grudnia 1923 roku. Znajduje się w nim ostra krytyka zarówno polityki i taktyki KW Kominternu w stosunku do kierownictwa Komunistycznej Partii Niemiec i wydarzeń z 1923 roku w Niemczech, jak również polityki KPR w stosunku do Trockiego. Ostatnie miało charakter kryminalny – w ZSRR kończyła się partyjna dyskusja z Trockim, Stalin zażarcie walczył o władzę i autorów pisma obwiniał o popieranie Trockiego. To oskarżenie ciągnęło się za nimi do końca ich partyjnego życia i, oczywiście, figurowało w śledztwie z 1937 roku. W rzeczywistości pismo zawierało stwierdzenia: „Różnice w poglądach wewnątrz RKP(b)⁶ i formy, jakie przybrały w ostatnim czasie, wzbudziły nasze obawy... Na czoło prawdziwego wewnętrznego kryzysu w RKP(b) wysuwają się różnice poglądów między większością Komitetu Centralnego a tow. Trockim. Wiemy, że te kontrowersje są związane ze skomplikowaną sytuacją gospodarczą ZSRR. **Nie mamy wystarczających informacji ani możliwości by osądzać te rozbieżności w dziedzinie polityki ekonomicznej** [podkreślenie A.G.]. Stoimy jednak twardo na stanowisku, że osoba tow. Trockiego dla naszej partii, dla całej Międzynarodówki, dla wszystkich rewolucjonistów świata nierozdzielnie związana jest ze zwycięstwem Rewolucji Październikowej, z Armią Czerwoną, ze światowym komunizmem i rewolucją. Nie dopuszczamy takiej możliwości, żeby tow. Trocki był poza grupą przywódców KPR i Kominternu... Uważamy za konieczne wpisanie w porządek obrad najbliższego Plenum Komitetu Wykonawczego Kominternu informacji o kryzysie w RKP(b)”⁷.

Z tego tekstu widać, że plenum KC KPRP nie zagłębiało się w istotę konfliktu między Trockim a Stalinem, nie czując się uprawnione do takich działań, wystąpiło jedynie przeciwko stalinowskiemu sposobom

² Nazwisko Lauer w rosyjskojęzycznych dokumentach i FSB jest różnie pisane: Lauer, Liazur, Liauer.

³ F. Tych, *The KPD-KPP political „Axis” against Zinoviev-Stalin in the Communist International 1919-1924*. In: *Centre and Periphery*, Amsterdam 1996, p. 86.

⁴ RSDRP – Rossijskaja Socjal-Demokratyczeskaja Raboczaja Partia.

⁵ K.A. Antonowa, *Wspomnienia z dzieciństwa*. Rękopis.

⁶ Rosyjskiej Partii Komunistycznej – bolszewików.

⁷ Na egzemplarzu pisma, który otrzymałam w archiwum, pod tekstem odręcznie czarnym atramentem umieszczony jest spis wszystkich członków KC KPP, którzy brali udział w tym Plenum, czyli byli odpowiedzialni za tekst. Na wierzchu pisma tym samym charakterem i atramentem napisano: „Przekazać do polskich materiałów. 9/VIII-37”. Zaskoczyła mnie data notatki – dzień po aresztowaniu Koszutskiej. I najciekawsze – „polskie materiały” – NKWD czy Kominternu? Czy były wtedy brane pod uwagę?



polemiki – „polemiki” mającej na celu zniszczenie oponenta, z którą trochę później, aż do końca życia, musieli zmagać się Maria Koszutska, Warski i inni, polscy i niepolscy komuniści i zwykli obywatele. I przeciwko której Koszutska występowała twardo i niezmiennie. Było to jedno z ważnych osobistych zwycięstw komunistki Marii Koszutskiej, dzięki któremu postrzegano ją jako komunistkę odbiegającą od standardowego typu, z początku głównie rosyjskiego, później – i polskiego, i każdego innego. Tę główną treść obrony prawa do posiadania własnego zdania, obrony politycznych ofiar bolszewizmu, dążenie do utrzymania przeciwników na płaszczyźnie walki ideologicznej udało się jej utrzymać prawie (niestety – prawie) do końca swojej działalności.

Znajduje to potwierdzenie w jej artykułach i przemówieniach. Podam tu dwa cytaty. Pierwszy ze znanego przemówienia podczas obrad Polskiej Komisji Kongresu Kominternu 3 lipca 1924 roku. „Z powodu naszego wystąpienia i krytycznej oceny niektórych postanowień KW Kominternu, tow. Zinowiew powiedział nam już dawno: «Kości wam połamiemy, jeśli spróbujecie wystąpić przeciwko nam». Możecie to z łatwością zrobić. Doskonale wiecie, że walka z wami w tych warunkach jest niemożliwa... Towarzysze, połamane kości w naszym Kominternie zrastają się. Ale boję się czegoś innego. Mianowicie, dzięki waszym specjalnym przywilejom [kierowniczej partii i lidera międzynarodowego ruchu rewolucyjnego – A.G.], niebezpieczni dla was są nie ci, którym można połamać kości, ale ci, którzy kości w ogóle nie mają”.

I po dwóch latach ponownie, ale jeszcze ostrzej na posiedzeniu Polskiej Komisji KW Kominternu 7 lipca 1926 roku charakteryzując metody polemiki, którą „kiedy towarzysze chcieli dostosować tak, żeby stała się łatwiejszą, bardziej przystępną, żeby masy były przekonane, że partia jest na właściwej drodze, to wtedy zawsze pojawia się my, trzymając w jednej ręce skrwawioną ofiarę z prawicy, a w drugiej – skrwawioną ofiarę z ultralewicy. Jeżeliby bolszewizm prawidłowo walczył z prawicowym i lewackim odchyleniem, to nie tak, aby były ofiary, a tak, żeby dokonać prawdziwej oceny linii partii. Negatywne hasła nigdy nie pobudzają świadomości, mogą ją tylko stępiać. Uciekamy od problemu troski o właściwy kurs, o wzbudzające zaufanie hasła”.

Jak wiemy, słowa te pozostały głosem wołającego na puszczy. Śmierć Lenina i umocnienie władzy Stalina ujawniły to zjawisko nie tylko w RKP(b), ale i w KPRP i w całym Kominternie. Do tej pory polemika prowadzona w KPRP przyjmowała niekiedy ostre formy, jednak wciąż pozostawała wzajemną krytyką poglądów, polemiką na łamach partyjnej prasy i w ustnych wystąpieniach. Po grudniowym piśmie z 1923 roku, Plenum CK RKP(b) i odpowiedzi na nie Stalina zaczęła ona powoli przybierać formę donosów do Komitetu Wykonawczego Kominternu przeciwko „wodzom”, „górze”, czyli KC KPRP wybranemu na II Zjeździe Partii. „Góra” to przede wszystkim Warski, Kostrzewa, Walecki, Próchniak (lub tzw. „zagraniczny Komitet Centralny”, jak nazywano go na V Kongresie Kominternu), a ponadto inne znane osoby z KPRP, dawni socjaliści, którzy w tym czasie nie mogli przebywać już w kraju, gdzie wprowadzono zakaz działalności partii komunistycznej, a oni byli zbyt dobrze znani władzom; mieszkali więc w większości w Moskwie.

Mimo takiej odpowiedzi Stalina nie zmienili poglądów. Przebijają to wyraźnie i w „wystąpieniach polskiej delegacji” 21 stycznia 1924 roku, i w artykule Kostrzewy *Gospodarcze i organizacyjne zagadnienia w rosyjskiej partii* opublikowanym w „Nowym Przeglądzie” w styczniu 1924. Bardzo ostro pisze o walce Zinowiewa z osobami o innych poglądach w swoim liście do Polski z 4 stycznia 1924 roku.

Już w lutym 1924 publicznie wystąpili ich przeciwnicy w KPRP. Opublikowali tezy *O kryzysie w KPRP i o najbliższych zadaniach partii*, w których zaciekle krytykowali i uchwały II Zjazdu, i, oczywiście, grudniowe pismo KC, i w ogóle całą działalność kierownictwa KC KPP. Pod tezami widnieją podpisy czterech osób: Juliana Leszczyńskiego (Leńskiego), Henryka Steina-Domskiego, Zofii Osińskiej i Damowskiego. Dwóch pierwszych było zajadłymi oponentami Kostrzewy, Warskiego i ich współpracowników już od dawna.

W marcu 1924 roku odbywało się kolejne Plenum CK KPRP, na którym różnice stanowisk w kierownictwie polskich komunistów znalazły ramy organizacyjne. Liderzy partii – Warski, Kostrzewa, Walecki – podczas głosowania uchwały otrzymali większość głosów, ich przeciwnicy – mniejszość. Tak doszło do powstania dwóch frakcji „większości” i „mniejszości”. Historyczny paradoks – polska „mniejszość” była znacznie bliższa rosyjskim bolszewikom niż „większość”. Liderzy „większości” politycznie i taktycznie bardziej zbliżali się do „mienszewików” i w żaden sposób nie udało się zmienić ich poglądów. Oczywiście zostali marksistami, ale nie byli przy tym ani dogmatykami, ani ekstremistami. Warski nie zgadzał się



z Leninem już w czasie I wojny światowej, popierał bowiem Martowa. Koszutska polemizowała z pracami Lenina już w 1921 roku. Zawsze uznawali wyższość parlamentaryzmu i demokracji (również w życiu wewnątrzpartyjnym), w walce z kapitalizmem dążyli do sojuszu z podobnie myślącymi.

O zjadłej walce „mniejszości” z kierownictwem KPRP trwającej pięć lat i zakończonej pełnym zwycięstwem jej stronników, zgodnie z logiką rozwoju całego ruchu komunistycznego, pisało się dużo. Powtarzać się nie będą; chętni mogą znaleźć te informacje w komunistycznych publikacjach z lat dwudziestych i później z lat sześćdziesiątych, siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, gdy były wznawiane, ponieważ do roku 1988 publikacje na temat „ofiar Stalina” mogły dotyczyć tylko „komunistów”.

Dużo z tego, co mówiła i pisała „mniejszość”, odrodziło się, w nieco tylko odmienionej formie, w śledztwie w sprawie Marii Koszutkiej. Oprócz „liberalnych”, mienszewickich, „reformatorskich” poglądów (w latach dwudziestych i trzydziestych było to straszliwe oskarżenie) na sprawę jednolitego frontu („dążenie do podporządkowania się PPS”), na działalność parlamentarną, na dopuszczanie możliwości zawierania kompromisów, na sprzymierzeńców proletariatu i na metody wewnątrzpartyjnej polemiki, na Marii Koszutkiej ciążyły trzy „przestępstwa”: pochodzenie (nie chodziło o pochodzenie społeczne, ale o polityczne – PPS-owskie), pismo KC KPRP z grudnia 1923 roku i „błąd majowy” 1926 roku, czyli uznanie przez liderów KPP w momencie „przewrotu majowego” w 1926 roku, że rząd Piłsudskiego będzie lepszy dla walki o wolność i poprawę położenia mas pracujących w Polsce niż endecki rząd Chjeno-Piasta i stąd wezwanie do poparcia Piłsudskiego. I chociaż już w czerwcu KC KPP zaczął występować przeciwko Piłsudskiemu, nigdy nie wybaczone im tej próby kompromisu. Skrajnie ostre oskarżenia i ordynarna, agresywna krytyka poglądów i strategii „większości” zabrzmiały na V Kongresie Kominternu, odbywającym się od 17 czerwca do 8 lipca 1924 roku. Głównym tematem obrad była „bolszewizacja partii komunistycznych”. Istotą tego działania było po pierwsze osądzenie i odsunięcie od jakiegokolwiek działalności wszystkich, którzy myśleli inaczej, po drugie uznanie konieczności całkowitego, bezwarunkowego i bezdyskusyjnego wzmocnienia zagranicznymi komunistami „generalnej” (czytaj – stalinowskiej) linii RKP(b).

Te idee znalazły się już w otwierającym Kongres wystąpieniu Zinowiewa: „To, że bolszewizm rodził się w walce przeciwko oportunistom, przeciwko prawicy, przeciwko socjaldemokracji, przeciwko centryzmom – to wszystkim wiadomo i nie wymaga to udowadniania. Przecież komuniści w przytłaczającej większości wywodzą się z II Międzynarodówki. Obecnie można już czapką zakryć obecność w Kominternie dwóch części składowych. Jedna – wywodząca się z II Międzynarodówki – to byli socjaldemokraci, druga – to nowe pokolenie robotników, które wyrastało w czasie wojny i zaraz po niej. Wiadomo wszystkim, że taktyka Kominternu, taktyka bolszewizmu i leninizmu rozwinęła się przede wszystkim w walce przeciwko socjaldemokracji, zarówno prawicowej, jak i centrowej, dlatego powinno być jasne, że leninizm wewnątrz Międzynarodówki musiał walczyć i walczy nadal głównie z przeżytkami, otrzymanymi w spadku po socjaldemokracji... Mniej znany jest fakt, że bolszewizm musiał prowadzić poważniejszą walkę z innym rodzajem odchylenia, często nazywanym «ultralewicowym». W rzeczywistości są oni bardzo dalecy od lewicy, jako że nie istnieją nic bardziej lewicowego niż komunizm.

Tak więc widzimy, towarzysze, że Komintern od samego początku walczył z centryzmem i oportunistami, a obecnie i z lewackimi odchyleniami, bo był do tego zmuszony, chcąc pozostać na gruncie leninizmu...

Trzeba zrozumieć, że właśnie to jest marksizm”.

Takiego rozumienia komunizmu Koszutska nie przyjęła. W trakcie prac Kongresu, w przemówieniu Zinowiewa, kierownictwo KPRP zostało skrytykowane za popełnione błędy. Powiedziano, że „Kierownictwo polskiej partii wykazało się w ważnych sprawach określających całą taktykę Kominternu, w sprawach niemieckich i rosyjskich zbyt dużą dyplomacją” i że „niezbędne jest skorygowanie błędów kierownictwa KPRP”.

Sygnal został dany. Jasne, że zarówno w KPRP, jak i we wszystkich pozostałych partiach znaleźli się ludzie, którzy zrozumieli go jako wytyczne do działania.

Na Kongresie krytykę tę szczególnie mocno podtrzymał i jeszcze nasilił Julian Leszczyński (Leński). Kierownictwo KC KPRP na Kongresie nie wystąpiło. Ograniczyło się jedynie do wydania oświadczenia, w którym poinformowało, że dyskusja będzie kontynuowana na posiedzeniu Polskiej Komisji V Kongresu, gdzie rzeczywiście odbyła się gruntowna analiza działalności i błędów KC KPP. Przewodniczącym



Komisji był Stalin, a jego zastępcą – Mołotow. Podczas V Kongresu pracowało kilka komisji badających i osadzających działalność innych partii komunistycznych, jednak dla Stalina już wtedy najważniejsze było „przyprzeć do muru” przede wszystkim KPRP.

Na pierwszym posiedzeniu Polskiej Komisji, 1 lipca 1924 roku Stalin przedstawił porządek dnia: problem rozdzźwięków w łonie polskiej partii, i zaproponował, żeby „dać możliwość wypowiedzenia się przedstawicielom obu stron”.

Znowu ostro zaatakował Leszczyński (Leński), obwiniając KC KPRP o wiele błędów, w tym, oczywiście, o popieranie Trockiego. Była to sztandarowa teza „mniejszościowców”. Po nim zabrał głos, również krytyczny pod adresem KC, jeden z jego członków, działający w Polsce Stefan Skulski (Stanisław Mertens). A więc ujawniamy kolejną osobę (poza Leszczyńskim – Leńskim), zeznającą przeciwko Kostrzewie podczas przesłuchań w 1937 roku.

Podczas drugiego posiedzenia Komisji, 2 lipca 1924 roku, wystąpiła Wera Kostrzewa. Rozumiejąc, że główne zarzuty pod adresem KC KPRP (choć przedstawiono ich całe mrowie) dotyczą stanowiska w sprawie rosyjskiej lub – jak zaczęto to już określać – w sprawie „poparcia Trockiego”, starała się wyjaśnić stanowisko KC KPRP w tej sprawie i powiedziała: „One [nasze stosunki – przypis A.G.] bazowały na nieprzejednanej walce, przy czym nasza grupa – tow. Próchniak, Warski i ja (Waleckiego nie było) uważała, że walka ta powinna dotyczyć tylko pryncypiów i spraw ideologicznych, a ogólny kurs powinien prowadzić do pojednania. Oto te rozbieżności, które występują między nami”.

Rozstrzygającym stało się trzecie posiedzenie Komisji, 3 lipca, na którym – po ponownych agresywnych wystąpieniach Leszczyńskiego (Leńskiego), Domskiego i innych Polaków – głos zabrali Mołotow i Stalin. Ich wystąpienia rozpoczęły prace nad wnioskami organizacyjnymi.

Przypomnę, że właśnie na tym – zamykającym i podejmującym uchwały – posiedzeniu Komisji ze wspnianym przemówieniem zawierającym m.in. cytowane wcześniej słowa o „połamanych kościach” wystąpiła Koszutska. Stalin w swoim wystąpieniu skonstatował, że polska partia przechodzi kryzys. Ważniejsze są jednak błędy popełnione w sprawie rosyjskiej, ponieważ podkopywanie kierowniczej roli partii w Rosji jest podkopywaniem całej władzy radzieckiej, która jest podstawą, opoką międzynarodowego ruchu rewolucyjnego. O piśmie grudniowego Plenum KC KPRP powiedział: „W czasie, gdy Wy tę rezolucję pisaliście i wysyłaliście do naszego KC, określiliście siebie jako polską sekcję znanej oportunistycznej opozycji w łonie RKP. Jeżeli potraktować tę opozycję jako pewną firmę, dążącą do posiadania swoich oddziałów w różnych krajach, to wy byliście jednym z nich”. Po takiej wypowiedzi wnioski organizacyjne były do przewidzenia! Polska Komisja V Kongresu Kominternu przyjęła rezolucję, w której dezawuowano polityczne kierownictwo KC KPRP („grupę Warskiego, Kostrzewy i Waleckiego”). Określając sytuację w KPRP jako katastrofalną, komisja zaleciła zwołanie nadzwyczajnej konferencji KPRP nie później niż w ciągu 3 miesięcy, natychmiast miało zostać odwołane Biuro Polityczne i Biuro Organizacyjne KPRP, spośród członków KC miało być wyznaczone 5 osób, odpowiedzialnych za zwołanie konferencji; osoby te miały również kierować tymczasowo partią. Postanowiono również uchylić uchwałę KC KPRP, oskarżającą czterech liderów „mniejszości”, którzy podpisali „Tezy”.

Po V Kongresie dyskusja w KPRP (jak i w pozostałych partiach komunistycznych, a zwłaszcza w rosyjskiej – Stalin wszędzie działał w myśl zasady „dziel i rządź”) toczyła się z wielką zawziętością. Uwidaczniało się to szczególnie na posiedzeniach Polskiej Komisji Komitetu Wykonawczego Kominternu, której przewodniczącym był Bucharin. Komitet Wykonawczy Kominternu i KC WKP(b) starannie kontrolował KPRP. Oprócz Polskiej Komisji KW Kominternu, istniejącej od 1926 roku, funkcjonowało jeszcze wiele innych polskich komisji – przy KC WKP(b), Wydziale Agitacji i Propagandy. Dyskusja toczyła się w nich wszystkich. Kiedy czyta się dokumenty na ten temat, można spostrzec za każdym razem różnice tonu, stylu, siły przekonywania, argumentów, sposobu dyskusji na dokumenty pochodzące od „większości” i „mniejszości”. „Większościowcy” starają się przekonywać, przytaczając ważne argumenty, historyczne paralele, nie wychodząc jednak poza ramy walki ideologicznej; „mniejszościowcy” napastliwie obwiniają przeciwników o współpracę z wrogami, o „podtrzymywanie demokratycznych iluzji”, o „parlamentarny kretynizm” itp.

Postanowienia V Kongresu Kominternu zostały wykonane. Na kolejnym III Zjeździe KPRP (Wiedeń, grudzień 1924 – styczeń 1925) wybrano nowy Komitet Centralny – oczywiście Koszutska, Warski i Próchniak



nie znaleźli się w jego składzie. Również na tym zjeździe dotychczasowa nazwa partii KPRP (Komunistyczna Partia Robotników Polski) została zamieniona na KPP (Komunistyczna Partia Polski).

Jednak wkrótce zaszły sprawy niespodziewane – część członków nowego KC została aresztowana w Polsce (Leszczyński przed III Zjazdem), a najbardziej bojowy członek czwórki „mniejszości” Domski wraz z Zofią Osińską zostali oskarżeni przez Komitet Wykonawczy Kominternu o „odchylenia lewackie”, sam Domski – o to, że „działał... na rzecz zorganizowania frakcji lewaków w Kominternie”; z tej przyczyny, po wezwaniu do KW Kominternu w lipcu 1925 roku, otrzymał zakaz powrotu do Polski i nakaz pozostania w Moskwie. Długi (11 stron) dokument poświęcony tym faktom (bez tytułu, podpisu i daty, ale wiadomo, że został napisany w 1926 roku), kończy się słowami: „Przyjechawszy do ZSRR, Domski wraz z Osińską w sposób jawny przylgnał do opozycji Zinowiewa”.

W konsekwencji kierownictwo KPP znowu czasowo znalazło się w rękach poprzednich przywódców. Walka frakcyjna trwała nadal. Główną sprawą, o którą teraz obwiniano dawnych-obecných przywódców, było stanowisko KPP popierające Piłsudskiego w 1926 – w czasie przewrotu majowego i bezpośrednio po nim. Oskarżano za to Koszutską do końca życia.

Nie zwracając uwagi na zawzięte i zajadłe ataki „mniejszościowców”, dwa Plena KC KPP, we wrześniu i listopadzie 1926 roku, odbyły się pod kierownictwem „większościowców”, którzy znowu mieli przewagę.

22 maja 1927 roku pod Moskwą rozpoczął się IV Zjazd KPP; trwał on trzy i pół miesiąca, odbyły się 44 posiedzenia. Zakończył się 9 września. Ciekawe, jakie koszty ponieśli radzieccy podatnicy!

Główna treść zjazdu była wciąż taka sama: zajadła walka opozycji ze starymi przywódcami KPP i, wciąż na nowo, wyjaśnianie ich spojrzenia na sytuację w Polsce, na krajowy ruch rewolucyjny i sytuację w KPP. Koszutska wystąpiła na IV Zjeździe cztery razy. I choć zakończył się on podjęciem bardzo ogólnych uchwał, logika rozwoju ruchu komunistycznego, szczególnie w WKP(b) zapowiadała zwycięstwo „nowych kadr”. Tak było w całym Kominternie, a w KPP – w szczególności. Cały 1927 rok to kontynuacja walki Koszutskiej. Ale już rok następny – 1928 – był fatalny. W przemówieniu na VI Kongresie Kominternu Wera Kostrzewa jeszcze występuje przeciwko działaczom polskiej „mniejszości”, ale rezygnuje z krytykowania oficjalnej linii Kominternu i przeciwstawiania się jej. Teraz Wera krytykuje politykę Piłsudskiego (pomylili się co do niego!) i popierających go socjaldemokratów i chwali postanowienia XV Zjazdu WKP(b) na temat industrializacji i kolektywizacji. Jeszcze mocniej widzi się zmianę poglądów Koszutskiej w jej dwóch ostatnich artykułach opublikowanych w 1929 roku w „Nowym Przeglądzie”. Pierwszy z nich to *Sprawa walki z prawicowym niebezpieczeństwem w KPP*, drugi – *Trzeci pobór dezertarów*. Tymi artykułami wpisała się w nurt walki przeciwko prawicowcom w WKP(b), przede wszystkim przeciwko Bucharinowi, który i w Polskiej Komisji KW Kominternu nieraz oskarżał grupę „3W” (Warski, Wera, Walecki) o rozliczne błędy.

A teraz uosobieniem „prawicowego odchylenia” stał się sam Bucharin. Nadszedł czas „wielkiego przełomu” – rozpoczęcie kolektywizacji, zaciepła walka Stalina z „prawicowcami”. W związku z tym w 1929 roku podjęte zostało postanowienie Sekretariatu Politycznego KW Kominternu wymierzone przeciwko „prawicowcom”. Żałosna kapitulacja Wery w tej sytuacji na niewiele się zdała. Dla polskich komunistów, dla Leńskiego (Leszczyńskiego) i jego stronników, dla całego Kominternu i dla Stalina szczególnie – Wera, Warski i Walecki zawsze byli „prawicowcami”. Antybucharinowska kampania Stalina oznaczała dla nich także śmierć.

Oficjalnie koniec kariery politycznej Koszutskiej, Warskiego i Waleckiego stał się faktem na VI Plenum KC KPP, odbywającym się w czerwcu 1929 w Berlinie. Głównym referentem był oczywiście Leński (Leszczyński). Przed plenum dochodziło jeszcze do ostatnich starć między „większościowcami” a „mniejszościowcami”. Ale na samym plenum do Komisji ds. Opracowania Uchwały na podstawie referatu Leńskiego (czyli faktycznie Komisja miała sformułować kierunki dalszej polityki KPP) w przytłaczającej większości weszli przedstawiciele „mniejszościowców”, choć dla zachowania pozorów wybrano do niej i Koszutską. W komisji już nie walczyła. Zaproponowane przez nią poprawki do uchwały nie zostały uwzględnione, w swoim wystąpieniu przyznała się do błędów i „większościowcowych”, i, przede wszystkim, do swoich osobistych, żałowała i okazywała skruchę. W konsekwencji Koszutska, Warski i Walecki nie zostali wybrani do Biura Politycznego KC KPP. Sekretarzem Generalnym został Leński (Leszczyński). W artykule opublikowanym w „Nowym Przeglądzie” wytłumaczył, dlaczego zostali wykluczeni z kierownictwa partii



– otóż należeli oni do „polskiej odmiany odchylenia prawicowego”, a Koszutska była ideologiem prawicowców w KPP. Można uznać to za prawdę. Grupa socjalistów-inteligentów absolutnie nie pasowała do ruchu komunistycznego drugiej połowy lat dwudziestych. Zostało to wyraźnie sprecyzowane w jeszcze jednym, z mojego punktu widzenia bardzo ważnym, postanowieniu VI Plenum. Oto jego tekst:

„Postanowienie w sprawie krytycznej oceny ideologicznej spuścizny Socjaldemokracji Polski i Litwy i PPS-Lewicy.

Zasadnicze wyjaśnienie źródeł błędów i odchyłeń od leninowskiej linii wymaga krytycznej oceny ideologicznej spuścizny Socjaldemokracji Polski i Litwy i PPS-Lewicy. Stwierdzając, że w stosunku do Socjaldemokracji Polski i Litwy przeprowadzono już znaczące prace, Plenum CK zobowiązuje redakcję „Nowego Przeglądu” do ich kontynuacji. Jednocześnie plenum uważa za niezbędne podkreślić, że do tej pory nie zostały podjęte żadne działania, mające na celu krytyczną ocenę działań PPS-Lewicy. Ze względu na to plenum poleca redakcji „Nowego Przeglądu” przeprowadzić odpowiednie prace⁸. W ten sposób (na 1,5 roku przed pismem Stalina w czasopiśmie „Proletariacka Rewolucja”) zwycięscy, prawomyślni komuniści polscy odcinają się od swoich ideowych poprzedników, których poglądy są teraz absolutnie niezgodne z poglądami, zwyciężającymi tak w ZSRR, jak i w Kominternie.

Po VI Plenum ciężko chora Koszutska jeszcze przez parę miesięcy pozostawała w Niemczech. Po powrocie, 30 września, przesłała do Komitetu Wykonawczego Kominternu prośbę o przedłużenie urlopu i zwolnienie jej z obowiązków członka KC KPP. W sytuacji, jaka powstawała w Moskwie, nie chciała i nie mogła pracować w Komitecie Wykonawczym Kominternu. Przez pewien czas trochę pracowała w MOPR⁹, później i stąd odeszła. Po roku od powrotu z Berlina pułapka zamknęła się ostatecznie – w październiku 1930 Koszutska została przeniesiona w szeregi członków RKP(b).

Zarabiała na życie tłumaczeniami i różnymi pracami redakcyjnymi, przede wszystkim w Instytucie Gospodarki Światowej i Światowej Polityki, gdzie znajdowali azyl liczni zdymisjonowani kominternowcy. Nadal przyjaźniła się z bliskimi jej polskimi komunistami, wśród których aresztowania rozpoczęły się już w roku 1931. Przez sześć lat tak żyli: czekali, kto następny, pomagali rodzinom aresztowanych, śledzili wydarzenia w Polsce, gościli przyjeżdżających stamtąd przyjaciół.

Jeszcze przez kilka lat w polskiej prasie partyjnej oraz w partyjnych wystąpieniach Koszutką i jej polepczyków kopano zawzięcie. W archiwach KPP przechowywały się liczne dokumenty na ten temat. Nieraz źle ją wspominają w wystąpieniach i postanowieniach VII Plenum KC KPP (styczeń 1930). Szczególnie zapalczywie krytykowano Warskiego i ją na zebraniu polskiej sekcji KW Kominternu 10 stycznia 1932, poświęconym listowi Stalina do redakcji „Proletariackiej Rewolucji”, Warski – współtowarzysz i zwolennik Róży Luksemburg, w czasie I wojny światowej popierający Martowa przeciwko Leninowi – czyż może być lepszy cel napaści?

Koszutska – z PPS, czyli, jak teraz się mówi, z mienszewików. Zjednoczenie SDKPiL z Lewicą – wielki błąd. Warski od samego początku istnienia polskiej partii komunistycznej działał pod dowództwem Kostrzewy przeciwko bolszewizmowi. Mienszewizmowi i tak nigdy nie pokonali. To wszystko działo się pod nieobecność Koszutkiej i Warskiego (nie musieli być na obradach, nie byli już członkami polskiej sekcji), wiele osób w bardzo ordynarnej formie występowało przeciwko nim. I znowu moja uwaga zatrzymuje się na nazwisku Skulskiego, i znowu myślę: a może takie oskarżenia jeszcze na wolności ułatwiały mu później składanie zeznań przeciwko nim podczas śledztwa. Tym bardziej, że to, co mówili ich przeciwnicy, w rzeczywistości nie odbiegało tak bardzo od prawdy: poglądy i polityczna działalność Warskiego i Koszutkiej, dopóki mogli postępować zgodnie ze **swoimi** poglądami, rzeczywiście zbliżały się bardziej do mienszewizmu niż bolszewizmu. Jeszcze jeden historyczny paradoks: przez wiele lat ludzie bardzo bliscy mienszewizmowi należeli do Biura Politycznego i przewodzili KPP.

Ci, którzy znali Koszutką, wspominają, że w ciągu ośmiu lat, od 1929 do 1937, jej poczucie godności osobistej i sprzeciwu, teraz już nie ideowe, nie polityczne, a po prostu ludzkie sprzeciwianie się sytuacji – powróciło. Odstąpiła od nich tylko na jeden – 1928 – rok. Wcześniejsze sześć lat (1922-1928) i późniejsze osiem (1929-1937) doskonale pokazywało istotne cechy jej charakteru. W pełni ujawniły się, gdy została aresztowana. Nie mam dokumentów, które by to potwierdzały. Są jednak wspomnienia, świadectwa jej

⁸ *Postanowienia VI Plenum KC KPP, Wilno 1929, s. 66.*

⁹ Międzynarodowa Organizacja Pomocy Rewolucjonistom.



przyjaciół i znajomych – zebrane przez Janinę Kasprzakową. W żadnym przypadku nie ustosunkowała się do kompanii wzajemnych oskarżeń i donosów, rozwijającej się wśród polskich komunistów (i w całym kraju również) w sytuacji rozpoczynającego się terroru. Na pytania stawiane wprost, oskarżała tylko siebie, nikogo innego.

Polskich komunistów aresztowano jednego za drugim, wśród nich znalazło się wielu zwolenników i przyjaciół Koszutskiej. Na początku lipca został aresztowany najbliższy jej człowiek – Paweł Lewinson-Łapiński. Zmarł krótko po zatrzymaniu. Nakaz aresztowania Koszutskiej, mieszkającej w tym czasie w mieszkaniu Lewinsona-Łapińskiego, wydano 8 lipca 1937 roku. Rozkaz wykonano równo miesiąc później, 8 sierpnia. I tak znalazła się na Łubiance.

Rozpoczęło się śledztwo przeciwko Kostrzewie Werze Karłowinie. Nie będę go szczegółowo opisywać. Z jednej strony znamy już dokumentację wielu śledztw, z drugiej – może kiedyś zostanie ono opublikowane drukiem. Opór Koszutskiej przedłużał się – widać to dobitnie w aktach śledztwa.

Sprawa Koszutskiej jest jedną z bardzo wielu w tzw. sprawie POW (Polskiej Organizacji Wojskowej) – fałszywce, wymyślonej przez NKWD, na podstawie której wielka liczba Polaków, i tych, którzy na stałe mieszkali w ZSRR, i tych, którzy tu wyemigrowali (lub zostali wymienieni przez władze – głównie polscy komuniści), została osądzona, skazana i rozstrzelana. Na okładce akt sprawy Koszutskiej grubym czerwonym ołówkiem napisano cyfrę II – oznacza to nie rozstrzelanie (które oznaczano cyfrą I) – a dziesięć lat więzienia.

W aktach, tak jak być powinno, znajduje się nakaz aresztowania z 8 lipca, potem protokół rewizji i aresztu. Stanu posiadania (majątku) w nich nie podano, oprócz maszyny do pisania i aparatu fotograficznego, zarekwirowanych paszportów polskiego i niemieckiego oraz zagranicznego paszportu radzieckiego – takiego „sierpistego, młotkowego” – o jakim pisał Majakowski. Przepustka na Kreml i do siedziby Kominternu (nie widziałam ich, dawno straciły swą ważność, tak jak i wszystkie paszporty – ten, który trzymam w rękach był ważny do 11 listopada 1927 r.). Zarekwirowano też „książki podlegające zajęciu: Bucharina 22, Zinowiewa 4, K. Radka 11, Rykowa, Trockiego 4” i mnóstwo dokumentów (74 teczki dokumentów, 8 zeszytów, 10 notatników, 2 paczki listów, 20 pocztówek). Nic szczególnego.

Ale już w środku protokołu z rewizji i aresztowania – niezwyklejny tekst, napisany ręką W. Kostrzewy. Oto on: „**Uwaga:** wśród materiałów i dokumentów zabranych ode mnie znajdują się:

- 1) rzeczy archiwalne, mające znaczenie historyczne,
- 2) ściśle tajne. W. Kostrzewa”.

Dawno już zostali aresztowani Sochacki (1933), Żarski (1934) i Wróblewski, całkiem niedawno – Lipski, a ona wciąż jeszcze niepokoi się o ich wspólną sprawę.

Dalej mamy „Ankiety aresztowanego” (w rubryce „zawód” ona pisze „publicystka”), „Postanowienie o wyborze środka prewencji i przedstawienie zarzutów”, przedstawione Koszutskiej 2 września 1937 roku. Czytamy w nim: „Ob. Kostrzewie Werze Karłowinie wystarczająco udowodniono, że będąc członkiem szpiegowsko-dywersyjnej i terrorystycznej organizacji – «Polska Organizacja Wojskowa» (POW), realizując jej zadania, wkręciła się w 1918 w szeregi KPRP, gdzie do 1929 roku prowadziła wewnątrz KPP działania prowokatorskie na rzecz piłsudczyków. Od 1929 do 1937 roku była członkiem kierownictwa POW, działającego na terenie ZSRR i prowadziła aktywną działalność szpiegowsko-dywersyjną oraz terrorystyczną”.

Datą 2 września 1937 roku oznaczony jest protokół jedyne przesłuchania Kostrzewy, dotyczący tej sprawy. Od razu powiem – do żadnego ze stawianych jej zarzutów Koszutska nie przyznała się i na nikogo w tej sprawie podejrzenia nie rzuciła. Ile ją to kosztowało, możemy się tylko domyślać. Pośrednim dowodem może być zmieniony charakter jej podpisu pod protokołem przesłuchania.

Za tym idą liczne wielostronicowe „dowody” oskarżenia. Cytowane są urywki protokołów przesłuchań licznych świadków o szczegółach działalności POW i o kierowniczej roli Wery Kostrzewy. W nich znajdują się prawdziwie detektywistyczne wymysły, mieszanka „podskórnej” działalności Koszutskiej w KPP i szpiegowsko-dywersyjnej roboty peowiackiej. Wiedząc, w jaki sposób uzyskiwano te wszystkie oskarżenia, nie można ich cytować. Nie chce się nawet podawać nazwisk osób, składających te zeznania. Pośród nich są i członkowie kierownictwa KPRP, i aktywiści niższego szczebla. Wspominałam już, że w oskarżeniach Leszczyńskiego (Leńskiego) i Skulskiego, wieloletnich przeciwników ideowych Kostrzewy, często pojawiają się fakty z historii



KPP, o które już wcześniej oskarżali Kostrzewę (pismo z 1923 „w obronie Trockiego”, stanowisko jej, Warskiego i Waleckiego podczas przewrotu majowego, jej błędy ideologiczne), na równi z bardziej lub mniej szczegółowymi opowieściami o jej „peowiackiej działalności”. Najdokładniej o „podskórnej”, „wywrotowej” robocie Wery mówi Bertyński. To w ogóle bardzo charakterystyczna figura. Wiadomo o nim sporo: słabo wykształcony (nie skończył nawet szkoły średniej), zawodowy funkcyjny w KPP – w innym charakterze nigdy i nigdzie więcej nie pracował, został członkiem KC KPP w 1935 roku, będąc wcześniej członkiem CK KP Zachodniej Ukrainy, instruktorem Kominternu przy CK KP Węgier, zastępcą przedstawiciela KC KPP przy Komitecie Wykonawczym Kominternu. Równocześnie działając w różnych krajach, od września 1926 był współpracownikiem OGPU ZSRR, zaczynając od stanowiska pomocnika naczelnika oddziału w Wydziale Kontrwywiadu. Pracował w Oddziale Specjalnym OGPU, zajmował się inwigilacją Polaków aż do samego aresztowania. Czytałem jego życiorys, przechowywany w jego aktach osobowych w Wydziale Kadr KW Kominternu, napisaną własnoręcznie po polsku i po rosyjsku 5 czerwca 1936 roku, kiedy był on jeszcze dobrze widziany. Dokument ów, jak dla mnie, a sądę że i dla innych, normalnych ludzi, to całkiem nowy gatunek – „autobiograficzny donos”. Znajdują się tu nazwiska dziesiątek osób, z którymi pracował lub spotykał się w ciągu życia. Przytłaczająca większość z nich została przez niego oskarżona o wypaczenia i przestępstwa. W tej liczbie znaleźli się oczywiście wszyscy aresztowani działacze KPP, jak również, przebywające jeszcze na wolności, ale odsunięte już od pracy w KPP, kierownictwo poprzedniego Biura Politycznego KC KPP – Koszutska, Warski, Walecki. W życiorysie Bertyński wylicza szereg swoich zasług: walka z antypartyjną kontrrewolucyjną grupą KPZU (Klonowicz [Klenowicz], Kowalski, Julski i in.) i innymi szkodzącymi KPP „grupami” i „grupkami”, a także to: „Będąc członkiem Komisji Bezpieczeństwa [KC KPP – A.G.], w październiku 1929 zadałem Kierownictwu pytanie o podejrzeniu Żarskiego o prowokację. Na podstawie moich informacji wiosną 1930 r. postanowiono odsunąć Żarskiego od pracy w KPP i wszcząć śledztwo. Wzbudziłem także podejrzenia wobec Wojewódzkiego, Sochackiego, Fieda-Beja, Młota oraz szeregu innych, teraz już zdemaskowanych, prowokatorów. Od 1929 roku do ostatniej chwili uczestniczyłem bezpośrednio w prowadzeniu i rozpatrywaniu większości spraw związanych z walką z prowokatorami, pracowałem pod kierownictwem i w ścisłych kontaktach z tow. Leńskim, Bronikowskim i Próchnikiem”. W całej swojej autobiografii Bertyński wielokrotnie przysięga o swojej wierności wytycznym i linii sekretarza generalnego KPP Leszczyńskiego (Leńskiego), który będzie aresztowany w następnym roku. Jeszcze jedna zasługa: „Na polecenie KC napisałem broszurę o prowokacji POW” – czyli o tej samej sprawie, za którą wsadzą jego samego po upływie roku.

Najtragicznijszym uczestnikiem procesu Kostrzewy jest Henryk Lauer (Brand), jej wieloletni przyjaciel, wyznający tę samą ideologię i wartości polityczne, przyjaciel do dnia aresztowania. I właśnie on był jedynym człowiekiem, który wygłaszał swoje przerażające oskarżenia Werze prosto w twarz. Pozostałe oskarżenia to cytaty z protokołów przesłuchań. Z Lauerem, który wcześniej także złożył obciążające ją zeznania, doszło do konfrontacji. 19 sierpnia 1937 roku Lauer oskarżał ją o członkostwo w POW, kierowniczą rolę w tej organizacji oraz ich wspólną peowiacką działalność.

W przesłuchaniach Lauera i konfrontacji z Werą brał udział śledczy – Michaił Kiczigin – który przed śmiercią w obozie (gdzie znalazł się trochę później, podobnie jak większość pracowników GB z tamtego okresu) przypisywał sobie autorstwo i organizację „sprawy POW”.

Po oskarżeniach Lauera, w protokole z konfrontacji: „Pytanie do Kostrzewy: Czy potwierdzacie prawdziwość oskarżenia Lauera o waszą przynależność do POW? Odpowiedź Kostrzewy: Nie potwierdzam”.

W dalszym ciągu przesłuchiwania Lauer znowu oskarża i znowu: „Pytanie do Kostrzewy: Jesteście całkowicie zdemaskowana, jeżeli chodzi o waszą przynależność do Polskiej Organizacji Wojskowej (POW) i prowadzenie kontrrewolucyjnych działań przeciwko ZSRR, w interesie polskiego faszystu. Proponujemy wam przestać zaprzeczać i udzielić wyczerpujących wyjaśnień na temat waszej kontrrewolucyjnej działalności. Odpowiedź: Kontrrewolucyjnych działań nigdy nie prowadziłam, członkiem POW nie byłam”.

Każda odpowiedź w tym protokole jest podpisana przez Lauera, brak natomiast jakiegokolwiek podpisu Kostrzewy. Wyjaśnienie tego braku umieszczone jest w uwagach śledczego na koniec protokołu: „Oskarżona Kostrzewa odmówiła złożenia podpisów na protokole konfrontacji, stwierdzając, że jej odpowiedzi zapisane zostały prawidłowo, ale ona w ogóle żadnych dokumentów podpisywać nie będzie. Pracownik III Oddziału GUGB, st. lejtnant bezpieczeństwa Frołow spec. pełnomocny. 3. Oddział GUGB M. Kiczigin”.



Dalej w aktach jest „Oskarżenie końcowe”. Później „Protokół zamkniętego posiedzenia sądowego Wojskowego Kolegium Sądu Najwyższego ZSRR” odbytego 2 października 1937 roku w Moskwie i trwającego aż... 20 minut. Początek – godz. 13⁴⁰, koniec – godz. 14⁰⁰.

I wyrok.

Wśród zabezpieczonych przede mną kart sprawy – notatka, którą pokazał mi pracownik Archiwum FSB, o zesłaniu Wery Kostrzewy (Koszućskiej Marii Karłowny) do jarosławskiego więzienia, gdzie zmarła, według materiałów sprawy, w 1939 roku. Niektóre, jeszcze niepotwierdzone świadectwa, mówią o dacie 9 lipca 1939 roku.

Kolejny materiał w aktach sprawy – proces rehabilitacyjny, rozpoczęty 9 marca 1955 i zakończony wyrokiem Wojskowego Kolegium Sądu Najwyższego ZSRR z 29 kwietnia 1955 o rehabilitacji. Z punktu widzenia archiwisty decyzja ta jest bardzo ciekawa i dlatego, że nie została napisana na maszynie, a odręcznie.

Znalazły się w niej bardzo liczne, liczniejsze niż zacytowane na samym początku tego artykułu, powody, dla których oskarżenia kierowane przeciwko Kostrzewie nazwano „wymyślonymi”.

1 lutego 1997 roku

Mniej więcej rok temu miałam możliwość zapoznania się równocześnie z aktami dwóch śledztw: członka kierownictwa KPP na przestrzeni 7 lat (1922-1929) Marii Koszućskiej i majora Oddziału II Sztabu Generalnego Naczelnego Dowództwa WP (czyli wywiadu) – Kazimierza Szpondrowskiego. Sprawy ludzi biegunowo sobie przeciwnych i bardzo odległych ode mnie.

Im bardziej wczytywałam się w te akta, tym jaśniej rozumiałam, że jest coś, co ich łączyło, pomimo całkowicie odmiennych ideologii i poglądów. Było to poczucie własnej godności, a szczególnie bardzo mężne zachowanie w ekstremalnych, nieludzkich warunkach i sytuacjach, to, co wcześniej nazywało się „szlachetnością” lub „godnością osobistą”.

Przygotował do druku Piotr Mitzner

Jest to ostatnia praca zmarłej w 2000 roku Anny Michajłowny Griszynej, założycielki Polskiej Sekcji „Memoriału”. Niestety, autorka nie zdołała go dopracować tak, jak zamierzała. Stąd brak pewnej części przypisów. Nie udało się także odnaleźć kopii archiwalnych dokumentów, które miały stanowić integralną część tekstu. *P.M.*

2011, nr 5
Tłum. Hanna Miązek



Andrzej Nowak

DZIESIĘĆ PYTAŃ

Część naszych rosyjskich kolegów – historyków i publicystów z uporem podejmuje próby zasłonięcia pamięci o zbrodniach systemu sowieckiego na Polakach przez stworzenie ich rzekomego odpowiednika lub nawet „usprawiedliwienia” w postaci zbrodni na jeńcach sowieckich w Polsce w roku 1920. Powtórzmy raz jeszcze kilka pytań pod ich adresem:

1. Czy możecie wskazać jakikolwiek dowód poświadczający to, że kierownictwo polityczne lub wojskowe Polski w roku 1920 podjęło świadomie decyzję wygubienia jeńców z Armii Czerwonej? Taką jak decyzja Biura Politycznego WKP(b) z 5 marca 1940 roku, która nakazywała zamordowanie 25 700 obywateli polskich?

2. Czy możecie wskazać na jakiekolwiek ślady przeprowadzania skoordynowanej operacji zabijania jeńców z Armii Czerwonej w Polsce w roku 1920 czy 1921, które pośrednio świadczyłyby o podjęciu takiej, nieudokumentowanej, decyzji przez władze polskie? Zabicie 60 czy 80 tysięcy jeńców, które zarzucacie stronie polskiej w wojnie z Rosją bolszewicką, nie mogło być nawet organizacyjnie taką prostą sprawą, aby nie zostawić szeregu śladów, wskazujących na wielką zbrodnię...

3. Czy możecie podważyć cyfrę 65 797 jeńców sowieckich, którzy według oficjalnych statystyk – uznanych tak przez stronę sowiecką, jak i polską w roku 1921 – powrócili z polskiej niewoli do Rosji sowieckiej? Czy możecie podważyć fakt zgłoszenia się ok. 25 tysięcy jeńców Armii Czerwonej do formujących się w Polsce w roku 1920 antybolszewickich jednostek wojskowych (Bułak-Bałachowicza, Peremykina, Jakowlewa, Salnikowa, a także Petlury)? Czy możecie wreszcie podważyć fakt, że jeńcy z Armii Czerwonej podchodzenia łotewskiego, węgierskiego i austriackiego, zostali repatriowani w większości do swoich krajów pochodzenia, a nie do Rosji? Ile osób z tych grup trzeba włączyć do liczby „zamordowanych przez Polaków”, aby osiągnąć „pożądaną” liczbę co najmniej 60 tysięcy osób?

4. Niezbity i obciążający naturalnie polską stronę pozostaje fakt, że wiele tysięcy jeńców Armii Czerwonej (wciąż trudna do podważenia – mimo waszych wysiłków – pozostaje liczba 16-18 tysięcy ustalona przez toruńskiego badacza, Zbigniewa Karpusa) zmarło w polskiej niewoli: najczęściej wskutek chorób zakaźnych, często także z „głodu i chłodu”. To nasz wstyd. I macie wszelkie prawo przypominać nam o nim. Ale – jako uczciwi badacze – czy możecie go przypominać bez jego historycznego kontekstu? Dlaczego zatem, po pierwsze, nie przypomnicie swoim rosyjskim czytelnikom, ile setek tysięcy żołnierzy Armii Czerwonej zmarło na choroby zakaźne lub z powodu złych warunków sanitarnych i żywieniowych w latach 1919-1920? Procentowo nie mniej, niż zmarło jeńców Armii Czerwonej w polskiej niewoli. Po drugie, warto, byście przypomnieli także, ilu polskich żołnierzy zmarło w tym samym czasie z tych samych powodów po polskiej stronie frontu. Taka była tamta wojna: biedna, głodna, „dziadowska”, odbywająca się w warunkach największej katastrofy epidemiologicznej w XX wieku, jaka przetoczyła się bezpośrednio po I wojnie światowej przez całą Europę, zabijając ok. 20 milionów ludzi.

5. Przypominacie egzekucje (morderstwa) dokonywane na jeńcach z Armii Czerwonej bezpośrednio w czasie trwania walk na froncie. Nie wszystkie są udokumentowane (i zapewne nie wszystkie będą) – głównym źródłem są tu wspomnienia świadków, to jest tych, którzy przeżyli. Czy bierzecie także pod uwagę relacje innych świadków – od *Dziennika* Izaaka Babla poczynając, a na setkach polskich świadectw kończąc – którzy mówią o okrutnych egzekucjach na polskich jeńcach, dokonywanych przez kawalerzystów z Konarmii czy żołnierzy Tuchaczewskiego? Czy chcecie udowodnić, że po stronie polskiej więcej było takich zbrodni – bezpośrednio na zapleczu frontu? Jak to zrobicie?

6. Wspominając smutną i kompromitującą stronę polską – mimo wszystkich kontekstów – sprawę jeńców z Armii Czerwonej, którzy nie przeżyli polskiej niewoli, czy chcecie przypominać swoim rosyjskim czytelnikom o tysiącach polskich żołnierzy, którzy nie przeżyli sowieckiej niewoli roku 1920? Przypomnijmy



my: z niewoli tej wróciło 26 440 jeńców, w tym – szokująco niska liczba – 418 oficerów. A gdzie reszta, jeszcze blisko 20 tysięcy jeńców polskich? Czy wszyscy wybrali służbę nowej, sowieckiej ojczyźnie? Jak wskazują na to dokumenty, zebrane przez toruńskich historyków w tomie *Zwycięzcy za drutami. Jeńcy polscy w niewoli (1918-1921)* (Toruń 1995), wiele tysięcy polskich jeńców zostało zamordowanych bądź zmarło z powodu podobnie złych warunków sanitarnych i żywieniowych w sowieckich obozach jak te, które panowały wówczas w polskich. Czy to tylko polskie wymysły?

7. Upominacie się o pamięć dla wszystkich ofiar polskich zbrodni na jeńcach Armii Czerwonej. Były takie zbrodnie (choć – podkreślę to raz jeszcze – nieporównywalne z zaplanowanym katyńskim ludobójstwem) – i powinnością historyków tak rosyjskich, jak i polskich jest odsłonić je możliwie jak najdokładniej. I upamiętnić. Tak jak zbrodnie sowieckie na jeńcach polskich w roku 1920, których także – oczywiście – ze zbrodnią katyńską porównać nie można. Ale czy chcecie pamiętać, że strona polska w tym „rachunku krzywd” ma jeszcze do przypomnienia, zbadania i upamiętnienia szereg innych wielkich i zaplanowanych zbrodni sowieckich na obywatelach polskich w wieku XX? Może powinniście zapytać na przykład, dlaczego sowiecka prokuratura wojskowa nie chce odpowiedzieć na prośbę polskiego Instytutu Pamięci Narodowej o pomoc w wyjaśnieniu odpowiedzialności za śmierć od 20 do 50 tysięcy (według różnych szacunków) polskich więźniów tuż po agresji niemieckiej na ZSRR, w dniach 22-29 czerwca? Przypomnijmy więc my, że w więzieniach NKWD, m.in. we Lwowie, Mińsku, Borysławiu, Równem, Łucku, Oszmianie, Stryju, Berdyczowie, Smoleńsku, Kijowie, Charkowie dokonano wtedy masowych egzekucji Polaków. Wydaje się nieprawdopodobne, aby była to samorzutna decyzja poszczególnych naczelników więzień. Decyzja zabijania więźniów na skalę masową (w dwóch tylko lwowskich więzieniach – w tzw. Brygidkach i na Zamarstynowie – w ciągu kilkunastu godzin zastrzelono bądź dobito pałkami 4 tysiące Polaków) musiało być postanowione na wyższym szczeblu. Czy jesteście gotowi pomóc w wyjaśnieniu tej zbrodni? W przygotowaniu tak samo obszernego, drobiazgowego tomu dokumentów jak ten na temat losu jeńców z Armii Czerwonej w roku 1920, który przy pomocy polskiej Naczelnej Dyrekcji Archiwów Państwowych ukazał się właśnie w Moskwie?¹

8. Z wielu publikacji, jakie pojawiają się w Rosji w ostatnich kilkunastu latach, wynika sugestia, że Katyń był (jeśli w ogóle był...) poniekąd zasłużoną odpowiedzią na wcześniejszą zbrodnię polską roku 1920. Tak, to była odpowiedź, ale zbrodnia polska polegała tu na tym, iż w sierpniu 1920 roku zatrzymany został pochód „niezwyciężonej Armii Czerwonej” na Warszawę i Lwów. Szczególnie komisarz polityczny Frontu Południowo-Zachodniego, któremu nie udało się wówczas zdobyć Lwowa, musiał dotkliwie czuć to upokorzenie. Józef Stalin, bo on był tym komisarzem, już w 1918 roku obiecywał obalenie polskiego „przepierzenia” (*sriedostienija*), stojącego na drodze do Berlina i zachodu Europy. Tymczasem ta słaba albo – by przypomnieć wyrażenie Klimenta Woroszyłowa z września 1920 roku – „przekłeta, ciemna” Polska pokonała potężną siłę sowieckiej maszyny państwowej i militarnej. To było upokorzenie, które Stalin zmył krwią. Ale czy pamiętacie, że zmył je krwią nie w Katyniu, ale już dużo wcześniej – w rozprawie z polską mniejszością w ZSRR w latach trzydziestych? Czy historycy rosyjscy nie powinni się zająć np. konsekwencjami dyrektyw Politbiura z 5 listopada 1934, 9 sierpnia 1937, 31 stycznia 1938 roku, które praktycznie doprowadziły do fizycznej likwidacji większości Polaków w ZSRR? Polacy nie byli w owych czyszkach jedną z wielu ofiar, ale byli ofiarą „uprzywilejowaną”. Jak obliczył historyk z Uniwersytetu Harvarda, Terry Martin, (w swoim studium *Affirmative Action Empire. Nations and Nationalism in the Soviet Union, 1923-1939*, Ithaca & London 2001) w Leningradzie, gdzie było największe skupisko Polaków w latach 1937-1938, przedstawiciele tej właśnie narodowości egzekucje NKWD dotknęły 31 razy bardziej niż wynosiła średnia statystyczna egzekucji czasu Wielkiej Czystki dla tego miasta. Wciąż bardzo mało wiemy o tej pierwszej w ZSRR próbie eksterminacji jednej narodowości. Może i tym zechcielibyście się zająć?

9. Tę tragiczną wyliczankę możemy ciągnąć długo jeszcze. Ale czy warto? Może zamiast tego warto na koniec postawić jedno zasadnicze pytanie, bez odpowiedzi na które dialog nie będzie niestety możliwy.

¹ *Красноармейцы в польском плену в 1919-1922 гг.: Сборник документов и материалов* / Редкол.: Рос. ред.: В.П. Козлов (пред.) и др., Пол. ред. Д. Наленч (пред.) и др. Сост. Н.Е. Елисеєва, С.С. Войтиков, Ю.В. Иванов и др.; Федер. арх. агентство России и др., Ген. дирекция гос. Архивов Респ. Польша. – М.: Летний сад, 2004, 912.



Brzmi ono tak: czy utożsamiacie się z systemem państwowym, który odpowiada nie tylko za Katyń, nie tylko za setki innych zbrodni popełnionych na obywatelach polskich, ale przede wszystkim odpowiada za miliony zbrodni popełnionych na Rosjanach i innych narodach poddanych jego władzy? Czy chcecie obchodzić zbliżające się święto końca II wojny jako święto bohaterskich żołnierzy, których tyle milionów poległo na głównym froncie tej wojny – na drogach od Moskwy do Berlina, czy też chcecie je obchodzić jako święto mocarstwa, którego głównym patronem jest Stalin? Jeśli wybieracie to drugie rozwiązanie, to pamiętajcie tyle, ile my pamiętamy: że Generalissimus odpowiada za śmierć większej liczby Rosjan niż Hitler. Jeśli bronicie „honoru” systemu i państwa sowieckiego, a nie indywidualnego bohaterstwa jego żołnierzy, którzy padli w słusznej sprawie walki z Hitlerem, to czy zechcecie pamiętać także, iż sowieckie państwo wspólnie z Hitlerem zaczęło II wojnę: od paktu Ribbentrop-Mołotow, od wspólnej napaści na Polskę 17 września i od porozumień gestapo-NKWD w sprawie zwalczania polskiego podziemia niepodległościowego. Czy zechcecie pamiętać tę smutną prawdę, iż żołnierze Armii Czerwonej – na rozkaz Stalina – musieli służyć także złej sprawie: ujarzżenia Polski, Litwy, Łotwy, Estonii, Mołdawii w latach 1939-1940, a potem – ponownie – całej Europy Środkowo-Wschodniej od 1944 roku?

10. System sowiecki stworzył wielkie imperium – kosztem jeszcze większych zbrodni. Czy zdajecie sobie sprawę, że jeśli szukacie ich usprawiedliwienia, ich „odpowiedników”, w działaniach narodów-ofiar tego systemu, wyrządzacie także krzywdę temu narodowi, który poniósł ofiarę największą – narodowi rosyjskiemu?



Kolumna jeńców radzieckich w drodze do obozu w Rembertowie

Jerzy Pomianowski

PRZYCZYNEK DO DZIEJÓW DEZINFORMACJI

Sprawa losu czerwonoarmistów wziętych do niewoli przez Wojsko Polskie w 1920 stała się stałym elementem kampanii siania wśród Rosjan nienawiści do Polski i Polaków. Zaczęła ją skrajnie nacjonalistyczna część prasy rosyjskiej, ale zaraza, niestety, się szerzy. Przypomnieć więc wypada, że ta kampania po to została wszczęta, aby zrewanżować się nie za jakieś rzekome fałsze i oszczerstwa polskiej strony – lecz za jej proste domaganie się jawnych, prawnych wniosków z pamiętnego i godnego szacunku aktu, dokonanego przez najwyższe władze rosyjskie. Prezydent Federacji Rosyjskiej wręczył historyczne dokumenty – wśród nich decyzję Politbiura WKP(b) z 5 marca 1940 – prezydentowi Polski, uroczystie potwierdzając, że internowani w Starobielsku, Kozielsku, Ostaszkowie oficerowie polscy zgładzeni zostali wiosną 1940 na rozkaz Stalina. Kto temu przeczy, zadaje tym samym kłam rosyjskiemu kierownictwu, rosyjskiemu prawu, rosyjskiej historii.



W tym właśnie duchu działają też autorzy, twierdzący, że Katyń był jedynie odwetem, należącym się Polakom za eksterminację jeńców sowieckich w 1920 roku. Niektórzy z nich posuwają się do twierdzenia, że chodzi o 80 000 takich ofiar, co równa się niemal ogólnej liczbie wziętych do polskiej niewoli sowieckich żołnierzy, jaką wymieniają (z niewielką różnicą) obaj naczelni dowódcy kampanii – i Piłsudski, i Tuchaczewski (liczby te widnieją w polskim, wspólnym wydaniu obu sprawozdań, zleconym przez Piłsudskiego).

Podobne głosy musimy z żalem uważać za fragmenty operacji dezinformacyjnej, mającej na celu zatarcie w oczach Rosjan śladów zbrodni katyńskiej. Operacja ta, niestety, trwa.

Bynajmniej nie negując męczarni i poniewierki jeńców sowieckich w Polsce, stwierdzamy, że jedno jest pewne: w 1920 nie byli oni w Polsce mordowani celowo i z premedytacją. Nie może być tu żadnego porównania z planową i dosłowną eksterminacją, zadekretowaną przez Politbiuro KC WKP(b) w marcu 1940 roku wobec internowanych oficerów polskich, przeważnie rezerwistów, inteligentów. Ten sam plan gilotynowania narodów stosował Stalin wobec własnych poddanych – Czuwaszów, Ukraińców, samych Rosjan wreszcie.

Nie trzeba tu żadnych sporów o cyfry, nawet takie jak – przytoczona przez profesora Nowaka – liczba 65 797 jeńców sowieckich, którzy wrócili przeciw z polskiej niewoli w drodze powojennej wymiany. Niech przemówią świadectwa osobiste.

Oto wymowny przypadek, przytoczony w pamiętnikach wybitnego polskiego pisarza i historyka Pawła Jasienicy:

„Czytuję teraz pilnie ukazujące się w «Wojskowym Przeglądzie Historycznym» wspomnienia generała Jerzego Bordziłowskiego. W roku 1920 służył on w Armii Czerwonej. Dostał się do niewoli polskiej. Kolumna jeńców znalazła się w poważnym niebezpieczeństwie, gdy dostrzegli ją jacyś kozacy, co przeszli poprzednio na stronę wojsk Piłsudskiego. Szykowali się już do szarży i rąbania, gdy na rozkaz dowodzącego podoficera poznawszy piechurzy konwoju podnieśli broń, gotowi oddać salwę w tłum sojuszników, a to w obronie bezbożnych komunistów, czerwonych bolszewików, jeńców wojennych ochronionych przez prawo.

Ten fragment generalskiego pamiętnika dobrze jakoś przylega do moich osobistych wspominków.

Wolno każdemu wedle woli oceniać wyprawę kijowską Józefa Piłsudskiego. Moim zdaniem, stanowiła ona próbę powrotu Europy w udręczone strony”.

Jerzy Bordziłowski wrócił z polskiej niewoli do Związku Radzieckiego. Jako oficer służył w Armii Czerwonej, a w 1944 roku – już jako generał – został oddelegowany do Ludowego Wojska Polskiego, w którym pełnił coraz wyższe funkcje aż do stanowiska szefa Sztabu Generalnego w latach 1954-1965. Był on ostatnim oficerem Armii Czerwonej w Wojsku Polskim. Opuścił Polskę w 1968 roku i wrócił do swojej sowieckiej ojczyzny.

Dodajmy, że – jak widać – uniknął on wstrząsającego losu innych sowieckich żołnierzy, którzy po wojnie 1920 roku wrócili z polskiej niewoli do domu. Znaczna ich część zginęła w latach Wielkiej Czystki 1937-1938 roku, skazana przez sławetne „trojki” OSO właśnie za to, że udało jej się z polskich obozów jenieckich wrócić bez szwanku; motywem oskarżenia tych rodowitych Rosjan była ich przynależność do... polskiej organizacji tajnej POW, rzekomo działającej wtedy w ZSSR. Dowodem są tu choćby dokumenty odnalezione przez majora Olega Zakirowa w archiwach smoleńskiej komendy KGB i publikowane w bieżących numerach naszego pisma.

Aby ostatecznie usunąć z naszego wspólnego pola widzenia chwasty dezinformacji, celowo zaciemniającej sens tej bolesnej sprawy, musimy przypomnieć tu pewien jaskrawy przykład, przytoczony w „Nowej Polsce”.

W numerze 11/2001 zamieściliśmy wspomnienia jednej z tych ofiar Wielkiej Czystki – komisarza RKK, Jakowa Podolskiego (N.A. Waldena), nadesłane przez córkę Autora, Natalię Podolską, znakomitą tłumaczkę i pisarkę rosyjską. Tekst wspomnień obfitował w drastyczne opisy szykan i cierpień sowieckich jeńców w polskiej niewoli w 1920, jednocześnie jednak dowodził wyraźnie, że Polacy nie dopuścili się i nie planowali ich masowej eksterminacji.

W piśmie „Nasz Sowremiennik” (nr 5/2002) jego redaktor, Stanisław Kuniajew, oskarżył „Nową Polskę” o manipulację i świadome zniekształcenie tego tekstu. W nr. 3/2004 „Nowej Polsce” Natalia Podolska odparła zdecydowanie to oskarżenie, dowodząc, że nasza redakcja nie zmieniła ani jednego słowa w tekście,



Jeniec radziecki z pilnującym go małoletnim żołnierzem polskim

który nam nadesłała z własnej inicjatywy. Córka autora skróciła jedynie dla potrzeb naszego szczupłego miesięcznika obszerną opowieść (zamieszczoną w *tolstom żurnale* „Nowyj Mir” w roku 1931 i praktycznie niedostępną w Polsce), nie zmieniając nawet o jotę wymowy opisanych wydarzeń ani politycznego wydźwięku wspomnień ojca. Zarzucać naszemu pismu, że w tych warunkach zamieściło ten gorzki, dotkliwy dla polskiego dobrego samopoczucia i uderzająco prawdopodobny wyciąg ze wspomnień jeńca, nie zaś pełny ich komplet – jest obraźliwym nonsensem. W swoim artykule *W obronie prawdy* Natalia Podolska przytoczyła szereg – pominiętych uprzednio w jej skrócie – wyjątków ze wspomnień ojca, świadczących o częstych objawach współczucia polskiego otoczenia dla sowieckich jeńców. Z oburzeniem uznała oskarżenia „Naszego Sowremiennika” nie tylko za bezzasadne pomówienie, lecz za świadomą dezinformację, mającą na celu szczucie czytelników rosyjskich na Polskę i Polaków.

2005, nr 4



Aleksandr Czerkasow

WSPÓLNY LOS

Rosja przekaże materiały „sprawy katyńskiej” stronie polskiej – poinformował Sergiej Ławrow, minister spraw zagranicznych Rosji, na spotkaniu z Włodzimierzem Cimoszewiczem, ówczesnym ministrem spraw zagranicznych Polski, 16 grudnia 2004 roku.

Zamordowanie w 1940 roku ponad dwudziestu tysięcy ludzi – oficerów, urzędników państwowych, przedstawicieli inteligencji – stało się chyba najboleśniejszą sprawą w stosunkach polsko-rosyjskich.

Ale dlaczego sprawa ta nazywana jest polską? Przecież w Katyniu w latach Wielkiego Terroru potajemnie rozstrzeliwano także obywateli radzieckich (inne znaleziska z tych miejsc, określane mianem „smoleńskiego archiwum”, przechowywane w siedzibie Obwodowego Komitetu WKP(b), zostały zabrane i wywiezione przez Niemców – one mogłyby niejedno wyjaśnić i w tej sprawie). Rosjanie nie mniej od Polaków zainteresowani są w odkryciu prawdy o „wielkiej epoce”, jeśli oczywiście nie chcą „powtórek z historii”. Można przypomnieć niektóre daty. Kiedy, na przykład, ZSRR przystąpił do II wojny światowej? Odpowiedź, że 22 czerwca 1941 roku. A wcale nie – było to 17 września 1939 roku, u boku hitlerowskich Niemiec. Jednak teraz, w 60. rocznicę zwycięstwa, trochę jakby niezręcznie przypominać ten fakt. Ale jednak, oprócz paktu Ribbentrop-Mołotow, podpisanego 23 sierpnia 1939 roku, miał miejsce wspólny z Wehrmachtem atak w Brześciu 22 września tegoż roku i „Umowa o przyjaźni i granicy” z 28 września...

Lista spraw trudnych na tym się nie kończy. 1 sierpnia 1944 roku w obliczu ofensywy radzieckiej w Warszawie wybuchło powstanie. Polacy liczyli na pomoc armii radzieckiej, jednak front zatrzymał się, ponieważ powstańcy byli „nieprawomyślni”, uznawali bowiem rząd londyński – i naziści ich pokonali. Już w połowie lat czterdziestych z tego samego powodu „wyzwoliciele” mordowali partyzantów z Armii Krajowej. Oprócz tego były represje, wywózka na Sybir – jednym słowem normalne działania władzy radzieckiej...

Upłynęło wiele czasu, ale pytania pozostały. Wydawałoby się, że teraz będzie już łatwiej – przecież Polska w zasadzie nie graniczy obecnie z Rosją. Problemy powinny dotyczyć spraw polsko-ukraińskich, między innymi terenów tzw. Zachodniej Ukrainy, „dobrowolnie przyłączonych” do Ukrainy, a mówiąc krótko – oderwanych od Polski zgodnie z paktem z 1939 roku. Do tego jeszcze przed II wojną światową Ukraińska Armia Powstańcza (UPA) wymordowała wielu Polaków mieszkających na wspomnianych terenach – a i Polacy odpowiadali „ciosem na cios”.

Jednakże kryzys polityczny na Ukrainie, do którego doszło jakiś czas temu, pokazał, że te sprawy już nie kładą się cieniem na wzajemnych stosunkach braci Słowian: prezydent Aleksander Kwaśniewski, nie zwlekając, wystąpił w Kijowie w charakterze negocjatora podczas rozmów obu stron konfliktu. A co zrobiła Rosja? Chyłkiem wysłała przewodniczącego Dumy Państwowej Borysa Gryzłowa, chociaż z racji zajmowanego stanowiska i zaistniałych okoliczności do Kijowa powinien przyjechać Władimir Putin. Jednak rosyjski prezydent wykluczył siebie z grona negocjatorów, ponieważ wystąpił w roli „zaufanego człowieka” Wiktora Janukowycza. I w ogóle niezbyt eleganckie zachowanie „starszego brata” nie sprzyjało powstaniu atmosfery przyjaźni i zaufania – zbyt przypominało stare czasy. Polacy – to całkiem inna sprawa – mają wiele wspólnego z Ukraińcami. Był Katyń, ale były i masowe rozstrzelania osadzonych z więzień na obecnym terytorium Ukrainy w czerwcu 1941 roku, podczas odwrotu Armii Czerwonej. Ostra walka przeciwko partyzanckim oddziałom – zarówno Ukraińskiej Armii Powstańczej, jak i Armii Krajowej – to także część wspólnej historii obu narodów.

Problem tkwi w tym, że współczesna Rosja nie określiła, której Rosji jest spadkobiercą – tej Rosji, która według określenia Anny Achmatowej – „sadzła”, czy też tej, która „siedziała”? Tych, którzy polegli wraz z polskimi oficerami w Katyniu, czy tych, którzy stali na brzegu grobu z pistoletem w ręku?

Przyszłość naszej przyjaźni z sąsiadami w dużym stopniu zależy od odpowiedzi na to wewnętrzne „rosyjskie pytanie”.

„Jeżeniedielnyj Żurnał” (www.ej.ru), 17.12.2004 r.

2005, nr 3

Thum. Hanna Miązek



Aleksiej Pamiatnych

NIEPOSPOLITA KSIĄŻKA O KATYNIU

Pamięci Andrzeja Przewoźnika

W ubiegłym roku, w 70. rocznicę mordu katyńskiego, w Polsce wydano dziesiątki ciekawych i ważnych książek o Katyniu. Wśród autorów znaleźli się Andrzej Kunert, Wojciech Materski, Jarema Maciszewski. Opublikowano również bardzo bogaty zbiór materiałów IPN, a także materiały z tradycyjnej corocznej sesji na Zamku Królewskim w Warszawie (po raz pierwszy był na niej obecny przedstawiciel Ambasady Rosji).

Jednak, nawet na tle tak ważnych publikacji, książka Andrzeja Przewoźnika i Jolanty Adamskiej *Katyń. Zbrodnia, prawda, pamięć* (Warszawa, Świat Książki, 2010) wyróżnia się najbardziej wyczerpującym przedstawieniem całej historii katyńskiej zbrodni, późniejszych kłamstw, oficjalnego uznania przez ZSRR/Rosję odpowiedzialności radzieckich władz i NKWD za mord, nowego radzieckiego/rosyjskiego i polskiego śledztwa, utworzenia polskich cmentarzy wojskowych w miejscach pochówku ofiar, utajniania i odtajniania materiałów współczesnego śledztwa itd. Oto dlaczego pozwoliłem sobie skupić się na recenzji tej jednej książki.¹

Podam jeszcze dwie okoliczności będące dla mnie bodźcem do zajęcia się tą pozycją. Po pierwsze książka Andrzeja Przewoźnika, historyka z wykształcenia, niestrudzonego badacza, który zginął w katastrofie smoleńskiej 10 kwietnia, jest niewątpliwie najważniejszą publikacją w jego życiu. Włożył w pracę nad nią mnóstwo sił i planował, że zostanie wydana w 70. rocznicę zbrodni katyńskiej. Obowiązki państwowe autora, związane właśnie z Katyniem, nie pozwoliły mu dotrzymać terminu. Jako sekretarz Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa (stanowisko to jest w randze ministra, Andrzej Przewoźnik pracował na nim 18 lat) był jednym z organizatorów wizyty polskiej delegacji w Katyniu 10 kwietnia 2010 roku (liczyła ona prawie 100 osób), uczestniczył również w spotkaniu premierów Polski i Rosji w Katyniu 7 kwietnia. Oprócz tego należał do Rosyjsko-Polskiej Grupy (Komisji) do Spraw Trudnych, dla której sprawa Katynia w stosunkach między obiema stronami była jedną z podstawowych². Pracę nad książką dokończyła Jolanta Adamska, która była współpracownicą i pomocnicą Andrzeja Przewoźnika na przestrzeni wielu lat. Razem z Jolantą Przewoźnik, wdową po panu Andrzeju, pokonały wszystkie problemy wydawnicze, realizując w końcu, według ich słów „wolę i gorące życzenie” Autora.

¹ Chciałem nazwać tę recenzję bardziej konkretnie – „*Katyń*” Andrzeja Przewoźnika. Jednak w świetle dość rozpowszechnionych w Polsce absurdalnych hipotez o smoleńskiej katastrofie lotniczej z 10 kwietnia 2010 roku jako o rosyjskim lub rosyjsko-polskim spisku przeciwko prezydentowi Lechowi Kaczyńskiemu i polskiej elicie, taki tytuł mógłby być postrzegany także jako wpisujący się w nurt teorii spiskowej – dokładnie tak, jak stworzone przez niektórych nedoręczne określenie smoleńskiej katastrofy mianem „*Katyń – 2*”. Powstało także stowarzyszenie radykalnie nastawionych obywateli i krewnych niektórych ofiar, nazwane „*Katyń – 2010*”. O tym w ogóle nie trzeba by mówić, jednak tak wymowne nazwy i teoria spiskowa cieszą się popularnością wśród zwolenników głównej partii opozycyjnej PiS Jarosława Kaczyńskiego – brata prezydenta Polski, który zginął w tej katastrofie. Możliwe, że niektórzy posługują się tymi nazwami, nie myśląc o ich znaczeniu. Ale, pomimo jawnego lub ukrytego twierdzenia o teorii spiskowej, takie nazwy obrażają pamięć polskich oficerów, którzy zginęli w Katyniu, porównując prawdziwą państwową zbrodnię w 1940 roku do mitycznej. Śledztwo ujawni, jakie okoliczności i czyje błędy doprowadziły do katastrofy samolotu, ale traktować ją jako zbrodnię państwową i dopatrywać się w niej analogii do zbrodni katyńskiej mogą wyłącznie ludzie z bujną wyobraźnią.

² Całkiem niedawno efekty prac Grupy (Komisji) do Spraw Trudnych znalazły się w obszernej wspólnej publikacji *Białe plamy – czarne plamy. Sprawy trudne w relacjach polsko-rosyjskich (1918-2008)* pod redakcją A.W. Torkunowa i A.D. Rotfelda. Wyd. Aspekt Press, 2010. W publikacji znalazły się dwa artykuły o Katyniu: N.S. Lebiediewej i A. Przewoźnika, wzajemnie się uzupełniające; przedstawiono w nich krótko historię zbrodni i wszystkie późniejsze wydarzenia dotyczące sprawy katyńskiej. Polskie wydanie książki ukazało się przed wizytą prezydenta Rosji D.A. Miedwiediewa w Polsce.



Po drugie bardzo odczuwa się brak współczesnej solidnej książki o Katyniu w języku rosyjskim. Szczególnie na tle wydanych w dużych nakładach kilku książek zwolenników kłamliwej stalinowskiej wersji o odpowiedzialności Niemców za zbrodnię katyńską, dokonaną rzekomo przez nich w 1941 roku, a nie przez NKWD w 1940. Oczywiście, w ostatnim dwudziestoleciu opublikowano kilka ważnych książek – Włodzimierza Abarinowa (1991), Natalii Lebediewej (1994), Inessy Jazborowskiej, Anatolija Jabłokowa i Walentyny Parsadanowej (2001, II wyd. 2009), a także dwutomowy zbiór dokumentów katyńskich (1999 i 2001), zebrany i opracowany przez rosyjskich i polskich specjalistów z Natalią Lebediewą i Wojciechem Materskim na czele. Jednak nadal brakowało książki wyczerpująco omawiającej historię zbrodni katyńskiej i całość dalszych wydarzeń, z przytoczeniem licznych polskich publikacji, praktycznie nieznanymi rosyjskiemu czytelnikowi. Książka Andrzeja Przewoźnika wypełnia doskonale istniejącą lukę. Umieszczono w niej mnóstwo nowych szczegółów, zebranych osobiście przez autora w archiwach oraz przez Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa.

Oprócz tego, w ogromnym stopniu dzięki organizatorskim zdolnościom Przewoźnika i jego całkowitemu oddaniu sprawie, zostały pomyślnie sfinalizowane plany utworzenia polskich cmentarzy wojskowych w miejscach odnalezienia ciał Polaków zamordowanych w Katyniu, Miednoje i Charkowie. Cmentarze te zostały uroczystie otwarte latem i jesienią 2000 roku, w 60. rocznicę tragedii – Andrzej Przewoźnik „z pierwszej ręki” opisuje historię ich powstania.

Książka Andrzeja Przewoźnika składa się z 14 rozdziałów, 7 załączników oraz, napisanych przez Jolantę Adamską, wstępu i zakończenia. Na równi z licznymi przypisami do tekstu zamieszczona jest bibliografia, licząca aż 110 pozycji. Publikacja zawiera również pełną imienną listę ofiar – 15 stron gęstego tekstu. Słowo wstępne napisał Jerzy Buzek, były premier Polski, obecnie przewodniczący Parlamentu Europejskiego. Cała książka zawiera 972 strony tekstu i 91 ilustracji. Już te dane liczbowe świadczą o gruntowności badań.

Specyfiką książki, wyraźnie odróżniającą ją od większości innych publikacji katyńskich, jest odnośnienie się w niej do konkretnych przykładów i cytatów (ze zbiorów prywatnych i z trudno dostępnych źródeł archiwalnych), które składając się w pełen obraz lub wzmacniając i uzupełniając znane wcześniej ogólne informacje, potwierdzają wiarygodność treści książki.

W pierwszych dwóch rozdziałach autor krótko przedstawia historię Polski w XX-leciu międzywojennym i – bardziej szczegółowo – jej IV rozbiór jesienią 1939 roku, na podstawie paktu Ribbentrop-Mołotow oraz porozumienia o przyjaźni i granicy między ZSRR i Niemcami.

Dwa kolejne rozdziały poświęcone zostały powstaniu i roli specjalnych obozów NKWD dla polskich jeńców wojennych oraz dokładnemu opisowi obozowego życia jeńców. Armia Czerwona wzięła do niewoli około 240-250 tysięcy polskich żołnierzy, wliczając w to około 10 tysięcy oficerów. Po raz pierwszy opisane zostały losy gen. Mieczysława Smorawińskiego – wzięcie do niewoli, osadzenie w obozie w Kozielsku, rozstrzelanie w Katyniu lub Smoleńsku w kwietniu 1940 roku i odnalezienie jego ciała przez Niemców w grobie katyńskim trzy lata później.

Potem, kiedy większość szeregowych żołnierzy i podoficerów do stopnia sierżanta wypuszczono do domów lub dokonano wymiany jeńców ze stroną niemiecką, pozostałych oficerów, policjantów, żandarmów, funkcjonariuszy służby więziennej, pograniczników itp. umieszczono w trzech obozach specjalnych NKWD, zabudowaniach klasztorów – w Kozielsku (Pustelnia Optyńska), Starobielsku i niedaleko Ostaszkowa (pustelnia Niła). Według wykazów na koniec 1939 roku znajdowało się w nich 15105 jeńców, z których 56% miało stopień oficerski Wojska Polskiego. W tej grupie było 55% oficerów rezerwy, prawie 45% czynnej kadry oficerskiej i 650 oficerów w stanie spoczynku. Autor opisuje obozy, obozowe życie jeńców i ich „rozpracowywanie” przez czekistów. Szczególnie dokładnie opisana jest postać majora służby bezpieczeństwa, Wasilija Zarubina, prowadzącego przesłuchania w Kozielsku i wyróżniającego się inteligencją. Do obozu przywiózł ze sobą około 500 książek – rosyjskich, francuskich, angielskich i niemieckich – z których pozwalał korzystać więźniom (później, w latach Wielkiej Wojny Ojczyźnianej, Wasilij Zarubin był rezydentem radzieckiego wywiadu w USA i brał udział w wykradaniu ich atomowych tajemnic)³. Zwrócono również uwagę na to, że spośród 4 generałów przebywających w Kozielsku, największym autorytetem odznaczał

³ Została wydana książka w języku rosyjskim o rodzinie Zarubinów: E. Stawinskij, – *Zarubinowie: rodzinna rezydentura*. Wyd. OLMA-Press, 2003. Okres kozielski w życiu W.M. Zarubina został w niej przemilczany.



się, najwyższy rangą, generał dywizji Henryk Minkiewicz, jednak niezbyt często opuszczał on swoje pomieszczenie. Autor przytacza rzadko wspominany fakt, wyjaśniający, dlaczego ciało Minkiewicza nie było rozpoznane w grobach katyńskich podczas ekshumacji w 1943 roku. Otóż generał Minkiewicz został zatrzymany w poszarpanym cywilnym ubraniu.

Autor przytacza i inne dokumenty dotyczące jeńców (są one także opublikowane w różnych innych miejscach, lecz tutaj zostały zebrane w całość). Na przykład dane o narodowości jeńców. Na 28 lutego 1940 roku spośród 14466 więźniów Kozielska, Starobielska i Ostaszkowa 14188 to Polacy, pozostali: 160 Żydów, 51 Białorusinów, 33 Ukraińców, 16 Niemców, 9 Litwinów, 3 Czechów, 2 Rosjan i po 1 Łotysz, Węgry, Gruzini i Bułgarze. Dane o śmiertelności w obozach: w Ostaszkowie zmarło 45 jeńców (wg innego źródła – 92, główną przyczyną była gruźlica) w Starobielsku – 32, w Kozielsku – 31.

Rozdział piąty jest zatytułowany *Zabójstwo*. Zaczyna się od przytoczenia znanej notatki Berii, którą autor omyłkowo datował na 5.03.1940 roku. W rzeczywistości nie została na niej wpisana data wysłania korespondencji, w Sekretariacie NKWD przystawiona została tylko pieczęć „...marca 1940”. Po porównaniu notatki z innymi dokumentami widać, że notatka (w formie propozycji) została zarejestrowana najprawdopodobniej 29 lutego 1940 roku, a później, bezpośrednio przed posiedzeniem Biura Politycznego KC WKP(b) 5 marca lub w przeddzień, uzupełniona datą z 3 marca. Występuje jeszcze jedna niewielka nieścisłość, powtarzająca się we wszystkich polskich publikacjach, w których mówi się o notatce Berii. Na ostatniej stronie notatki znajduje się odrębna uwaga sekretarza – „wyp. Beria” (wyciąg z uchwały Biura Politycznego, przyjętej w sprawie powyższej notatki i powtarzającej propozycję rozstrzelania, skierowaną do Berii). We wszystkich polskich wydawnictwach ta uwaga jest interpretowana nieprawidłowo jako „wyk.(onać). Beria”. W objaśnieniach do przytoczonych dokumentów również są nieścisłości. Stalin jest nazwany Sekretarzem Generalnym WKP(b) i marszałkiem ZSRR, podczas gdy w 1940 roku funkcja Sekretarza Generalnego nie istniała, Stalin był jednym z kilku sekretarzy KC WKP(b), marszałkiem został dopiero w 1943 roku. Przy całej wiarygodności, jest niedokładność również w stosunku do wspomnianego przez autora rozkazu Berii z 17 marca 1940 roku „O nominacjach na wyższe stopnie wojskowe «współpracowników NKWD», którzy, prawdopodobnie, uczestniczyli w realizacji uchwały o rozstrzelaniu. W rzeczywistości Beria awansował na wyższe stopnie wojskowe niektórych współpracowników NKWD 14 marca 1940 roku, ale konieczne trzeba sprawdzić, na ile ta lista może być związana ze zbrodnią katyńską. Jest jeszcze kilka danych potrzebujących dodatkowego sprawdzenia.

Wykazane nieścisłości nie umniejszają zalet książki Andrzeja Przewoźnika i łatwo mogą zostać usunięte w kolejnym jej wydaniu lub przy tłumaczeniu na inne języki.

Jak wiadomo, 16 marca 1940 roku zostało wydane rozporządzenie zabraniające korespondencji między jeńcami a ich rodzinami (**od końca listopada 1939 roku do tej daty wolno było wysłać jeden list na miesiąc**). Autor przytacza świadectwa, że w rzeczywistości poczta ze Starobielska przestała wychodzić 10 kwietnia, natomiast listy przychodzące rozdawano do 26 kwietnia 1940 roku – mimo że już od początku kwietnia dokonywano systematycznie masowych rozstrzeliwań. Zaznaczony jest także ważny fakt, że w kwietniu, a nawet w maju do obozów docierali nowi więźniowie z innych miejsc – na przykład 14 kwietnia do Kozielska przybyło 3 jeńców ze szpitala w Smoleńsku, a 29 kwietnia 5 jeńców z obozu w Równem.

Autor przytacza liczne świadectwa o wywózce jeńców i o dobrych nastrojach panujących w obozach, ponieważ więźniom mówiono, a i oni sami snuli podobne hipotezy, że zostają wywożeni do Polski, będą przekazani w ręce niemieckie lub do innych obozów, a nawet, że wypuszczą ich do domów. Ci, którzy zostawali – zazdrościli wyjeżdżającym. Autor uważa, i ma ku temu powody, że więźniowie Kozielska byli rozstrzeliwani nie tylko w miejscach znalezionych grobów, ale najprawdopodobniej także w samym Smoleńsku oraz w pomieszczeniach dachy NKWD na brzegu Dniepru. Przedstawia zeznania byłego pracownika Charkowskiego NKWD, Mitrofana Syromjatnikowa, i byłego naczelnika Kalinińskiego UNKWD, Dimitrija Tokariewa, które złożyli przed śledczymi z Głównej Prokuratury Wojskowej ZSRR w 1991 roku, opisując, jak przebiegały rozstrzelania w Charkowie i Kalininie. Z 3 obozów ocalało 395 osób, które zostały wywiezione z nich z różnych powodów.

Szósty rozdział poświęcony jest deportacjom rodzin ofiar Katynia i poszukiwaniom zaginionych oficerów. W literaturze na temat Katynia bardzo mało miejsca poświęca się deportacjom rodzin jeńców



– a ten temat jest niezwykle ważny na przykład dla prób rekonstrukcji tzw. „listy białoruskiej” – do tej pory nie odnaleziono listy 3870 polskich jeńców z więzień na terenach Zachodniej Białorusi, rozstrzelanych na podstawie „katyńskiej” uchwały Biura Politycznego z 5 marca 1940 roku. Dyrektywa o deportacji została podpisana przez Berię 7 marca 1940 roku. Do 15 kwietnia rozkazano wysłać na 10 lat do północnego Kazachstanu wszystkie rodziny jeńców wojennych z 3 obozów oraz aresztowanych z więzień Zachodniej Białorusi i Zachodniej Ukrainy. Autor przytacza wspomnienia dzieci zabitych oficerów, które przeżyły mimo nieludzkich warunków, w jakich się znalazły.

Liczbę Polaków objętych czterema deportacjami w latach 1940-1941, jaką autor podaje wg różnych źródeł, szacuje się na 600-900 tysięcy (nawet do 1,5 miliona osób) wg źródeł polskich i około 400 tysięcy wg Natalii Lebediewej⁴.

Szczegółowo rozpatrywana jest sprawa poszukiwań zaginionych oficerów – poszukiwania prowadziły rodziny, rozsyłając listy i zapytania do Czerwonego Krzyża i do władz radzieckich, a także generał Anders, który w sierpniu 1941 roku rozpoczął tworzenie Wojska Polskiego w ZSRR⁵. Anders utworzył nawet specjalne biuro, kierowane przez Józefa Czapskiego, zajmujące się poszukiwaniem zaginionych na terenie ZSRR oficerów. 3 grudnia 1941 roku generałowie Anders i Sikorski podczas spotkania na Kremlu przedstawili wstępną listę z 3845 nazwiskami poszukiwanych oficerów, ale rzetelnej informacji o ich losie nie otrzymali. Lista zaginionych nieprzerwanie rosła. A wiosną i latem 1942 roku armia Andersa opuściła ZSRR i dotarła na Bliski Wschód, razem z dziesiątkami tysięcy osób cywilnych, głównie kobiet i dzieci.⁶

Pełna niewiedza o losach oficerów trwała do kwietnia 1943 roku, kiedy to Niemcy oznajmili o odnalezieniu w Lesie Katyńskim grobów polskich oficerów. W rozdziale siódmym autor łączy pojedyncze informacje o tym, kiedy Niemcy dokładnie dowiedzieli się o katyńskich grobach Polaków, jak się do tego odnieśli, kiedy rozpoczęli ekshumacje i kiedy oficjalnie o tym poinformowali (11 kwietnia 1943). Stanowisko Polskiego Czerwonego Krzyża i rządu Sikorskiego w sprawie pomordowanych, zapytania polskiego rządu i Niemieckiego Czerwonego Krzyża kierowane do Międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża spowodowały, że ZSRR postanowił „zerwać” stosunki dyplomatyczne z rządem Sikorskiego. Tak więc ujawnienie grobów okazało się być na rękę Stalinowi, ponieważ w ZSRR powstawało już alternatywne centrum polskiej władzy. 1 marca 1943 roku został utworzony Związek Patriotów Polskich, a w maju rozpoczęło się formowanie I Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, podporządkowanej dowództwu armii radzieckiej. Autor przytacza również propozycję Himmlera, aby Ribbentrop zaprosił do Katynia Sikorskiego, co postawiłoby Polaków w „strasznej sytuacji”. Jednak Ribbentrop nie zgodził się.

Rozdziały ósmy i dziewiąty poświęcone są pracom ekshumacyjnym prowadzonym w Katyniu przez Niemców i Komisję Techniczną PCK, a także pracom nad ponownym pochówkiem zwłok w nowych bratnich mogiłach (tak nazywały się cmentarze PCK – na końcu książki po raz pierwszy opublikowany został załącznik do sprawozdania KT PKC, opracowany przez Jerzego Wodzinowskiego, gdzie znajdują się „tablice kolejności” pochówków zwłok, ponumerowanych podczas prac ekshumacyjnych). W sumie w sześciu bratnich mogiłach ponownie pochowano 4231 zwłok i, osobno, ciała 2 generałów – Bronisława Bohatyrewicza i Mieczysława Smorawińskiego. Dokładnie opisany został proces identyfikacji ofiar po odnalezionych przy nich dokumentach, zestawienie niemieckiego i polskiego wykazu rozstrzelanych, a także organizacja prac: kto dokładnie i gdzie prowadził badanie zwłok i znalezionych dokumentów, kto i za co odpowiadał – zarówno po stronie niemieckiej, jak i polskiej. Tak szczegółowego opisu do tej pory nie opublikowano nigdy i nigdzie. Podane zostały także daty i skład wieloosobowych delegacji, włączając w to krótki pobyt międzynarodowej delegacji lekarzy i „wycieczki” jeńców wojennych z różnych krajów, których Niemcy przywozili do Katynia w celach propagandowych.

⁴ Dodam tu także dobrze udokumentowane szacunki Aleksandra Gurjanowa z moskiewskiego „Memoriału”, zgodnie z którymi radzieckie represje polityczne na byłych polskich terytoriach objęły w 1939-1941 około 500 tysięcy osób, włączając w to 45 tysięcy jeńców wojennych i internowanych, 110 tysięcy aresztowanych i 330 tysięcy deportowanych.

⁵ Rosyjski przekład wspomnień generała Andersa *Bez ostatniego rozdziału* (z posłowiem Natalii Lebediewej) opublikowano w 1990 roku w piśmie „Inostrannaja Litieratura”, jest on również w Internecie – na stronie Centrum Sacharowa.

⁶ Armii generała Andersa jest poświęcony okolicznościowy artykuł N.S. Lebediewej, napisany w oparciu o dokumenty z rosyjskich archiwów.



Autor zwraca uwagę również na to, że porządek prac ekshumacyjnych często był burzony przez przyjezdnych. Nieraz ciała wyjmowano z kilku różnych grobów, przypadkowo, a numerację zwłok prowadzono w określonej kolejności. W przytłaczającej większości przypadków nie zaznaczano, które ciało wyjęto z którego grobu. Niektórych grobów Niemcy nie pozwalali Polakom badać do końca, wykorzystując je w pokazowych, propagandowych celach, dla przyjezdnych i oficjalnych delegacji. Na przykład z mogił nr 1 i 2 odkrytych na samym początku kwietnia 1943 roku ostatnie ciała były wyjęte dopiero w końcu maja. Na podstawie dokumentacji Jerzego Wodzinowskiego, członka KT PCK, pracującego w Katyniu najdłużej ze wszystkich, autor przedstawił bardzo ważny przykład, który dobitnie potwierdza dawno zauważoną zgodność porządku umieszczenia ciał w kатыńskich grobach z odnalezionymi w 1990 roku „wykazami etapowymi” – osobowymi wykazami jeńców przygotowywanych do kolejnego wywozu z Kozielska wg rozporządzenia smoleńskiego NKWD – rozpoznani zabici z bliskimi numerami ekshumacyjnymi (jako reguła – z jednego grobu) występowali w jednym wykazie etapowym. Już z tego wynika, że jeńców rozstrzeliwano wtedy, kiedy byli wywożeni (inaczej nie byłoby takiej zgodności), czyli wiosną 1940 roku. Jest winowajca – NKWD.

Przykład stanowić może mogiła nr 5. Z tej mogiły KT PCK wydobyła 46 ciał. Sprawa miała miejsce pod koniec ekshumacji, ciała dostały numery ekshumacyjne od 04085 do 04130 (KT PCK prowadziła swoją numerację, praktycznie zgodną z niemiecką). 30 ciał udało się zidentyfikować – i wszystkie nazwiska, jak wynikało ze współczesnego zestawienia, zostały odnalezione na jednej liście etapowej z 2 kwietnia 1940 roku!⁷ To była pierwsza wywózka z Kozielska, 74 osoby wywiezione z obozu 3 stycznia 1940 roku, czyli grób nr 5 był pierwszym, w którym pochowano rozstrzelanych. Godne uwagi jest także i to, że wszystkie ciała z grobu nr 5 miały związane ręce i pętlę na szyi, a głowy były zakryte płaszczami. W innych grobach takiej jednolitości nie ma. Możliwe, że więźniowie wyrazili swój sprzeciw lub też „technika” akcji nie była jeszcze dopracowana. Andrzej Przewoźnik skłania się ku temu, że większość następnych wywożonych grup była rozstrzeliwana w służbowych pomieszczeniach dachy NKWD na brzegu Dniepru, a następnie zwłoki chowano w grobach, wykopanych kilkaset metrów od niej.

Autor szczegółowo opisuje zestawienie niemieckiego i polskiego wykazu ofiar i przeprowadzone przez niektórych badaczy porównanie ich z nazwiskami widniejącymi na listach etapowych NKWD z Kozielska. Prawie wszystkie rozbieżności między listami wynikają z pomyłek w pisowni polskich nazwisk po niemiecku (niemieckie wykazy ekshumacyjne) i po rosyjsku (wykazy etapowe NKWD), a także często są spowodowane trudnościami w odczytaniu dokumentów, które 3 lata przeleżały w ziemi⁸.

Autor przytoczył nie do końca wyjaśnioną historię „kатыńskich skrzynek”, w których znajdowały się wydobyte podczas ekshumacji w 1943 roku dokumenty, notatki, dzienniki i inne rzeczy osobiste, stanowiące własność rozstrzelanych oficerów. Dziesięć skrzyń zawierających te materialne świadectwa zbrodni po ekshumacji, wiosną 1943 roku, zostało skierowanych do krakowskiego Instytutu Medycyny Sądowej w celu dokładnego zbadania. W sierpniu 1944 roku, w związku z błyskawiczną ofensywą wojsk radzieckich, przeanalizowane i przepakowane materiały wywieziono do Niemiec i ukryto w okolicach Drezna, tuż przed wkroczeniem wojsk radzieckich. Niektóre rzeczy udało się Polakom skopiować (przede wszystkim większość dzienników), ocalały także niektóre oryginalne dokumenty; jeżeli chodzi zaś o całą resztę, która do tej pory się nie odnalazła, istnieją niejasności: być może coś udało się wykraść lub innym sposobem ocalić żołnierzom Armii Krajowej.

Rozdziały dziesiąty i jedenasty poświęcone są politycznym konsekwencjom odkrycia grobów kатыńskich oraz zacierania śladów przestępstwa poprzez stworzenie fałszywej radzieckiej wersji o odpowiedzialności Niemców za mord kатыński. Główni sojusznicy z antyhitlerowskiej koalicji milcząco przyjęli stalinowską

⁷ Analogiczna sytuacja ze zgodnością list etapowych i zidentyfikowanymi zwłokami zdarzyła się w 1991 roku podczas ekshumacji w Miednoje w ramach śledztwa GWP ZSRR, gdzie szczegółowo był badany jeden grób (możliwe, że składał się on z dwóch stykających się ze sobą dołów). Większość zidentyfikowanych ciał (około 15) pochodziła z jednej wywózki. Była to likwidacja obozu w Ostaszkowie.

⁸ Poglądowy przykład – nazwiska błędnie zapisane w różnych wykazach z powodu językowych właściwości – przedstawiony w artykule autora tej recenzji (artykuł po polsku, ale tabela zestawionych nazwisk zrozumiała jest dla każdego): community.livejournal.com/ru_katyn/tag/link-spisok-postronnych.



wersję, a Stalinowi zaistniała sytuacja ułatwiła stworzenie marionetkowego rządu polskiego. Autor przytacza wiele wypowiedzi polskich, amerykańskich i angielskich polityków i dyplomatów na ten temat. Stalinowska wersja o odpowiedzialności Niemców za Katyń bazowała na pracy specjalnie w tym celu powołanej w styczniu 1944 roku Komisji Burdenki, która opublikowała swój znany *Komunikat*, w znacznym stopniu po prostu przepisany z informacji ówczesnego zastępcy Berii – Sergieja Krugłowa i Komisarza Ludowego Bezpieczeństwa Państwowego Wsiewołoda Mierkułowa. Liczba Polaków rozstrzelanych rzekomo przez Niemców wynosiła równo 11 tysięcy – błędna liczba, nazwana „niemiecką propagandą”. Jak zauważa autor, odkryte w 1991 roku w Miednoje polskie pochówki więźniów Ostaszkowa są godne uwagi choćby dlatego, że Niemców praktycznie w tym miejscu nie było – pułk piechoty i kilkadziesiąt czołgów doszło do miejsca pochówków 17 października 1941 roku, a już następnego dnia zostało stamtąd wypartych. Linia frontu to nie jest odpowiednie miejsce, żeby nie wiadomo skąd zabrać, rozstrzelać i zakopać 6 tysięcy Polaków w ciągu jednego dnia.

Autor pokrótce opisuje przeprowadzone latem 1945 roku polskie, prorosyjskie „śledztwo” w sprawie zbrodni katyńskiej i zamiar zorganizowania w listopadzie 1945 roku w Polsce procesu sądowego przeciwko „uczestnikom katyńskiej prowokacji” – członkom kilku delegacji, które odwiedziły Katyń w 1943 roku i pracującej tam KT PCK (błąd w druku – wspominając wizytę jednej z delegacji, autor błędnie przytacza datę 17 stycznia 1943 – zamiast 17 kwietnia). Do procesu nie doszło z nieznanymi bliżej przyczyn.

Radziecka próba obwinienia za Katyń niemieckich przestępców wojennych podczas Procesu Norymberskiego również nie powiodła się, w wyroku Trybunału Norymberskiego o Katyniu nie ma ani słowa.

W następnych dwóch rozdziałach opisana została wieloletnia walka Polaków i obywateli innych państw o ujawnienie prawdy, aktualne radziecko-rosyjskie śledztwo, ekshumacje w Katyniu, Miednoje i Charkowie w 1991 roku i w latach 1994–1996 oraz utworzenie polskich cmentarzy wojskowych w tych trzech miejscach w 2000 roku. Pokazana jest też praca specjalnej komisji Kongresu Amerykańskiego w latach 1951–1952, która przesłuchiwała mnóstwo świadków w USA i w Europie (np. generała Andersa i Józefa Mackiewicza, autora znakomitego tomu *Zbrodnia katyńska w świetle dokumentów*, który od 1948 roku doczekał się 15 wydań) i opublikowała zbiór dokumentów zawierający 2400 stron, z wnioskiem o odpowiedzialności radzieckiego NKWD za zbrodnię katyńską⁹.

Autor opisał także przemilczanie tematu Katynia po wojnie i w ZSRR, i w PRL, nasilające się, wraz z rozpoczęciem radzieckiej „pierestrojki”, dławienie tych sił społecznych w Polsce, które domagały się poznania prawdy. W końcu lat osiemdziesiątych naciski zaczęła wywierać również polska część komisji dwustronnej powołanej do zbadania i wyjaśnienia „białych plam” oraz ci radzieccy historycy, którzy mieli dostęp do tajnych dokumentów, twarde wskazujących na rozstrzelanie przez NKWD.

W kwietniu 1990 roku opublikowano oświadczenie TASS o odpowiedzialności NKWD za rozstrzelanie polskich oficerów wiosną 1940 roku, a prezydent ZSRR Michaił Gorbaczow przekazał prezydentowi Polski generałowi Wojciechowi Jaruzelskiemu istotne dokumenty: zalecenie NKWD ws. wywozu więźniów Kozielska i Ostaszkowa do dyspozycji UNKWD obwodów smoleńskiego i kalinińskiego, a także alfabetyczny wykaz wywiezionych z obozu w Starobielsku. W październiku 1992 roku, na polecenie prezydenta Rosji Borysa Jelcyna, strona radziecka przekazała prezydentowi Polski Lechowi Wałęsie kolejne katyńskie dokumenty – akta specjalne, włączając w to notatki Berii i uchwałę Biura Politycznego KC WKP(b) z 5 marca 1940 o rozstrzeliwaniu Polaków. W sierpniu 1993 roku na warszawskich Powązkach przy symbolicznym krzyżu katyńskim Borys Jelcyn złożył wieniec i poprosił Polaków o przebaczenie. A od jesieni 1990 roku na podstawie rozporządzenia Michaiła Gorbaczowa prowadzone było przez specjalną komisję Głównej Prokuratury Wojskowej ZSRR, a później Rosji, radzieckie śledztwo w sprawie Katynia. W ramach działań śledczych, przy aktywnym udziale polskich ekspertów, latem 1991 roku były przeprowadzone wybiórcze prace ekshumacyjne w Charkowie i Miednoje, a jesienią także w Katyniu. W 1994 roku służba bezpieczeństwa Ukrainy przekazała Polakom „ukraińską listę” – wykaz 3435 aresztowanych z więzień Zachodniej Ukrainy, rozstrzelanych, tak jak i więźniowie 3 obozów, na podstawie

⁹ O ile mi wiadomo, Instytut Pamięci Narodowej tłumaczy te materiały na język polski, do tej pory istniały one tylko w wersji angielskiej, a w Polsce były tylko nieliczne egzemplarze.



uchwały z 5 marca 1940. „Lista białoruska” – wykaz 3870 rozstrzelanych z więzień Zachodniej Białorusi, do tej pory nie została odnaleziona.¹⁰

Autor szczegółowo opisuje wszystkie prace, w tym organizacyjne, na rzecz utworzenia polskich cmentarzy wojskowych w Katyniu, Miednoje i Charkowie. Andrzej Przewoźnik był głównym organizatorem i główną siłą napędową w realizowaniu tego nadzwyczaj skomplikowanego projektu. Opowiedzieć o jego działalności w tej sprawie to faktycznie przepisać dziesiątki stron książki.

W książce znajdziemy również fakty ze sprawozdań z prac sondażowo-ekshumacyjnych, przeprowadzonych przez ekspertów-archeologów w latach 1994–1996. Miały one na celu dokładną lokalizację grobów i częściowe przeniesienie zwłok. Ich rezultat to zbiór materiałów pod redakcją Mariana Głoska o Katyniu i książka Andrzeja Koli o Charkowie (publikacje wydane). Książki podsumowujące efekty prac w Miednoje wciąż jeszcze nie wydano.

Polskie cmentarze wojskowe zostały uroczystie otwarte w 2000 roku, w 60. rocznicę zbrodni katyńskiej. A dzięki nim powstały również miejsca pamięci o radzieckich ofiarach stalinowskich represji, których ciała odnaleziono w pobliżu polskich grobów. Są one jeszcze bezimienne, ale w Katyniu zaplanowano już umieszczenie tabliczek z nazwiskami 3 tysięcy spoczywających tam represjonowanych obywateli rosyjskich.

Andrzej Przewoźnik podkreśla, że polskie cmentarze wojskowe zostały utworzone wyłącznie z funduszy polskich – z budżetu Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, ze środków polskiej Fundacji Katyńskiej i Stowarzyszenia Rodzin Katyńskich. Dobrowolne zbiórki pieniędzy na ten cel zostały przeprowadzone także wśród wojskowych oraz z odpisów podatkowych.

Ostatni rozdział opisuje wydarzenia po 2000 roku, bezpośrednio związane z tematem Katynia. Dużo miejsca poświęcono polskim poszukiwaniom prowadzonym w Bykowni pod Kijowem. Wśród wielu pocho- wanych tam ofiar represji odnaleziono ciała Polaków, przy czym dużo wydobytych przedmiotów należało do Polaków z „listy ukraińskiej”.

Andrzej Przewoźnik i Jolanta Adamska przedstawili stan „śledztwa katyńskiego” prowadzonego przez Instytut Pamięci Narodowej od listopada 2004 roku, czyli od chwili zakończenia radziecko-rosyjskiego śledztwa prowadzonego w latach 1990–2004 i utajnienia przez Główną Prokuraturę Wojskową Rosji większości tomów tej kryminalnej sprawy. Do kwietnia 2010 roku przesłuchano 2590 świadków, głównie krewnych pomordowanych. Zbadano materiały z archiwów w Niemczech, Wielkiej Brytanii i USA. W 2009 roku od władz Ukrainy otrzymano nowe dokumenty dotyczące represji wobec obywateli polskich. Głównym problemem prowadzonego przez IPN śledztwa od początku jest skrajnie słaba efektywność współpracy z rosyjskimi organami śledczymi. A trzeba pamiętać, że praktycznie wszystkie podstawowe dla śledztwa dokumenty zbrodni znajdują się w Moskwie.

Dużo miejsca poświęcono tu zakończeniu, we wrześniu 2004 roku, radziecko-rosyjskiego śledztwa katyńskiego, uznaniu zbrodni za „nadużycie władzy przez szereg osób zajmujących wysokie stanowiska w ZSRR, na skutek zaistnienia szczególnych okoliczności”¹¹ i utajnieniu 2/3 tomów tej kryminalnej sprawy – tylko 67 tomów z ogólnej liczby 183 udostępniono polskim badaczom. Polscy historycy i archiwiści pobieżnie zapoznali się z nimi w Moskwie w 2005 roku, ale zgody na ich skopiowanie rosyjska prokuratura nie wyraziła. Większość informacji w nich zawarta jest już dawno znana. Wcześniej w swej książce autor

¹⁰ Więźniowie Kozielska rozstrzelani w Katyniu i Smoleńsku, pochowani w Katyniu. Więźniowie Ostaszkowa rozstrzelani w Kalininie i pochowani w Miednoje. Więźniowie Starobielska rozstrzelani i pochowani w Charkowie. Aresztowani z więzień Zachodniej Ukrainy zostali rozstrzelani w więzieniach Kijowa, Charkowa i Chersonu, pochowani prawdopodobnie w Bykowni i Charkowie. Aresztowani z więzień Zachodniej Białorusi rozstrzelani najprawdopodobniej w Mińsku i pochowani w nieznanym miejscu, część prawdopodobnie w Kuropatach.

¹¹ We wspomnianym wcześniej zbiorze artykułów „*Białe plamy, czarne plamy...*” Andrzej Przewoźnik zaznacza, że IPN, rozpatrując mord katyński w świetle obowiązującego prawa, uznaje, że spełnia on wszelkie przesłanki do uznania go za zbrodnię ludobójstwa. W związku z tym autor zwraca szczególną uwagę na stanowisko Stowarzyszenia „Memoriał”, cytując wypowiedź koordynatora polskiej sekcji „Memoriału” Aleksandra Gurjanowa: „Są przesłanki do uznania zbrodni [jako ludobójstwa], jednak nie tak bezdyskusyjne... Uznanie zbrodni katyńskiej za zbrodnię wojenną i przeciw ludzkości byłoby bardziej odporne na próby poddania jej w wątpliwość. Prokuratura nie mogłaby uznać jej za przedawnioną i kwestionować takiej kwalifikacji, jak próbuje to uczynić w przypadku uznania Katynia jako zbrodni ludobójstwa”.



zaznaczył, że jeszcze w kwietniu 1991 roku polscy eksperci zostali zapoznani z treścią prawie 100 (!) tomów, wówczas jeszcze nieujawnionych.

Autor szczegółowo opisuje wielokrotne (od 2005 roku), nieskuteczne próby Stowarzyszenia „Memorial” uzyskania w moskiewskich sądach postanowienia, zobowiązującego Główną Prokuraturę Wojskową Federacji Rosyjskiej i Międzyresortową Komisję ds. Ochrony Tajemnic Państwowych do odtajnienia materiałów rosyjskiego śledztwa w sprawie Katynia (przede wszystkim – samego postanowienia o jego utajnieniu) i rozpatrzenia sprawy rehabilitacji rozstrzelanych Polaków jako ofiar politycznych represji. Należy tu wspomnieć, że podczas wizyty w Polsce w styczniu 2002 roku prezydent Władimir Putin pozytywnie wypowiadał się o perspektywach rehabilitacji rozstrzelanych Polaków. Jolanta Adamska zaznacza, że 8 maja 2010 roku podczas spotkania na Kremlu z p.o. prezydenta Polski Bronisławem Komorowskim, prezydent Rosji Dmitrij Miedwiediew również mówił, że będzie rozpatrywana sprawa tego, w jaki sposób zrehabilitować ofiary mordu katyńskiego.

Nadzieje na polityczne rozwiązanie sprawy katyńskiej, nie bez podstaw, związane są z pracami Rosyjsko-Polskiej Grupy do Spraw Trudnych – Andrzej Przewoźnik był jej członkiem. Jak podkreślone zostało w zakończeniu rozdziału, sprawa katyńska „ruszyła z martwego punktu po spotkaniu premierów Polski i Rosji ze współprzewodniczącymi Grupy Adamem Rotfeldem i Anatolijem Torkunowem 7 kwietnia 2010 roku w Smoleńsku”.

Spotkanie i wystąpienia premierów Donalda Tuska i Władimira Putina 7 kwietnia 2010 roku w Katyniu (teksty wystąpień zamieszczone zostały w aneksie książki)¹² niewątpliwie dały nadzieję na szybkie rozwiązanie sprawy katyńskiej. Jolanta Adamska, kończąc pracę nad książką, przytacza optymistyczne wypowiedzi różnych uczestników spotkania, m.in. i Andrzeja Przewoźnika.

Zamykające książkę *Epilog i Załączniki* przygotowane zostały przez Jolantę Adamską po śmierci Andrzeja Przewoźnika razem z polskim prezydentem Lechem Kaczyńskim i całą delegacją w katastrofie smoleńskiej 10 kwietnia 2010 roku. Zginęli wszyscy znajdujący się na pokładzie samolotu – 96 osób, których oczekiwano na uroczystej ceremonii w Katyniu¹³. Tragedia ta wywołała ogromny ból także w sercach Rosjan, ostatnie strony epilogu opisują absolutnie szczerą reakcję w Rosji – zarówno rządzących, jak i zwykłych mieszkańców: „Zwykli rosyjscy obywatele przeżywali tragedię Polaków tak, jak swój osobisty narodowy dramat. Kwiatami było usłane nie tylko miejsce katastrofy w Smoleńsku, polskie przedstawicielstwa dyplomatyczne w Rosji również były otoczone górą kwiatów i tysiącami zniczy przynoszonymi i zapalnymi dniami i nocami”. Film Andrzeja Wajdy *Katyn* został wyświetlony na ogólnorosyjskim kanale telewizyjnym w najlepszym czasie antenowym; obejrzało go 28 milionów mieszkańców Rosji. Natalia Lebiediewa w swoim wywiadzie powiedziała, że film wstrząsnął rosyjskimi widzami. Według danych Centrum Lewady półtora miesiąca przed tragedią smoleńską o zbrodni katyńskiej słyszało 43% respondentów, po katastrofie i projekcji filmu Wajdy ta liczba wzrosła do 74%.

W książce znalazły się także informacje o najnowszych w Rosji publikacjach w sprawie Katynia. W końcu kwietnia na oficjalnej stronie internetowej Archiwum Państwowego Rosji zgodnie z postanowieniem rosyjskiego prezydenta były umieszczone skany oryginałów głównych dokumentów katyńskich z Teczki Specjalnej – notatki Ławrentija Berii i uchwały Biura Politycznego KC WKP(b) z 5 marca 1940 roku o rozstrzelaniu Polaków oraz notatki Aleksandra Szelepina do Nikity Chruszczowa z 3 marca 1959 roku zawierające ogólną informację o rozstrzelaniach oraz propozycję zniszczenia spisów ewidencyjnych: rusarchives.ru/publication/katyn/spisok.shtml.

8 maja 2010 roku prezydent Rosji Dmitrij Miedwiediew przekazał p.o. prezydenta Polski Bronisławowi Komorowskiemu uwierzytelnione kopie 67 tomów radziecko-rosyjskiego śledztwa katyńskiego, mówiąc przy tym:

„Spotykamy się w przeddzień rocznicy zakończenia wojny. Są wydarzenia, które poprzedzały wojnę, zaliczamy do nich i wydarzenia w Katyniu. Podczas wizyty w Krakowie powiedziałem, że podejmę nie-

¹² Teksty wystąpień Władimira Putina i Donalda Tuska 7 kwietnia 2010 roku w Katyniu można przeczytać w Internecie – na stronie premiera Rosji: www.premier.gov.ru/events/news/10122/. Jest także tekst wystąpień W. Putina i D. Tuska na konferencji prasowej w Smoleńsku 7 kwietnia 2010 roku, jak również odpowiedzi na pytania: www.premier.gov.ru/events/news/10128.

¹³ Tekst niewywołanego wystąpienia prezydenta Lecha Kaczyńskiego w Katyniu 10 kwietnia 2010 roku znajduje się w aneksie książki. Rosyjski przekład można znaleźć na stronie: dassie2001.livejournal.com/55094.html.



zbędne starania, wydam wytyczne do dalszej pracy nad kатыńskimi materiałami, dotyczy to również sprawy kryminalnej nr 159. Uważam, że jest to absolutnie konieczne. Dlatego, korzystając z okazji, chciałbym przekazać Wam wyniki aktualnych prac, a dokładnie 67 tomów sprawy nr 159. Praca nad tą sprawą karną, włączając odtajnianie materiałów, będzie kontynuowana na moje wyraźne polecenie”¹⁴.

Kończąc, chciałbym powtórzyć to, od czego zacząłem. Uważam za absolutnie konieczne wydanie książki Andrzeja Przewoźnika i Jolanty Adamskiej w języku rosyjskim. Chyba nie zwyczajowym słowom delikatności i pamięci przypisać trzeba słowa przewodniczącego Parlamentu Europejskiego Jerzego Buzka: „Książka *Katyń. Zbrodnia, prawda, pamięć* jest potrzebna nie tylko Polakom. Należy ją przetłumaczyć jak najszybciej na różne języki – angielski, rosyjski, a może nawet i chiński, powinna ona znaleźć się we wszystkich głównych bibliotekach świata. Wtedy ten trud Andrzeja Przewoźnika i Jolanty Adamskiej najlepiej posłuży Polsce, ponieważ w pamięci innych narodów nie ma luki w wiedzy o Katyniu – jest po prostu ogromna wyrwa”. I, jak już mówiłem, dodatkowym bodźcem do przetłumaczenia jej jest konieczność przeciwstawienia się głośnym fałszerzom historii, kreującym siebie na prawdziwych rosyjskich patriotów. Rosja nie jest tak słaba, żeby odwracać się od mrocznych stron swojej przeszłości. A „patriotyzm” fałszerzy oparty na kłamstwie – to łżepatriotyzm.

2010, nr 12

Thum. Hanna Miązek

¹⁴ Prezydent spełnia obietnicę – 23 września strona polska otrzymała kopie kolejnych 20 tomów sprawy kатыńskiej. Tekst przekazanej dziennikarzom przy tej okazji notatki: dassie2001.livejournal.com/72747.html. Dodam jednak i gorzką pigułkę – próby Stowarzyszenia „Memoriał” uzyskania w Moskiewskim Sądzie Miejskim decyzji o zobowiązaniu Głównej Prokuratury Wojskowej do odtajnienia postanowienia o umorzeniu śledztwa zakończyły się niepowodzeniem: www.memo.ru/2010/11/02/mosgorsud.html. W związku z tym odwołam się także do całkiem niedawno opublikowanego w „Nowej Gazecie” artykułu jednego z członków zarządu „Memoriału” Jana Raczyńskiego: www.novayagazeta.ru/data/2010/gulag19/00.html.



Anna Griszyńska

NIEZNANY EPIZOD Z PRAC KOMISJI BURDENKI

Na początku chciałam bardzo przeprosić, że przedstawiam pracę nie całkowicie zakończoną, a tylko jej zarys, streszczenie tego, co do tej pory udało mi się napisać. Robię to celowo, z dwóch powodów: po pierwsze dlatego, że do tej pory jest bardzo utrudniony dostęp do tych archiwów, które są niezbędne do wyjaśnienia wielu spraw dotyczących tematu, o którym piszę, po drugie – jest dla mnie ważniejsze, aby kobieta, której zaczęłam szukać, odnalazła się (lub choćby można było poznać jej nazwisko), niż to, abym ja osobiście tego dokonała. Dlatego będę bardzo wdzięczna każdemu za jakąkolwiek wiadomość lub ukierunkowanie moich poszukiwań.

Wszyscy często zastanawiamy się nad fenomenem zniewolenia mieszkańców ZSRR ideologią totalitarną, jakim był kult Stalina. Pamiętam do tej pory przerażające masy ludzi na ulicach i salach, wysławiające Ojca Narodów i żądające śmierci wrogów ludu. Oczywiście jest, że nie cały naród dał się całkowicie otumanąć. Znalazło się niemało ludzi, zwłaszcza wśród inteligencji, którzy i za czasów Stalina zachowywali się tak, jakby byli nieobecni, żyli na „wewnętrznej emigracji”. Obecnie, powolutku, stopniowo ujawniane są nazwiska tych osób, które odważyły się aktywnie przeciwstawiać, nie oglądając się na straszne niebezpieczeństwo, jakie nad nimi wisiało. Naszym obowiązkiem jest opowiedzieć o takich ludziach, przypomnieć ich nazwiska, opowiedzieć o nich, ich losie, oddać im sprawiedliwość.

Latem przeczytałam pracę, która właśnie została złożona do druku i niedługo miała zostać wydana w Izraelu. Jej autorem był Fiodor Mironowicz Liass – znany lekarz, profesor doktor nauk medycznych, który nie tak dawno wyemigrował do Izraela. Książka nosiła tytuł *Ostatni proces polityczny Stalina*.

W skrócie, tematem książki są dwa procesy: Żydowskiego Komitetu Antyfaszystowskiego (który, z powodu bohaterskiego oporu oskarżonych, pomimo tortur śledczych z KGB, nie stał się jawnym i pokazowym) i w „sprawie lekarzy”, który był wyznaczony na 5 i 6 marca 1953 roku, ale nie odbył się, ponieważ Stalin wyzionął ducha.

Książka Liassa składa się z naukowej analizy materiałów oraz ze wspomnień autora. Jego matka – Eugenia Fiodorowna Liwszyc – była lekarzem pediatrą i pracowała na Kremlu w Urzędzie Medyczno-Sanitarnym. Leczyła dzieci i wnuki najwyższych przywódców radzieckich władz oraz Komitetu Centralnego KPZR. Wśród jej pacjentów były także dzieci i wnuki Stalina, Mołotowa, Kaganowicza, Mikojana, Ordżonikidzego. Została aresztowana kilka miesięcy wcześniej niż inni znani lekarze, oskarżeni w „sprawie lekarzy” – 4 czerwca 1952 roku. W procesie wyznaczono jej rolę „obwiniającej”, tę samą, którą w końcu odegrała znana Lidia Timaszuk. Oczywiście, byłoby znacznie efektywniej, jeśliby swoich kolegów oskarżała Żydówka. Jednak plan się nie powiódł. Pomimo tortur Eugenia Fiodorowna nie złożyła zeznań oskarżających jej kolegów, a w sierpniu, po dwóch miesiącach tortur, nie wytrzymując nieprzerwanych nacisków, postanowiła popełnić samobójstwo. Powiesiła się na plecach łóżka w swojej więziennej pojedynce na Łubiance. Uratowano ją w ostatniej chwili. Na pewien czas straciła wzrok, miała problemy z mową, wpadła w ciężką depresję. W zaistniałej sytuacji nawet śledczy z KGB nie mogli kontynuować „procesu śledczego”. Została przewieziona do najbardziej znanego Instytutu Psychiatrii Sądowej im. Serbskiego, w celu leczenia i wydania opinii na temat jej stanu przez biegłych lekarzy. Przebywała tam od 18 sierpnia do 19 września 1952 roku.

Jej stan psychiczny oceniono jako normalny, uznano ją również za świadomą swego zachowania i postępowania. Zwracam, przy okazji, uwagę na to, że w tamtych latach preparaty psychotropowe mające działanie otumaniające nie były stosowane wobec „inaczej myślących” pacjentów radzieckiej psychiatrii. W ogóle pojęcie „inne myślenie” w ZSRR wtedy nie istniało, ponieważ głoszone „moralno-polityczną jedność narodu radzieckiego”. Jednak długotrwałe, bezterminowe przetrzymywanie w szpitalach psychiatrycznych osób niewygodnych dla władzy było już stosowane.

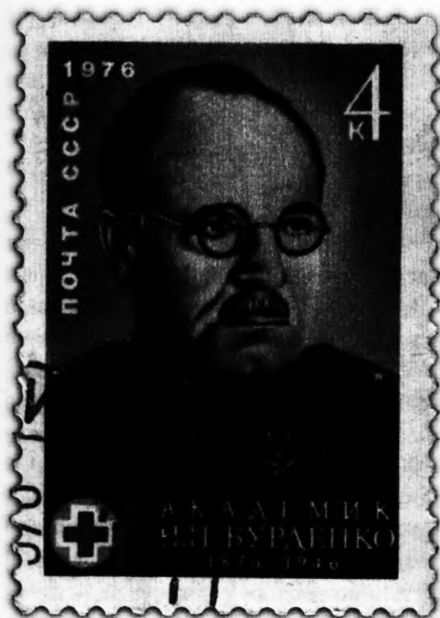


Właśnie tu, w Instytucie Serbskiego, w sierpniu 1952 roku Eugenia Fiodorowna miała spotkanie. Chcąc o nim opowiedzieć, zmuszona byłam do napisania tak długiej „preambuły”.

W książce Liass opisuje, jak określnymi drogami Eugenia Fiodorowna przekazała rodzinie informacje o lepszym stanie zdrowia, ale jednocześnie powiedziała, że „boi się, że postawią diagnozę: schizofrenia i skierują ją do zakładu zamkniętego «na wieczny pobyt»». Co dawało matce podstawy do takiego myślenia, opowiedziała mi po wyjściu z więzienia. W Instytucie Serbskiego, podczas spaceru, zapoznała się z kobietą, leżącą na tym samym oddziale, która opowiedziała jej swoją historię. Otóż była ona lekarzem sądowym, została skierowana do pracy w komisji państwowej, na czele której stał główny chirurg Armii Czerwonej Nikołaj Niłowicz Burdenko. Komisja miała zbadać sprawę zagłady polskich oficerów w Katyniu. Komisja pracowała w 1944 roku i wtedy ta lekarka na podstawie analizy anatomopatologicznej ekshumowanych zwłok rozstrzelanych wydała opinię, że zwłoki pochodzą nie z 1941 roku, jak było podane w komunikacie i ogłoszone całemu światu, a są dwa lata wcześniejsze, z 1939 roku. Z tej opinii wynikało jednoznacznie, kto był winny tej tragedii. Kobieta tę od razu osunięto od prac komisji i zamknięto w szpitalu psychiatrycznym «na wieczny pobyt» z diagnozą «schizofrenia». Niestety, nie znam ani jej nazwiska, ani imienia, ani pseudonimu. A przecież trzeba by ją odnaleźć i uczcić jej bohaterstwo, odpowiedzialność i profesjonalizm”.

Spotkanie miało miejsce w sierpniu 1952 roku. Komisja Burdenki pracowała w styczniu 1944 roku. Czyli 8,5 roku wcześniej! Do tej pory nie wiemy, gdzie ta kobieta przebywała przez te długie lata. Po przeczytaniu książki Liassa rozpoczęłam poszukiwania. Prawda, wiedziałam już wcześniej, że szybko dokumentów nie znajdę, ponieważ pism tego rodzaju radzieccy naczelnicy bali się rejestrować. Może uda się znaleźć dokument mówiący o konsekwencjach takiej opinii dla jej autora. Tymczasem moje poszukiwania skupiły się głównie na przeczytaniu archiwalnych dokumentów Komisji Burdenki (są nie tylko zapisane działania dzień po dniu, ale i godzina po godzinie) i zwracaniu szczególnej uwagi na działalność ekspertów, czytając wszystkie protokoły i albumy fotograficzne dotyczące ekshumacji.

Wiadomo, że 13 stycznia 1944 roku do Smoleńska przyjechało pięciu ekspertów – członków komisji: Prozorowski, Smolianikow, Semenowski, Szwejkowa, Wyropajew. Ta piątka tworzyła oficjalną sądowno-medyczną komisję specjalnej Komisji Burdenki. 18 stycznia na wniosek głównego eksperta Prozorowskiego, Komisja Burdenki postanowiła zwiększyć liczbę ekspertów sądowno-medycznych, tak aby można było badać do 400 zwłok dziennie. W tym celu sprowadzono niezbędnych pracowników służb medycznych ze znajdujących się w pobliżu armii. 20 stycznia Prozorowski poinformował, że przyjechało jeszcze 4 lekarzy (wśród nich jedna kobieta). Następnie nadjechało jeszcze dwóch. Później niejednokrotnie wspomina się w protokołach i dzienniku komisji, że pracuje 12 lekarzy. „Dwunastu” – to pięcioro oficjalnych ekspertów, sześcioro sprowadzonych lekarzy wojskowych i jeszcze jeden ekspert, na postaci którego warto się zatrzymać. Miał na nazwisko Zubkow. W protokołach komisji występował w dwóch rolach: jako ekspert i jako świadek. Był profesjonalnym ekspertem medycyny sądowej, pracującym aż do wojny, pozostał w Smoleńsku za Niemców i był w Katyniu w 1943 roku, podczas ponownych pochówków zwłok po ekshumacji dokonanej przez Niemców. Na początku prac Komisji Burdenki pracował jako ekspert. W protokołach ekspertyz są zapiski o jego pracy, o tym, jakie zwłoki ekshumował i badał itd. Trwało to tydzień (całość prac ekspertów w kатыńskim lesie trwała 12 dni). Ale 20 stycznia przekazał on komisji dokładne informacje, występując w charakterze świadka. Po jego zeznaniach Burdenko zauważył: „Myślę, że nastąpiła omyłka. Trzeba było najpierw [tak! – A.G.] wykorzystać jako świadka, a potem dopuścić do pracy”. Argumentuje to tym, że Zubkow wie o sprawie więcej niż inni świadkowie. Zubkow kontynuował swoją pracę jako ekspert także później, co odzwierciedlają codzienne robocze sądowno-medyczne protokoły. Jednak w aktach końcowych nie wspomina się o nim. A dla naszego celu jest ważne, żeby wiedzieć, co działo się z nim później. Mamy tu nową arytmetyczną zagadkę. W protokole z 20 stycznia ponownie jest informacja, że „pracuje 12 lekarzy”. Najłatwiej policzyć, że jest to 5 oficjalnych ekspertów + 6 dokooptowanych lekarzy wojskowych (przypomnijmy, że we wspomnieniach Liassa o naszej bohaterce powiedziano: „ona została dokooptowana do pracy w państwowej komisji”). I tak mamy 5 oficjalnych ekspertów + 6 lekarzy wojskowych + Zubkow = 12. I wtedy osobą przez nas poszukiwaną jest starszy lejtnant służby medycznej Puszkariewa (nigdzie nie ma ani jej inicjałów, ani innych lekarzy wojskowych, są tylko nazwiska). Żaden



z lekarzy wojskowych nie podpisywał końcowych dokumentów, powiedziano o nich „przy współudziale”. Postąpiono tak, żeby nie zaznaczać „zdania odmiennego” czy też takie były rozkazy – niestety nie wiem.

Można jednak zaproponować i inny wariant rozwiązania naszej zagadki. Szwejkowa – nie była lekarzem, a chemikiem sądowym. Zaliczał ją Prozorowski do grona 12 lekarzy, czy też nie – nie wiadomo. Jeżeli nie, to znaczy, że był jeszcze jeden lekarz (lub jeszcze jedna kobieta lekarz?), wykreślony z protokołu. I czy Zubkow był liczony, czyje uczestnictwo w końcowych dokumentach zostało pominięte? Wtedy możliwa jest wersja, że nie chodzi o Puszkariewą, a jakąś zupełnie inną kobietę – „lekarza sądowego”.

Zacząłam wyjaśniać te zagadki. Wpadłam na pomysł, żeby przejrzeć w archiwum wszystkie dokumenty księgowe CzGK. Oczywiście, Komisja Burdenki swojej własnej księgowości nie miała – pracowała przecież tylko 2-3 tygodnie. Znaczyło to, że jej sprawy księgowe znajdę w dokumentach CzGK dotyczących zbrodni niemieckich. Myślałam, że uda mi się znaleźć jakieś dokumenty dotyczące składu komisji specjalnej, o jakichś wypłatach, słowem, że dotrę do jakichś nazwisk. Jednak, że

wszystkich spraw wg spisu 126 zbiorów 7021 Państwowego Archiwum Rosji (spis nr 126 – księgowość) zachowało się tylko jedno, dotyczące rozliczeń z szeregowymi pracownikami samej CzGK (maszynistki, inspektorzy, szoferzy, pracownicy archiwum – poniżej zastępcy kierownika oddziału). Pozostałe „nie istnieją”, jak odpowiadano mi w piśmie z archiwum.

Wysłałam pisemne zapytanie o wojenne losy Puszkariewej po styczniu 1944 roku. W Instytucie Serbskiego można zapytać o pacjenta, ale tylko wtedy, jeżeli zna się dokładnie jego pełne dane personalne. Jako profesjonalny historyk zdaję sobie w pełni sprawę, że jeden naoczny świadek i dwóch pośrednich (1. wojskowi lekarze nie podpisują dokumentów, 2. w książce Liassa kobieta, o której mowa, powiedziała, że była „dokooptowana” do prac Komisji Burdenki, a to słowo „dokooptowani” lekarze wojskowi występuje również w protokołach komisji; nie mógł wiedzieć o tym ani Liass, ani, tym bardziej, jego matka) to zupełnie niewystarczająca liczba. Trzeba szukać dalej, pójść albo tymi tropami, o których wspominałam, albo znaleźć nowe.

2005, nr 6

Tłum. Hanna Miątek



Natalia Gorbaniewska

KATYŃ W ROSYJSKIM INTERNECIE

„Katyński las stał się symbolem męczeństwa i równości narodów wobec ludobójstwa dokonanego przez zbrodniczą władzę.” Te słowa, zaczerpnięte z oficjalnej strony memorialnego kompleksu „Katyń” (admin.smolensk.ru/history/katyn), są doskonałym mottem do tego tematu. Wbrew rozpowszechnionemu mniemaniu, że w Rosji wszyscy pragną zadawać kłam prawdzie o mordzie katyńskim, wypowiedzi ze „sprostowaniami” spotyka się w rosyjskim Internecie całkiem (powiedziałabym nawet „skrajnie”) rzadko, głównie na marginalnych nacjonalistycznych stronach, a już książki i artykuły takiego rodzaju można policzyć na palcach jednej ręki. To przede wszystkim ten osławiony Muchin, na którego powołują się niektórzy badacze.

Prezentujemy Czytelnikom „Nowej Polszy” stronę internetową w całości poświęconą Katyniowi, istniejącą i aktualizowaną od 1999 roku. Jest na niej mnóstwo linków, tak więc o nich pisać tu nie będziemy. Ale i oprócz tego, co znajduje się na stronie Jurija Krasilnikowa, stronie o tragedii katyńskiej poświęcone jej w całości lub poszczególnym jej aspektom, mające solidne podstawy historyczne – nie są w rosyjskim Internecie rzadkością. Weźmy na przykład stronę Kiriła Arefiewa z Wołogdy, z zakładkami „Zbrodnie wojenne XX wieku” z rozdziałami „Pol Pot – droga do komunizmu”, „Argentyńska junta”, „Transporter śmierci” (o hitlerowskim ludobójstwie Żydów), „Hussain – arabski diabeł”, „Bratnia mogiła – Katyń”, „Oradour”, „Zbrodnia w Ardenach” (jak ustaliliśmy, materiał został zaczerpnięty z *Encyklopedii światowych sensacji XX wieku*, także umieszczonych w Internecie). Arefiew pisze: „Ta strona została stworzona w jednym jedynym celu – pomóc ludziom zrozumieć, że ludzkości grozi zagłada z powodu istnienia dyktatur i wojen”.

A oto następny autor (nazwiska jego niestety nie udało się ustalić), którego referat, bardzo obszerny i dokładny, występuje na wielu stronach, z których korzystają głównie studenci oraz osoby zainteresowane tematem. We wprowadzeniu autor pisze:

„Postanowiłem napisać referat konkretnie na ten temat, ponieważ chciałem dokładnie poznać to, mające miejsce wiosną, straszliwe przestępstwo (a może raczej zagładę), jego motywy oraz sposób i wyniki prowadzonego śledztwa. Mam nadzieję, że mi się to udało. Znalazłem mnóstwo literatury na ten temat oraz dokumentów, fotografii i innych materiałów. Po zapoznaniu się z nimi zrozumiałem, że jest jeszcze wiele niewiadomych, jeżeli chodzi o wieloletni, kompromitujący okres naszej historii, trwający przez prawie cały XX wiek. Niestety, tym, którzy zginęli w okresie tyranii Stalina (a także Lenina i jego następców) i jego represji, życia się nie wróci; dlatego trzeba by chociaż umieć uznać swoje błędy i uczcić pamięć tych, którzy odeszli. Z tego powodu cieszy mnie fakt, że współcześnie odbudowuje się stare i stawia nowe pomniki, tworzy miejsca pamięci narodowej, poświęcone takim wydarzeniom, a także ujawnia się cała prawda o nich i tym podobnym przestępstwom”.

Na stronie „Militera” zamieszczony jest obszerny i szczegółowy rozdział z rozprawy naukowej Michaiła Siemiriagi *Tajemnice stalinowskiej dyplomacji*.

Na stronie Centrum Sacharowa znaleźć można wspomnienia Borysa Georgiewicza Mieńszagina, który za Niemców był burmistrzem Smoleńska, później odsiedział 25 lat – od Stalina do Breżniewa. Władze obawiały się, że mógłby opowiedzieć o sprawie Katynia, dlatego karę odbywał nie w obozie, a w więzieniu wladimirskim. On sam o Katyniu nie pisze dużo, ale w książce jest załącznik *Znaczenie sprawy S. Karawanskiego 1969-1970 dla wyjaśnienia okoliczności zbrodni katyńskiej*. Tę nową sprawę Światosława Karawanskiego, ukraińskiego nacjonalisty, który również został skazany na 25 lat i który otrzymał karę dodatkową za to, że będąc w więzieniu wladimirskim, próbował dostać się do Mieńszagina i wypytać go o Katyń, pamiętam doskonale (a w 1980 roku Karawanskij razem z kilkoma Rosjanami – Bukowskim, Maksimowem i innymi – podpisał oświadczenie *Skruszony spójrz wstecz* wydane z okazji 40-lecia mordu



katyńskiego). Nie tylko Karawanskij dostał nowy wyrok „za Katyń”, Gabriel Superfin podzielił jego los za to, że napisał o tej sprawie oraz również „za Katyń”. W ciągu dziesięcioleci od „obalenia” w wyniku prac specjalnej radzieckiej komisji „kłamliwej goebbelsowskiej propagandy” takie oskarżenie było jednym z najcięższych w ZSRR: wiemy, że władza radziecka bała się prawdy, ale tej – szczególnie.

Na stronie krasnojarskiego „Memoriału” możemy znaleźć dawniejszy, ale nie przestarzały artykuł Władimira Sirotinina *Prawda o Katyniu*, którym nie zainteresowała się żadna z krasnojarskich gazet.

Zrozumiałe jest, że katyńskie materiały są zamieszczone na stronie rizańskich obrońców praw człowieka – hro.org. W Riazaniu wychodzi czasopismo „Karta”, młodsza siostra polskiej „Karty” – broniące praw człowieka oraz prawdy historycznej; jest publikowane drukiem oraz na stronach internetowych. W Internecie możemy przeczytać artykuły i materiały z 10 numeru – Wiktor Łozinski *Mozaika naszego domu* (chronologiczny przegląd spraw związanych z Katyniem); Sergiej Głuszko *Dziwne tajemnice pochówków w Miednoje*; Natalia Lebediewa *Czwarty rozbiór Polski a tragedia katyńska* (fragmenty reportażu historycznego) oraz *Historia w dokumentach* (udokumentowane świadectwa zbrodni katyńskiej).

W całkiem nieoczekiwanym miejscu, w banku fotografii „Russian Czech press”, na stronie, nazwanej bardzo śmiesznie „foto-knedlik.ru” – też znajdziemy Katyń. Podpis pod fotografią brzmi: „Kapsuła z ziemią z Katynia w krypcie Katedry krakowskiej na Wzgórzu Wawelskim. Miasteczko Katyń, leżące na terytorium obecnej Białorusi [znowu ta odwieczna pomyłka z Chatyniem – tylko, że teraz w drugą stronę – N.G.] stało się powszechnie znane po tym, jak radzieckie oddziały karne rozstrzelały tam kilkuset [oczywiście chodzi o kilka tysięcy – N.G.] polskich żołnierzy aresztowanych podczas okupacji części terytoriów Polski na podstawie paktu Ribbentrop-Mołotow w 1939 roku. Foto – Wowa Pomorcew”.

Może na razie na tym zakończę. Ale do sprawy na pewno wrócę – obiecuję.

STRONA KATYŃSKA

Strona Jurija Krasilnikowa – katyn.codis.ru

Strona została założona 3 marca 1999 roku.

Włączona w linki na wielu stronach rosyjskiego Internetu.

Od Autora

Na tych stronach będę zbierać materiały, mające związek z zagładą tysięcy polskich jeńców wojennych w ZSRR w 1940 roku.

Szanowni Czytelnicy! Będę bardzo wdzięczny za przysłane przez Was materiały (teksty, dokumenty, fotografie, odsyłacze itd.), które mógłbym tu umieścić, jak również za Wasze uwagi, komentarze i życzenia.

Książki Jurija Muchina polecać nie będę, choćby dlatego, że zapoznałem się z nią dokładnie. Główny wniosek, jaki z niej wynika, można podsumować za pomocą jednego cytatu „Hitler i Goebbels uważali chyba, że do bredni głupców dopuszczać nie należy, kłamać powinni ludzie rozumniejsi”. Możliwe, że w przyszłości tę tezę omówię dokładniej. Nawiasem mówiąc, na mojej stronie można znaleźć trochę odwołań do „tfórczości” pana Muchina i jemu podobnych. (Aha, dostąpiłem zaszczytu otrzymania osobistego listu od Muchina – z czasem opowiem o tym dokładniej.)

Niedawno pojawiła się doskonała analiza jednego z rozdziałów książki Muchina – tego, w którym „udowadnia” sfałszowanie opublikowanych w latach dziewięćdziesiątych dokumentów zbrodni katyńskiej. Autorem jest Sergiej Romanow, za jego zgodą zamieszczam tę pracę na stronie. Przeczytajcie artykuł Romanowa *J.I. Muchin i dokumenty katyńskie*.

Spis treści strony:

- Często zadawane pytania o mord katyński.
- Katyń w encyklopediach i słownikach.
- Artykuły i urywki z książek o Katyniu.



- Relacje naocznych świadków.
- Radziecko-niemieckie porozumienia z 1939 i 1941 roku.
- Radzieckie dokumenty z lat 1940-1941.
- Dokumenty z lat 1943-1944. Sprawozdania z badania grobów.
- Mapy i fotografie z lat 1943-1944.
- Zdjęcia byłych obozów.
- Zdjęcia z ostatnich lat.
- Proces Norymberski.
- Linki.

Zestawienie J. Krasilnikow (katyn@chat.ru) 1999-2003.

Jurij Krasilnikow

Często zadawane pytania i odpowiedzi na temat zbrodni w Katyniu¹

- Co to jest zbrodnia katyńska?
- Masowe wymordowanie tysięcy polskich jeńców wojennych na terytorium ZSRR podczas II wojny światowej. Nazwa wzięła się od nazwy małej osady pod Smoleńskiem, w pobliżu której odnaleziono pierwsze masowe groby jeńców wojennych.
- Skąd wzięli się w ZSRR polscy jeńcy wojenni?
- Co to jest „Zachodnia Ukraina i Białoruś”?
- Ilu było polskich jeńców wojennych?
- Gdzie byli przetrzymywani?
- Gdzie były te obozy i ilu jeńców w nich było?
- Kiedy po raz pierwszy dowiedziano się o zagładzie jeńców wojennych?
- Kiedy stało się to powszechnie wiadome?
- Jaka była reakcja ZSRR na tę wiadomość?
- Nawiasem mówiąc, co przedstawia sam w sobie Las Katyński?
- Czy to prawda, że Las Katyński przed wojną był ulubionym miejscem wypoczynku mieszkańców Smoleńska i że znajdował się tam obóz pionierski?
- Kto i kiedy badał groby katyńskie?
- Jakie były wnioski z tych badań?
- Czy to prawda, że ani jeden z 12 ekspertów-członków Międzynarodowej Komisji później nie potwierdził swoich wniosków?
- Na podstawie jakich faktów stwierdzono winę ZSRR?
- A potwierdzają, że ręce zamordowanych w Katyniu były związane papierowym sznurkiem, który w ZSRR przed wojną nie był produkowany...
- A jakie pistolety i amunicja zostały użyte w Katyniu?
- Jeżeli rozstrzeliwało NKWD – dlaczego posługiwało się niemieckimi pistoletami? I w jaki sposób te pistolety znalazły się w ZSRR?
- Do jakich wniosków doszła Komisja Burdenki?
- Na ile jest wiarygodna wersja podana w sprawozdaniu Komisji Burdenki?
- Mówi się, że te obozy były ściśle tajne i przebywający w nich aresztantów pozbawiono prawa do korespondencji, żeby ukryć fakt, że znajdowali się na przymusowych robotach, co było niezgodne z konwencją o jeńcach wojennych...
- Jakie jeszcze pozycje w materiałach Komisji Burdenki zmuszają do podania w wątpliwość jej wniosków?
- Co wydarzyło się podczas Procesu Norymberskiego?
- Jaki jest współczesny punkt widzenia na zbrodnię katyńską?
- Jakie fakty, potwierdzające taki punkt widzenia, pojawiły się ostatnio?

¹ W polskiej wersji wszystkie pytania i dwie odpowiedzi. Pozostałe pomijam, gdyż są to sprawy doskonale znane polskiemu czytelnikowi.



– Jakże to są dokumenty?

– Czy to prawda, że są wątpliwości, co do prawdziwości tych dokumentów?

– Te wątpliwości znalazły się w książce Muchina *Detektyw katyński*. Jest ona, wg grupy polskich parlamentarzystów, „pełna kłamstw i nienawiści do Polski i Polaków” (z pisma do przewodniczącego Dumy Państwowej ZSRR, wysłanego przez polskich parlamentarzystów). Krótko mówiąc, książka jest dla ludzi, niebędących na bieżąco w szczegółach sprawy katyńskiej. Praktycznie wszystkie przedstawione w niej „dowody” winy Niemców oparte są albo na przemilczeniach, albo na „szytym grubymi nićmi” kłamstwie. Cztery przykłady poznaliśmy już wcześniej – twierdzenie, że ręce pomordowanych były powiązane papierowym sznurkiem (w rzeczywistości plecioną linką produkcji radzieckiej), opowieść o miejscu mordu (wg Muchina jest to coś w rodzaju Parku Gorkiego, a nie ogrodzony fragment lasu nieopodal dacz NKWD), historia o ściśle tajnych obozach dla polskich jeńców wojennych, gdzie byli przetrzymywani bez prawa korespondencji, a znaleźli się tam latem 1941 roku (a więc byli w niemieckiej niewoli), a także fakt, jakoby żaden z ekspertów komisji międzynarodowej nie podtrzymał później swoich wniosków. „Dowody” podrobienia dokumentów, krótko mówiąc, opierają się na tym, że nie były one praktycznie nigdzie opublikowane, właśnie z obawy przed ujawnieniem ich sfałszowania (jest to całkowicie niezgodne z prawdą – były wielokrotnie publikowane, zwłaszcza na łamach czasopisma „Woprosy Istorii”) oraz na tym, że Muchin dla swojej „analizy” wybrał bardzo niestaranną publikację ze zbioru *Wojenne archiwa Rosji*, w związku z czym większość jego dowodów jest oparta na błędach występujących w tej publikacji. W ogóle książkę czyta się ciekawie, ale tylko w zestawieniu z jakimkolwiek poważnym wydawnictwem na temat problemu katyńskiego – wtedy czytelnik od razu może zauważyć i wyłapać wszystkie niedopowiedzenia i przekłamania książki Muchina. Książeczka ta może stać się czymś w rodzaju samouczka na temat „Jak kłamać nie należy”.

Jak mówić o Katyniu dzieciom Zbrodnia katyńska

Polskie wojska właściwie nie walczyły z Armią Czerwoną. Mimo to, w radzieckiej niewoli znalazło się około 130 tysięcy polskich żołnierzy i oficerów. Część z nich została zwolniona, część przekazano w ręce niemieckie.

Pozostałych, przede wszystkim oficerów, umieszczono w obozach NKWD dla jeńców wojennych. Oficerowie domagali się uwolnienia, powołując się na fakt, że ZSRR nie wypowiedziało Polsce wojny. Nie ukrywali oni także swojej wrogości wobec Niemców. Wiosną 1940 roku, żeby „zamknąć sprawę” postanowiono zlikwidować większość będących w niewoli polskich oficerów.

W kwietniu i maju 1940 roku zostali oni rozstrzelani, przy czym większość z nich – w Lesie Katyńskim pod Smoleńskiem. W sumie zamordowano 21 857 oficerów.

Rodziny rozstrzelanych (prawie 60 tysięcy osób) zostały wtedy zesłane na Sybir i do Kazachstanu. Nie wiedziały wtedy jeszcze nic o losie swoich mężów i ojców. Dopiero w 1943 roku, kiedy Niemcy odkryli zbiorowe mogiły w Lesie Katyńskim, wiadomości o tym zaczęły docierać do członków rodzin. Aż do 1989 roku władze radzieckie twierdziły, że winę za mord ponoszą władze niemieckie. Później jednak przyznały w końcu, że mord jest dziełem funkcjonariuszy NKWD na podstawie rozkazu wydanego przez najwyższe kierownictwo państwa.

Oficer Zdzisław Peszkowski cudem ocalał z radzieckiej niewoli; napisał wiersz poświęcony mordowi katyńskiemu, zatytułowany **Przebaczanie**:

*Matko, która stałaś pod krzyżem Syna,
Ty rozumiesz co to znaczy ból ponad siły.
Pomóż nam przebaczyć.
Pamiętając wszystkie cierpienia i doświadczenia
W imię Jezusa Chrystusa Miłosiernego jako dzieci milenijnego Narodu Polskiego,
jako spadkobiercy tych,*



*którzy życie swoje oddali za Polskę.
Wszystkim oprawcom i katom wykonującym wyroki,
wszystkim kłamcom i tchórzom,
wszystkim naszym rodakom,
którzy zaprzędali się obcej mocy i gnębili swoich
i tym, którzy dzisiaj tak łatwo zapominają
i małodusznie zaniedbują obowiązki
odnalezienia i uczczenia tych, którzy nie szczędzili życia dla ojczyzny,
wszystkim winowajcom.
Wszystkim bez wyjątku,
każdemu
PRZEBACZAMY.
A Ty, Panie, odpuść nam, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom.*

*Encyklopedia dla dzieci, t. 5 cz. 3: Historia Rosji – XX wiek, Moskwa, „Awanta+”, 1996.
Ze strony katyn.codis.ru.*

Władimir Sirotinin Prawda o Katyniu

Kłamstwo zawsze było podstawą propagandy komunistycznej. Tę niesławną tradycję konsekwentnie kontynuuje „Gazeta Krasnojarska”. W wydaniu z 21 grudnia 1993 roku gazeta powściągliwie, ale z godnością uczciła kolejną rocznicę swojego niezapomnianego „(pachana?)” Józefa Stalina. Ofiarowała mu również prezent – opublikowała artykuł *Mit o Katyniu* niejakiego Muchina. Oto jak zachwala autora „Gazeta Krasnojarska” – „wybitne, niebanalne objawienie kultury opozycyjnej. Twardo stąpający po ziemi działacz gospodarczy, współczesny technokrata, profesjonalista wysokiej klasy, jest laureatem «Dnia»; autor pasjonującej publicystyki, w której osobiste sądy, praktyczny umysł i umiejętność filozoficznych uogólnień tworzą nierozdzielalną całość”. Wykorzystując całą siłę swojego „praktycznego rozumu” i niezwykłą zdolność do „filozoficznych uogólnień”, Muchin, rozpatrując materiały dotyczące zbrodni katyńskiej, dochodzi do jednoznacznego wniosku – Polacy zostali zamordowani przez Niemców jesienią 1941 roku. Z tego powodu ani komuniści, ani Józef Stalin nie mają żadnego związku z tą sprawą.

W takim razie, kto w końcu zamordował Polaków w Lesie Katyńskim?

Sięgnijmy po dokumenty, do których nie zajął „dociekliwy umysł” laureata gazety „Dzień”. W początkach marca 1940 roku komisarz ludowy spraw wewnętrznych ZSRR Beria skierował pismo do KC WKP(b) na ręce Stalina nr 794/B, z prośbą o pozwolenie NKWD ZSRR na rozstrzelanie Polaków przetrzymywanych w obozach jenieckich i w więzieniach znajdujących się na terenach Zachodniej Ukrainy i Białorusi. Na piśmie widnieją podpisy Stalina, Woroszyłowa i Mołotowa, a niżej uwagi: „Kalinin – za”, „Kaganowicz – za”. Biuro Polityczne KC WKP(b) 5 marca 1940 roku rozpatrzyło pismo Berii i podjęło następującą uchwałę (protokół nr 13, pkt.144):

„I. Polecieć NKWD ZSRR:

1. Sprawy znajdujących się w obozie jenieckim 14 700 osób byłych polskich oficerów, urzędników państwowych, ziemian, policjantów, żandarmów, osadników i więźniów.

2. Jak również sprawy aresztowanych i osadzonych w więzieniach na terenach zachodnich Ukrainy i Białorusi w liczbie 11 tysięcy ludzi, członków różnych kontrrewolucyjnych, szpiegowskich i dywersyjnych organizacji, byłych polskich oficerów, urzędników państwowych i uciekinierów – rozpatrzyć w specjalnym porządku (?), z zastosowaniem wobec nich najwyższej kary – rozstrzelania.

II. Sprawy rozpatrywać bez stawiennictwa aresztowanych bez przedstawiania im oskarżeń, postanowień o zakończeniu śledztwa i wyroku skazującego. W następującym porządku:



a) osoby znajdujące się w obozach jeńceńskich – na podstawie informacji, przedstawianych przez zarząd ds. jeńców wojennych NKWD ZSRR,

b) osoby aresztowane – na podstawie informacji ze spraw, przedstawianych przez NKWD ZSRR.

Rozpatrzenie spraw i podjęcie postanowień zlecić trzem osobom: tow. tow. Mierkułowa, Kabułowa i Baszatakowa (naczelnik I Oddziału Specjalnego NKWD ZSRR).”

Przełożonym tej trójki został Kabułow, który szybko zwołał zebranie z udziałem wysokiej klasy oprawców z centralnego aparatu NKWD i przedstawicieli zarządów NKWD z obwodów smoleńskiego, charkowskiego i kalinińskiego. Na zebraniu został zatwierdzony plan rozstrzeliwania Polaków.

Oprawcy rozjechali się na wyznaczone obiekty. Rozstrzeliwania rozpoczęły się 1 kwietnia. W swoim *Micie o Katyniu* Muchin oblicza czas, potrzebny na zabicie jednego człowieka. Wypadło mu 30 minut. Wiedocześnie Muchin przekładał to na swoje możliwości, zapominając, że zabójcami byli profesjonalści, mający dużą praktykę w mordowaniu, nabytą w minionych latach. W zeznaniach Tokariewa, na które powołuje się Muchin, jest mowa, że 300 osób zabito już pierwszej nocy. Jednak taka liczba okazała się zbyt wielka, nawet dla oprawców z NKWD i dlatego „normę” obniżyli do 250 osób w ciągu nocy. Sprawa została załatwiona. Komisarz Ludowy NKWD – Beria – 26 października 1940 roku wydał polecenie nagrodzenia pracowników NKWD ZSRR oraz UNKWD obwodów kalinińskiego, smoleńskiego i charkowskiego za pomyślne wykonanie zadania specjalnego. Nagrodzono łącznie 124 czekistów, 44 z nich dostało nagrodę w wysokości miesięcznych poborów, pozostali otrzymali po 800 rubli.

Według słów Aleksandra Galicza:

- *Był porządek – mówią oprawcy*
- *Była obfitość – mówią oprawcy*
- *Sprawa załatwiona – mówią oprawcy*
- *I proszę – w całości (całość) dostali!*

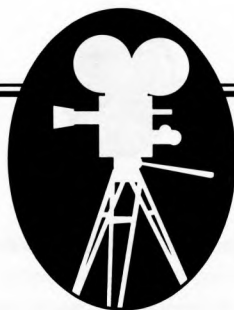
Po śmierci Stalina podejmowane były próby poznania prawdy o Katyniu. W związku z nimi ówczesny przewodniczący KGB Szeliepin, 3 marca 1959 roku, raportuje I sekretarzowi KC KPZR Chruszczowowi: „W Komitecie Bezpieczeństwa Państwowego przy Radzie Ministrów ZSRR od 1944 roku są przechowywane ewidencje i inne materiały dotyczące rozstrzelanych w tymże roku jeńców i internowanych oficerów, żandarmów, policjantów, osadników, ziemian itp. obywateli byłej burżuazyjnej Polski. Według uchwały specjalnej trójki NKWD ZSRR zostało rozstrzelanych 21 857 osób, z tego: w Lesie Katyńskim (obwód smoleński) 4421 osób, w obozie w Starobielsku koło Charkowa – 3820 osób, w obozie w Ostaszkowie (obwód kaliniński) – 6321 osób i 7305 osób zostało rozstrzelanych w innych obozach i więzieniach na zachodzie Ukrainy i Białorusi. Cała operacja likwidacji skazanych osób była przeprowadzona na podstawie Uchwały KCKPZR z 5 marca 1940 roku. Wszyscy oni zostali skazani na najwyższą karę wg spraw ewidencyjnych, ciążących na nich jako na jeńcach wojennych i internowanych w 1939 roku”.

Taka jest prawda o Katyniu, a mit o nieuczestnictwie komunistycznych przywódców i ośobiści Stalina w mordzie dokonanym na Polakach w 1940 roku dalej pozostanie mitem w wydawnictwach w rodzaju „Dnia” czy „Gazety Krasnojarskiej”. I niech „Gazeta Krasnojarska” i jej zwolennicy czczą kolejne jubileusze swoich oprawców.

Chciałbym także wspomnieć o naszych rodakach, zamordowanych przez komunistów, zgodnie z osobistą depeszą Stalina: „Dać dodatkowo Krasnojarskiemu Krajowi 6600 osób z limitu I kategorii. J. Stalin”, co w przekładzie z kryminalno-komunistycznego na ogólnie zrozumiały oznacza: „Polecam zamordowanie jeszcze 6600 mieszkańców Krasnojarska. J. Stalin”.

I zamordowali.

2005, nr 3
Tłum. Hanna Miązek



Borys Roginski

RYSOWANIE I KONNE PRZEJAŻDŻKI

„Maciuś smutny siedział w swoim pokoju, bo chociaż miał zostać królem, ale stracił ojca – i teraz już nikogo już nie miał na świecie. Pamiętał Maciuś swoją mamę; to ona właśnie nazwała go Maciusiem. Chociaż mama jego była królową, ale wcale nie była dumna; bawiła się z nim, klocki z nim ustawiała, opowiadała bajki, obrazki w książce pokazywała. Z ojcem rzadziej się Maciuś widywał, bo król często wyjeżdżał do wojska albo w gości – różnych królów przyjmował. To znów narady miał i posiedzenia. Ale i król, bywało, znajdzie dla Maciusia wolną chwilę, pobawi się w kregle, wyjedzie z nim – król na koniu, a Maciuś na kucu – w długie aleje królewskiego ogrodu. A teraz co będzie?”

(Janusz Korczak, *Król Maciuś Pierwszy*)

„– W *Katyniu* opowiedziałem również historię moich rodziców.

– Co pan pamięta o swoim ojcu?

– Byłem małym chłopcem, a on uczył mnie jeździć konno. W tym czasie polskie wojsko korzystało jeszcze z koni, jak w XIX wieku – modernizacja sił zbrojnych przebiegała bardzo powoli. A, i jeszcze coś, ojciec uczył mnie rysować.”

(Z rozmowy z Andrzejem Wajdą)

O bliskich, którzy już dawno odeszli, pamiętamy tylko to, co najważniejsze. Ich obraz nie staje płaski, wyblakły, o nie – z niego tracimy tylko to, co jest zwyczajne, codzienne. Zostaje: rysowanie, klocki, konie. Dziwię się, że znani mi widzowie filmu *Katyn* zapomnieli o tym.

Krytyczne głosy często mówią o filmie więcej niż pochwały: „Nie tego spodziewałem się po Wajdzie. Fabuła ciągnie się niemożliwie, strasznie sztuczne postaci, sami dobrzy prawowierni katolicy, brak jest wyrazistych, żywych postaci. W filmie nie ma ani jednego epizodu z żywszą akcją...” (z recenzji w blogu). Również i ci, którym film podobał się, kwestionują bohaterów i zwroty akcji filmu. Wymowa filmu podoba się, o stronie artystycznej mówią już mniej zdecydowanie: „konwencjonalny”, „wypełniający zadanie”, „nieco schematyczny”. Dziwię się, jak takie coś mogło się wydarzyć? Mówią, że film jest głęboki, prawdziwy historycznie, przedstawia wybór między prawdą i kłamstwem, i tak dalej, i tak dalej, całość wypowiedzi w tym duchu. O filmie jako o przedsięwzięciu artystycznym w najlepszym razie milczą. Czyżby tak naprawdę nie dowierzali, że coś takiego miało miejsce?

Sednem całej sprawy jest to, że Wajda opowiedział historię swoich rodziców. To jego ojciec zginął wraz z innymi oficerami w 1940 roku. To jego matka na próżno miała nadzieję i czekała. Oni dawno już odeszli – i ojciec, i matka. I prawie pół wieku Wajda, tak jak cała Polska, milcząco podejrzewał, a potem milcząco wiedział, co wydarzyło się w lesie, przy specjalnie wykopanych dołach. Później zaczął przygotowywać się do nakręcenia filmu: czytał dokumenty, pamiętniki należące do takich rodzin jak jego. Pamiętniki dostaje do tej pory, teraz także i od tych, którzy obejrżeli *Katyn*. To film o polskich ojcach i matkach. Znakomicie wyczuli to wszyscy aktorzy, grali tak, jakby opowiadali historię swoich rodzin. Dla nich ten film to nie tylko film, to także obowiązek wobec rodaków. Dlatego tak pozostają w pamięci ich twarze, postaci. Wajda nie starał się „psychologizować”, nie wymyślał zaskakujących zwrotów akcji. W pamięci – zwykłej ludzkiej pamięci o swoich bliskich – nie ma miejsca na psychologię czy „wiarygodne, żywe epizody”, które występują w *Liście Schindlera*, *Życie jest piękne* czy *Pianiście*. Po prostu – jego ojciec uczył go jazdy konnej i rysunku. Co można do tego dodać? Pamięć o bliskich, którzy odeszli, zawsze jest czysta i nieobciążona. Bohaterowie *Katynia* są prawdziwymi bohaterami, bo takimi zapamiętała ich dziecięca pamięć.

To właśnie ta pamięć podyktowała Wajdzie cały film. Dlatego styl jest prosty, oszczędny i nienachalny: brak w nim zaplątanych wątków, podkolorowań, nie ma zachwycania się bohaterami, pejzażami, akcją, nie



występują niezwykle zbliżenia, nie mówiąc już o tzw. „efektach specjalnych”. Minęły czasy, kiedy z wojny robiono umoralniającą przygodę.

Wojna nie skończyła się. *Katyn* jest przepojony „ostrym, nieprzekupnym światłem dnia”. Na każdym kroku wyczuwa się wstręt reżysera do wszystkiego, co tłuste, cielesne, rozpaplane, zaborcze. Pamięć tego nie przechowuje. Subtelnym podkreśleniem estetyki jest muzyka Pendereckiego – surowe i jednocześnie delikatne rekwiem rozbrzmiewa chyba w każdym kadrze.

Ale może teraz nadszedł czas na suche fakty. Czy *Katyn* to kolejny paradokumentalny film? Taki sam jak te z ekshumacji, które w filmie kręcą początkowo naziści, a potem Rosjanie? Nie przypadkiem w cytowanej wcześniej recenzji napisano: „Zresztą, film został nakręcony nie dla osiągnięć artystycznych. Propaganda pozostaje propagandą...”. Ale dlaczego w „agite” jest tyle kadrów, wbrew prostocie stylu wyraźnie wiodących ku jakiejś zagładzie, zupełnie tak samo, jak bywa z pamięcią lub z sennymi przywidzeniami. Przypomnijmy – tak samo było i w filmie *Kanał*. Kadrów tych tak łatwo się nie zapomina. Oto aresztowana schodzi po schodach (najazd kamery z góry) i z każdym krokiem brązowy mrok gęstnieje, w końcu ona roztopia się w nim. Oto dom egzekucji – przy wejściu niziutki stolik, za nim oficer ustala tożsamość. Twarzy zupełnie nie widać, nad nim znajduje się – jedyny w całym filmie, niewspółmiernie wielki, w czerwonej mgle – portret Stalina. Dlaczego tu się znajduje? Oto rynny, którymi z piwnicy podawane są ciała rozstrzelanych i rozmazane ślady krwi na metalu. Oto pociąg z jeńcami, zatrzymujący się w głuchym lesie. Podstawiane są długie czarne autobusy z oknami zamalowanymi farbą. Jakże wszystko jest jasne i dosłowne. Jak długo Wajda nosił w sobie te widzenia razem z pamięcią o ojcu? Jak to się łączy ze sobą?

Ale może te wszystkie kadry są tylko częścią agitki, ciosami poniżej pasa, obliczonymi na ideologiczne podporządkowanie widza za pomocą emocjonalnego wstrząsu? Można i tak pomyśleć, ale tylko wtedy, jeżeli nie wie się, że Wajda zawsze stosował chwyt „poniżej pasa”. Okrutne, wszechobecne, nieludzkie zło to pole działania, to atmosfera wokół bohaterów. Kłamstwo – zabijające i pożerające – główna część składowa świata, w którym żyje jasna i dobra pamięć o ojcach, którą dzieci powinny obronić.

Film zaczyna się od sceny na moście. Spotykają się na nim dwie rzeki uciekinierów – od Rosjan ze wschodu i od Niemców z zachodu. Na pierwszy rzut oka wszystko jest proste: Polska została rozdarta przez dwóch sąsiadów. Jednak za podstawowym faktem, czyli koniecznością ucieczki, kryje się przerażająca rzeczywistość – uciekać nie ma dokąd! Most wąski, kompromis, jakim byłoby zejście na bok lub cofnięcie się, jest absolutnie niemożliwy. Straszna myśl, wyrażona jednym kadrem, ucieka jak najdalej od polityki i morału.

Inna, jakże wymowna scena: rosyjscy żołnierze zrywają polską flagę, odrywają białe płótno i robią sobie z niego onuce, a czerwone wieszają ponownie. „Jest to jeszcze jeden symbol starcia niepodległej Polski z powierzchnią Ziemi” – tak Wajda skomentował tę scenę. Symbol – nie alegoria! Znaczenie jego znowu odchodzi daleko i od morału, i od polityki. Jakim sposobem Polska mogła tak łatwo dostać się pod okupację to kwestia wojenno-polityczna. Ale jak mogła tak łatwo zgodzić się na życie w kłamstwie przez prawie pół wieku! A co by było, gdyby wtedy, w 1939 roku, nasi ojcowie pozostali z nami, niechby nawet przegranymi – czy wtedy, w 1945 roku udaloby się rzucić kraj na kolana? Co stracilibyśmy razem z naszymi ojcami, z tą białą połówką naszej flagi narodowej? To właśnie zasadnicze pytania, zadane w tej scenie. Znowu mamy do czynienia z fantazją – pytanie zostaje bez odpowiedzi.

I jeszcze jedno pytanie: „Chcicie, żeby was wszystkich rozstrzelali? Kto wtedy będzie żyć, kto odbuduje Polskę?” – pyta jedna z bohaterek drugą, niegodzącą się na przyjęcie biernej postawy. I w tym przypadku odpowiedzi nie otrzymamy. Łatwo im, ojcom-bohaterom, z modlitwą na ustach przyjmującym męczeńską śmierć. Ale co mają robić żywi? Przecież wystarczy tak niewiele – zmieniając tylko jedną cyfrę na nagrobku lub w biografii ojca, z 1940 na 1941, i już możesz spokojnie żyć, uczyć się, tworzyć, budować... Ach, nie chcesz? – No to znasz swój dalszy los. Nad tym wszystkim zawisa oczywiste, niepokojące jedno jedyne pytanie – ostatnie, najważniejsze i dla dzieci, i dla wnuków, i dla prawnuków: „A więc chcesz być z martwymi przeciwko żywym?” – „Nie, ja jestem z zamordowanymi, przeciwko mordercom”. Czy dzieci okażą się godne swoich ojców i matek? *Katyn* to film nie o przeszłości. Wciąż zwraca się do czasów współczesnych, dlatego że mówi o życiu z kłamstwem i w kłamstwie. Niektórzy obawiali się, że młodzież, również polska, o naszej już nie mówiąc, zupełnie nie zrozumie filmu. Jest on jednak właśnie rozmową z młodymi, mówi



o sprawach całkiem współczesnych. Nie można też powiedzieć o młodych, że są nieprzygotowani do jego odbioru – burzą się, denerwują: „...dawniejsza okropna maniera Polaków strojenia się w białe szaty szlachetnej ofiary. I w kontekście zewnętrznego prymitywnego polonofilstwa określonych warstw rosyjskiej inteligencji – Polacy skłonni są do karmienia wszystkich dokoła swoimi krzywdami i ofiarami”. Wydźwięk powyższego jest jasny. Przytaczając cytaty, musiałem poprawić błąd w słowie „inteligencja”. Są jednak i straszniejsze w wymowie słowa: „Nie sądzicie, że nie należy wskrzeszać przeszłości? Było, minęło... Nie powtórzy się... I chwała Bogu. Była wojna, bardzo tragiczna. Zginęli ludzie. A może trzeba by zamknąć te strony i otworzyć nowe? Wiedząc, że owszem, wszystko już było – i złe i dobre...” (i dalej, z tej samej krytyki) – to nasz stary znajomy, kot Leopold: „Dzieciaki, zacznijmy żyć w przyjaźni”. Nie ruszajcie tego tematu, nie trzeba, nasze stosunki z Polską są wystarczająco skomplikowane, prezydenci naszych krajów dogadają się we wszystkim prywatnie.

W tym miejscu muszę sam siebie zganić: zamierzałem pisać bez moralizatorstwa, a chcąc nie chcąc zacząłem w nie wpadać. Może to nie agitka, a filozoficzna rozprawka? Ale rozprawka odwołuje się do rozumu, a film Wajdy – do człowieka jako całości. Chciałoby się nazwać go filmem o męczennikach, ale mijałoby się to z prawdą. Istota jego tkwi w tym, że prawie wszyscy bohaterowie – matki zamordowanych, żony, siostry, dzieci – nie zgadzają się na zakłamanie życia, nawet za cenę własnego życia. Dlatego scena finałowa rozstrzału, wstrząsająca w swojej wymowie, nie może zasiać tej nadziei, którą daje Wajda. Oprócz tego rozprawka nie jest związana z konkretnym światem materialnym, który nie zważając na oszczędny styl, odgrywa w filmie ważną rolę. Jeszcze na samym początku jeden z więzionych oficerów mówi: „Z nas zostaną jedynie guziki”. Te guziki różnymi sposobami przeciekają do Polski – stanowią świadectwo życia i śmierci ojców: cudem ocalała szabla, order, baretka, notatnik, w którym oficer prowadził zapiski prawie do ostatniej chwili. W filmie dźwięczą słowa: „Dla was to tylko dowody, dla nich – relikwie”. Możliwe, że świadczą one o ukrywanej religijności: wiadomo, jakie znaczenie dla katolików mają materialne ślady pobytu na Ziemi Chrystusa i świętych. Właśnie wokół relikwii stworzony został świat *Katynia*.

Najbardziej wzruszającą sceną religijną filmu jest oczekiwanie na pierwszą gwiazdkę w Wigilię Bożego Narodzenia. Przed soborem, w którym trzymani są jeńcy, stoi dyżurny i patrzy w czarne niebo. Później biegnie i składa raport generałowi. Generał, wśród wszechogarniającej ciszy, przechodzi na środek sali i krótko przemawia: życzy wszystkim powrotu do domu jeszcze w tym roku. Ktoś zaczyna śpiewać, pozostali niezbyt głośno przyłączają się – muzyka płynie aż pod kopułę. Razem z nią podnosi się kamera. Pokazuje plan ogólny z góry: oficerowie zapełnili cały sobór, stoją w kształcie ogromnego krzyża. W tym momencie w rodzinie jednego z jeńców przy nakrytym stole zorientowano się, że nie ma córki. Pobiegła szukać pierwszej gwiazdy.

*I wszystkim się zdawało, że radość będzie,
Do cichych zatok okręty mkną,
A na obczyźnie wreszcie osiedzie,
Tulacz, spokojny znajdując dom.¹*

Co jest ważniejsze w tej i we wszystkich pozostałych scenach: „forma” czy „treść”, muzyka czy wiara, to co widzialne czy to, co się za nim kryje?

Ani jedno, ani drugie. Widz zostaje tak bardzo wciągnięty w bieg wydarzeń, że nie można odróżnić tego co znaczące od tego co znaczone. Fabuła, muzyka, postaci, głosy, przedmioty, światło, rytm, ruch kamery, montaż – dosłownie są tym samym, co myśli i pytania w nich ukryte. Wajda zawsze – z większym lub mniejszym powodzeniem – tak kręcił filmy. Podobna jedność jest możliwa tylko w takich filmach, w których liryczne „ja” reżysera właściwie roztopiło się w losach bohaterów. Jednak nie może roztopić się do końca: dlatego że punktem wyjścia jest osobista pamięć Wajdy. Reżyser jednoznacznie pokazuje swój stosunek do historycznej dokumentacji – można ją manipulować. Jedynie film fabularny, którego treść jest oparta na osobistych przeżyciach reżysera, jego własnych przemyśleniach, film, który dziesiątki lat „nosił za pazuchą”, może opowiedzieć prawdziwą historię.

¹ Aleksander Błok, [Dziewczę śpiewało w cerkiewnym chórze...]. Przekład Józef Czechowicz.



„Za pomocą tego filmu – mówi Wajda – dokonałem w końcu osobistego «remanentu» moich zobowiązań nie tylko wobec naszej wspólnej historii i wobec widza, ale i w stosunku do moich dawniejszych filmów.” *Katyn* – podsumowanie, które połączyło się z początkiem w bolesnym lęku, w nierozwiązanych sprawach, w gwałtownej chęci życia u progu śmierci – jest najbardziej zbliżony do *Popiołu i diamentu*. W *Katyniu* znalazł się jakby cytat z tego filmu – jest tu ucieczka, miłość i śmierć młodziutkiego chłopaczka, całkiem „zielonego”, żołnierza Armii Krajowej, początkującego artysty – chyba takiego, jakim był Wajda w 1945 roku.

Film kończy trwająca siedem minut scena rozstrzeliwania jeńców. Bohaterowie są podprowadzani do zbryzganej krwią ściany lub do pełnego ciał rowu – na sekundę przed strzałem reżyser pyta jakby siebie, i każdego z nas: „A ty kim byłeś? Jak żyłeś obok wielkiego kłamstwa? Czy nie sprzedajesz rysowania i konnych przejażdżek? Jako kto staniesz przed Panem?”.

2008, nr 4

Tłum. Hanna Miązek



Jewgienij Krinko
Tatiana Chłynina

REHABILITACJA „UKARANYCH NARODÓW”

Analiza praktyki realizacji Ustawy RSFRR „O rehabilitacji represjonowanych narodów” z 26 kwietnia 1991 roku pozwoliła Nikołajowi Bugajowi¹ wysnuć w pełni zasadny wniosek dotyczący tego, że na jego bazie nie sposób jest rozwiązać wszystkich problemów. Przede wszystkim dotyczy to kwestii rehabilitacji terytorialnej. Najostrej próby jej realizacji wyraziły się w konflikcie osetyńsko-inguszejskim, który przybrał postać otwartego starcia zbrojnego. Niemniej jednak swoje roszczenia terytorialne zgłaszali również przedstawiciele innych poszkodowanych narodów. To wszystko pozwoliło Autorowi stwierdzić, że „ogłoszone hasła rehabilitacji terytorialnej nie przyniosły niczego oprócz szkody”.

Bodajże najlepszy jest kolejny, najobszerniejszy rozdział, poświęcony rehabilitacji represjonowanych osób, przeprowadzonej w latach 1980-2000. Podkreślając, że była ona możliwa wyłącznie na mocy odpowiedniej normatywno-prawnej bazy, Nikołaj Bugaj analizuje przyjęcie aktów ustawodawczych, dotyczących rehabilitacji obywateli Rosji oraz odpowiednich dokumentów w podmiotach Federacji Rosyjskiej. Autor ukazuje, jak tworzone były odpowiednie struktury rządowe, których celem było regulowanie stosunków międzyetnicznych: Państwowego Komitetu ZSRR ds. Stosunków Narodowościowych, Państwowego Komitetu ZSRR ds. Narodowości RSFRR², Ministerstwa ds. Narodowości Rosji, działalności ich odpowiednich oddziałów, zajmujących się problematyką represjonowanych narodów.

Drugi, objętościowo stosunkowo niewielki rozdział nasświetla przebieg rehabilitacji obywateli od lat czterdziestych do siedemdziesiątych XX wieku. Autor prezentuje w nim proces tworzenia podstaw prawnych oraz wykonania rehabilitacyjnych działań wobec represjonowanych obywateli w sferze społeczno-gospodarczej oraz kulturalnej. Bugaj odnotowuje, że już na początku lat czterdziestych oczywiste było, że szeregu działań, podejmowanych wobec „poszczególnych społeczności etnicznych, ukaranych grup obywateli różnej narodowości” absolutnie nie przemyślano, a ich przyczyna niejednokrotnie miała naturę czysto polityczną. Na przykładzie „poprawy sytuacji obywateli polskiej narodowości” Autor szczegółowo analizuje wszystkie utrudnienia i straty w owym czasie, związane z „trzecim już przemieszczeniem z północnych do południowych rejonów kraju”, gdzie „tak naprawdę, nikt nie oczekiwał polskich przesiedleńców”; ukazuje trudności w pracy Radziecko-Polskiej Komisji ds. Ewakuacji. Nikołaj Bugaj wykazuje, że odwołanie ograniczeń, krępujących represjonowanych obywateli różnych narodowości w rozpatrywanym okresie, było zaledwie półśrodkiem. Niestety, w książce brak jest precyzyjnej odpowiedzi na pytanie o to, dlaczego w drugiej połowie lat pięćdziesiątych została odtworzona państwowość jednych narodów, a nie została przywrócona państwowość innych (Niemców, krymskich Tatarów).

Historię masowych politycznych represji i następujących po nich rehabilitacji rosyjskich obywateli z dużym tylko trudem można by zaliczyć do kategorii „nie dość dobrze zbadanych aspektów ojczystej historiografii”. W ciągu dwudziestu lat, dzięki wysiłkom badaczy oraz wielu organizacji społecznych, upublicznione zostały „rehabilitacyjne” dokumenty ustawodawczych i wykonawczych organów władzy, losy poszczególnych obywateli i całych „ukaranych narodów”. Niemniej jednak niejednoznaczność odbioru powyższych wydarzeń, naznaczonych syndromem bólu historycznej pamięci, do dzisiaj wpływających na praktykę codziennego współdziałania poszczególnych narodów, pozwala rozpatrywać je w kategorii „zapalnych punktów” współczesnych badań historycznych. To aktualizuje dalsze badanie tego tematu oraz konieczność wypracowania optymalnego modelu zarówno stosunków wzajemnych pomiędzy różnymi etnicznymi społecznościami w samej Rosji, jak również jej stosunków z innymi państwami, wykazującymi zainteresowanie losami swoich obywateli.

¹ N.F. Bugaj, *Rehabilitacja represjonowanych obywateli Rosji (XX–początek XXI wieku): Książka-monitoring*, Moskwa ZAO „MSNK-Press” (ZAO «MCHK-ПРЕСС»), 2006, 464 s. Nakład. 1000 egz.

² Rosyjska Socjalistyczna Federacyjna Republika Rad.



Niewątpliwą zaletą książki jest jej pogłębiona baza źródłowa, zawierająca zarówno opublikowane, jak i niepublikowane dokumenty. Wśród nich znajdują się także materiały partyjnych Zjazdów i Plenów KPZR, postanowienia i rozporządzenia Rady Najwyższej ZSRR, Rady Ministrów ZSRR, Rady Ministrów RSFR, Dekrety Prezydenta Federacji Rosyjskiej, postanowienia i rozporządzenia rządu Federacji Rosyjskiej, materiały z przesłuchań parlamentarnych, dokumenty organizacji międzynarodowych. Do naukowej praktyki po raz pierwszy zostały wprowadzone liczne raporty, notatki, materiały z narad ekspertów ministerstw i resortów do spraw rehabilitacji represjonowanych obywateli, podmiotów gospodarczych Federacji Rosyjskiej oraz inne dokumenty, spośród których wiele nie tylko nie było dostępnych, ale nawet nie było znanych szerokiemu kręgowi badaczy.

Ogólnie rzecz biorąc – mimo wskazanych i łatwych do usunięcia niedociągnięć – nowa monografia Nikołaja Bugaja stanowi niewątpliwą wkład w poznanie problematyki rehabilitacji rosyjskich obywateli i może być pożyteczna nie tylko dla profesjonalnych badaczy, specjalistów w dziedzinie zarządzania państwem, ale również dla szerokiego kręgu czytelników.

Podstawowa część monografii składa się z czterech rozdziałów. W pierwszym z nich omówiona została deportacja represjonowanych obywateli ZSRR od lat dwudziestych do pięćdziesiątych XX wieku. Bugaj podkreśla, że pierwsze represje dotknęły Kozaków, następnie Polaków i Niemców na Ukrainie. Szczególnie należy podkreślić, że problemy związane z przymusowym przesiedleniem obywateli polskich w tym aspekcie w rosyjskiej i radzieckiej historiografii rozpatrywane są po raz pierwszy. Zaliczając je do kategorii przesiedleń przewencyjnych, autor wykazuje, że „już w połowie lat trzydziestych XX wieku Stalin traktował Polaków zamieszkujących zachodnie rubieże ZSRR, jako «element niepewny»”. W sytuacji narastającego zagrożenia wojną z Niemcami w 1930 roku z Białorusi i Ukrainy deportowano 15 tysięcy rodzin kułaków „polskiej narodowości”. W 1936 roku ze strefy przygranicznej nad zachodnią granicą do obwodu karagandyjskiego wraz z Niemcami przesiedlono również ponad 35 tysięcy Polaków. W szczytowym okresie walki ze „szpiegowsko-dywersyjnymi i powstańczymi ugrupowaniami” w latach 1937-1938 Polacy byli wśród 675 rodzin przesiedlonych do Kraju Ałtajskiego. Represje dotknęły również „osadników” – byłych żołnierzy i oficerów polskiej armii oraz uchodźców, szukających schronienia przed faszystowską okupacją, jak również „grupę osób obcych społecznie wobec władzy radzieckiej” reprezentowanych głównie przez byłych właścicieli ziemskich, fabrykantów i kupców. Ich losy, jak i wielu innych represjonowanych narodów ZSRR, były tragiczne.

Poświęciwszy wiele uwagi rehabilitacji społecznej, Autor ukazał konkretne działania, ukierunkowane na kompensację krzywd wyrządzonych obywatelom oraz środki skierowane na kulturalne odrodzenie poszczególnych narodów – Bałkarów, Greków, Inguszy, Kałmyków, Karaczajewów, Koreańczyków, Kurdów, Tatarów krymskich, Niemców, Polaków, Turków-Meschetyńców, Finów, Czeczenów oraz Kozaków. Autor prezentuje mechanizm realizacji narodowościowo-kulturowej rehabilitacji na szczeblu regionalnym. Wiele uwagi poświęca również działalności narodowo-kulturalnych stowarzyszeń. Zaprezentowane są takie wyniki działalności społecznych ugrupowań Polaków w obwodzie orenburskim i nowosybirskim, oraz w Kraju Krasnodarskim, jak zorganizowanie dni kultury polskiej, stworzenie specjalnych klas i szkół z wykładowym językiem polskim oraz zorganizowanie wypoczynku w Polsce dla dzieci z rodzin represjonowanych rosyjskich Polaków.

Przy całym uznaniu zarówno dla wykonanej przez Autora pracy w zakresie przygotowania monografii, jak również wysokiej ocenie książki w całości, należy jednak odnotować cały szereg jej niedostatków. Już sam tytuł publikacji sugeruje charakterystykę rehabilitacji w stosunku do wszystkich obywateli, których dotknęły represje w latach władzy radzieckiej. W książce natomiast główna uwaga zwrócona jest na represjonowane narody, a zaledwie kilka stron poświęcono kwestii rehabilitacji innych ofiar politycznych represji. Nie do końca jasne jest również, co Autor rozumiał przez określenie „książka-monitoring”.

Osobną wartość stanowią załączniki do monografii, w których Autor przytacza dokumenty, dotyczące rehabilitacji na przykładzie Niemców rosyjskich. Polityka względem rosyjskich Niemców rozpatrywana jest jako swoisty model innych przymusowych i masowych przesiedleń oraz następującej po nich rehabilitacji.

Szczyt deportacji narodów przypadł na czasy Wielkiej Wojny Ojczyźnianej, kiedy to przymusowe przesiedlenie dotknęło 61 narodowości. Nawet już po wojnie trwały wysiedlenia z terytoriów Ukrainy, Białorusi, republik nadbałtyckich, Mołdawii i innych. Nie sposób nie zgodzić się z wnioskiem Autora, że



„nie wolno usprawiedliwić zastosowania wobec wielu narodów represyjnych, przymusowych środków. Przecież surowo karano nie tylko winnych, ale i całe narody”.

Tak jak i inne prace Nikołaja Bugaja, również omawiana monografia bazuje na bogatej bazie fakto-graficznej. Przy tym Autor czasami nadmiernie zajmuje się opisową stroną problemu, ze szkodą dla ana-lytycznej składowej. Książka, oparta głównie o nowe materiały archiwalne, napisana z wykorzystaniem najnowszych technik badawczych, w sensie terminologicznym pozostaje w sferze historii minionych lat. Na przykład na stronie 57 Autor mówi o zwycięstwie wielkiej rewolucji październikowej w 1917 roku, a na stronie 80 – o „panoszeniu się klerykalizmu” w Czeczeno-Iguszeckiej ASRR [Autonomicznej Socja-listycznej Republice Rad].

W książce została przeanalizowana istniejąca historiografia problemów deportacji i rehabilitacji, której znaczną część stanowią badania i publikacje dokumentów przygotowane przez samego Nikołaja Bugaja, bądź też przy jego udziale. Autor opisuje nie tylko pozytywne wyniki, ale również negatywne tendencje, przejawiające się przy naświetlaniu tej problematyki, próby poszukiwania „sił antyrehabilitacyjnych”, dążenia do „stworzenia łańcucha dowodów «stopnia ukarania» tego czy innego narodu i wynikającego z tego podziału rehabilitacji na zasadzie: «tych trzeba, a tych nie trzeba»”.

We wstępie do swojej książki Bugaj proponuje czytelnikowi zastanowić się nad tym, czym jest istota i znaczenie rehabilitacji, rozpatrując ją jako spuściznę totalitarnego reżimu i – jednocześnie – jako świadec-two „klęski i nieskuteczności administracyjno-zarządczych, totalitarno-ideologicznych metod sterowania społeczeństwem, procesu socjalnych transformacji”. Autor podkreśla, że wraz z upływem czasu ewoluowała nie tylko sama rehabilitacja, jako proces przywracania praw represjonowanym obywatelom, ale również znaczenie tego pojęcia, nabierające wraz polityczną składową innych duchowo-kulturalnych, socjalnych, terytorialnych i innych aspektów.

Właśnie dlatego wydanie nowej książki znanego specjalisty, znawcy historii radzieckiej polityki narodowościowej, jest aktualną odpowiedzią nauk historycznych na wyzwania naszej niedawnej i wciąż jeszcze nieprzeżytej przeszłości. Z głęboką znajomością tematu napisał ją człowiek, który nie tylko wniósł istotny wkład do zbadania rozpatrywanego problemu, ale również w ciągu prawie półtora dziesięciolecia bezpośrednio uczestniczył w pracach państwowych organów władzy, zajmujących się podejmowaniem i wykonywaniem decyzji rehabilitacyjnych. Autorowi udało się wykazać, jak, wraz ze stopniową zmianą sytuacji politycznej oraz klimatu ideologicznego, kształtowały się warunki do rehabilitacji. Ukazał jej treść, ocenił działania organów władzy Federacji Rosyjskiej oraz rządów byłych republik związkowych, które przekształciły się w niepodległe państwa.

Zainteresowanie budzi również rozdział końcowy, poświęcony międzynarodowym aspektom rehabili-tacji obywateli. Bugaj analizuje w nim politykę rehabilitacji w krajach Wspólnoty Niepodległych Państw: Azerbejdżanie, Białorusi, Gruzji, Kazachstanie, Kirgizji, Mołdawii, Turkmenistanie, Ukrainie, Uzbekista-nie. Zagraniczne doświadczenia w zakresie rehabilitacji rozpatrywane są również na podstawie materiałów z: Niemiec, Grecji, Polski, Korei Południowej, państw bałtyckich, Finlandii. Przedsięwzięcia przepro-wadzone w tych państwach budzą nieprzypadkowe zainteresowanie, gdyż na podstawie ustawodawstwa rosyjskiego rehabilitacji podlegają wyłącznie osoby, wobec których represje stosowane były na terytorium Rosji. Dlatego też wyłącznie w przypadku wspólnych wysiłków możliwe jest zapewnienie kompleksowego przywrócenia praw represjonowanych osób i uzyskanie przez nie stosownej kompensaty.

2008, nr 2

Tłum. Stanisław Filipczak

Jewgienij Krinko, doktor nauk historycznych (Południowe Centrum Naukowe RAN)

Tatiana Chlynina, doktor nauk historycznych (Adygejski Republikański Instytut Badań Humanistycznych)



Mark Sołonin

NIEUNIKNIONE

■ Berlin, 15 września, godz. 20.20

Będziemy wdzięczni za wyznaczenie przez rząd sowiecki daty oraz godziny rozpoczęcia przez nich ofensywy wojennej, abyśmy, ze swojej strony, mogli odpowiednio działać. Niezbędna koordynacja operacji wojskowych obydwu stron wymaga, by przedstawiciele obydwu rządów jak również niemieccy i rosyjscy oficerowie w strefach operacyjnych, odbyli spotkanie mające na celu podjęcie koniecznych kroków, w związku z czym proponujemy zwołanie narady w Białymstoku...

■ Moskwa, 17 września

Stalin w obecności Mołotowa i Woroszyłowa przyjął mnie o godz. 2.00 w nocy i oświadczył, że Armia Czerwona przekroczy granicę o godz. 6.00 rano na całej długości od Połocka do Kamienia Podolskiego... Sowiecka komisja przybędzie do Białegostoku nazajutrz. W przyszłości wszystkie kwestie wojenne mają być wyjaśniane bezpośrednio z Woroszyłowem przez generała lejtnanta Köstringa... Stalin odczytał mi notę, jaka zostanie wręczona już tej nocy polskiemu ambasadorowi. Odczytany projekt zawierał trzy punkty, które dla nas były nie do przyjęcia. W odpowiedzi na mój sprzeciw Stalin ochoczo zmienił tekst tak, że teraz nota w pełni nas satysfakcjonuje.

Właśnie w ten sposób, w wyniku wcześniejszej zмовy i w pełnej koordynacji działań z Berlinem, 17 września 1939 roku Związek Sowiecki przystąpił do II wojny światowej. Zerwawszy w bezprawny sposób pakt o nieagresji, podpisany 25 lipca 1932 roku między ZSRS a Polską, sowiecki (stalinowski) rząd zadał cios w plecy polskiej armii, której zdolne bojowo oddziały zmagaly się wówczas z niemieckim Wehrmachtem. Ogromna zmotoryzowana armada (21 dywizji strzeleckich i 13 kawaleryjskich, 15 brygad czołgowych, w sumie 618 tysięcy ludzi i 4733 czołgi), ruszyła ku brzegom Niemna, Wisły i Sanu.

„Nadchodzi Armia Czerwona, wstrząsając ziemię hukiem kolumn czołgowych, zasnuwając niebo skrzydłami swych samolotów” – krzyczał w zachwycie ze stron gazety „Prawda” proletariacki pisarz hrabia Aleksy Tołstoj. 20 września „Prawda” podarowała swoim czytelnikom całkowicie idylliczny obrazek braterstwa broni: „Berlin w tych dniach wyjątkowo się ożywił. Na ulicach obok gablot i specjalnych tablic, na których wywieszone zostały mapy Polski, przez cały dzień gromadzą się ludzie. Żywo omawiają udane operacje Armii Czerwonej. Przesunięcie jednostek Armii Czerwonej oznaczane jest na mapie sowieckimi chorągiewkami”.

23 września ogromna, zajmująca całą kolumnę w gazecie, mapa (wprawdzie bez chorągiewek) została zaprezentowana również czytelnikom „Prawdy”. Na mapie była zaznaczona „linia demarkacyjna między armią niemiecką i sowiecką”. A dla pełnej jasności, dla tych najbardziej „krótkowzrocznych antyfaszystów” (sformułowanie towarzysza Mołotowa), którzy jeszcze starali się przekonać siebie, że Armia Czerwona podąża na zachód po to, by zatrzymać przesunięcie Hitlera na wschód, dodano tekst wspólnego niemiecko-sowieckiego komunikatu: „Dla uniknięcia wszelkiego rodzaju bezpodstawnych pogłosek dotyczących zadań sowieckich i niemieckich wojsk, działających w Polsce, rząd ZSRS wraz z rządem Niemiec oświadczają, że działania tych wojsk nie zmierzają do żadnego celu, który byłby sprzeczny z interesami Niemiec czy Związku Sowieckiego...”.

28 września 1939 roku w Moskwie został podpisany „Traktat o granicach i przyjaźni”. Zaczynał się on następującymi słowami: „Rząd ZSRS i rząd Rzeszy Niemieckiej uznają, że po rozpadzie byłego państwa polskiego, wyłącznie do nich należy zadanie przywrócenia pokoju i porządku na tym terytorium...”. 31 października 1939 roku, przemawiając z trybuny Rady Najwyższej premier rządu ZSRS Władysław Mołotow oświadczył: „Wystarczyło niedługie uderzenie na Polskę, najpierw ze strony armii niemieckiej, następnie zaś – Armii Czerwonej, aby nic nie zostało z tego pokracznego tworu traktatu wersalskiego”.

Swojego triumfu nie ukrywał również komisarz ludowy Woroszyłow. W świątecznym rozkazie z 7 listopada 1939 roku zostało powiedziane: „Rząd polski przy pierwszym zaledwie poważnym starciu wojennym rozleciał się jak stara, spróchniała furmanka. Po jakichś 15 dniach wojny z Niemcami pańska



Polska przestała istnieć jako państwo...”. Po tak wymownych wystąpieniach wojskowo-politycznego dowództwa kraju nawet w ściśle tajnych, bynajmniej nie przeznaczonych dla publiczności, dokumentach najwyższego dowództwa Armii Czerwonej, Polska została nazywana nie inaczej jak tylko „byłą Polską” lub też (zupełnie już w słownictwie hitlerowskim) „Generalnym Gubernatorstwem”.

Jak należało oczekiwać, „przyjaźń” okazała się nietrwała i niedługa. 22 czerwca 1941 roku między wczorajszymi sojusznikami rozpoczęła się wojna. Przy pierwszym zaledwie starciu wojennym z silnym przeciwnikiem ogromna, wypastowana przez marszałka Woroszyłowa armia zaczęła się rozlatywać „jak stara, spróchniała furmanka”. W ciągu 5-10 dni Wehrmacht zajął obszar Polski, okupowany we wrześniu 1939 roku przez Armię Czerwoną. W zawrotnym tempie Stalin nauczył się nowych słów – miał nazwać swoich poddanych „braćmi i siostrami” i zwrócić się z prośbą o pomoc do „nędznych podżegaczy wojennych angielsko-amerykańskich imperialistów”.

Co prawda Churchill i Roosevelt byli zmuszeni do wsparcia Stalina, ale latem ’41 mogli jeszcze uzależniać swe poparcie od określonych warunków. Jeden z takich warunków dotyczył Polski. Polscy lotnicy bronili nieba nad Londynem (czwartym pod względem skuteczności w Dowództwie Lotnictwa Myśliwskiego Królewskich Sił Powietrznych był polski Dywizjon 303), polscy marynarze wraz z angielskimi prowadzili konwoje przez śmiertelnie niebezpieczne wody Atlantyku, polscy żołnierze walczyli obok Anglików w północnej Afryce. W tej sytuacji Churchill nie mógł zlekceważyć zdania i uczuć swoich współobywateli i otwarcie pomagać państwu (ZSRS), którego przywódcy nazwali kraj z tysiącletnią historią „pokracznym tworem traktatu wersalskiego”.

Pod naciskami sojuszników Stalin zmuszony był uznać „byłą Polskę” za ponownie istniejącą i rozpocząć negocjacje z legalnym polskim rządem Sikorskiego.

30 lipca 1941 roku podpisany został międzyrządowy układ sowiecko-polski. Jego pierwszy punkt głosił: „Rząd ZSRS uznaje, że traktaty sowiecko-niemieckie z 1939 r., dotyczące zmian terytorialnych w Polsce, utraciły moc”. Ściśle mówiąc, na tym właśnie kończy się „marsz wyzwoleńczy” 1939 roku. Powojenna granica pomiędzy ZSRS i PRL została wytyczona w postanowieniach konferencji jałtańskiej i poczdamskiej i z punktu widzenia formalno-prawnego nie miała nic wspólnego z sowiecko-niemiecką „linią rozgraniczenia interesów państwowych” z 1939 roku. Różniła się również pod względem praktycznym – „występ białostocki”, który, w związku tragicznymi wydarzeniami czerwca ’41, niechlubnie zapisał się w pamięci, został zwrócony Polsce.

Następnie o wszystkim tym kazano zapomnieć. Wykreślić ze wszystkich podręczników i książek. Albo, przynajmniej, radykalnie przekłamać. Zadanie zostało wykonane „na piątkę z plusem”. Nawet absolwenci wydziałów historycznych radzieckich uniwersytetów (nie mówiąc już o „zwykłych ludziach”) dziwią się wielce na każde wspomnienie, np. o układzie z 30 lipca 1941 roku, ba, nawet opublikowany we wszystkich centralnych gazetach w wielomilionowych nakładach *Traktat o granicach i przyjaźni* z 28 września 1939 roku w dalszym ciągu bywa dla wielu oszałamiającą nowiną. Żadne wkroczenie do Polski nie miało miejsca. Był jedynie „marsz wyzwoleńczy”. Było również wyciąganie ręki z bratnią pomocą do „braci Białorusinów i Ukraińców” (dla kraju, którego państwowym hymnem była *Międzynarodówka*, Polacy nie byli, widocznie, wystarczająco „bratnimi”, nie wspominając już o tym, że w niemieckiej strefie okupacji pozostało około miliona etnicznych Ukraińców).

Dziś zresztą, w nowej Rosji, wyszły z mody podobne wyrażenia. Żelazna dama rosyjskich „historyków-patriotów”, pani Narocznikaja, preferuje nazywanie wydarzeń z września 1939 roku „przywróceniem historycznych granic Imperium Rosyjskiego”. Takie sformułowanie jest osobliwe nawet nie ze względu na niebywałą historyczną ignorancję (okupowana we wrześniu 1939 roku Galicja, nawet przez jeden dzień nie należała do Imperium Rosyjskiego), ale na bezpośrednie kopiowanie argumentów propagandy hitlerowskiej, która również próbowała przedstawić zajęte w latach 1938-1939 terytoria jako „przywrócenie Cesarstwa Niemieckiego w jego rzeczywistych granicach”.

Obecnie znaleziono nieco bardziej elegancki sposób poprawiania historii. Polska, jak się okazuje, sama, przez swą nieustępliwość i upór, sprowokowała tragiczne wydarzenia 1939 roku. W tym miejscu należy przypomnieć głośny skandal, który rozgorzał po tym, jak na oficjalnej stronie internetowej ministra obrony Federacji Rosyjskiej został zamieszczony artykuł pułkownika Siergieja Kowaliowa, szefa jednego



z wydziałów państwowego Instytutu Historii Wojny, w którym to artykule zostało powiedziane: „Każdy, kto bezstronnie studiował historię II wojny światowej, wie, że rozpoczęła się ona w wyniku odmowy spełnienia przez Polskę niemieckich roszczeń... Tymczasem roszczenia Niemiec były zupełnie umiarkowane... Trudno nazwać te roszczenia nieuzasadnionymi...”.

Na zawsze pozostanie dla nas zagadką, czy Goebbels podskoczył w grobie z radości, kiedy poznał tak „bezstronną” interpretację historii. Natomiast na poważne omówienie zasługuje inny wątek, związany z historią fiaska rozmów trójstronnych (między Anglią, Francją i ZSRS) latem '39.

Jak wiadomo, rozmowy delegacji wojennych, rozpoczęte w Moskwie 12 sierpnia 1939 roku, znalazły się w ślepych zaułku już na trzeci dzień, 14 sierpnia, po tym, jak marszałek Woroszyłow zaskoczył swych partnerów następującym oświadczeniem: „Wstępnym warunkiem naszych rozmów i wspólnej umowy pomiędzy trzema państwami jest wypuszczenie naszego wojska na terytorium Polski przez korytarz wileński i Galicję oraz na terytorium Rumunii. Jeśli do tego nie dojdzie, jeśli ten wniosek nie zostanie pozytywnie rozpatrzony, to wątpię w celowość naszych rozmów”.

Stenogramy rozmów zostały opublikowane w ZSRS jeszcze w 1981 roku. To smutna, lecz pouczająca lektura. Przedstawiciele najstarszych demokracji Europy zachowali się jak naiwne dzieci: zaczęli objaśniać swym „partnerom”, że nikt nie wymaga od Związku Sowieckiego otwartego i bezpośredniego uczestnictwa w działaniach bojowych – jednakże Woroszyłow był nieugięty. Żadnych półśrodków! Związek Sowiecki jest gotów walczyć o wolność Polski całą potęgą swojej armii – trzeba jedynie wpuścić tę armię na polskie terytorium!

Przejęci takim zdecydowaniem, angielsko-francuscy przedstawiciele zaczęli „wykręcać ręce” polskiemu rządowi, lecz Warszawa się nie ugięła – żadnych sowieckich wojsk na terytorium Polski! „Woroszyłow chce przy stole rozmów otrzymać to, czego nie mógł osiągnąć na placu boju w 1920 r.”. Na bezsensownych wymyślaniach minął cały tydzień; Polska nie wyraziła zgody na sławetne „wypuszczenie wojska”, po czym 21 sierpnia delegacja sowiecka oficjalnie ogłosiła zerwanie rozmów. Dwa dni później do Moskwy przyleciał Ribbentrop, a w nocy z 23 na 24 sierpnia podpisany został tajny protokół do paktu o nieagresji, w wyniku którego Hitler i Stalin dokonali podziału Polski wzdłuż linii rzek Narew – Wisła – San.

I chociaż podwójna gra sowieckiego rządu widoczna jest, jak to się mówi, „gołym okiem” – trudno uwierzyć, że Woroszyłow szczerze palił się, by wybawić od hitlerowskiej agresji tę samą Polskę, którą w Moskwie kilka dni później cynicznie podzielił z Hitlerem na pół. Hipotetycznie rozważając, pozostaje otwarte pytanie: co by się wydarzyło, gdyby polskie dowództwo w sierpniu '39 zgodziło się na wypuszczenie sowieckiego wojska?

Nietrudno na nie odpowiedzieć – wystarczy uwzględnić wydarzenia sierpnia '39 w ogólnym kontekście stalinowskiej polityki, ale przede wszystkim należy ostatecznie wyjaśnić jeden zasadniczy moment.

Polska lat trzydziestych (Druha Rzeczpospolita) padła ofiarą dwóch totalitarnych dyktatur. Jest to fakt, lecz ten fakt sam z siebie nie jest jeszcze podstawą, by twierdzić, że sama ofiara była niewinna i nieskazitelna. Przechodząc od logiki abstrakcyjnej do konkretnej politycznej historii, zmuszeni jesteśmy stwierdzić, że Druha Rzeczpospolita nie była wzorem demokracji. „Dużo zła moje sumienie dźwiga”¹ – oto słowa, które w ślad za Puszkimowskim Don Juanem mógłby powtórzyć którykolwiek z przywódców Polski lat trzydziestych. Historycy zajmujący się Polską mają co wspominać: przymusową polonizację zachodnich terenów Ukrainy, wojujący antysemityzm, umizgi do hitlerowskich Niemiec, przestępczy współudział w podziale terytoriów Czechosłowacji, Berezę Kartuską...

Lecz w tym wykazie nie ma oskarżenia o rozpętanie II wojny światowej. Nie został nawet popełniony błąd przy obieraniu taktyki działań fatalnego lata 1939 roku. Po tym, jak do władzy w Niemczech doszedł Hitler, a towarzyszył Stalinowi dokonaniu oceny wszystkich otwierających się w związku z tym możliwości, los Polski był z góry przesądzony. Żadne zabiegi dyplomatyczne, żadna zgodna na „wypuszczenie wojska” nie mogłyby zmienić ani też odroczyć tego wyroku.

Plan strategiczny Stalina był wyjątkowo prosty i logiczny. Znane obecnie teksty w pełni odzwierciedlają prawdziwe zamiary Stalina (choć ustalenia wymaga jeszcze kwestia oryginalności samych tych tekstów). Są to: opublikowane 28 listopada 1939 roku wymagania francuskiej agencji „Havas” tak zwane „przemówienie Stalina z 19 sierpnia 1939 roku”; opublikowany przez Tamarę Buszujewą zapis tego „przemó-

¹ Przełożył Seweryn Pollak.



wienia”, które w 1940 roku w pokonanym Paryżu trafiło w ręce Niemców i zachowało się do naszych czasów w Moskwie w archiwum zdobycznych dokumentów; przechowywane w Archiwum Departamentu Stanu USA i opublikowane w 2007 roku przez izraelskiego historyka Miszę Szauliego sprawozdanie grupy czechosłowackich antyfaszystów dotyczące pouczenia, jakie otrzymali w październiku 1939 roku od kierownictwa komisariatu ludowego spraw zagranicznych ZSRS.

Najbardziej wiarygodny wydaje mi się „dokument czeski” (argumentacja na korzyść takich wniosków wychodzi daleko poza ramy tego artykułu; zainteresowanych odsyłam do artykułu M. Szauliego²). Dokument skomponowany jest w sposób zagmatwany (co, nawiasem mówiąc, stanowi jeden z argumentów przemawiających za jego oryginalnością – te sfałszowane są zazwyczaj napisane „płynnym językiem”), dlatego należy przytoczyć bardziej obszerne fragmenty:

„...Na oburzenie, jakie wyraziliśmy w związku z paktem sowiecko-niemieckim, odpowiedziano nam, że musiało do tego dojść, ponieważ gdyby ZSRS podpisał pakt z Zachodnimi Mocarstwami, Niemcy nigdy nie wszczęliby wojny, mogącej doprowadzić do rewolucji światowej, do której od dawna się szykujemy...

...Dzięki temu, że otrzymaliśmy bazy na Bałtyku, mogliśmy uzyskać tam kontrolę ekonomiczną i wojskową. W wyniku swojego ograniczenia umysłowego Hitler umożliwił nam zbudowanie bazy przeciwko samemu sobie... Z gospodarczego punktu widzenia, zależny jest wyłącznie od nas, my z kolei ukierunku-

jemy jego gospodarkę tak, by doprowadzić walczące kraje do rewolucji. Długotrwała wojna doprowadzi do rewolucji w Niemczech i we Francji...

...Wojna Hitlera pozbawi sił Europę, która stanie się naszą łatwą zdobyczą. Narody przyjmą każdy system, jaki nastanie po wojnie. Nie możemy pozwolić sobie na to, aby Niemcy przegrały, ponieważ jeśli Niemcy trafią pod kontrolę Zachodu, a Polska zostanie odzyskana, będziemy odcięci od pozostałej części Europy. Obecna wojna powinna trwać tak długo, ile będziemy chcieli. Możecie być spokojni, ponieważ nigdy dotąd warunki nie były dla nas równie sprzyjające jak teraz...”

Jeśliby zamienić rytualne w danym kontekście słowo „rewolucja” na słowa znacznie bardziej odpowiednie dla tej idei: „destrukcja, chaos i anarchia”, to plan Stalina staje się nadzwyczaj jasny: mamy przed sobą próbę realizacji starochińskiej przypowieści o mądrej małpie, która z góry obserwuje walkę dwóch tygrysów. „Wojna pozbawi sił Europę, która stanie się naszą łatwą zdobyczą”.

Polska odgrywała kluczową rolę w realizacji tego planu. Lepszego „detonatora” do zainicjowania ogólnoeuropejskiego „wybuchu” nie można było sobie wyobrazić.

Francja – stary historyczny przeciwnik Niemiec, główny wróg Hitlera (właśnie planom walki z nią jest poświęcona *Mein Kampf*), najpotężniejsza (jak to się wielu wtedy wydawało) siła wojenna w zachodniej Europie. Francja związana była z Polską wielowiekowymi więzami współpracy – politycznej, wojskowej

² M. Szauli, *Wojna Hitlera wycieńczy Europę...*, w: *Prawda Wiktora Suworowa. Nowe dowody*, Wyd. Jauza-Press, 2008 (M. Szauli, *Wojna Hitlera iznurił Jewropu...*, w: *Prawda Wiktora Suworowa. Nowyże dowodźelstwa*, Wyd. Jauza-Press, 2008).



(oficjalna nazwa inwazji napoleońskiej na Rosję to „Druza wojna polska”), kulturalnej. Więzy te jeszcze bardziej umocniły się na początku lat dwudziestych, kiedy to Francja, Anglia oraz pozostałe „burżuazyjne kraje” zaczęły postrzegać Polskę jako ostatni bastion stojący na drodze rozprzestrzenieniu się dyktatury bolszewickiej na Europę. Po dojściu Hitlera do władzy tradycyjny sojusz Francji i Polski nieoczekiwanie zyskał nową treść – pojawiła się możliwość wykorzystania niemiecko-polskiego konfliktu zbrojnego do wzniecenia wojny między Francją a Niemcami.

Skomplikowane, wieloletnie, wielopłaszczyznowe „rozgrywki” Stalina zwieńczone zostały wspaniałym sukcesem.

31 marca 1939 roku Chamberlain zapowiedział z trybuny parlamentu, iż w przypadku niemieckiej agresji na Polskę „rząd brytyjski przyjdzie jej z pomocą wszystkimi posiadanymi przez siebie środkami”. 13 kwietnia analogiczne gwarancje udzielone zostały Rumunii oraz Grecji. W tych samych dniach z oficjalnymi gwarancjami pomocy wojennej dla wymienionych krajów wystąpiła Francja. Bezkompromisowy bojownik z faszystowską agresją, nieustannie miłujący pokój ZSRS taktownie odpowiedział milczeniem. Po tym każdy następny krok Hitlera automatycznie wciągał blok angielsko-francuski w wojnę. Stalinowi pozostało jedynie dopilnować, by berliński paranoik nie stchórzył i nie przestraszył się uwikłania w dużą wojnę europejską swojego nowo narodzonego Wehrmachtu złożonego z 51 dywizji kadrowych.

Wreszcie, zagłada Polski potrzebna była Stalinowi, by mógł uzyskać bezpośredni kontakt z granicami Niemiec. Do momentu, kiedy Polska stała (w dosłownym i przenośnym znaczeniu tego słowa) na drodze Armii Czerwonej do Europy, zadanie miażdżącego nieoczekiwanego ciosu niemieckiemu Wehrmachtowi było w zasadzie niemożliwe. Są wszelkie podstawy, by przypuszczać, że właśnie w ten sposób sytuację widział Stalin – i dlatego też żadne ustępstwa, żadne „gesty dobrej woli” ze strony Warszawy, Paryża, Londynu nie mogły niczego zmienić. Decyzja została podjęta. Stalinowi potrzebna była wojna.

Istnieje apokryficzna opowieść o tym, że podczas rozmów trójstronnych przewodniczącemu sowieckiej delegacji wojennej, ludowemu komisarzowi obrony Woroszyłowowi, jeszcze na sali posiedzeń wręczono notatkę od Gospodarza: „Klim! Kończ błazenadę! Koba”. Tej notatki nikt nigdy nie widział (uważam, że wcale jej nie było), ale legenda w pełni oddaje nastroje panujące na Kremlu. „Rząd Sowiecki nie zamierza wstępować w żadne sojusze z takimi wybrednymi państwami jak Anglia, Ameryka i Francja. Chamberlain to bałwan, a Daladier – bałwan jeszcze większy”. W taki, bynajmniej niedyplomatyczny sposób, 28 września 1939 roku towarzysz Stalin (podczas nader serdecznej kolacji, jaka odbyła się po podpisaniu *Traktatu o granicach i przyjaźni*) wypowiedział się o swoich niedoszłych sojusznikach. Ale któż mógłby przypuszczać, że Stalin wymienił prawie całą listę krajów przyszłej koalicji antyhitlerowskiej, do której to koalicji on sam – wbrew wszystkim wcześniejszym zamierzeniom – trafił z woli losu...





Wiera Wasiliewa

POLSKI SYN RADZIECKIEGO PUŁKU

Historia ta, której dramatyczny początek miał miejsce w latach II wojny światowej, nieoczekiwanie znalazła swój zadziwiający ciąg dalszy już w naszych czasach.

Moje dzieciństwo przypadło na lata osiemdziesiąte. Dlatego dla mnie wojna zawsze istniała gdzieś na krańcach świadomości – w podręcznikach szkolnych, literaturze oraz wspomnieniach starszego pokolenia. Jednak, po upływie prawie siedemdziesięciu lat wojna znowu dała o sobie znać – bólem, tęsknotą i nadzieją na spotkanie z najbliższą rodziną.

Chcąc opowiedzieć tę naprawdę niezwykłą historię, muszę wrócić do publikacji w riazańskim piśmie „Karta” (na portalu poświęconym prawom człowieka w Rosji – hro.org) na podstawie materiału zawartego w polskim czasopiśmie historycznym „Karta”, wydawanym przez naszych starych przyjaciół i partnerów. Autorem publikacji, do której sięgam, był Polak – Stanisław Bojarski.

„Mój młodszy brat, Jan Bojarski, urodzony w 1931 roku, jesienią 1944 roku znalazł się (w związku z działaniami wojennymi) w punkcie przesiedleńczym Wilków koło Kazimierza nad Wisłą. Mieszkaliśmy w strefie przyfrontowej i kiedy zaczęli nas stąd ewakuować pod ostrzałem artyleryjskim, cała rodzina rozperzchła się. Wszyscy się pogubiliśmy.

Nie wiedząc nic o naszym losie, Janek w listopadzie 1944 roku znalazł się w jednostce wojskowej armii radzieckiej (poczta wojskowa nr 32406-257). Była to jednostka remontowa artylerii 69. Armii. Żołnierze zaopiekowali się nim. Po kilku miesiącach Janek odnalazł nas dzięki poczcie, przysłał swoją fotografię w mundurze i kilka listów (ocalały cztery). Ostatni nosił datę 25 maja 1945 roku i był wysłany z Berlina. Później Janek już nigdy nie dał znaku życia. Moja 88-letnia mama, Henryka Bojarska, wciąż czeka na powrót syna...

...Co stało się z Jankiem później, po zwycięstwie? Może ktoś spotkał mojego brata?”

Sprawa ta pewnie powiększyłaby grono niewyjaśnionych, dramatycznych epizodów II wojny światowej, gdyby pewnego lutowego dnia 2008 roku do redakcji hro.org nie przyszedł list:

„Pisze do Was córka Jana Bojarskiego, Marina. Jak tylko zobaczyłam w rogu strony wojskową fotografię, zawołamam: «To przecież ojciec!». Wszystko, co przeczytałam w materiale było absolutnie, co do słowa, zgodne z tym, co opowiadał mi ojciec o swoich wojennych losach. Nawet nie możecie sobie wyobrazić, co przeżyłam – i łzy, i wielką radość. A przede wszystkim – nadzieję, że wreszcie dowiem się wszystkiego o rodzinie mojego kochanego taty. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że chodzi właśnie o niego. Mamy i tę fotografię i wiele innych, wykonanych w czasach wojny.

I jego opowiadania są absolutnie identyczne – zgadzają się punkty przesiedleńcze, numer jednostki wojskowej i czerwonoarmijna książeczka syna pułku. Ale najważniejsze jest to, że nie można nie rozpoznać ojca. Błagam was, skontaktujcie się z nami jak najszybciej...”

■

I oto naprzeciwko mnie siedzi sympatycznie wyglądająca kobieta – Tatiana Aleksandrowna Bojarska. Widocznie zdenerwowana, ostrożnie przekłada fotografie i dokumenty, i opowiada.

– Mój mąż, syn pułku, o którym mowa w artykule, został wojskowym dyrygentem, a następnie wykładowcą na Wydziale Dyrygentury Wojskowej Moskiewskiego Konserwatorium. Przeprowadził tam ponad 40 lat. Miał setki uczniów, nie tylko z naszego kraju, ale i z wielu krajów świata.

Nie mogę się doczekać interesujących mnie szczegółów i mimowolnie wyrzywa mi się kilka pytań.

– Ale dlaczego nie odnalazł swojej rodziny? Dlaczego nie występował w spisach żołnierzy tej jednostki? Gdzie później mieszkał, uczył się, pracował?

– Zaraz o wszystkim opowiem.



SYN PUŁKU

– Mąż przechowywał dwie książeczki czerwonoarmisty. Jedna na nazwisko Jan Francewicz Bojarski, urodzony w 1932 roku. Druga wystawiona została na nazwisko Iwana Grigoriewicza Bojarskiego. Inny też był rok urodzenia – 1933, a nie 1932. Wszyscy byliśmy przekonani, że jest on z tego właśnie roku.

– **A dlaczego? Stanisław Bojarski pisał, że jego brat urodził się w 1931 roku.**



– Sądzę, że wynika to z tego, że podczas wojny niezbyt dokładnie zapisywali dane. W książeczce czerwonoarmisty zanotowano też: „Krewnych nie posiada. Wychowanek jednostki wojskowej”. Mówił jeszcze coś takiego: „Wiesz, jak trafiłem do tej jednostki, to najpierw wsadzili mnie do nory z jakimś przestępcą i wciąż przesłuchiwali. Trzymali mnie tam długo”. A później pozostał w tejże jednostce. Sam w swoim życiorysie pisze tak: „Urodziłem się we Lwowie, 22 sierpnia 1933 roku. Swoich naturalnych rodziców zupełnie nie pamiętam. Ojciec Bojarski zmarł długo przed wojną. Matka – Hanna Bojarska”.

Tu konieczne jest wyjaśnienie. Stanisław pisze w artykule, że matka miała na imię nie Hanna, a Henryka. Ja sądzę, że Jan napisał błędnie swoje dane po prostu dlatego, że przyznanie się do mieszkania na „zachodnich” ziemiach polskich było niebezpieczne. Według mnie początek życiorysu został wymyślony. Jedyne, czego nie wiem, to czy rzeczywiście urodził się we Lwowie, czy też nie.

Dużo później, kiedy był już słuchaczem 3. roku Wydziału Dyrygentury Wojskowej, jeździł na letnie staże, które odbywał w orkiestrze wojskowej miasta Lwowa. Sam wybrał Zakarpacki Okręg Wojskowy. Próbował odszukać miejsce swego urodzenia, ale niczego nie znalazł. Później także podejmował poszukiwania, jego adopcyjny ojciec również szukał krewnych Iwana Grigoriewicza – bez skutku.

Tak więc myślę, że ta „pomyłka” w życiorysie jest po prostu wymyślona.

„W 1944 roku, po wyzwoleniu Ukrainy, ochotniczo wstąpiłem w szeregi Armii Radzieckiej jako elew. Od 1946 do 1948 roku byłem elewem 4. Wydzielonej Brygady Artylerii w szeregach wojsk radzieckich w Niemczech. W 1946 roku wstąpiłem do właśnie uruchomionej radzieckiej szkoły średniej dla dzieci wojskowych w mieście Schwerin (Niemcy). W 1948 roku usynowił mnie wojskowy dyrygent brygady Czakmiszjan Grigorij Atowmowicz, razem z którym w tym samym roku wyjechalśmy do Erewania.”

– **Wynika z tego, że pani mąż przeżył całe życie jako Iwan Grigoriewicz Czakmiszjan?**

– Zgadza się. Wszyscy przez całe lata nosiliśmy to nazwisko. Dopiero w 1992 roku mąż postanowił wrócić do swego rodzowego nazwiska – Bojarski, a ja wraz z nim zostałam Bojarską.

– **A o swojej polskiej rodzinie nigdy nie opowiadał?**

– Kiedy się poznaliśmy, nic nie mówił, ale miał jakiś dziwny akcent. Później, gdy powiedział, że został adoptowany przez Ormianina, byłam przekonana, że akcent pochodzi od języka ormiańskiego. Minęło wiele czasu, nasza córka miała już 5 lat. Kiedyś wróciłam z pracy i zobaczyłam, że wszystkie dokumenty leżą porozkładane w maleńkim pokoju, a mąż czegoś zawzięcie szuka. Później pokazał mi te książeczki czerwonoarmisty. Wcześniej nigdy nie zwracałam na nie uwagi. Właśnie wtedy powiedział mi, że jest Polakiem i nazywa się Jan Francewicz Bojarski. On to pamiętał... Jeszcze jakoś później, dużo później, chodził do Ambasady Polskiej w Moskwie, chciał coś wyjaśnić, ale bez powodzenia.

Marina, córka, pytała go: „Tatku, ale ty cośkolwiek pamiętasz?”. Ale on odpowiadał niezmiennie: „Pamiętam, że mieliśmy chyba jakiś majątek. Jakbyśmy mieszkali w mieście, potem zaczęła się wojna, mama nas wysłała na wieś”. I mówił jeszcze, że miał brata. Pamięta, jakby były jeszcze dwie siostry. Zdawało mu się, że było ich czworo.



NOWA RODZINA

– Proszę mi opowiedzieć, jak potoczyły się losy Jana po tym, jak został usynowiony przez Grigorija Atowmowicza Czakmiszjana.

– Zaświadczenie o adopcji nosi datę 27 maja 1948 roku. Nawiasem mówiąc, między nimi była niewielka różnica wieku – zaledwie 13 lat, jeżeli przyjmiemy, że Jan, czyli Iwan Grigoriewicz, urodził się w roku 1933. Jeżeli jednak to rok 1932 lub 1931, jak podał Stanisław, to była ona jeszcze mniejsza. Grigorij Atowmowicz miał już żonę. Mieszkała w Rosji, mieli dziecko. A Wania nie należał do łatwych dzieci: nie chciał się uczyć, był nazbyt żywy, ale Grigorij Atowmowicz miał do niego podejście. Iwan podjął naukę. Grigorij Atowmowicz był dyrygentem orkiestry wojskowej, zaszczerpił w chłopcu miłość do muzyki. Tak Wania poszedł w ślady przybranego ojca i potem i on został dyrygentem orkiestry wojskowej.

Grigorij Atowmowicz bardzo go kochał. Jednak Wania nigdy nie nazwał go ojcem. Początkowo zwracał się do niego z imienia i „otczestwa”, kiedy dorósł, zaczął mówić mu po imieniu – Grisza. Kiedy nadszedł rozkaz ze Związku Radzieckiego, żeby wszystkie osierocone dzieci odesłać z Niemiec do radzieckich domów dziecka, Iwan powiedział: „Ja do domu dziecka nie pójdę, mieszkać tam nie będę. I tak ucieknę”. Wtedy Grigorij Atowmowicz zaproponował: „Jeżeli chcesz – pojedziemy do mnie, do Armenii. Będziesz mieszkał ze mną”. I Wania zgodził się. Wyjechali do Erewania w 1948 roku. Iwan wstąpił do erewańskiej szkoły muzycznej, do klasy oboju.

Po jej ukończeniu w 1952 roku został skierowany do szkoły muzycznej w Moskwie (obecnie jest to Moskiewska Szkoła Wojskowo-Muzyczna). Następnie podjął naukę w Instytucie Dyrygentury Wojskowej i został jej pierwszym absolwentem, który zakończył naukę ze złotym medalem.

W trakcie nauki w instytucie fotografia Iwana Grigoriewicza stała wisiała na tablicy honorowej szkoły. Był utalentowanym muzykiem, wyróżniał go upór i żądza wiedzy. Jego nazwisko wpisało się złotymi głoskami w 70-letnią historię Wyższej Szkoły Wojskowo-Muzycznej.

Tatiana Aleksandrowna pokazuje tabelki, gdzie rzeczywiście, od góry do dołu widnieją same piątki.

– **A z rodziną Grigorija Atowmowicza utrzymujecie nadal kontakty?**

– Oczywiście, spotykamy się co roku. Kiedy wyjeżdżaliśmy na urlop z Iwanem Grigoriewiczem, nasza trasa zawsze wyglądała następująco: Moskwa – Suchumi – Erewan, albo odwrotnie najpierw Erewan, a potem Suchumi. Oni również co rok obowiązkowo przyjeżdżali do nas. Byli w bliskich, cudownych stosunkach. Grigorij Atowmowicz bardzo lubił i mnie, i Marinę. A za Iwana Grigoriewicza oddałby duszę. Mieli dużo wspólnych spraw i zainteresowań zawodowych.

Teraz, kiedy od śmierci Iwana Grigoriewicza minęło już sześć lat, kiedy i Grigorij Atowmowicz umarł, spotykamy się rzadziej. I wiek już nie ten, i duża odległość, i podróż dużo kosztuje... Ale jego przyrodni brat często do mnie dzwoni.

OFICER

– Tatiana Aleksandrowna, powiedziała pani, że Iwan Grigoriewicz posiadał takie cechy charakteru, jak umiejętność wnikliwego, poważnego i precyzyjnego podchodzenia do wszystkich spraw oraz odwagę w przedstawianiu swojego punktu widzenia. Jednak są to cechy dość niebezpieczne. Czy w związku z tym Iwan Grigoriewicz nie miał nigdy żadnych kłopotów?

– Nie? Kiedyś z powodu swojego charakteru mało nie trafił pod sąd! A później ten sam dowódca, który o mały włos go nie skazał, stawiał go za wzór wszystkim młodym oficerom.

Ponieważ Iwan Grigoriewicz ukończył Instytut Dyrygentury Wojskowej ze złotym medalem, miał prawo wybrać sobie miejsce służby jako dyrygenta orkiestry wojskowej. Moskwy nam nie polecali, ale Grigorij Atowmowicz powiedział: „Iwan, powinieneś wybrać na miejsce służby albo okolice Moskwy, albo przyjechać do nas w pobliże Erewania”. Jednak moja mama kategorycznie sprzeciwiła się mojemu wyjazdowi tak daleko od domu. Dlatego zdecydowaliśmy się wybrać jednak Moskiewski Okręg Wojskowy.

Okazało się, że Okręg Moskiewski to straszna prowincja! Skierowali nas do Rostowa Wielkiego, był to rok 1956. Tamtejszy Kreml zachwycał swoim pięknem. Ale w tym zabytku architektury umieszczono wojskowe magazyny! To było straszne! Sam Rostów Wielki w tym czasie był dużą wsią. Nie zapewnili nam mieszkania, nie mieliśmy gdzie się podziać. Zajęliśmy wiejski dom na brzegu jeziora Nero. Po przyjeździe do Rostowa



Wielkiego mąż zaczął organizować orkiestrę wojskową, zgodnie z otrzymanymi rozkazami i instrukcjami. Zawsze był taki rzutki i dokładny! Nie bardzo wiem, o co konkretnie poszło, wiem jednak, że robił to, co było konieczne dla dobra orkiestry. Mówiłam mu: „Po co bez przerwy gdzieś leziesz? Uspokój się trochę!”. A on na to: „Nie, to tak powinno być. Nie, tak polecono!”. I właśnie z tego powodu powstał bardzo poważny konflikt między nim a dowódcą jednostki wojskowej. Nazywał się Uporow (niestety nie pamiętam ani jego ówczesnego stopnia, ani imienia i „otczestwa”). To on właśnie chciał postawić Iwana Grigoriewicza przed sądem wojskowym. Jednak skończyło się to tym, że mąż dopiął swego, a sądu żadnego nie było.

W Rostowie Wielkim przeżyliśmy cały rok. Potem Iwana Grigoriewicza przeniesiono do Moskwy, na stanowisko zastępcy naczelnika orkiestry sztabu Moskiewskiego Okręgu Wojskowego. Zaczął brać udział w defiladach wojskowych na placu Czerwonym. Podczas garnizonowych ćwiczeń uczestników defilady znowu doszło do spotkania z Uporowem (w tym czasie był on już generałem i komendantem jednej z moskiewskich akademii wojskowych).

Iwan Grigoriewicz opowiadał mi później: „Wyobraź sobie, on był taki zadowolony, tak się cieszył z naszego spotkania! Schwycił mnie i zaprowadził do defiladowego oddziału swojej akademii. Przechodzimy między szeregami oddziału, a on mówi im o mnie: „Oto jaki powinien być oficer armii radzieckiej”. Tak to wyglądało ich nieoczekiwane spotkanie.

Po pełnej sukcesów służbie w orkiestrze sztabu Moskiewskiego Okręgu Wojskowego, Iwan Grigoriewicz został adiunktem na Wydziale Dyrygentury Wojskowej Moskiewskiego Konserwatorium imienia Czajkowskiego (były Instytut Dyrygentów Wojskowych), a po jej zakończeniu został wykładowcą na tym wydziale – tam, gdzie wcześniej sam studiował.

– Ilu uczniów miał pani mąż?

– Bardzo wielu. I nie tylko z naszego kraju. Na przykład jego uczniem był Etiopczyk, był też Afgańczyk, Ali, który ze swoją rosyjską żoną gościł u nas podczas powitania Nowego Roku. Iwan Grigoriewicz ze wszystkimi swoimi uczniami miał dobre, pełne wzajemnego zaufania, stosunki. Dotyczyło to kontaktów zarówno służbowych, zawodowych, jak i czysto ludzkich.

Uczniowie mieszkający w Moskwie co roku zbierali się w naszym domu. Spotkania te były zawsze bardzo wesołe. Po pewnym czasie stały się one tradycją. Iwan Grigoriewicz był serdecznym gospodarzem, opowiadał dużo anegdot z życia wojskowych dyrygentów.

Uczestniczył w Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej, odznaczono go wieloma orderami i medalami – „Za zwycięstwo nad Niemcami”, „Za Waleczność”, „Za nienaganną służbę” i innymi. Iwan Grigoriewicz pracował na stanowisku profesora, miał stopień naukowy docenta.

Kiedy skończył 58 lat, przeszedł na emeryturę wojskową i przez długie lata kontynuował pracę pedagogiczną w katedrze dyrygentury. Jest autorem szeregu naukowych i metodologicznych prac, poświęconych problemom wojskowo-orkiestrowej służby i kształcenia wojskowych dyrygentów.

Do tej pory utrzymuję kontakty z wieloma byłymi uczniami Iwana Grigoriewicza. Oni dziś sami są na emeryturach, pułkownicy, podpułkownicy – żyją w różnych miastach naszego kraju i zagranicą. W Dniu Pamięci zawsze do mnie dzwonią. Ci, którzy mieszkają w Moskwie – przyjeżdżają. Jego uczeń Władimir Podgorbunskich w dniu przejścia Iwana na emeryturę przeczytał takie wiersze:

*Czakmiszjana Iwana
Znamy już dawno.
Dyrygencki fakultet
Chwali się nim wiele lat...
...Dyrygentów tych nie zliczyć
Kto orkiestrą dowodzi
I dostojnie wychodzi
Od Moskwy do Tjen-Szania
Szkóły Czakmiszjana.*

Wszyscy go lubili i cenili. Kiedy Iwan Grigoriewicz odszedł, odprowadzał go cały wydział, z honorami.



NAUCZYCIEL

Jestem w biurze poważnej instytucji państwowej w centrum Moskwy. Jeden z gospodarzy gabinetu, Jewgienij Stiepanowicz Moskalenko, uważnie czyta artykuł Stanisława Bojarskiego, potem ogląda fotografię małego Jana w otoczeniu czerwonoarmistów, nad czymś głęboko się zamyśla. Kilka minut później decyduje się przerwać milczenie.

– **Był pan uczniem Iwana Grigoriewicza?**

– Tak, przez 5 lat, od 1968 do 1973 roku, w klasie dyrygentury na Wydziale Wojskowo-Dyrygenckim Moskiewskiego Konserwatorium. I ja, i mój kolega Władimir Aleksandrowicz Podgorbunskich, z którym obecnie pracujemy razem w jednym oddziale tej instytucji, obaj jesteśmy uczniami Iwana Grigoriewicza. Po skończeniu studiów służyliśmy w różnych okręgach wojskowych. Ja służyłem ponad 10 lat w Zakaukaskim Okręgu Wojskowym, później przez 5 lat – w orkiestrze sztabu Północnej Grupy Wojsk w Polsce. Potem zaproponowano mi stanowisko wykładowcy na Wydziale Dyrygentury Wojskowej. I tak od 1987 roku pracowaliśmy razem z Iwanem Grigoriewiczem, co prawda w różnych katedrach. Władimir Aleksandrowicz pracował z nim jeszcze wcześniej. Razem pracowaliśmy bardzo dobrze.

– **Powiedział pan – w Polsce? A Iwan Grigoriewicz nigdy nie opowiadał wam, że nazywa się Jan Franciewicz Bojarski i że jest Polakiem?**

– Kiedy byłem jego studentem, niejednokrotnie opowiadał, że w latach wojny był elewem pułku 69. Armii. Jak to się mówi – na wojennych polach go wzięli pod swoje skrzydła, do oddziału, potem dostał się do orkiestry, grał na oboju. Był bardzo zdolny i utalentowany. Los zawiódł go w końcu do Instytutu Dyrygentury Wojskowej, później przekształconego w Wydział Dyrygentury Wojskowej Moskiewskiego Konserwatorium. W tym czasie był on Iwanem Grigoriewiczem Czakmiszjanem – nosił nazwisko swojego przybranego ojca. Żył i pracował pod tym nazwiskiem przez długie lata. W końcu jednak zdecydował się powrócić do swego prawdziwego nazwiska – Bojarski...

Kiedy służyłem w Polsce, proponowałem Iwanowi Grigoriewiczowi, że poszukam jego tamtejszych krewnych, jednak nic z tego nie wyszło, choć i sam Iwan Grigoriewicz chodził osobiście do Ambasady Polskiej w Moskwie...

Przez wiele dziesięcioleci istnienia Wyższego Instytutu Dyrygentury Wojskowej nikt nie ukończył go z najwyższą lokatą. On był pierwszym absolwentem ze złotym medalem. Już to świadczy o jego talencie, i o wszelkich ludzkich i zawodowych zaletach. Iwan Grigoriewicz znalazł się w *Encyklopedii Muzycznej Moskiewskiego Konserwatorium imienia Czajkowskiego* jako jeden z wybitnych działaczy wojskowej służby orkiestrowej.

Zawsze prowadził bardzo ciekawe klasy mistrzowskie i lekcje otwarte dla słuchaczy i wykładowców Wydziału Dyrygentury Wojskowej. Był jurorem międzyarmijnych konkursów orkiestr wojskowych i wojskowych dyrygentów radzieckiej i rosyjskiej armii.

W ciągu wielu lat przygotowywał orkiestry do udziału w defiladach wojskowych na placu Czerwonym. Orkiestry wojskowe pod jego kierownictwem zawsze odznaczały się wysokim poziomem programu i profesjonalnym wykonawstwem.

Jako pedagog, jako wykładowca – przynajmniej takie jest moje zdanie – nie miał sobie równych; był niezrównaną indywidualnością. Nie nazywaliśmy go wykładowcą. Dla nas był Nauczycielem. Właśnie tak – dużą literą. Iwan Grigoriewicz cieszył się ogromnym szacunkiem i miłością wszystkich uczniów i absolwentów.

Jego uczniowie przez te długie lata piastowali stanowiska naczelników orkiestr wojskowych okręgów wojskowych i marynarki wojennej, byli naczelnikami orkiestr sztabów okręgów wojskowych i wyższych wojskowo-naukowych uczelni, naczelnikami i wykładowcami wojskowo-dyrygenckich wydziałów uczelni wojskowo-muzycznych, wojskowymi dyrygentami, kierownikami artystycznymi – naczelnikami zespołów pieśni i tańca wojskowych okręgów i marynarki wojennej. Mają tytuły honorowe Federacji Rosyjskiej i innych krajów, tytuły naukowe. Wystarczy wymienić choćby kilku: Smirnow, Komisarow, Bielewcow, Oniszczenko, Paramonow, Cycankin, Potapow, Podgorbunskich, Moskalenko. Jest ich znacznie więcej.

Zarówno w Konserwatorium Moskiewskim, jak i w innych wyższych szkołach muzycznych, a także na Wydziale Dyrygentury Wojskowej około 60% przedmiotów jest wykładanych indywidualnie; wykład-



downca pracuje z uczniem sam na sam, do pomocy ma koncertmistrza. Iwan Grigoriewicz ze wszystkimi utrzymywał świetne twórcze relacje i z każdym się rozumiał.

– **Tatiana Aleksandrowna mówiła, że uczniowie zbierali się u nich w domu...**

– Przez ponad 20 lat my, absolwenci mieszkający w Moskwie i jej okolicach, nie zrywamy z tradycją corocznych spotkań w domu rodzinnym Iwana Grigoriewicza. Zawsze serdecznie nas przyjmował. To zawsze był bardzo gościnny dom, sztywnie nas przyjmowano. Wspominaliśmy lata nauki, wszystkie ciekawe chwile naszego życia, graliśmy, śpiewaliśmy. Iwan Grigoriewicz to bardzo dobry, gościnny człowiek...

Kontynuujemy tę tradycję i teraz, kiedy Iwana Grigoriewicza nie ma już z nami. Spotkania te odbywają się zawsze w rocznicę jego śmierci. Odwiedzamy cmentarz Szczerbiński, gdzie został pochowany, porządkujemy mogiłę, wspominamy. I idziemy do jego domu, spotykamy się z Tatianą Aleksandrowną, z jego córką i wnukami. Zawsze jest nam bardzo przyjemnie spotykać się z tą przemiłą rodziną.



MAŻ, OJCIEC, DZIADEK

I znowu jesteśmy w gościnie u Tatiany Aleksandrowny Bojarskiej.

– Tatiano Aleksandrowna, proszę mi opowiedzieć o waszej rodzinie.

– Mamy córkę Marinę, wnuka Aleksandra, wnuczkę Marinę, prawnuki Janę, Daniłę i Alisę. Janeczkę nazwali tak na pamiątkę Iwana Grigoriewicza, ale według jego prawdziwego imienia – Jan. Jego relacje z córką były nadzwyczajne, kochali się bardzo i rozumeli nad podziw. Jeżeli Marina miała jakiegokolwiek problemy, szła z nimi przede wszystkim do ojca, dopiero w dalszej kolejności do mnie. Wiersze mu dedykowała... Chcieliśmy mieć dach. Kupiliśmy sobie działkę pod Kaługą, Iwan Grigoriewicz postawił na niej ładny piętrowy dom. Posadził las. Lubił tam robić szaszłyki. Iwan Grigoriewicz bardzo lubił to miejsce.

Rozumiesz, on był duszą. Gdy jego zabrakło, u nas na wsi nigdy już nie było tak wesoło. Przyjeżdżamy do lasu, z pozoru wszystko jest normalnie. Ale mimo to wszystko inaczej, nie tak. Wszystko opierało się na nim. Chcielibyśmy odszukać krewnych Jana w Polsce, opowiedzieć im o jego życiu. Tak, wielka szkoda, że tego nie dożył...

www.hrol.org/print/1619

2008, nr 7/8

Thum. Hanna Miązek



Michał Florysiak

9 maja '45 – 9maja.pl. PAMIĘĆ I POJEDNANIE



Niedziela. 8 sierpnia. Minęły dwa miesiące od rocznicy zakończenia II wojny światowej. Warszawski Cmentarz Mauzoleum Żołnierzy Radzieckich przy ul. Żwirki i Wigury. Piękne słoneczne popołudnie. W sam raz na spacer. Przechodzę pomiędzy mogiłami, zapalone w maju znicze dawno się wypaliły. Gdzieś tam, obok numeru na nagrobku i czerwonej wyblakłej gwiazdy widnieje nazwisko, wojskowy stopień, czasami nawet zdjęcie.

Jestem sam na otwartej przestrzeni w towarzystwie strzelistego, 21-metrowego obelisku. Spomiędzy drzew dochodzą radosne okrzyki weekendowych spacerowiczów. Nie umiem się modlić. Wyciągam więc tylko kolejnego papierosa i garbię się jeszcze bardziej.

Wsiadam do autobusu w kierunku centrum. Wolnych miejsc niewiele. Lokuję się naprzeciw chłopca o ciężkim spojrzeniu i ściętych „na jeża” włosach. To pewnie jeden z tych, których nie chciałbym spotkać po zmroku.

Dzwoni telefon. Wyciąga go z kieszeni. Ma miły, dźwięczny głos. Mówi po rosyjsku.

Wzrok z podłogi kieruję wprost na niego. Uśmiecham się.

■

Ta niedziela na warszawskim cmentarzu żołnierzy radzieckich nie różniła się zapewne od każdej innej. Atmosfera cmentarza w Warszawie nie była zaś odmienna od tej, jaka panuje w każdym z blisko 700 miejsc upamiętniających poległych w czasie II wojny światowej na terenie Polski obywateli ZSSR. Od 20 już lat odstępstwem od normy jest raczej zainteresowanie nimi niż jego brak. Od 5 lat w całym kraju nie odnotowano nawet jednego aktu wandalizmu. Tam, gdzie metalowe elementy z grobów nadawały się na sprzedaż, znaleźli się już wcześniej chętni do ich wyniesienia. Zastąpiono je ornamentacją nieprzedstawiającą wartości dla „koneserów” sztuki cmentarnej. W Cybince w województwie lubuskim część mosiężnych gwiazd ustąpiła miejsca plastikowym. Tam, gdzie jest to możliwe, dostępu do mogił bronią bramy z żelaznymi kłódkami.



Niektóre cmentarze, jak chociażby wspomniana nekropolia w Cybince, zakładane były przez wojska frontowe armii radzieckiej. Większość powstała jednak dopiero w latach 1948-1954, kiedy to dokonano ekshumacji zwłok około 400 tysięcy żołnierzy sowieckich. Kolejne groby urządzono w latach 1957-1958. Dziś mówi się o 600 tysiącach poległych na terytorium Polski czerwonoarmistów. Liczba ta rośnie dwukrotnie, kiedy wspomnimy żołnierzy armii carskiej poległych w trakcie walk na terenie Polski podczas I wojny światowej i czerwonoarmistów, którzy zginęli podczas wojny 1920 roku.

Warto zaznaczyć, że żołnierze pochowani na tych cmentarzach to nie tylko ofiary bezpośrednich starć frontowych, ale także zmarli jeńcy czy ci, którzy zginęli w trakcie prób ucieczek z obozów jenieckich. Część z nich miejsce spoczynku znalazła w kwaterach wydzielonych na już istniejących cmentarzach komunalnych i wyznaniowych. W kilkudziesięciu miejscach spoczywają wspólnie żołnierze armii radzieckiej i innych armii – przede wszystkim Wojska Polskiego.

Zdecydowana większość poległych na terenie Polski w trakcie II wojny światowej żołnierzy radzieckich to ofiary walk z armią niemiecką w latach 1944-1945. Najwięcej ich grobów znajduje się we wschodniej części kraju, w województwach lubelskim i podlaskim – na te tereny Armia Czerwona wkroczyła około 20 lipca 1944 roku. Ostatni poległ w Polsce to żołnierz uczestniczący w walkach wiosennej ofensywy na Odrze i Nysie Łużyckiej z połowy kwietnia 1945.

W Braniewie w województwie pomorskim na przestrzeni 6 hektarów pochowano największą liczbę żołnierzy sowieckich – 31 365. Obok 750 mogił zbiorowych znajduje się zaledwie 20 indywidualnych. Największą powierzchnię, bo aż ponad 19 hektarów zajmuje warszawski cmentarz-mauzoleum przy ul. Żwirki i Wigury. Tu pochowano 21 668 żołnierzy. W grobach indywidualnych spoczywa 294 – tak więc i tu liczba zidentyfikowanych jest zatrażająco niska. Proporcja ta jest smutną normą dla wszystkich cmentarzy.

Dbłość o anonimowe groby w PRL-u była obowiązkiem. Jako bratnie wobec ZSRR państwo Polska musiała wykazać się odpowiednią troską o miejsca pochówku wyzwolicieli. To okres, w którym wybudowano wszystkie cmentarze, a na nich pomniki upamiętniające poległych żołnierzy. Pomniki, które rządziły chłodem. Socrealistyczny monumentalizm nie wzbudza ciepłych uczuć. I tych brakowało na cmentarzach. Ich odwiedziny, praca przy porządkowaniu były bezdusznym rytuałem niewypływającym z porywu serca. Musiały więc budzić opór.

Wielu Polaków, odnosząc się z szacunkiem dla zmarłych, nie mogło wyzbyć się przy tym bolesnych wspomnień o żołnierzach, którzy nieśmieli wyzwolenie spod okupacji niemieckiej, a torowali drogę reżymowi przymusu. Być może raz jeden, w okresie zrywu solidarnościowego, kiedy bunt wobec systemu komunistycznego zaczął być wyrażany tak otwarcie jak nigdy dotąd, przypomniano sobie, że nienawiść kierowana do zmarłych jest absurdem. Jesienią 1981 roku w Przemyśle ktoś oblał czerwoną farbą pomnik żołnierzy radzieckich. Wtedy to nie kto inny jak Lech Wałęsa z zakasnymi rękawami zmywał farbę, pokazując, że walka z systemem nie na tym froncie się toczy.

Kiedy od roku 1989 zaczęliśmy kosztować pełni wolności, cmentarzami żołnierzy radzieckich przestano się interesować. Przypominały jednak o sobie, wpisując się w architekturę wielu miast – często budowane były w punktach centralnych – ale na nikim nie ciążyło już poczucie obowiązku za troskę o zmarłych „braci Rosjan”. Obojętności przejawiać nie mogli właściwie tylko pracownicy urzędów komunalnych, którym zlecano okolicznościowe porządki, przycinanie trawy. W skali kraju corocznie pamięć o cmentarzach zamykała się w kwocie rzędu kilku milionów złotych, które już w „nowej” Polsce wydawane były w ramach umowy z Federacją Rosyjską z 22 lutego 1994 roku.

Kilka zniczy, wiązanka kwiatów – w ten sposób o istnieniu nekropolii przypominali urzędnicy i oficjele z poszczególnych miast. Tradycyjnie, świece płonęły 1 listopada, czasami także 9 maja. W Krakowie na cmentarzu Rakowickim również 18 stycznia, w Bielsku-Białej 11 lutego, a więc w każdą rocznicę wyzwolenia miast spod okupacji niemieckiej.

Miejsca, w których przez te 20 lat zwykli ludzie wyrażali szczere zainteresowanie losem żołnierzy radzieckich, można policzyć na palcach jednej ręki. W Szczecinie grupa zapaleńców stworzyła stronę www.pomorzel1945.com, by pomóc w identyfikacji jak największej ilości ekshumowanych szczątków. W Chełmży Roman Pipkowski, nauczyciel historii w szkole podstawowej, przyprowadza swych uczniów na lekcje właśnie na groby czerwonoarmistów. W Boguszycach na Śląsku, gdzie Armia Czerwona dokonała



masakry na tamtejszej ludności (prawdopodobnie biorąc Ślązaków za Niemców) od 15 lat proboszcz lokalnej parafii prowadzi drogę krzyżową, którą zaczyna na „ruskim cmentarzu”. Za krzyżem podąża wielu krewnych ludzi pomordowanych w 1945 roku. „Kto przebacza, pozbywa się ciężaru krzywdy” – twierdzi.

„Gazeta Wyborcza” przedstawia tych, którzy pamiętają i jednocześnie przebaczyli:

Gertruda (Nie ma już we mnie gniewu) – za matkę i pięcioro rodzeństwa, których w szopie seria z karabinu maszynowego podziurawiła. I za ojca, dzień wcześniej zastrzelonego na podwórku.

Karol Matuszek (Bo chrześcijanin nie ma innego wyjścia) przebaczył za rodziców i trzy siostry, ale najbardziej za trzyletnią Gerdę. Bo jej śmierć życie mu uratowała. Siedziała na jego kolanach, kiedy Rosjanie wyważyli drzwi do piwnicy, gdzie ukrywała się rodzina. Strzelali na oślep. Kula, która zabiła dziewczynkę, tylko zraniła Karola.



Niecały miesiąc po katastrofie prezydenckiego Tu-154 grupa prywatnych osób opublikowała w internecie apel do rodaków:

„Po smoleńskiej katastrofie z 10 kwietnia 2010 roku naród rosyjski w szczerzy i ujmujący sposób wyraża swą solidarność z narodem polskim. Okazywane przez Rosjan współczucie, chęć niesienia pomocy, a także gotowość do rozpoczęcia dyskusji o tragicznych wydarzeniach naszej wspólnej historii, dają nadzieję na nowe otwarcie w obustronnych relacjach.

W uznaniu tej solidarności 9 maja zapalmy znicze na cmentarzach żołnierzy radzieckich, na grobach Rosjan i przedstawicieli innych narodowości, którzy również zginęli daleko od domu, daleko od bliskich. Nie chcemy relatywizowania historii. Apelujemy jedynie, by w imię pamięci o tych wszystkich, którzy zginęli tragicznie, narodziło się pojednanie pomiędzy Polską i Rosją”.

W tym samym czasie metropolita lubelski, abp Józef Życiński, wystąpił do swoich wiernych z podobną inicjatywą.

Kiedy pod listem poparcia akcji „9 maja. Pamięć i pojednanie” jako pierwszy złożył podpis Andrzej Wajda, wydarzenia nabrały tempa. Apel poparły kolejne znane osobistości życia publicznego w Polsce, m.in. Daniel Olbrychski, ks. Adam Boniecki, Maria Janion, Agnieszka Holland i inni. Patronatem medialnym inicjatywę objęła „Gazeta Wyborcza”, a chociażby krótką informację zamieściło każde liczące się medium w Polsce. O dziwo, również politycy niezależnie od przynależności partyjnej i światopoglądu entuzjastycznie (mniej lub bardziej) przyjęli ów pomysł. Po 20 latach kwestia cmentarzy żołnierzy radzieckich poległych w II wojnie światowej, wyrwana z niebytu, stała się sprawą narodową.

Nawet jeśli brzmi to patetycznie, to tak właśnie brzmieć musi. Wszakże mowa o pojednaniu między narodami. Fakt, że jego pomysł pojawił się właśnie nad grobami, też nie powinien dziwić, zwłaszcza Polaków. Droga do pojednania polsko-niemieckiego wiodła właśnie przez takie symboliczne gesty, wśród których może najbardziej pamiętnym jest hołd oddany bohaterom getta warszawskiego przed ich pomnikiem przez Willy’ego Brandta w 1970 roku. Nad grobami obrońców Lwowa nowy rozdział stosunków polsko-ukraińskich otwierali Aleksander Kwaśniewski i Wiktor Juszczenko. Droga do pojednania z Rosją przebiega dokładnie tak samo. Wystarczy wspomnieć groby katyńskie, które bynajmniej nie są tylko pomnikiem historii, ale jedną ze spraw, która zajmuje nieustannie obie strony.



Skoro 20 lat cmentarze czerwonoarmistów w Polsce nie budziły większego zainteresowania, należałoby się spodziewać, że apel o zapalenie świeczki na ich grobach większość Polaków przyjmie dość spokojnie, by nie powiedzieć z obojętnością. Okazało się jednak, że emocji tu nie brak – wystarczył tylko mały impuls, by je zaktywizować. Przy czym w debacie wokół inicjatywy „9maja.pl” zagościły nie tylko te pozytywne, ale również, i to w bardziej widowiskowy sposób, negatywne.

Nie powinno budzić zdziwienia, że sprawa stanie się przyczynkiem do licznych kontrowersji. Do dziś w Polsce toczy się bowiem debata o to, kim tak naprawdę byli dla nas w roku 1945 żołnierze Armii Czerwonej. Pytanie, jakie zamieścił „Tygodnik Powszechny” w dodatku historycznym na 65. rocznicę zakończenia II wojny światowej chyba, najlepiej ujmuje ten problem: „Wyzwolenie czy nowa okupacja?”. Historycy dowodzą, że skala



zbrodni dokonana przez Rosję Radziecką na Polakach w stosunku do zbrodni hitleryzmu ma się jak 1 do 5. Czy jednak cierpienie w ogóle można oceniać na skali liczbowej? Ważny jest również stosunek samych żołnierzy radzieckich do Polaków, wynikający nie tylko z faktu, że walczyli po tej samej stronie, przeciwko faszyzmowi. Zarówno Rosjanie, jak i Polacy stanowili dla Niemców gorszy typ człowieka. W ideologii komunistycznej tak jasno wyrażonej pogardy nie było – co więcej, trudno by wśród żołnierzy występowała, skoro do Armii Czerwonej wcielano również wielu Polaków. Mimo to, łatwo przeciwstawić temu argumentowi jednostkowe doświadczenia osób pokrzywdzonych przez czerwonoarmistów. Łatwo też utożsamić krzywdy doznane ze strony NKWD, po przejściu żołnierskiej fali, która dla Stalina była tylko mięsem armatnim. Wobec jednostkowego bólu żaden argument nie jest wystarczający, ale też ból jednostki nie może się przekładać na pamięć narodową. Należy w tym miejscu wygłosić banalne stwierdzenie, że wojna to piekło, które nie szczędzi krzywd nikomu, a największe wyrządza tym, którzy mimo woli znaleźli się w jej wirze – nieważne, po której stronie.

Ta na wskroś chrześcijańska perspektywa pozwoliła wielu Polakom na zapalenie zniczy na grobach prostych żołnierzy, ale jednocześnie nie zobowiązywała do jakiegokolwiek relatywizacji historii.

9 maja. Kraków. Michał Fiłek z 5-letnim synem przy mogile oznaczonej czerwoną gwiazdą: „Tłumaczmy synkowi, że to dla bardzo odważnych żołnierzy, którzy dawno temu walczyli z Niemcami. Za kilka lat opowiemy mu, czym był komunizm. Żeby potrafił odróżniać dobro od zła”.

9 maja. Częstochowa. Pan Zbigniew, 85 lat: „Wojna to okrutna machina. Tym młodym chłopcom, którzy tu leżą należy się światło”.

Lista kontrowersji z każdą chwilą ulegała zwiększeniu. Nie milkły oskarżenia o polityczne tło akcji. „Nie o prostych żołnierzach tu chodzi” – pisał redaktor „Teologii Politycznej”, Mateusz Matyszkowicz, trzeźwo zauważając, że „ani indywidualna serdeczność, ani jednorazowe gesty nie wpływają na stosunki pomiędzy naszymi państwami”. Próbując postawić się w opozycji wobec ludzi popierających akcję „9maja.pl”, nie dostrzegł jednak, że nawet wśród największych entuzjastów próżno szukać naiwnych, wierzących, że zapalenie małej świeczki doprowadzi do natychmiastowej zmiany w stosunkach polsko-rosyjskich.

Nie sposób odmówić racji również tym, dla których ów gest był zadaniem zbyt trudnym („Komu mam palić świeczkę??? Tym, co wywieźli mi dziadka za Ural latem 1944?” – komentuje emocjonalnie „zdziwiony mieszkaniec” Lublina). Jak słusznie zauważył w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” ks. Mikołaj Hajduczenia, proboszcz toruńskiej parafii prawosławnej, „otwarcie serca na drugiego człowieka to duża rzecz”. Czasami trauma wywołana tragicznymi wspomnieniami może być jednak nie do przełamania. Problem w tym, że rzadkie były głosy tych, którzy muszą się z nią mierzyć. Chętnie za to wypowiadali się ci, którzy ze względu na wiek odczuwać ją mogli co najwyżej pośrednio. Wagę własnych argumentów, nieświadomie zapewne, pomniejszali, ubierając swe słowa w sarkazm, lekceważenie czy wręcz pogardę. Łukasz Warzecha, redaktor największego polskiego tabloidu, napisał u siebie na blogu o poważnym ryzyku, jakie wiązałoby się z wyjściem 9 maja na cmentarz żołnierzy radzieckich. Dokonał brutalnego (tabloidowego?) uproszczenia rzeczywistości: „Ci zwykli chłopcy pili, gwałcili i rabowali. Zapalając zniczy na grobie któregoś z nich, ryzykowałbym, że czcąc jakiegoś kałmuckiego gwałciiciela, a tego ryzyka nie chcę podjąć”.

Nie więcej wyczucia wykazywali ci, którzy sarkastycznie nawoływali do palenia zniczy również na grobach „prostych chłopców” z SS. Szczególnie trudnym zadaniem było przełknięcie słów Artura Bazaka, redaktora „Teologii Politycznej”, który poprzedził krytykę akcji informacją, że przygotował ją, czytając na boku dzienniczek mistyczny świętej Faustyny. Podejście chrześcijańskie różne ma odcienie:

„...1 września zapalmy światełko dzielnym chłopcom z SS! A 1 sierpnia odważnym chłopcom Oskara Dirlenwängera, którzy nie bacząc na niebezpieczeństwa oczyścili spory kawałek Warszawy w imię prawa do panowania swojego narodu.

[...]

Niech ten gest przerodzi się w całoroczną, systematyczną i powszechną akcję społeczną. Bądźmy nowocześni! Nie każdy przecież może osobiście udać się na cmentarze «zwykłych chłopców». Dlatego proponujemy wirtualne światełko dla wszystkich ludzi dobrej woli na portalach internetowych. Na lekcjach historii zachęcamy naszą kochaną młodzież do przypominania historii «zwykłych chłopców».

Wydawać by się mogło, że takie głosy można przykryć grobowym milczeniem, pominąć, ale bynajmniej nie są to głosy jednostkowe i mało znaczące. To głosy, które reprezentują pokłady emocji jeszcze



niższych, a więc tych, które skłaniają ludzi do nazywania sygnatariuszy listu poparcia dla akcji „9maja.pl” „zdrajcami i złodziejami”.

„Wajda i Olbrychski zeszmacili się czy to tylko starcza demencja? Wydaje mi się, że to judaszowe srebrniki przeważały!” – pisze „krysia”.

„Jest jednak coś pozytywnego w tej akcji! ZOBACZYMY KTO JEST KONFIDENTEM!” – cieszy się „kony4”.

I mało tego jeszcze. Emocje te są na tyle silne, by wypłynąć również poza Internet, do tzw. realu. „W Oleśnicy na jedną z figur pomnika upamiętniającego żołnierzy ktoś nałożył kosz na śmieci i napisał «Za Kaczyńskiego, śmierć Roskim!»” – donosi „Rzeczpospolita”. To zapewne wyraz opinii osób przekonanych o tym, że Lech Kaczyński został zamordowany przez Rosjan.

W Lublinie pojawiły się wieńce kwiatów opatrzone szarfami z napisami: „Nieznany Gwałciiciel Społeczeństwo Polskie” i „Właścicielom zegarków naszych dziadków”. W Gdańsku, w czasie gdy inni zapalali świece na grobach grupka osób rozpostarła transparent z napisem „Nie palcie zniczy na grobach okupantów”. Tu emocje udzieliły się również tym, którzy chcieli uczcić żołnierzy. Doszło do przepychanek i słownych utarczek. Interwencja policji na cmentarzu wyglądała nadzwyczaj groteskowo, ale i smutno.

■
Wieczorem 9 maja w każdym programie informacyjnym można było obejrzeć relacje z cmentarzy żołnierzy radzieckich rozsianych po całej Polsce. W Warszawie przy ul. Żwirki i Wigury już przed południem nie było grobu, przy którym nie płonąłby znicz. Nie pominięto żadnego cmentarza, pomnika czy nawet pojedynczej mogiły, jak tej w głębi Puszczy Bukowej, do której przedzierali się tego dnia harcerze.

Tydzień później w „Tygodniku Powszechnym” Wojciech Piętaś napisze: „Nie będzie pojednania polsko rosyjskiego, jeśli polsko-polskie spory z Rosją w tle będą wyglądać, tak jak dyskusja wokół apelu, by 9 maja Polacy odwiedzili rosyjskie cmentarze. Choć obie strony sporu miały argumenty, obie zrobiły wiele, by dołożyć przeciwnikom «moralną maczugę»”.

Jeśli sprowadzić całość refleksji nad zapaleniem zniczy na cmentarzach żołnierzy rosyjskich do konfliktu pomiędzy „agentami rosyjskiego imperializmu” (ci, którzy świece zapalili) i „genetycznymi rusofobami” (tymi, którzy na cmentarzu się nie pojawili, byli akcji przeciwni lub głośno ją oprotowali), to powyższa uwaga będzie w zupełności prawdziwa. Zresztą znajdzie ona potwierdzenie w wydarzeniach, które przyjdą w następnych tygodniach: w trakcie wyborów prezydenckich („Gazeta Polska” nazwisko prezydenta Bronisława Komorowskiego zapisywać będzie cyrylicą, sugerując jego podległość polityce moskiewskiej), czy podczas wojny o krzyż wystawiony pod pałacem prezydenckim, upamiętniający katastrofę smoleńską (jego obrońcy chętnie będą mówić o zbrodni rosyjskiej, kierowanej przez dziedzica NKWD – Władimira Putina). Klimat do pojednania i refleksji nad sprawami trudnymi w sam raz.

8 sierpnia, kiedy przechodziłem między mogiłami na warszawskim cmentarzu żołnierzy radzieckich, wszystko było na swoim miejscu. Rewolucja w stosunkach polsko-rosyjskich nie nastąpiła. Sprzeczne interesy, różnice w rozumieniu i praktycznej interpretacji porządku demokratycznego pozostały. Rząd polski nie przeznaczył z miejsca dodatkowych milionów na opiekę nad cmentarzami krasnoarmiejców (przecież nie tego było brak). Historia nie została napisana na nowo.

Co w takim razie uległo zmianie? Odpowiedź da każdy z nas, od siebie. Jutro. Może trochę później. Ci, którzy leżą już w ziemi, wykażą cierpliwość, na jaką nie potrafi zdobyć się nikt inny.

Po więcej informacji o cmentarzach i samej akcji warto sięgnąć do Internetu:

- www.9maja.pl/rus/ oficjalna strona akcji „9maja.pl” w języku rosyjskim
- http://www.9maja.pl/files/cmentarze_zol_radzieckich.pdf lista cmentarzy żołnierzy radzieckich poległych na terenie Polski w czasie II wojny światowej
- http://www.radaopwim.gov.pl/article_details/57/wydzialy-grobownictwa-wojennego-urzedow-wojewodzkich/ kontakt z wojewódzkimi instytucjami odpowiedzialnymi za problematykę grobownictwa wojennego.

2010, nr 10

Michał Florysiak, student socjologii w Instytucie Stosowanych Nauk Społecznych UW

Tatiana Maksimowa
Natalia Gorbaniewska



„KULTURA” – „KONTYNENT”

WE WSPOMNIENIACH, KORESPONDENCJI I PUBLIKACJACH

Skrócony tekst wystąpienia na moskiewskiej konferencji

„Jerzy Giedroyc – spuścizna «Kultury». Paryska «Kultura» – ZSRR – Rosja” (20 listopada 2006)

Tatiana Maksimowa:

Idea stworzenia pisma, jednoczącego siły opozycyjne wobec reżymu Europy Wschodniej, objawiła się Maksimowowi jeszcze przed naszym wyjazdem na Zachód, w marcu 1974 roku. W wywiadach Maksimow twierdzi, że omawiał konieczność stworzenia własnego pisma na Zachodzie z Władimirem Bukowskim (czyli jeszcze przed aresztowaniem Bukowskiego w końcu grudnia 1971). Natalia Gorbaniewska doprecyzowuje, że przed wyjazdem do Paryża Maksimow przedstawił jej plan – wydawać czasopismo, które połączyłoby całą wschodnioeuropejską opozycję i drukowałoby tak emigrantów, jak i autorów samizdatowych.

Maksimow liczył na to, że z pismem będą współpracować bracia pisarze, którzy znaleźli się do tego czasu na Zachodzie, ale oczywiście sprawą pierwszorzędnej wagi było namówienie do współpracy Sołżenicyna.

W maju, umówiwszy się wcześniej, pojechaliśmy na spotkanie do Zurychu. Ideę stworzenia pisma Aleksander Isajewicz bezwarunkowo pochwalił. Nawet zaproponował jego nazwę „Kontynent” (być może „kontynent” w opozycji wobec komunistycznego Archipelagu). Obiecał (ze zrozumiałym zastrzeżeniem, że w miarę swych możliwości) osobisty udział, jednak, jak sądzę, przede wszystkim chciał przyrzeć się wcześniej, co też wyjdzie z ucieleśnienia tej idei. Tam właśnie, w czasie spotkania w Zurychu, usłyszałam wypowiedziane przez niego słowa uznania dla pisma jako miejsca dla autorów całej Europy Wschodniej. Sołżenicyn poradził, by koniecznie skontaktować się z polskimi emigrantami, którzy wydają „Kulturę”, podkreślając ich wieloletnie już doświadczenie życia w warunkach emigracyjnych i jednocześnie utrzymanie prawdziwej więzi z Polską.

Trzeba powiedzieć, że tytuł tego pisma nie był dla Maksimowa nowy. W 1977 roku, z okazji 30-lecia „Kultury”, pisał (w 12 numerze „Kontynentu”): „Po raz pierwszy usłyszałem o piśmie «Kultura» w nie całkiem zwyczajnych okolicznościach. Pewnego razu, mniej więcej w połowie roku '58, moje mieszkanie w Sokolnikach odwiedziło dwóch małomównych «towarzyszy» po cywilnemu, żeby stanowczo przestrzec mnie przed kontaktami z przedstawicielem tego pisma, który, jak mówili, szukał możliwości spotkania się ze mną. W przeciwnym razie, oznajmili gości, mogą mnie spotkać «pewne nieprzyjemności».

Przyzwyczajony przez odpowiednią szkołę życia działać, że tak powiem, na odwrót, tego wymagane-go zapewnienia odwiedzającym mnie panom oczywiście nie dałem, chociaż do zapowiadanego kontaktu z jakichś przyczyn nie doszło. Ale od tej pory coraz częściej i częściej słyszałem o «Kulturze», czemu towarzyszyły same pozytywne epitety, a niebawem jeden z jej numerów, a konkretnie – specjalny numer poświęcony literaturze rosyjskiej, pozwolił mi zapoznać się z nią bezpośrednio.

Wspomniany numer wyróżniał się tak żywym zainteresowaniem, tak czułym, jeśli nie miłosnym, stosunkiem do każdego autora, taką troską o współczesną literaturę rosyjską, że od razu i bez namysłu uznałem i przyjąłem „Kulturę” za swoje, głęboko (proszę o wybaczenie innych jej czytelników) swoje pismo. [...]”¹

¹ W 1981 roku stały współpracownik „Kultury” Konstanty Jeleński opublikował w paryskim periodyku „Le Débat” artykuł „Kultura” – Polska na wygnaniu, w którym w szczególności pisał: „Zasługa «Kultury» polegająca na tym, że pozostaje w opozycji – od samego początku – do tak rozprzestrzenionej w Polsce nienawiści do Rosjan, jest tym większa, że spośród sześciu osób stanowiących najwęższy zespół zakładający pismo, czworo było deportowanych w głąb ZSRR po zajęciu wschodniej części Polski: Józef Czapski, Gustaw Herling-Grudziński, Zofia i Zygmunt Hertzowie. Dwaj pierwsi na dodatek napisali o tym swoim doświadczeniu wyjątkowe książki w okresie, gdy większa część zachodniej społeczności nie dopuszczała do świadomości istnienia Gułagu. Czapski, nawiasem mówiąc, cudem uniknął katyńskie rzezi. Tekst Władimira Maksimowa pokazuje, w jakim stopniu te wysiłki «Kultury» były owocne” – i w odsyłaczu przytoczony zostaje obszerny cytat z tekstu Maksimowa na 30-lecie „Kultury” (przypis N. Gorbaniewska).



W kilka dni po spotkaniu z Sołżenicynem byłam już z mężem w podparyskim Maisons-Laffitte u Jerzego Giedroyc'a i Józefa Czapskiego. (W trakcie tego spotkania nie opuszczało mnie wrażenie pewnej nawet podniosłości momentu w odczuciu naszych gospodarzy, które od razu nam się udzieliło: przychodzą Rosjanie po radę, proponują robić coś razem.) Oczywiście nazwisko Sołżenicyna jako inicjatora tego spotkania, jego najwyższy autorytet moralny, stanowiło rękojmię powodzenia tej rozmowy. Od pierwszego numeru „Kontynentu” założyciele „Kultury” – Jerzy Giedroyc, Józef Czapski i Gustaw Herling-Grudziński – zostali członkami komitetu redakcyjnego naszego pisma.

Zaczęła się intensywna korespondencja: propozycje materiałów, rekomendacja potrzebnych kontaktów i uczestnictwo w dostarczaniu egzemplarzy pisma do Polski. Pamiętam na przykład prośbę o przekazanie kardynałowi Wyszyńskiemu – prymasowi Polski, który co prawda nie czytał po rosyjsku, ale samym pismem był bardzo zainteresowany – nie tylko egzemplarza rosyjskiego, ale także wydania niemieckiego. Naturalne było, że czasem nasi polscy przyjaciele proponowali nam materiały nie tylko polskich wydawnictw podziemnych, ale i towarzyszy w nieszczęściu – na przykład dokumenty dotyczące sytuacji Kościoła katolickiego na Słowacji. Tym z polecenia Giedroyc'a zajmował się wieloletni rzymski korespondent „Kultury” Dominik Morawski.

Mówię: nasi polscy przyjaciele. Rzeczywiście, z każdym z trzech przywołanych powyżej założycieli „Kultury” mieliśmy prawdziwie przyjacielskie stosunki. Tak, pozostało w pamięci, że wszyscy trzej przyszli na chrzciny naszej starszej córki. Gości było u nas tego dnia wielu – pośród nich: Galicz, Niekrasow, Siniawscy, Szachowska, Struwe, Heller, Aucouturier – wszystkich nie sposób wymienić (pośród nich wiele drogich mi imion), ale oto przyjęcie tych „trzech bohaterów” w jakiś mimowolny sposób przydało temu świętu dodatkową podniosłość.

Giedroyc bardzo troszczył się o nasze relacje z Ukraińcami. W liście do Maksimowa z 10 grudnia 1974 roku pisał: „Przy sposobności, o Slipym – 22 grudnia w Rzymie będzie się uroczystie obchodzić 35-lecie jego służby episkopalnej i 30 lat od czasu, gdy został powołany na metropolitę Kościoła Grecko-katolickiego po śmierci metropolity Szeptyckiego. Myślę, że byłoby dobrze, gdybyście tego dnia mogli być w Rzymie i nawiązać z nim osobiste relacje”. Oczywiście; zatem z mężem odwiedziliśmy kardynała Slipyja i jego wypowiedź pojawiła się w jednym z pierwszych numerów pisma. Później w „Kontynencie” (nr 14) wydrukowaliśmy gratulacje dla kardynała Slipyja z okazji jego 85. urodzin i 60-lecia służby kapłańskiej i jego serdeczną odpowiedź. Odejdę od tematu, ale dodam, że bywaliśmy i u kardynała Mindszenty, którego wspomnienia zostały wydrukowane w pierwszych numerach periodyku. Można sobie wyobrazić, jak czytelnicy w Związku Radzieckim przyjmowali wspomnienia legendarnego więźnia.

Wracając do Ukraińców, chciałabym przytoczyć wyimek z wywiadu, którego udzielił Jerzy Giedroyc innemu jeszcze naszemu polskiemu przyjacielowi, fizykowi Lucjanowi Śniadowierowi, z okazji dziesięciolecia „Kontynentu”:

„Kwestia ukraińska zawsze była i pozostaje skrajnie drażliwą dla Rosji, która uważała Ukraińców za część składową narodu rosyjskiego. Nie należy zapominać, że porozumienie Petlury z Piłsudskim było bardzo niepopularne. Ci Rosjanie, którzy popierali tę koncepcję, między innymi Sawinkow i Fiłosofow, w mniemaniu emigracji rosyjskiej byli ludźmi skończonymi. „Kontynent” jako pierwszy poruszył kwestię niepodległości Ukrainy – kwestię dopuszczenia w ogóle myśli o niepodległości Ukrainy. I to także nie spotkało się z jakimś szczególnym oporem, raczej na odwrót: powiedziałbym, że koncepcja ta zaczyna mieć coraz większe grono zwolenników”.

Gdy Maksimow odczuwał konieczność, mówił: trzeba by poradzić się Giedroyc'a. Autorytet Giedroyc'a, jego sądy – wszystko to było dla niego zawsze ważne. Oto i w trudny dla niego czas, na początku lat dziewięćdziesiątych, zmęczony problemami z finansowaniem pisma, opuszczony przez niedawnych współtowarzyszy, którzy nie podzielali jego wielkiego niepokoju towarzyszącego obserwowaniu i rozumieniu tego, co powstaje w Rosji, Maksimow pojechał do Giedroyc'a.

Spotkaliśmy się we trójkę. Giedroyc znał biernie rosyjski, a ja przekładałam jego słowa mężowi (z francuskiego). Chociaż ton pełnej poufności rozmowy jakoś nie współbrzmiał ze słowem „przekładałam”. Wszystko było zrozumiałe – twarzą w twarz. Było mniej więcej tak. Maksimow: „Nie mam już sił, jestem sam. Przekażę pismo komuś w Moskwie”. Wymienił imię swojego następcy Igora Winogradowa, poprosił,



by „Kultura” nie odmówiła „Kontynentowi” swego dotychczasowego zaufania. Giedroyc był smutny, cicho, powoli powiedział: „Panie Maksimow, jeśli jest jeszcze jakaś możliwość, proszę wytrzymać, przecież Rosji nadal potrzebne jest wolne słowo z zewnątrz. (zamilkł) Ja swojej «Kultury» nie oddam...”.

Później wróciliśmy do Maisons-Laffitte na ostatnie pożegnanie Józefa Czapskiego. Relacje Maksimowa z Czapskim miały najgłębszy charakter, zbliżyło ich pełne porozumienie. Czapski – człowiek wielkiego ducha – według mnie odnosił się do Maksimowa jak do młodszego brata.

Najczęstszym rozmówcą męża był Herling-Grudziński, Maksimow po prostu wykręcał numer jego telefonu w Neapolu i prowadzili długie rozmowy. Herling odwiedzał nas w czasie swoich pobytów w Paryżu.

Od momentu przyścia do redakcji Natalii Gorbaniewskiej (od 7 numeru) kontakty z „Kulturą”, kontakty z Polakami często zaczęły odbywać się przy jej bezpośrednim udziale. Ważny był oczywiście nie tylko fakt, że Natasza mówiła w ich ojczystym języku. Najistotniejsza była absolutna jasność, że my, Polacy i Ukraińcy, musimy trzymać się razem. Wspólnie mówić do naszych narodów, uświadamiać tym na Zachodzie, co dzieje się na Wschodzie, i wspólnie szukać możliwości wyjścia z tej, jak ona to nazywała, „wielkiej zony”. W związku z rocznicą rozpoczęcia okupacji przez wojska sowieckie wschodnich rejonów Polski w „Kontynencie” opublikowano oświadczenie zatytułowane *Rozmiar odpowiedzialności* – podpisali je: Josif Brodski, Andrzej Wołkoński, Aleksander Galicz, Naum Korżawin, Władimir Maksimow, Wiktor Niekrasow, Andriej Siniawski. Do oświadczenia przyłączył się Andriej Sacharow, nadsyłając kilka słów z Moskwy. W tekście zwracali się do Polaków: „Jesteśmy głęboko przekonani, że we wspólnej walce z totalitarnym uciskiem i wyniszczającym kłamstwem powstanie między nami zupełnie nowy rodzaj wzajemnych stosunków, który na zawsze wykluczy jakąkolwiek możliwość powtórzenia błędów i zbrodni przeszłości. I nie są to dla nas jedynie słowa, ale nasze credo i zasada”.

Natalia Gorbaniewska:

Zacznę od tego oświadczenia, które przeczytałam jeszcze w Moskwie, przed wyjazdem na emigrację. Jego prehistorię znajdziemy w jednym z listów Maksimowa, nie do Giedroycia jednak, a do Sołżenicyna (z 26 czerwca 1975):

„W maju bieżącego roku nasz rzymski korespondent rozmawiał z kardynałem Wyszyńskim, który wyraził nadzwyczajne zainteresowanie działalnością Pana i «Kontynentu». Kardynał Wyszyński przypisuje wyjątkowe znaczenie oświadczeniu Pana i «Kontynentu» o stosunkach polsko-rosyjskich. Nie wyklucza, że przy okazji następnego przyjazdu do Rzymu, w październiku, udzieliłby na ten temat wywiadu dla «Kontynentu» i «Kultury», a ponadto przedstawiłby posiadane przez siebie dokumenty.

Władimir Maksimow, wykazując się ogromnym zrozumieniem sytuacji, obiecał nam oświadczenie «Kontynentu» na temat zła wyrządzonego Polsce po 1939 roku”.

Oświadczenia Sołżenicyna w tej kwestii nie było, zresztą nie było także wywiadu z kardynałem Wyszyńskim ani w „Kulturze”, ani w „Kontynencie”. Pojawiło się natomiast oświadczenie „Kontynentu” wraz z wypowiedzią Sacharowa, wspierającą – chciałoby się powiedzieć „nas”, chociaż gdzie mnie do tego. Nie było to ostatnie oświadczenie z serii dotyczących polskich spraw, pod którym „Kontynent” zbierał podpisy pośród emigrantów politycznych – obrońców praw człowieka ze Związku Radzieckiego. Najważniejsze z nich to katyńskie („Obejrzyj się ze skrucą”) – w związku z czterdziestą rocznicą zbrodni; i „Znowu Polska” – oświadczenie sformułowane po wprowadzeniu w Polsce stanu wojennego. Chciałabym szczególnie podkreślić w oświadczeniu katyńskim (tekst napisał Władimir Maksimow) ten sam problem odpowiedzialności, który przy okazji poprzedniego oświadczenia poświęcone czwartemu rozbiorowi Polski pojawił się otwarcie w tytule.

Chciałabym dodać coś do tego, co opowiedziała Tatiana Maksimowa, a co dotyczy czasów, gdy byłam jedynie czytelniczką „Kontynentu”. W pierwszym numerze „Kontynentu” wydrukowano artykuł – odpowiedź na Sołżenicynowski *List do przywódców Związku Radzieckiego* – z podwójnym podpisem „Głos z Warszawy” i „Redakcja pisma «Kultura»”. O to, by podpis „Kultury” znalazł się pod tym artykułem, prosił Giedroyc w jednym ze swoich listów do Maksimowa – zapewne by podkreślić, że pismo podziela stanowisko anonimowego nadawcy. Był nim Wiktor Woroszyński,



który już w latach dziewięćdziesiątych nie bez dumy wspominał, że był autorem „Kontynentu” już od pierwszego numeru. Artykuł poprzedzała stosunkowo obszerna informacja o „Kulturze”. Nie wiem, kto ją napisał, ale bez wątpienia odzwierciedlała punkt widzenia i profil pisma bliskie Maksimowowi. Była tam mowa o „cechach szczególnych «Kultury», czyniących z niej pismo, prawdopodobnie, unikatowe”:

„Na koniec trzecia cecha szczególna «Kultury» – wyraźne poczucie nierozzerwalności losów Polski, narodów ZSRR i Europy Wschodniej, uczucie braterstwa ze wszystkimi narodami dążącymi do wolności i niezawisłości. Znakomitym symbolem wyrażającym to poczucie może być «Deklaracja Praw Człowieka» wydana przez Instytut Literacki latem 1974 roku po polsku, rosyjsku, ukraińsku, białorusku, słowacku, litewsku i czesku”.

Drugi fakt z okresu do mojego przyjazdu, który chciałabym odnotować i jednocześnie rozwinąć, zachodzi już na „moje” kontynentalne czasy – ma on charakter niemal detektywistycznych dociekań: rzecz dotyczy zagadkowego listu Giedroycia (napisanego w imieniu wszystkich trzech polskich członków komitetu redakcyjnego) do Maksimowa. List wywołuje zdumienie wszystkich, którzy się z nim zapoznają, a zaczyna się od słów: „...informuję, że rezygnujemy z członkostwa w Komitecie redakcyjnym «Kontynentu»” (wszystkie cytaty pochodzą z otrzymanego przeze mnie od Maksimowa rosyjskiego przekładu tego listu). Na znajdujących się w archiwum egzemplarzach – ani na rosyjskim, ani na polskim – nie ma daty, ale oczywiste jest, że list został napisany przed wypuszczeniem 4 numeru „Kontynentu”, w którym wydrukowano artykuł Juliusza Mieroszewskiego przedstawiający koncepcję ULB², i przed cytowanym powyżej listem Giedroycia do Sołżenicyna. To, że artykuł Mieroszewskiego nie został dotąd opublikowany i że Maksimow dotąd nie przysłał swojego komentarza na jego temat, wzbudziło zastrzeżenia, które stały się przyczyną tego, iż mimo że „Kontynent” „ogłosił się organem Europy Wschodniej”, Giedroyc „dziś [...] nie czuje się przekonany, że informację tę można uważać za dokładną”. Przyczyna była znacznie bardziej ogólna – brak jasnego oświadczenia w kwestii ukraińskiej, brak „gestu w stosunku do Polski [...] w kwestii paktu Ribbentrop-Mołotow [...] odnośnie do zesłania w 1940 roku półtora miliona obywateli polskich na Syberię [...] w sprawie zbrodni katyńskiej i zachowania radzieckiej armii w 1944 roku w obliczu ginącej powstańczej Warszawy”. Nieznana jest odpowiedź Maksimowa na ten list. Tatiana Maksimowa sądzi, że najprawdopodobniej Władimir Emilianowicz po prostu sięgnął po telefon i natychmiast wyjaśnił całe nieporozumienie. Być może było tak, a być może jego odpowiedź spoczywa w nieopracowanej jeszcze części osobistego archiwum redaktora „Kultury”. Możliwy jest także również trzeci wariant – wnioskuje z tego, że list nie tylko nie jest datowany, ale także nie został podpisany – po napisaniu listu Giedroyc mógł zaproponować Maksimowowi spotkanie, pokazał mu ten tekst osobiście i wtedy nieporozumienie zostało wyjaśnione. Sądzę, że znaleźć porozumienie było tym łatwiej, że dalej w liście Jerzy Giedroyc krytykuje „Kontynent” i zadaje redaktorowi stosunkowo trudne pytania z zupełnie „niezewnętrznych” pozycji i kończy list obietnicą „zawsze służyć Panu pomocą i radą”.

To znaczy: żadne odejście z komitetu redakcyjnego nie miało miejsca, korespondencja – jak widzimy – nie zawsze i niecałkowicie oddaje stosunki między dwoma pismami i dwoma redaktorami – kontynuowano spotkania osobiste, kontynuowano i rozszerzano współpracę, tak praktyczną, jak i ideową. W numerze 5 wydrukowano oświadczenie „Wymiar odpowiedzialności”, w 12 – wspólne oświadczenie dotyczące kwestii ukraińskiej, ale już rok wcześniej w „Kolumnie redaktora” 8 numeru, a nawet przedtem w komentarzu redakcyjnym do artykułu Mieroszewskiego, Maksimow oznajmił, że jest bezwzględnie przywiązany do zasady narodowego samostanowienia.

W 1981 roku, gdy Maksimow miał kłopoty z niektórymi członkami kolegium redakcyjnego, zwrócił się listownie do całego jego składu, żeby wyjaśnić, czy gotowi są dalej współpracować z „Kontynentem” i na jakich warunkach. Mamy odpowiedź datowaną (25 marca 1981) i podpisaną przez Czapskiego, Giedroycia i Herlinga-Grudzińskiego:

„Otrzymawszy jako polscy członkowie kolegium redakcyjnego «Kontynentu», Pański list z 20 stycznia, wspólnie rozważyliśmy przedstawiony przez Pana problem. Problem ten bez wątpienia istnieje, ze względu

² Koncepcja poparcia dla dążeń niepodległościowych Ukrainy, Litwy i Białorusi.



na to jak liczny i wielonarodowy jest skład kolegium redakcyjnego, oraz z uwagi na fakt, że członkowie jego żyją w tak wielu krajach świata, co – naturalnie – czyni niemożliwym ich stałe i żywe uczestnictwo w pracy pisma, nie mówiąc już o wspomnianych przez Pana trudnościach ze zrozumieniem często zawiłych problemów rosyjskiej emigracji. W naszej odpowiedzi moglibyśmy ograniczyć się wyłącznie do naszej roli: jako polskich członków kolegium redakcyjnego interesuje nas przede wszystkim (choć nie wyłącznie) wschodnioeuropejski aspekt «Kontynentu», a z tej perspektywy nasze częste osobiste kontakty tak z Panem, jak i z Natalią Gorbaniewską całkowicie wypełniają prawo konsultacji, która przynależy rzeczywistym, a nie tylko tytularnym członkom komitetu redakcyjnego. Ale byłaby to odpowiedź połowiczna. Członkostwo w kolegium prowadzonego przez Pana pisma to także akt solidarności z całym Pańskim przedsięwzięciem, z ogólnym profilem pisma. Po 26 numerach «Kontynentu» nie mamy żadnego powodu, by wycofać się z tego aktu solidarności. W 1977 roku oświadczył Pan, że tworząc pismo zwrócił się za radą Sołżenicyna do «Kultury» z prośbą o pomoc i propozycją współpracy, i że decyzji tej Pan nie żałuje. Podobnie my dzisiaj nie żałujemy naszej decyzji bliskiego związania się z «Kontynentem» [...]».

A w 1984 roku, z okazji 10-lecia „Kontynetu”, Giedroyc, zwracając się do Maksimowa, pisał: „«Kontynent» stał się nie tylko najważniejszym pismem rosyjskiej emigracji, ale i w znacznym stopniu pismem Europy Wschodniej. Pismo konsekwentnie zмага się z imperializmem rosyjskim lub sowieckim, głosząc – w najwyższym stopniu prawdziwie – prawo Ukrainy i krajów bałtyckich do niepodległości, a także apelując nie tylko o normalizację stosunków polsko-rosyjskich, ale także o przyjaźń obu narodów. Stało się to szczególnie wyraźne, gdy w Polsce rodziła się «Solidarność». [...]»

Chciałbym pogratulować Wam cechy, rzadkiej u redaktorów: przy bardzo wyrazistym – czasem doprowadzonym nawet skrajności – sposobie formułowania Waszych stanowisk, publikujecie materiały, które nie są zbieżne z Waszym punktem widzenia. To piękny przykład liberalizmu i szacunku dla wolności słowa. [...]

Bardzo jest mi miło, że od samych narodzin «Kontynentu» wraz z moimi przyjaciółmi należę do jego komitetu redakcyjnego”.

2006, nr 12

Tłum. Ludmiła Laskowska-Pańków



„POZOSTAĆ ANTYIMPERIALISTAMI...”

Wywiad z Borysem Strugackim przeprowadzony w Petersburgu 18 maja 2010
do książki Tatiany Kosinowej „Polski mit: dysydenci, socjologowie i pisarze
o polskich wpływach lat 1950-1980”



– Żadnych powiązań rodzinnych, w ogóle żadnych krewnych w Polsce nie mam. Z Polską łączą mnie natomiast przyjaźnie i praca zawodowa.

– **Czy interesowały pana kiedykolwiek wydarzenia polityczne w Polsce? Z jakiego okresu? Jakie szczególnie?**

– Tak, oczywiście. Najbardziej – rozwój wydarzeń związanych z ruchem „Solidarność”. Oczekiwaliśmy wtedy z dnia na dzień wtargnięcia wojsk sowieckich do Polski. I odczuwaliśmy tę samą bezsilność i rozpacz, jaka towarzyszyła nam w 1968 roku.

– **Chodził pan na polskie filmy? Co było w nich wyjątkowego?**

– Polskie kino zawsze cenione było u nas bardzo wysoko. Wajda, Cybulski – te nazwiska się znało. *Popiół i diament* czy znakomite polskie komedie, których tytułów teraz już nie wspomnę, lecz niektórych fabuły pamiętam do dziś – jak np. tę świetną historię polskiej rodziny, która mieszka w swoim domu razem z czołgiem T-34 i, jakkolwiek się stara, nie może się go pozbyć. „Najweselszy barak w socjalistycznym obozie” – absolutnie celnie powiedziane.

– **Czy ma pan ulubionego polskiego pisarza?**

– Stanisława Lema, oczywiście. Swift i Rabelais

dwudziestego wieku. Niewątpliwie jeden z najmądrzejszych ludzi na świecie, a ponadto obdarzony taką fantazją, jakiej, moim zdaniem, nie miał nigdy żaden człowiek. I jeszcze drugiego Stanisława – Stanisława Jerzego Leca, wspinałego autora zjadliwych i celnych aforyzmów – też, niewątpliwie, mistrz klasy światowej, mistrz swojego gatunku. Czytywałem, oczywiście, i Sienkiewicza, i Prusa, ale żaden z nich nie był dla mnie wydarzeniem. A współczesnej literatury polskiej zupełnie nie znam.

– **Czy może pan powiedzieć o jakimś wpływie literatury polskiej na pana? Czy łączy coś pana z polskimi pisarzami science fiction?**

– Takich związków nie ma. O wpływie też niczego powiedzieć nie mogę. Lemem zawsze się zachwycam, ale nigdy go nie naśladowałem. Specjaliści zgodnie mówią o wyraźnym paralelizmie twórczości Lema i ABS [Arkadija i Borysa Strugackich], lecz ten paralelizm, moim zdaniem, nie wynika ze wzajemnego wpływu, a raczej bardzo podobnej mentalności obydwu autorów. Nie umawiając się, odbieraliśmy świat i ludzkość pod wieloma względami jednakowo i jednakowo uważaliśmy, że nic nie da się wymyślić: wszystko albo gdzieś już istnieje, albo pojawi się z czasem, albo też istniało wcześniej.

– **Czy spotykał się pan z Lemem?**



– Spotykaliśmy się niejednokrotnie. Po raz pierwszy w Leningradzie, 5-10 lat przed moim pierwszym wyjazdem do Polski. Świetnie mówił po rosyjsku, wspaniały rozmówca, polemista, gawędziarz.

– **Kto tłumaczył pana w Polsce? Jak układała się współpraca z tłumaczami na język polski? Czy wie pan coś o losie przetłumaczonych na język polski tekstów?**

– Nasze książki przekładane były przez wielu różnych specjalistów, lecz naszym ulubionym tłumaczem jest pani Irena Lewandowska, w dodatku bardzo miła i mądra osoba, z którą przyjaźnimy się już czterdzieści lat. Sądzę, że w szczególności dzięki jej staraniom nasza twórczość stała się dobrze znana w Polsce: wiele dziesiątków wydań i wznowień w najróżniejszych polskich wydawnictwach. Wszystkie nasze teksty bez wyjątku są tu przetłumaczone, Polska zajmuje chyba pierwsze miejsce w świecie pod względem wydań ABS, i nawet teraz, gdy zainteresowanie Strugackimi za granicą znacznie opadło (w porównaniu z latami osiemdziesiątymi), w Polsce niezmiennie wychodzą dwa, trzy, cztery wznowienia rocznie.

– **Irena Lewandowska sama przekładała panów książki, czy może wspólnie z Witoldem Dąbrowskim?**

– Sama. O ile pamiętam, Witold się nigdy nami nie zajmował.

– **Czy miał Pan swój stereotyp Polaka? Kim jest „typowy Polak”?**

– Osobiście znam bardzo niewielu i materiału, z którego można by stworzyć „statystycznie uzasadniony” stereotyp, niewątpliwie mi brakuje. Sławetna „duma” i „buńczuczność” Polaków to dla mnie puste słowa. Niczego takiego u moich przyjaciół i znajomych nie zauważyłem. Z reguły staram się trzymać jak najdalej od wszelkich stereotypów, ponieważ są one wytworem ignorancji i ubogiej wyobraźni.

– **Czy ma pan przyjaciół Polaków?**

– Jest kilka osób, z którymi łączą mnie zajęcia literackie. Albo filatelistyka. Spotykamy się niezwykle rzadko, lecz pamiętamy o sobie i darzymy wzajemną sympatią.

– **Bywał pan w Polsce? Jaki to kraj?**

– Polska była pierwszą „zagranicą”, jaką udało mi się odwiedzić, oraz jedyną, w której bywałem wielokrotnie. W połowie lat siedemdziesiątych przyjeżdżałem do Warszawy (był to najpowszechniejszy sposób otrzymywania honorarium za zagraniczne wydania) i każdorazowo spędzałem tam pięć, sześć dni – rozkoszowałem się światem, który wtedy wydawał mi się w pełni „zachodnim”, niepodobnym do żadnego innego, który znałem, a nawet „prawie wolnym” – chodziłem na amerykańskie filmy, spotykałem się z polskimi dysydentami i bez opamiętania czytałem „tamizdat” (który w Polsce był ogólnodostępny, przynajmniej w prywatnych bibliotekach Polaków). Oczywiście, wszystkie moje ówczesne wrażenia były wrażeniami „Sovietico turista” – rozkoszowałem się warszawskimi kafejkami, warszawskimi domami towarowymi i sklepami, spotkaniami z czarującymi i życzliwymi ludźmi... Zobaczyłem zupełnie nowy, prawie fantastyczny świat i choć wiedziałem, że jest on całkowicie odległy od świata realnego, to zupełnie nie dążyłem do poznania „prawdy”, chciałem „żeby było wesoło i by nie trzeba było o niczym myśleć”, dostawałem więc to, co dostać pragnąłem. „Turisto sovietico”. „Obliko morale”. Wtedy się jedynie domyślałem, teraz mam pewność, że aby mieć realne wyobrażenie o kraju, nie wystarczy być tam turystą. Trzeba tam pomieszkać, ale nie tak po prostu – mieszkać, trzeba tam pracować, i to nie miesiąc, ale minimum rok czy dwa. Takiej możliwości nigdy nie miałem. I mieć bym nie mógł – jestem domatorem.

– **Bywał pan w Polsce sam czy razem z Arkadijem Natanowiczem?**

– Jeździłem sam albo z żoną.

– **Wspominał pan o polskich dysydentach. Pamięta pan ich nazwiska? Z kim spośród polskich dysydentów spotykał się pan?**

– Nie zapamiętałem ich nazwisk. (Było tylko jedno spotkanie.) Pamiętam, że jeden z nich był bardzo znanym w tamtych latach artystą, ale który?

– **Uczył się pan kiedyś języka polskiego? Czy był czas, w którym pan albo ludzie z pańskiego otoczenia czytali polskie gazety? Czy ktoś z pańskich bliskich prenumerował polskie czasopisma albo gazety?**

– Nie. W moim przypadku z językami sprawa zawsze przedstawiała się niedobrze. Polski nie jest wyjątkiem. Pamiętam, jak w połowie lat siedemdziesiątych wraz z żoną bardzo poważnie uczyliśmy się polskiego (z samouczkiem). To było tuż po pierwszym wyjeździe, ponieważ wydawało nam się, że odtąd



będziemy tam jeździć często. Lecz zadanie okazało się ponad nasze siły i, oczywiście, nic z tego nie wyszło. Zresztą czasopismo „Polsza” zawsze czytaliśmy, jak tylko trafiło w nasze ręce.

– **Kiedy pan dowiedział się o Katyniu?**

– Bardzo dawno. Myślę, że w połowie lat sześćdziesiątych.

– **Czy nosi Pan w sobie poczucie winy przed Polakami?**

– Nie. Z jakiego tytułu? Nas gnębili i deptali ci sami ludzie, ten sam system, w tym samym czasie – i Polaków, i nas. Jakie poczucie winy? Przed kim? Chyba że przed samymi sobą, za to, że milczeliśmy, za to, że to tolerowaliśmy, za to, że nie mogliśmy sobie nawzajem pomóc.

– **Czy można mówić o polonofilstwie wśród rosyjskiej inteligencji?**

– Nie wiem. Żadnego szczególnego polonofilstwa nie zauważyłem. Jest to zapewne osiągnięcie rosyjskiej (tej dziewiętnastowiecznej), a nie sowieckiej inteligencji.

– **Co panu wiadomo o polskim antysemityzmie? Spotykał się pan z nim kiedykolwiek?**

– Dzięki Bogu nigdy się nie spotkałem, ale dostatecznie wiele o nim słyszałem i czytałem. Moim zdaniem polski antysemityzm niczym się nie różni od rosyjskiego. Zresztą, od niemieckiego również.

– **Jaką rolę odgrywa Polska w historii naszego kraju? Jak powinny się rozwijać stosunki między naszymi krajami? Co zależy od nas?**

– Historycznie Polska od niepamiętnych czasów należała do „strefy wpływów” Rosji. Ze wszystkimi wynikającymi z tego konsekwencjami. Właściwa temu mentalność również dziś jest żywa, chociaż wydaje ostatnie tchnienie po rozpadzie ZSRR i Układu Warszawskiego. Zresztą, ten sfinks jest z tej paskudnej gliny, że szuka tylko okazji, by się odrodzić z wcześniejszą siłą. A od nas, jak zwykle, zależy bardzo niewiele: możemy jedynie pozostać antyimperialistami na tłących, jeszcze walących się ruinach upadłego imperium.

– **Jak się pan odnosi do ostatnich zmian, jakie zaszły w stosunkach między naszymi państwami po katastrofie polskiego prezydenckiego samolotu z 10 kwietnia 2010 roku? Z czym są one związane? Jak długo potrwa to ocieplenie?**

– Ocieplenie jest zapewne rezultatem ogólnych zmian, jakie w ostatnim czasie zaszły w polityce zagranicznej. Przyczyn można się jedynie domyślać, lecz niezależnie od nich ja to ocieplenie witam, a jeśli jeszcze dotyczy ono Polski – to szczególnie ciepło.

2010, nr 6

Thum. Eliza Wolska



„W LATACH 1980-1981 POLSKA BYŁA W CENTRUM...”

Rozmowa z Wiktorem Szejnise

– Od jakiego czasu czy też od jakiego momentu zaczęło pana interesować to, co działo się w Polsce? Co to było? Czy były to wydarzenia polityczne, czy może jakieś wydarzenia kulturalne? Poproszę o kilka słów o polskich wpływach i o pańskim odbiorze tego, co działo się w Polsce.

– Zdecydowana była moja reakcja na wydarzenia węgierskie, a na polskie – o tyle, że działały one na rozwój rewolucji węgierskiej 1956 roku jak zapalnik. Teraz jednak, przesiewając pamięć w poszukiwaniu odpowiedzi na pani pytanie, mogę powiedzieć, że pierwsze moje zderzenie z polską problematyką miało miejsce, gdy byłem studentem pierwszego roku Wydziału Historii Uniwersytetu Leningradzkiego. Wtedy to właśnie, bardzo dawno temu, w szczytowym etapie „walki z kosmopolityzmem”, mój kolega w trakcie komsomolskiej dysputy wystąpił z prezentacją swoich wyobrażeń o tym, czym jest patriotyzm. Jako przykład fałszywego, biurokratycznego i zaściankowego patriotyzmu podał wiersz Puszkina *Oszczercem Rosji*. Poparłem go wówczas. W rezultacie kolega został stosownie ukarany. Ja byłem drugim sekretarzem Komitetu Komsomołu. Wyrzucono mnie z Komitetu i udzielono surowej komsomolskiej nagany za „ideologicznie szkodliwe wystąpienie w czasie dyskusji”. Takie to wówczas były zwyczaje.

– W którym to było roku?

– W 1949.

– A jak się nazywał ów kolega?

– Radij Isaakowicz Cymerinow. To on wygłosił referat, a ja go poparłem. Proszę zrozumieć, że do polskiego powstania od początku odnosiłem się nie tak jak Puszkina, a tak jak Hercen. Wówczas nie wiedzieliśmy, że za te wiersze Puszkina skrytykowali niektórzy jego przyjaciele, w tym Piotr Wiaziemski. W tamtych jednak czasach panowała imperialna interpretacja historii. Inwektywy Puszkina pod adresem tych europejskich polityków, którzy występowali przeciwko rosyjskiej interwencji współbrzmiały z celami „antykosmopolitycznego” imperialnego wychowania studentów. Powiedziano nam, że „uderzyliśmy w narodową świętość – w Puszkina. A to jest dywersja ideologiczna”. Co prawda ten frazes, typowy obraz średniowiecznego inkwizycyjnego myślenia, wszedł do powszechnego użytku dopiero później.

– Co się później stało z Cymerinowem?

– Od razu wyrzucono go z Komsomołu. Długo go szykanowano, ale później, z ogromnym trudem, jakaś nadrzędna instancja przywróciła mu członkostwo. Generalnie mieliśmy wówczas duże nieprzyjemności.

– Ale z uniwersytetu nie wyrzucili?

– Dzięki Bogu nie. Ani jego, ani mnie.

– A czemu nie wyrzucili?

– No cóż, pewnie uznano, że jednak nasze grzechy nie były aż tak ciężkie, żeby wyrzucać.

– Ale to przecież był okres, gdy dość brutalnie obchodzono się ze wszystkimi.

– W zasadzie tak. No ale nie wiem. To pytanie nie do mnie.

– A co było tłem? Co się wówczas działo?

– Tłem były absolutnie potworne konferencje, poświęcone walce z kosmopolityzmem, organizowane na wszystkich wydziałach. Wdeptywano w błoto naszych wykładowców, którzy rzekomo mieli popełnić grzech kosmopolityzmu. Niszczono wybitnych naukowców, z którymi nie mieliśmy prawa równać się my – pierwszorocznicy. Był taki wybitny orientalista Wasilij Wasiliewicz Struwe, akademik, specjalista od starożytnego Egiptu. Zapamiętałem jego uniżone, pełne skruchy wystąpienie. Brzmiało to mniej więcej tak (nie twierdzą, że cytuję go dosłownie, ale jakoś bardzo podobnie): „Dwa lata temu popełniłem antyspołeczny czyn. Zarekomendowałem do druku niesłuszną książkę profesora Sołomona Jakowlewicza Lurie



o starożytnej Grecji. W tej książce Sołomona Jakowlewicza nie istniał patriotyzm starożytnej Grecji; był tylko patriotyzm Aten, patriotyzm Sparty. A przecież w istocie cały grecki naród zjednoczył się w walce z najazdem perskim”. Mniej więcej tak. Na tej konferencji wystąpił również dopiero co mianowany dziekan Wydziału Historii profesor Kornatowski (poprzedni dziekan, którego studenci bardzo lubili, profesor Mawrocin, został usunięty za „pobłażanie kosmopolitom”). Kornatowski, uderzając pięścią o katedrę, mówił: „Kosmopolityzm to podszewka kontrrewolucyjnego trockizmu. Kosmopolitów trzeba wyszukiwać i demaskować”. Nie przeszkodziło to w niczym jego późniejszej zsyłce „do miejsc dość odległych”, właśnie za trockizm. No a nas, drobnych leszczy, tylko znaleziono i zdemaskowano.

– **Nie baliście się?**

– Było przykro, oczywiście, było nieprzyjemnie. Ale strachu nie było. Wychowywaliśmy się w politycznie wydestylowanym środowisku i uważaliśmy się za ideowych komunistów. Poważniejsze, systemowe otwarcie oczu zaczęło się po 1953 roku. Ściślej mówiąc w 1953 roku – po śmierci Stalina.

– **A jak wasze eskapady odbierali koledzy z roku?**

– Bardzo różnie. Ci, którzy przyszli na uniwersytet, by się uczyć, a nie robić karierę komsomolską czy partyjną, uważali: za co ich tak? No, powiedzieli, co powiedzieli, ale po co aż tak? Tak myśleli nie tylko nasi najbliżsi koledzy.

Taki był mój pierwszy, pośredni kontakt z polską problematyką. Później polska historia, społeczeństwo polskie, polska mentalność, które poznawałem na podstawie literatury i w jakimś stopniu prasy, wywierały wrażenie i wpływ na – jak byśmy to teraz określili – „reloading” myślenia. W tym politycznym otwieraniu oczu, które nastąpiło po śmierci Stalina, istotną rolę odegrały różne polskie publikacje. Doskonale pamiętam czasopismo „Polska”. Do dzisiaj chyba przechowuję egzemplarze numerów z 1956 roku. Pismo było wydawane w języku rosyjskim i drukowano w nim bardzo ciekawe materiały. Ponadto zaczęły już docierać jakieś utwory, teksty wystąpień polskich autorów, które w 1956 roku doprowadziły do zburzenia sytuacji ideologicznej w Polsce, a przynajmniej do istotnej jej destabilizacji. Wśród tych publikacji pamiętam artykuł polskiego pisarza i publicysty Jana Kotta. Tytułu nie pamiętam. Ktoś to przetłumaczył na język rosyjski i krążyła w „samizdacie”, chociaż samo to słowo pojawiło się później. Komentarz do demaskatorskiego XX Zjazdu KPZR oraz do tego, co za Stalina działo się i u nas, i w Polsce. Zapamiętałem zwłaszcza: „My, polska socjalistyczna inteligencja, władcy myśli pokolenia, przyzwalamy na kłamstwa, przyzwalamy na przestępstwa”. Albo króciutki wstęp do dzieła wybitnego polskiego filozofa Leszka Kołakowskiego „Czym jest socjalizm – a co socjalizmem nie jest”¹. Aforystycznie barwne, celne, precyzyjne, krótkie charakterystyki reżimu stalinowskiego do dzisiaj cytuję, występując przed studentami. Tego rodzaju utwory, przychodzące z Polski, jeśli nawet nie odkrywały czegoś pryncypialnie nowego, jako że w tym czasie sami już wiele wiedzieliśmy, to przynajmniej tworzyły określony klimat emocjonalny.

Nieco później dotarło do nas polskie kino. Przede wszystkim filmy Andrzeja Wajdy. Takie filmy jak *Kanał*, *Popiół i diament* i inne wywierały kolosalny wpływ. Generalnie ta marka – „polskie kino” – była swoistym znakiem rozpoznawczym. Niezbyt dokładnie pamiętaliśmy nazwiska reżyserów, ale już sama informacja, że na ekrany wchodzi polski film powodowała, że z uwagą czytaliśmy repertuary kin. Telewizji nie było, ściślej mówiąc, telewizja nie pokazywała takich filmów... Zresztą, nie mieliśmy telewizora. Polacy nie bez racji mówili, że w całym socjalistycznym obozie ich barak jest najweselszy. To, co się działo w tym baraku, oczywiście bardzo nas interesowało.

Pewien mój bliski przyjaciel, obecnie już nieżyjący, również historyk, zawodowo zajmował się historią Europy Wschodniej. Polska wchodziła do kręgu jego zainteresowań. Nazywał się Walentyń Michajłowicz Aleksiejew. Był to leningradzki historyk, mój bliski przyjaciel jeszcze z czasów uniwersyteckich aż do samej śmierci. Zmarł w 1994 roku. Już po jego śmierci udało mi się wydać dwie jego książki, które nie mogły się ukazać w czasach radzieckiego reżimu. Jedna z książek była zatytułowana *Węgry 1956: Przerwane ogniwo* (*Венгрия 1956: Прорыв цепи*). Druga natomiast poświęcona była powstaniu w getcie warszawskim. Tę drugą książkę wydawałem w moskiewskim „Memoriale”, a pieniądze na jej wydanie dał Władimir Gu-

¹ W istocie ten krótki aforystyczny tekst nie jest wstępem do innego dzieła, lecz samodzielnym esejem *Czym jest socjalizm* (patrz np. zbiór: *Горькая жатва*. [Тексты восточноевропейских и советских авторов]. Nowy Jork: Frederick A. Preger, 1961, oraz w książce: Leszek Kołakowski *Pochwała niekonsekwencji*, Edizioni Aurora, 1974).



sinski. Potem książka była częściowo sprzedana w sieci księgarni i uzyskaliśmy pewną kwotę, groszową oczywiście. No ale za te pieniądze jego żona wydała następną książkę, to już jest jej zasługa – o powstaniu w getcie. Prezentacja książki o Węgrzech odbyła się w ambasadzie Węgier w Moskwie, a o powstaniu w getcie – w moskiewskim „Memoriale”.

Ta książka ma interesującą historię. Jej rękopis przeczytali i zrecenzowali wpływowi w świecie akademickim ludzie, między innymi znany naukowiec Władimir Michajłowicz Turok-Popow. To właśnie oni preforsowali wydanie książki w popularnonaukowej serii wydawnictwa Akademii Nauk. Z Aleksiejewem została zawarta umowa na wydanie książki o powstaniu w getcie. Plan wydawniczy na 1967 rok trafił do Izraela. Izraelscy dziennikarze powiadomili swoich czytelników: wreszcie w Związku Radzieckim wydaje się książkę o bohaterskim epizodzie żydowskiego ruchu oporu w Polsce w czasach okupacji. Aleksiejew był Rosjaninem, pochodził z rodziny leningradzkich robotników. To, że zwrócił się ku tej tematyce nie było „zewem krwi”. Ale w 1967 roku miała miejsce wojna sześciodniowa. W ZSRR porażka jego sojuszników wywołała kolejny paroksyzm antysemityzmu i bohaterowie getta musieli odpowiedzieć za „agresję izraelskich żołdaków przeciwko pokojowej ludności narodów arabskich”. Książkę wyrzucono z planu i dopiero w latach dziewięćdziesiątych udało mi się ją wydać...

To był wiek specjalnych archiwów. Bardzo wiele rzeczy było niedostępne dla nas – dokumenty, literatura, czasopisma. Aleksiejew potrafił czytać w kilku europejskich językach, doskonale znał polski, czytał prasę, czytał książki i opowiadał nam bardzo wiele.

Języka polskiego nauczyła się również moja żona Ała Nazimowa, która ukończyła dziesięć latkę na Ukrainie i dzięki znajomości języka ukraińskiego łatwiej jej było opanować polski. A poprzez język polski zaznajomiliśmy się z wieloma dziełami współczesnej światowej klasyki. Przykładowo *Komu bije dzwon* Hemingwaya, którego u nas uporczywie nie chciano wydawać, można było kupić w polskim tłumaczeniu w księgarni „Książki z państw demokracji ludowej”. Żona przeczytała tę książkę i bardzo szczegółowo opowiedziała mi jej treść

– **A pan sam nigdy nie starał się nauczyć polskiego?**

– Nie próbowałem się go uczyć, ale prawdopodobnie dzięki pewnemu podobieństwu do języka rosyjskiego – wiele rozumiem. Mogę czytać ze słownikiem i nawet publikowałem recenzje polskich książek. Kiedy byłem w Polsce i przy mnie mówiono po polsku, nieco więcej niż połowę rozumiałem. Być może również dlatego, że nie były to rozmowy na jakieś tam powszednie tematy, a o rzeczach związanych z polityką i sprawach społecznych. Tego, czego nie rozumiałem, starałem się domyślić.

Pierwszy mój wyjazd za granicę – do kraju socjalistycznego, a nie „za żelazną kurtynę”, gdzie mnie długo nie wypuszczano – miał miejsce właśnie do Polski oraz Czechosłowacji w 1967 roku. Razem ze zwykłą turystyczną grupą, jakich było wiele. W ramach tej grupy wśród części jej uczestników zawiązała się pewna wspólnota ludzi... Inteligentni ludzie dość szybko poznają się na sobie, określają „kto jest kim”. Dość szybko można wyczuć zbieżność ideowych i politycznych poglądów, preferencji, w tym również dotyczących tego, co należy zobaczyć w pierwszej kolejności. Pamiętam, że w Warszawie odłączyliśmy się od grupy i poszliśmy oglądać film Stanleya Kramera *Ostatni brzeg* – fantazję na temat atomowej zagłady ludzkości. Radziecka prasa bardzo pozytywnie oceniła ten film, ale w Związku Radzieckim nie był on wyświetlany. A w Polsce był. Za te same pieniądze, które inni turyści skrzętnie wydawali na niedostępne w ZSRR ciuchy, poszliśmy do kina w tym szpetnym budynku nazwanym „Pałacem Kultury i Nauki” – zna pani ten budynek w Warszawie?

– **Ale czemu „szpetnym”? W Moskwie pełno takich budynków.**

– Tak, tutaj rzeczywiście jest ich więcej. Proszę poczekać, a w Petersburgu Gazprom wybuduje taką szkaradę, że przy niej wszystkie stalinowskie wieżowce będą wyglądały jak wytwory wysublimowanego smaku... No więc poszliśmy do jednego z kin w tym gmachu. Wie pani, Polacy nam powtarzali: „Jakie jest najpiękniejsze miejsce w Warszawie? – Taras widokowy w PKiN. Widać całą Warszawę, a tej budowli nie widać”. A w ogóle to bardzo mi się Polska spodobała. Potem jeździłem tam jeszcze kilka razy, zawsze było bardzo interesująco, zdobyłem przyjaciół, ale pierwsze spotkanie – to jak pierwsza miłość.

Później, dwa lata później, moja żona pojechała do Polski z grupą studentów. Ona jest socjologiem. To wtedy pierwszy raz spotkała się z polskimi socjologami. A polska socjologia, jeśli można się tak wyrazić, była jednym z awangardowych oddziałów nauk socjologicznych w państwach obozu socjalistycznego.



Powstały więzi zawodowe, ludzkie, przyjacielskie. Zaczęły się spotkania, wymiana informacji, książek. Oni zaczęli przyjeżdżać do Moskwy, z wieloma z nich poznałem się również ja. Jeździłem do Warszawy, żona też jeździła... Poczynając od 1969 roku, nawiązaliśmy wiele osobistych kontaktów z co najmniej dziesięciorgiem znanych polskich naukowców, wykładowców uniwersyteckich. Z wieloma spośród nich – niestety już dawno nie byłem w Polsce – kiedy przyjeżdżałem, spotykaliśmy się i bardzo szczerze omawialiśmy radzieckie i polskie problemy; jak ludzie, którzy rozumieją się w pół słowa. Bardzo wysoko ceniłem sobie przyjaźń takich ludzi. Jednym z nich był Jerzy Kleer, znany naukowiec, publicysta w jednym z najbardziej popularnych polskich tygodników „Polityka”. Ja w tym czasie zajmowałem się państwami rozwijającymi się, Trzecim Światem i doskonale znałem go z jego publikacji i książek na te tematy. Początkowo omawialiśmy sprawy zawodowe. Potem przeszliśmy do tego, co interesowało nas najbardziej. Zapamiętałem jego prognozy. W czasie jednego z moich pobytów w Warszawie Jerzy powiedział: „Za rok w Polsce będzie legalna opozycja polityczna”. Przyjechałem rok później i powiedziałem: „Jerzy, miał pan rację. A co teraz będzie za rok?” – „Za rok w Polsce nie będzie partii komunistycznej” – odparł. Wydawało się to nieprawdopodobne, ale on jakby miał widzenia... Jerzy mieszka w południowej części Warszawy. Kiedy przyjeżdżałem do polskiej stolicy, zawsze umawialiśmy się gdzieś w centrum, po czym wiozł mnie swoim małym samochodem na to swoje przedmieście i kontynuowaliśmy rozmowę w jego mieszkaniu, w towarzystwie jego przemiłej żony.

Wspominam i innych przyjaciół. Jest niezwykle mądra, przepiękna kobieta, socjolog w Akademii Nauk – Maria Jarosińska. Wzór wysokiego profesjonalizmu i aktywności społecznej... Wymienię też jeszcze jednego człowieka, choć nie wiem, czy jeszcze żyje, gdyż był sporo starszy ode mnie – to Stanisław Widerszpil². Człowiek związany z polskimi siłami zbrojnymi, które wraz z Armią Czerwoną wyzwalały Polskę. Później został naukowcem, profesorem.

Potem moja żona miała trzech doktorantów – Polaków, którzy uczyli się w Leningradzie. Później jeszcze długo utrzymywaliśmy z nimi kontakty.

W 1980 roku na zaproszenie Anny Grzelakowej spędziliśmy z żoną w Polsce maj. Mieszkaliśmy pod Warszawą, dużo jeździliśmy po kraju, byliśmy w Krakowie, Zakopanem, Wrocławiu. Dramatyczne wydarzenia, wejście „Solidarności” na scenę polityczną, jak wszyscy pamiętamy, miało miejsce w sierpniu. Ale już w maju wszystko wrzało i myśmy to widzieli, wiele też nam wytłumaczono. Gdzieś w Krakowie, w kinie na przedmieściach, trafiliśmy na film Wajdy *Człowiek z marmuru*. Jego treść opowiadano nam jeszcze w ZSRR, ale w tamtych czasach u nas oczywiście nie mógł być wyświetlany. Oglądaliśmy, żona próbowała mi symultanicznie tłumaczyć to, co mówili bohaterowie na ekranie, wywołując złość innych widzów, którym oczywiście przeszkadzaliśmy. Film wywarł na mnie kolosalne wrażenie. Później, już w Rosji, oglądałem go jeszcze z pięć razy. Kiedy wróciliśmy do Moskwy, zebraliśmy przyjaciół i jedno przez drugie zaczęliśmy się dzielić wrażeniami. Było oczywiste, że lada moment reżim tam upadnie. A wówczas... Wyobrażnia podsuwała efekt domino.

Nam opowiadano o organizacji polskich inteligentów, którzy nawiązali kontakty z robotnikami – o dysydentach z KSS-KOR. Z wieloma później poznaliśmy się, ale to, co nam opowiadano – przyprawiało o zawrót głowy: doczekać czegoś podobnego w Rosji. Trzeba jednak przyznać, że nasza wiedza o Komitecie była wówczas bardzo powierzchowna. Więcej dowiedzieliśmy się o nim już w Moskwie, kiedy już wszystko wybuchło.

Pamiętam i taki epizod. Był rok 1981. Wraz z jeszcze jednym kolegą zostałem zaproszony do redakcji czasopisma „Problemy Pokoju i Socjalizmu”, które wówczas wydawane było w Pradze. Mieliśmy dyskutować o problemach Ameryki Łacińskiej. Ja w tym czasie zajmowałem się państwami Trzeciego Świata, głównie Ameryką Łacińską. Zazwyczaj organizacja wyjazdów zagranicznych wyglądała tak, że którądy się jechało, to tamtędy i należało wracać. Jednak nam, w związku z tym, że organizatorem wyjazdu był KC partii, pozwolono tam lecieć samolotem, a wracać pociągiem. Oczywiście wybraliśmy pociąg, który jechał przez Polskę. Na stacjach widzieliśmy plakaty i hasła „Solidarności”. Pociąg zatrzy-

² Stanisław (właściwie Solomon) Widerszpil (ur. 1921 r.) – w latach czterdziestych pracował w polskich organach bezpieczeństwa, następnie wykładał w Wyższej Szkole Nauk Społecznych przy KC PZPR (od 1968 roku – dyrektor Instytutu Socjologii WSNS) oraz w Akademii Nauk Społecznych. W latach osiemdziesiątych – wicedyrektor Instytutu Filozofii i Socjologii PAN, po 1990 – wykładowca w warszawskich uczelniach prywatnych.



mał się w Warszawie. Nie na Dworcu Centralnym, a na jakimś nieznanym nam, północnym. Nikt nie był w stanie powiedzieć nam, kiedy pociąg ruszy. Stał zresztą nie przy budynku dworca, a nieco w oddali, na jakimś bocznym peronie. Postanowiliśmy z kolegą pójść, zdobyć takie polskie gazety, jakich w Moskwie nie sprzedawano. Biegiem przemierzaliśmy się po peronach i torach, nie wiedząc, kiedy pociąg ruszy. Byliśmy w dresach – bo było ciepło – i, oczywiście bez dokumentów, które zostawiliśmy w przedziale. Wreszcie, czując, że może być niedobrze, popędziliśmy do pociągu, który ruszył dosłownie minutę lub dwie po tym, jak wskoczyliśmy do wagonu. Później wielokrotnie zastanawiałem się, co by to było, gdyby dwaj radzieccy akademicy bez dokumentów i pieniędzy zostali na dworcu, a nasze rzeczy i ubrania pociąg zabrał do Moskwy. No, ale Bóg uchronił.

– **Nie chciał pan zostać?**

– No nie, zostać, to oczywiście nie...

– **Ale przecież grudnia [1981] jeszcze nie było?**

– No ale jak zostać? Chociaż było bardzo ciekawie. A potem, pod koniec lat osiemdziesiątych, u nas już trwała „pierestrojka”, znowu byłem w Polsce na jakiejś konferencji. Poznano mnie z człowiekiem, którego nazwisko brzmiało jak legenda, z jednym z liderów KOR-u, z Adamem Michnikiem. On całkiem niezłe mówi po rosyjsku. Następnego dnia rano nasza delegacja już wylatywała, więc umówiliśmy się, że spotkamy się wcześniej rano w hotelu. Michnik przyszedł, gdyż łączywie czytał całą związaną z „pierestrojką” prasę i, dysponując doskonałą pamięcią, znał mnie z jednej, wspólnej z Jurijem Lewadą publikacji w czasopiśmie „Moskowskie Nowosti”. W ten sposób poznaliśmy się. Później on wielokrotnie był w Związku Radzieckim, w Rosji. W książce, na której prezentacji pani była, zamieściłem fotografię: Michnik u mnie w domu. To był 1990 rok. Zaprosiłem kilkoro moich przyjaciół i przerywając sobie wzajemnie, opowiadaliśmy o wydarzeniach w ZSRR, o sporach na rosyjskim Zjeździe Deputowanych (ja już wówczas byłem deputowanym), o ruchu górników, o strajkach górników w Kuzbasie. Pamiętam, że w tym momencie Michnik zrobił wielkie oczy i zapytał: „Jak to? Tam strajkują, a wy jesteście tutaj! Co wy tu jeszcze robicie???” (śmiech)

– **Napisał pan o tym w książce?**

– Napisałem. To jest jedna z największych różnic między naszą sytuacją a sytuacją w Polsce. Wkrótce potem wybraliśmy się jednak do Nowokuźniecka, byliśmy na zjeździe górników. Mój przyjaciel Leonid Gordon specjalnie zaczął zajmować się ruchem górników. Nawiązał kontakty z jego liderami. Deputowanych z Kuzbasu na Zjeździe reprezentowała „Demokratyczna Rosja”, Jelcyń wykorzystywał górników do walki ze strukturami związkowymi. Najważniejsze z ich żądań miały charakter polityczny. Niemniej jednak rosyjskiej inteligencji nie udało się powtórzyć polskiego doświadczenia: nie udało się powiązać ruchów robotniczych z walką polityczną. Najprawdopodobniej winne są tutaj obie strony, a skutki były katastrofalne. To był zbyt poważny i bolesny problem, by mówić o nim mimochodem.

– **A jakie wrażenie wywarł Michnik?**

– Bardzo dobre. To bardzo mądry człowiek, o błyskotliwym, oryginalnym umyśle i paradoksalnym sposobie myślenia. Jest też człowiekiem niezwykle wykształconym, bardzo wiele czytał, bardzo wiele pamięta. Wrażenie jak najlepsze. Niestety już dawno go nie widziałem (Uzupełnienie z 2009 roku: W ciągu ostatniego roku Michnik kilkakrotnie przyjeżdżał do Rosji, uczestniczył w konferencjach rosyjskich demokratów – tych, którzy nie przeszli na służbę Kremla). Był m.in. na „Chodorkowskich чтениjach”, wywiózł z Rosji ogromną stertę książek. Podarowałem mu i swoje dwa tomy. Spotkaliśmy się tak, jakbyśmy rozstali się wczoraj, w tym również w domu. Mówiono mi, że ciężko chorował, ale teraz jest w dobrej formie: ożywiony, pełen wigoru i zapału do pracy. Powtarza: „Jestem antyradzieckim rusofilem”. Myślę, że w dzisiejszej Polsce, która przez moment szła za braćmi Kaczyńskimi, jest to niezwykle cenne. Michnik wydaje „Gazetę Wyborczą” – jak mi mówiono: najlepszą gazetę polityczną w Polsce. Trochę posprzecaliśmy się z nim nieco na temat obecnej sytuacji w Rosji, ale inaczej być nie mogło. Daj mu Boże zdrowie!

– **Mówił pan, że z zainteresowaniem oglądał polskie filmy, że czytał jakieś teksty... A co pan z nich czerpał? Czego nie było tutaj, a można było wziąć od nich?**

– Bardzo trudno odpowiedzieć na to pytanie. Tutaj konieczne są poważne historyczne i porównawczo-kulturowe badania.

– **Może zadam to pytanie inaczej: co dawało panu polskie kino, polskie gazety?**



– A czy można powiedzieć, co zachodniemu czytelnikowi dawała znajomość z rosyjską kulturą, z lekcjami z historii Rosji? Dlaczego zachodni czytelnik zachłystuje się na samą myśl o Dostojewskim? Można to powiedzieć? Ja nie wiem. To były... Weźmy ten sam *Popiół i diament*. Gdyby poproszono mnie o sporządzenie listy dziesięciu najlepszych filmów wszech czasów i wszystkich narodów, bez wątpienia na tej liście umieściłbym właśnie *Popiół i diament* Andrzeja Wajdy. Moim zdaniem jest to genialny obraz.

Bardzo podoba mi się Warszawa. Bardzo podoba się Kraków. Bardzo. Zachwyca mnie to, że Polacy po trwającej czas jakiś dyskusji na temat, czy warto odbudowywać zburzoną przez hitlerowców w akcie zemsty za powstanie Warszawę, czy nadawać jej poprzedni kształt, wprowadzili powszechny celowy podatek. Nie był to duży podatek, ale dzięki niemu zebrano ogromną sumę i odbudowano Warszawę taką, jaką ona była przed wojną, przed zniszczeniem³. Właśnie ta ich żywotność, ten stosunek do własnej historii, do swoich obywateli, do swoich ofiar zasługują i na zachwyt, i na uznanie.

– **A czy było coś, co pana zawstydzало, co przeszkadzało w Polsce?**

– Nie. W każdym razie nie pamiętam. Nie pamiętam. Niczego takiego nie pamiętam.

– **Proszę mi powiedzieć, czemu Polakom tak wiele się udawało, udawało i nadal udaje, a nam – nie?**

– Chce pani, żebym przeprowadził porównawcze badanie historyczne?

– **Rozumiem, że takiego pytania historykowi nie należy zadawać, niemniej jednak...**

– Widzi pani, wydaje mi się, że wśród bardzo wielu różnic, o których można mówić bez końca, jest jeden niezwykle istotny aspekt. To, co powiem pani teraz, ma bardzo subiektywny charakter. Jestem człowiekiem niewierzącym, aczkolwiek oczywiście nie jestem również wojującym ateistą. Skłonny jestem powtórzyć za Laplace'em: nie jest mi potrzebna hipoteza o istnieniu Boga, ale z wielkim szacunkiem odnoszę się do ludzi, dla których wiara jest głębokim i szczerym wyborem. (Oczywiście nie do takich, którzy przychodzą do cerkwi tylko po to, żeby telewizja pokazała ich narodowi, jak stoją ze świecą w rękach. Jawlinskij kiedyś powiedział, że nasi przywódcy w świątyni trzymają świece jak szklanki.) Przy całym szacunku do obecnej, poważnej wiary, ja nie jestem historykiem religii i mogę bazować wyłącznie na informacjach historycznych i ogólnokulturowych. Zakładam jednak, że niezwykle istotną rolę w ukształtowaniu polskiego charakteru odegrał fakt, że Polacy zostali włączeni do ogólnoeuropejskiego nurtu poprzez Kościół katolicki. My natomiast wybraliśmy prowincjonalną religię, która w sensie kulturowym odgradziła nas od ogólnoeuropejskiego nurtu, oraz oficjalny Kościół, który głosi poszanowanie Państwa. Jako historyk wiem, jaką rolę w duchowym oporze wobec komunistycznego reżimu odegrał w Polsce Kościół katolicki. Tam oczywiście są swoje problemy, swoja agresja, swoja ekspansja. Powiedzmy sobie, że nie podobają mi się żądania Polski wobec Konstytucji Europejskiej – żeby wpisać do Konstytucji, że opieramy się o wartości chrześcijańskie. Nauki płynące z Kazania na Górze stanowią etyczną podstawę cywilizacji europejskiej, ale Unia Europejska jest świeckim tworem państwowo-politycznym. Myślę, że jest to taki przejaw ekspansji kościelnej, której my też mamy aż nadto ze strony rosyjskiej Cerkwi prawosławnej. Niemniej jednak to, że Polska od dawien dawna była włączona do ogólnoeuropejskiego kulturowego nurtu, a nie skażona mesjanistycznymi ideami „szczególnej drogi” i „wielkiego przeznaczenia”, moim zdaniem odegrało nadzwyczaj istotną rolę. Rację miał Piotr Czaadajew: Rosję jakby Bóg wyznaczył, by pokazała, jak żyć nie należy. Hiperbola? Oczywiście, ale jest w niej głęboki sens.

Odnoszę jeszcze jedną istotną okoliczność. Polski reżim komunistyczny też oczywiście wypaczał duszę narodu, ale nie był jednak tak krwawy jak sąsiednie reżimy. Jeden przykład: nie żywię żadnego szacunku wobec Gomułki, po tym wszystkim, co robił po 1956 roku, po haniebnej antysemitkiej kampanii, którą przeprowadził w 1968 roku. Ale charakterystyczne jest to, że Rajk został stracony, Slansky został stracony, Kostow został stracony, a polscy komuniści Gomułki życia nie pozbawili – znaczy reżim jednak był mniej okrutny.

To, co może być jeszcze ważniejsze: w Polsce kolektywizacja rolnictwa nie była doprowadzona do końca, praktycznie rzecz biorąc, nie została nawet rozpoczęta. Polski chłop zachował stosunkową niezależność gospodarczą. Inna sprawa, że dzisiejszy polski rolnik jest nieefektywny i polskie rolnictwo ma poważne problemy. Jednakże chłop, którzy stanowili istotną część ludności Polski, nie byli tak mocno związani jak radzieccy kołchoźnicy. I to jest niezwykle ważne. Również w miastach zezwalano na drobną prywatną własność – w handlu, w sferze usług. Otwierało to możliwości alternatywnego zarobkowania, niezależnego od państwa.

³ W pierwotnym kształcie odbudowano Stare Miasto w Warszawie.



Inteligencja ze swej strony organizowała pozapaństwowe kursy szkoleniowe, uczyła młodzież, upowszechniała realną wiedzę, a nie quasi-marksistowską gumę do żucia. W jakiś niepojęty sposób zdobywała pozapaństwowe finansowanie. Zupełnie inaczej wygląda sytuacja pracownika państwowego, który otrzymuje wynagrodzenie od państwa i który – w momencie gdy go zwolnią – traci wszelkie środki do życia. I zupełnie czym innym jest, jeśli istnieje jakaś społeczna organizacja, która płaci pieniądze za pracę. Jeśli ta organizacja nie zostanie zdławiona przez państwo, to w niej można w działalności naukowej, dydaktycznej nie podporządkowywać się wymaganiom państwa. Nie należy również zapominać o wpływie i wsparciu ze strony Polonii – diaspory polskiej. To są niektóre tylko, istotne moim zdaniem, elementy. Nie pretenduję tutaj do uniwersalnego wyjaśnienia.

– Jeśli mówić hipotetycznie o charakterze narodowym (jeśli w ogóle można o nim mówić i zakłada pan jego istnienie), to co można powiedzieć o polskim charakterze?

– Nie znam się na tym na tyle dobrze, żeby opisać polski narodowy charakter. Niemniej jednak, powiedzmy to sobie, moi polscy przyjaciele bardzo mi się podobają. Między innymi ze względu na takie cechy, jak: dostojeństwo, duma, niezależność, samodzielność, niechęć do podporządkowania się. Po pewnego stopnia podoba mi się indywidualizm, który – o ile nie jest agresywny, o ile nie jest związany z naruszaniem godności innych ludzi – moim zdaniem jest cenną wartością ludzką. Ale, powtarzam, nie próbuję nawet charakteryzować polskiego charakteru narodowego. Przecież krąg moich kontaktów nie był bardzo szeroki – to byli głównie Polacy mówiący po rosyjsku. W jakimś sensie moje wyobrażenia kształtowała moja żona, która była tłumaczem i pomagała w kontaktach. Bardzo podobali mi się młodzi wówczas ludzie – jej polscy doktoranci. Teraz oni nie są już tacy młodzi... Ale ci młodzi ludzie, których wtedy poznałem, samodzielnie, dojrzałe i zdroworozsądkowo patrzący na świat, istotnie różnili się od większości radzieckich studentów i doktorantów, z którymi wówczas miałem do czynienia. Obecnie również w Rosji pojawiło się wielu takich ludzi, w tym również wśród moich studentów i doktorantów. Niemniej i od nich, jak mi się wydaje, Polacy różnili się temperamentem czy też zaangażowaniem społecznym. To rzucało się w oczy, robiło wrażenie.

– A czym dla pana była „Solidarność”?

– To było zerwanie kolejnego łańcucha, który pętał Europę Wschodnią. W ślad za Budapesztem-56, za „Praską Wiosną”. Przez całe prawie świadome życie czekałem i w miarę możliwości starałem się cokolwiek zrobić, by konstrukcja władzy totalnej padła. To właśnie w Polsce konstrukcja ta ewidentnie zaczęła się rozpadać i w żaden sposób nie dawało się jej przywrócić do takiego stanu, jakiego oczekiwało kierownictwo „bratnich partii”, wszyscy ci nędzni radzieccy gerontokraci i ich pochlebcy w obozie socjalistycznym i poza jego granicami.

„Solidarność” była nadzieją. Opowiadałem już o epizodzie, związanym z przejazdem przez Warszawę w 1981 roku. To było niedługo przed wprowadzeniem stanu wojennego, we wrześniu czy październiku. Kupiłem wówczas kilka numerów „Tygodnika Solidarność”. Nie pamiętam już za jakie pieniądze. Ani polskich pieniędzy, ani dolarów nie miałem. Być może mi podarowano, gdy powiedziałem, że jestem Rosjaninem.

– W kiosku?

– Tam jacyś gazeciarze byli. A może dałem ruble, nie pamiętam.

– W jaki sposób śledziliście te wydarzenia? To wciągało?

– Tak, oczywiście. Oczywiście. Ale również w Moskwie nie brakowało już źródeł informacji. Były zagraniczne gazety, które były dla nas dostępne. Poza tym prenumerowaliśmy jakieś polskie gazety. Moja żona je czytała.

– W 1980 i 1981 roku?

– Tak.

– A jakie to były dostępne zachodnie gazety?

– Jako że byłem pracownikiem naukowym, to mogłem pracować w specjalnym archiwum – były takie działy w naszych bibliotekach – i czytać dowolne gazety. Problemem był czas, a nie poszukiwanie źródeł. Pamiętam, że w okresie „Solidarności” przeczytałem artykuł Seweryna Bialera⁴, który został opublikowany

⁴ Seweryn Bialer (ur. 1926) – od 1945 roku pracownik polityczny Wydziału Propagandy KC PZPR, lektor KC PZPR, profesor Instytutu Nauk Społecznych przy KC PZPR. W 1956 roku zbiegł do Berlina Zachodniego. Napisał książkę *Wybrałem prawdę*. Profesor sowietologii na Uniwersytecie Columbia.



na łamach „Foreign Affairs”. To był wspaniały analityczny artykuł, poświęcony wydarzeniom w Polsce, analiza wszystkich etapów rodzenia się i rozwoju „Solidarności”. Skonspektowałem ten artykuł i opowiedziałem go moim przyjaciółom. Rzecz jasna nie jest to jedyny artykuł, który czytałem, ale zapamiętałem właśnie ten.

Jakieś dziesięć lat później poznałem Bialera. On przecież również przyszedł do Polski wraz z Armią Czerwoną, potem został profesorem, pełnił jakieś funkcje w PZPR. Później, po przeanalizowaniu tego, co się działo w jego kraju, przyjechał do NRD i przeszedł do Berlina Zachodniego, emigrował (to zdarzyło się jeszcze przed zbudowaniem muru berlińskiego). W latach „pierestrojki” przyjeżdżał do Moskwy, był nawet na jednym z moich spotkań z wyborcami w 1990 roku. A w ogóle pracował na Uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku. Oto jeszcze jeden Polak, którego spotkałem na swej drodze.

– **To znaczy, że można było czytać naukowe czasopisma? Były dostępne?**

– Tak. Proszę zrozumieć, że ja pracowałem wówczas (jak i zresztą teraz) w elitarnym akademickim instytucie. Jest to Instytut Gospodarki Światowej i Stosunków Międzynarodowych Akademii Nauk. Do Instytutu przychodziły najważniejsze zagraniczne pisma. Tutaj kierowano je do specjalnego archiwum, ale praktycznie wszyscy pracownicy naukowcy Instytutu mieli do nich dostęp. Problem nie polegał na tym, żeby dostać te pisma, ale żeby znaleźć czas na ich czytanie. Mieliśmy bardzo wiele innych obowiązków – planowa praca naukowa itd. No ale pracowaliśmy i czytaliśmy.

– **Jeśli mówić o wpływie wydarzeń, np. 1980 roku, jak to można ocenić? O wpływie na stan umysłów tutaj...**

– Wie pani, wydaje mi się, że, niestety, wpływ ten w jakimś sensie był wręcz negatywny, jeśli mówić o szerokich masach społeczeństwa. „Myśmy ich karmili, myśmy ich utrzymywali, a oni, niewdzięcznicy, tak nas teraz traktują.” Tak było również w stosunku do Czechów w 1968 roku i w stosunku do Węgrów w 1956. Imperialny syndrom bardzo mocno siedzi w świadomości znacznej części naszego społeczeństwa, nie tylko tej niedokształconej. Jest on bardzo mocno hołubiony przez oficjalną propagandę, która także obecnie zapełnia kanały telewizyjne – jest bardzo mocnym czynnikiem, oddziaływującym na świadomość ludzi.

Proszę popatrzeć na badania opinii publicznej, które prowadzi Centrum Lewady: Polska i Polacy nie cieszą się w szerokich warstwach społeczeństwa tym szacunkiem, na jaki zasługują.

– **Tak jest teraz. A jak było wówczas?**

– I wówczas tak było.

– **Pan to ocenia na podstawie jakichś konkretnych faktów czy też słyszał pan gdzieś o tym?**

– Tak, oczywiście. Słyszałem rozmowy. Poza tym badań opinii publicznej wówczas nie było, w każdym razie jawnych, ale ja sądzę, że nasza prasa w znacznym stopniu rozpaliała te nastroje i nastawiała, szczuła naszych obywateli przeciwko Polakom – oczywiście przeciwko tym, którzy byli w opozycji wobec władzy komunistycznej, to znaczy przeciwko większości narodu.

Tu mamy reminiscencje historyczne. Oto, co mówiłem w swoim wystąpieniu na Kongresie Inteligencji: ta data święta narodowego, którą wymyślili nasi mędrcy – 4 listopada, ponoć dzień wygnania Polaków z Kremla (dzieci w szkołach uczą, że jakoby Smuta na początku XVII wieku nastąpiła z powodu polskiej interwencji) pod każdym względem jest śmieszna i prowokacyjna. Pod każdym. Po pierwsze to było wygnanie nie z Kremla, a z Kitaj-Gorodu⁵. Na Kremlu Polacy jeszcze przez kilka dni siedzieli. Wyszli bodaj 7 listopada. Ale 7 nie można było ogłosić święta, bo od 7 należało właśnie uciec.

Dalej. Głównym przeciwnikiem wojsk Pożarskiego akurat nie był polski garnizon. Sytuacja Polaków, którzy oblężeni głodowali na Kremlu, przedstawiała się strasznie. Oni tam zjedli wszystkie koty, myszy i w ogóle wszystko, co znaleźli. W końcu ich wypuszczono pod jakąś symboliczną eskortą. Po prostu dano im możliwość odejść. Głównym nieprzyjacielem byli Kozacy. Jak można to dzisiaj określić: „nielegalne uzbrojone formacje”, czyli po prostu rozbójnicy, prywatne armie pod dowództwem atamanów. Cała Smuta była kontynuacją i logiczną konsekwencją dyktatury Iwana Groźnego, którego – wraz z jego oprysznikami – towarzysz Stalin określał jako „rosyjskiego postępowego działacza”. Zresztą sam Stalin też wiele zrobił dla rosyjsko-polskiej wrogości.

– **Czyż nie było wrogości wobec bojarów, którzy siedzieli razem z Polakami?**

⁵ Dzielnica położona na wschód od Kremla.



– Toż różni byli bojarowie. Byli i tacy. Ale w ostatecznym rozrachunku bojarzy po tym wszystkim nigdzie się nie podziiali. Tak więc, samo w sobie to święto nosi w założeniu określone antypolskie akcenty. Aczkolwiek ci, którzy zatwierdzili tę datę, mówią: nie, nie to mieliśmy na względzie. Ale jest absolutnie jasne, że jeżeli ma tutaj chodzić o wygnanie z Moskwy polskich interwentów, jak uczą w szkole i jak nadal myśli większość naszych współobywateli, którzy w ogóle rzadko zastanawiają się nad czymkolwiek, to takie święto dobrych odczuć w stosunku do Polaków rodzić nie może. Zapamiętajcie moje słowa: ludzie oczywiście cieszą się z kolejnego dnia wolnego od pracy, ale to święto jako święto się nie utrzyma. Dla mnie i dla moich przyjaciół istnieją dwa główne obywatelskie święta – 9 maja (1945) i 5 marca (1953).

– **A w grudniu, po 13 grudnia 1981 roku, co pan przeżywał?**

– Wie pani, to był cios. To był cios. W grupie moskiewskich pracowników naukowych ukształtowało się coś w rodzaju „niewidzialnego uniwersytetu”. Regularnie spotykaliśmy się i omawialiśmy rozwój sytuacji, w latach 1980-1981 – głównie w Polsce. Wymienialiśmy się informacjami, ocenialiśmy wydarzenia i wypowiedzi figurantów, budowaliśmy prognozy. Takie seminarium, tylko nieoficjalne. Spotkaliśmy się wieczorem 12 grudnia 1981 roku – porozmawialiśmy i rozeszliśmy się. A następnego dnia rano nadeszła ta informacja. Nie spodziewaliśmy się takiego ciosu w tym dniu, chociaż rozpatrywaliśmy różne możliwości.

– **A jakie rozpatrywaliście możliwości?**

– Między innymi radziecką interwencję. Ale wśród nas był wspaniały historyk Michaił Jakowlewicz Gefter, historyk filozofii, który, w odróżnieniu od nas, oceniał wydarzenie nie tak katastroficznie: „Nie śpieszcie się osądzać. Chciałbym wiedzieć, co kryje generał Jaruzelski za tymi ciemnymi okularami? Co on ma w głowie?”. Ogólnie oczywiście osoba generała Jaruzelskiego i to, co zrobił, jakie były jego motywacje – to wszystko dzisiaj, na podstawie tego, co wiemy, wygląda bardzo niejednoznacznie. Wiele osób uważa, że alternatywą była radziecka interwencja – nieszczęście wówczas byłoby znacznie większe. (Niedawno rozmawiałem o tym z Michnikiem. On w to nie wątpi i uważa, że sąd nad Jaruzelskim jest nie na miejscu.)

– **A wówczas?**

– Już powiedziałem: tylko Michaił Jakowlewicz nawoływał do powściągliwości. Dla mnie Jaruzelski był polską reinkarnacją Quislinga, Husaka... Wiele było takich szubrawców... Nie jestem przekonany, czy kremlowscy starcy zdecydowaliby się na interwencję. Żadnych dokumentów nie ma, a lekcję Afganistanu już mieliśmy za sobą, kiedy to zbój sam nadział się na własny nóż. Jeśli nie przez rozum, z którym ci marzmatycy mieli problemy, to przynajmniej instynktownie powinni byli poczuć, że tym razem awantura nie przejdzie tak łatwo jak w Czechosłowacji. Jednakże po nich można było wszystkiego się spodziewać. Pamiętacie rozmyślania Marka Twaina o nieumiejącym jeździć rowerzyście, przed którym, w odróżnieniu od doświadczonego, nie potrafi uciec żaden pies? W jednym tylko zgadzam się z Michnikiem: tego, co oni robią, Jaruzelski w żaden sposób wiedzieć nie mógł i w swoim rozumieniu zapobiegał najgorszemu z możliwych wariantów. Dlatego też sąđenje go teraz nie jest szlachetne, nie mówiąc już o tym, że jest bezsensowne z praktycznego punktu widzenia.

– **Kto jeszcze poza Gefterem był uczestnikiem waszego „niewidzialnego uniwersytetu”?**

– Jurij Aleksandrowicz Lewada, Leonid Abramowicz Gordon i inni, mniej znani ludzie. To byli głównie historycy, socjologowie, ekonomiści. Głównie pracownicy akademickich instytutów bądź wyższych moskiewskich uczelni. Michaił Jakowlewicz w tych spotkaniach nie uczestniczył, ale był bardzo bliskim przyjacielem moim i Lewady i wszystko oczywiście z nim omawialiśmy.

– **Gdzie się spotykaliście?**

– W domu. Przy herbacie. Raz u jednego, raz u drugiego.

– **I zamierzaliście dyskutować wyłącznie o Polsce?**

– Oczywiście, że nie tylko o Polsce, ale również o naszych problemach. Ale w latach 1980-1981 w centrum uwagi była Polska.

W ramach projektu „Polski mit: radzieccy dysydenci o polskich wpływach”

zapisła Tatiana Kosinowa. Spisano 20 stycznia 2006 w Sankt Petersburgu. Autoryzowano 16 listopada 2009.

2010, nr 9

Thum. Stanisław Filipczak



Ksenia Starosielska

MÓJ KONWICKI



Ksenia Starosielska

Tadeusz Konwicki był jednym z moich pierwszych odkryć w literaturze polskiej, do której wtedy dopiero się „przymierzałam” i o której jeszcze nie wiedziałam, że stanie się moim zawodem. Czytałam po polsku – jak wielu w „poodwilżowym” kraju, przede wszystkim czasopisma: „Przekrój”, „Film”, „Kobieta i Życie”, próbowałam też swoich sił, tłumacząc nieduże opowiadania. *Sennik współczesny* Konwickiego po raz pierwszy przeczytałam po rosyjsku. Przełożyła go moja ciocia i nauczycielka, wybitna mistrzyni, Julia Mirskaja, której czytelnik rosyjski zawdzięcza znajomość wielu wybitnych polskich pisarzy. *Sennik* był jej ostatnią pracą, zdążyła przeczytać złożony tekst, lecz już nie doczekała książki, która wyszła w 1966 roku.

Mniej więcej właśnie wtedy obejrzałam filmy reżysera Konwickiego: *Ostatni dzień lata*, *Zaduszki*, *Salto* – niespodziewane, zagadkowe i przejmujące – rzadko

który prozaik, władający sztuką ziszczenia się obrazów w słowie, potrafi przenosić na ekran swoje widzenie rzeczywistości (i nierzeczywistości, ponieważ u Konwickiego te dwa pojęcia są sobie bliskie i przeplatają się jak mało u kogo). Od tego czasu już nie przepuszczałam żadnej z jego książek, jakie ukazywały się w Polsce, początkowo w obiegu legalnym, a później, kiedy jego nazwisko trafiło na „czarną listę”, w wydaniach podziemnych; gdy tylko przyjeżdżałam do Warszawy, biegłam do kina, aby raz jeszcze obejrzeć stare filmy, pewnego razu poprosiłam nawet, by wyświetlono mi *Jak daleko stąd, jak blisko*, dlatego że nie miałam możliwości obejrzeć go wcześniej. Wreszcie, w 1987 roku przeczytałam *Bohin* – po dziś dzień jest to moja ulubiona książka Konwickiego. W tym czasie w Moskwie przygotowywany był do druku zbiór utworów pisarza (który ukazał się prawie dziesięć lat później) i zaproponowano mi tłumaczenie *Kroniki wypadków miłosnych*, lecz ja, oczarowana *Bohin*em, uprosiłam redaktora, żeby ją również włączył do zbioru, a przekład powierzył mnie. Moje doświadczenie w tłumaczeniach nie było już wtedy małe, jednakże do pracy przystąpiłam z lękiem, pełna obaw – a nuż się nie uda? Zaczęłam i popłynęłam z prądem, przynaglana duchowym niepokojem i niewidzialną obecnością autora; tekst mocno mnie trzymał przy sobie, władczo mną rządził, wyrazistość i precyzja polskich słów wymagały adekwatnych rosyjskich, lecz udawało mi się je znaleźć, ponieważ *Pan Tadeusz* ciągle był w pobliżu, stał obok mojego biurka i nie pozwalał zbacać w inną stronę, wymyślać tego, czego u niego nie było. A jeśli coś podobnego się przytrafiło, nie gniewał się, nie. Nawiasem mówiąc, nawet jeśli się gniewał, wprost tego nie pokazywał, uśmiechał się tylko, kręcił głową, ledwo zauważalnie marszczył się bądź rzucał, w sposób, w jaki tylko on potrafi, celną ironiczną uwagę, i wtedy spostrzegałam – och, a dokąd to mnie zaniósł! – po czym wracałam do jego słów, do jego subtelnej prozy, do meritum. (I nagle, na przełomie 1996 i 1997 roku, po wydaniu następnej po *Bohin*iu książki, *Zwierzoczkoupiora*, moje starania zostały wynagrodzone. Otrzymałam od Konwickiego list, w którym wysoko – och, jak bardzo byłam dumna i szczęśliwa – ocenia przekład i dziękuje mi za to, że „z uporem tłumaczę i popularyzuję jakiegos tam Polaczka z Nadwiślańskiego Kraju”...).

Poza *Bohin*em i *Zwierzoczkoupiorem* przełożyłam jeszcze dwie powieści Konwickiego: *Czytadło* i *Kompleks polski*, a także fragmenty *Pamfletu na samego siebie*. Dzięki petersburskiemu wydawnictwu „Azbuka” i jego redaktorowi Aleksandrowi Guzmanowi, *Czytadło* zostało wyłowione spośród sporej



liczby polskich publikacji ukazujących się w czasopiśmie „Inostrannaja Litieratura” i wydane jako osobna książka; w ślad za tym „Azbuka” wydała wznowienia jeszcze dwóch książek Konwickiego: *Zwierzoczkoupiora* i *Kroniki wypadków miłosnych* (w przekładzie Michaiła Ignatowa). Oprócz tego jest jeszcze wspomniany wyżej zbiór z 1995 roku, w skład którego, oprócz *Kroniki* i *Bohinia*, wchodzi jeszcze *Mała apokalipsa* (w przekładzie Andrieja Jermońskiego). Chciałabym, żeby naszego czytelnika to nie nasyciło, żeby zainteresowanie twórczością wybitnego pisarza nie wyczerpało się, tak jak nie wyczerpywało się nigdy zainteresowanie Tadeusza Konwickiego naszym krajem, rosyjską kulturą, i żeby przekłady również innych jego książek pojawiły się w Rosji.

Samego Pana Konwickiego poznałam w Moskwie, gdy w 1989 roku przywiózł na Moskiewski Festiwal Filmowy swój film *Lawa* według *Dziadów* Adama Mickiewicza. Zobaczyłam go po pokazie otoczonego aktorami i członkami zespołu filmowego – wielbicielami mistrza, którzy jeden przez drugiego opowiadali, że z żadnym innym reżyserem tak wspaniale i tak nietrudno im się współpracowało. Co nie dziwi. Innym człowiekiem autor takich książek nie mógłby być. I ja również dołączam swój głos do tego chóru i do głosów wielu wielbicieli Konwickiego – pisarza i reżysera, odważając się wyznać: kocham Pana, Panie Tadeuszu, podarował mi Pan tyle cudownych słów, tyle radości. Wielką radość daje mi to, że można na pewien czas przemienić się w Pana (obawiam się powiedzieć: wejść w Pana duszę), myśleć Pańskimi myślami, czuć Pana zmysłami. I proszę mi wybaczyć, jeśli przekładając Pańskie książki, w czymś się pomyliłam, czegoś nie dopatrzyłam. Życzę Panu długich lat życia, zdrowia, sił, wigoru. Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin!

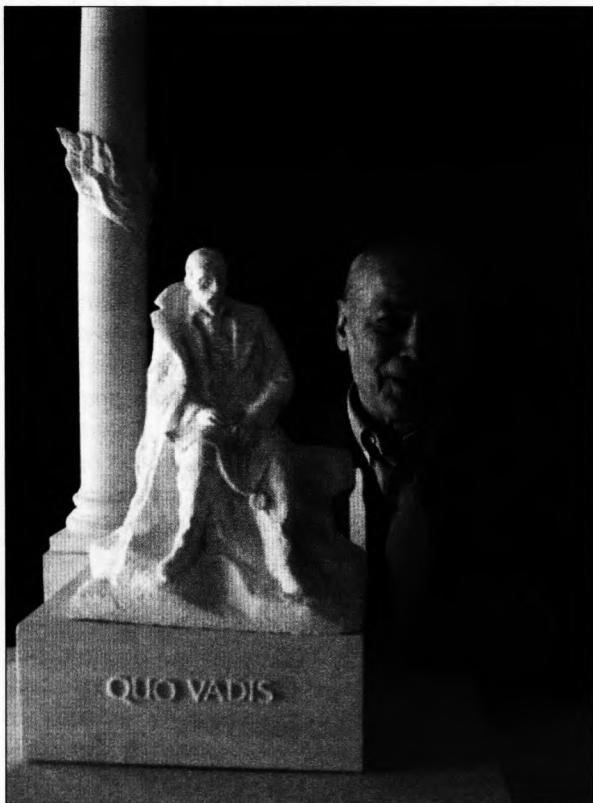
2006, nr 6
Tłum. Eliza Wolska



Piotr Czeromuszkín

GUSTAW ZEMLA: „DUSZA TO NIE PASTA DO ZĘBÓW”

Gustaw Zemla urodził się 1 listopada 1931 roku w Jasienicy Rosielnej. Studiował w Warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych (1952-1958), następnie wykładał tam do 2002 roku. Pomnik Powstańców Śląskich, Bitwy o Monte Cassino, Polegli Niepokonani – to kilka najbardziej znanych jego dzieł, ukazujących doświadczenie wieloletniej pracy rzeźbiarza. W latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych stworzył cykl, składający się z 40 rzeźb o charakterze sakralnym dla kościoła w Mistrzejowicach, a w latach 2002-2003 cykl płaskorzeźb o tematyce związanej ze Starym i Nowym Testamentem.



Za każdym razem, kiedy wracam do Polski, zaskakują mnie coraz to nowe pomniki oraz tablice pamiątkowe, jak gdyby Polacy spieszyli się upamiętnić w granicie, brązie i marmurze bohaterów i ofiary swojej tragicznej historii. Żeby wiecznie trwały te poszczególne osoby, które tworzyły i tworzą naród. Jak gdyby starali się zrobić to, czego nie udało się zrobić przez dziesięciolecia. Ciągłe znajdują bohaterów, których przez przypadek bądź też przez brak właściwej politycznej koniunktury, nie zdążyli postawić na postumencie. Przy czym zapomniano zarówno o działaczach, którzy na trwałe zapisali się w historii, jak i o ludziach, którzy zginęli na zesłaniu i w bitwach, kiedy to cel strategiczny był ważniejszy niż ludzkie życie. Lecz w polskich monumentach najważniejsze jest to, by zawrzeć w nich prawdę o jednostce, jej wolności – to ich strategiczny sens. Człowieka ogarnia jakieś specjalne uczucie, gdy zamiera przed kolejną płaskorzeźbą, portretem z brązu, pamiątkową tablicą. Pamiętam, jak w latach siedemdziesiątych radzieckich turystów dziwiło, że na warszawskich domach widnieją tablice, mówiące o tym, ilu Polaków hitlerowcy rozstrzelali w danym miejscu.

Nawet w czasach radzieckich Polacy kultywowali sztukę tworzenia wysoce artystycznych pomników, wzbudzając żywe zainteresowanie w pracowniach moskiewskich i leningradzkich rzeźbiarzy. Jednakże w ostatnich latach w polskim rzeźbiarstwie wydarzyło się wiele nowego i to nowe w Moskwie na ogół nie jest znane. Oto lista niektórych tylko monumentów, odsłoniętych w Warszawie tylko od 1995 roku: pomnik Poległym i Pomordowanym na Wschodzie (autor Marian Biskupski); pomnik Bitwy pod Monte Cassino (autor Gustaw Zemla); pomnik Polskiego Państwa Podziemnego i Armii Krajowej (autor Jerzy Sztaniskis) – pod tym pomnikiem złożył kwiaty prezydent Władimir Putin w czasie oficjalnej wizyty w Polsce; pomnik Henryka Sienkiewicza (autor Gustaw Zemla), pomnik Króla Jana III Sobieskiego – pierwszego obywatela Wilanowa (autor Edward Jeliński); pomnik Ofiar Stalinizmu (autorzy Dariusz



Kowalski i Sławomir Korzeniowski); pomnik Tarasa Szewczenki (autor Anatolij Kuszcz); pomnik Polaków – ofiar ataku z 11 września w Nowym Jorku (autor Rafał Chromiński); pomnik Ofiar Rzezi Wołyńskiej w 1943 roku (autor Kazimierz Danilewicz); pomnik Lotników Polskich Poległych w II Wojnie Światowej (autorzy Marek Roger Dziewulski i jego ojciec Tadeusz Antoni Dziewulski, były pilot 315 Dywizjonu Dęblińskiego); posąg Chrystusa Miłosiernego – „Jezu, ufam Tobie” (autor Gustaw Zemła, realizacja przy udziale Pawła Pietruszyńskiego).

Nietrudno zauważyć, że na tej długiej dość liście jedno nazwisko pojawia się trzykrotnie. Jest to nazwisko Gustawa Zemły. W wydanej w połowie lat siedemdziesiątych książce *Twórca i jego dzieło*, poświęconej najwybitniejszym twórcom polskiej kultury, rzeźbiarz Gustaw Kazimierz Zemła stoi w jednym szeregu z reżyserem Andrzejem Wajdą i kompozytorem Krzysztofem Pendereckim. Ten współczesny polski twórca był pierwszym mistrzem rzeźby monumentalnej, o którym usłyszałem, gdy zaczynałem studiować sztuki piękne w Moskwie. W pracowni mojego nauczyciela rysunku – rzeźbiarza Władimira Pietrowicza Żuczkowa – wisiała fotografia słynnych Skrzydeł Zemły, odsłoniętych w Katowicach na początku lat siedemdziesiątych Skrzydła przypominające grecką Nike przedstawiały rozwiane sztandary, abstrakcyjnie – a nie socrealistycznie – wyrażając ideę powstania śląskiego. W nich była zawarta niezwykła, oczarowująca i wciągająca energetyka, bardzo precyzyjne przedstawiająca polską niezłomność. Jak później przeczytałem w monografii, poświęconej Zemle, „twórczość rzeźbiarska Zemły charakteryzuje silne wycucie dramatyzmu, metaforyczność oraz symboliczny charakter formy”.

„Ta kompozycja rzeźbiarska jest wieloznaczna. Co symbolizują te potężne, plastyczne i przestrzenne skrzydła? Ręce zaciśnięte w pięści? Łopoczące na wietrze sztandary? A może wszystko razem? Przywołując różne karty ojczyściej historii, Zemła swoją twórczością potwierdził prawo narodu do wolności” (*Skrzydła rzeźbiarza Zemły*, „Echo Planety”, 1990, luty/marzec).

Pod koniec lat osiemdziesiątych, kiedy to rozpocząłem w Polsce studia podyplomowe na Wydziale Dziennikarstwa i Nauk Politycznych (moje życie tak się ułożyło, że nie zająłem się rzeźbiarstwem), bardzo chciałem spotkać się z Zemłą. Okazało się jednak, że nie jest to proste – artysta był szykanowany przez radzieckie i polskie władze komunistyczne. Po wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce zrezygnował z członkostwa w PZPR i natychmiast został pozbawiony zamówienia na pomnik polskiej armii, która formowała się w Riazaniu nad Oką. Wypadł z orbity oficjalnego zainteresowania i znajdował się w stanie niełaski. Po długich namowach i po ingerencji prorektora warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych Ryszarda Winiarskiego Zemła wreszcie zgodził się na spotkanie. „Pierestrojka” była już wtedy w pełnym rozkwicie i artysta powiedział: „No cóż, skoro Wajda spotyka się z waszymi dziennikarzami, to i ja mogę”. Zapis naszej rozmowy, która odbyła się w budynku warszawskiej ASP przy Krakowskim Przedmieściu został opublikowany w czasopiśmie „Echo Planety” dopiero dwa lata później – w 1990 roku. Muszę przyznać, że materiał ujrzał światło dzienne nie bez problemów. Redakcja „marynowała” artykuł o rzeźbiarzu przez kilka miesięcy, i to nie tylko dlatego, że miał nie do końca jasną wymowę polityczną. Byłem wówczas początkującym dziennikarzem i nie posiadając nawyków literackich, nie zawsze potrafiłem do końca precyzyjnie wyrazić swoje myśli. Muszę tu jednak pochwalić moich kolegów redaktorów, dzięki którym materiał wyszedł bardzo zgrabnie i interesująco i w dodatku był bogato ilustrowany. Wydawało mi się dziwnym, że oficjalna niełaska nie pozbawiła go pracy. Otrzymał jednak ogromne zamówienie od Kościoła katolickiego na wystrój kościoła św. Maksymiliana Kolbego w Mistrzejowicach pod Krakowem, który otworzył i poświęcił Jan Paweł II. Nic nie mogło lepiej ukazać roli Kościoła w życiu społecznym Polski jako alternatywy dla państwa, które nie cieszyło się poparciem ludzi.

W czasie następnych moich przyjazdów do Polski zobaczyłem wiele innych prac Zemły. Specjalnie pojechałem do podkrakowskiej parafii, by obejrzeć płaskorzeźby Drogi Krzyżowej. Rzeźbiarz odnalazł się tu jako filozof religii, który przemyślał i odzwierciedlił za pomocą środków plastycznych męczenną śmierć Jezusa. W 1998 roku Zemła zaprojektował statuetkę NIKE dla polskiej nagrody literackiej.

W Muzeum Diecezjalnym w Krakowie zobaczyłem wspinały portret Jana Pawła II. Wśród całego mnóstwa jego portretów, które pojawiły się w Polsce w ostatnim czasie, ten właśnie najlepiej oddawał podobieństwo papieża, a zastosowana technika plastyczna była niezwykła, niebanalna. Autorem portretu jest Zemła. Wiosną 2004 roku w księgarni na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie znalazłem cał-



kiem niedawno wydaną monografię o Zemle. W przepięknym albumie było mnóstwo zdjęć prac, których wcześniej nie widziałem, w tym również pomnika Monte Cassino, postawiony w 1999 roku w Warszawie w parku Krasińskich. Jednakże na długiej liście zagranicznych publikacji o rzeźbiarzu, w tym również rosyjskich, nie znalazłem swojego artykułu sprzed lat. Zrozumiałem, że artykuł ten nie dotarł do Zemły. Wysłałem więc kserokopię artykułu pod warszawski adres artysty. Ku wielkiemu mojemu zdziwieniu wkrótce potem otrzymałem odpowiedź, napisaną ładnym charakterem pisma, czarnym piórem do kaligrafii. Zemła podziękował za artykuł i obiecał włączyć go do albumu, kiedy będzie ponownie wydawany. W zakończeniu listu nieostrożnie wyraził nadzieję, że spotkamy się raz jeszcze. Uczepiłem się tego i kiedy wybierałem się do Polski – zadzwoniłem do artysty z Moskwy. Zemła zgodził się spotkać ze mną.

Kiedy 13 października 2004 roku wszedłem do domu rzeźbiarza na warszawskim Kole, pierwsze, co mi gospodarz powiedział, to to, że przybudówka, w której mieści się jego pracownia, zbudowana jest z desek, pozostałych po pomoście, z którego Jan Paweł II poświęcił kościół w Mistrzejowicach.

Jak każda pracownia rzeźbiarska, studio Zemły przedstawia fantasmagoryczny świat spełnionego artysty, w którym modele przyszłych pomysłów mieszają się z brązem i gipsem tego, co powstawało przez lata. Gospodarz jest gościnny i życzliwy, ale nie natrętny. Wypijamy po kieliszeczku. Nasza rozmowa nabiera raczej charakteru osobistego spotkania niż wywiadu.

– Dwa lata temu porzucił pan pracę na uczelni. Jak płynie obecnie pańskie życie? Ma pan jakieś zamówienia?

– Zamówienia obecnie wyglądają inaczej niż uprzednio. Interesujące jest to, że w ostatnim czasie zrobiłem więcej pomników niż wcześniej. Chociaż nie liczyłem na to. Pracy jest dużo. Z tą pracą to jest tak: człowiek pracuje, pracuje i nie zawsze zdaje sobie sprawę, po co to robi. To już wchodzi w krew, jak picie wódki czy palenie papierosów. Człowiek już nie może bez tego żyć. Ale nadchodzi taki moment, że człowiek już nic nie robi. Nazywam to przeładowaniem akumulatorów. Proszę spojrzeć na jedną z moich rzeźb, nad którą pracuję już bardzo długo i nijak nie mogę skończyć. Dzisiaj był u mnie odlewnik i dyskutowaliśmy, ile będzie kosztowało zrobienie odlewu z brązu. On wymienił dość wysoką kwotę, a ja zacząłem myśleć, kto kupi ode mnie tę pracę i po co ja to w ogóle robię. Z drugiej strony zajmuję się rzeźbiarstwem nie po to, żeby sprzedawać. Większości prac z tej pracowni nie sprzedałbym nikomu. Czuję potrzebę rzeźbienia. Praca jest wewnętrzną potrzebą i – być może – jej wyniki komuś się przydadzą. Rzeźbiarstwo to taki rodzaj twórczości, który pociąga tylko niewielu. Stał się nieco staroświecki. Kultura wizualna, która dominuje w społeczeństwie, przерodziła się w ogólny krzyk, w chaos. Zniknął pewien ład, porządek, harmonia. To jest smutne, ale nic z tym nie da się zrobić.

– Uważa pan, że rzeźba, jako sztuka, umiera?

– Nie umiera dla wąskiego kręgu osób, które rzeczywiście interesują się rzeźbą. Rzeźba zachowuje swoją rolę, jeśli przekształca się w pomnik. Wówczas istnieje w przestrzeni, w architekturze i ludzie są zmuszeni obcować z nią. Wtedy jest niezbędna. Jeśli natomiast temat rzeźby narzucany zostaje odgórnie, to ludzi interesuje to w znacznie mniejszym stopniu.

– W czasie moich ostatnich wyjazdów do Polski zauważyłem, że pojawiło się wiele nowych pomników i tablic pamiątkowych. Generalnie są to dobre rzeźby. Doszedłem nawet do wniosku, że w odróżnieniu od naszej rosyjskiej kultury sztuka rzeźbiarstwa w Polsce ma głębsze korzenie, wywodzące się z kultury katolickiej. W Rosji rzeźbiarze odłączyli się od Cerkwi.

– Tak, ja też zauważyłem, że w cerkwiach prawosławnych jest ikonostas, a rzeźb praktycznie nie ma.

– W niektórych rejonach Rosji, zwłaszcza na północy, rzeźby można oczywiście znaleźć w świątyniach i zbiorach muzealnych. Jest w Rosji takie miasto Perm, a w nim wspaniałe muzeum drewnianych rzeźb cerkiewnych z czasów jeszcze przed Piotrem I. Teraz jednak rozmawiamy o Polsce i wydaje mi się, że w ostatnim czasie pojawiło się tutaj wiele interesujących dzieł. Jak to się ma do pańskich słów, że na ten rodzaj twórczości w społeczeństwie nie ma zapotrzebowania?

– Wie pan, to, co powiedziałem na temat rzeźb i rzeźbiarstwa, nie dotyczy wyłącznie tej dziedziny sztuki. To również dotyczy i malarstwa, i grafiki, która znajduje dzisiaj zastosowanie jako grafika użytkowa. Środki masowego przekazu, wideo, kino, komputer, telewizja – pełnią funkcję pokarmu dla oczu.



Ale to jest pokarm tak samo bezwartościowy jak fast foods w McDonald's. Rzekłbym nawet, że toksyczny. Oczywiście: rzeźba jest produktem aktywności twórczej i jeśli dąży do tego, żeby kształtować zapotrzebowanie na siebie, to musi służyć człowiekowi, musi być zrozumiałą i akceptowalną. Zawsze starałem się, żeby moje rzeźby mogły się podobać. Proszę nie zrozumieć mnie źle, że to ja chciałem się podobać. Nie. Ale zawsze starałem się nawiązać kontakt z patrzącym. Wiedziałem jednak, że będę w stanie nawiązać kontakt, jeśli będę robił rzeczy piękne i zrozumiałe, dlatego że rzeczy niepojęte tworzą dystans między sobą a widzem. Wszystkie melodie Mozarta, Chopina, Czajkowskiego aprobujemy od razu, ponieważ podobają się nam. Rozumiem, że ambicja nakazuje niektórym twórcom robić rzeczy, które wcześniej nie istniały, coś oryginalnego, jakieś odkrycia. Jest to, rzecz jasna, zadaniem każdego twórcy, jeśli tylko chce być twórcą. Nie sądzę jednak, że odkrycia są na miarę możliwości każdego człowieka. Cieszę się, że mogę choć trochę nowego stworzyć. Niektórzy uważają, że trzeba wszystko wyrzucić i wszystko zrobić całkowicie po nowemu. Do takiej ewolucji ja się nie nadaję.

– W każdym razie udało się panu połączyć w twórczości sztukę jak najbardziej realistyczną (jak np. portrety – z nich wynika, jak doskonale zna pan zasady proporcji i anatomii) z wieloma elementami abstrakcyjnymi, metaforycznymi; co zaskakuje. Jak pan tłumaczy takie połączenie?

– Portrety stanowią w pewnym sensie prywatną część mojej pracy. To, co pan powiedział o realistycznej części mojej twórczości, nie jest najtrudniejsze. Najważniejsze, żeby portret miał swoją duszę. Jak to osiągnąć – oto cała tajemnica. Tego nie można się nauczyć. To albo jest, albo tego nie ma. Tego nie da się wycisnąć z tubki, jak pasty do zębów. Kocham portrety. Nie robię ich na zamówienie. Czasami po prostu wymyślam. Dla niektórych głównie mogę wymyślić nazwy.

– Bardzo rzadko zwraca się pan ku portretom działaczy politycznych...

– No nie. Proszę wybaczyć. Robiłem Lenina.

– Kiedy?

– Sam pan rozumie, że nie teraz. Była wystawa w Moskwie w 1974 roku – czterdzieści lat temu. Przywiozłem portret Lenina, którego nie chciano umieścić w ekspozycji. Był jeszcze generał Świerczewski, stał na Woli. Ale już go zlikwidowali, a postument wykorzystali pod popiersie Piłsudskiego. Szczerze mówiąc, szkoda mi tamtego pomnika, lubiłem go.

Z wywiadu Gustawa Zemły, opublikowanego w tygodniku „Echo Planety” w 1990 roku: „W świadomości ludzi pomnik jest przede wszystkim znakiem, odzwierciedleniem dążenia, celu, idei. Czy to będzie sierp i młot, krzyż czy nawet swastyka – musi odpowiadać wyobrażeniu idei. Wielka idea zakłada odpowiednie ucieleśnienie. Jeśli robię pomnik Mickiewicza czy Słowackiego, to muszę znaleźć taką formę, która nie ustępuje sile ich wierszy – w przeciwnym razie będę uwłaczał znaczeniu tych poetów... Rzeźba to zatrzymany w biegu czas. Jest nawet takie powiedzenie: «Gdy gaśnie pamięć ludzka, zaczynają mówić kamienie». Już starożytni Egipcjanie mówili: «Rzeźbiarz to ktoś, kto wydłuża życie». Wieczność wymaga szacunku. I u nas, i u was powstało bardzo wiele pomników skleconych «na chwilę» – ilustracji, a nie symboli. Niezliczona liczba żołnierzy z karabinami w rękach...”.

– Całkiem niepodobny do przytoczonego przykładu jest pomnik Bohaterom Monte Cassino z 1999 roku. Jego skrzydła przywołują w pamięci „skrzydlatą duszę”. To nowy wariant tych Skrzydeł, z którymi Zemła w latach siedemdziesiątych wdarł się do świata rzeźby, i pierwszy monument, który rzeźbiarz wykonał nie z brązu, a z białego karraryjskiego marmuru.

– Bałem się tego materiału i dlatego początkowo chciałem odlać Nike z brązu. Po długich namowach wreszcie się zgodziłem. Dzięki temu utrzymuje się w stylistyce zbliżonej do śródziemnomorskiej tradycji, którą tak lubię. Ponadto wykonanie okazało się i prostsze, i tańsze.

(Do sposobu pracy z marmurem, do obróbki faktury kamienia Zemła podszedł w sposób zgoła nietypowy: gładkie powierzchnie kamiennych bloków kazał przeszlifować tak, by były chropowate. Jego zdaniem miało to uwydatnić twardą naturę struktury kamienia – bez polerowania i zlizywania. Wcześniej nikt tak w marmurze nie rzeźbił. Podstawową część pomnika tworzy rzeźba skrzydlatej Nike wynurzającej



się z rozbitej i udrapowanej całunem kolumny. Potężne skrzydła układają się w kształt litery V – symbolu zwycięstwa. Kolumna umieszczona jest na postumencie symbolizującym szczyt góry. Schody, poprzecznane bruzdami, jakby zmarszczkami, prowadzą do tablicy z napisem: „Monte Cassino – maj 1944 roku”. Z lewej strony postument dramatycznie wznosi się ku górze. Kamienny całun przykrywa prochy tych, którym nie było dane dotrzeć na szczyt. Gdzieś tam leżą rozrzucone żołnierskie hełmy. Na tylnej części postumentu widnieją emblematy pięciu polskich jednostek, które zdobywały Monte Cassino. Połączenia między płytami wypełnione są specjalną mocującą masą z cynowymi podkładkami, co zapewnia stabilność konstrukcji. Kamień pokryty jest specjalną substancją przeciw graffiti.)

– Najpierw robię setki rysunków: tak jak kot oswaja się ze swoim legowiskiem, tak ja oswajam się z tematem, przestrzenią i ideą, wykonuję szkice. W końcu wybieram ten, w którym coś pulsuje, który jest taki... gorący, z którego coś emanuje. Szukam syntezy, łatwo rozpoznawalnego znaku. W danym przypadku mamy raną kolumnę uskrzydloną bohaterstwem. Całun okrywa tych, którzy nie doszli do szczytu...

Bitwa pod Monte Cassino, która otworzyła brytyjskim i amerykańskim sojusznikom drogę na Rzym, jest mało znanym w Rosji, ale głęboko czczonym w Polsce epizodem II wojny światowej.

Pomnik powstał dzięki datkom rozrzuconych po całym świecie byłych żołnierzy i oficerów II Korpusu. Jak powiedział jeden z weteranów: łatwiej było zdobyć Monte Cassino niż od urzędników uzyskać wszystkie zgody i zezwolenia...

Dzieło Zemły wywołało duże zainteresowanie wśród mieszkańców Warszawy. Już w czasie budowy prasa pozytywnie pisała o pomniku; nazwano go nawet „Aniołem z Bemowa” – z powodu lokalizacji pracowni. 30 maja 1999 roku, w 50. rocznicę bitwy, pani Irena Anders, wdowa po generale, odsłoniła pomnik. Oto co na ten temat napisała historyk sztuki, znawca rzeźby, Irena Grzesiuk-Olszewska: „Do chwili obecnej za najlepszy powojenny pomnik uważałam katowickie dzieło Gustawa Zemły Trzy skrzydła upamiętniające trzy powstania śląskie. Ale dzisiaj warszawski pomnik Bitwa o Monte Cassino tego samego autora poważnie konkuruje z tym monumentem. Jest to wspaniałe zwieńczenie twórczości profesora Zemły. Wspaniała idea skrzydlatej kolumny i marmuru z wbitymi weń hełmami. I ta nerwowość, powodowana przez ostre części marmurowych bloków. Myślę, że podobny monument, tyle że większy, powinien stać na Monte Cassino”...

Czyż można oczekiwać większego uznania od rodaków? Ale Zemła wciąż tworzy i na moje pytanie, czy zgodziłby się przyjąć nowe zamówienie z Moskwy, odpowiada: „Do wiosny jestem zajęty”.

2006, nr 5

Thum. Stanisław Filipczak



Tatiana Kosinowa

POLSKA W BADANIACH MŁODYCH ANALITYKÓW SPOŁECZNYCH Z PETERSBURGA

W okresie od października do grudnia 2009 roku z inicjatywy nowo powstałego portalu „Cogita.ru. Społeczne Nowiny Północnego Zachodu” (medialny projekt Naukowo-Informacyjnego Centrum „Memorial”) oraz Centrum Badania Niemiec i Europy przy Uniwersytecie Petersburskim przeprowadzony został pierwszy otwarty konkurs na artykuły i eseje pt. *Społeczeństwo obywatelskie a sposoby rozwiązania problemów socjalnych w Rosji i w Europie*.

Do konkursu zgłaszane mogły być prace młodych rosyjskich analityków społecznych – politologów, socjologów, psychologów społecznych i antropologów, a także historyków i ekonomistów, powstałe w oparciu o analizę europejskich doświadczeń związanych z uczestnictwem trzeciego sektora w rozwiązywaniu problemów socjalnych, inicjatyw obywatelskich, współdziałania społeczeństwa obywatelskiego oraz państwa w krajach UE. Preferowana była metoda porównawcza: doświadczenia europejskie w porównaniu z rosyjskimi odpowiednikami bądź też inicjatywami podobnymi w formie i treści. Konkurs miał na celu popularyzowanie wiedzy socjologicznej oraz ważnego społecznie potencjału pracy naukowej. Za najlepsze uznane zostały teksty, powstałe w wyniku praktycznych rozwiązań problemów społecznych oraz napisane ogólnie zrozumiałym językiem.

Zgłoszonych zostało ponad sto prac z Petersburga, Saratowa, Samary, Permu i innych miast. Zwycięzcy konkursu – autorzy sześciu najlepszych prac – uhonorowani zostali dyplomami oraz nagrodami pieniężnymi, a ich teksty opublikowano w portalu Cogita.ru (<http://www.cogita.ru/analitka/konkurs-grazhdanskoe-obschestvo-i-reshenie-socialnyh-problem-v-evrope>).

Okazało się również, że współczesna Polska, doświadczenia polskich organizacji społecznych i non-profit, polskie formy samorządów obywatelskich i inicjatyw społecznych stały się przedmiotem analizy, porównań oraz wzorcami służącymi za przykład w połowie prac laureatów – w trzech z sześciu najlepszych.

Z reguły swój wybór autorzy badań tłumaczą bliskością doświadczeń. Polska jest nie tylko wschodnioeuropejskim krajem Unii Europejskiej, lecz również krajem postkomunistycznym, co „częściowo przybliża ją do realiów rosyjskich i rosyjskiej historii”. Dlatego też doświadczenia Polski „mogą być bardzo cenne dla Rosji” – uważa Marina Alariczajewa, studentka V roku socjologii Uniwersytetu Petersburskiego, autorka eseju *Inicjatywy społeczne: doświadczenia Polski*.

Zbliża nas również „specyficzny tryb życia, typowy dla państwa postsowieckiego, skomplikowany szczególnie wśród ludzi społecznie wykluczonych, pozbawionych wiary we własne siły i aktywnej postawy”. Poza tym, co podkreśla Marina Alariczajewa, „wzrost liczby grup potrzebujących – konsumentów zasiłków socjalnych” odnotowuje się dziś „we wszystkich krajach Unii Europejskiej, niezależnie od modelu polityki socjalnej”.

W Rosji instytucje inicjatyw społecznych „dopiero zaczyna się rozwijać”, dlatego też dla autora ważne są „zarówno przykłady sukcesów, jak również niepowodzeń i braków w doświadczeniach zagranicznych, dzięki czemu można będzie wybrać najwłaściwszy kierunek rozwoju, a także ocenić potencjalne ryzyko oraz problemy”. W pracy Mariny Alariczajewej opisywana jest sytuacja w Polsce (przesłanki, zmiany prawne, aktywność państwa, podstawowe tendencje rozwoju, konkretne przykłady inicjatyw społecznych), prezentowane są również wnioski dotyczące możliwości wykorzystania polskich doświadczeń w Rosji oraz istniejące i możliwe problemy wynikające z ich rozpowszechnienia.

Od 2003 roku inicjatywy społeczne są wzmacniane i wspierane przez odpowiednie ustawy. Od końca lat osiemdziesiątych w Polsce rozwijają się spółdzielnie socjalne, korzystające z doświadczeń Włoch, instytucje rehabilitacji zawodowej, centra i kluby integracji społecznej. Jak uważa autorka eseju, doświadczenia oparte na ich rozwoju mogą być pomocne i można je będzie wykorzystać w Rosji.



„Zarówno w Polsce, jak i w Rosji najpilniejszym zadaniem jest rozwój kapitału ludzkiego – czyli propagowanie idei odpowiedzialności człowieka, gotowego do podjęcia ryzyka i pragnącego zmienić świat wokół siebie. Jest to bardzo trudne zadanie, ponieważ postawa pasywna jest w naszym społeczeństwie postawą naturalną i, co ważne, bezpieczną. Przejawiając inicjatywę, trzeba często zmagać się z przeciwnościami, bronić się i spierać. Nie zawsze jest to droga, którą chciałoby się iść. Tym bardziej jest to trudne w krajach postkomunistycznych, których doświadczenia pozostawiły w mentalności ludzi poczucie dominacji państwa nad społeczeństwem, pewną «wszechmoc» państwa, które może zmieniać postępowanie i społeczną rzeczywistość. Wskazuje to także na niedojrzałość społeczeństwa obywatelskiego, na brak inwestycji w kapitał ludzki” – pisze Marina Alariczajewa.

W pracy absolwentki Europejskiego Uniwersytetu w Petersburgu, socjologa Anastazji Miłej, pt. *Sieroctwo społeczne, wieś i organizacje non-profit w Rosji i w Polsce* – punkty stykowe, wartościowe nauki, polskie doświadczenia w rozwiązywaniu problemów dzieci bezdomnych i pozostawionych bez nadzoru przedstawiane są jako sukces. Autorka przeprowadza „analizę porównawczą doświadczeń w pracy rosyjskich i polskich organizacji non-profit dotyczących ochrony dzieci na terenach wiejskich”. Anastazja Miłaja uważa, że „najbardziej udane polskie doświadczenie [...] może zostać uwzględnione podczas reformowania rosyjskiego systemu profilaktyki bezdomności, braku nadzoru i sieroctwa społecznego”.

Swoje badanie przeprowadzała ona podczas stażu dla młodych analityków polityki publicznej (Fellowship Program for Young Russian Policy and Opinion Makers) w Warszawie, organizowanym przez Instytut Spraw Publicznych oraz Petersburskie Centrum Nauk Humanistycznych i Studiów Politycznych „Strategia”.

Wybór Polski Anastazja Miłaja objaśnia następująco: „Rosja i Polska mają wspólny kontekst historyczny, który formalnie został przerwany wraz z rozpadem ZSRR. Jednak pozostałości po starym systemie widoczne są do dziś. Szczególnie ostro przejawia się to w sferze ochrony dzieci. System profilaktyki bezdomności, sieroctwa społecznego oraz formy pracy z rodziną, powstały jeszcze w czasach ZSRR i bardzo powoli ulegają transformacji”.

Sytuacje pozostawionych bez nadzoru dzieci w Rosji i w Polsce nie sposób porównać. Podczas gdy w Rosji, „wg danych Federalnego Programu «Dzieci Rosji», w latach 2007-2010 bez opieki rodziców pozostawało 731 tysięcy dzieci, a 676 tysięcy dzieci znajdowało się w społecznie niebezpiecznej sytuacji”, to w Polsce bezowocne poszukiwania takich statystyk tłumaczone są brakiem problemu bezdomności dziecięcej.

Rosja pozostaje w tyle za Polską w kwestii „deinstytucjonalizacji systemu opieki nad dziećmi”. W Polsce już na początku lat dziewięćdziesiątych zaczęto celowo zmniejszać liczbę dziecięcych placówek opiekuńczo-wychowawczych, prowadzić profilaktykę dziecięcego ubóstwa, reintegracji dzieci z biologicznymi rodzinami, włączania ich do rodzinnych form wychowania. Do tego „rosyjska polityka socjalna została przeorientowana na deinstytucjonalizację dziesięć lat później, w 2000 roku” – pisze Anastazja Miłaja.

Za przykład polskiego doświadczenia w pracy organizacji non-profit na obszarze wiejskim, jaki może zostać wykorzystany w Rosji, autorka stawia projekt Ośrodki Przedszkolne – szansa na dobry start, stworzony przez Fundację Rozwoju Dzieci, który skierowany był do 3-, 4- i 5-latków, mieszkających na wsi, oraz ich rodziców. Fundacja „wraz z gminami wiejskimi organizowała alternatywne przedszkola w bibliotekach, szkołach itp. miejscach, w których 10-15 dzieci spędzało po 3-4 godziny dziennie przez 3-4 dni w tygodniu. Podstawowy nacisk kładziony był na: 1) pedagogiczny rozwój dzieci oraz 2) aktywne współdziałanie z rodzicami. Dla dzieci i ich rodziców organizowane były programy pomocy i wsparcia (przede wszystkim psychologicznego)”.

Anastazja Miłaja uważa doświadczenia tego typu przedszkoli za reformatorskie. „Wspólna praca NGO oraz gmin wiejskich doprowadziła i nadal prowadzi do transformacji tradycyjnych metod pracy. Gminy wiejskie stają się nie tyle bazą dla realizacji projektów, ile partnerami w rozwiązywaniu problemów. Dlatego też kładziony jest szczególny nacisk na podniesienie kwalifikacji pracowników systemu profilaktyki bezdomności, braku nadzoru oraz sieroctwa społecznego (między innymi organizowane są wielogodzinne szkolenia). W rezultacie wspólne starania prowadzą do tego, że zakończone sukcesem doświadczenia, wynikające z tego typu inicjatyw, służą nie tylko gminom wiejskim, lecz także mają wpływ na ustawodawstwo. Pociąga to za sobą dodatkowe finansowanie i zapobiega likwidacji społecznie ważnych projektów.”

W kwietniu 2010 roku ogłoszony został drugi otwarty konkurs *Działalność NGO (organizacji niekomercyjnych) w Europie i Rosji*.

2010, nr 6.
Thum. Eliza Wolska



Jan Malicki

STYPENDIA DLA KANDYDATÓW ZE WSCHODU

w Studium Europy Wschodniej Uniwersytetu Warszawskiego

Studium Europy Wschodniej UW, poza kształceniem studentów polskich, proponuje również cały szereg przedsięwzięć, w których – dzięki stypendiom – mogą brać udział także uczestnicy z zagranicy. Część z nich to własne programy i szkoły (Stypendia Wschodnie, Wschodnia Szkoła Letnia, Kurs Studiów Politycznych, Warsaw East European Conference), część organizujemy wspólnie z innymi instytucjami (jak Wschodnia Szkoła Zimowa czy Stypendia im. Kirklanda), a w niektórych przypadkach Studium jest organizatorem i zarządcą (Stypendia im. Konstantego Kalinowskiego) bądź realizatorem akademickim (Stypendia Rządu RP).

Program Stypendialny Studiów Wschodnich (25 stypendiów rocznie)

W roku akademickim 2001/2002 w ramach Programu Stypendialnego Studiów Wschodnich, przeznaczonego dla kandydatów z Europy Środkowej i Wschodniej oraz krajów świata postsowieckiego, mającego na celu kształcenie na Studiach Wschodnich młodej kadry specjalistów z innych krajów, ogłoszono po raz pierwszy konkurs na 25 „Stypendiów Wschodnich”. Program jest kontynuowany aż do tej pory.

Do dotychczasowych sześciu konkursów zgłosiło się łącznie ponad 500 kandydatów z 18 krajów. Zwycięzcy konkursu otrzymują szanse ukończenia „Studiów Wschodnich UW”.

Specjalistyczne „Studia Wschodnie” (specjalizacje: „Europa Wschodnia” – od 1998 roku, „Rosja – Azja Środkowa – Kaukaz” – od 2000 roku oraz „Europa Środkowa – Bałkany” – od 2001 roku) to dzienne, dwuletnie, magisterskie studia uzupełniające (dla absolwentów studiów licencjackich i studentów po III roku studiów), kształcące specjalistów zamierzających zajmować się problematyką regionu w instytucjach publicznych, państwowych i prywatnych. Od cudzoziemców ubiegających się o stypendium na studia oczekujemy ukończenia wyższych studiów humanistycznych w swoim kraju.

W ramach programu Studiów Wschodnich, poza stałym zespołem kadrowym Studium, wykładali najwybitniejsi specjaliści zajmujący się problematyką wschodnią w polskich instytucjach naukowych, rządowych i gospodarczych. Szereg wybitnych, zagranicznych specjalistów współpracujących ze Studium Europy Wschodniej przyjeżdżało z wykładami gościnnymi. Byli to dotychczas m.in. profesorowie: Norman Davies z Oxfordu, Daniel Beauvois z Sorbony, John Micgiel z Columbii, Bohdan Osadczyk z Berlina, Michael Rywkin z City University of New York, Tomas Venclova z Yale, Zbigniew Kruszewski z El Paso, Piotr Wandycz z Yale, Andrzej Kamiński z Georgetown, Andrzej Korboński z UCLA czy Dieter Bingen z Dortmundu.

Do uroczystego otwarcia „Studiów Wschodnich”, dokonanego przez premiera RP Jerzego Buzka, doszło 26 października 1998 roku. Studia są interdyscyplinarne, łączą elementy wiedzy o historii, polityce, geografii i demografii, kulturze, gospodarce, problematyce socjologicznej, narodowościowej i religijnej oraz etnologicznej regionu. Obejmują 1110 godzin zajęć oraz dodatkowo uczestnictwo w zajęciach Wschodniej Szkoły Letniej.

Pierwsi absolwenci „Studiów Wschodnich” ukończyli studia jesienią 2000 roku. Od tej pory kolejni absolwenci podejmują pracę w wielu ważnych placówkach, zajmujących się „sprawami wschodnimi” (OSW, PAP, fundacje).

Wschodnia Szkoła Letnia (30 stypendiów rocznie)

Studium Europy Wschodniej organizuje od 1992 roku miesięczne międzynarodowe staże naukowe, noszące nazwę „Wschodniej Szkoły Letniej”. Są to sesje naukowe odbywające się corocznie w lipcu, przeznaczone dla młodych badaczy, szczególnie z Europy Wschodniej i Środkowej, zajmujących się historią i współczesnością tego regionu.



Na program szkoły składają się: wykłady, dyskusje panelowe, wizyty w instytucjach naukowych, archiwach i bibliotekach miast, w których odbywają się zajęcia, objazdy naukowe i imprezy kulturalne. Studenci zapoznają się również z Warszawą jako miastem kontaktów między Wschodem i Zachodem, stąd co roku przyjmowani są przez prezydenta m.st. Warszawy. Uczestnicy objęci są indywidualną opieką tutorską zespołu Studium. Wykładowcami są najwybitniejsi specjaliści z całego świata. Dotąd gościliśmy 90 wykładowców. Teksty wykładów publikowane są w „Obozie” i „Przeglądzie Wschodnim”. Językami wykładowymi Szkoły są polski i angielski oraz języki krajów, w których odbywały się zagraniczne sesje wyjazdowe.

Kwalifikacja do Szkoły ma formę konkursu aplikacji ocenianych przez komisję powoływaną w Uniwersytecie Warszawskim (w miarę możliwości w czasie wyjazdów komisji do poszczególnych krajów przeprowadza się rozmowy z kandydatami, pomocą służą też polskie placówki dyplomatyczne i kulturalne za granicą). Spośród zgłoszeń wybierana jest corocznie grupa około 30 słuchaczy Szkoły.

Do tej pory absolwentami Szkoły zostało już 350 osób łącznie z 24 krajów – z 17 krajów Europy Środkowo-Wschodniej, Azji Środkowej i Kaukazu oraz 7 zachodnich (Estonia, Łotwa, Litwa, Białoruś, Rosja, Ukraina, Mołdawia, Gruzja, Azerbejdżan, Mongolia, Czechy, Słowacja, Węgry, Rumunia, Bułgaria, Jugosławia, Chorwacja oraz Turcja, Szwecja, Holandia, Niemcy, Szwajcaria, USA i Japonia). Niektórzy absolwenci przeszli do służby państwowej i dyplomatycznej, inni współtworzą nowe elity w swoich państwach, wpływają na nowy kształt stosunków między narodami Europy Środkowo-Wschodniej, pozostają we wzajemnych stosunkach.

Absolwentów i wykładowców gromadzi powołany w 2000 roku podczas Pierwszego Zjazdu Absolwentów i Wykładowców Szkoły w Warszawie – międzynarodowy „Klub Wschodniej Szkoły Letniej”. We wrześniu 2002 roku odbył się Drugi Zjazd Absolwentów Wschodniej Szkoły Letniej w Brnie, które przez dwa lata, do następnego Zjazdu, będzie siedzibą „Klubu Wschodniej Szkoły Letniej”. Trzeci Zjazd miał miejsce w lipcu 2004 w Warszawie, czwarty zaś odbył się w 2005 roku w Kownie i został zorganizowany przez litewskich absolwentów Szkoły.

Kurs Studiów Politycznych Europy Wschodniej (20 stypendiów rocznie)

Stypendia są przeznaczone na odbycie jednorocznego, politologicznego kursu uzupełniającego przy Studiach Wschodnich Uniwersytetu Warszawskiego. Kurs Politologiczny skierowany jest do kandydatów z krajów byłego ZSRR mogących już wykazać się swoją aktywnością społeczno-polityczną. Kurs obejmuje wykłady m.in. z historii idei i doktryn politycznych, geopolityki, teorii politologicznych, spraw narodowościowych, socjotechniki, zarządzania w organizacji politycznej, a poza wykładami także staże w najważniejszych polskich instytucjach państwowych.

Warsaw East European Conference

WEEC to anglojęzyczna, międzynarodowa konferencja poświęcona „sprawom wschodnim”.

Kilkudniowe konferencje odbywają się co roku w lipcu na terenie Uniwersytetu Warszawskiego. Tegoroczna konferencja poświęcona jest tematyce „Democracy vs. Authoritarianism”.

Także i w tym wypadku Studium udziela stypendiów uczestnikom ze Wschodu, na pokrycie części kosztów pobytu.

Wschodnia Szkoła Zimowa (30 stypendiów rocznie)

Corocznie w marcu odbywa się we Wrocławiu „Wschodnia Szkoła Zimowa”, organizowana przy współpracy z tamtejszym Kolegium Europy Wschodniej. Szkoła organizowana jest dla studentów ostatniego roku studiów humanistycznych z krajów byłego ZSRR i byłego obozu komunistycznego. W zajęciach uczestniczy corocznie 40 osób (w tym ok. 30 z zagranicy i 10 z Polski), przygotowujących prace magisterskie z zakresu szeroko rozumianej problematyki historii i współczesności Europy Środkowej i Wschodniej.



Program Stypendialny im. Lane'a Kirklanda (45 stypendiów rocznie)

Od roku akademickiego 2000/2001 Studium Europy Wschodniej Uniwersytetu Warszawskiego jest warszawskim koordynatorem „Programu Stypendialnego im. Lane'a Kirklanda”, organizowanego przez Polsko-Amerykańską Fundację Wolności.

W pierwszym roku, pilotażowym, Stypendia przeznaczone były dla kandydatów z Ukrainy. Studium – jako Realizator Programu – gościło w ten sposób 12 stypendystów, którzy przez rok akademicki 2000/2001 uzupełniali swoją wiedzę w różnych instytucjach i uczelniach Warszawy i zakończyli swój pobyt przedstawieniem prac dyplomowych.

Od 2001 roku program był rozszerzany na inne kraje regionu. Jest wzorowany na doświadczeniach amerykańskiego Programu Fulbrighta i rzeczywiście ma szansę odegrać podobną rolę dla kandydatów z krajów naszego regionu, którzy dzięki niemu mają szansę otrzymania w Polsce stypendium wyjątkowej wagi i wyjątkowego znaczenia.

Instytucją odpowiedzialną za realizację Programu w całej Polsce jest obecnie Komisja Fulbrighta w Polsce. Studium pozostaje koordynatorem Programu w Warszawie. Program przyjął do tej pory na roczne stypendia już ponad 200 osób.

Program Stypendialny im. Konstantego Kalinowskiego (300 stypendiów w roku 2006)

W lipcu 2006 roku ruszyła pierwsza edycja specjalnego programu stypendialnego Rządu Rzeczypospolitej Polskiej dla 300 studentów z Białorusi. Celem programu jest umożliwienie studentom z Białorusi, relegowanym z uczelni z przyczyn politycznych, ukończenia studiów w Polsce lub studiowania tu do czasu, kiedy będą mogli wrócić na swoje uczelnie. Podstawą utworzenia Programu był „List intencyjny” podpisany 30 marca 2006 roku w Auli im. Adama Mickiewicza na Uniwersytecie Warszawskim przez prezesa Rady Ministrów – p. Kazimierza Marcinkiewicza, przez p. Aleksandra Milinkiewicza, przedstawiciela Bloku Zjednoczonych Sił Demokratycznych na Białorusi oraz rektorów – przedstawicieli Konferencji Rektorów Uniwersytetów Polskich (KRUP) i Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich (KRASP).

Koordynatorem „Programu Stypendialnego im. Konstantego Kalinowskiego” jest Studium Europy Wschodniej UW. Stypendyści przed rozpoczęciem roku akademickiego wzięli udział w specjalnym trzy-miesięcznym kursie przygotowawczym, obejmującym: naukę języków polskiego i angielskiego, wykłady z zakresu historii i kultury Europy Środkowej i Wschodniej oraz z zakresu współczesnych zagadnień międzynarodowych, w tym zwłaszcza Unii Europejskiej. Wzięli oni ponadto udział w programie kulturalnym oraz objazdach naukowych i krajoznawczych.

Stypendia Rządu RP dla Młodych Naukowców (70 stypendiów rocznie)

Studium od 2003 roku jest naukowym koordynatorem specjalnego „Programu Stypendialnego Rządu RP dla młodych naukowców” z Rosji, Ukrainy, Białorusi, Mołdawii oraz państw Zakaukazia i Azji Środkowej. W programie uczestniczy corocznie ok. 70 stypendystów, młodych naukowców, którzy w czasie dziewięciomiesięcznego stażu w najlepszych polskich szkołach wyższych podnoszą swoje kwalifikacje.



Szersze i bardziej szczegółowe informacje o stypendiach, proponowanych przez Studium Europy Wschodniej Uniwersytetu Warszawskiego, można znaleźć na stronie internetowej: www.studium.uw.edu.pl.

2007, nr 3



Zuzanna Mączyńska

Z ŻABIEJ PERSPEKTYWY



Moja Rosja składa się z wielu elementów. Pierwszym z nich była Moskwa, w której spędziłam ubiegłoroczny czerwiec. Oczarowała mnie rozmachem, pięknymi cerkwiami, uroczymi zaułkami, byciem w ciągłym ruchu. Zadziwiła monumentalizmem, wszechobecnym Leninem, najdroższymi na świecie samochodami, sklepami, klubami. Zasmuciła wyzierającą z różnych kątów biedą. „Moskwa to nie Rosja” – słyszałam ciągle. Jaka wobec tego jest Rosja, zastanawiałam się, skoro coś, co wydaje mi się na wskroś rosyjskie, wcale takim nie jest?

Półtora miesiąca później był Petersburg, do którego pojechałam na kilka dni z dużą grupą znajomych. Ze swoimi kolorowymi fasadami, tłumami turystów i krzykliwymi witrynami sklepów z pamiątkami wydał mi się sztuczny. To też nie może być Rosja – uznałam.

Próbę zmierzenia się z prawdziwą Rosją podjęłam tego lata, przez półtora miesiąca podróżując po niej samotnie autostopem. Z Mongolii (w której rozdzieliłam się z towarzyszącym mi kolegą, po wspólnym przejechaniu Ukrainy i części Rosji) ruszyłam w stronę Bajkału, stamtąd przez Jekaterynburg i Kazań do Moskwy. Następnie skierowałam się na północ, na Wyspy Sołowieckie i do Murmańska, z którego dotarłam do Petersburga. Opuściłam Rosję, przekraczając granicę z Finlandią.

Moja wyprawa była niezaplanowana. Chaotyczne są też moje wrażenia z podróży. Jechałam, znając dobrze język rosyjski i posiadając fragmentaryczne informacje na temat Rosji, zdobyte dzięki książkom i zasłyszczanym opowieściom. Myślę, że nie miałam narzędzi do poznania tego skomplikowanego, wielowarstwowego, wielokulturowego świata. W pamięci pozostali przede wszystkim spotkani przeze mnie ludzie i silne pragnienie poznawania Rosji wciąż od nowa.

► WŁADZA

Bułat spotykam z kolegą ciemną nocą za Czelabińskiem. Nie mamy gdzie nocować – do samego Nowosybirska ciągną się głównie tereny bagienne. Gryzą nas ogromne komary i tłuste gzy. Bułat jeździ dwudziestoletnim żiguli, kupionym za trzysta dolarów. Wydaje się, że w samochodzie więcej rzeczy nie działa, niż działa. Zepsuł się szybkościomierz i wskaźnik paliwa, a z miejsca, gdzie powinno być radio, sterczą przewody prowadzące do tylnego siedzenia. Pośrodku niego leży drewniane pudełko z wbudowanym odtwarzaczem płyt CD i głośnikami po bokach. Z tego dość niecodziennie wyglądającego urządzenia wydobywają się dźwięki muzyki klasycznej. Z przewodów sypią się iskry. Bułat, spokojny mężczyzna o cichym głosie, jedzie z przyjacielem Andriejem do wsi Pietuchowo na granicy z Kazachstanem. Będący obywatelem tego kraju Andriej zgubił paszport i chce wyrobić go w Kazachstanie, do którego nie może wjechać właśnie dlatego, że nie ma paszportu. Gdyby chciał rozwiązać sprawę w Rosji, musiałby spędzić długie godziny w kolejkach. Będzie więc przekraczał granicę nielegalnie. Grozi mu za to kilka lat więzienia.

Gdy dojeżdżamy do Pietuchowa o piątej rano, zatrzymuje nas milicja. Brak dokumentu u Andrieja jest dużym problemem. Bułat długo pertraktuje z funkcjonariuszami. Wreszcie wręcza im pięćset rubli i odjeżdżamy.

Z czasem przyzwyczajam się do wszechobecnej w Rosji korupcji. Przyzwyczajam się również do nieprzychylności przedstawicieli władzy. Dochodzę do wniosku, że milicjant znajdzie wykroczenie nawet u zupełnie niewinnego człowieka. Próba załatwienia czegoś w urzędzie zapewne skończy się niepowodzeniem. Pamiętając nieprzyjemną sytuację na rosyjsko-mongolskiej granicy, kiedy nie chciano mnie wpuścić do Mongolii z powodu



braku rosyjskiej rejestracji, postanowiłam nie zaniedbać tej sprawy podczas kolejnego pobytu w Rosji. W Irkucku bezskutecznie próbowałam zarejestrować się na poczcie. Udałam się więc do Służby Imigracyjnej.

– Dzień dobry, jestem z Polski, przyjechałam do Rosji dwa dni temu i chciałabym zarejestrować tu swój pobyt.

– A gdzie strona zapraszająca? – pyta srogim głosem pani w okienku.

– No... Nie ma. Ale na granicy powiedziano mi, że mogę zarejestrować się bez niej.

– A ja pani mówię co innego. Strona zapraszająca jest niezbędna do dokonania rejestracji – beznamiętnie odpowiada urzędniczka.

– To co mam zrobić, jeśli jej nie mam i nie będę miała? – pytam z rozpaczą. Nie chcę mieć znowu problemów na granicy, jeszcze mnie deportują.

– Proszę szukać – kobieta zatacza ręką szerokie koło.

– Gdzie? Na ulicy? – nie wierzę własnym uszom.

– Tak. Na ulicy – słyszę w odpowiedzi.

Wychodzę więc na ulicę i rzeczywiście: bezżębny (zauważyłam, że Rosjanie mają duży problem z użębieniem), utykający mężczyzna z bielmem na oku proponuje mi rejestrację za osiemset rubli. Przystaję na to, ponieważ nie mam innego wyjścia – następnego dnia przypada niedziela i urzędy nie pracują, a w poniedziałek

będzie już za późno – cudzoziemiec powinien zarejestrować się w Rosji w ciągu trzech dób od przyjazdu. Po przerwie na obiad (kolejna rosyjska osobliwość: przerwa na obiad – zazwyczaj trwająca godzinę i przypadająca w różnych miejscach o różnych porach – i stałe przerwy techniczne) mężczyzna przychodzi do tej samej urzędniczki, z którą rozmawiałam, i bez najmniejszych problemów rejestruje mnie u siebie w mieszkaniu. Oto pomnik absurdu rosyjskiej biurokracji.

Swoją drogą, Rosjanie wydają mi się mistrzami w obchodzeniu prawa. Zatrzymałam kierowcę, który od pół roku jeździł samochodem z papierowymi numerami rejestracyjnymi przyklejonymi na przedniej szybie (takimi, jakie noszą niedawno kupione, jeszcze niezarejestrowane samochody). Tłumaczył mi, że taniej jest zapłacić sto rubli mandatu, który według prawa można dostać tylko raz dziennie, niż rejestrować samochód i opłacać ubezpieczenie.



► PRZESTRZEŃ

„W Rosji – mówi Bułat – jeśli pokłócisz się z dziewczyną, masz mnóstwo przestrzeni do ucieczki i wyobcowania. A w takich Niemczech – wszyscy stłoczeni, wszędzie domy. Nie ma czym oddychać.” W Rosji jest czym oddychać. Czasem nawet za dużo tego powietrza. Bezkresne pola i lasy, niekończąca się aż po horyzont droga przyprowadzają o zawrót głowy. „U nas nie ma tyle przestrzeni” – tłumaczę wszystkim. „Nie ma takich ogromnych, ciągnących się setkami i tysiącami kilometrów lasów. A przydrożne pola najczęściej są zasiewane. No i wszędzie są wioski i miasteczka, i stacje benzynowe, i bary, i kawiarnie. W ogóle całą Polskę można przejechać w jeden dzień. Z zachodu na wschód to około osiemset kilometrów.” Na tę wiadomość ludzie uśmiechają się z rozbawieniem lub politowaniem. No bo co to jest osiemset kilometrów. To odległość z Nowosybirsk do Omska. A z Omska jeszcze wiele tysięcy kilometrów do Moskwy. Coś mała ta wasza Polska. Gdzie by ją tam porównywać z naszą Wielką Rosją.

W Rosji zmienia się spojrzenie na odległości. „Nareszcie – myślę sobie – zostało już tylko tysiąc kilometrów.” Z moich obliczeń wynika, że w Rosji można bez problemu w jeden dzień przejechać autostopem taką, a czasami nawet większą, odległość. Muszą być tylko spełnione dwa warunki – droga powinna być wysfaltowana i nie posiadać dwumetrowych dziur oraz należy przemieszczać się samochodami osobowymi, bo ciężarówki, szczególnie MAZ-y i KAMAZ-y, od których roi się na rosyjskich drogach, jeżdżą bardzo wolno.



► NA TRASIE

Rosyjskie ciężarówki to bardzo ciekawa sprawa dla przybysza z Polski. W Rosji jest ich mnóstwo. Spotkałam nawet kierowcę, który kupił sobie MAZ-a, tłumacząc to tym, że znajdzie do niego części zamienne u każdego chłopca na polu. Rzeczywiście, Walia, z którym jechałam z Jekaterynburga do Kazania amerykańską ciężarówką Freightliner (bardzo mi się podobają te ciężarówki – ich wydłużona maska wygląda jak pysk psa, a kabina jest tak duża, że można tam chyba trenować balet), przez tysiąc kilometrów nie mógł kupić do niej opony. Za to po drodze mineliśmy całe mnóstwo warsztatów oferujących części zamienne do MAZ-ów, WAZ-ów, KAMAZ-ów i innych AZ-ów. Przy okazji – tłumaczy mi jeden z kierowców – zimą na Syberii jeżdżą tylko rosyjskie samochody. Zagraniczne marki po prostu nie wytrzymują silnych mrozów.

MAZ-y nie posiadają pasów bezpieczeństwa (zresztą obowiązek zapinania pasów został w Rosji wprowadzony dopiero w styczniu tego roku i ludzie zapinają je zazwyczaj tylko przed kontrolnym punktem milicji). Nie ma ich nawet w tak zwanych nowych MAZ-ach. Okazuje się bowiem, że MAZ-y dzielą się na trzy kategorie: MAZ, nowy MAZ i SuperMAZ. Nowy MAZ ma większą kabinę niż stary i na tym chyba kończą się różnice. O SuperMAZ-ie wśród kierowców krążą legendy. Z nieukrywanym podziwem mówiono mi, że wygląda i jeździ całkiem jak zagraniczny samochód.

Natomiast w Mongolii pewien Rosjanin wytłumaczył mi sekret UAZ-a. „W UAZ-ie nic się nie psuje. Klimatyzacja się nie zepsuje, bo jej nie ma. Automatyczna skrzynia biegów się nie zepsuje, bo też jej nie ma. Nie zepsuje się to, czego nie ma, a w UAZ-ie nie ma prawie nic.”

Kolejną wschodnią – tak rosyjską, jak i ukraińską – osobliwością jest to, że w najgorszym i najstarszym radzieckim samochodzie występuje kilka niezbędnych elementów wyposażenia. To koniecznie nowoczesne, migające różnymi kolorami radio z odtwarzaczem płyt CD, nakładka na kierownicę (na przykład czerwona z płomieniami i napisem „Devil”) i kolorowa głowica dźwigni zmiany biegów – w moim prywatnym rankingu wygrała ta w kształcie szklanej kuli z zastygłymi w środku plastikowymi rybkami.

► STRACH

Ludzie zazwyczaj mnie straszą. „W Rosji jest pełno wariatów” – twierdzą. Na drogach roi się od bandytów, zabójców, gwałcicieli, narkomanów, zboczeńców, pijaków i wszelkich innych dzikich ludzi. Jeden z kierowców z całą stanowczością twierdzi, że w Rosji wszyscy ludzie są źli. „Absolutnie wszyscy?” – pytam. Absolutnie. To dlaczego ja do tej pory jeszcze ich nie spotkałam? Kręci głową z powątpiewaniem.

Zastanawiam się, dlaczego w kraju, gdzie obce osoby były gotowe oddać mi swoje ostatnie pieniądze, panuje powszechne przekonanie o ludzkim zdziczeniu. To przecież w Rosji wszyscy mnie karmili. To tam całkiem nieznajomi ludzie oferowali mi miejsce do spania – w samochodzie lub u siebie w domu. Raz jechałam z lekarzem, który dowiedziawszy się, że nie mam gdzie nocować, zawiózł mnie do wsi, w której pracował jako internista. Zatrzymałam się tam w jego domu, będącym połową budynku szpitalnego, a jako własność państwa oddanego mu w czasowe użytkowanie. Następnego dnia rano czekało na mnie śniadanie, a jedna z pielęgniarek odprowadziła mnie na wyjeżdżający na irkucką trasę autobus. Dwóch mężczyzn bezinteresownie zapłaciło za mój nocleg w hotelu – raz było to w Czeremchowie, 150 kilometrów od Irkucka, za drugim razem w Kazaniu. Obydwaj przyjechali po mnie następnego dnia i zawieźli na trasę. To w Rosji podwożono mnie bezpłatnie taksówkami, marszrutkami, autobusami. Często kierowcy zatrzymywali się nawet wtedy, gdy nie machałam ręką. Czasem nadkładali drogi, żeby dowieźć mnie nieco dalej lub wysadzić w lepszym miejscu. Pozwalali korzystać ze swoich komórek. Zostawiali adresy i numery telefonów. Na rosyjsko-mongolskiej granicy pogranicznik zatrzymał dla mnie samochód i polecił kierowcy przewiezienie mnie na drugą stronę. Kobieta ze Służby Imigracyjnej, która powinna mi kazać zapłacić karę za nieposiadanie rejestracji, po kilkuminutowej rozmowie puściła mnie wolno. W środkach transportu moja osoba często budziła burzliwe dyskusje. Pasażerowie zawzięcie dyskutowali, gdzie powinienam wysiąść i jaką trasą jechać. Ludzie podchodzili do mnie na ulicach, ofiarowując swoją pomoc. Moim dużym plecakiem interesowały się sprzedawczynie w kioskach, obsługa sklepów, konduktorzy, przechodnie.

Oczywiście nieprawdą byłoby stwierdzenie, że w Rosji spotykałam się tylko z życzliwością. W Jekaterynburgu zostałam zwymyślana przez konduktorkę, którą zapytałam o trasę tramwaju. Próba kupienia biletu na pociąg w Kazaniu skończyła się fiaskiem, ponieważ cena wzrosła niemal dwukrotnie po okazaniu przeze



mnie polskiego dokumentu. Mimo że w hotelu robotniczym w Kiemi były wolne miejsca, nie udało mi się tam przenocować, ponieważ mój zagraniczny paszport wywołał panikę. Polecono mi spać na dworcu. Wielu kierowców myliło autostopowiczkę z prostytutką i mniej lub bardziej otwarcie składało mi propozycje seksualne. Podczas opuszczania Rosji długi czas nikt nie chciał mnie przewieźć przez rosyjsko-fińską granicę, mimo że stałam na deszczu z dużym plecakiem, wzbudzając raczej litość niż strach.

Wydaje mi się, że większość osób odczuwała wobec mnie ten rodzaj litości, który jest zarezerwowany dla ludzi niezbyt normalnych i nieświadomych swoich czynów. Takich, których nie da się zrozumieć, ale i nie można potępiać. „Liaguszka putieszestwiennica” – wzdychali. Z biegiem czasu przyzwyczałam się do szokującego początkowo pytania: „Czy twoi rodzice nie żyją?”. Ludziom nie mieściło się w głowach, że moi rodzice mogą spać spokojnie, podczas gdy ich córka tuła się samotnie po Syberii. „Dziwna z ciebie dziewczynka” – powiedział mi na pożegnanie jeden z kierowców.

► OLA

Na wyspie Bolszoi Sołowieckij, na poddaszu drewnianego domku Leny Morozowej, na ulicy Primorskiej, spotykam niezwykłą osobę. Ola Blinkina to drobna, energiczna kobieta, pracująca dla rosyjskiego „Memoriału”, która odwiedza Sołowki nie po raz pierwszy. Rozmawiamy przez kilka godzin, podczas których bezskutecznie próbuję się spakować (muszę przecież zdążyć na popołudniowy statek), a gospodyni co jakiś czas nadaremnie usiłuje mnie wygonić.

Niezwykłość Oli polega na tym, że łączy w sobie ogromną wiedzę i doświadczenie z dużym poczuciem humoru i dystansem do świata. Jest jedną z niewielu spotkanych przeze mnie osób, która doskonale rozumie moją chęć podróżowania. Zresztą, czy można spodziewać się czegoś innego po osobie, która zwiedziła najdalsze zakątki Rosji, od Murmańska poczynając, na Magadanie skończywszy, i autostopem objechała pół Europy?

Ola jest wspaniałą rozmówczynią, która umie zarówno świetnie słuchać, jak i opowiadać. Wyjaśnia niezrozumiałe dla mnie rzeczy, na które patrzy nie tylko z rosyjskiej albo polskiej, ale jakby ogólnej perspektywy.

To wspaniałe – dochodzę do wniosku – spotkać bardzo daleko tak niezwykłą osobę, która sprawia, że wcale nie chcę opuszczać poddasza drewnianego domku Leny Morozowej na ulicy Primorskiej na wyspie Bolszoi Sołowieckij.

► ROSYJSKIE OSOBLIWOŚCI



W Rosji można dowiedzieć się wielu zaskakujących rzeczy. Na przykład tego, że będąc niespełna dwudziestoletnią osobą, powinienam mieć już co najmniej jedno dziecko, i że, właściwie, jestem dość stara. Tego, że w Murmańsku długowieczność popłaca – w niektórych miejskich marszrutkach osoby, które dosięgły wieku stu lat, cieszą się prawem bezpłatnego przejazdu. Tego, że jeśli suma trzech pierwszych cyfr wydrukowanych na trolejbusowym bilecie równa się sumie trzech ostatnich, należy pomyśleć życzenie i zjeść bilet. Tego, że w Rosji jazda na rowerze pod wpływem alkoholu nie jest karalna, wobec czego powstają tam społeczności alkorowerzystów (alkobajkerów). Tego, że ciężarówkę, którą Chińczycy załadowywali dwadzieścia minut, Rosjanie będą rozładowywać pięć godzin.

Można spotkać wiele niezwykłych osób. Na przykład bezżębnego robotnika, który twierdzi, że jest mistrzem tajskiego masażu, a przy okazji powszechnie znanym mafijnym bossem i posiada więcej pieniędzy niż sam Abramowicz. Neopoganina, który czci Matkę Ziemię i Boga Słońce i całuje połowę napotkanych po drodze drzew. Pięćdziesięcioczworoletniego paryżanina, który całe życie marzył o tym, żeby dojechać samochodem do Murmańska.

A w sklepie „Stalin” w Krasnojarsku sprzedaje się wyroby ze stali.



Jewgienij Jefimow

O TASZKIENCKIEJ ANTOLOGII POETÓW POLSKICH

Antologia została przygotowana z inicjatywy Aleksego Tołstoja i Józefa Czapskiego w latach 1942-1943 w Taszkencie, siłami ewakuowanych tam poetów i tłumaczy.

Wiersze pochodziły z trzech źródeł: z Londynu, z okupowanej Polski oraz od poetów mieszkających podczas wojny w Związku Radzieckim. Wśród autorów znajdowali się: Stanisław Baliński, Maria Pawlikowska, Antoni Słonimski, Julian Tuwim i inni.

Według opinii recenzenta antologii, członka władz Związku Pisarzy Radzieckich, Piotra Grigoriewicza Skosyriewa: „zbiór jest bezspornie celowy w swych dążeniach polityczno-poetyckich, w swym ukierunkowaniu tematycznym. To płacz po zmiążdżonej Polsce. To modlitwa w intencji jej ocalenia. Poczucie bezwyjściowości, beznadziei, utraty wszelkich nadziei i marzeń nadają mroczny koloryt prawie wszystkim utworom. Jest to księga pasywnego gniewu i boleści. [...] Niewątpliwie, antologia może być interesująca jako dokument. Nastroje panujące wśród szerokich kręgów inteligencji polskiej znalazły w nim nader przekonujący wyraz”.

Tłumaczami wierszy byli: Anna Achmatowa, Nikołaj Uszakow, Aleksander Kocziotkow, Mark Żiwow, Lew Pienkowskij, Nikołaj Aszukin, Abram Efros i inni znakomici mistrzowie.

Antologia została przygotowana do druku w 1943 roku przez taszkiencki oddział wydawnictwa „Sowietskij Pisatel”. Zgodnie z panującymi ówczesnie zasadami, rękopis został przesłany do Moskwy do zatwierdzenia. Prawdopodobnie moskiewskie kierownictwo tego wydawnictwa oddało go do recenzji Jewgienii Fiodorownie Knipowicz, swojemu stałemu i najbardziej wpływowemu w tamtym czasie krytykowi, oraz Piotrowi Grigoriewiczowi Skosyrielowi.

Knipowicz odniosła się do zbioru zdecydowanie negatywnie – zarówno do samych wierszy, uznając, że „ideowo-polityczny klimat antologii ma charakter bardziej państwowy niż narodowy, jego patriotyzm jest ograniczony, a wydźwięk wielu wierszy nie jest pozbawiony dekadencji”, jak również do ich przekładów, o których wyraziła opinię, że zostały wykonane na „łapu-capu”, niedbale. (Należy w tym miejscu zauważyć, że Jewgienia Knipowicz miała opinię „literackiego grabarza” – mądra, wykształcona, niegdyś przyjaciółka Aleksandra Błoka, referent Związku Pisarzy i osobisty sekretarz Aleksandra Fadiejewa, związana była ze wszystkimi możliwymi instancjami ideologicznymi i partyjnymi, a być może również policyjnymi; była bardzo dobrze poinformowana i niszcząc tę lub inną książkę, zazwyczaj wypełniała polecenie kogoś wysoko postawionego.)

Mając na uwadze, że antologia była przygotowywana pośpiesznie (bardzo napięty termin), część przekładów rzeczywiście wymagała dopracowania czy redakcji, lecz większość zrobiona została poprawnie. Za przykład może służyć *Kołęda warszawska 1939* Stanisława Balińskiego przełożona przez Annę Achmatową, wiersz, który ani trochę nie ustępuje jej oryginalnej twórczości. I będzie teraz, jak sądzę, często publikowany w wydaniach jej dzieł.

Wydawnictwo odmówiło wydania zbioru. Czy z przyczyn literackich, czy też politycznych – nie wiadomo. Być może i z jednych, i z drugich. W 1943 roku, po zakończeniu bitwy stalingradzkiej, w ZSRS zmieniła się orientacja polityczna. Nie dopuszczono do druku tragicznych nut, rozbrzmiewających w pierwszym okresie wojny. Świadomość społeczna kierowana była ku zwycięstwu. Zapewne to również miało wpływ. (Chociaż utwory mówiły o Polsce, to przecież rosyjscy czytelnicy mogliby odbierać przeżycia Polaków jak swoje, wszystko było tak bliskie i podobne. Przekład Achmatowej wiersza Balińskiego jest tego wyraźnym potwierdzeniem¹.) Oczywiście wpływ miał również fakt, że armia generała Andersa do momentu zakończenia prac nad zbiorem opuściła Rosję i walczyła po stronie sojuszników. Stalin, choć wysyłał tam telegramy z pozdrowieniami, odnosił się jednak do niej z dużą nieufnością.

¹ S. Baliński, *Kołęda warszawska 1939*, w: <http://magazines.russ.ru/znamia/1998/7/ahmat.html>.



Moje zainteresowanie tym tematem wynikło w trakcie pracy nad komentarzem do *Zapisków o Annie Achmatowej* Lidii Czukowskiej i wzmogło się, kiedy pracowałem nad książką o twórczości Kornieja Czukowskiego w czasie wojny. Czukowski wraz z córką został ewakuowany do Taszkientu i odgrywał znaczącą rolę w tamtejszym środowisku literackim. Lidia Kornejewna była znajomą Józefa Czapskiego, jako jedyna przyszła do niego do hotelu, gdy zamierzał recytować polskie wiersze rosyjskim literatom. O spotkaniu z jasnowłosą młodą kobietą, w zadziwiający sposób odczuwającą poezję, napisał Czapski później wspomnienia. Na początku lat sześćdziesiątych wysłał do Czukowskiej list wraz z broszką na pamiątkę taszkienckiej znajomości. Pracując nad komentarzami do „Zeszytów taszkienckich” oraz książką o Czukowskim, zapoznałem się z mnóstwem dowodów i materiałów, odtwarzających liczne dawno zapomniane okoliczności życia literackiego i społecznego w czasie wojny. Musiałem układać obraz z cudem ocalałych odłamków. Jednym z takich odłamków był również zbiór wierszy polskich poetów. Wcześniej nie wzbudził on zainteresowania żadnego z badaczy.

Ocalały rękopis mieści się w dwóch dużych teczkach.

Pierwsza – oznakowana jako „I tom” – to 52 strony przekładów w maszynopisie i rękopisach. Druga teczka – „II tom” – to 157 rękopiśmiennych oryginałów i przekładów polskich wierszy.

Zupełnie prawdopodobne, że większość przekładów oraz wierszy nigdy nie została opublikowana. (Chociaż nie prowadziłem poszukiwań bibliograficznych.) Innymi słowy, jest to unikalny wyjściowy materiał do odtworzenia zbioru.

Być może należałoby wydać go jako przykład stosunków rosyjsko-polskich i dokument tego strasznego okresu.

Jednak przygotować go do druku po raz drugi byłoby zadaniem trudnym. Po pierwsze, materiały wchodzące do zbioru powinny zostać skopiowane. A otrzymać z archiwum zgodę na kopiowanie będzie trudno. Po drugie, należy przeprowadzić inwentaryzację posiadanego materiału.

W zachowanej postaci ewidentnie utracił on swą strukturę; naruszony jest porządek wierszy, autorów – zawartość teczek częściowo się dubluje. Nie jest całkowicie jasne, według jakiego klucza materiał został podzielony na tecki. Niewykluczone, że jakieś materiały zostały wycofane i trafiły do innych wydań albo po prostu zagubiły się bądź też zostały wyrzucone. Zbiór zachował się wśród dokumentów działu produkcji (nie zaś literackiego czy redakcyjnego).

Jednym słowem, książkę należałoby skompletować od nowa. (O ile nie uda się znaleźć żadnych dokumentów redakcyjnych, które by jej dotyczyły.)

Rosyjskie przekłady wymagają zredagowania, porównania z oryginałami.

Antologię należy opatrzyć obszernymi artykułami wstępnymi, opowiadającymi o okolicznościach jej powstania, o autorach i tłumaczach, o tragicznych faktach z naszej historii, włączając w to Katyń, obozy dla internowanych Polaków, Jangi-Jul w Uzbekistanie, gdzie formowała się polska armia, itd. To znaczy, że wymaga on nie tylko tła literackiego, lecz również historycznego. Być może będą potrzebne komentarze do poszczególnych wierszy, informacje bibliograficzne i biograficzne.

Aby przywrócić książkę do stanu pierwotnego, potrzebna jest współpraca kilku zainteresowanych sprawą specjalistów – ze strony polskiej i rosyjskiej.

Przy czym wydanie takiego dwujęzycznego zbioru, jak mi się wydaje, byłoby interesujące, przydatne i stosowne, mając na uwadze zbliżającą się 60. rocznicę podboju Polski.

„Znamia” 1998, nr 7
„Nowaja Polska” 2006, nr 7/8
Tłum. Eliza Wolska



Natalia Gorbaniewska

ACHMATOWA POMORSKIEGO



Adam Pomorski

Anna Achmatowa, *Drogą wszystkim ziemi*. Poezja, proza, dramat, utwory wybrał, przełożył i opatrzył komentarzami Adam Pomorski, wyd. OPEN, Warszawa 2007, s. 796.

Przytoczone powyżej informacje z metryki książki nie w pełni ujmują pracę, jaką w rzeczywistości wykonał tłumacz (podejrzewam, że sformułowanie „wybrał, przełożył i opatrzył komentarzami” należy do samego Pomorskiego). Po pierwsze, nie tylko opatrzył przekłady „komentarzami”, lecz w większości przypadków (cała proza oraz dramat *Enuma Elisz*) – „komentarzami i przypisami”. W odróżnieniu od ogólnie przyjętej zasady umieszczania ich na końcu, tu występują po każdym punkcie spisu treści. Uważam, że sam spis treści należy przytoczyć w całości (pomijając wspomniane komentarze), aby czytelnik rosyjski mógł wyobrazić sobie, co takiego otrzymał polski czytelnik.

Krótko o sobie

Wiersze

Poemat bez bohatera

Enuma Elisz

Z „Prozy o Poemacie”. Z „Prozy do Poematu”

Pro domo sua. Kartki z dziennika

Ze wspomnień o Mandelsztamie

Amedeo Modigliani



cała późna twórczość Achmatowej – poczynawszy od *Poematu* i *Elegii północnych*, a na *Enuma Elisz*, wspomnianych cyklach lirycznych czy *Kartkach z dziennika* kończąc.”

W związku z tym przed tłumaczem pojawił się zawiły problem, który muszą rozwiązywać również wydawcy rosyjscy, dramat bowiem „pojawił się już co najmniej w trzech różnych układach, skomponowanych z rozproszonych rękopisów autorki”. Na podstawie tych publikacji Pomorski stworzył tekst (jak już wspominałam, z wariantami), który następnie przełożył.

W krótkim komentarzu Pomorski zapowiada znacznie bardziej pogłębioną analizę tego utworu w szkicu *Anna Wszechrosji*. I obietnicy dotrzymuje. Pomorski podchodzi do tematu w charakterystyczny dla siebie sposób – rozpoczyna rozdział od powołania się na znakomity artykuł Niedobrowo, a potem zauważa, że „krytyk w poszukiwaniu źródeł poezji Achmatowej ignoruje teatr”. Następnie mamy szczegółowe, lecz w dalszym ciągu dotyczące przedmiotu – Achmatowej, opowiadanie o rosyjskim teatrze ok. 1910 roku, o „Bezpańskim Psie”, o odrodzeniu w tamtym okresie rosyjskich tradycji „igry”. „Pojęcie to żywe w kontekście Achmatowej: w wierszu napisanym na wieść o męczeńskiej śmierci Nikołaja Gumilowa i domniemanym samobójstwie poetki Wielemir Chlebnikow sobie nadał tytułowe miano «Samotny licediej», powracając do wspomnień 1915 roku i z nazwiska przywołując Achmatową”. W spektaklu „szopki kukielkowej” Michaiła Kuzmina pt. *Boże Narodzenie* (1913) Pomorski zauważa „związek jasełek i misterium”, o którym po spektaklu pisał w „Apołonie” Sergiej Ausländer i który ważny jest również dla dramatu *Enuma Elisz*. Tłumacz dochodzi m.in do następującego wniosku:

Pod «Psem» ma swój środek świata całe *Enuma Elisz* – od babilońskiego misterium po współczesną parodię politycznej i romansowej arlekinady, teatralnych kulis i somnambulicznych zjaw, między którymi błąka się dalej «Gość z Przyszłości», tracąc stopniowo rysy Isaiaha Berlina. Spod «Psa» właśnie wywodzi się ta poetyka ironii, persyflażu, parodii, przedrzeźniania, maskaradowego przebrania i, co ciekawe, skandalu (via Dostojewski odniesiona do Dantego), która stała się podskórna poetyką akmeizmu: szczególnie istotna dla Achmatowej – jak pod koniec życia w jej «misterium dla siebie» i w «skandalizujących» antypamiętnikach, w których nawet epokowy dla poetki i utożsamiony przecież z początkiem zimnej wojny występ Żdanowa jawi się w barwach «awantury we wspólnym mieszkaniu». Na tym poprzestaną. Do końca rozdziału (ostatniego w szkicu) pozostało jeszcze wiele stron. Dogłębna analiza dramatu *Enuma Elisz* czy *Prologu*, czy też *Snu we śnie* oraz całe postłowie kończą się zagadkową frazą: «Proces przed sądem pamięci trwa zawsze – wyrok w nim to horoskop»”.

Na koniec chciałabym również powiedzieć kilka słów o zdumiewającej jakości przekładów. Cóż, mogę jedynie dać słowo, że przekłady są piękne, a wiele wierszy sprawiało wrażenie napisanych wręcz przez Achmatową... po polsku. Bo jeśliby Achmatowa pisała po polsku, to właśnie w ten sposób.

Aby nie być gołosłowną przytoczę osiem ulubionych wersów *Epilogu* z polskiego tłumaczenia *Poematu bez bohatera*, doskonale oddających czastuszkowy rytm „achmatowskich wersów”: „Ja za ciebie uiściłam / Hojny datek”. Oto przekład Adama Pomorskiego:

Ja za ciebie uiściłam
Hojny datek,
Pod naganem przechodziłam
Dziesięć latek,
W prawo, w lewo – ani kroku,
Jasna sprawa:
I szeleści za mną z boku
Marna sława.

2008, nr 2
Tłum. Eliza Wolska



Walerij Mastierow

MIŁOSZ ZAGŁĄDA W XXI WIEK

Jak poeta – myśliciel przewidział nasze współczesne życie

Dwa lata przed rozpoczęciem XXI wieku w redakcji gazety „Moskowskie Nowosti” zrodził się pomysł, którego realizacja dała wyjątkowe rezultaty. W każdym numerze przez 100 tygodni pojawiała się rubryka *Granica wieków*. Później wyszła książka nosząca taki sam tytuł, będąca obecnie rarytasem.

Postanowiono, że do tej zobowiązującej rubryki zaproszeni zostaną wielcy uczeni, pisarze, lekarze, muzycy, filozofowie... którzy wypowiedzą się na temat przyszłości. Ówczesny redaktor naczelny „Moskowskich Nowosti” Wiktor Łoszak (obecnie naczelny czasopisma „Ogoniok”) po uzgodnieniu projektu wyznaczył następujące kryterium: „Wybierać będziemy na rozmówców ludzi nie tylko znanych, ale przede wszystkim takich, którzy cieszą się bezgranicznym zaufaniem. To będzie naczelną zasada doboru”. Ludziom tym należało przygotować pytania na skalę ich osobowości. Aleksandr Gelman, członek kolegium redakcyjnego i dramaturg, z filozoficznym zacięciem ułożył listę około 50 pytań. Po redakcyjnej „burzy mózgów” pozostała „gorąca dziesiątka”.

„Lęki i okrucieństwo. Zło, które umie się maskować. Wiara i wiedza. Dyktatura i dyktatorzy. Demokratyczne normy i etyczne relacje międzyludzkie. Zmiany w relacjach między kobietami a mężczyznami...”

W świat poszła ankieta zawierająca te tematy, a odpowiedzi na nie miały stać się prognozą: co czeka ludzkość w XXI wieku?

Rubryka *Granica wieków* stała się najważniejsza. Jej ranga wzrastała z tygodnia na tydzień dzięki znakomitym nazwiskom: patriarcha Aleksy II, Michaił Gorbaczow, papież Jan Paweł II, Dalajlama XIV, Czingiz Ajtmatow, Aleksandr Jakowlew, Wasilij Bykow, Danił Granin, Mark Zacharow, Wasilij Aksionow, Fazil Iskander, Sauljus Sondenkis, Mstisław Rostropowicz, Oleg Tabakow, Roj Miedwiediew, Len Karpinski, Wiktor Astafiew, Frederick Forsythe, Wiktor Jerofiejew...

Był również krąg polskich osobistości. Zostały opublikowane wypowiedzi Stanisława Lema i Andrzeja Wajdy, z którymi łączyły mnie dawne przyjacielskie kontakty. Niestety, spotkać się z Czesławem Miłoszem długo nie mogłem.

Jak się później dowiedziałem, w tym czasie „żył w dwóch domach – w Berkeley i w Krakowie”. Długo oczekiwane spotkanie odbyło się całkiem niespodziewanie w Warszawie. Był wrzesień 1999 roku. Znienacka przyszło zaproszenie na spotkanie zagranicznych dziennikarzy z „jednym z najwybitniejszych poetów XX wieku, laureatem Nagrody Nobla – Czesławem Miłoszem”. Miało ono miejsce 17 września w budynku przy ulicy Bagatela 12, tam, gdzie obecnie mieści się Polska Agencja Informacji i Inwestycji Zagranicznych. Po zakończeniu części oficjalnej spotkania moi koledzy długo jeszcze otaczali znakomitego gościa, który choć zerkał na zegar wiszący na ścianie, bardzo uważnie wysłuchiwał każdego i udzielał niespiesznie odpowiedzi.

Udało się i mi porozmawiać nieoficjalnie z poetą i opowiedzieć o „dziesięciu pytaniach na granicy wieków”. Miłosz od razu zainteresował się tym, poprosił o dostarczenie mu ankiety. Zrobiłem to dwa dni później, na kolejnym naszym spotkaniu.

Umówiliśmy się na 19 września na godzinę 10.00 w warszawskim hotelu „Victoria”, w którym poeta się zatrzymał. Dokładnie w wyznaczonym czasie Miłosz zszedł – bardzo elegancko ubrany: brązowa tweedowa marynarka, dobrany kolorystycznie i nienagannie zawiązany krawat, jasne spodnie. W dobrym nastroju wygodnie usiadł w fotelu. Najbardziej ucieszył mnie tym, że wyraził chęć szczegółowego rozmawiania na zawarte w pytaniach tematy, które widocznie poruszyły go do żywego. Poczułem, że Miłosz, który zawsze interesował się Rosją, chciał przekazać rosyjskiemu czytelnikowi swoje przemyślenia na temat przyszłości.



Na spotkanie z Miłoszem przyniosłem również dopiero co wydany pierwszy numer czasopisma „Nowa Polska”. Z zainteresowaniem go przekartkowałem, zauważając, w ślad za autorem słowa wstępnego do Czytelników Jerzym Giedroyciem, że publikacja taka, jeszcze po rosyjsku, dla stosunków polsko-rosyjskich stanowi wydarzenie nie do przecenienia. Poparł postulaty redaktora naczelnego „Nowej Polski” Jerzego Pomianowskiego – „dialog inteligencji”, która tylko w Polsce i Rosji stała się zjawiskiem życia społecznego. W tymże numerze można było też przeczytać, że przyjaciel poety „Josif Brodski nauczył się języka polskiego po to, żeby czytać polską prasę i wiersze Czesława Miłosza”. I jeszcze jedna przyjemna publikacja w numerze: *Traktat poetycki* Miłosza w przekładzie Natalii Gorbaniewskiej. W tym momencie poeta wyjął wieczne pióro, zamasyżycie napisał na swojej fotografii dedykację, podpisał się i postawił datę: 19 – IX – 99. Strzegę tego numeru jak żrenicy oka.

Wszystko to przypomniało mi się po ogłoszeniu roku 2011 – Rokiem Czesława Miłosza. Od razu poszedłem do swego archiwum, aby odnaleźć i przeczytać wszystko, co przyszło w odpowiedzi na ankietę i co znalazło się w książce wydanej przez „Moskowskie Nowosti”. Zdumiało mnie, że poeta – myśliciel w końcu XX wieku dokładnie przewidział nadchodzące stulecie. Minęła już cała dekada XXI wieku, a wrażenie mam takie, jakby rozmowa z Miłoszem odbyła się w początkach tego roku. Dlatego też postanowiłem podzielić się z czytelnikami „Nowej Polski” przemyśleniami Czesława Miłosza, tak żeby dać im możliwość porównania ich ze swoimi.

REALIZACJA UTOPII NIE JEST MOŻLIWA

Jak trudno było na progu XX wieku przewidzieć jego główne kataklizmy, tak i teraz, w dobie intensywniejszego przepływu informacji i globalizacji zachodzących zjawisk, nie można wyobrazić sobie przebiegu nadchodzącego stulecia. Lęków nie da się przewidywać. Świadczy o tym nadciągająca fala terroryzmu, którego rozpiętość jest ogromna – od terroru indywidualnego do międzynarodowych centrów. Z pewnością można powiedzieć jedno – nikomu nie uda się zrealizować utopii.

FIZYKA PRZECIWKO ATEIZMOWI

Myślę, że najważniejszym odkryciem naukowym XX wieku było odkrycie i ogłoszenie przez Alberta Einsteina teorii względności. Jednak to absolutnie nie umocniło pozycji ateistów, a raczej osłabiło ich. Fizyka kwantowa okazuje się miejscem niesłuchanie zadziwiających odkryć, które będą dokonywane również w przyszłości. One również nie będą korzystne dla ateizmu.

TERRORYZM PRZECIWKO INNOWIERCOM

Uznanie roli człowieka w społeczeństwie nie przeszkodziło temu, żeby „zabijanie” w XX wieku odbywało się pod sztandarami rozstrzeliwania wrogów klasowych lub przedstawicieli „niższych ras”. Nie wiadomo, jakie motywacje do zabijania ludzi pojawiają się teraz, ale mogą one być absolutnie niemożliwe do wyjaśnienia, absurdalne. Rosnąca fala terroryzmu skierowana jest w wielu wypadkach przeciwko wyznawcom innych religii (a więc „wrogom religijnym”). Okrutne i krwawe walki trwają między różnowiercami. Wszystko to przybiera nowe formy, staje się masowe. Tragiczne wydarzenia ostatnich dni w Rosji potwierdzają moje słowa.

PRAGNIENIE UTOPII

Nie sądzę, żeby doszło do nowej fali zainteresowania się nauką Marksa. Trudno jednak wyobrazić sobie ludzkie społeczeństwo pozbawione wiary w utopię. Człowiek zawsze marzy o utopii. W XIX wieku wielu wydawało się, że marzenie o socjalizmie jest do zrealizowania. Owszem, socjalizm był realizowany w XX wieku – ale w sposób karykaturalny. Jakaś utopia na pewno pojawi się i w następnym stuleciu, jednak nie wierzę, żeby powstała na zasadach nauki Marksa.

W RAMIONACH NACJONALIZMU

W ostatnich latach przemijającego wieku staliśmy się świadkami ostrych konfliktów między narodami. Jeśli chodzi o Jugosławię, to w sensie ogólnym mogę wziąć na siebie ciężar odpowiedzialności, z tego względu, że moja książka *Zniewolony umysł* była tam bestsellerem lat 80. Przewidziałem, że jeśli jugosłowiańscy



intelektualiści odejdą od marksizmu, to od razu rzucą się w ramiona nacjonalizmu, w objęcia idei Wielkiej Serbii. Według mnie, to, co stało się w byłej Jugosławii – to przede wszystkim rezultat działalności intelektualistów – to oni są w największym stopniu odpowiedzialni za oczarowanie szerokich mas teoriami nacjonalistycznymi. Można przewidzieć, że w nadchodzącym wieku z całą pewnością pojawi się nowy dyktator w rodzaju Miloszewicia. I nie jest to żadną nowością. Intelektualiści powinni czuć się odpowiedzialni za pojawienie się dyktatury Hitlera i Stalina. Marksistowskie broszury, popularyzacja darwinizmu, prymitywne artykuły i książki o tym, że przetrwają silniejsi, że byt określa świadomość – wszystko to przygotowywało glebę dla wyrastania trujących płodów.

NIEBEZPIECZEŃSTWO NUDY

Bardziej prawdopodobne jest pojawienie się niebezpieczeństwa nudy. W przyszłości będzie to poważny problem. Nie dla wszystkich jest praca. Czas pracy staje się coraz krótszy. Społeczeństwo może produkować wystarczającą ilość towarów i maszyn bez poświęcania na to wielu godzin pracy. A to znaczy, że mnóstwo ludzi stopniowo zostaje wykluczonych z procesu produkcyjnego. Roboczy dzień staje się coraz krótszy. Powstaje problem: co zrobią ludzie ze swoim czasem wolnym? Dlatego możliwe, że pojawią się różne, w tej liczbie również i religijne, ruchy, mające pomóc zwalczyć nudę. Jednak niektóre z nich mogą być szaleńcze.

ZAGROŻENIA DLA DEMOKRACJI

Dorastałem w czasach, w których demokratyczne normy i wartości nie istniały. To był okres, kiedy w demokrację nikt nie wierzył: jak mi się obecnie wydaje, ani ci, którzy dali się wciągnąć masowym ideologiom – komuniści lub faszyci, ani ci, którzy je zwalczali. I oto, na starość, zobaczyłem powrót demokratycznych norm i wartości. Dokładniej mówiąc, stanąłem twarzą w twarz z demokracją. Ale należy mieć na względzie to, że demokracji zawsze zagraża stagnacja. Przecież społeczeństwo ludzkie nieustannie się zmienia.

W NAUKOWYM OPAKOWANIU

Cały czas myślę, że jedną z najbardziej wpływowych sił w XX wieku była wiara w naukę, wszystkie najgorsze i mroczne ideologie pojawiały się w naukowym opakowaniu. Ideologiczne ruchy zaczynały się od naukowych i pseudonaukowych broszurek, które przeobrażały się w nienawistną dla człowieka praktykę. Socjalizm, jak wiadomo, powinien pozostać niezmiennie naukowym. We wszystkich radzieckich szkołach wyższych rządziły katedry naukowego komunizmu. I mimo to jak dawniej jesteśmy okrażeni sennymi zwidami, których nie rozumiemy. Społeczeństwo ludzkie jest dla nas obecnie mniej zrozumiałe niż kiedykolwiek wcześniej.

MIEJSCE KOBIETY

Można być wielkim sceptykiem, jeżeli chodzi o stosunek do zasadniczych zmian w relacjach między płciami, dlatego że jest to uwarunkowanie nie tyle społeczne, co biologiczne. Mam mieszane uczucia, jeżeli chodzi o feminizm. To ruch charakterystyczny dla naszych czasów i na pewno będzie się rozszerzał i umacniał. Ale zadaję sobie pytanie: czy nie może na tle rozwoju przemysłowego i masowego bezrobocia powstać ruch, którego liderzy będą głosić: „Kobiety, idźcie do kuchni!”.

RADOŚĆ W RODZINIE

Dobra rodzina przynosi człowiekowi największą radość. Wydaje mi się, że szczęście rodzinne to swojego rodzaju służba, los, bilet na loterię. Nie dla wszystkich jest ono osiągalne.

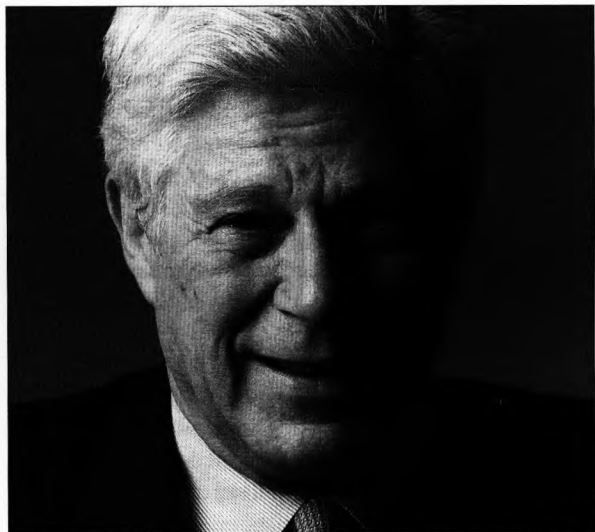
2011, nr 4
Tłum. Hanna Miqzek

Walerij Mastierow, korespondent gazety „Moskowskije Nowosti” i „Wremia Nowostiej” w Warszawie



Walerij Mastierow

TANGO STEFANA MELLERA



Jak trudno oswoić się z myślą, że towarzyszyliśmy w ostatniej już drodze Stefanowi Mellerowi – historykowi i dyplomacie, niezwykle prawemu człowiekowi, który przyciągał każdego swoim urokiem osobistym, erudycją i towarzyskością, od pierwszego spotkania.

Jednym z przełomowych momentów w jego dyplomatycznej karierze było mianowanie go na stanowisko ministra spraw zagranicznych i przewodniczącego Komisji Integracji Europejskiej, w chwili gdy rozpoczynał czwarty rok energicznej działalności jako ambasador Polski w Rosji. Miało to miejsce 31 października 2005 roku – Kazimierz Marcinkiewicz otrzymał zadanie sformowania nowego rządu, po wygranych wyborach parlamentarnych przez prawicowo-centrową partię braci Kaczyńskich. Zaproponował wtedy Mellerowi

stanowisko szefa polskiej dyplomacji. Wielu odebrało to jako gest „na pokaz”: powierzać polską politykę zagraniczną byłemu ambasadorowi w Rosji, do tego człowiekowi nieliczącemu się wcześniej w rankingach jakiegokolwiek partii – tego jeszcze nie było! Przebywałem wtedy w Moskwie i udało mi się, jako pierwszemu, przeprowadzić wywiad ze Stefanem Mellerem w tej nowej dla niego roli. Pamiętam szczere zdumienie mojego rozmówcy z powierzenia właśnie jemu takiej misji oraz sposób wyjaśnienia powodów, dla których zdecydował się jednak ją przyjąć – chciał wspomóc „rząd ekspertów” i, w perspektywie, posłużyć się swoją pracą dla dalszego rozwoju stosunków polsko-rosyjskich.

Nominacja ta była niewątpliwie ważnym epizodem w życiu Stefana Mellera. Ale i bez niego dorobek zawodowy jego 65-letniego życia jest przebogaty. Aktywność zawodowa została przerwana dwa razy: po nagonce na inteligencję w 1968 roku miał sześćioletni „zakaz wykonywania zawodu”, w ostatnich latach ciężko chorował. Absolwent Uniwersytetu Warszawskiego, profesor nauk humanistycznych Stefan Meller pracował w Polskim Instytucie Spraw Międzynarodowych i w Archiwum Państwowym, był prorektorem Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Warszawie i dyrektorem naukowym Wyższej Szkoły Nauk Społecznych w Paryżu, wykładał historię na uniwersytetach Europy i USA; przez wiele lat był redaktorem naczelnym miesięcznika historycznego „Mówią Wieki”. Jest autorem książek na temat nowożytnej i najnowszej historii Polski i Europy. Zanim został ambasadorem Polski w Rosji, kilka lat był ambasadorem Polski we Francji.

Praca w Rosji odcisnęła na nim głęboki ślad, wzbogacając jego zawodowe doświadczenie w wielu dziedzinach. „Możecie wydrukować tłustym drukiem – lepszej lekcji nie ma” – powiedział w rozmowie ze mną Stefan Meller. Przyjechał do Moskwy, nie znając języka rosyjskiego, a już po kilku miesiącach zadziwiał swoich rozmówców nie tylko prawidłową wymową i czystym literackim językiem, ale i umiejętnością opowiadania anegdot w oryginale. Dał się poznać jako miłośnik teatru. Nie przepuszczał żadnemu ważnemu wydarzeniu kulturalnemu. Pamiętam, jaki był dumny z tego, że w grudniu 2002 roku, po 17-letniej przerwie, polska opera narodowa została wystawiona na deskach moskiewskiego Teatru Wielkiego. Trzeba było widzieć, jak, podczas inauguracji gościnnych występów zespołu warszawskiego Teatru Wielkiego (wystawiano operę Karola Szymanowskiego *Król Roger* w słynnej reżyserii Mariusza Trelińskiego), ambasador Meller witał swoich kolegów z korpusu dyplomatycznego, starając się zapewnić im jak najlepsze miejsca na widowni!



Jednak najbardziej pociągali go ludzie i kraj. „Najważniejsze dla mnie jest to, że zobaczyłem kraj w momencie transformacji, w chwili gdy poszukiwał dla siebie nowego miejsca we współczesnym świecie. Ludzie szukają miejsca dla siebie, swojej rodziny, swojego środowiska. Nie widziałem nigdy czegoś takiego. Takie doświadczenie zmusza do błyskawicznego odrzucenia wszelkich stereotypów.” – tak mówił o swoim „okresie rosyjskim” Stefan Meller. A kiedy zauważyłem, że okresu, kiedy to przebywał w Rosji, nie można w żadnym wypadku nazwać „łatwym”, natychmiast odparował: „Dla mężczyzny najtrudniejszy czas to ten, kiedy się zakocha. Nie ma cięższych czasów”.

Wtedy też, w swoim pierwszym wywiadzie, udzielonym już przez Stefana Mellera, ministra spraw zagranicznych, powiedział, że stosunków polsko-rosyjskich nie uważa za fatalne, ale dodał: „Jak powiada polskie przysłowie «Do tanga trzeba dwojga». Jeżeli mamy tańczyć razem, oznacza to istnienie chęci z obu stron. Demokratyczna Polska potrzebuje demokratycznej Rosji i na odwrót. To nie jest tylko problem polityki zagranicznej, to problem stabilnej przyszłości naszego regionu, Europy i całego świata”. Później, już w Warszawie, Stefan Meller w podobnym tonie wypowiadał się na forum polskiego Sejmu, mówiąc o zadaniach polskiej polityki zagranicznej. Dużo uwagi poświęcił Unii Europejskiej („obszar swobodnej konkurencji”), określił ważne elementy dialogu strategicznego z USA (uchylił nawet rąbka tajemnicy – rozmów na temat możliwości uczestniczenia Polski w amerykańskim systemie National Missile Defense), zauważył, że „z Niemiec płyną życzliwe sygnały”, a Francja, jak zawsze, wzbudza w narodzie polskim sympatię. Jednak najbardziej emocjonalnym i bogatym w treść był fragment poświęcony stosunkom z Rosją. Wydaje się, że nie tylko dlatego, że wypowiadał się niedawny ambasador Polski w Moskwie, choć ówczesny szef polskiej dyplomacji ten fakt również podkreślił.

W tym czasie polscy dyplomaci zwrócili uwagę na to, że strona rosyjska wychodzi z inicjatywą polepszenia stosunków między naszymi krajami. Władimir Putin jako pierwszy przekazał wyrazy współczucia po tragedii w Katowicach – kiedy to na skutek zawalenia się dachu nad jednym z pawilonów Międzynarodowych Targów Katowickich zginęły dziesiątki ludzi. Kilka dni później, na dorocznej konferencji prasowej na Kremlu, w obecności ponad tysiąca dziennikarzy z całego świata, rosyjski prezydent nazwał Rosjan i Polaków „bliskimi krewnymi” i faktycznie „jedną rodziną”, podkreślając przy tym głęboki szacunek dla Polski „za jej wkład w światową kulturę, gospodarkę, w aktualne sprawy Europy i świata”. Stefan Meller wprost powiedział, że „chce się odwzajemnić za ciepłe słowa Władimira Putina, zgadza się z tym, że Polskę i Rosję wiąże niemały potencjał etnicznej, historycznej i kulturalnej bliskości”. Także i później, mówiąc o stosunkach z Rosją, cały czas podkreślał, że Polska jest zainteresowana tym, aby były one normalne, partnerskie, oparte na sprawdzonych doświadczeniach współpracy. Jednak drogi Mellera i władzy rozeszły się. Po wejściu do rządu przedstawicieli lewicowo-radykalnej, populistycznej „Samoobrony”, podał się do dymisji 9 maja 2006 roku.

Ostatni raz miałem szczęście widzieć się ze Stefanem Mellerem podczas konferencji „Polacy – Rosjanie: wzajemne stosunki” zorganizowanej w Gdańsku przez Nadbałtyckie Centrum Kultury. Będąc przewodniczącym jednego panelu dyskusyjnego, powiedział, pół żartem, pół serio: „A może dogadamy się i dla wiecznej pamięci o wspólnej historii postawimy w Warszawie na placu Zamkowym kopię pomnika Minina i Pożarskiego, a w Moskwie na placu Czerwonym – pomnik Tadeusza Kościuszki?”. Tak mógł powiedzieć jedynie prawdziwy historyk i dyplomata.

Walerij Mastierow – korespondent gazet „Moskowskije Nowosti” i „Wremia Nowostiej”

Polsko-rosyjskie stosunki układały się nie najlepiej. Miało na to wpływ również i historyczno-polityczne podłoże. My mamy jedną wspólną pamięć, wy – drugą. Ponieważ w latach 70. byłem związany z opozycją, odziedziczyłem głęboką wiarę w rosyjską demokrację. Polskie wydawnictwa poświęcały w swoich publikacjach bardzo dużo miejsca Rosji, z którą związaliśmy także nasze nadzieje na przyszłość.

Stefan Meller w wywiadzie dla „Moskowskich Nowosti”

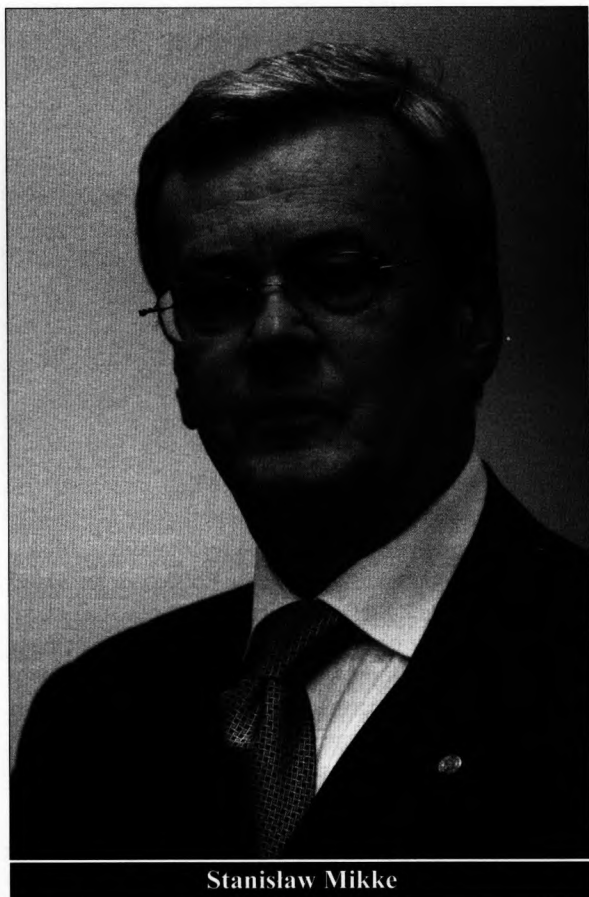
2008, nr 3

Thum. Hanna Miązek



Tatiana Kosinowa

„ŚPIJ, MĘŻNY...”



Stanisław Mikke

Katastrofa smoleńska pokazała ponownie, jak świat jest zmęczony rosyjską nieobliczalnością. Normalna ludzka reakcja, autentyczny smutek, żałoba i współczucie Rosjan stały się tematem komentarzy i politycznym faktem dla Europy. Jakże to zawstydzające, że spodziewają się po nas wyłącznie podłości.

Ale nie tylko Europę zaskoczyła reakcja władz Federacji Rosyjskiej. My także nie musimy się za nie wstydić. Po raz pierwszy od wielu lat.

W Rosji dużo myśli się i pisze o tej tragedii. Jej rozmiar, konotacje i symbolika wstrząsnęły większością moich rodaków i wywołały szczerą solidarność, z szoku będziemy wychodzili długo. I ten wstrząs, ta ostatnia polska hekatomba już posiada swój wyraźny i, nie zawaham się powiedzieć, pozytywny ślad – ludzie jakby odnaleźli siebie, przypomnieli sobie o najważniejszym, zaczęli mówić o sensie. Wiele się zmieniło, i to nie tylko w retoryce. Tak jak w Polsce, u nas także szczerze współczucie i prawdziwą żałobę zmył cynizm, podkopały wzniesione bariery i pretensje. Teraz na powierzchni znalazło się uczucie pokrewieństwa i rdzennej bliskości, wspólnoty losu.

Z tekstu Natalii Geworkian *Są wdzięczni, gdy nie trzeba się za nas wstydić* z blogu na Slon.ru (<http://www.slon.ru/blogs/gevorkan/post/353948/>):

„Nieśmiała nadzieja, że Rosja zmienia się mentalnie i emocjonalnie, która pojawiła się kiedyś

w latach dziewięćdziesiątych, a pogrzebał ją całkowicie okres panowania Putina, nagle wróciła razem ze łzami i bólem, które wcisnęły nas razem z Polakami znowu w tę smoleńską ziemię obmytą wspólną krwią. Nas współczesnych w niezrozumiały sposób przyciągnęły do tych, którzy dawno odeszli – nie ze swej woli. Czekistę Putina na zawsze złączyła z ofiarami czekistów w Katyniu ta katastrofa samolotu z polską elitą, która spieszyła, by pochylić głowę na miejscu potwornej zbrodni, przez 70 lat niezapomnianej.

Dziwna kolej losu: Putin na zawsze już będzie związany z Katyniem. On, który sprzeciwia się udostępnieniu dokumentów dotyczących wydarzenia sprzed siedemdziesięciu laty, stanął na czele komisji, powołanej, by zbadać wydarzenia, które stały się, w gruncie rzeczy, konsekwencją tamtej tragedii. Jak krzyk historii, jak mistyczne upomnienie, jak żądanie odroczonej na dziesięciolecie skrucy, jak złożenie ofiary, po których żyć, tak jak się żyło, i kłamać, jak się kłamało, dłużej, jak się wydaje, nie jest możliwe...”

Po raz pierwszy w moim życiu w katastrofie lotniczej, niezależnie od ich smutnej liczby w Rosji w ciągu ostatnich lat, zginął człowiek, którego znałam – Stanisław Mikke...



– Jestem w Syktywkarze mam, wszystko w porządku! W Syk-tyw-ka-rze! Gdzie to jest? Mam, to jest w Rosji!

Stanisław Mikke głośno krzyczał w mikrofon swojej komórki. Przy dźwięku ogólnego chichotu łagodnie uczył mamę wymawiać tę niemożliwą dla polskiego ucha nazwę stolicy republiki Komi, głośno i powoli sylabizując z pięć razy: „Syk-tyw-kar”.

A w Ust'-Sysolsku (poprzednia nazwa Syktywkaru), stolicy kraju zesań i łagrów, była właśnie złota jesień. Ostre słońce świeciło prosto w oczy i szybko zachodziło. Czekaliśmy na moskiewski samolot z naszymi kolegami z Moskwy, Krasnodaru i Permi, którzy mieli nim przylecieć, żeby jednym autokarem pojechać do hotelu.

My – to znaczy memoriałowcy (członkowie i pracownicy naukowcy Stowarzyszenia „Memoriał”) z różnych miast Rosji, a także nasi niemieccy partnerzy z Fundacji Konrada Adenauera i z konsulatu polskiego w Sankt Petersburgu (Komi należy do petersburskiego okręgu konsularnego – Północny Zachód RF). 9 września 2003 roku przylecieliśmy do Syktywkaru z Petersburga poprowadzić II międzynarodowe sympozjum „Świat po Gulagu: rehabilitacja i pamięć kulturowa”. Polskę reprezentowali na nim attaché kulturalny Hieronim Grała, przewodniczący Stowarzyszenia Borowiczów Roman Bar i zastępca przewodniczącego Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa Stanisław Mikke.

Stanisława Mikke wtedy widziałam po raz pierwszy. Na tle brawury i żartów swoich barwnych rodaków – akowca i starego zeka Bara i światowca Grali – Mikke w jakiś szczególny sposób wyróżniał się surową powściągliwością. I gdy już w hotelu piliśmy przywiezioną przez Bara żubrówkę i zakąszaliśmy jego niebywale pysznymi gdańskimi kabanosami, Stanisława Mikke z nami nie było. Zapewne potrzebne mu było skupienie.

Wszystkie polskie referaty zostały wcześniej przełożone na rosyjski i zredagowane przez polską misję dyplomatyczną w Petersburgu. Staruszek Bar obwiesił salę mapami i tablicami, puszczał po sali fotografie, mówił, nie trzymając się napisanego tekstu, zupełnie nie wstydził się swojego rosyjskiego, żartobliwie odpowiadał na pytania studentów, a na koniec, jak sobie dziś przypominam, jako jedyny ze wszystkich referentów przerwał oklaski.

Wystąpienie Stanisława Mikke *O znaczeniu ekshumacji i grobów dla pamięci o ofiarach* zostało zaplanowane na drugi dzień sympozjum, 11 września. Nikt z nas nie wiedział, że był to dzień jego urodzin. Stanisław, znany adwokat, konsultant Krzysztofa Kieślowskiego, urzędnik państwowy, redaktor naczelny periodyku polskiej advokatury, z jakiegoś powodu zupełnie po studencku, po dziecięcemu nawet, strasznie się denerwował. Poprosił o przejrzenie tekstu – czy nie ma błędów, czy wszystko jest poprawnie po rosyjsku. Nie było żadnych błędów, starałam się go uspokoić najlepiej, jak umiałam. W końcu Mikke poprosił, żebym zamiast niego przeczytała tekst. Ależ przecież wtedy nie może być dyskusji, starałam się oponować. Poza tym naszą wystawę otwieraną właśnie tego dnia w Muzeum Narodowym Komi, a poświęconą leningradzkim dysydem, którzy znaleźli się w Komi w łagrach i na zesłaniu, powinnam była montować właśnie w czasie jego wystąpienia... Ale Mikke bardzo prosił.

Jego tekst nie był w istocie naukowym referatem (<http://www.cogita.ru/analitka/pamyati-stanislava-mikke>). To był apel, wezwanie, emocjonalne i przepełnione poezją. Analizował swoje doświadczenie – udział w odkopywaniu i ekshumacjach w Katyniu, Miednoje i Charkowie w latach 1991-1994 i, biorąc na sprzymierzeńców Grassa, Herberta i Gajcego, Mikke wzywał nas do oddania należytej pamięci ofiarom i zadbania o ich mogiły. Żeby nie trzeba było się wstydzić: „Niech martwi ufają żywym”.

Autorowi zależało nie tylko na tym, by nie zgubić, nie zniekształcić ani jednego słowa niepoprawnym akcentem przy wymawianiu. Najprawdopodobniej wstydził się tej otwartej dydaktyki. Osobiście czytać tak misjonarski tekst było mu podwójnie niezręczne. Ale ponieważ Mikke często bywał w Rosji, wiedział, w jakim stopniu wezwanie jego jest tutaj aktualne.

Można mówić o szczególnej polskiej polityce pamięci czy nawet „polityce śmierci” (Cezary Michalski), ale nie wyobrażacie sobie, jak dla „Memoriału” ważna jest ta polska pamięć w Rosji. Pamięć o ofiarach terroru i specjalna polska troska o nekropolie terroru. Gdyby nie systematyczne polskie przypomnienia, gdyby nie nasza wspólna praca nad pamięcią, wysiłki „Memoriału” zostałyby ostatecznie zmarginalizowane.



Tak, u nas zdecydowanie kochają martwych mocniej niż żywych, a ludzkość bardziej niż bliskich. Ale, niezależnie od opiewanej przez Puszkina w 1830 roku, rosyjskiej „miłości do grobów ojczystych”, w której ponoć „serce znajduje pokarm” (*Z brulionów*), potrafimy budować kliniki położnicze i parkingi na miejscach masowych pochówków ofiar Gułagu lub czerwonego terroru, jak to zdarzyło się na przykład w Twierdzy Pietropawłowskiej w grudniu zeszłego roku. I żadne lamenty historyków i pisarzy z reguły nie pomagają.

Dziś w Rosji status państwowego kompleksu memorialnego mają jedynie Katyn i Miednoje. Wszystkie pozostałe cmentarze są prywatnymi inicjatywami o niepewnym „społecznym” statusie. Miejsca masowych egzekucji pozostają u nas – jak dotychczas – tajemnicą państwową. Nie chodzi o to, że nie wszystkie zostały uczczone, nie wszystkie są znane, znalezione i oznaczone.

My, co zawstydza, nie wiemy, ilu naszych ludzi rozstrzelano w tymże Katyniu w okresie Wielkiego Terroru – czy sześć i pół, czy osiem tysięcy... Nie możemy przedstawić podobnej do polskiej imiennej listy ofiar pogrzebanych na naszej, rosyjskiej części tych cmentarzy.

Nie dość na tym, w tej samej Republice Komi czy na Syberii cmentarze obozowe i miejsca pochówku w specposiołkach miejscowi nazywają dzisiaj „polskimi”. Po prostu dlatego, że oprócz polskich i może jeszcze litewskich krzyży nie ma tam innych znaków pamiątkowych.

Jakkolwiek mocno byśmy się opierali, stopniowo przyswajamy jednak te litewskie i polskie lekcje.

Stanisław Mikke dopiął swego – jego tekst poruszył mnie do żywego. Gdy czytałam go 11 września 2003 roku w największym w Komi audytorium Akademii Służby Państwowej i Administracji, czułam go skórą, przyjmowały mnie dreszcze. Naprawdę nie spodziewałam się po sobie takiego wzruszenia...

Gdy lecieliśmy z powrotem do Petersburga, zawołał mnie – miejsce obok niego było wolne. Wręczył mi egzemplarz swojej książki *Śpij, mój mąż* dla naszej biblioteki. Rozmawialiśmy o dzieciach. Powiedział, że długo z żoną nie mieli dzieci i nagle, gdy oboje byli po czterdziestce, pojawiła się dziewczynka. I teraz „każdy dzień z nią – szczęście i niekończąca się radość”.

Ta dziewczynka powinna mieć teraz lat około piętnastu. Nie wiem, jak ma na imię, ale chciałabym jej powiedzieć, że może być dumna ze swego ojca i że znają go, pamiętają i dobrze wspominają w Rosji. I to nie tylko w „Memoriale”.

W tamtych dniach jego imię wspominano nie tylko przy okazji wyliczania imion tych, którzy zginęli. W audycji radia „Echo Moskwy” był krótki wywiad z doktor nauk medycznych Larysą Piłatową. Przyniosła ona kwiaty pod polską ambasadę w Moskwie i powiedziała korespondentowi, że „w prezydenckim samolocie pośród tych, którzy zginęli, był jeden bliski przyjaciel, który wydał książkę o ofiarach Katynia. Nazywał się Stanisław Mikke. Właśnie za trzy dni miał przyjechać do nas w gości...” (<http://www.echo.msk.ru/programs/personalno/670828-echo/>).

Będziemy pamiętać jego skromność, poczucie obowiązku i świadomość swojej misji, jego wzniosłą, przejmującą emocjonalność i nieskrywaną czułość dla bliskich. I całkowity brak cynizmu. Nawet tego, który nazywa się „zdrowym”, obronnym, a który charakteryzuje adwokatów, lekarzy, dziennikarzy. Ani cienia cynizmu.

2010, nr 7/8

Tłum. Ludmiła Laskowska-Pańków



TRADYCJA I PRZYSZŁOŚĆ

Rozmowa ze Stefanem Starczewskim

W ostatnich latach przed przejściem na emeryturę Stefan Starczewski kierował w Fundacji Kultury konkursem „Mała ojczyzna – tradycja dla przyszłości”. Czytelnicy „Nowej Polszy” znają już teksty Aleksandra Jackowskiego (jednego z jurorów), poświęcone najciekawszym laureatom tego konkursu. Po 1989 roku nastąpiło niebywałe ożywienie rozmaitych grup, czasem w najbardziej zapadłych miejscach kraju. Konkurs nagradzał wszelkiego rodzaju inicjatywy (kulturalne, społeczne), związane z konkretnym miejscem. Termin „mała ojczyzna” wymyślił jeszcze przed wojną polski pisarz, zamieszkały wówczas na Huculszczyźnie, Stanisław Vincenz. Nazwa ta okazała się bardzo trafna i inspirująca. Zwłaszcza w Polsce pokomunistycznej, dążącej do Europy, a przy tym szukającej swojej tożsamości. Tożsamość ta może mieć wiele odmian i odcieni i to bogactwo jest wartością. Zwłaszcza, gdy myśląc o przyszłości, nie zapomina się o historii swojego najbliższego otoczenia.

Stefan Starczewski jako „opiekun” małych ojczyzn nigdy nie był dobrodusznym wujaszkiem. Jest dowcipny, bywa ironiczny. Dzięki temu idea małej ojczyzny w konkursie nigdy nie trąciła sentymentalizmem.

W życiorysie Starczewskiego przecina się wiele spraw najnowszej historii Polski. To także przykład inteligentnego rozumienia obowiązku wobec społeczeństwa, obowiązku rozumianego jako coś oczywistego, co nie przynosi sławy ani dochodu.

Piotr Mitzner

– Porozmawiajmy na początek o pana małej ojczyźnie. Pan jest warszawiakiem?

– Moja mała ojczyzna to Stare Miasto. Mieszkalem przy Nowomiejskiej 9 do powstania warszawskiego. Po powstaniu razem ze wszystkimi, którzy ocalili, a przeżyło ich niewielu, trafiłem z matką do obozu w Pruszkowie. Stamtąd uciekliśmy.

– Ile pan miał lat, kiedy zaczęła się wojna?

– Pięć.

– To niewiele pan pamięta?

– Wszystko. Lepiej pamiętam niż to, co się działo pięć miesięcy temu.

– Ale poważnie, pamięta pan wybuch wojny?

– Pamiętam taką grozę, która stopniowo ogarniała rodzinny dom. Mój ojciec był piłsudczykiem, więc miał nieco wyostrzoną świadomość historyczną. Słuchał radia, czytał, dyskutował. To niesamowite, ale doskonale pamiętam defiladę ułańską na Krakowskim Przedmieściu, na którą zabrał mnie ojciec.

Jedna z pierwszych złych wieści, jaka dotarła do mojej świadomości w czasie wojny, była taka, że nie będzie bananów. A potem dopiero te wszystkie straszne rzeczy... W czasie wyzwolenia byłem pod Warszawą. Przymieraliśmy z matką głodem. Zaraz zaczęliśmy się szykować do powrotu do Warszawy. Okazało się niebawem, że mój ojciec, który był w obozie niemieckim, przeżył i wrócił. Zginął cztery lata później. Nigdy się nie dowiedzieliśmy, czy to było zabójstwo o charakterze politycznym, czy przypadkowe.

Miałem starszego przyjaciela, który jako szesnasto- czy siedemnastolatek został wsadzony do więzienia. Było to dla mnie wielkie przeżycie. W szkole fizyk mówił do nas: „Burżuazyjne gnojki, my was wszystkich zniszczymy”.

Wcześniej, w latach 1947-1948, należałem do harcerstwa, tego jeszcze przedwojennego, które potem zostało rozbite. W nieco późniejszych latach naszych dowódców – drużynowych, przybocznych – zaczęto aresztować pod zarzutem, że harcerze zabili spikera polskiego radia, Martykę.

– A zabili?

– Najbardziej prawdopodobna wersja jest taka, że ubecy sami go zamordowali z jakichś powodów. Wówczas chodziło o to, żeby znaleźć pretekst do masowych aresztowań harcerzy. Między innymi trafiło i na mnie.



Jak tylko skończyłem siedemnaście lat, aresztowano mnie i przez pewien czas siedziałem w Urzędzie Bezpieczeństwa na Koszykowej. Było tam strasznie. Kiedy po próbach przesłuchania schodziłem na dół, zawsze dostawałem kopniaka. Pamiętam głód, bicie.

– **Czy pan w ogóle rozumiał, o co w tym wszystkim chodzi?**

– Na szczęście nie rozumiałem do końca i może dzięki temu ocalałem duchowo i fizycznie. Do niczego się nie przyznawałem, z uporem dzieciaka.

Pytali mnie też o jednego spośród moich kolegów, starszego ode mnie, Ryszarda Szwajkowskiego. Jego wcześniej zamknęli i strasznie dręczyli. Powiedziałem tylko, że śpiewaliśmy razem w chórze. Myśmy, prawdę mówiąc, mieli taką organizację Kawalerów i Panien Cnotliwych. Razem z kolegami i koleżankami śpiewaliśmy, wygłupialiśmy się, ale i pisaliśmy na murach rozmaite hasła, ale oni nie wpadli na ten trop. Siedziałem kilka miesięcy. Znienacka mnie wypuścili, jak zaczęła się odwilż. Już nie mogłem wrócić do mojego liceum, więc podjąłem naukę w trybie zaocznym. Potem był uniwersytet.

A potem przyszedł marzec 1968. Moja ówczesna żona, która była na studiach doktoranckich na filozofii, została pobita, jakiś czas siedziała. Wydarzenie to stało się dość istotnym doświadczeniem historycznym. Kiedy nasze i sowieckie wojska weszły do Czechosłowacji, ze znajomymi zrobiliśmy ulotki na wyżymacze. Pamiętam nawet początek tekstu: „Te same siły, które zniszczyły Polski Październik, teraz dławią dążenie do demokracji w Czechosłowacji. Protestujemy...”. Te ulotki były w najrozmaitszy sposób rozpowszechniane, między innymi wciskaliśmy je mieszkańcom osiedla wojskowego na Grochowie. A potem minęło parę lat, w ciągu których stosunkowo mało żyłem życiem publicznym.

Po strajkach w Radomiu w 1976 związałem się z grupą, którą organizował Mirosław Chojecki. Jeździłem do Radomia z pieniędzmi, bibułą, zdobywałem informacje. Chodziłem na rozprawy. Z czasem zacząłem z żoną prowadzić biuro, które gromadziło informacje o represjach, o procesach. Rok później wyrzucili mnie z pracy w domu kultury.

Wtedy już mogłem spokojnie zajmować się działalnością opozycyjną. Założyliśmy z kolegami podziemne pismo, a ja zostałem jego redaktorem naczelnym. Pierwszy numer się ukazał w 1978 roku. Nazwaliśmy je kwartalnikiem politycznym. „Krytyka” przede wszystkim zajmowała się opisem i analizą funkcjonowania systemu w okresie, gdy korodował. Redagowałem ją aż do Sierpnia. Latem 1980 roku wielu moich kolegów wsadzono do więzienia, ale mnie się udało uciec przed aresztowaniem, zresztą w zabawny w sposób. Mianowicie dom, w którym wówczas mieszkałem na Ursynowie, nie był w pełni ukończony i wciąż trwały w nim prace. Rano – dzwonek do drzwi. Byłem sam w mieszkaniu. Zdecydowałem, że nie otworzę. Dzwonki, bębnienie, walenie, tak trwało z pół godziny. Jak już odeszli spod drzwi, zobaczyłem przez okno robotnika. „Panie – zwróciłem się do niego. – Niech mnie pan stąd wyciągnie. Przyjechała po mnie policja za politykę, wie pan, strajki się zaczynają.” – „Dobra, pogadam z kolegami.” Wkrótce potem przynieśli mi ubranie robocze i tak przebrany uciekłem. Wraz z Erazmem Ciołkiem, fotoreporterem, pojechałem do Gdańska. Spędziłem tam cały ostatni tydzień strajku. To było fascynujące doświadczenie. Nawet reżimowi dziennikarze po kilku dniach zaczęli nam sprzyjać.

– **Czyli Wajda nie koloryzował w *Człowieku z żelaza*. Pan był obserwatorem czy ekspertem?**

– Byliśmy grupą, która robiła najrozmaitsze rzeczy. Wydawaliśmy codzienną gazetę „Solidarność”, do której pisywałem, przeznaczoną dla strajkujących, ale też podawaliśmy ją stojącym pod bramą. Przekazywaliśmy wiadomości do prasy, na zewnątrz. Miałem naprawdę pełne ręce roboty. Jaki tam był klimat! Pod koniec zjechała się tam cała Polska, wytworzył się zresztą ciekawy melanz towarzyski. Poza mnóstwem ludzi związanych wcześniej z opozycją, z Komitetem Obrony Robotników, byli na przykład pisarze: Janusz Głowacki i młody wówczas Tomasz Jastrun, który cały czas coś skrętnie zapisywał w notesie. Opowiem pani śmieszną historię. Ostatniego dnia, kiedy strajk się skończył, wychodziliśmy, radośni, w tłumie robotników. Akurat szedłem z Janem Strzeleckim, wysokim panem o wyglądzie klasycznego inteligenta. W pewnym momencie Jan nachylił się do jednego z robotników: „Co panowie tacy smutni, przecież wygraliśmy.” A robotnik patrzy na niego: „Panie, widzę, żeś inteligent. To pan nie wie, żeśmy przechlapali cenzurę?”

Potem wróciłem do Warszawy. Razem z moją pierwszą żoną, Krystyną, z którą po rozwodzie nadal się przyjaźniłem, z Anną Radziwiłł i Wiktorem Kulerskim zaczęliśmy działać na rzecz oświaty, wpływać na



nauczycieli, żeby założyli niezależny związek. Przez cały ten okres do grudnia 1981 roku z niezwykłą jeszcze energią zajmowałem się tym ruchem.

13 grudnia walenie do drzwi. Joasia, moja żona, zawsze się śmieje z jednego incydentu. Bo kiedy ja w sposób patetyczny tłumaczyłem ubekom: „Panowie, co wy robicie, Polskę niszczyacie, niezależny związek...” to jeden z nich, mocno znudzony, mówi: „Wiem, wiem wszystko, Katyń... wiem, o co wam chodzi”.

Po wyjściu z więzienia nastąpił najciekawszy okres w mojej biografii, mianowicie utworzyliśmy podziemny Komitet Helsiński. Dogadałem się z Markiem Nowickim, że założymy instytucję, której celem będzie badanie przestrzegania praw człowieka w Polsce w warunkach stanu wojennego. Uruchomiliśmy po prostu kontakty ze znajomymi. Okazało się, że Polskę ogarnął spisek powszechny. Każdy znał kogoś w rejonie, każdy o czymś słyszał. Korzystaliśmy też z pism opozycyjnych, jak „Tygodnik Mazowsze” i cała masa gazetek i biuletynów związkowych. Interesowały nas zabójstwa dokonywane przez nieznaną sprawców, bicie i rozmaite inne represje w więzieniach, naruszenia prawa do obrony, praw pracowniczych itd. Mozolnie weryfikowaliśmy te wiadomości, jeździliśmy po Polsce, kontaktowaliśmy się z ludźmi. W ten sposób gromadziliśmy wiedzę. Opracowaliśmy sensowny system porządkowania tych danych. Przygotowywaliśmy kolejne publikacje na ten temat i wydawaliśmy w podziemiu. Komitet był zespołem ludzi bardzo zróżnicowanych, ale niezwykle oddanych tej sprawie. Ja na przykład ściągałem do pomocy Jarka Kaczyńskiego. Przez kilka lat gorliwie współpracował z komitetem, przy czym niejednokrotnie miał się robót nieefektywnych, jak zbieranie danych. Towarzystwo było politycznie zróżnicowane, ale bardzo się wszyscy lubiliśmy, nie popadaliśmy w żadne konflikty. Do przyjscia wolności, bo potem się zaczęło.

– **Jak pan ocenia z perspektywy, jakie znaczenie miały te raporty?**

– Ktoś musi dbać o to, by świat się dowiedział, że gdzieś dzieje się potężne zło. I żeby ciągle o tym przypominał. Uważam, że mieliśmy pewien wpływ na stan świadomości związany ze stanem wojennym. Mieliśmy rzetelne, prawdziwe i konkretne informacje i staraliśmy się przekazywać je wpływom osobom. Bardzo poważną rolę odegrała wówczas Irena Lasota, która знаła wielu polityków amerykańskich. Nadzwyczaj skuteczny był też Eugeniusz Smolar, dyrektor BBC. Nasze raporty stanowiły czynnik nacisku na zachodnie rządy, na przykład podczas konferencji w zakresie praw człowieka w Madrycie czy Ottawie. W późniejszych latach Komitet Helsiński przygotowywał też raporty specjalne, na przykład na prośbę Międzynarodowej Organizacji Pracy czy Komitetu Praw Człowieka ONZ.

Po śmierci księdza Popiełuszki wpadłem w gniewny szal i napisałem broszurę „Akty terroru i bezprawia”. Zostało wydane przez Komitet Helsiński. Kiedy do Polski przyjechał amerykański pisarz Wiliam Styron, ktoś wręczył mu to opracowanie. Wkrótce potem mój raport przetłumaczony na angielski ukazał się w Stanach.

– **Czy te raporty przedstawiali państwo także osobom rządzącym wówczas w Polsce?**

– Tak, każdy raport posyłałmy do władz. Oczywiście przez pierwsze lata nie podpisywaliśmy ich, bo wiadomo, że by nas aresztowano. Co ciekawe, wygląda na to, że nie było wśród nas ani jednego ubeka, bo gdyby był, nie moglibyśmy tej roboty tak prowadzić.

– **Naprawdę? A zaglądał pan do swojej teczki?**

– Mam o swojej teczce wiadomości głównie od innych. Powinienem wreszcie to załatwić.

– **Nie zapisał się pan do żadnej partii?**

– Byłem związany z Unią Demokratyczną. Tam się skupili wszyscy moi koledzy z podziemia z czasów przedsierniowych. W Unii były trzy frakcje: lekko lewicująca, prawicująca i taka pośrodku, do której należałem. Ale właśnie ta frakcja nie odegrała żadnej roli, bo składała się z naiwniaków i idealistów. Teraz jestem bezdomny politycznie, bo żadne z istniejących stronnictw mi nie odpowiada.

Nie opowiedziałem jeszcze pani o pewnym epizodzie. Moja pierwsza żona pracowała kiedyś w liceum korespondencyjnym przy Klonowej. W pewnym momencie poprosiła mnie, żebym przejął od niej tę pracę, bo nie dawała rady. I ja przez rok uczyłem tam polskiego.

– **Kiedy to było?**

– W pierwszej połowie lat sześćdziesiątych. W przeddzień zakończenia roku pożegnałem się z uczniami, a wtedy podeszła do mnie uczennica z prośbą, czy mógłbym jej udzielać korepetycji. Zgodziłem się. Była to Barbara Jaruzelska, żona Wojciecha. Uczyłem ją do matury, a i potem, kiedy studiowała germanistykę, od czasu do czasu wpadała do mnie, do pracy, żebym jej pomagał. Przyszła do mnie w 1968 roku, żebym ją przygotował



do egzaminu i wytłumaczył, co to jest faszyzm. Jak jej wyjaśniłem, na czym to polega, jak się rozwija, była przerażona. Chyba się obraziła, że jej dawałem przykład Moczara, ich przyjaciela, bo potem już nigdy nie przyszła. Po latach spotkałem ją na bazarze przy Polnej. Przywitałem się, ona mówi: „Tak się martwiłam, jak się dowiedziałam, że pan, panie Stefanie, taki szlachetny człowiek, uwikłał się w tych bandytów”. Ja: „Na jakiej podstawie mówi pani, że to bandyci?” – „Bo wyście chcieli zabić moją córkę.” Im tam wmawiano, że my szykujemy krwawe zabójstwa! Powiedziałem: „Pani Basiu, może kiedyś pani zrozumie, że – o ile mogę łączyć panią z tym obozem – to wyście robili krzywdę narodowi polskiemu”. Minęły lata. Rząd Mazowieckiego, w którym byłem wiceministrem, zorganizował pierwsze w wolnej Polsce uroczystości związane z 3 maja. Przyszedł ówczesny prezydent, Jaruzelski, z żoną. Ukłoniłem się, a ona: „Jak się cieszę, że pana TU widzę. Całe szczęście, że pan się nie dał wciągnąć.” – „W co, pani Basiu?” – „W tę komunę” – powiedziała Barbara Jaruzelska!

Opowiedziałem to, bo kiedy siedziałem na komendzie milicji, miałem przy sobie stary notes z numerami telefonów. Jak zobaczyli, że mam telefon Barbary Jaruzelskiej na Solariego, od razu z niezwykłym wprost szacunkiem zawieźli mnie do domu. „Musieliśmy pana zatrzymać, ale pewno się pan zmęczył tym pobytem, to pana podrzucimy.” Ostatni raz spotkałem panią Basię z rok temu. „Z rozzuleniem wspominam tamte lata” – mówi. „Pan był wówczas taki mądry, a nawet pan nie mógł zrobić doktoratu, bo komuna panu przeszkadzała...” A ona doktorat zrobiła.

– **Represje spotkały również pańską rodzinę.**

– Kiedy byłem redaktorem „Krytyki”, moja córka zakochała się w uciekinierze z Wietnamu. On dwa lata studiował w Gdańsku. W pewnym momencie dowiedział się, że lada dzień mają go wysłać z powrotem do Wietnamu, za karę, że zadawał się z Polakami. A on uczył polskich kolegów kung-fu i tai-chi. Wówczas Nam uciekł do Warszawy, ukryli go Aldona i Tadeusz Klimczakowie. Tutaj też uczył wschodnich metod walki, między innymi aktorów, i spotykał się z Anią. Pewnego razu moją pierwszą żonę zgarnięto na ulicy i przewieziono do pałacu Mostowskich. Powiedziano jej: „Wiemy, że pani córka kocha Nama. Jeśli pani nie podpisze zgody na współpracę, to my go oddamy w ręce Wietnamczyków, a wiadomo, że oni go rozstrzelają”. Krystyna, przerażona, nie podpisała, ale spytała, na czym będzie polegała ta współpraca. Okazało się, że musi dowiedzieć się ode mnie, jak, gdzie i kiedy jest drukowana „Krytyka”, kto się tym zajmuje. Poprosiła o dwa dni do namysłu. O dziwo zgodzili się, ale zapowiedzieli, że będzie przez cały czas pilnowana. Przyjechała do nas w nocy. Dom był na podsłuchu, więc całą tę historię w skrócie pisała na kartkach. Na koniec napisała: „Trzeba schować Nama, a wtedy mogę z nimi rozmawiać inaczej”. Ułożyliśmy plan i z pomocą Mirka Chojeckiego, Ewy Milewicz, Wojtka Arkuszewskiego, w trzy samochody, porwaliśmy Nama na ulicy i wywieźliśmy go do klasztoru Kamedułów. Ponieważ zakonnicy też się bali, więc Nam przed braćmi uchodził za mnicha indonezyjskiego, który przyjechał się modlić na nasz kontynent. Udawał, że nie zna polskiego, zjadał skromny posiłek i siedł do swojej celi kontemplować.

Później dzięki działaniom Krystyny – ja wówczas siedziałem – Nam oddał się pod opiekę ambasady francuskiej i w końcu wyjechali z Anią na emigrację. Ale jeszcze przedtem było takie zdarzenie: ja tkwiłem w więzieniu na Białoleścu. Po manifestacjach 1 i 3 maja powsadzali masę młodych ludzi, od których dowiedzieliśmy się, co się działo na mieście. Pamiętam opowieść jednego z nich: „Na placu Zwycięstwa oni idą w hełmach i z pałkami, my na nich z kamieniami. Aż tu nagle od strony galerii «Zachęty» wyskakuje grupa młodych ludzi na czele z jakimś Azjatą. Widać, że się nie boją, tylko idą prosto na zomowców. Zaczęła się walka. I ci, tylko stosując jakieś techniki walki, rozproszyli watahę zomowców z pałami”. Zrobiło mi się słabo, bo byłem dziwnie pewny, że to był Nam z grupą uczniów, co się oczywiście potwierdziło.

– **Porozmawiajmy teraz o tym, jak to się stało, że z opozycjonisty został pan wiceministrem kultury i czy się pan odnalazł na tym stanowisku. Jednak praca urzędnika wysokiej rangi to nie to samo co działalność podziemna.**

– Pierwszy rok rządów Mazowieckiego był trochę jak kontynuacja opozycji. Dobrze czułem się w ministerialnej roli. Po pierwsze, zajmowałem się między innymi reformą prowincjonalnych instytucji kulturalnych. Po drugie, z upoważnienia Mazowieckiego byłem przewodniczącym Komisji do spraw Mniejszości Narodowych. Premier powierzył mi bardzo ważne i dla mnie atrakcyjne zadanie odebrania mniejszości z pola działania MSW – i wprowadzenia ich w orbitę Ministerstwa Kultury, żeby oderwać je od wpływów politycznych, a zająć się



sprawami kulturalnymi i edukacyjnymi tych środowisk. I to mi się udało. Wtedy po raz pierwszy przedstawiciele wszystkich mniejszości: Żydów, Białorusinów, Cyganów, Ukraińców, Niemców itd. spotkali się razem.

Z osiągnięciami kulturalnymi wielu ciekawych według mnie grup zetknąłem się, prowadząc potem siedem edycji konkursu „Małe ojczyzny”.

– **Co to był za konkurs?**

– „Małe ojczyzny – tradycja dla przyszłości”. Byłem szefem tego przedsięwzięcia, kiedy pracowałem w Fundacji Kultury. Wymyśliłiśmy to razem z Izabelą Cywińską i profesorem Wiktorem Chmielewskim, specjalistą od architektury lokalnej. Spodobała nam się ta nazwa, bo trafnie i syntetycznie oddawała istotę tego, o co nam chodziło. Tradycja i przyszłość, budowanie od podstaw czegoś, co było zrujnowane w komunizmie, mianowicie poczucia identyfikacji z własną małą ojczyzną. Mała ojczyzna to nie jest teren określony administracyjnie, to nie jest gmina ani powiat. Mała ojczyzna to miejsce, które ludzie tam żyjący uznają jako ich, mają poczucie identyfikacji z tamtejszym krajobrazem, okolicą, mieszkańcami, problemami. W małej ojczyźnie jesteśmy kształtowani, zawiązują się więzi, rodzą się konflikty, przeżywa się dramaty. Idea budzenia potrzeb i dążeń obywatelskich, budzenia odpowiedzialności za swój własny świat, w którym się żyje, który nas kształtuje, jest i była według nas ważna zwłaszcza po przełomie 1990 roku. Chodziło o to, żeby społeczność lokalną aktywizować poprzez jakichś liderów, ludzi, którzy zgłaszają sensowny projekt przedsięwzięć, służących przyszłości, jednak powiązanych z tradycją. To nie miała być po prostu modernizacja.

Za pośrednictwem rozmaitych środków przekazu, pism prowincjonalnych, samorządowych, później Internetu, zwracaliśmy się do środowisk lokalnych, samorządów, gmin z zaproszeniem do udziału w konkursie. Organizacyjnie wyglądało to tak, że po ogłoszeniu przez nas rekrutacji, do konkursu stawało powiedzmy kilkaset rozmaitych środowisk. Następnie jury po analizie wszystkich projektów wybierało kilkadziesiąt. Ich autorzy otrzymywali od nas polecenie dalszych działań, a po ocenie ich wykonania wyłaniano grupkę dziesięciu – dwunastu finalistów. Jurorzy jeździli do nich, by na miejscu obejrzyć realizację wybranych projektów i przekonać się, czy warto tych ludzi wesprzeć. Konkurs kończył się przyznaniem nagród trzem czy czterem osobom lub grupom.

Trzeba było zbierać pieniądze od sponsorów, starać się o nie w Ministerstwie Kultury czy u premiera. Jerzy Buzek sprzyjał konkursowi, nie odmawiał pieniędzy minister kultury Waldemar Dąbrowski. Dobrym sponsorem była na przykład Wytwórnia Papierów Wartościowych. Od koniunktury zależało, ile udało nam się zebrać pieniędzy. Raz mieliśmy 120 tysięcy na nagrody, a w innym roku 400 tysięcy.

– **Czy uważa pan, że poza tymi pieniędzmi zwycięstwo w konkursie miało znaczenie dla nagrodzonych środowisk? Już samo zainteresowanie mediów wydaje się dużą nagrodą.**

– Jak najbardziej. Przez jakiś czas konkursowi towarzyszył Michał Bogusławski, reżyser, który inspirował powstanie filmów telewizyjnych o małych ojczyznach. Nakręcono ich ponad 150, niektóre naprawdę świetne, choć niestety pokazywano je w godzinach złej oglądalności. Konkurs miał znaczenie inspirujące, miał też aspekt edukacyjny. Mobilizował ludzi do działania, był czynnikiem wyzwalamym nową energię. Tu chodziło o to, żeby ludzie sami sobie wyznaczali cele, żeby chcieli działać według własnych dążeń i aspiracji. I robiąc coś dla siebie, mieli możliwość wypłynięcia na szersze wody.

– **Może pan podać przykład takich nagrodzonych projektów?**

– Na przykład małe, lokalne muzeum w wyniku energicznych starań miejscowych społeczników z Węgorzwa stało się wielką instytucją o wielofunkcyjnym działaniu, międzynarodowym miejscem spotkań Litwinów, Łotyszów, Belgów, Flamandów itd. Inny przykład: grupa miejscowej inteligencji w Barlinku na Pomorzu Zachodnim, nawiązując do tradycji pomorskich, postanowiła wyremontować młyn, pięknie położony w lesie nad jeziorem. Ten młyn z czasem stał się miejscem ważnych lokalnych przedsięwzięć artystycznych. Albo Podkowa Leśna. Tam zapraszano do współpracy wybitne osobistości ze świata kultury wysokiej, a to znów punków albo uchodźców, oferowano więc swoisty melanz kulturowy. Były w tym ruchu małych ojczyzn wspaniałe postacie, na przykład państwo Pilchowie, którzy wyremontowali zrujnowany renesansowy dwór koło Jordanowa. Nie tylko tam zamieszkali, ale ponieważ są to muzycy kochający muzykę dawną, stworzyli tam ośrodek, do którego przyjeżdżali ludzie zainteresowani muzyką dawną właściwie z całej Europy. Jednocześnie prowadzili organiczną działalność na miejscu, ucząc dzieci chłopskie śpiewów renesansowych czy gry na lutni. Trzeba jednak dodać, że Pilchowie spotkali się ze sporą niechęcią ze strony miejscowych, której podłożyłem



była zadawniona od wieków wrogość między panem a chłopem w Galicji, z czasów, kiedy chłopci rżnęli panów piłami w 1846 roku. Ponieważ Pilchowie zaczęli sięgać do tradycji, organizowali jakieś pogadanki, pamięć tego się obudziła. Kiedy jako jurorzy przyjechalśmy tam na koncert, zagłuszył go ryk miejscowej wulgarnej muzyki. Okazało się, że często tak utrudniano pracę Pilchom.

– **Kiedy dostali pieniądze w nagrodę, to pewno ich znienawidzono jeszcze bardziej.**

– Faktem jest, że mała ojczyzna w rozumieniu naszego konkursu to nie jest coś sielskiego, coś o charakterze sentymentalno-romantycznym. Jest też piekło małych ojczyzn. Wielokrotnie mieliśmy z tym do czynienia, zwłaszcza na pograniczach Rzeczypospolitej. Nieraz przy okazji szperania w pamiątkach z przeszłości odsłaniają się jakieś ponure i krwawe dzieje. Na przykład w Sejnach jeszcze w latach dwudziestych XX wieku Litwini i Polacy wzajemnie się mordowali i ślady tego istnieją w świadomości ludzi po jednej i po drugiej stronie. A właśnie tam działa znakomity Ośrodek „Pogranicze – sztuk, kultur, narodów” prowadzony przez Krzysztofa Czyżewskiego. Założyło go kilka osób, które przyjechały z różnych stron Polski, stworzyły własną grupę artystyczną i zamierzały przełamywać te bariery nienawiści między Polakami i Litwinami. I to im się w jakimś stopniu udało. Tylko w jakimś stopniu, bo jednak ślady konfliktu pozostały, ale mają już inny charakter.

– **Czy z roku na rok konkursem interesowało się coraz więcej osób, czy przeciwnie, coraz mniej ludzi chciało się angażować w działanie na rzecz swojej małej ojczyzny?**

– Zawsze było kilkaset zgłoszeń.

– **Jak pan patrzy z perspektywy, czy konkurs się zmieniał przez te lata?**

– Wyraźnie ewoluował. Od fazy idealizmu, trwającej mniej więcej do połowy lat dziewięćdziesiątych, do nawet daleko idącej interesowności, widocznej w ostatnich edycjach. Pierwsi uczestnicy myśleli o tym, że kształtują nową Polskę, odbudowują swoją małą ojczyznę z ruin po komunizmie, a późniejszym zależało głównie na pieniądzach. Ich projekty miały zrobić wrażenie na jurorach, żeby przyznali nagrodę. A w kręgu pierwszych uczestników byli ludzie, dla których nie tyle liczyła się nagroda, ale samo zauważenie ich pracy oraz kontakt z nimi i innymi uczestnikami. Przez pewien czas – potem już nie mieliśmy na to pieniędzy – organizowaliśmy spotkania przedstawicieli małych ojczyzn, żeby się podzielili doświadczeniami. To było bardzo ciekawe. Udało mi się nawet przy współpracy z Europejską Fundacją Kultury doprowadzić do zjazdu przedstawicieli różnych krajów. To międzynarodowe spotkanie w Jabłonie miało umożliwić zwłaszcza krajom posowieckim, ale i zachodnim, rozpoczęcie współpracy i tworzenie sieci porozumień społeczności lokalnych, środowisk małych ojczyzn. Ale teraz nie ma kto się tym zająć.

– **A właściwie dlaczego przestano organizować konkurs? Z powodów finansowych?**

– Poszedłem na emeryturę, potem zachorowałem. Fundacja miała zły okres, zmieniali się prezesi.

– **Czyli wszystko na panu się opierało. A teraz zabrakło lidera, który by to pociągnął.**

– Musi być jeden człowiek, który to prowadzi. Ale może nowy prezes wskrzesi konkurs. Bardzo bym im tego życzył. Do tego konkursu naprawdę warto wrócić. Zwłaszcza że czasem słyszy się teraz w telewizji głosy przeciw społeczeństwu obywatelskiemu. Trzeba bronić tej idei.

Rozmawiała Teresa Czerniewicz-Umer

2006, nr 12



SOLISTA

Z Andrzejem Mandalianem rozmawia Joanna Szwedowska



Andrzej Mandalian

– *Czerwona orkiestra*. Dlaczego napisałeś tę książkę? Dlaczego postanowiłeś po wielu latach opowiedzieć o swoim moskiewskim dzieciństwie polskiemu czytelnikowi?

– Wiem, że to książka w pewien sposób spóźniona. Napisałem nawet w dedykacji mojemu przyjacielowi, z którym się znamy od prawie pół wieku, że to jest książka spóźniona przynajmniej o tyle lat, ile się właśnie znamy. Zacząłem ją pisać tuż po stanie wojennym, w drugiej połowie lat osiemdziesiątych. Bo wtedy mogłem ją normalnie wydać – w „NOWEJ”, która już wychodziła z podziemia. Przedtem pisałem do szuflady, teksty nieudane zresztą... I z tego pisania do szuflady jakoś się zrodziły początki *Czerwonej orkiestry*.

A dlaczego ją napisałem? To była chęć zrozumienia własnego życiorysu. Chęć zrozumienia i pokazania, jakimi drogami kluczyła moja świadomość od dziecka. Dlaczego dokonywałem takich, a nie innych wyborów? Co było moją obsesją? I to wszystko można znaleźć w *Czerwonej orkiestrze*. Ale to nie jest opowieść o strasznym dzieciństwie, tylko o tym, jak się krystalizowały moje poglądy i postawy, dlaczego i pod wpływem jakich bodźców.

– Jak czytałem tę książkę po raz pierwszy, parę lat temu, to najważniejsza z niej wydawała mi się opowieść o odkrywaniu polskości i języka polskiego. Czy tak to było naprawdę? Jaki był twój pierwszy język?

– Ormiański, ale ja go nie pamiętam. Zapomniałem od razu, bo to były czasy bardzo wczesnego dzieciństwa. Potem rosyjski, a co do polskiego, opisałem swoje początki w *Czerwonej orkiestrze*. Najważniejszymi dla mnie były wtedy książki, które pozostały po moim bracie ciotecznym. Fascynowały mnie, ale nie mogłem ich czytać, bo nie umiałem poradzić sobie z alfabetem. Dopiero pomału, stopniowo zacząłem się w nie wgryzać, aż doszedłem do Sienkiewicza. To był drugi tom *Potopu*. Po drodze pojawiła się jeszcze Konopnicka, i oczywiście jakieś podręczniki do nauki polskiego, ale to akurat uważałem za straszne nudziarstwo, nic nie można było z nich zrozumieć. Pozostawało tylko czytać. Więc czytałem.

– Ile wtedy miałeś lat?

– Trzydzieści, później czterdzieści. Mnie to bardzo intrygowało. Język polski był w domu obecny, matka rozmawiała po polsku z siostrą, moją ciotką, a ja nic nie rozumiałem! Goście, którzy do nas przychodzili, też mówili w tym języku, więc do pewnego stopnia osłuchiwałem się z nim... To był oddech innego świata! W Moskwie, która – przynajmniej mnie – w tym okresie niezbyt ciekawiła (była to już wojenna Moskwa) jedyne, co mi pozostawało, to czytanie. I czytałem bardzo dużo, czytałem w bibliotece, w czytelnicy – tam było ciepło, więc często tam chodziłem; czytałem też dużo w domu. Pamiętam, jak w tej czytelnicy zabrałem się do *Nędzników* i jak uderzyło mnie przy tej lekturze zdumiewające hasło, wykrzykane przez któregoś z bohaterów – „niech żyje Polska!”. W Paryżu, podczas rewolty czterdziestego ósmego – to robiło wrażenie! Poczulem, że tu chodzi o coś bardzo ważnego.

– Kim był twój ojciec?

– Straciłem go bardzo wcześnie, pozostał w mojej pamięci jako człowiek bardzo mi bliski, a zarazem daleki, w tym sensie, że po prostu nie bardzo go znałem. Miał na imię Thathos, Tadeusz. Pamiętam, że dużo mi czytał. Przeważnie coś z literatury angielskiej, tłumacząc od razu na rosyjski. Znał ponad dziesięć



języków. Ukończył ormiańskie seminarium w Tbilisi, a poza tym był właściwie samoukiem. I pisał wiersze po ormiańsku.

Nie miał dla mnie zbyt wiele czasu, ale ten, wspólnie spędzony, był dla mnie bardzo istotny. O ojcu opowiadali mi jego przyjaciele, ci, którzy ocalili. I dwaj jego bracia. Ojciec był najstarszy.

Był komunistą. Za młodu, podczas rzezi Ormian, salwował się wraz z bratem ucieczką, przedzierając się przez tereny tureckie. Brat się zgubił, odnalazł się wiele lat później – jako bezprizornyj. Ojciec uciekł, i to go w jakiś sposób ukształtowało – to, co przeżył w młodości. Zapewne dlatego został komunistą, chociaż jego ojciec, mój dziadek, był socjaldemokratą, a na dodatek burmistrzem miasta Giumri – co jest starą nazwą ich rodzinnego miasta, które za czasów carskich nazywało się Aleksandropol, a za bolszewików Leninakan. Ojciec był jednym z organizatorów powstania w tym mieście, zbuntował się przeciw własnemu ojcu, a potem już tak poszło – został w wojsku, w Armii Czerwonej, która walczyła w Azerbejdżanie. Potem pracował w związkach zawodowych, sporo pisał, głównie o międzynarodowym ruchu związkowym.

Był w Chinach podczas wojny domowej, był w Hiszpanii podczas wojny domowej, czyli życiorys miał, dla mnie przynajmniej, bardzo atrakcyjny. A jaki był naprawdę – nie mam pojęcia, bo pożegnałem go, mając trzynaście lat. Pamiętam tylko dość dramatyczny czas, kiedy przyjechał do Moskwy z Hiszpanii na kilkanaście dni, i nie wiadomo było, czy wróci, czy też zostanie aresztowany, bo już wszystkich jego znajomych i przyjaciół zamknęli. Widziałem jego samotność. To było niesamowite, gdyż wobec mnie – dziecka – ujawniła się wtedy istota jego tragedii. Choć nie zdawałem sobie w pełni sprawy z głębi tej jego samotności, wyczułem to z jego zachowania, tak był odmieniony. Nie pozwolił się nawet odprowadzić na dworzec. Miało to miejsce pod koniec 1938 roku. Ale wtedy go nie zgarnęli; wrócił jeszcze na pewien czas do Hiszpanii, a gdy przyjechał znowu, został od razu aresztowany. Stało się to w dniu zawarcia paktu Ribbentrop-Mołotow, 23 sierpnia 1939 roku. I mnie się na zawsze skojarzyło zdjęcie z „Prawdy” z uśmiechniętym Ribbentropem i uśmiechniętym Stalinem ze zniknięciem ojca.

– **Urodziłeś się w Szanghaju w grudniu 1926 roku. Co zagnało tam twoich rodziców?**

– Ojciec pojechał do Chin robić rewolucję, a matka uznała ósmy miesiąc ciąży za najodpowiedniejszy czas, by pociągnąć za nim. W tym czasie nastąpił też przewrót Czanga, nadszedł okres najbardziej krwawych walk w Szanghaju właśnie. Jest taka reportażowa niemal książka Andre Malraux *Zdobywcy*, i jest tam scena, w której Rosjanie z ekipy doradczej wieją z Szanghaju. Malraux opisuje, jak z rąk do rąk podają sobie dziecko, niemowlę, żeby przekazać je na odpływający statek. I tym dzieckiem jestem ja! Sprawdzalem w dokumentach – żadnych innych niemowląt w tym okresie tam nie było. A więc to chyba zrozumiałe, że z miejsca swoich urodzin niewiele zapamiętałem.

– **Ojciec został aresztowany w sierpniu 1939 roku. Czy wiesz, kiedy zginął?**

– Przed paroma dopiero laty dostałem informację. Przedtem podawali kilka dat. Wszystkie fałszywe, na odczepnego. Wiadomo, że zginął już po wybuchu wojny rosyjsko-niemieckiej. Dwa i pół roku dręczono go w śledztwie, bardzo długo; a to dlatego, że nie dał się złamać, że nic od niego nie uzyskano. Tak wynika z dokumentacji. Nie wiem, czego od niego chcieli, matkę oskarżono po prostu o to, że przegrała wojnę w Hiszpanii, ni mniej, ni więcej, Ojciec został zamordowany jesienią 1941 roku. Wyrok brzmiał: „dziesięć lat bez prawa pieriepiski”, czyli bez prawa do korespondencji, taka wtedy zakamufLOWANA nazwa była w użyciu. Mama w tym samym czasie została skazana na osiem lat, a to już znaczyło: życie. Pierwszą wiadomość od niej dostałem gdzieś parę miesięcy po wyroku: że jest w karnym obozie w Pot'mie.

Nie było mnie w domu, podczas aresztowania ojca. Ale dobrze pamiętam dzień, w którym zabrano matkę. To był czerwiec 1940 roku, niecały rok po aresztowaniu ojca, który to czas zużyła na zasypywaniu NKWD protestującymi listami.

Pamiętam ten czerwcowy ranek, kiedy po nią przyszli. To była jakaś trzecia, czwarta rano. Zawsze przychodzili bladym świtem. Kazała mi leżeć w łóżku, podczas gdy przeszukiwano mieszkanie. Kiedy już wyprowadzono ją z domu i zostałem sam na sam z agentami, którzy przeprowadzali rewizję, jeden z nich znalazł w moim pokoju między zabawkami kaburę od pistoletu ojca. To zresztą była moja ulubiona zabawka. Pistolet ojciec dostał w prezencie od rządu hiszpańskiego i miał on nawet stosowny, wygrawerowany na tabliczce, tekst na ten temat. Nieraz, jeszcze za bytności ojca, bawiłem się skrycie tym pistoletem i jakiś mój koleżka namawiał mnie kiedyś, żebyśmy poszli sobie postrzelać z niego na naszym podwórku. Ale na szczęście resztki rozsądku we mnie wzięły wtedy górę i obeszło się bez tej eskapady.



A teraz ten ubek nagle zaczął mnie indagować, gdzie schowałem pistolet. Mnie to indagowanie jednocześnie rozwścieczyło i rozśmieszyło, bo przecież było oczywiste, że pistolet zabrano podczas poprzedniej rewizji i aresztowania ojca.

I wtedy zacząłem się śmiać. Dostałem ataku śmiechu! Nie wiem, czy to była histeria, ale pamiętam, że dotarła do mnie wtedy absurdalność całej tej sytuacji! Mnie, trzynastoletniego chłopca, ten wielki enkawudzysta pyta, gdzie jest pistolet! Nie mogłem przestać się śmiać, a on, nie rozumiejąc tej reakcji, nadal pytał i pytał. Aż wreszcie zabrał kaburę i zabrał się sam na dobre.

– **To i tak był łagodny...**

– Jak w tym dowcipie o Leninie... Nie, nie było tak groźnie, najwyżej mogli mnie zabrać do domu dziecka, ale uratowała mnie ciotka, która roztoczyła nade mną formalną opiekę.

Powiadasz, że byli łagodni... No, nie wiem... Z pewnością natomiast byli nieuważni. Podczas aresztowania matki, jak jeszcze była w domu, do drzwi zadzwoniła sąsiadka, jedna z tych odwiedzających ją żon aresztowanych. Ciotka otworzyła i powiedziała, że to pomyłka, że to nie ten numer mieszkania, a tamci w ogóle nie zwrócili na to uwagi. To było jakieś takie nieprofesjonalne.

Przy aresztowaniu zwykłe wzywano dozorców – wymagała tego procedura, musieli być w charakterze świadków. I dozorczy ci czuli się nader tym wyróżnieniem zaszczytzeni, ale z drugiej strony wytwarzała się między nami jakaś dość bliska więź – byli przecież obecni podczas najbardziej dojmujących, intymnych dla nas zdarzeń: procesu pozbawiania człowieka rodziny. Zawsze potem w stosunku do mnie zachowywali się nadzwyczaj uprzejmie i miło, a przecież wiedziałem, że są szpiclami i donosicielami. Takie były warunki naszego bytowania.

Składnąd aresztowania miały miejsce na porządku dziennym. Wiedzieli o nich wszyscy i każdego to mogło spotkać. Nie byłem żadnym wyjątkiem. Naprzeciwko naszego domu stał inny, w którym mieszkali wojskowi. I pamiętam, jak w nim powoli, niemal każdego dnia, wieczorem coraz mniej świeciło się okien... Aż wreszcie zostało już w tym wielkim domu tylko jedno okno, w którym paliło się światło. Opuszczony, wypatroszony dom.

– **To wszystko wydawało ci się zwyczajne i normalne, bo dziecko przyjmuje rzeczywistość taką, jaka jest mu dana z zewnątrz. I próbuje się do niej dostosować. I w tej opowieści o dzieciństwie ty to uświadamiasz czytelnikowi, że taki był świat tego chłopca – nienormalny, chory, zepsuty, ale w nim trzeba było żyć.**

– To był taki czas. Właściwie czas śmierci. Jeszcze nie tej wojennej, ale tej codziennej. I trzeba było w tym żyć. I nie wiadomo było, jak... Ja się z tym nie umiałem pogodzić, buntowałem się. I pewnie wyrazem tego buntu stało się dla mnie wtedy pisanie wierszy. Pisałem przede wszystkim o sobie. W tych wierszach występowałem z reguły w charakterze szczeniaka, któremu zabito matkę – szczeniaka odgryzającego się na wszystkie strony.

Bo trzeba tu dodać, że więzienie wtedy w Rosji oznaczało śmierć, całkowite zniknięcie człowieka... No i znajdowałem ratunek w tych pisanych po rosyjsku wierszykach. Miałem trzynaście lat i poezja była jakimś sposobem uświadomienia sobie tego wszystkiego, co się dokoła dzieje.

Bo też co mogłem robić innego? Innym sposobem buntu była ucieczka w czytanie książek. Czytałem *Wojnę i pokój* Tołstoja i całkowicie zanurzałem się w innym świecie. Zresztą wszyscy wtedy czytali. I dlatego całe dnie podczas wojny spędzałem w czytelnii, w bibliotece – bibliotece imienia Stalina, a jakże! Mieściła się w sąsiednim domu, było tam rzeczywiście bardzo ciepło, a w domu zimno, ogrzewanie nie działało – na zewnątrz temperatura dochodziła do minus 40 stopni. Miałem takie rękawiczki, których nie zdejmowałem z odmrożonych rąk, bo się ich wstydziłem. Siadywałem w tej bibliotece w płaszczu i rękawiczkach i czytałem wszystko po kolei. Kiedyś dostałem nieprawdopodobnego ataku śmiechu przy czytaniu książki, to był chyba Dickens i jakiś bardzo śmieszny epizod spowodował, że zacząłem się na głos śmiać. I nie mogłem przestać, mimo że wszyscy dokoła zaczęli się na mnie gapić. To było okropne, bo wtedy – nie tylko w tej bibliotece, ale w ogóle – starałem się być niewidzialny, marzyłem o tym, żeby zniknąć.

– **Dla chłopca w twoim wieku największym nieszczęściem, jakie może mu się przydarzyć, to zabranie rodziców.**

– Bardzo to przeżywałem, odchorowywałem raz po raz. Ale też, paradoksalnie, w tej Moskwie czasów wojny odzyskiwałem również poczucie wolności. W tym sensie, że czułem się wolny od wszystkiego. Nagle



spadła ze mnie ta zmora odrzucenia, odrzucenia. Zrozumiałem, że wszystko mi jedno: mogą zabić, mogą aresztować – wszystko jedno. No i prawdę mówiąc, po wybuchu wojny nastąpiło jakieś rozluźnienie, nagle przestano zajmować się nami, nieszczęsnymi cywilami z podejrzanych rodzin, na zapleczu frontu. Na krótko, bo na krótko, ale łapało się wtedy trochę oddechu. Nim zaczęto z powrotem dokręcać śrubę, był taki moment rozpadu imperium.

– **Symbolem tego nieszczęścia jest w Czerwonej orkiestrze ten zaplombowany po aresztowaniu rodziców pokój, z całym światem życia i dzieciństwa zamkniętym za zapieczętowanymi drzwiami.**

– Ten świat znieruchomiał i umarł za tamtymi drzwiami. Dlatego takim wstrząsem było dla mnie wkroczenie weń ludzi, którzy chcieli zawłaszczyć go wraz z pokojem rodziców i używając rzeczy oraz perfum mojej matki, decydować o naszym losie. Mówimy, jak rozumiem, o zjawieniu się w naszym mieszkaniu w towarzystwie milicjanta pewnej przedstawicielki władz lokalnych, która nad wyraz bezceremonialnie zaczęła się w nim panoszyć.

– **I ty, zdeterminowany zachowaniem tej kobiety, która chciała zawłaszczyć twój dawny świat, poszedłeś na NKWD i, brutalnie mówiąc – złożyłeś donos na deputowaną i towarzyszącego jej milicjanta.**

– Pierwszy i ostatni donos w moim życiu. Nie miałem wyjścia. Była to walka o przeżycie. To z dystansu czasu dopiero wygląda nader podniecająco: naszczuć NKWD na milicję. Gdyby nie pazerność i chamstwo tych nieproszonych gości, nigdy bym się na to nie odważył. Przecież dobrze znałem tamten gmach. Chodziłem tam często, żeby się dowiedzieć o los ojca i matki. Tyle że dla nas, pytających o losy bliskich, przeznaczone było wejście od podwórza – jakaś obskurna poczekalnia, w której spędzaliśmy długie godziny w kolejkach. Natomiast, jak poszedłem ze skargą na milicję, w charakterze bądź co bądź obrońcy prawa, to wkroczyłem głównym wejściem, z marmurami, przestronnymi korytarzami i eleganckimi pokojami... Do dziś stoi to wszystko, chyba bez zmian. Te same resorty tam wciąż prosperują...

– **Poszedłeś do swojego wroga, który ci zabrał rodziców, bo straszniejsza dla ciebie była ta baba, która wtargnęła w ten święty pokój i chciała zaanektować resztę mieszkania dla siebie?**

– Tak. Dla mnie była wtedy równie straszna. Do pewnego stopnia zdawałem sobie chyba sprawę z tego, że lecę tyfus cholery. No i chyba z tego, że w gruncie rzeczy to dosyć zabawne, że w boju o ten pokój i pozostałe w nim rzeczy rodziców starły się dwie potężne panujące nad nami siły – milicja i NKWD.

– **Czy mama odsiedziała te osiem lat?**

– Pięć i pół. Wypuścili ją wcześniej, w lecie '45, myślę, że wskutek interwencji samego Bieruta, bo znali się jeszcze z Lublina. Zaczęto wtedy wypuszczać Polaków z obozów i matka przez znajomą przekazała swe dane, potrzebne do interwencji. Potem, po kilku tygodniach, wyjechała do Polski, a ja zostałem w Moskwie. Zdałem maturę i dostałem się na studia medyczne.

Przyjechałem do Polski dopiero w lipcu 1947 roku; jeszcze jako obywatel radziecki, na zaproszenie matki. Dostałem paszport na trzy miesiące i przyleciałem samolotem. W spodniach przerobionych ze starych sztuczkowych spodni ojca i w kapeluszu, bo ciotka oświadczyła, że nie wypuści mnie do Polski bez kapelusza. Na szczęście matka już na lotnisku kazała mi zdjąć to gustowne nakrycie głowy. A spodnie po drodze się rozleciały. Od tego czasu nigdy nie włożyłem kapelusza.

– **A dlaczego tak późno zdecydowałeś się na wyjazd?**

– Myślę, że bałem się Polski. Miałem zakodowaną w sobie legendę Polski, ale przywiązałem się do rosyjskiej rzeczywistości. Innej nie znałem, w tej żyłem. Nie bez znaczenia było to, że pisałem wiersze po rosyjsku.

– **Pamiętasz swoje pierwsze spotkanie z Polską?**

– Jeszcze z okien samolotu zobaczyłem morze gruzów. Przeróżające. Potem dużo łąziłem po mieście. Ceglany kurz, porozwalane domy, ze śladami dawnych mieszkań, robiło to niesamowite wrażenie. Straszna była ta Warszawa w swoim popowstaniowym kształcie.

Zamieszkałem z matką przy Bukowińskiej, mieliśmy pokój z kuchnią. Postanowiłem dalej studiować medycynę. I znalazłem się w innym świecie. Do tej pory żyłem w sowieckiej łagrowej atmosferze, Polska znaczyła dla mnie wolność. No i było ciekawie. Ale przede wszystkim po rosyjskich realiach – oaza wolności. Niesamowity skok do normalnego kraju. Nie rozumiałem ani złożoności jego sytuacji, ani katolickości społeczeństwa (byłem wszak ateistą w potocznym tego słowa znaczeniu), ale wszystko mnie ciekawiło. I to poczucie wolności było najważniejsze. W Rosji nie opuszczał mnie strach. Chociażby przed aresztowaniem, zdawało się – nieuniknionym. Tutaj czułem się jak człowiek wypuszczony z więzienia. I zachłysnąłem się tą



wolnością, zachłysnąłem się Polską Ludową, w której był inny komunizm, inny socjalizm; wszystko tu było inne niż w Rosji. I wydawało mi się, że wszystko może pójść inną drogą. Byłem w tej swojej reakcji dosyć naiwny, może dziecinny i pewnych rzeczy uczyłem się bardzo wolno. W każdym razie nie miałem w życiu chwili, w której bym żałował przyjazdu i zmiany obywatelstwa.

Dość szybko zacząłem też mówić po polsku. Pojawił się tłum kolegów, część przyjechała z Rosji, innych – jak Witka Woroszyłskiego, Witka Dąbrowskiego czy Leszka Kołakowskiego – poznałem w Warszawie. Medycyna interesowała mnie umiarkowanie; zacząłem pisać wiersze, najpierw jeszcze po rosyjsku, a potem po polsku. Poglądy miałem, co w moim przypadku chyba zrozumiałe, nad wyraz lewicowe. Ale jakoś tak się złożyło, że obracałem się w środowisku, które z czasem zostało uznane za dysydenckie.

I tu pewna uwaga. Wcale nie szło mi z tą adaptacją łatwo. Miałem za sobą traumę NKWD, toteż nawet polska bezpieka wydawała mi się czymś całkiem innym... Nie miałem, rzecz jasna, zielonego pojęcia o doradcach radzieckich. I napisałem wiersz, w którym chciałem podkreślić, że to polska bezpieka. Polska, więc inna! Nie umiałem jeszcze znaleźć prawdy poza bolszewią. Wyciskałem z siebie sowieta kropla po kropli. I nic dziwnego, że najbardziej dla mnie dniem był dzień aresztowania Berii, bo wiedziałem, że to początek końca.

O niespodziewanym spotkaniu z Berią i o tym, jak moje poruszenie na jego widok wydało się otaczającej go obstawie nader podejrzanym, wspominałem w *Orkiestrze*. Ale w ogóle musiałem mieć pecha do dygnitarzy sowieckich, bo w Polsce przydarzyło mi się coś jeszcze bardziej głupiego. Coś, co w jakiś tam sposób wiązało się z aresztowaniem rodziców, a to wszystko za sprawą tej nieszczęsnej kabury, którą się niegdyś bawiłem.

Nie ukrywam, że od czasów jej konfiskaty miałem swoją obsesję, a była nią chęć posiadania prawdziwego pistoletu, nawet nie po to już, żeby zgodnie z marzeniem lat dziecinnych powystrzelać tych, co mi zamknęli ojca i matkę – lecz zwyczajnie, ze względów sentymentalnych. A że znany byłem z opowieści o skonfiskowaniu przez NKWD przechowywanej w niecnych zamiarach przez nastolatka kabury do pistoletu, jeden ze znajomych ojca z Hiszpanii, człowiek, jak to się mówi, wojskowy, wpadł na niezbyt trzeźwy pomysł obdarowania mnie walterem 6.35. Mógł to zrobić i zrobił. Była to piękna zabawka! Przekroczyłem już dwudziestkę, a cieszyłem się nią jak dziecko. I oczywiście jak najprędzej chciałem ją wypróbować. Któregoś dnia urwałem się z wykładów, żeby pójść do najbliższego lasu. Szedłem z Bukowińskiej w stronę Wilanowa. Szedłem sobie spacerkiem środkiem wysadzonej drzewami alei z pistoletem w tylnej kieszeni spodni, kiedy nagle zorientowałem się, że dokoła dzieje się coś nad wyraz niecodziennego. Ulica jest pusta, nie ma na niej ani jednego przechodnia, żadnego ruchu, za to kręci się wokół spora liczba osobników całkiem oczywistego zawodu, którzy gapią się na mnie z zawodowym wręcz zainteresowaniem. Robię jeszcze parę kroków i nagle uświadamiam sobie, że przecież przyjechał do Warszawy z nagłą wizytą Mołotow. Przypominam sobie tytuły z gazet, z których wynika, że zamieszka zapewne w Wilanowie. I już nie sunę radośnie środkiem ulicy, tylko zatrzymuję się, bo dociera do mnie, że to jest obstawa Mołotowa, albo polska, albo ruska, która najwyraźniej bierze mnie za reprezentanta strony partnerskiej, z tym gnatem bełtającym się nachalnie w tylnej kieszeni spodni! Zawróciłem tym gwałtowniej – odprowadzany czujnymi spojrzeniami – że nie miałem nawet pozwolenia na tę broń. Doszedłem do domu dosyć struchlały. A po paru dniach się okazało, że pistolet miał złamaną iglicę i nawet z zamachu nic by nie wyszło. Zwróciłem go ofiarodawcy. I to było moje własne pożegnanie z bronią. Pozbyłem się na zawsze kompleksu pistoletu.

– A kiedy zrozumiałeś, że dłużej tą drogą komunistyczną nie pójdiesz? Że już koniec, jeżeli o ciebie chodzi?

– To był 1957 rok. Przestałem pisać, przestałem publikować. W pewnym sensie zamilkłem. Na dwadzieścia lat. Ale z partii wystąpiłem dopiero w 1976 roku; pamiętam, że protest w sprawie zmian w konstytucji podpisywałem jeszcze jako członek PZPR. Tak jakoś się stało. Pewnie pragnąłem oszczędzić przykrości matce, która była wierzącą komunistką, bo dla niej to było całe jej i ojca życie. Gdybym wtedy wiedział, że moja matka tuż przed śmiercią, już w stanie wojennym, przeklnie komunizm! Próbowałem różnych sztuczek, żeby mnie wyrzucili z partii, nie płaciłem składek, nie chodziłem na zebrania, ale niestety, nie chcieli mnie wyrzucić. Miałem zakaz druku od 1968 roku, jako opozycjonista, ale z partii mnie niestety nie wylano. Tyle że zacząłem na nowo pisać. Zakaz druku zdjęli dopiero w 1976, wtedy wydałem tom wierszy i wystąpiłem z partii. A potem miałem znów zakaz druku, aż do 1981 – i jak go zdjęli na chwilę, wydałem w Czytelniku kolejny tom: *Egzorcyzmy*.



POLSKA UCZY SIĘ PRAWA

Rozmowa z Markiem Safjanem



Marek Safjan

– Cemu pan profesor zgodził się zostać sędzią Trybunału Konstytucyjnego?

– Uznałem, że to jest ogromne wyzwanie dla mnie jako prawnika. Była to wielka szansa wykorzystania w praktyce moich wcześniejszych przemyśleń związanych z funkcjonowaniem prawa i całego systemu. Miałem pełną świadomość w 1997 roku, że Trybunał Konstytucyjny jest na tym etapie transformacji prawnej w Polsce absolutnie kluczową instytucją odpowiedzialną za demokratyzację życia publicznego i za kształtowanie standardów konstytucyjnych. Czyli za to, czego nam w tym momencie jeszcze bardzo brakowało. Polska po tych kilku latach od upadku komunizmu nie miała jeszcze utrwalonych zasad demokratycznych, miała słabo ukształtowane społeczeństwo obywatelskie, słabo rozwiniętą świadomość prawną. W najbliższych latach czekały na nas: integracja europejska, dalsza głęboka transformacja systemu, pogłębianie mechanizmów demokratyzacji życia publicznego. Trybunał odgrywał w tym wszystkim kluczową rolę.

– Budowano od podstaw system prawny. Pan profesor o tym etapie mówi w czasie przeszłym. Czyli, że udało nam się stworzyć społeczeństwo obywatelskie, świadome prawa i jego mechanizmów?

– Uważam, że zrobiliśmy ogromny postęp. Daleki jestem jeszcze od tego, żeby uznać, że to jest apogeum naszych możliwości. Wręcz odwrotnie. Nasza demokracja ma jeszcze wiele niedoskonałości. Co jest jej mankamentem? Nie możemy dzisiaj powiedzieć, że tym mankamentem jest system prawny, generalnie zła konstytucja i wadliwe prawo. To, co moim zdaniem najbardziej szwankuje, to po pierwsze słabość społeczeństwa obywatelskiego. Ludzie w dalszym ciągu zachowują ogromną bierność i nie potrafią ani skutecznie domagać się swoich praw, ani wpływać na przekształcenie życia publicznego w Polsce. Nie interesuje ich to, co nie dotyczy pola ich własnych interesów. Po drugie sędzę, że w dalszym ciągu nie wytworzyliśmy, na gruncie całkiem niezłego systemu prawnego, prawdziwej kultury demokratycznej. Chodzi mi o praktykę postępowania, sposób rozwiązywania konfliktów, sposób działania urzędników w okienku, czy policjantów, prokuratorów, którzy tak, a nie inaczej prowadzą postępowania; to wszystko, co składa się na kulturę prawną i demokratyczną, a wynika z postaw, z nawyków. W dalszym ciągu niestety godzimy się na to, żeby policja nami pomiatała, żeby prokuratorzy prowadzili skrajnie polityczne postępowania, żeby politycy popełniali już nie tylko gafy, ale najdelikatniej mówiąc, niestosowności, za które w normalnym kraju demokratycznym należy po prostu się wycofać z życia publicznego.

– No właśnie, powiedział pan, że mamy już wystarczającą liczbę instrumentów prawnych, ale przecież jest tak, że prawa mamy coraz więcej. Nowelizowane są kodeksy, tworzy się nowe ustawy. W społecznym odbiorze jest to złe prawo. Tworzy się mnóstwo bezsensownych przepisów...

– Nie zachwalam nadmiernie jakości prawa. To, o czym powiedziałem, dotyczyło bardziej może ogólnej tezy, że prawo w Polsce zabezpiecza jednostkę przed nadużyciami. Daje jej do ręki instrumenty, którymi może się bronić. Natomiast jaka jest jakość prawa w Polsce, to już inny temat. Nie jest to coś, co budzi zachwyt, eufemistycznie mówiąc. Większy problem niż z jakością prawa mamy właśnie z praktyką jego stosowania



i kulturą prawną. Nawet głupie prawo, złe prawo może być mądrze stosowane. W Polsce jest odwrotnie – nawet mądre prawo bywa głupio stosowane, w sposób bezmyślny, sformalizowany, zdogmatyzowany i bez wyobraźni. Ludzie nie zdają sobie z tego sprawy. Niestety, także my, sędziowie, nie zadajemy sobie trudu, żeby dokonać wykładni prawa w zgodzie z celem, funkcją, zasadą racjonalności i zdrowego rozsądku. Wyciągamy z prawa wnioski zgodnie z zasadą redukcji do absurdu. Człowiek nie powinien być przeciwko człowiekowi. Prawo powinno być instrumentem, który pozwala człowiekowi funkcjonować w społeczeństwie i gwarantuje mu wolność. My to prawo ciągle rozumiemy jako źródło opresji i ograniczania, a ono ma być gwarancją naszej wolności i instrumentem walki z opresją władzy. Pogląd, że prawo jest środkiem represji to pozostałość po komunizmie.

– **W swojej książce *Prawa Polska* stawiał pan tezę, że sędziowie powinni pełnić rolę łączników między prawem a obywatelem. To było w 2005 roku. Czy cokolwiek z tego postulatu udało się wprowadzić w życie?**

– Krok po kroku następuje poprawa. Powiem szczerze, że oczekiwałem bardziej dynamicznych zmian. Również w postawie sędziów i wymiaru sprawiedliwości. To z resztą, o co często mam pretensje do sędziów, to jest mimo wszystko słaba efektywność działania sądów w Polsce. Długo czeka się na sprawiedliwość. Wyrok wydany po 10 latach to nie jest wymierzanie sprawiedliwości. Ale mogę powiedzieć coś optymistycznego. Gdy przyjrzymy się postawom młodych sędziów, którzy zostali wykształceni już w III RP, którzy mają za sobą innego typu doświadczenia, inne uniwersytety, inną perspektywę – widać różnicę. Ci młodzi ludzie, i to jest moje doświadczenie z Trybunału Konstytucyjnego, lepiej rozumieją aksjologię prawa. Oni patrzą na prawo nie technicznie i dogmatycznie, ale raczej jak na system zbudowany hierarchicznie, w którym jest konstytucja, jest konwencja europejska, jest coś jeszcze poza czystą techniką. Piszą bardzo dobre pytania prawne do Trybunału Konstytucyjnego. Doskonale to rozumieją. To jest przejaw pozytywny zmiany postaw.

– **Kwestia różnic pokoleniowych. Jak wielu sędziów z PRL-u jest dalej aktywnych zawodowo?**

– Myślę, że sędziów „PRL-owskich” jest zapewne najwyżej koło kilkunastu procent. Patrzyłbym jednak na nich w zniuansowany sposób. W swojej książce Adam Strzembosz, sędzia, ale i człowiek związany silnie z opozycją, zrobił świetne badania na temat postaw sędziów PRL-owskich w czasie stanu wojennego. Pokazuje, jak bardzo sędziowie warszawscy byli niejednorodni w swoich postawach. Wśród nich dominowali tacy, którzy za wszelką cenę starali się pomóc ludziom represjonowanym. Stosowali dekret o stanie wojennym, ale tylko po to, żeby możliwie złagodzić jego konsekwencje. Strzembosz udowadnia coś, co bardzo trudno zrozumieć zwłaszcza młodszemu pokoleniu, tzn. że znacznie łatwiej było sędziemu uniewinnić niż wykonać skomplikowaną robotę intelektualną i zastanowić się nad tym, jak w tym potwornym, komunistycznym prawie znaleźć furtkę, żeby uratować człowieka. Zamiast 10 lat za noszenie ulotek, dać mu symboliczną karę w zawieszeniu. Tak postępowało wielu sędziów. Pamiętajmy, że prawo w PRL-u było straszne, było przeniknięte duchem marksizmu. Ale prawo prywatne stanowiło enklawę. Porównując prawo prywatne w Polsce w latach osiemdziesiątych i siedemdziesiątych z prawem w Czechosłowacji, na Węgrzech czy w NRD można dojść do wniosku, że tylko my byliśmy cywilizowanym krajem. Mieliśmy system prawa cywilnego, całkiem przyzwolite kodeksy cywilne. Pamiętajmy, że w PRL-u obowiązywał kodeks handlowy z 1934 roku, obowiązywała przedwojenna ustawa o zwalczaniu nieuczciwej konkurencji, istniało np. prawo wekslowe i czekowe, oparte na konwencji genewskiej. Kształciliśmy się na całkiem dobrych tradycjach prawniczych.

Nie chcę oczywiście bronić PRL-u – zawsze byłem w opozycji. Nie znośłem go i każdego dnia ciesze się, że żyję w wolnej Polsce. Staram się spojrzeć na to w bardziej zniuansowany sposób.

– **Jeżeli zatem problem nie leży w kwestii pokoleniowej, to czemu jest tak, że system sądownictwa oparty przecież na wyrokach sędziów nie do końca działa? Czemu procesy ciągną się tak długo?**

– Jest to problem nie tyle zaszłości komunistycznych, co raczej problem dwóch procesów odbywających się w Polsce równolegle. Pierwszy z nich to ogromne rozszerzenie kognicji sądów. Zaraz po załamaniu się komunizmu uznaliśmy w Polsce, że skuteczna obrona praw obywatelskich wymaga realnego dostępu do sądu. Wobec tego ogromnie zwiększyła się liczba spraw, które trafiały do sądu. Drugi proces jest swoisty dla Polski. Uważam, że nie można sędziów, a przynajmniej nie wyłącznie sędziów, obwiniać za słabą efektywność. Przede wszystkim musimy państwo polskie obarczyć winą za to, że nie zdecydowało się na radykalne posunięcia administracyjne, które by zmieniły obraz wymiaru sprawiedliwości. Sędziów w Polsce powinno być dzisiaj paradoksalnie mniej, ale powinni mieć doskonały aparat pomocniczy. Powinni mieć asystentów,



systemy komputerowe, świetne sekretariaty. Wtedy funkcjonowałyby to inaczej. Bez tego sędzia nie jest w stanie być efektywny i to jest problem bardziej techniczny niż filozoficzny czy nawet ideologiczny.

– **Kwestia interwencji politycznych...**

– Prawdziwą patologią jest próba upolityczniania wymiaru sprawiedliwości. Mamy do czynienia z niesłychanie polityczną prokuraturą, która prowadzi szereg postępowań na zamówienie polityczne. Umarza i wszczyna sprawy na zamówienie polityczne. Jest to zjawisko niebezpieczne, które świadczyć może o mechanizmach patologicznych. To trzeba zmienić. Pomysł, żeby rozdzielić funkcję prokuratora generalnego od ministra sprawiedliwości, jest chyba dobrym pomysłem, choć obciążonym ryzykiem¹, związanym z wymknięciem się prokuratury spod kontroli cywilnej rządu. Wracamy trochę do modelu prokuratora Wyszyńskiego, chociaż oczywiście żyjemy w państwie demokratycznym i trudno, żeby było tak jak kiedyś. Niemniej taki prokurator generalny, niezależny od premiera, powoływany przez prezydenta przy opinii krajowej rady sądownictwa, będzie miał ogromną władzę. Zawsze istnieje zagrożenie, że taka władza może się alienować i przez to stać się niebezpieczną. Przykładem wywierania presji politycznej na sądy, stawiania im określonych zadań politycznych jest znana wypowiedź premiera RP Jarosława Kaczyńskiego: „Sąd Najwyższy nie broni interesów narodowych RP”. Padło ono, kiedy Sąd Najwyższy wydał wyrok w sprawie zwrotu nieruchomości wysiedlonej mieszkance Mazur. Sąd uznał racje prawne tej kobiety. Bardzo dobra była wtedy odpowiedź pierwszego prezesa Sądu Najwyższego: „Wyroki sądowe nie mają na celu obrony interesów narodowych, tylko obronę interesów prawa, standardów prawa”. Dobra, ostra odpowiedź. Bo tak jest. My się nie możemy kierować politycznym interesem w rozstrzyganiu praw, broniąc wbrew prawu jakiegoś domniemanego interesu narodowego.

Naszym celem jest obrona prawa. Nie możemy, wydając wyroki, liczyć na to, że to się będzie podobało opinii publicznej. Musimy także wydawać wyroki wbrew opinii publicznej. Trybunał Konstytucyjny był pod wpływem potwornie silnej presji i krytyki rządu i prezydenta. W czasach mojej prezesury nieustannie atakowano Trybunał Konstytucyjny. Potrafił się temu przeciwstawiać, nie była to jednak sytuacja komfortowa.

– **Wypowiedź premiera Kaczyńskiego mieści się w takim myśleniu, że prawo trochę z definicji jest niesprawiedliwe. Jakiś czas temu zapytałem mojego znajomego studiującego prawo z ciekawości, czego podcza studiów dowiedział się na temat sprawiedliwości. Nie rozumiał, o co mi chodzi. Co to jest ta sprawiedliwość? Jaka jest zależność między nią a interesem narodowym, interesem jednostki?**

– Trzeba zacząć od banalnego stwierdzenia, że nie ma sprawiedliwości ludzkiej, jest tylko sprawiedliwość Boska. Byłoby naiwnością sądzić, że możemy osiągnąć doskonałą sprawiedliwość. Możemy się tylko do niej zbliżać, dążyć do jakiegoś modelu sprawiedliwości. Nie ma jednej definicji sprawiedliwości. Być może da się w skrócie określić, nawiązując do znanej sentencji łacińskiej: „Sprawiedliwość jest oddawaniem każdemu, tego, co mu się należy”, jednocześnie, jak powtarzają prawnicy: „Najwyższa zgodność z prawem prowadzi do najwyższej niesprawiedliwości”. To też jest przewrotne, ale prawnicy dobrze to rozumieją. Prawo może, nawet wbrew intencjom twórców, stać się źródłem niesprawiedliwości. Są takie słynne badania zrobione przez panią docent Elżbietę Łojko dotyczące postaw sędziów wobec prawa i prawników. Zadano pytanie sędziom: Czy uważają wyroki przez siebie wydane za sprawiedliwe? 57% odpowiedziało, że nie.

– **Czy to, że tak wielu z sędziów uważa wydawane przez siebie wyroki za niesprawiedliwe znaczy, że mamy złe prawo? Na ile sędziowie mają w dzisiejszej Polsce², podobnie jak w USA, możliwość wpływania na prawo i kreowania go?**

– We współczesnym świecie, w naszym kręgu cywilizacyjnym oba te systemy prawne się do siebie zbliżają. To bardzo wyraźnie widać na poziomie prawa UE, wspólnotowego, gdzie mamy z jednej strony prawo kontynentalne ze swoimi tradycjami, z drugiej – prawo anglosaskie z brytyjskim doświadczeniem. To się miesza i powstaje nowa jakość. Nie powiedziałbym, że prawo anglosaskie jest bardziej sprawiedliwe od prawa kontynentalnego, bo tam jest precedens, a tu jest ogólna reguła. My możemy bardzo elastycznie stosować prawo właśnie z dużym umiarem, wrażliwością i wyobraźnią. Czasami mam jednak wrażenie, że Anglosasi w ramach *common law* bywają bardziej związani rygoryzmem poprzednich precedensów niż my na gruncie prawa kontynentalnego. Znam szereg wyroków, których nie uznałbym za sprawiedliwe, a wydane zostały na gruncie systemu *common law*. Sprawiedliwość wiąże się z zasadą równego traktowania. To formalna zasada, ale na pewno ważna dla rozumienia roli prawa, naruszanie równości jest na pewno zawsze łamaniem rudymentów sprawiedliwości.

¹ W Polsce prokuratorem generalnym zawsze jest minister sprawiedliwości.

² Polska należy do kręgu prawa kontynentalnego.



– Wspomniał pan przed chwilą o tych badaniach, z których wynikało, że sędziowie mają wrażenie, że ich wyroki są niesprawiedliwe, a jednocześnie mówi pan o tym, że w polskim prawie taki sędzia ma możliwość elastycznego podchodzenia do istniejących regulacji prawnych, tak właśnie, żeby wyrok, który podejmuje, był sprawiedliwy. Czemu tak się nie dzieje?

– Bo wprowadzie pole manewru sędziego rozszerza się dzięki elastycznej interpretacji, ale jednak mimo wszystko jesteśmy związani prawem stanowionym. Pewnych barier nie przeskoczymy, nie zastąpimy ustawodawców. Możemy głupie prawo poprawić, ale do pewnych granic. Druga odpowiedź na pańskie pytanie wiąże się z immanentną kolizją interesu jednostka – społeczeństwo. To, co jest sprawiedliwe w wymiarze jednostki, może być niesprawiedliwe w wymiarze społecznym i odwrotnie. Często musimy wybierać i są to wybory dramatyczne. W filozofii mamy dylemat: Hobbes czy Locke. Czy opowiadamy się za społeczeństwem ludzi postępujących wobec siebie agresywnie, których trzeba wziąć trochę pod but i pełnić funkcję represyjną, czy raczej ufać, tak jak u Locke’a, że społeczeństwo będzie kierowało się pewnymi umowami, porozumieniami i dobrowolnością scedowania na wspólnotę pewnych przyrodzonych uprawnień. Dylemat istnieje i to w nim tkwi zarzewie napięcia. Marksistowska teza o tym, że nie istnieje sprzeczność między interesami jednostki i społeczeństwa, jest oczywiście potworną hipokryzją. Ona była bardzo niebezpieczna i doprowadziła do wypaczeń i patologii.

Podejmowane są próby ulepszania systemu prawnego, np. pomysł ministra Ziobry³. Moje pytanie dotyczy jednak nie tego przypadku. Jeżeli już poprawiać to, co jest, to w którą stronę powinniśmy zmierzać. Upraszczania czy np. importowania coraz większej ilości elementów prawa europejskiego?

Nieszczęście polega na tym, że we współczesnym świecie, globalnym i stechniczowanym, musimy zgodzić się na to, że prawo będzie skomplikowane. Grzmiać na prawników, na parlament, że tworzy kompletnie niezrozumiałe przepisy, muszę jednak uznać, że nie da się prawdopodobnie przepisów o podatku VAT napisać w sposób całkowicie przejrzysty. Postulat, który można i należy mieć, na pewno także na poziomie ustawodawcy europejskiego, to postulat, aby w większym stopniu traktować prawo jako instrument w jakimś sensie subsydiarny w stosunku do innych norm i mechanizmów społecznego zachowania. Prawo nie musi wszystkiego do końca precyzyjnie i szczegółowo normować. To jest niebezpieczne. Symboliczne regulacje dotyczą wielkości bananów, które można importować do Europy... (śmiech) Nie da się tego do końca usprawiedliwić celami wspólnoty rynku i swobody przepływu towarów.

Pojawiają się postulaty powściągliwości legislacyjnej w coraz większym stopniu kierowane do Unii. Tak samo dzieje się u nas. Stąd postulaty do naszego ustawodawcy, który bardzo często zmienia przepisy tylko po to, żeby coś zmienić albo spełnić jakieś bieżące cele polityczne, bo jakiś polityk musi zaistnieć, musi mieć swoją własną ustawę. Powinniśmy kłaść większy nacisk na mądre stosowanie prawa niż tworzenie nowego. Postawmy pytanie, dlaczego przepis X nie funkcjonuje dobrze, bo może to nie sprawa jakości przepisu tylko jakości praktyki. Często też tworzy się reguły, które z założenia nie będą stosowane. Niech pan powie, czy jeździ pan 50 km na godzinę na wszystkich ulicach Warszawy? (śmiech)

Wszyscy wiedzieli od początku, że nikt nie będzie tego ograniczenia stosował. Zostało uchwalone symbolicznie, co jest niebezpiecznym zjawiskiem, które może prowadzić do demoralizacji.

– Co dalej? Czekać czy działać?

– Uważam, że działać. Nasza demokracja jest ciągle jeszcze ułomna. Nie zmienimy tego świata i naszego kraju, jeżeli będziemy odwracać się od rzeczywistości. Dominuje postawa wycofania: „To jest takie straszne, sfera publiczna jest taka okropna, budzi obrzydzenie, ja się tym nie zajmuję”. To wyjątkowo niemądre myślenie, że ktoś coś za nas ma zrobić.

Jestem optymistą jeżeli chodzi o Polskę. Co prawda jesteśmy krajem o wielu jeszcze ułomnościach, w którym wiele trzeba jeszcze zrobić, ale oczywiście dostrzegam z satysfakcją, że Polacy są narodem niesamowicie dynamicznym. Polska nie została właściwie w ogóle dotknięta przez kryzys. Jesteśmy społeczeństwem nieprawdopodobnie pracowitym, energicznie dążącym do tego, żeby poprawiać swój los. Mam ogromny szacunek do ludzi, którzy pracują w drobnym biznesie. Byłem kilka dni temu w Jastrzębiej Górze i widziałem niesamowicie ciężko pracujących ludzi prowadzących stragany czynne od godziny siódmej rano do dwunastej w nocy. Tak się nie pracuje na świecie. W Europie zamyka się sklepy o szóstej po południu, jest też przerwa dwugodzinna pomiędzy drugą a czwartą. Wracając do tego głównego wątku, to

³ Zbigniew Ziobro, minister sprawiedliwości z rządów PiS, proponował, żeby w Polsce obowiązywały sądy 24-godzinne.



oczywiście nasze powodzenie w życiu publicznym i reformach państwa zależy od tego, czy przełamiemy bierność społeczeństwa właśnie w odniesieniu do życia publicznego. Czy nam się uda zbudować autentyczne zaplecze dla samorządu terytorialnego.

Tak wszyscy w tej chwili ubolewamy, że załamał się etos polskiej inteligencji. Inteligencja jako warstwa istnieje, ma się nieźle i liczy sporo osób. Moim zdaniem jest ona tylko wycofana, stoi na uboczu i została zmarginalizowana przez niezbyt mądre media, które nadają ton debacie publicznej. Inteligencji, którzy powinni mieć coś do powiedzenia, biernie się temu przyglądają. Nie rozumiem, dlaczego tyle środowisk pozostaje biernych w stosunku do różnych głupstw, na które należałoby reagować. Dlaczego np. inteligencja uniwersytecka nie podejmuje działań, które wykraczają trochę poza czubek ich nosa, poza strefę ich interesów. Środowisko naukowe bardzo ostro protestowało przeciwko lustracji, no i dobrze, ale dlaczego wtedy, kiedy akurat dotyczyło to środowiska naukowego, a nie wypowiadało się na temat standardów państwa prawa i demokracji. To generalny problem, który nas dotyka.

– **Taki zwykły szary człowieczek co on może? Czytać konstytucję do poduszki?**

– Polacy powinni niewątpliwie także poszerzać swoją świadomość prawa. Nie potrafimy wykorzystywać instrumentów, które mamy. A możemy, to nie jest fikcja, to nie jest wirtualne. Weźmy na przykład słynnego Jacka Bombkę, studenta, który wygrał kilka poważnych spraw przed Trybunałem Konstytucyjnym na podstawie skargi konstytucyjnej i doprowadził do zmiany ustaw. Istnieją po temu odpowiednie instrumenty, i to potężne. Często nie zdajemy sobie w ogóle sprawy, że istnieje taka możliwość. Piszemy skargi do Strasburga, jesteśmy w tym świetni. Kompletnie nieskuteczne jednak, bo nikomu nie chce się zadać trudu, żeby zbadać skuteczność skarg, nie wiemy np., że musi ona przejść przez jakiś tryb wewnętrzny, zanim trafi do Strasburga. Mamy najwięcej odrzuconych skarg do Trybunału Praw Człowieka, bo jesteśmy niekompetentni. Nie potrafimy skutecznie korzystać z instrumentów, z naszych praw obywatelskich, skutecznie domagać się swoich praw przed sądami. Jesteśmy społeczeństwem dość pieniaczym, ale w sprawach niezbyt mądrych i poważnych. Kiedy pojawia się naprawdę poważny problem, jesteśmy bierni. Będziemy się kłócili z sąsiadem, który nam naubił. Nie wystąpimy jednak w sprawie, która dotyczy ochrony środowiska, domu kultury czy jakiegoś ważnego wydarzenia w życiu publicznym.

– **Miejmy zatem nadzieję, że będzie się to jakoś powoli zmieniać.**

– Będzie się zmieniało, mam nadzieję.

– **Dziękuję.**

Rozmawiał Marcin Mitzner
2009, nr 12

Marek Saffjan (ur. 1949 w Warszawie), profesor prawa, w latach 1998-2006 prezes Trybunału Konstytucyjnego, od 2009 sędzia Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości



POCHODZENIE ZOBOWIĄZUJE

Rozmowa z Piotrem Wierzbickim



– Pana dziadek, Andrzej Wierzbicki, chcąc zostać inżynierem, musiał opuścić Warszawę i udać się na studia do Petersburga. Jaki wpływ na jego późniejszą działalność miał pobyt w Rosji?

– Miał ogromny wpływ, bo ta działalność właśnie zaczęła się w Rosji. Jako student, który zarabiał na życie korepetycjami, trafił przypadkiem do domu wybitnego przemysłowca Stanisława Glezmera, prezesa Towarzystwa Fabrykantów i Przemysłowców Petersburskich. Został korepetytorem jego synów, a ponieważ był człowiekiem bardzo wszechstronnym, o żywym umyśle, zainteresował się tym, co robi Glezmer – jego fabryką, w której przetwarzano produkty rybne. Wciągnął się w tę problematykę, poznał doskonale technologię, a także sprawy ekonomiczne i kończąc studia, miał już w kieszeni drugą specjalizację – petersburski przemysł. Został sekretarzem Towarzystwa, dając się poznać jako znakomity analityk i mówca. W obronie przemysłowców przeprowadził wielką akcję przeciw Ministerstwu Skarbu, chodziło oczywiście o podatki. Potrafił przyłapać ministerstwo na typowych szachrajstwach, ratując tym od bankructwa kilkadziesiąt wielkich zakładów, w tym i te na terenie Królestwa Polskiego. Dzięki kilku publicznym wystąpieniom stał się w Petersburgu znany, a potem sprawa wpłynęła do Dumy. Trzeba było przeprowadzić ustawę; miał jedną noc na przygotowanie uzasadnienia wniosku w sprawach podatkowych. Ustawa przeszła i za tę jedną noc dostał honorarium, które uczyniło go – biednego korepetytora, mającego w Warszawie na utrzymaniu matkę i siostry – bogatym człowiekiem. Kupił olbrzymi majątek Kurowicze. Tak przemysłowcy petersburscy potrafili docenić jego pracę. Sława rozniosła się szerzej, dotarła do Warszawy i na dwa lata przed wybuchem I wojny światowej zaproponowano mu objęcie stanowiska dyrektora Towarzystwa Przemysłowców Królestwa Polskiego. Podczas wieczoru pożegnalnego w Petersburgu przyjaciele – bardzo wybitni Rosjanie i Polacy – powiedzieli mu: „Nigdy w życiu już pan nie zazna tak wielkiej serdeczności, jaką tutaj myśmy okazywali”. Później dziadek stwierdził, że mieli rację. W Warszawie zaobserwował, że jednak w porównaniu z Petersburgiem jest to prowincja. Tam wszyscy ze sobą byli po imieniu, nikt nikogo nie pytał, skąd



pochodzi; niezwykle bezpośredni styl pracy, również uprawiania polityki, brak sztywności. Dziadek spędził w Petersburgu dziesięć lat, przeżywając rewolucję 1905 roku, będąc świadkiem olbrzymich konfliktów społecznych, ucząc się pracy przemysłowców w dziedzinie ubezpieczeń i wszystko to potem opowiedział w swoich wspomnieniach wydanych pod tytułem *Żywy Lewiatan*.

Z Rosji wyniósł również umiłowanie literatury. W domu moich dziadków, a wiele lat tam spędziłem, panował kult literatury rosyjskiej. Zresztą, po II wojnie, kiedy dziadek został bez pracy i środków do życia, uratowała go biegła znajomość języka. Tłumaczył dla PIW-u i dla Czytelnika, pod pseudonimem oczywiście, bo nazwisko było wyklęte. Przekładał dzieła literatury historycznej i ekonomicznej, a takie nazwiska jak Turgieniew, Tołstoj i Czechow to nazwiska, które najczęściej w jego domu się pojawiały. Dziadek wpoił to również we mnie. Jak w dziedzinie poezji wychowała mnie wielka romantyczna, a potem norwidowska poezja polska, tak w dziedzinie prozy zdecydowanie literatura rosyjska. Mam pełne wydanie dzieł Czechowa, które czytam na okragło, całe życie.

– Słynne były również riposty pana dziadka, wykorzystujące obficie język gogolowski.

– To już w Polsce, kiedy znalazł się jako poseł w Sejmie. Wykorzystał swoje oratorskie zdolności, które w Petersburgu posłużyły mu w walce z Ministerstwem Skarbu. Tutaj służyły walce, jaką musiał toczyć, jako prezes Związku Przemysłu, z opinią publiczną i kolejnymi rządami o uznanie rangi przemysłu. Bo nie dla wszystkich to było takie oczywiste.

– Zaznaczmy więc, że Andrzej Wierzbicki w okresie międzywojennym został współzałożycielem i prezesem Centralnego Związku Polskiego Przemysłu, Górnictwa, Handlu i Finansów – znanego pod nazwą „Lewiatan”.

– Jeżeli chodzi o poziom świadomości klasy politycznej i społeczeństwa, było z tym o wiele gorzej niż dzisiaj. Generałowie i pułkownicy ze stronnictwa Piłsudskiego wręcz uważali, że przemysł do niczego nie jest nam potrzebny, bo mamy niepodległość w tej pięknej Polsce z cudownymi łąkami zboża i to wystarczy. Z kolei PPS, mająca ogromny wpływ na opinię publiczną, traktowała przemysłowców jako wyzyskiwaczy i jedyne, co należałoby z nimi zrobić, to uniemożliwić im zarabianie pieniędzy. Samo więc tłumaczenie tym ludziom – że jeżeli chcecie dobrych produktów, jeżeli chcecie, by przemysłowiec nie zbankrutował i by mu się jeszcze chciało pracować, pozwólcie mu zarobić, bo stworzy nowe miejsca pracy – wymagało oracyjnych zabiegów. Chodziło również o podatki, o proporcje pomiędzy przemysłem państwowym i prywatnym. Oczywiście piłsudzycy preferowali przemysł państwowy. Były próby standaryzacji, na przykład jeden tylko model samochodu; ideologia etatystyczna, bardzo niebezpieczna. Teoretycznie było to piękne, tyle że przemysł prywatny mógł to zrobić sprawniej i taniej. A dziadek ostrzegał, że lubujemy się w uroczystościach, mamy Grób Nieznanego Żołnierza, ale trzeba by jeszcze zbudować pomnik cywilnego żołnierza, który, kiedy ojczyzna znajdzie się w potrzebie, obroni ją, gdyż będą czołgi i samoloty wyprodukowane przez przemysł. Na wiele lat przed II wojną światową w tym kierunku szły jego sejmowe wystąpienia. I tego też nie rozumiano. Uważano, że jak ułani pięknie przedefilują, to Polska już jest silna, zwarta i gotowa.

– Efekty walki pana dziadka jednak były widoczne, przecież „Lewiatan” odegrał dużą rolę w życiu gospodarczym II Rzeczypospolitej.

– Komuniści twierdzili, że „Lewiatan” kręci Polskę, że rząd to tylko fasada, a naprawdę rządzą kapitaliści, „Lewiatan” wydający rozkazy z drugiego szeregu. Tak nie było! Nawet w epoce Grabskiego, który to wszystko rozumiał należał przecież do tej samej formacji co mój dziadek. Nawet wówczas trzeba było wojować z rządem, który w naturalny sposób ulegał populistycznym oczekiwaniom. I Grabski im ulegał. Miał niezwykle niskie notowania, był strasznie atakowany i po to, by się ratować, szedł na ustępstwa wobec opinii publicznej. Nie rozumiano, że polskim problemem numer jeden są bezrobotni, a nie „zdobycze socjalne”.

– Bardzo mi to przypomina współczesne czasy...

– Ale dzisiaj przynajmniej klasa polityczna i opinia publiczna dobrze rozumieją, że bez przemysłu i biznesu nie ma mowy o potęgę państwa. Jeśli populiści mówią co innego w sejmie, nie znaczy, że tak myślą. A wówczas autentycznie tego nie rozumiano.

– Jaki pana dziad, jako prezes „Lewiatana”, miał stosunek do przedsiębiorczości i spółdzielczości mniejszości narodowych?



– W ogóle nie było tego problemu. Przedsiębiorstwa kierowane przez polskich Żydów wchodziły w skład „Lewiatana”. Dziadek nie był ideologiem, tylko praktykiem, a jeżeli już by nazwać go ideologiem, byłaby to ideologia liberalizmu gospodarczego. Na przykład, premier Bartel z polecenia Piłsudskiego przedstawił mu następującą alternatywę: „Chce pan, żeby władze współpracowały z „Lewiatanem”, to proszę zapisać się do BBWR¹”. Dziadek wybrał wówczas „Lewiatan” i nie zapisał się, natomiast zgodził się współpracować z piłsudczykami, mimo dużych różnic światopoglądowych. Zwyciężył pragmatyzm.

– **Czy dzisiaj w Polsce funkcjonują podobne organizacje gospodarcze? Czy korzystają z doświadczeń „Lewiatana”?**

– Istnieje kilka takich gospodarczych organizacji. Najbardziej do tradycji „Lewiatana” nawiązuje Polska Konfederacja Przedsiębiorców Prywatnych, kierowana przez Henrykę Bochniarz. Nawiązali współpracę z naszą rodziną i przyjęli nazwę „Lewiatan”. Ufundowali również Nagrodę imienia Andrzeja Wierzbickiego.

– **Podczas pobytu w Petersburgu pana dziadek stał się działaczem młodzieży narodowej. W latach 1919-1928 jako poseł na sejm był związany z obozem prawicy.**

– To zależy kiedy. Przed zamachem majowym był posłem z ramienia Związku Narodowo-Ludowego, którego trzon stanowiła Narodowa Demokracja. Po zamachu majowym początkowo w ogóle zrezygnował, a potem był posłem niezależnym.

– **Czym charakteryzowała się wówczas polska prawica?**

– Nie można tego ująć w jednym zdaniu. Nawet w ramach samej Narodowej Demokracji można by zadać pytanie: co ma wspólnego Roman Dmowski z tymi radykałami, którzy doszli do głosu w latach trzydziestych. Dmowski był intelektualistą, świetnym publicystą, Europejczykiem, natomiast później doszli do głosu oszalałi ekstremiści. Do prawicy można też zaliczyć Chrześcijańskich Demokratów (ChD), chłopów Korfańtego i Witosa, konserwatystów, obóz księcia Radziwiłła, ziemiaństwo. Nie podjąłbym się sprowadzania do wspólnego mianownika tych wszystkich ludzi.

– **Pisał pan: „Zanim zacząłem mieć własne poglądy, byłem już warszawskim inteligentem. A to zobowiązuje”. Do czego to pana zobowiązywało?**

– Na początku III RP, a także wcześniej, nawet jeszcze w czasach KOR-u, byłem absolutnie przekonany, że jeżeli Polska odzyska niepodległość, to reaktywują się partie polityczne dwudziestolecia międzywojennego i to będzie właściwe, od tego trzeba będzie zacząć. Jeżeli odrodzi się tradycja Dmowskiego sprzed I wojny światowej, będzie bardzo dobrze; jeśli odrodzi się ekstremizm lat trzydziestych, będzie bardzo źle. Niestety, stało się to drugie, na dodatek na poziomie półinteligentkim. Nawet ci szaleńcy w typie Adama Doboszyńskiego² byli inteligentami, a dzisiaj mamy do czynienia z chamstwem, które zaczęło się pojawiać wewnątrz „Solidarności”, i tego właśnie dotyczyło to zdanie. Stało się tak na przykład w Ruchu Odbudowy Polski (ROP) czy w Radiu Maryja i wówczas, jako naczelny „Gazety Polskiej”, z całą redakcją podjęliśmy niezwykle ostrą polemikę z odradzającym się parterowym nurtem narodowym.

– **Wyznał pan kiedyś: „Gdybym mógł kształtować Polskę według osobistych gustów, zapewne liczyłbym na to, że takim stabilizującym elementem będzie solidna partia prawicowa o programie konserwatywno-liberalnym”. Czy dostrzega pan w którejś z obecnych partii prawicowych szansę na tworzenie takiego programu?**

– Kiedyś sobie wyobrażałem, że przyjdą politycy, którzy utworzą partię, która pokieruje milczącą większością. Okazało się to mrzonką, głównie za przyczyną Rydzyka. Mamy obecnie dwie partie, o których możemy mówić – Prawo i Sprawiedliwość (PiS) i Platformę Obywatelską (PO). Każda z nich w jakimś stopniu coś z tego wnosi. PO ma raczej rozsądny program gospodarczy. Z kolei PiS program gospodarczy ma nie do przyjęcia – etatystyczny, ale za to reprezentuje pewne pozytywne charakterologiczne. Kaczyński to człowiek, który chce zmian, i można liczyć na to, że będzie zdolny je wprowadzić. No i w sprawach europejskich będę z PiS-em sympatyzować, gdyż oni są z Unią Europejską, lecz przeciw tej konstytucji. Teraz gołym okiem widać, jaki projekt konstytucji został zmontowany. Niepotrzebny i szkodliwy, gdyż wywołał

¹ Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem (BBWR), polityczne ugrupowanie sanacyjnie, działające w latach 1928-1935, skupiające zwolenników polityki Józefa Piłsudskiego.

² Adam Doboszyński (1904-1949), członek Stronnictwa Narodowego i Obozu Wielkiej Polski, organizator zamieszek antysemitkich.



konflikt, którego mogło nie być. Jeżeli czegoś nie należy ujednolicać, to nie należy. I tak Polska, która ma pewne historyczne doświadczenia, jakich nie mają Włochy czy Hiszpania, musi sobie zapewnić w polityce zagranicznej suwerenność. Dlatego w naszym interesie jest, by polityka zagraniczna była w kompetencji polskich władz. Z kolei z zupełnie innych powodów, liberalnych zasad organizowania społeczeństwa, wynika, że dalej idące formy integracji, ujednolicania są szkodliwe. Europa powinna iść w kierunku regionalizacji, kultywowania różnorodności. W tym jazgocie mediów, które w dalszym ciągu są w żałobie po konstytucji, wielu nie rozumie, że dla takiego Francuza, Anglika czy Hiszpana, jeżeli Polak ma jakąś wartość, to właśnie jako Polak. Wcale nie jest tak, że oni koniecznie od nas oczekują, że staniemy się dokładnie tacy sami jak oni. Tu przejawia się polski kompleks niższości. Gombrowicz nas uczył: „Chcecie być Europejczykami, bądźcie Polakami”.

– **Profesor Aleksander Smolar uważa, że antyliberalizm staje się nową, bardzo rozpowszechnioną ideologią i lewicy, i prawicy, ideologią, która zastąpiła marksizm, z niego czerpiąc soki. Czy pan – konserwatysta liberalny – podziela tę opinię?**

– Podzielam. Dokładnie tak się zachowują antyglobaliści. Oni niby występują w obronie uciśnionych, biednych, a nawiasem mówiąc: skąd mają tak dużo pieniędzy? Jeżdżą po świecie, organizują konferencje, mają pokaźne fundusze na publikacje. I na czym polega ich ideologia? Chcą niszczyć, ale właściwie w imię czego? Sprawiedliwości? Na razie ta sprawiedliwość polega na tym, że nie wiadomo skąd mają pieniądze.

– **Jest pan autorem słynnego w latach osiemdziesiątych, wydanego w drugim obiegu, *Traktatu o gnidach*. Pana definicja gnidy – intelektualnego, naukowego lub artystycznego pomocnika nowych panów Polski, antykomunistycznego w głębi duszy, a zajętego uzasadnianiem ich władzy i swojej wobec nich uległości – wywołała ostrą polemikę w środowisku opozycji. Adam Michnik wówczas stanął w obronie twórców i naukowców. Czy po latach coś by pan zweryfikował w swoich opiniach?**

– Nie. Bo gnida to pojęcie historyczne. Nie zająłem się charakterologicznym typem człowieka, tylko postawą śmietanki intelektualnej PRL-u w późnych latach siedemdziesiątych. Można powiedzieć, że nie było gnidy za Bieruta. Została ukształtowana w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, czyli w okresie stabilizacji. W sytuacji gdy po jednej stronie stali komuniści, a po drugiej zaczął się tlić załazek opozycji (wydarzenia marcowe). Ludzie zaczynają trafiać do więzień, a jak się zachowuje elita intelektualna? Tworzy ideologię bycia pośrodku. Nie dać się przyłapać na uprawianiu propagandy komunistycznej, ale w żadnym razie jednocześnie nie wdawać się w jakiejkolwiek opozycyjne działania, które mogłyby czymś grozić. Jak to uzasadnić? Powinni mówić: boję się, bo nie jestem chojrakiem, a to jest krwawy reżim. Otóż, co charakteryzowało gnidę? To, że nigdy w życiu czegoś takiego nie powiedziała! Że zawsze twierdziła, iż robi to dla dobra polskiej kultury, dla przetrwania tkanki biologicznej narodu. A dlaczego gnida jest zjawiskiem historycznym? Bo w stanie wojennym zniknęła. Szczerze przemieniła się w bohatera. Przecież, kiedy byłem internowany, w moim domu omijany przedtem ze strachu ci sami ludzie pojawili się w naprawdę niebezpiecznej sytuacji. Stan wojenny stał się szokiem dla tej elity inteligenckiej. Okazało się, że gnida jest gotowa ryzykować, nawet bezpieczeństwem najbliższej rodziny.

Niczego w swojej tezie nie zmieniłbym. Ale popełnił błąd każdy, kto będzie przenosił moją definicję na inne epoki. Opisałem zjawisko, natomiast Michnik jako ideolog, przywódca polityczny uznał, że jest dobra okazja: ktoś gnidzie przyłożył, to ja wezmę w obronę i ją zagospodaruję. Napisał świetny tekst polemiczny, ale w najmniejszym stopniu nie zachwiał moją analizą. Świetnie go rozumiem, bo mnie rzeczywiście było wszystko jedno, jaki efekt wyrzuci traktat, miałem ambicje napisania prawdy i nic więcej. A Michnik pojawił się w oczach gnid jako wybawiciel i tym łatwiej mógł ich później przyciągnąć.

– **Czy demokracja może być równie dobrą pożywką dla gnidy?**

– Nie, tu mój traktat nie ma nic do rzeczy. Zawsze byli tacy ludzie – śliscy, lawirujący, pozbawieni charakteru, co to Panu Bogu świeczkę, a diabłu ogarek, i w potocznym języku wobec tego typu ludzi używa się określenia „gnida”. W każdym systemie i w każdej społeczności są, być może nawet stanowią większość. W takiej Szwajcarii, na przykład, każdy może być człowiekiem środka. Właściwie to, o czym mówimy, dopiero się uzewnętrznia w sytuacji konfliktu, walki. Oczywiście, że w demokracji hulają sobie w najlepsze ludzie o tych cechach charakteru i demokracja przed nimi w najmniejszym stopniu nie chroni.



– W kolejnej ważnej książce *Struktura kłamstwa* (1987), mającej na celu opisanie i sklasyfikowanie kłamstwa, napisał pan: „Powiedziano: nie kłam. Trzeba powiedzieć: nie daj się okłamać”. Nie sądzi pan, że człowiek z natury lubi być okłamywany? Czy nie łatwiej nam żyć bez świadomości prawdy, która zwykle jest trudna do przyswojenia?

– Tak sądzę. Człowiek woli nie wiedzieć, niż wiedzieć. Sokrates, Platon, święty Tomasz; kiedy do nich ktoś przyszedł i powiedział: „Jan popełnił grzech, ale nie wiedział” – jaka była ich odpowiedź? „A to bardzo źle! To znaczy, że popełnił dwa grzechy.” Natomiast w potocznym rozumieniu chrześcijańskim niewiedza stanowi zawsze okoliczność usprawiedliwiającą. Tymczasem jestem głęboko przekonany, że przynajmniej w ogromnym procencie przypadków niewiedza jest aktem woli: „Nie chcę wiedzieć; mógłby wiedzieć, ale nie chcę”. Nawet być może usłyszał prawdę, ale udął, że nie słyszy. Ta moralność potoczna zezwala na uzasadnienie każdej zbrodni: „Nie wiedziałem, a potem mogę powiedzieć «przepraszam»” – co dzisiaj jest w modzie.

– To znaczy, że „nie daj się okłamać” nie jest ostrzeżeniem, a nakazem moralnym?

– Oczywiście!

– W politycznym eseju *Myśli staroświeckiego Polaka* używa pan określenia „pycha teraźniejszości”, przytaczając tragedię umierającego w zapomnieniu Mozarta i Norwida czy odrąconego Mochnackiego i naszą pewność, że my dzisiaj tak byśmy nie postąpili. Czy ta pycha nie jest powodem tego, że wciąż popełniamy te same błędy?

– Czytamy książkę na temat historii starożytnej z przekonaniem, że nikt nie protestował, że niewolnik mył mi nogi; że cywilizowany Rzymianin traktował niewolnictwo za rzecz absolutnie oczywistą. A za dwa tysiące lat ktoś napisze książkę o tym, jak wyglądało życie dzisiaj i okaże się, że niewolnictwo wciąż istnieje i czytelnicy będą pukać się w głowę, jak myśmy nie mogli tego dostrzec. To żadna sztuka oceniać z tak dalekiej perspektywy. Pycha teraźniejszości nas nie omija, nikogo z nas.

– Był pan założycielem i przez dwanaście lat redaktorem naczelnym „Gazety Polskiej”. Proszę powiedzieć, na ile GP różniła się od innych?

– Myślę, że najlepiej to wyliczyć w punktach:

Polityka zagraniczna. Wojna w Iraku – zdecydowane poparcie w przeciwieństwie do innych gazet, gdzie niby tak, a zdarzają się też ataki na amerykańską politykę. Konflikt izraelsko-arabski – zdecydowanie po stronie Izraela, który zawsze dla mnie był emanacją Zachodu w tej części świata. Media na ogół są bezstronne w tej sprawie.

W sprawach europejskich za Unią Europejską i przeciw konstytucji – żadna inna gazeta nie miała takiego stanowiska (jeżeli za UE, to i za konstytucją, jeżeli przeciw, to również wobec całej Unii, jak „Nasz Dziennik”).

Dekomunizacja – zdecydowanie za. Lustracja – byliśmy zdecydowanie za lustracją motywowaną względami państwowymi, to znaczy za ujawnieniem ludzi na najwyższych stanowiskach państwowych, którzy są podejrzani o kontakty z bezpieką, czyli za ujawnieniem listy Macierewicza i dalej za powstaniem komisji pod przewodnictwem prezesa Sądu Najwyższego, by to mogło być weryfikowane i ktoś, kto uważa, że znalazł się na liście niesprawiedliwie, mógł się bronić. Tymczasem najpierw nastąpił straszliwy jazgot przeciw lustracji, przedstawiający ją jako największą zbrodnię wszystkich czasów, a efekt jest taki, że mamy obecnie lustrację całego narodu. Powszechna lustracja w warunkach braku jakiegokolwiek dekomunizacji zamienia się w kretynizm – łapie się opozycjonistów, których kiedyś szantażowała bezpieka, a ci, którzy ich szantażowali, chodzą sobie spokojnie na wolności. Dlatego na początku lat dziewięćdziesiątych w żadnym wypadku nie zgadzaliśmy się z „Gazetą Wyborczą”, jej sceptycyzm zaś w tej sprawie podzielał. Wildstein miał prawo wejść do IPN-u i wynieść, co tylko miał ochotę, natomiast IPN zachował się niewłaściwie, wieszając listę, gdzie pomieszał nazwiska winnych z niewinnymi i zrobił to ze strachu, by ktoś im nie zarzucił, że sami ustalają listę konfidentów. Teraz stoją przed Instytutem kolejki nieszczęśliwych, którzy chcą się oczyścić.

Reprywatyzacja tak. W 1993 roku napisałem o potrzebie oddania własności również polskim Żydom. Nikt tego ani wcześniej, ani potem nie napisał. Nikt sprawą się nie zajął, no i doczekali się procesów w USA.

Afery gospodarcze – dzisiaj jest o tym głośno wszędzie, ale kiedyś nie. A my pisaliśmy o aferach od samego początku.



Handel w niedzielę – jak najbardziej za. Nie będą mnie urzędnicy pouczać, kiedy mam robić zakupy. Kapitał zagraniczny zdecydowanie tak. Wolę zagraniczny od miejscowych aferzystów. W sprawach obyczajowych, takie zjawiska jak feminizm i antyglobalizm były zawsze u nas na muszce. Bezwzględnie traktowaliśmy Kwaśniewskiego, Cimoszewicza i Millera, ale z jednym wyjątkiem. Byli przez nas chwaleni za postawę w sprawie Nicei. I to w najgorszym okresie, kiedy Miller był już wdeptywany w błoto.

We wszystkich sprawach dotyczących gospodarki mieliśmy zawsze zdecydowanie liberalne poglądy. „Gazeta Polska” miała bardzo nietypowy zlepek poglądów. I ktoś, kto chciałby nas wsadzić do jakiejś szufladki, miałby z tym poważny kłopot.

– **Charakteryzowaliście się wypowiedzeniem otwartej wojny prawicowym radykalistom.**

– Napisałem szereg tekstów w obronie Romana Dmowskiego jako wybitnego publicysty i męża stanu z okresu I wojny światowej. Natomiast w żadnej polskiej gazecie nie prowadzono tak radykalnej kampanii przeciw środowisku Radia Maryja i zdeklarowanemu nurtowi narodowo-katolickiemu, który się ujawnił w połowie lat dziewięćdziesiątych. Nie baliśmy się mówić o tym głośno, ale za to zapłaciliśmy straszliwą cenę – tysiące czytelników od nas odeszło.

– **Porozmawiajmy teraz o zdecydowanie przyjemniejszej stronie życia, o pana wielkiej miłości – muzyce. Czy to również tradycja wyniesiona z inteligenckiego domu?**

– Moja mama była pianistką, babcia śpiewaczką. Tak że fortepian zawsze rozbrzmiewał z sąsiedniego pokoju. Ale sama pasja muzyczna u mnie obudziła się dość późno, w czasach licealnych.

– **Czy współczesny człowiek, żyjący w cywilizacyjnym chaosie, często cierpiący na wtórny analfabetyzm, potrafi jeszcze słuchać muzyki?**

– Zależy, co rozumiemy pod pojęciem „współczesny człowiek”. Przecież Lutosławski też był współczesnym człowiekiem, ja też jestem, pani też. Sztuką wysoką zawsze zajmowali się ludzie z wysokich warstw społecznych albo z wysokich piętér kultury. I to zostało, elita jest i zapełnia sale filharmonii. Muzyka tak zwana „poważna” jest słuchana mniej więcej w takim samym wymiarze, jak była słuchana sto, dwieście lat temu.

– **Czy polska muzyka to tylko Fryderyk Chopin?**

– Ależ skąd! Mamy nieprawdopodobny rozkwit polskiej muzyki w świecie. Zaczęło się od Szymanowskiego i eksplodowało w późnych latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Lutosławski, Penderecki, Górecki, Kilar. Kiedyś Gombrowicz wyśmiewał w dzienniku, że Polska jest krajem wielkich pianistów odtwórców, czyli artystów kategorii drugiej. Teraz jest na odwrót, nie żyje Artur Rubinstein, nie żyje Józef Hofmann, ale za to jest wielka polska szkoła kompozytorska. Wszyscy się biorą z Szymanowskiego, może gdyby nie wojna, toby to szybciej wybuchło. Oglądam zagraniczne stacje telewizyjne, kanał muzyczny „Mezzo”, tam Lutosławski traktowany jest jak Bóg. Do niego pielgrzymowali wybitni krytycy muzyczni, dyrygenci, wielu uważa go za najwybitniejszego kompozytora drugiej połowy XX wieku.

– **Ale Grzegorz Filipek na łamach „Więzi” stwierdził, że wiek XX nie był wiekiem muzyki a interpretacji.**

– Zaraz, a Gustaw Mahler? To początek XX wieku. Ryszard Strauss, który do początku II wojny światowej komponował, czyli wielcy dwaj kompozytorzy późnego romantyzmu. Wielka muzyka! Bartók, Strawiński. Prokofiew, Szostakowicz – wielka muzyka! Prokofiew był geniuszem! Jeśli chodzi o intensywność oryginalności, na palcach jednej ręki można policzyć kompozytorów, którzy tak radykalnie różnią się od innych jak on. Dla mnie osobiście Prokofiew jest największym kompozytorem XX wieku. Jednocześnie nie można powiedzieć, że to nie jest muzyka do słuchania. Balet *Romeo i Julia* – cudowna muzyka! Pięć koncertów fortepianowych, VII sonata, oba koncerty skrzypcowe. A kwartety Szostakowicza? Jaka to fenomenalna muzyka!

Wiek XX to przede wszystkim muzyka rosyjska, polska i węgierska.

– **Co ceni pan w muzyce rosyjskiej?**

– Gdy miałem 18 lat, fascynował mnie Czajkowski, praktycznie wszystkie jego symfonie, koncert fortepianowy b-moll. Przez kilka miesięcy byłem pod wpływem II koncertu fortepianowego Rachmaninowa, do dzisiaj słucham go w wykonaniu samego kompozytora i Orkiestry Filadelfijskiej pod dyktando Stokow-



skiego. Obok Józefa Hofmanna, Rachmaninow to największy pianista wszech czasów. W szczególności jego wykonanie sonaty b-moll Chopina z lat trzydziestych, marsz żałobny grany według takiego pomysłu: pochód narasta, narasta, do fortissimo, część środkowa – nabożeństwo w kościele, po czym znowu zaczyna się od najmocniejszego uderzenia i oddala się, oddala... Genialne wykonanie.

Cenię wysoko chopinowskich wykonawców, laureatów konkursów chopinowskich. Po wojnie dwóch największych pianistów rosyjskich Richtera i Gilelsa. W szczególności młody Richter, którego pierwszy raz usłyszałem na koncercie w Warszawie w 1954 i myślałem, że spadnę z krzesła.

– Jakże pan dostrzega różnice w muzyce polskiej i rosyjskiej? Czy to jest tak, jak z literaturą, a więc Polacy to wielcy poeci, a Rosjanie wielcy prozatorzy?

– Szostakowicz był bardzo rosyjski, czyli patos, maksymalna wylewność, niepomaganie, chwilami przewaga treści nad formą. Natomiast Prokofiew wprost przeciwnie: ostry, kanciasty, momentami komponował przeciw romantyzmowi, przeciw Chopinowi, ale nic nie jest do końca proste. W VII sonacie jest II część, będąca nawiązaniem do III etudy Chopina, takiej elegijnej. Richter w którymś filmie mówił, że Prokofiew komponował przeciw Rachmaninowowi, ale dużo od niego wziął. A Rachmaninow? Też taka czajkowiczyna, choć już lekko dekadencja, kosmopolityczna; już przecież Czajkowskiego Rosjanie oskarżali o kosmopolityzm. Strawiński tylko w młodości rosyjski, później kosmopolityczny, duszy rosyjskiej tam praktycznie nie ma. A więc, jak widać, Rosjanie są szalenie różnorodni.

– Z kolei Polacy. Szymanowski – eksplozja emocji, u Chopina odwrotnie – dyscyplina, forma klasyczna.

– Prędzej można coś takiego powiedzieć o pianistach. Była kiedyś polska szkoła pianistyczna. Jak ktoś wyszedł od profesora Zbigniewa Drzewieckiego, to wiedział, że nokturnów nie wolno grać wolno, że Chopin sentymentalny to śmierć. A niektórzy Rosjanie tego nie wiedzieli, gubiąc się w nokturnach, bo próbowali w nie wsadzać rosyjską duszę. Z kolei ci z polskiej szkoły bardzo często popadali w akademizm, wykonując Chopina w sposób standardowy. Ale, jeśli jest się geniuszem jak Hofmann czy Rachmaninow, to żadna szkoła nie jest potrzebna. U Richtera zdarza się rosyjska dusza, na przykład w wolnych częściach sonat Beethovena. Kiedyś, po wypiciu mocnej dawki alkoholu w USA, kłócili się o to z Arturem Rubinsteinem. Maszerowali po pokoju, pokazując sobie nawzajem, jak powinno brzmieć *andante*. Richter grał je wolno, po rosyjsku. Ale jak już coś grał dobrze, to było to genialne.

– A może czegoś na koniec rozmowy wspólnie posłuchamy?

– Proponuję Hofmanna. Proszę posłuchać, jak grał Chopina i Rachmaninowa.

Rozmawiała Sylwia Frołow

2005, nr 10



Wiktor Kurelski

SPIDOLA

W dwudziestą piątą rocznicę
urodzin „Solidarności”
Staszkowi i Mirkowi

Spidola był to znakomity i poszukiwany przenośny radioodbiornik produkowany w ZSRR na eksport, stosunkowo niedrogi i w pewnym okresie czasu dostępny w państwowych sklepach, oczywiście jeśli miało się znajomości albo uiściło stosowną gratyfikację sprzedawcy. Najbardziej cenioną zaletą spidoli było to, że umożliwiała względnie czysty odbiór ustawicznie zagłuszanych programów BBC, Głosu Ameryki i Radia Wolna Europa. Na owe czasy i swoje zalety spidola była nieduża, mieściła się w niewielkiej teczce lub naramiennej torbie, dzięki czemu mogliśmy zabierać ją na wakacje. Naszą bazą stawała się wtedy mała osada, licząca zaledwie pięć gospodarstw, na polanie zagubionej wśród świerkowo-jodłowych borów jednej z odludnych żłobionych rzeką dolin Tatrzańskiego Parku Narodowego. Od najbliższego sklepu, do którego dwa razy w tygodniu dostarczano chleb, kiosku z prasą czy choćby tylko szosy, dzieliła ją co najmniej godzina drogi którymś z uciążliwych górskich szlaków. Właśnie tam zastało nas – żonę i mnie, wówczas wyjątkowo w towarzystwie Adama Michnika – pamiętne lato 1980 roku. Adama udało się namówić, by schował się tam przed nękaniami przez Służbę Bezpieczeństwa i nieco odpoczął. O jego miejscu pobytu nie wiedział nikt poza nami i oczywiście góralami, u których zamieszkaliśmy. Później dowiedzieliśmy się, że poszukiwała go nie tylko Służba Bezpieczeństwa, ale i zaniepokojeni przyjaciele, przy czym obie strony podejrzewały się nawzajem. Informacje o tajemniczym zniknięciu Michnika zostały podane nawet w zachodnich dziennikach radiowych. Michnik oczywiście nie mógł dopełnić obowiązku meldunkowego, szczególnie przestrzeganego w pasie przygranicznym, i zgłosić swojego pobytu w sołectwie, do którego była przypisana osada. Wytłumaczyliśmy naszym gospodarzom, że wówczas mieliby na karku nie tylko straż Parku Narodowego i Straż Graniczną, ale także – a może przede wszystkim – Służbę Bezpieczeństwa i milicję. W razie kontroli – trudno! Niemeldowany zawsze mógł być okolicznościowym gościem, ot – ledwie przyjechał, zaraz wyjeżdża. Obaw co do sąsiadów nie było. W przygranicznych osadach niedowidzenie i niedosłyszenie były cnotami wysoko cenionymi, a może nawet niezbędnymi do przeżycia. Chyba wszystkich łączyły tam niewidoczne sieci powiązań i transgranicznych interesów, krzyżujące się dodatkowo za skomplikowanymi stosunkami z Parkiem Narodowym. Miejscowi nawykli trzymać język za zębami. Adam mógł spokojnie przebywać w osadzie incognito, znany po prostu jako Adam. Przemęczony, a także nieprzyzwyczajony do górskiego powietrza i spacerów, zasypiał wcześniej w swoim pokoju na poddaszu, odrabiając w ten sposób zastarzałe zaległości. A właśnie późne wieczory były porą najlepszej słyszalności zachodnich rozgłośni radiowych. Nasza spidola w górach sprawowała się jeszcze lepiej aniżeli na nizinym Mazowszu. W kuchennej suterynie położonego na stoku budynku słuchaliśmy razem z gospodarzami radiowych dzienników. Najwięcej wiadomości o tym, co działo się w Polsce, dostarczało RWE. A były to wiadomości takie, że poczuliśmy się zmuszeni wprowadzić wewnętrzną cenzurę i nałożyliśmy embargo na przekazywanie Michnikowi informacji dotyczących fali strajków, jaka ogarnęła kraj po ogłoszeniu podwyżek cen mięsa i przetworów mięsnych 1 lipca. Strajkowały już nie tylko pojedyncze zakłady produkcyjne, ale i całe ośrodki przemysłowe, a nawet całe miasta. Kolejne ustępstwa władz sprawiały, że kiedy wygasły jedne strajki, gdzie indziej rozpoczynały się nowe. 20 lipca w Lublinie strajk jednej z fabryk przekształcił się w strajk powszechny.

Było oczywiste, że Michnik dowiedziawszy się o tym, co się dzieje, natychmiast wróci do Warszawy, gdzie znowu dopadnie go bezpieka. Nie chciałem, by przerwał wypoczynek, chyba pierwszy od wielu lat. Nie chciałem tego tym bardziej, że z tym, co się działo, nie łączyłem większych nadziei. Komunizm wydawał się względnie trwałym i mimo wszystko stabilnym systemem, opartym na potęgze militarnej oraz



wszechwładzy policji, a stróżem było przecież mocarstwo światowe. Z tej samej górskiej polany dwanaście lat wcześniej – w 1968 roku – bezsilnie obserwowałem przez wiele dni przeloty lotniczej armady na południe, do Czechosłowacji. Po wybuchu strajku okupacyjnego w Stoczni Gdańskiej 14 sierpnia i niemal natychmiastowym rozszerzeniu się go na inne stocznie, porty, fabryki, a nawet transport miejski – spodziewałem się raczej powtórzenia krwawej rozprawy z Gdańska i Gdyni z grudnia 1970 roku. Miałem żywo w pamięci, jak tamtej, mroźnej i śnieżnej nocy, wiedząc, co stało się w Gdańsku, przechodziłem obok hotelu robotniczego w Warszawie, a przez okna dobiegały mnie odgłosy hucznej zabawy, brzęk kieliszków, muzyka i hałasy tańczących par. Bezsilna wściekłość i łzy cisnące się do oczu. Tym bardziej nie chciałem przekazywać coraz to nowych, ekscytujących wieści Michnikowi. A strajk na Wybrzeżu trwał i tężał. 18 sierpnia Stocznia ogłosiła słynne 21 postulatów gdańskich. W pierwszym i najważniejszym z nich żądano prawa do tworzenia niezależnych związków zawodowych. Na polanie życie biegłoby swoim torem, gdyby nie pewien sprzedawca sklepowy, który sprzedając dwie butelki nafty, zawinał je w świeże gazety. Zostały przyniesione w plecaku dla naszych gospodarzy, jako że lampy naftowe były jedynym rodzajem oświetlenia stosowanym w osadzie. Pech chciał, że gazety te dostały się w ręce Michnika. Następnego dnia wyjechał do Warszawy, gdzie oczywiście został natychmiast zatrzymany przez Służbę Bezpieczeństwa. Razem z żoną zostaliśmy kilka dni dłużej, tak aby zdążyć na rutynowe zebranie organizacyjne w szkole, przed rozpoczęciem roku szkolnego. Nie przypuszczaliśmy wtedy, że były to nasze ostatnie wakacje w górach.

31 sierpnia w Stoczni Gdańskiej podpisano porozumienie stron – Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego i Komisji Rządowej. W porozumieniu napisano i podpisano: „Uznaje się za celowe powołanie nowych samorządnych związków zawodowych, które byłyby autentycznym reprezentantem klasy pracującej [...] Komisja Rządowa stwierdza, że rząd zagwarantuje i zapewni pełne poszanowanie niezależności i samorządności nowych związków zawodowych, zarówno co do struktury organizacyjnej, jak i funkcjonowania na wszystkich szczeblach...”. Stała się rzecz niebywała i niewiarygodna! Władze komunistycznego państwa dopuściły istnienie niezależnej od nich i samorządnej organizacji społeczeństwa. Zagwarantowały to! Czy nazywało się to związkiem zawodowym, czy jakkolwiek inaczej – nie miało już znaczenia. Istotna była niezależność od państwa, a zatem od partii, a to znaczyło podważenie monopolu władzy. Były to słowa, w które trudno było uwierzyć. Całe dotychczasowe doświadczenie, a i znajomość faktów z mniej bliskiej przeszłości na uwierzenie nie pozwalały. Jedyne pytanie mogło brzmieć – jak długo to potrwa? Jak długo i jak się skończy?

Póki co karnawał dopiero się zaczynał. 8 września, wkrótce po rozpoczęciu roku szkolnego, niespodziewanie zwołane zostało zebranie koła Związku Nauczycielstwa Polskiego, do którego obowiązkowo należeli wszyscy pracownicy szkoły. A powodem było to – jak oświadczyła na wstępie wieloletnia przewodnicząca koła – że teraz nastała taka moda, że wszyscy zgłaszają jakieś postulaty do władz, więc i my musimy się zastanowić i jakieś postulaty zgłosić. Natychmiast zażądałem przeprowadzenia uprzedniego głosowania nad tym, kto w nowej sytuacji podtrzyma akces do ZNP, a kto życzy sobie założenia nowego niezależnego i samorządnego związku. Spośród 24 obecnych na zebraniu nauczycieli, pracowników administracji, sprzątaczek, kucharek i dozorców, 21 osób wypowiedziało się za nowym związkiem. Pozostałe trzy osoby – partyjny dyrektor szkoły, jego zastępca i przewodnicząca koła ZNP – opuściły zebranie. Wkrótce okazało się, że nie stanowiliśmy wyjątku. 10-11 września w Warszawie odbył się pierwszy założycielski Walny Zjazd Delegatów Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego Pracowników Nauki, Techniki i Oświaty. 9 800 członków, założycieli kół nowego związku w 127 instytucjach, przysłało na Zjazd 286 delegatów. Pierwszy owoc porozumienia wywalczonego przez stoczniowców dojrzał w ciągu zaledwie dziesięciu dni. Tymczasem w całym kraju dotychczasowe komitety strajkowe łączyły się w komitety międzyzakładowe i przekształcały w komitety założycielskie nowych związków zawodowych.

17 września czteroosobowa delegacja NSZZ PNTiO uczestniczyła w spotkaniu komitetów międzyzakładowych z całego kraju, jakie zwołano do Stoczni Gdańskiej. Obrady były burzliwe – Lech Wałęsa opierał się stworzeniu jednego ogólnopolskiego związku zawodowego, do czego parli przedstawiciele prawie wszystkich ponad trzydziestu komitetów międzyzakładowych, za wyjątkiem komitetu gdańskiego. Ten, z Wałęsą na czele, chciał związków o zasięgu regionalnym. W końcu, kiedy wreszcie przeważały głosy większości, okazało się, że impas bynajmniej nie został przełamany. Pojawiły się jakieś nowe trudności. Trwały zakulisowe narady.



Doradcy wyszli z nich wyraźnie zafrasowani. Na coś czekali. Zapytałem Bronisława Geremka i Tadeusza Mazowieckiego, co się dzieje. Wałęsa godząc się na jeden ogólnokrajowy związek, uparł się, by dać mu nazwę „Solidarność”. W opinii doradców nazwa ta nadawała się raczej dla spółdzielni mleczarskiej albo szewskiej, jako że takie małomiasteczkowe spółdzielnie często przyjmowały wówczas nazwy z rodzaju „Przyszłość”, „Świt” albo „Jutrzenka”. Obawiano się nadania podobnej nazwy wielkiemu, ogólnokrajowemu i dopiero co wywalczonemu związkowi zawodowemu. Dyskusje, niepokoje i oczekiwania przeciągnęły się daleko w noc. Kiedy wreszcie ponownie pojawił się Wałęsa, na sali zapadło pełne napięcia milczenie. Wszyscy czekali. Po długiej chwili w kompletnej ciszy rozległy się słowa: „Ogłaszam powstanie jednego niezależnego samorządnego związku zawodowego...”. Tu Lech zawiesił głos. Cisza trwała. Aż wreszcie niemalże krzyknął: „Solidarność!”. Dopiero wtedy ze wszystkich gardeł buchnął hymn: „Jeszcze Polska nie zginęła...”. Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność” stał się rzeczywistością.

13 października na drugim Walnym Zjeździe Delegatów NSZZ PNTiO 450 spośród wszystkich 455 delegatów reprezentujących już 18 910 członków związku ze 199 instytucji przegłosowało przyłączenie się do NSZZ „Solidarność”. Jeden głosował przeciw, a czterech wstrzymało się od głosu. W niedługim czasie „Solidarność” osiągnęła liczbę 10 milionów członków, co stanowiło 80% ogółu zatrudnionych.

Karnawał zakończył się po niespełna półtora roku. 13 grudnia 1981 roku stan wojenny zepchnął „Solidarność” do podziemia. Ponownie zacisnęła kleszcze cenzura. Nowej mocy nabrały zagłuszarki. Spidole wróciły do łask. Nie były przydatne tym, którzy zmuszeni zostali nie tylko pracować w podziemiu, ale i egzystować w nim. Jak na koczowniczy tryb życia były zbyt duże i ciężkie. Szybko zostały zastąpione przez nowe zminiaturyzowane odbiorniki tranzystorowe przemycane do kraju z Zachodu. Spidole okazały się jednak niezastąpione dla tych, którzy prowadzili życie niejako podwójne, zachowując zwykły tryb codziennej egzystencji, a zarazem pracując dla podziemia. Z czasem te wyeksploatowane do granic możliwości odbiorniki, a i przestarzałe przecież, odmawiały wreszcie posłuszeństwa. Wówczas niezawodnie doprowadzał je do porządku nieoceniony Staszek Rusinek, członek zarządu NSZZ „Solidarność” Regionu Mazowsze. Szczęśliwie uniknąwszy internowania, prowadził warsztat naprawy sprzętu RTV. Najważniejszą rolę odgrywał jednak jako niezastąpione ogniwo łączności między podziemną „Solidarnością” a Episkopatem. To właśnie dzięki interwencji Episkopatu wyciągnięty został z więzienia w Białolecie i przewieziony ambulansem prosto na stół operacyjny skarbnik Regionu Mazowsze Mirek Odorowski, robotnik z dziś już nieistniejących Zakładów Wytwórczych Lamp Elektrycznych im. Róży Luksemburg. Później obaj otaczali opieką rodziny internowanych lub ukrywających się i pracujących w podziemiu kolegów. To od tamtych, z wolna zacierających się w pamięci, czasów do Staszka przylgnęła ksywka „Spidola”. Dzisiaj „Spidola” do renty inwalidzkiej dorabia jako recepcjonista. A Mirek zasila szeregi bezrobotnych. Autorowi się poszczęściło – zamiast słuchać Radia Wolna Europa, pisuje do „Nowej Polski”.

2005, nr 7/8



SĄ RZECZY, KTÓRYCH NIE MOŻNA NIE ZROBIĆ

Rozmowa z Wiktorem Kulerskim



– Jak doszło do tego, że wystartował pan w tamtych wyborach? Pytam, bo znanych jest kilka wersji.

– Pracowałem wtedy w Bibliotece Uniwersytetu Warszawskiego, w dziale katalogu rzeczowego. Pracę tę dostałem dzięki odwadze i uporowi prorektora Andrzeja Tymowskiego, który przeforsował zatrudnienie mnie jakiś czas po wyjściu z podziemia.

– A jak wiadomo, był pan najdłużej ukrywającym się przywódcą podziemnej „Solidarności”.

– Ujawniliśmy się wraz z Jankiem Lityńskim dokładnie 30 września 1986 roku. Stało się to podczas konferencji prasowej zorganizowanej w mieszkaniu Ewy Milewicz, w obecności zachodnich dziennikarzy. Po blisko pięciu latach działalności ściśle konspiracyjnej przeszliśmy do działalności jawnej. Oczywiście, w tym momencie stałem się bezrobotnym, bez kartek żywnościowych i bez perspektyw na normalne życie. W szkołach nie chcieli mnie zatrudnić nawet jako dozorcę nocnego lub palacza. W końcu dostałem pracę na uczelni, ale z zastrzeżeniem, że nie mam mieć kontaktu z młodzieżą. Stąd ten katalog rzeczowy w BUW. Praca dla mnie wymarzona. Opracowywałem książki z dziedzin, które

mnie pasjonują, czyli biologii, historii, historii sztuki. Bardzo sobie tę robotę chwaliłem. Aż pewnego dnia ktoś mnie zawiadomił, że jacyś ludzie na mnie czekają w holu biblioteki. Pewnie bezpieczeństwa, pomyślałem, bo w tym okresie towarzyszyli mi wszędzie. Odprowadzali mnie do i z pracy. Samochód zawsze powoli za mną jechał. To nieprzyjemne uczucie iść ciemnymi ulicami, a mieszkalem tak jak dziś w Międzylesiu, na peryferiach stolicy, gdy z tyłu świecą reflektory ich auta. Schodzę więc na dół, a tam zamiast ubeków, delegacja z Grudziądza. Wydaje mi się, że wśród tych osób był Witek Kraśniewski, mój późniejszy przyjaciel, który pokierował kampanią w Grudziądzu.

– On mówi, że poznał pana dopiero na konwencie w Toruniu.

– Może rzeczywiście w tej grupie go jeszcze nie było... Pamięć ludzka jest jednak zawodna. Tak czy inaczej, to wówczas zaproponowano mi kandydowanie. Bardzo mnie to zaskoczyło. Nie miałem na to ochoty, odmówić trudno było. Zasięgnąłem rady ojca.

– Sekretarza Mikołajczyka i członka Rady Narodowej, emigracyjnego odpowiednika parlamentu.

– Człowieka, który przeszedł wiele i nieźle poznał komunistów. Jeśli przyjechali grudziądzanie – powiedział – to znaczy, że pamiętają i mają zaufanie do rodziny. Że nie mają kogoś innego. Trudno, żebyś odmówił, żebyś ich zostawił. Potem okazało się, że oni mnie ponoć dopiero za trzecim razem namierzali. Szukali przez Kuronia, Wujca, ostatecznie dotarli do ojca właśnie, który mieszkał na Grochowie i pokierował ich do BUW.

– Bywał pan w tamtych czasach w Grudziądzu?

– Przed „Solidarnością” rzadko. Miałem tam rodzinę. Były to sporadyczne wizyty rodzinne. W stanie wojennym pani Karola Skowrońska, dyrektor biblioteki miejskiej, wpadła na pomysł, by nadać placówce imię mojego dziadka, wydawcy „Gazety Grudziądzkiej”. Ja nie mogłem przyjechać, bo się ukrywałem, ale na uroczystość pojechał mój brat, którego wcześniej wypuścili z Białoleki. Jednak esbecy zatrzymali go gdzieś przed Grudziądzem. A więc podczas kampanii, jeśli o to pan pyta, miałem gdzie mieszkać w rodzinnym mieście.



– **Konwent wyborczy w Toruniu pan pamięta?**

– Trzeba było krótko coś o sobie powiedzieć. Tam mnie zalegalizowano niejako. Pozostali delegaci mieli błogosławieństwo centrali, gdzie działała komisja, która prześwietlała kandydatów, sprawdzając, by ludzie z bezpieki nie weszli na nasze listy. A mnie wskazał teren, rodzinne miasto, czyli jakby inną drogą trafiłem do tych wyborów. Inaczej też podszedłem do zdjęcia z Wałęsą. Nie chciałem się z nim fotografować. Sam pomysł mi się podobał. Uznaję, że był słuszny marketingowo i gdybym miał głosować nad jego przyjęciem, pewnie byłbym za, ale ja osobiście takiej fotografii na plakatach nie chciałem. I nie żałuję decyzji. Plakat wyborczy miałem indywidualny, zrobiony na miejscu w Grudziądzu, może nie bardzo... dopracowany, ale takie były czasy.

– **Czas było zacząć spotkania z wyborcami.**

– A były różne. Od spokojnych do nerwowych z interwencjami milicji.

– **Inni kandydaci o tym nie wspominają.**

– Może mieli szczęście albo zapomnieli. Pamiętam doskonale, jak w Brodnicy na rynku milicja zrywała plakaty świeżo powieszone przez naszą ekipę. Opisałem to w relacji opublikowanej w miesięczniku „Znak” w lipcu 1989. Ja stałem na platformie i przemawiałem, a oni okrażali nas ze wszystkich stron, legitymowali ludzi i spisywali. To była oczywista próba zastraszania.

– **O czym pan mówił?**

– Muszę przede wszystkim powiedzieć, że nie wierzyłem w zwycięstwo. Miałem zbyt wiele złych doświadczeń z komunistami. Zresztą nie tylko z nimi, z totalitaryzmem w ogóle. Przecież przez cały okres okupacji nasza rodzina, z powodu działalności dziadka na Pomorzu, a potem emigracyjnej działalności ojca, ukrywała się i przenosiła z miasta do miasta. Byłem budzony często w nocy i pytany, jak się nazywam. Musiałem natychmiast podawać fałszywe imię i nazwisko. To był mój pierwszy trening, szkolenie w rodzinie. Potem widziałem, co robiono z moim ojcem po jego powrocie do kraju, w trakcie i po sfałszowanych wyborach parlamentarnych w 1947 roku, a wreszcie po ucieczce Mikołajczyka z kraju. Słynny proces. Pamiętałem, jak podczas jego uwięzienia jako szesnastoletni licealista zostałem też zatrzymany, a potem w nocy kazano mi iść w stronę Wisły. Byłem wtedy pewien, że mnie rozwalą. A potem przesłuchania w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego na Koszykowej. Dlatego trudno mi było uwierzyć w sukces tych wyborów. Ale uznawałem, że spróbować trzeba. Nie wolno nie spróbować. Dlatego mówiłem: weźcie udział w tych wyborach. Nie wiemy, czy się uda, czy się nie uda, ale to być może jest szansa i nie wolno nam jej nie wykorzystać. Jesteśmy to winni przodkom i potomnym. To był motyw przewodni moich wystąpień w tym czasie. Mój dziadek siedział w trzech pruskich więzieniach – w Człuchowie, Plötzenzee i Moabicie, ojciec też w trzech, tyle że komunistycznych – na Koszykowej, Rakowieckiej i we Wronkach. To właśnie tamte pokolenia pracowały na nowy czas, bo gdyby nie one, może już dawno byłibyśmy kolejną republiką Kraju Rad. Skoro więc teraz otwiera się jakaś szansa, musimy ją wykorzystać mimo wszelkich niepewności i wątpliwości.

– **Słuchacze byli pozytywnie nastawieni?**

– Nie zawsze. Pamiętam spotkanie w jakimś Domu Rencistów, gdzie, jak się okazało, przebywali głównie zasłużeni dla władzy ludowej. Prerażające rzeczy zaczęli mówić, nawet nie będę przytaczał. Nie pozwolili mi dojść do słowa. Wylewali wiadra pomyj. W końcu udało mi się wtrącić: – Wy tu macie potrzebę wyrzygania się. Więc dobrze, jestem kubłem, rzygajcie, ja to zabiorę ze sobą i wyniosę. Wtedy dopiero się uspokoiłi i zaczęła się jakaś tam dyskusja. Bywało naprawdę różnie. Ze spotkania, w którejś z małych miejscowości pod Grudziądem, reportaż napisała Hanna Krall. Były i spotkania, w których występowałem wspólnie z innymi kandydatami.

– **A w dniu wyborów...**

– Byłem akurat w USA na kongresie American Federation of Teachers (AFT), związku zawodowego nauczycieli amerykańskich. Nie przeżywałem więc tego tak, jak koledzy w kraju.

– **Wybory skończyły się sukcesem. Pana obawy się rozwiały?**

– Zacząłem wierzyć, kiedy zostały ogłoszone wyniki. Proszę się nie dziwić. Kilka dni przed stanem wojennym byłem w redakcji magazynu „AS”, gdzie mówiono, że władza leży na ulicy, wystarczy ją podnieść. Miałem czarne myśli i w końcu na prośbę Heleny Łuczywo je ujawniłem: – Oni nas rozwalą – powiedziałem wtedy. – Nie wiem jak i kiedy, ale nas rozwalą.



– **To dlaczego teraz się udało? A może się nie udało, bo wszystko było sterowane?**

– Okragły Stół nie był sterowany. Co się stało? Oni nie przypuszczali, że tak sromotnie przegrają te wybory. Chcieli nas wciągnąć, zrobić z „Solidarnością” to samo, co z innymi ugrupowaniami, które w przeszłości wchodziły z nimi w układy. Jaki był los PPS i PSL? Tu miało być tak samo. Sądzieli, że uda się nas wessać i uczynić współodpowiedzialnymi. Przecież naszym celem przy Okragłym Stole była legalizacja „Solidarności”. Nasze uczestnictwo w wyborach było ich pomysłem i ceną, jaką mieliśmy i musieliśmy za legalizację związku zapłacić. To była podstawowa i pierwszoplanowa wówczas kwestia, o czym dziś się zapomina.

Według profesora Andrzeja Paczkowskiego jedynie Jaruzelski przewidział, co się stanie, kiedy powie-
dział: „Oni rozwalą socjalizm”. Inni czerwoni w to nie wierzyli. Zagrali przy Okragłym Stole *va banque* i okazało się, że przegrali. Jeszcze potem było nerwowo. Proszę sobie przypomnieć głosowanie w Sejmie, gdy prezydentem zostawał Jaruzelski. Było ogromne prawdopodobieństwo, że przegra. Co by się wtedy mogło stać? Sowieckie wojska w kraju, SB w ich rękach, wojsko też... Była to jedna z najtrudniejszych, a może najtrudniejsza chwila w moim życiu. Nie miałem prawa ryzykować wszystkim tym, co udało się uzyskać, a jednocześnie nie mogłem na niego głosować. Oddałem nieważny głos. Zrobiło tak siedmiu z nas. I przeszedł jednym głosem dzięki naszym nieważnym głosom. Ten klimat trudno dziś pojąć.

– **Trudno nie spytać pana o te pięć lat ukrywania się.**

– To było jak z KOR-em i „Solidarnością” – są rzeczy, których nie można nie zrobić, podobnie jak rzeczy, których się nie robi. W chwili ogłaszania stanu wojennego byłem zastępcą Zbyszka Bujaka. On pojechał na spotkanie Komisji Krajowej do Gdańska, ja zostałem w Regionie. Po kilku całodobo-
wych dyżurach chciałem się wykapać i wyspać w domu przed tym, czego oczekiwałem. Z milicyjną ekipą, która miała mnie zatrzymać, minąłem się, gdy wracałem do Zarządu Regionu, po tym, jak dowiedziałem się, że odcięto teleksy. Potem żona mówiła, że szukali mnie nawet w szafach. Tak po raz drugi w życiu wszedłem w okres ukrywania się i konspiracji. Nie wpadłem może dzięki temu, że nie uczestniczyłem w żadnych spotkaniach towarzyskich. Konsekwentnie przestrzegałem pewnych prawideł roboty konspiracyjnej.

– **Po ujawnieniu się nie trafił pan do więzienia. Może oni się w tym czasie trochę jednak naddali?**

– O, bez wątpienia. Po wyjściu byłem kilkakrotnie zatrzymywany, przesłuchiwany i przetrzymywany w aresztach. Pewien młody, inteligentny i wykształcony esbek, spytał mnie wprost: – Z tego, co wiem, miał pan do czynienia z naszą firmą w dalszej przeszłości, jak wypada porównanie? Odpowiedziałem, że tamci to byli neandertalczykowie, a teraz jest jak widać lepiej. A on na to: – Tacy, jak pan mówi, też są do dziś, niech pan uważa. Profesjonalizmu i inteligencji im nie ujmuję. Już jako poseł, pierwszego dnia, miałem spotkanie w Sejmie z Kiszczakiem. Spotkałem go wówczas po raz pierwszy w życiu i nie przypuszczałem, że mnie rozpozna! Wchodzi na piętro, patrzę, a on stoi i rozmawia z jakimś starszym człowiekiem. Chciałem go jakoś z daleka wyminąć, a ten, jak tylko mnie zobaczył kątem oka, starszego pana przeprasza (jak się potem okazało – generała Kuropieskę) i rusza do mnie z wyciągniętą ręką. – Och, panie Wiktorze, jak myśmy pana szukali przez te pięć lat! Ja na to: – Szkoda, że nie wiedziałem, ale nie dalsieście znać. Nie chciałem wam robić kłopotu. Okazało się, że zna całą historię mojej rodziny. Łeb jak komputer.

– **Skoro tacy bystrzy, to dlaczego przegrali?**

– Jeszcze raz powtarzam. Nie spodziewali się takiej klęski w tych wyborach. Postawili wszystko na jedną kartę. To była z ich strony gra *va banque*. Na szczęście dla nas wszystkich tym razem dotrzyмали umowy i zdecydowało społeczeństwo.

Rozmawiał Jacek Kieliński



■ „Znak”, lipiec 1989

Posel Wiktor Kulerski (woj. toruńskie):

Ponieważ na pytanie „Czego dowiedziałem się o Polsce i Polakach w trakcie kampanii wyborczej 1989 r.?” w moim przypadku jedyną odpowiedzią „od razu i na gorąco” – jak napisał redaktor „Znaku” – są obrazy, do nich właśnie się ograniczę. Oto trzy tylko spośród wielu. Składają się w swoisty, polski tryptyk *anno* '89. Tak też je zostawiam, jako że forma odpowiedzi została pozostawiona do mojego uznania.

BRODNICA. Rynek w centrum miasteczka rozpalony upałem i pustawy w samo południe. Błyskawicznie rozklejone plakaty wyborcze z daleka biją w oczy cynobrem charakterystycznych liter „Solidarności”. Przed plakatami gęstnieją gromadki brodniczian. Czytają świeżo rozplakatowany program wyborczy „Solidarności”. Po chwili z bramy komisariatu wynurzają się milicjanci. Leniwie ziewając, dociągają rozluźnione pasy i niespiesznie podchodzą do grupek czytelników. Zaczyna się legitymowanie i spisywanie danych personalnych z dowodów osobistych. Wykroczenia? Nie, wykroczeń nie było z żadnej strony. Każdy ma prawo czytać plakaty wyborcze, ale i każdy może być wylegitymowany i spisany. Ale po co figurować w milicyjnych rejestrach? Gromadki ludzi przed plakatami topnieją. Po chwili z ponownie pustego i sennego rynku milicjanci ściągają do bramy komisariatu. W Warszawie koledzy nie chcieli wierzyć. Zresztą w nocy plakaty zostały zdarte, podobnie jak i gdzie indziej.

WARDEGÓWO. Świetlica Gminnego Domu Kultury jeszcze pełna po spotkaniu z wyborcami. Czyjeś palce zwierają się na moich dłoniach. Pochylona kobieca głowa opiera się o moje ramię. Nie widzę twarzy. Za to ręce... zniekształcone, sękaty palce o zgrubiałej i spękanej od pracy skórze i wykoślawionych stawach. Kobieta musi mieć chyba z sześćdziesiąt lat. Ma zdławiony, łamiący się głos: „Uwolnijcie nas wreszcie od tych klik, co nas gnębią. Obsiedli wszystko: spółdzielnie, gminy, województwa. Tak nie da się żyć. Sami nie damy rady. Pomóżcie...”. Na moje ręce kapią jej łzy i spływają między naszymi palcami. Milczę. Po chwili pytając podnosi twarz. Szeroko otwarte jasnoniebieskie oczy są pełne łez. Ona miała nie więcej jak trzydzieści lat.

ROGÓŻNO-ZAMEK. Stłoczony, milczący tłum robotników rolnych ożywia się dopiero na słowa dyrektora PGR-u: „My tu jeszcze mamy swoje sprawy, ale będziemy je załatwiać w swoim gronie – prawda chłopcy? A panu dziękujemy.” Robotnicy wyraźnie wzburzyli się. Milkną jednak, kiedy dyrektor wstaje, dając znak, że spotkanie skończone.

„Nieprawda, panie dyrektorze” – mówię. „Jeśli ludzie chcą rozmawiać teraz – będą rozmawiać teraz. Za wiele spraw w Polsce załatwiano w swoim gronie i dlatego mamy, jak mamy. Poprawiać zaczęło się tylko wtedy i tylko tam, gdzie zaczęto mówić głośno i pisać otwarcie o sprawach. Tylko oszust, złodziej i zbrodniarz boi się rozgłosu i światła.”

Robotnicy zrywają się z miejsc. Krzyczą coś jeden przez drugiego. Dyrektor opada z powrotem na krzesło i znowu nastaje cisza. Mówi na siedząco tym razem: „No, jak pan tak chce, jak pan im tak każe...!”. „Nic nikomu nie każe. Ludzie nie są głupi i sami wiedzą, co robić. Zechcą rozmawiać teraz – będą rozmawiać. Zechcą inaczej – będzie inaczej”. Tu zwracam się do robotników: „Chcecie rozmawiać od razu – mówimy. Chcecie sami gadać z dyrektorem, to was zostawiam. Jak nie wyjdzie – przyjeżdżam jutro i załatwiam sprawę wspólnie”. Chłopi znowu ożywają się i naradzają między sobą. Twarze zacięte, spoważniałe. Ważą sprawę. W końcu jeden wstaje i mówi: „Spróbujemy sami. Jak nie wyjdzie – dzwonimy wieczorem do MKZ-etu i jutro pan przyjeżdża”. W nocy telefon – dyrektor został wyrzucony. Darowali mu wywiezienie na taczkach, ale za to będzie miał na karku prokuratora. Robotnicy od razu wybrali spośród pracowników PGR-u nowego dyrektora.

A teraz wracając do pytania. Otóż po takich spotkaniach i im podobnych poglądów nie zmieniłem. Najtrudniejszymi były te pytania, które nie zostały wypowiedziane i które zadaje sam sobie również. A jakie problemy, poczucie jakich zagrożeń powtarzały się najczęściej, co Polakom leży najbardziej na sercach i w czym ludzie upatrują dróg wyjścia z kryzysu gospodarczego – o to wszystko po takich spotkaniach, jak trzy opisane wyżej, jakoś nie pytałem.

Warszawa, 23 lipca 1989 roku
Wiktor Kulerski

2009, nr 7/8



Jerzy Pomianowski

POETKA NATALIA GORBANIEWSKA ZASŁUGUJE NA TYTUŁ NAUKOWY



Zdanie, stanowiące tezę tej recenzji, obchodzi się bez znaku zapytania, jakim niezręczni dziennikarze opatrują wiadomości o wydarzeniach, uważanych – jak to dziś lektura prasy uczy – za kontrowersyjne. Nie ma żadnej kontrowersji w samym już zjawisku symbiozy poezji z nauką. Znamy dzieła naukowe, stanowiące arcydzieła piśmiennictwa; piszący te słowa uważa np. *Zarys chirurgii ropnej* Woyno-Jasienieckiego za prawdziwe *chef-d'oeuvre* rosyjskiej literatury artystycznej, chociaż autor starał się o jak największą prostotę, opisując przypadki chorobowe, jakie leczył w ubogich lazaretach łagrów syberyjskich. Zwięzłe szkice o wielkich filozofach, publikowane przez profesora Leszka Kołakowskiego, są przykładami wzorowego i oszczędnego, jak epigramat, ćwiczenia stylistycznego. *De rerum natura* Lukrecjusza jest regularnym (choć nieukończonym) poematem, a zawiera kwintesencję ówczesnej wiedzy.

Z kolei – trudno nie uznać prac Czesława Miłosza za kopalnię wiedzy filozoficznej i historycznej, wyłożonej z bezprzykładną jasnością i swadą właśnie dlatego, że autor był przede wszystkim poetą, co znaczy, że wiedział, iż tajemnicą wyższości poezji (przynajmniej w literaturze polskiej) jest jej zdolność do takiego przekazu sensów, który w prozie wymagałby wielosłowa.

Nie mnożmy jednak przykładów w kwestii tak oczywistej.

Twierdzę, że samo postówie Natalii Gorbaniewskiej do jej książki *Dwunasta w południe* spełnia wymogi wzorowej pracy naukowej.

Obchodzi się bez tezy wyjściowej, to jest – nie nawiązuje do metodyki spinozjańskiej, nie szuka dowodów, przemawiających za ową tezę, ani nie obala postulatów jej przeciwnych. Z surową powściągliwością ogranicza się do dowodów zebranych najprostszą metodą dedukcyjną. Cytuje fakty, znane sobie, wcale nie czyniąc z narratorki świadka koronnego, referuje obiektywnie opinie o nich i nie stara się wcale o dobór stronniczy, mający akcentować bezinteresowne poświęcenie i heroiczny charakter protestu owej siódemki młodych inteligentów moskiewskich, którzy 25 sierpnia 1968 roku wyszli na plac Czerwony, aby rozwinąć tam kilka transparentów wyciętych z własnych prześcieradeł i ręczników, na których widniały słowa potępienia napaści wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację. Były to słowa domorosłe, bez retoryki. Oto passus z książki Natalii Gorbaniewskiej:

„Dla zachodniej opinii publicznej, jak myślę, nasza demonstracja stała się najczystszy, najgłębszym przejawem wszystkiego, co dobre, zasadnicze w charakterze rodzącego się wtedy ruchu obrony praw człowieka. Były już przecież wcześniej demonstracje – głównie w obronie aresztowanych z powodów politycznych (grudzień 1965, styczeń 1967). Ale dla osób postronnych sprawa wyglądała tak, że oto bronią «swoich»



– przyjaciół lub po prostu rodaków. Demonstracja przeciw inwazji wojsk radzieckich na Czechosłowację, której głównym hasłem stało się «Za waszą wolność i naszą!», została odebrana jako coś szczególnie bezinteresownego: poświęcano wolność w obronie «obcych».

Uściślając, dodam, że występuje tu pewne nieporozumienie, jest to tylko połowa prawdy: nie tak całkiem «bezinteresowna» była nasza demonstracja. Przecież broniliśmy również samych siebie, broniliśmy przed nieuchronnym – w przypadku milczenia – poczuciem współudziału w przestępstwie”.

Skromność i umiar, niechęć do wynoszenia na piedestały własnego czynu i udziału – należą do najrzadszych cnót naukowych. Niech i to wzięte będzie pod uwagę przy ocenie dzieła Natalii Gorbaniewskiej, dzieła wzorowego, gdy chodzi o dobór, pełnię i ścisłość zebranych świadectw. Książka, o której tu mówiłem, jest już i będzie nader ważnym źródłem dla historyków poważnych, szukających nie żeru dla gazet, lecz rzeczowych dowodów dla wiarygodnego osądu mechanizmów represji politycznej i objawów jej groteskowego przerażenia.

Nie śmiem podkreślać, jak ważne jest dzieło Gorbaniewskiej (i doktorat honoris causa, jaki winien być jej przyznany) dziś, gdy widzimy ekshumację tego samego systemu represji szukającej poparcia motłochu i godzącej w tę samą inteligentną garstkę, której skromny przykład potrafi jednak odmienić bieg spraw – jak Miłoszowskie kamienie odmieniają bieg lawiny.

Piszący te słowa korzysta z rzadkiego przywileju: Natalia Gorbaniewska jest członkiem redakcji „Nowej Polszy”, pisma, które Jerzy Giedroyc zlecił mu założyć i prowadzić już 10 lat temu. Praca Natalii Gorbaniewskiej nie tylko gwarantuje językowi rosyjskiemu, w jakim pismo jest publikowane, nienaganny kształt. Jest nadto jeszcze jednym przykładem powagi naukowej, z jaką Gorbaniewska odnosi się do wszystkich szczegółów tekstu, który sama tłumaczy lub poprawia. Jej uwagi, jej sposoby weryfikacji dat, nazwisk, cytatów są wzorem staranności i dowodem głębokiej wiedzy – filologicznej, bibliograficznej, historycznej.

Proszę Komisję o potraktowanie tych wywodów z całą powagą; nie są to czcze pochwały. Natalia Gorbaniewska podchodzi do swoich zadań i zamiarów z rzetelnością naukowca, obdarzonego darem artystycznego rozmachu i tą ofiarnością, której stała się istnym symbolem.

Laudacja z okazji przyznania Natalii Gorbaniewskiej tytułu doktora honoris causa Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie

2008, nr 11



Michał Komar

JUBILAT

Jerzy Pomianowski jest pisarzem, eseistą, tłumaczem, poetą, autorem sztuk teatralnych, scenarzystą filmowym, wykładowcą uniwersyteckim, recenzentem wrażliwym i – gdy trzeba – bezlitosnym, znawcą stosunków polsko-rosyjskich, twórcą i redaktorem naczelnym „Nowej Polszy”, psychiatrą, myśliwym, uwodzicielem i podróżnikiem. Ujmijmy rzecz krótko: aby być Jerzym Pomianowskim, trzeba wyróżniać się licznymi talentami, mądrością i pamięcią gorzkich przygód z losem. Trzeba więc: urodzić się w Łodzi 13 stycznia 1921 roku; studiować filozofię u Tadeusza Kotarbińskiego na Uniwersytecie Warszawskim; przeczytać opowiadania Izaaka Babla (w przekładzie swego stryja, Mieczysława Birnbauma, który „w czasie wojny 1920 roku był człowiekiem Piłsudskiego do specjalnych poruczeń – przyszedł do niego nie z PPS, ale z SDKPiL, dlatego znał wszystkich ludzi sowieckich polskiego pochodzenia. Z ramienia Piłsudskiego pertraktował potem z bolszewikami, m.in. w Mińsku”, w 1940 roku zaś został zamordowany w Katyniu); w porywie młodości odważyć się pojechać do Stanisława Ignacego Witkiewicza, by posłuchać jego apokaliptycznych przepowiedni – i nie uwierzyć; zostać rannym we wrześniu 1939 roku; zacząć rozumieć, że apokaliptyczne przepowiednie spełniają się częściej, niż chciałoby się w to wierzyć; pracować jako *nawalotbojszczyk* w kopalni „Krasnopol” w rejonie Brianka w obwodzie woroszyłowgradzkim; pojechać do Tadżykistanu i rozpocząć w Stalinabadzie studia medyczne; pojechać do Moskwy i być redaktorem Agencji Prasowej Polpress; dowiedzieć się, że Izaak Babel padł ofiarą „czystki”; poznać Annę Achmatową i Borysa Pasternaka; zostać psychiatrą z dyplomem moskiewskiego Instytutu Medycznego; pojechać do Warszawy, by zająć się teatrem i filmem, pisać sztuki, tłumaczyć z polskiego na polski, że twórczość Bertolta Brechta nie jest dziełem „z gruntu obcej, wrogiej nam, towarzysze, ideologii”, a po prostu na polski poezje Anny Achmatowej, Osipa Mandelsztama, Aleksandra Puszkina, Borysa Szuckiego, opowiadania Antoniego Czechowa, komedie Eugeniusza Szwarca i Michaiła Bułhakowa, dramaty Lwa Tołstoja – przede wszystkim zaś dostępną całość dzieł Izaaka Babla; ustrzelić dwudwudziestaka; i szarżującego odyńca też; wyemigrować z Polski do Włoch; być profesorem literatury polskiej na uniwersytetach w Bari, Pizie i Florencji; tłumaczyć na włoski utwory Aleksandra Fredry i Karola Wojtyły; pisać do paryskiej „Kultury” i za namową jej redaktora naczelnego Jerzego Giedroycia przełożyć na polski *Krąg pierwszy* i *Archipelag GUŁag* Aleksandra Sołżenicyna; publikować artykuły i eseje w „Tempo Presente”, „Mondoperaio”, „La Fiera Letteraria”, „La Quinzaine Littéraire” i „Dokumente”; wrócić do Polski w 1992 roku i wydać co najmniej sześć książek eseistycznych, nie licząc wielu przekładów; stworzyć „Nową Polskę”...

Mamy powody, by podejrzewać, że w ciągu ostatnich dziewięćdziesięciu lat było wielu, którzy chcieli zostać Jerzym Pomianowskim.

Za sprawą licznych talentów, mądrości i pamięci gorzkich przygód z losem umiał to zrobić tylko jeden.

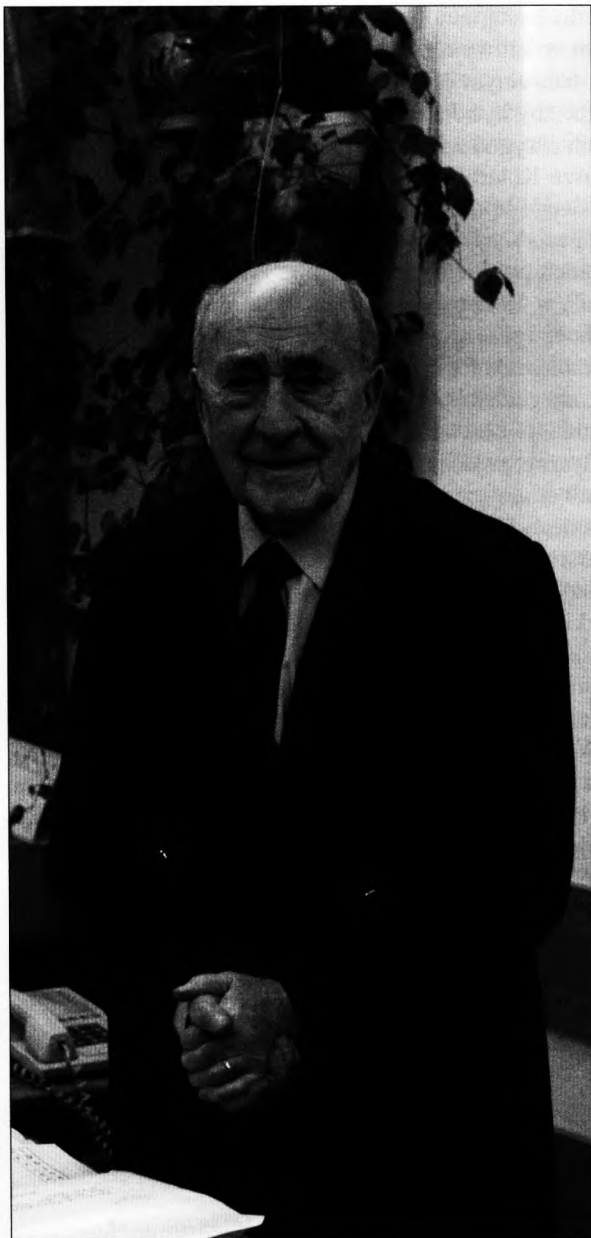
Ad multos annos, Jerzy!

2011, nr 1



Leszek Szaruga

TLUMACZ



Spośród wielu określeń, jakie można przywołać w próbie charakterystyki Jerzego Pomianowskiego, najbardziej pojemnym i chyba najbardziej jednocześnie precyzyjnym jest nazwanie go tłumaczem. Polskie słowo „tłumaczenie” okazuje się w tym wypadku niezwykle poręczne – oznacza ono przekład, ale również wyjaśnianie, interpretację, wyłuszczenie istoty rzeczy. Można to czynić, podejmując się różnych zatrudnień i odpowiadając na wiele powołań i tak właśnie się dzieje w tym przypadku. Jest bowiem Pomianowski wybornym tłumaczem literatury rosyjskiej, ale też jednocześnie autorem tekstów, które interpretują i wyjaśniają skomplikowane stosunki polsko-rosyjskie oraz rosyjsko-polskie (ta podwójność ma znaczenie, gdyż „tłumaczyć” Polskę Rosjanom, potrafi jednocześnie tłumaczyć Rosję Polakom), wreszcie jest też redaktorem – za trafną namową Jerzego Giedroycia – miesięcznika skierowanego do „przyjaciół Moskali” będącego próbą tego, co w pracy tłumacza najważniejsze, a mianowicie stworzenia przestrzeni dialogu. I nic w tym dziwnego, skoro jeden z żywiołów artystycznych, w którym czuje się autor *Wyboru wrażeń* jak ryba w wodzie, to teatr.

Ale żywiołem podstawowym, niejako „pierwszą materią”, z jakiej składa się kosmos Pomianowskiego, jest Polska. Brzmi to nieco patetycznie, nie przeczę, nie zmienia to jednak postaci rzeczy: Pomianowski należy, jak to się zwykło określać, do państwowców. Oznacza to, że nie jakaś ideologia, lecz suwerenność Polski stanowi dla niego podstawę wszelkiej politycznej aktywności, od której się, mimo podeszłego już wieku, nie uchyla. Jako jeden z nielicznych niestety spadkobierców Giedroycia główny wysiłek poświęca temu, co stanowi – zwłaszcza obecnie, gdy przynależność do Unii Europejskiej i NATO gwarantuje bezpieczeństwo na zachodzie – podstawę zabezpieczenia niepodległości: polityce

wschodniej, w szczególności stosunkom z Rosją. Program swój wyłożył w szkicu poświęconym pamięci redaktora „Kultury”: „Ustalenie poprawnych i korzystnych stosunków z Rosją jest [...] i konieczne, i możliwe dlatego, że Polska pozbyła się statusu wasala. Rzecz będzie wykonalna tylko przy jednoczesnym



spełnieniu trzech warunków: a) jeżeli nie stanie się to kosztem niepodległości i życiowych interesów wspólnych sąsiadów Rosji i Polski, przede wszystkim – Ukrainy; b) jeżeli Rosja włączona będzie do kontynentalnych struktur gospodarczych, egalitarnych z założenia, wykluczających jakąkolwiek hegemonię, za to gwarantujących ową pomyślność, która czyni z agresji anachronizm; c) jeżeli stanie się to przy świadomym udziale samych Rosjan”. Słowa te, napisane dziesięć lat temu, zdają się dziś dochodzić do głosu w zapowiadanym programie modernizacji Rosji.

Problem w tym, że chodzi nie o Rosję, ale o Polskę. Pomianowski, podobnie jak Giedroyc – szczególnie w ostatnim okresie istnienia „Kultury”, na który przypada też inicjatywa powołania do życia „Nowej Polski” – tłumaczy rzecz pozornie paradoksalną: to mianowicie, że myślenie o Polsce musi być nierozdzielnie związane z myśleniem o Rosji. To myślenie natomiast oparte być musi na dwóch podstawach – pierwszą jest wyobraźnia pozwalająca wypracowywać wizje przyszłości, drugą zaś twardy, odarty z emocji realizm. I jednego, i drugiego Pomianowskiemu nie brakuje – więcej: potrafi on w swym pisarstwie, ale też i w postępowaniu zharmonizować je ze sobą. Nie oznacza to, że jego wizje przyszłości pozbawione są elementów pesymistycznych, ale niezależnie od tego określa je zawsze ten sam horyzont: partnerskich relacji Polski i Rosji; partnerskich, co nie znaczy, że wolnych od sporów i starć interesów, ale zarazem przedkładających siłę argumentów nad argument siły, co widać choćby po efektach prac komisji zajmującej się trudnymi sprawami we wzajemnych relacjach obu państw, w której przedsięwzięciach uczestniczy. Aby w nich uczestniczyć, ma istotne kompetencje: nie tylko doświadczył w swym życiu uroków pracy w kopalni w Donbasie, lecz nadto jest świetnym znawcą literatury rosyjskiej. Potrafi zrozumiale wytłumaczyć to, czym była sowiecka rzeczywistość okresu najbardziej brutalnego totalitaryzmu, ale i wysmienicie przetłumaczyć słowo rosyjskiego poety, okraszając to wszystko znakomitymi anegdotami, czego ilustracją jest skomponowana przezeń *Sodoma i Odessa*, rzecz sceniczna stanowiąca, jak powiadamia podtytuł *Wariacje, domysły i piosenki na temat „Opowiadań odeskich” Izaaka Babla*.

Pomianowski jest wnikliwym czytelnikiem Babla i nie przypadkowo, że szkic o jego twórczości i jego losie kładzie jako puentę swej książki *Na wschód od Zachodu* opatrzonej znaczącym w tym kontekście podtytułem: *Jak żyć z Rosją?* To pytanie stanowi dla niego jedną z fundamentalnych kwestii polskiej egzystencji. Inną z tych kwestii jest „tłumaczenie” Polski Rosjanom. Rola pierwszoplanowa w próbach rozwiązania, ale też w sztuce stawiania tych kwestii przypada słowu. Nic dziwnego, że szukając słowa najbardziej nośnego, zdolnego zdać sprawę z głębi – ale też dramatyzmu – ludzkiego doświadczenia, odnajduje Pomianowski owo słowo właśnie w pisarstwie Babla, w szczególności w jego *Dzienniku 1920*. Pomianowski wie – i umie tę wiedzę przekazać – że doświadczenie Rosji sowieckiej (ale nie tylko sowieckiej, o czym przekonuje się każdy czytelnik Dostojewskiego czy Gogola) jest na swój sposób doświadczeniem uniwersalnym. Ważny wszakże jest ów „swoi sposób”, czyli sposób jego wyrażania. Charakteryzując narracje Babla, Pomianowski pisze: „Okazało się, że chodzi nie o samą znajomość nowych ludzi i wypadków, ale o sposób, o chwyt, który z kroniki czyni literaturę, a z przypadków – drobinki wieczności”.

Ten „sposób” to przede wszystkim zdolność zachowania niezawisłości: zarówno w literaturze, jak i w polityce. Pilnuje też niezawisłości „Nowej Polski”. Oddaje na jej łamach głos przedstawicielom różnych politycznych opcji. Dbą jednak o to, co sam podkreślał jako walor redaktorskiej praktyki Giedroycia: „Wolność słowa, o którą bił się Giedroyc, i której znaczenie wykazał sześciuset trzydziestoma siedmioma zeszytami «Kultury» i wszystkimi wydawnictwami Instytutu Literackiego, powinna być nie tylko jakimś tam skarbem na ołtarze wynoszonym, ale musi być, mówiąc po prostu, strzeżona przez każdy rząd Rzeczypospolitej. Ta część spadku po Giedroyciu powinna być chroniona”. I jest chroniona na łamach pisma przez Pomianowskiego redagowanego. Bo wolność słowa jest warunkiem nieredukowalnym pracy tłumacza, która – wie to każdy, kto tego próbował – zaczyna się wtedy, gdy wykracza się poza słowniki. Tę umiejętność Pomianowski nie tylko posiadał – potrafi ją także przekazywać innym.

2011, nr 1



LEOPOLD UNGER DO JERZEGO POMIANOWSKIEGO

(List odczytany podczas jubileuszu, 9 lutego 2011)



Drogi Panie (pamiętasz, kto tak się do nas zwracał), Kochany Jureczku, od kilku tysięcy lat, od pojawienia się proroka Eliasza, przy żydowskim stole na święto Pesach, stoi jedno puste krzesło. Choć prorok zwleka z przyjściem, tradycja się utrzymała, teraz już nie tylko u Żydów. Niedawno, w Oslo, puste krzesło, jak pamiętasz, czekało bez skutku, na Liu Hsiabo, chińskiego laureata Nobla. Proponuje wrócić dziś wieczorem do tej sympatycznej tradycji. Bardzo chciałem być dzisiaj z Tobą, los nie pozwolił, ale postaw, proszę, przy Twoim jubileuszowym stole jedno puste krzesło. Nie dla proroka ani noblisty. Dla mnie.

To nie kaprys, ani przypadek. 40 lat temu, kiedy, w połowie drogi między Rzymem a Brukselą, ale w tym samym miejscu, to znaczy w Maison Laffitte, rodziła się nasza przyjaźń, drogi Pan Giedroyc o krzesłach dla nas pamiętał. Siedzieliśmy na nich 30 lat. Stoją do dziś.

Jureczku, nie ma nas już wielu i niedługo już żadne krzesło nie będzie potrzebne. Wawel na nas już czeka. Wszystko, co dobrego Twój przyjaciele (a może i nawet wrogowie) mieli o Tobie do powiedzenia, już czytaliśmy, słyszeliśmy i dziś znowu posłuchamy, a jutro przeczytamy.

Ale od siebie, z pustego krzesła, chcę jednak dodać, bo mam do tego, chyba nie zaprzeczysz, specjalne prawo, że, czego inni może nie potraktowali jak należy, jesteś właściwie jedynym prawdziwym, nieugiętym, nie tylko duchowym, są jeszcze inni, ale rzeczowym realizatorem i spadkobiercą nieistniejącego testamentu Redaktora.

My, ci z „Kręgu”, pisaliśmy, a Giedroyc w „Kulturze” drukował. Ludzie czytali (albo nie), po czym „Kultura”, razem z autorami, szła na półki. I tam w kurzu się starzeją.

Została (poza naturalnie Mezonem) Twoja „Nowa Polska”. Była to (poza „Kulturą” nr 637 z października roku 2000), jedna z ostatnich ini-



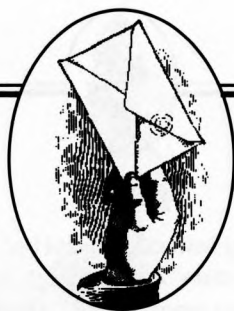
cjatyw Giedroycia, jeżeli nie ostatnia, której realizacji zdążył być świadkiem. Zadowolonym świadkiem. To jego duch krąży nad „Nową Polszą” (nad „starą” coraz mniej). To on uparcie wierzył, że „słowo ma ciągle siłę magiczną”. I dlatego z okazji pierwszego numeru „NP.” Giedroyc tak do Ciebie pisał: „Powstanie Pana pisma uważam za wydarzenie, którego nie można przecenić. Od normalizacji bowiem stosunków polsko-rosyjskich zależy nie tylko przyszłość naszych krajów, ale również przyszłość powstającej Zjednoczonej Europy. Nasze dzieje są krwawym rejestrem krzywd i porachunków. Te antagonizmy są pogłębione wzajemną ignorancją. Zarówno Polacy, jak i Rosjanie mają skrzywiony wzajemny obraz. Ambitnym zadaniem Pana pisma będzie skupienie ludzi dobrej woli po obu stronach..., tak aby Polacy i Rosjanie mogli na siebie patrzeć bez uprzedzeń, to znaczy bez stereotypów”.

Ponad dziesięć lat później, nic dodać, nic ująć. „Nową Polszą” to Twoje dzieło, to owoc Twojej, „Pancernika” (jak Cię nazywa Twoja ekipa) determinacji i uporu, wiary w sprawę, której służysz, a której słuszność łatwo stwierdzić nawet, a może nawet lepiej, kiedy widziane są z Brukseli. Łatwo Ci nie jest, starasz się, jak możesz. Są sceptycy, którym nie w smak główne posłanie „Nowej Polszy”, to znaczy praca nad porozumieniem nie tylko polityków, ale przede wszystkim nad dialogiem wolnych przedstawicieli wolnego, w obu krajach, społeczeństwa obywatelskiego. Uważaj więc na siebie, Pancerniku, bo do końca daleko.

Z Twoich włoskich czasów pamiętasz na pewno Francesco Alberoni. Mądry człowiek. To on powiedział, że „Przyjaźń jest oazą etyki w świecie wyzbytym z moralności, gdzie wszyscy są w wojnie przeciw wszystkim. Tylko polityka może zniszczyć przyjaźń”. Przy okazji powiedz mu, że się w zasadzie nie myli, ale że nam obu to nie grozi, że naszej przyjaźni nawet taka polityka, jaką obserwuję dziś z daleka, nie da rady, i, życzę Ci najserdeczniej (sobie zresztą także), aby jeszcze długo trwała.

W tej oazie, w toku Twoich 90 lat (metrykę urodzenia na pewno sfalszowałeś), spędziliśmy, w różnych okolicznościach i oddaleniach, razem kawał czasu. I jeszcze nie koniec. Wiesz przecież, że, jak mówią Chińczycy, im imbir starszy, tym pikantniejszy, i że aby dożyć takiej starości i takiego imbiru, trzeba długo żyć. I pamiętasz, że pytany o starość, nasz przyjaciel Strykowski zganił niecierpliwość i powiedział: „jak przeżyjesz, to dożyjesz”. I, jak widzisz, miał rację.

Dbaj, Pancerniku o pancierz, z resztą sobie poradzimy.



LISTY DO REDAKCJI. POLEMIKI

Relacje z czytelnikami to szalenie istotna sprawa, a są to nie tylko listy potencjalnych autorów, nie tylko polemiki, czasem nawet prośby o pomoc w rozwiązaniu jakichś problemów z lokalną biurokracją lub o odnalezienie w Polsce rodziny czy przyjaciół, z którymi kontakt został zerwany w roku 1937 czy 1945 lub po wyjściu z łagru.



W. Pan Naczelny Redaktor Prof. Jerzy Pomianowski
W. Szanowny Panie Profesorze!

Składam na Pana ręce bardzo serdeczne podziękowanie za przekazanie mi przez Redakcję „Nowej Polszy” listu mego towarzysza niedoli z obozów sowieckich, Węgra Janosza Rózsasa, który odnalazł mnie właśnie dzięki „Nowej Polszy” i opublikowaniu w niej fragmentu moich wspomnień z obozu w Ekibastuzie w Kazachstanie, gdzie razem przebywaliśmy. Historia wręcz niesamowita, jeżeli wziąć pod uwagę, że rozstaliśmy się przed 52 laty!

W załączeniu przesyłam list, który następnie od niego otrzymałem.

Przy tej okazji informuję, że udało mi się nabyć Pańskie *Na wschód od Zachodu. Jak być z Rosją?* Dowiedziałem się o niej z recenzji Krzysztofa Masłonia, a zaraz potem natrafiłem na wzmiankę o niej w felietonie w „Plus Minus” Stefana Bratkowskiego, którego bardzo cenię i zawsze czytam. Jestem pod wrażeniem tego Pańskiego wyboru publicystyki. Nie szkoliłem się w „szybkim czytaniu”, ale sam je opanovałem. Tej jednak Pańskiej książki nie da się szybko przeczytać i z przyjemnością czytałem ją bardzo skrupulatnie, niczego nie przeskakując i zastanawiając się nad sformułowaniami. [...] Przede wszystkim chciałbym podkreślić, że jestem najzupełniej zgodny z Panem co do naszej polityki zagranicznej. Oczywiście, że nasza polityka wschodnia powinna być ustawiona przeciwko wszelkim próbom odtwarzania sowieckiego imperium, a więc między innymi przez popieranie dążeń Ukrainy do trwałej niezależności od Rosji i suwerenności. Martwią najnowsze wiadomości z Ukrainy, a przede wszystkim niestabilność jej stosunku do Rosji. Sądzę, że prosi się Pański nowy artykuł w tej sprawie.

Łączę serdeczne wyrazy poważania,

Jerzy Węgierski



Janosz Rózas do Jerzego Węgierskiego

Jerzy, drogi przyjacielu,

to niesłychane, że po tylu latach dowiedziałem się o Tobie i mogłem otrzymać Twój adres. Wyznam Ci tajemnicę: w redakcji „Inostrannoj Literatury” w Moskwie redaktorem działu literatury pięknej jest Larysa Nikołajewna Wasiliewa. Wysłała mi Twoje wspomnienie z łagrów, które opublikowane zostało w numerze 10/2003 czasopisma „Nowaja Polska”. Kiedy w warszawskiej redakcji pisma spytałem o Twój adres, od razu, faksem, byli łaskawi mi go przesłać!

Chciałbym Ci napisać o wielu ciekawych wydarzeniach, jednak na razie wysyłam jedynie swoją krótką biografię w oczekiwaniu na podobny list od Ciebie!

Mam prośbę, napisz mi jak ułożyło się Twoje życie po powrocie z więzienia do domu? Czy Twoi bliscy żyli i jak udało Ci się urządzić na wolności? Jak zdrowie? Wszystko to bardzo mnie ciekawi... Czekając na Twoją odpowiedź, szczerze i serdecznie pozdrawiam,

Twój Janosz



Przychodzą też listy polemiczne albo zakładające, że zaszłości w relacjach polsko-rosyjskich są nie do pokonania, albo listy idealnie odzwierciedlające świadomość ukształtowaną przez sowiecką propagandę. Nie uchylamy się od druku i sporu z ich autorami.

Wdaliśmy się na przykład w polemikę z panem Igorem Mielnikowem. Poszło, jak to zwykle, o terminologię. Z jednej strony proponował, by Polacy ze swojego słownika usunęli na zawsze słowo „kresy”, bo każdorazowe jego użycie prowadzi do rewanżyzmu. Czy przekonał go nasz argument o aspekcie historycznym słowa, nie wiem. Z drugiej, odwoływał się do „wyzwolielskiego” pochodzenia armii sowieckiej we wrześniu 1939 roku. W związku z tym pozwoliliśmy sobie wyrazić zdziwienie na zdziwienie: „Nie bardzo jasne są dla mnie poglądy autora. Z jednej strony, jak rozumiem, jest za niepodległością Ukrainy i Białorusi, dlatego też uważa, że ziemie te były przez Polskę «okupowane» po wojnie polsko-sowieckiej. Przepraszam, a po drugiej stronie granicy były wolne? We wrześniu 1939 roku, według p. Mielnikowa miały miejsce wyzwolielskie działania Armii Czerwonej w stosunku do Białorusi i Ukrainy. Czy były one skuteczne? Raczej nie, bo efektem było po prostu wchłonięcie tych ziem przez ZSRR, a nie żadne wyzwolenie. Tu powstaje pytanie: po której stronie granicy Ukraińcom i Białorusinom żyło się lepiej? Można krytycznie oceniać położenie mniejszości narodowych w II Rzeczypospolitej, zwłaszcza w drugiej połowie lat trzydziestych, ale nawet ówczesne represje policyjne trudno porównać z deportacjami i Wielkim Terrorem po stronie radzieckiej”¹.

Mamy potwierdzenia (i niedawno umocnił nas w tym przekonaniu marszałek Senatu, Bohdan Borusewicz), że także dla Polonii na Wschodzie „Nowaja Polska” jest „oknem na kraj przodków”, choć nie kierujemy pisma specjalnie do niej, aby nie ograniczać pola dialogu do wewnątrznarodowej dyskusji, i to w języku obcym. Co nie znaczy, że temat polskiej diaspory u nas się nie pojawia, tyle że na równych prawach z innymi.



24.07.2004, Władywostok

Wielce Szanowny Pan Jerzy Pomianowski!

Witam najserdeczniej Pana Redaktora i wszystkich członków redakcji takiego cudownego i doskonałego czasopisma! Bóg zapłać!

Do naszej rzymskokatolickiej parafii we Władywostoku, bardzo oddalonego miasta na brzegach Oceanu Spokojnego, docierają tylko dwa czasopisma katolickie w języku polskim: „Gość Niedzielny” i „Głos Katolicki”, my bardzo kochamy te pisma, ale te pisma są tylko katolickie. Natomiast „Nowaja Polska” nam otwiera okno nie tylko do wiary, ale i literatury, kina, teatru, w ogóle do Polski i Europy.

Bardzo przyjemnie zapoznawać się z nowymi nazwiskami w literaturze i sztuce, bo skąd na przykład można byłoby nam się dowiadywać o Panu Jacku Kaczmarskim i innych współczesnych geniuszach polskich!

Kiedy dostajemy paczkę z czasopismem, to od razu przekazujemy część do różnych bibliotek, na przykład do Biblioteki Głównej Akademii Nauk i do bibliotek różnych instytutów naukowych, do biblioteki społeczno-geograficznej. Część czasopism dostaje biblioteka parafii i parafianie. Z wielką przyjemnością czytam różne utwory wydrukowane w czasopiśmie w tej liczbie poezję, bo bardzo ją kocham.

Jestem wielbicielek poezji Pani Wisławy Szymborskiej, której talent zanotowany najwyższymi nagrodami Ziemi. Bardzo chciałabym wypowiedzieć najcudowniejszej Pani Wisławie i mój zachwyt, dlatego spróbowałam przełożyć bardzo miły i bardzo fantastyczny wiersz Pani Wisławy dla druku w czasopiśmie. Mam malusieńką nadzieję, że być może Pan Redaktor nie odrzuci mojej propozycji, chociaż nigdy nie byłam poetessą, bo z zawodu jestem geologiem i doktorem geologii. Po aspiranturze pracowałam dwadzieścia lat w Akademii Nauk, oczywiście, mam wiele wydrukowanych prac, nawet w czasopismach naukowych Uniwersytetu Warszawskiego. Teraz jako emerytka jestem archiwaliuszem rzymskokatolickiej parafii Przenajświętszej Bogarodzicy. Znów piszę artykuły, ale tym razem nie o kamieniach, a o księżach, którzy pracowali na Dalekim Wschodzie. W zeszłym roku była wydrukowana moja praca historyczna o bp. Karolu Śliwowskim, który był zesłany z Władywostoku do wioski, gdzie zmarł. Mój skromniutki utwór dostał pochwały Księdza Prymasa i nawet Papieża. Ten fakt dał mi nadzieję, że jeszcze zdołam napisać utwór o wszystkich kapłanach polskich, którzy nieśli wiarę swoim rodakom na krańcu kontynentu.

Z powagą i nadzieją na współpracę,

Mirosława Teresa Jefimowa (z domu Tukalewska)

¹ I. Mielnikow, „Okraina” zdrowego smysłu i P. Mitzner, *Otwiet Igoru Mielnikowu*, „Nowaja Polska” 2010, nr 1.



Naszym głównym przeciwnikiem w Rosji jest miesięcznik „Nasz Sowremiennik” i jego redaktor naczelny, Stanisław Kuniajew. Jest to organ szowinistów o rodowodzie sowieckim, dlatego też ma on kłopot z uściśleniem naszej wrogiej tożsamości: raz jesteśmy dla nich panami-szlachtą, innym razem – przedstawicielami międzynarodowego żydostwa. W 2008 roku Kuniajew żądał od Komisji Polityki Informacyjnej Rady Federacji Rosyjskiej, by „Nowej Polsce” odebrano debiet w Rosji.

Pisaliśmy o tym: „Jeżeli skromne czasopismo, ukazujące się w stosunkowo niewielkim nakładzie, jest omawiane na posiedzeniu Rady Federacji wielkiego mocarstwa, redaktorzy powinni być zadowoleni. A jednak nie są, i to z kilku powodów. Po pierwsze: nie była to dyskusja, ale monolog redaktora naczelnego «Naszego Sowremiennika» Stanisława Kuniejewa, streszczony na łamach «Rossijskoj Fiedieracji Siewodnia» przez Wiaczesława Szczepotkina. O głosach w dyskusji nie wspomniał, więc pewnie ich nie było. Po drugie: niechęć pana Kuniejewa do «Nowej Polski» jest nam znana od lat, przywykliśmy do niej. Po trzecie: jesteśmy gotowi do dyskusji, polemik, bo właśnie na wymianę myśli i nawet na ostrą pieriepałkę jesteśmy przygotowani – czasami nie ma innej drogi do prawdy i zgody. Pan Kuniajew jednak nie chce dyskusji, bo nie ufając w siłę swoich argumentów, wzywa na pomoc instytucje państwowe, żądając zakazu rozpowszechniania «Nowej Polski» na terytorium Federacji Rosyjskiej. Po czwarte: jak wspomniałem, chcemy dyskutować, ale jakoś innych przeciwników niż redaktor „Naszego Sowremiennika” nie widzimy, choć ma on grono swoich zwolenników”².



Witam Szanownych Panów,
a konkretnie Pana [Andrzeja] Nowaka i Pana Pomianowskiego³.

Jestem stałą czytelniczką wydawanego przez Państwa czasopisma i serdecznie dziękuję za to, że za Waszym pośrednictwem zapoznałam się z artykułami Kuniejewa, a następnie dowiedziałam się o stronie „Inosmi.ru”. W zasadzie, mając na uwadze Państwa zapewnienia o miłości do Rosji, można było mieć nadzieję, że, w przeciwieństwie do Waszych „niezależnych” mediów, powstrzymacie się od obrzucania błotem mojego kraju. Jednak Pan Nowak i Pan Pomianowski również postanowili skopać wschodniego sąsiada (widocznie doszli do wniosku, że zbyt mało jest szkoły życia na łamach ich „jednoczącego” periodyku). Mam ogromną prośbę – przestańcie zapewniać o swojej „nieustającej” miłości do Rosji. Wasza obłuda wywołuje nudności, tak jak powtarzające się w każdym artykule oskarżenia – nudę. Jeśli już nienawidzicie, róbcie to otwarcie. Fala rusofobii jest w Polsce silna jak nigdy dotąd – czy dyplomatów i dziennikarza pobito bez żadnej przyczyny - jak się Panom wydaje?

PS

Nie wiedzieć czemu, Wasze pismo przychodzi z dużym opóźnieniem – czyżby kłopoty finansowe? Nie martwcie się, Stany pomogą!

Z najlepszymi życzeniami,
Natalia Pantykina

Droga Pani,

dziękuję Pani za list, napisany z uprzejmością dawno nie spotykaną. Szczególnie ujęło mnie napomknienie o amerykańskim żołdzie, przysługującym, Pani zdaniem, „Nowej Polsce”, bo pamiętam z dawnych lat, że tak piętnowano znakomitych Rosjan, jakich znałem i tłumaczyłem na polski, że wspomnę tylko A.I. Sołżenicyna. Każe mi to jedynie przypuszczać, że nie potrafi sobie Pani wyobrazić, iż można bronić jakichś poglądów inaczej, niż za dolary, albo ruble.

Nie podejmę jednak polemiki z Pani poglądami, skoro zapożyczyła je Pani od jawnego rasisty i polakożercy, wymienionego w liście. Mnogo czesti. Co prawda, moi rodacy twierdzą, że nie trzeba w ogóle polemizować z damą; wystarczy zaczekać, aż zmieni zdanie. Może i Pani je zmieni, po przeczytaniu opinii o sławetnej rusofobii Polaków, wyrażonych przez rosyjskich publicystów i uczonych w tym numerze naszego pisma. Nasze grzechy w tym zakresie (i w każdym innym) piętnujemy sami. Wystarczy czytać „Kronikę” Kulerskiego.

Kieruję wszelako do Pani ważne pytanie: gdzie i kiedy znalazła Pani w „Nowej Polsce” „zapewnienia o miłości do Rosji”? Kto na tych stronicach „obłudnie zaklinał się, że jego miłość do Rosji nie zna granic”?

² P. Mitzner, *Kto nie chce dialogu?*, „Nowaja Polska” 2008, nr 10.

³ „Nowaja Polska” 2005, nr 9.



Owszem, lubimy tu i podziwiamy wielu Rosjan, mając nadzieję, że im podobnych będzie coraz więcej. Ale jesteśmy przekonani, że żadna miłość do innego państwa nie jest konieczna, ani nawet możliwa na terenie stosunków międzynarodowych. Czy Francuzi kochają Anglię, albo Niemcy? Toć toczyli z nimi stuletnie wojny. Brak miłości, zwłaszcza urzędowej, wcale im nie przeszkadza we współpracy i - tak owocnym - sojuszu.

Nie miłość jest nam potrzebna w dla przyzwoitych stosunków sąsiedzkich, tylko s z a c u n e k wzajemny. Domagamy się szacunku dla Polski i chcemy żywić taki sam szacunek dla Rosji. Ogromna prośba do Łaskawej Pani – proszę nam w tym nie przeszkadzać.

Redaktor

Tłumacz literatury polskiej, redaktor miesięcznika „Inostrannaja Literatura” Andriej Jermonski pisał: „Redaktorzy «Nowej Polszy» nie przestają powtarzać (i przez dobór publikowanych materiałów, i, jak to się mówi, otwartym tekstem): w obu naszych krajach nie zniknęli politycy, którzy nie gardzą wykorzystywaniem do swoich celów, mówiąc delikatnie, dziwnych wyobrażeń o «dumie narodowej» Wielkorusów i Polaków, które przetrwały w pewnych warstwach rosyjskiego i polskiego społeczeństwa. Jest na to tylko jedno lekarstwo – prowadzić bezpośrednią, bezstronną rozmowę między wykształconymi stanami naszych krajów bez pośredników. Odpowiadając rosyjskiej czytelnicyce zarzucającej «Nowej Polszy», że «nie kocha Rosji», Jerzy Pomianowski swoje stanowisko przedstawił w następujący sposób: «Dla przyzwoitych dobrosąsiedzkich stosunków potrzebna jest nie miłość, lecz wzajemny szacunek. Wymagamy szacunku dla Polski i chcemy odczuwać taki właśnie szacunek do Rosji. Mam wielką prośbę: proszę nam w tym nie przeszkadzać...»⁴.

Rzecz jasna, z naszego istnienia „nie wszyscy są zadowoleni – stwierdza Leopold Unger. – Są, naturalnie, jak zawsze i wszędzie, wieczni malkontenci, są sceptycy, dla których «Nowa Polska» to inwestycja nieopłacalna, są tacy, którzy nie podzielają jej wiodącej tezy o roli i miejscu kultury w polityce zagranicznej, są wreszcie ci ślepo zawzięci, którym nie w smak jej główne posłanie: praca nad porozumieniem nie tylko polityków, ale przede wszystkim, taka jest jej specyfika i specjalność, nad dialogiem wolnych przedstawicieli wolnego, w obu krajach, społeczeństwa obywatelskiego. Dialogiem tych, którzy rozumieją, że program «Kultury» i, z jej ducha poczęte, posłanie «Nowej Polszy», odpowiada interesowi i Polski i Rosji, a także Ukrainy i Litwy, wszystkich razem i każdego z osobna.

«Nowa Polska» mierzona sklepikarską maszynką do liczenia, to trud zbędny i błędny, a przede wszystkim głupi. «Sklepiarze» nie rozumieją, albo nie chcą rozumieć, że takiego dzieła, szans tej butelki rzuconej w morze, ale docierającej w końcu i odkorkowanej na drugim brzegu, nie da się i nie powinno się oceniać na krótką metę. Rentowność «wtrącania się» «NP» w sprawy wschodnie nie da się obliczyć żadną centymetrową, aptekarską miarką. I nawet jeżeli kwestia pełnej aktualności Giedroyciowego modelu polskiej polityki wschodniej jest przedmiotem sporów, a wiadomo, że jest, to nie jest przedmiotem sporów fakt, że od kapitału zebranego przez «wtrącanie się» Giedroycia i «Kultury» w sprawy wschodnie, w jakimś stopniu wzbogacanego przez «NP», będziemy mogli jeszcze długo, pod warunkiem, że będziemy chcieli, odcinać kupony»⁵.

Trudno jest pisać o własnej pracy. Lepiej posłużyć się głosami innych, choć to z kolei może być uznane za samochwalstwo. Jakąś formułę trzeba jednak wybrać. Chcielibyśmy przytoczyć tu trzy wypowiedzi, opublikowane w języku rosyjskim na łamach naszego pisma.



Abp Józef Życiński
Metropolita Lubelski

W skojarzeniach, które występują u mnie podczas lektury „Nowej Polszy”, często powraca scena z wystąpieniem św. Pawła na Areopagu w Atenach. Psychologicznie można by wtedy zrozumieć zachowanie św. Pawła, gdyby wygłosił on wykład na temat wyższości Jerozolimy nad Atenami oraz skrytykował swych ateńskich słuchaczy za pogański styl bycia i myślenia. Autor Dziejów Apostolskich zauważył skądinąd, że Apostoł „burzył się wewnątrz na widok miasta pełnego bożków” (Dzieje Apostolskie, 17.16). Zamiast akcentować różnice, św. Paweł położył jednak nacisk na wspólnotę wartości konieczną dla dialogu kultur.

⁴ A. Jermonski, *Magiczne właściwości słowa pisanego*, przekład. E. Wolska, „Odra” 2006, nr 12. Z miesięcznika „Inostrannaja Literatura” (2006, nr 8).

⁵ L. Unger, *Jerzy Giedroyc nie zostawił testamentu, ale zostawił spadek*. Druk w języku rosyjskim: *Jerzy Giedroyc nie ostawił zawiecznania, no ostawił nasliedije*, „Nowa Polska” 2009, nr 9.



W imię tej wspólnoty chwalił religijność mieszkańców Aten, cytował ich poetów, spokojnie prowadził refleksję w stronę poznania „nieznanego Boga”, w którym „żywemy, poruszamy się, jesteśmy”. Jego styl stanowi zobowiązanie dla wszystkich, którzy usiłują budować wspólnotę wartości w zatowiszonym świecie nękanym przez podziały i konflikty.

W szczególności pragnę wyrazić wdzięczność panu Jerzemu Pomianowskiemu za „ateński” styl redagowania „Nowej Polski”, w którym odnajdujemy echo uniwersalizmu i mądrości znamiennej dla wystąpienia św. Pawła na Areopagu. Jest to zadanie szczególnie ważne w dziedzinie poszukiwania nowych form dialogu ze środowiskiem „przyjaciół Moskali”. Doniosłość tej formy duchowej wspólnoty uderza w kontaktach z tymi środowiskami inteligencji rosyjskiej, którym polska kultura kojarzy się z filozoficzną refleksją ks. Józefa Tischnera, z poezją Miłosza i Herberta czy z duchowym przesłaniem Jana Pawła II. Niewątpliwie są zasługi p. Jerzego i grona jego współpracowników w budowaniu tej jedności, która wyzwala ze stereotypów i uproszczonych schematów myślowych.

Opisując swą intelektualną odyseję w wykładzie przedstawionym na KUL podczas III Kongresu Kultury Chrześcijańskiej we wrześniu 2008 roku, Jerzy Pomianowski poświęcił dużo uwagi kształtowaniu intelektualnych postaw, w których normalną cenę poszukiwania nowych szlaków stanowi samotniczość płynąca z odwagi i wyobraźni. Z perspektywy czasu patrzymy z zażenowaniem na te sytuacje, w których brak wyobraźni usiłowało zastępować przez stereotyp i slogan. Jako przykład takiej postawy przytoczył pan Jerzy, we wspomnianym lubelskim wykładzie, pseudopatriotyczne hasła z ONR-owskich transparentów kulturowych w środowisku akademickim w maju 1938 roku. Głosiły one: „Nie oddamy Gdańska! Precz z Żydami! ONR czuwał!”. Na historycznych wirażach, gdy można było przewidzieć nadchodzącą tragedię wojny, niektóre ze środowisk nie potrafiły troski o patriotyzm uwolnić od nienawiści i partyjnego sloganu.

Tamte błędy niosą lekcję historii, w której patriotyzmu nie wolno nigdy łączyć z nacjonalizmem. Wyzwolenie z relikwów marksistowskiej retoryki sławiącej walkę klas winno iść w parze z eliminowaniem tych śladów uprzedzeń, agresji czy pogardy, które ignorują przejawy jakościowo nowej mentalności we wzajemnych kontaktach elit Rosji i Polski. W tym celu niezbędna jest ta sama konsekwencja, która doprowadziła do głębokich przemian w relacjach polsko-niemieckich. Wydawały się one niemożliwe, gdy w 1965 roku sławiący pojednanie list biskupów polskich do biskupów niemieckich spotkał się z mocną krytyką nie tylko w kręgu ideologicznych wpływów Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.

W nurcie czasu krytyka odpłynęła; wartościowa i trwała okazała się natomiast odważna wizja pojednania łączącego dwa bliskie narody. Rozbrzmiewa ona od dziesięciu lat wyrażenie, niczym nowe przesłanie św. Pawła z ateńskiego Areopagu. Serdecznie życzę, aby misja spełniana przez „Nową Polskę” mogła służyć tym samym wartościom, kształtując przyjacielskie więzy oraz wzajemne otwarcie Polaków i Rosjan. Ateny pozostają dla nas symbolem wartości, które inspirowały rozwój kultury europejskiej. Niechaj styl Aten kwitnie w kulturowym dialogu między Warszawą i Moskwą dzięki intelektualnym inspiracjom rozwijającym na łamach „Nowej Polski”⁶.



Jerzy Bahr
Ambasador RP w Rosji

Są zjawiska kulturowe, literackie, które da się podsumować skrótem – jak w tytule; nie sposób ich jednak opisać w jednym zdaniu, bo mienia się wieloma kolorami, wszechstronnie budzą naszą uwagę, dostarczają mnóstwa zróżnicowanych wrażeń. Tak właśnie, z moskiewskiej perspektywy, jawi się „Nowa Polska”. Ograniczmy się więc do kilku wybranych aspektów jej charakterystyki:

Pismo jest unikalne w Rosji i nie ma odpowiedników, będąc świadomie nastawione na intelektualne elity (równość kończy się na prawie oddawania równego głosu, a na całą resztę trzeba samemu zapracować).

Jest gestem w stosunku do Rosji, wynikającym z najgłębszego przekonania, że między sąsiadami potrzebne są szczególnie precyzyjne instrumenty wzajemnego porozumienia się. Szukając tego, co łączy,

⁶ „Nowa Polska” 2009, nr 9.



nie schlebia odbiorcy poprzez unikanie kontrowersji: stąd np. nie tylko wątek katyński, ale i rozbijanie mitu o rzekomo świadomych działaniach władz polskich służących zwiększeniu liczby ofiar wśród jeńców bolszewickich z 1920 roku.

Pismo propaguje solidarność z ofiarami totalitarnego systemu, którego mechanizmy po prostu trzeba poznać po to, by je tym mocniej osądzić. W losie jednostki, w jej sile przetrwania na nieludzkiej ziemi, przebija ów „na dnie popiołu gwiaździsty dyament”, który w zachwycie jeszcze raz pozwoli jej samej moralnie się dookreślić.

„Nowa Polska” nie zapomina o tej dawnej – matce Obojga Narodów, której siła przyciągania była (jeszcze) nieporównywalnie większa niż siła rozkładu. Jej wprowadzenie na arenie dziejów, w związku i w konfrontacji z innymi geopolitycznymi partnerami, to wyrazisty alfabet własnych i cudzych zwycięstw, błędów, tragedii indywidualnych i zbiorowych losów, godnych przypomnienia i dziś, po obu stronach granic. Granic zmienionych odsłonięciem się czynnika ukraińskiego, białoruskiego, bałtyckiego, a więc tego najbliższego sąsiedztwa w Europie dla Polski i Rosji.

Do żywych symboli trzeba dopisać kilka cech o praktycznej zróżnicowanej naturze, co szczególnie wyraźniej widać od zewnątrz, tj. z rosyjskiej perspektywy.

I tak:

„Nowa Polska” od dziesięciu lat utrzymuje się na powierzchni jakże trudnego rynku wydawniczego (pisma łatwo powstają, jeszcze łatwiej upadają, a najtrudniej trwają). Gdzieś po drodze jest troska o kolportaż, o dotarcie do ważnych instytucji i środowisk rozrzuconych na ogromnych przestrzeniach Rosji. Wszystko to stanowi miarę sukcesu.

Redakcja zgromadziła zespół najwybitniejszych tłumaczy, wysoko cenionych w naszych krajach. Wybiegając w przyszłość – i życząc pismu jak najdłuższego istnienia – już dziś można założyć, że kiedyś, w podsumowaniu przedsięwzięcia, będzie to uznane za trwały wkład w całość stosunków polsko-rosyjskich. Stosunków, które w szerszym sensie polegają przecież na wzajemnym tłumaczeniu drug-dругu.

Propagując nowe prądy literackie, redakcja z pietyzmem odnosi się również do niesłusznie zapomnianych tekstów dawniejszych, godnych wprowadzenia w świadomość współczesnych. Dobrym przykładem jest *Trębacz z Samarkandy* Ksawerego Pruszyńskiego – jakby dotknięcie po latach na nowo środkowoazjatyckiej tematyki, która jawi się jako wyzwanie na mapie politycznych przestrzeni XXI wieku.

Najlepsze tradycje paryskiej „Kultury” odciskają się na kronice bieżących wydarzeń Wiktora Kulerskiego. Rosyjskojęzyczny czytelnik ma dzięki temu odczucie wyrazistego pulsu kultury sąsiedniego kraju. Te telegraficzne doniesienia o stanie ducha narodu są potem powtarzane i interpretowane podczas spotkań towarzyskich w Moskwie, Petersburgu i wszędzie tam, dokąd dotarli niestrudzeni pracownicy naszych Instytutów Kultury.

Last but not least: subtelna oprawa graficzna, godna klasyki Daniela Mroza i szlachetnego zauroczenia secesją. Forma, jakże daleka od napaści na nasze zmysły, uprawianej z cotygodniową regularnością przez nieszczęsnych celebrytów...

Chciałoby się powiedzieć: dziękujemy. Za to, że tu nie jesteśmy sami.⁷



Lazar Fleishman

Profesor literatury rosyjskiej

Stanford University, Kalifornia.

Nie przestaje zachwycać się wyjątkowo wysokim poziomem czasopisma, zdolnością prezentacji w niewielkim formacie magazynu tak fantastycznej panoramy intelektualnej i kulturowej życia Polski, pełnej tektonicznych drgnień, zarówno w jej współczesnej kondycji, jak i w perspektywie wielowiekowej historii całego spektrum rosyjsko-polskich i wschodnioeuropejskich stosunków. Rzecz nie tylko w tym, że spektrum poruszanych przez Was pytań jest bardzo szerokie, znacznie ważniejsze jest podejście do nich, stylistyka analizy i bezlitosna analityka. Międzynarodowy charakter Wa-

⁷ „Nowa Polska” 2009, nr 9.



szego czasopisma polega nie na tym, że jest to „polskie czasopismo wydawane w języku rosyjskim, dla rosyjskiego czytelnika”, lecz na spojrzeniu i na Polskę, i na Rosję z samego wnętrza cywilizacji europejskiej, z punktu widzenia jej systemu wartości. Spojrzenie to wyraża się w doborze autorów i tematów każdego numeru: znajdujecie wyjątkowo ciekawych i tak naturalnie pasujących do waszego czasopisma autorów i współrozmówców nie tylko w Polsce, lecz także w Rosji, na Litwie, w Tel-Awivie, w Paryżu... Dzięki wam jeszcze raz można przekonać się o ogólnoeuropejskim, ogólnoludzkim charakterze i polskiej i rosyjskiej kultury.

Niezmiennie robi na mnie duże wrażenie wysoka efektywność wykorzystania niewielkiej objętości, przydzielonej na każdy numer. Wspaniałym przykładem tego jest stała rubryka „Kronika (niektórych) bieżących wydarzeń”, która w zwartej, lakonicznej formie daje czytelnikowi szerokie spektrum sądów na różne tematy, sądów niekiedy sprzecznych. Z tych kilku stron, jak też z „Kroniki kulturalnej” oraz „Wypisów z prasy kulturalnej” otrzymujemy żywe wyobrażenie o problemach nurtujących polską prasę i społeczeństwo, o dyskusjach przez nie wywołanych.

Najważniejsza, moim zdaniem, cecha „Nowej Polski” – to wspaniałe rozumienie czytelnika oraz jego poglądów. Nie jest on w czasopiśmie poddawany żadnemu, choćby ukrytemu naciskowi ideologicznemu. Pryncypialny pluralizm pozycji czasopisma skierowany jest na dialog z mądrym, samodzielnie myślącym czytelnikiem, bystrym, ironicznym współrozmówcą, umiejącym zdobyć się na sceptyczny dystans zarówno do siebie, jak i do tego, o czym do niego mówią i do czego go przekonują, czytelnikiem zdolnym sprzeciwić się wszelkim próbom potraktowania go jak ślepej lalki w manipulacjach politycznych. Od Waszych materiałów nie oczekuje się kojącego komfortu duchowego i niezachwianego spokoju, one nie usypiają, lecz przeciwnie, niepokoją świadomość, pamięć, sumienie.

W Waszych publikacjach nie ma nawet najmniejszej próby przypodobania się komukolwiek lub dążenia do tego, aby „nie popełnić gafy”. Taka bezwzględna odwaga jest nieunikniona przy głębokiej wewnętrznej uczciwości. Widzę w „Nowej Polsce” kontynuację paryskiej „Kultury” Jerzego Giedroycia – człowieka, przed którym (zarówno jak i przed ludźmi z jego kręgu na paryskim wygnaniu) ja, badacz rosyjskiej historii i kultury, chylę czoła. Za każdym razem potraficie wynajdywać wszędzie – w Polsce, w Magadanie, w Moskwie, w Tel-Awivie – szalenie ciekawych, prawdziwie inteligentnych, moralnie nieskalanych, uczciwych ludzi. O najtrudniejszych momentach i wydarzeniach z ich życia w artykułach Waszego czasopisma mówi się zwarcie, z opanowaniem, bez faryzeuszowskich, pocieszających napomknień, że: cóż, wszystko to już zamierzchła przeszłość. Jedynym leitmotivem Waszego czasopisma jest myśl o konieczności obrony godności człowieka, dezawuowanie okrucieństwa. Wy – tak jak i ci Polacy, zdanie których w moim odczuciu reprezentuje czasopismo, jesteście zawsze po stronie nie Polski, lecz po stronie człowieczeństwa. Jesteście przeciw Polsce, gdy widzicie przejawy okrucieństwa, ksenofobii, oraz bez wszelkiej dyplomatycznej nieśmiałości przeciw Rosji, gdy widzicie u niej te same cechy. Wasze czasopismo nie jest „za” dysydentami, Gruzinami, Ukraińcami, Żydami, Czeczenami czy innymi rzeczywistymi bądź domniemanymi „wrogami Rosji”. Ono jest za człowieczeństwem, przyzwoitością, za prymatem porządku i sumienia nad politycznymi i ideologicznymi założeniami. To się czuje w każdym zdaniu, w każdym artykule. Dlatego – na stronach czasopisma nie ma ani krztu propagandy, która zawsze jest ogłupianiem i poniżaniem człowieka.

„Nowej Polsce” właściwa jest wrodzona, organiczna miłość do Rosji, szacunek – bez bałwochwalstwa, obawa o nią i wiara w jej siły twórcze, w to, że uwolnienie się od „imperialnych” kompleksów uwolni jej duchową istotę, wyrażoną w wielkiej kulturze rosyjskiej przeszłości. Ograniczeni, tępi, zadowoleni z siebie ludkowie mogą uznać szczerą i uczciwą, konsekwentną krytykę imperium stalinowskiego za „rusofobię”. Nie ma nic dalszego od prawdy. „Nowa Polska” wykazuje się większą miłością do Rosji i większym zrozumieniem jej narodowego charakteru, niż znaczna część postsowieckiego, biurokratycznego establishmentu. W tym się kryje wspaniałość tego czasopisma, że opowiada nie tylko o „Nowej Polsce”, lecz również przed samą Rosją odkrywa jej prawdziwą, bardziej ludzką, a zatem nieskończenie piękniejszą naturę, niż to oblicze, które ukazują jej własne gazety codzienne i tygodniki, wydawane na papierze kredowym. Z perspektywy historycznej, kiedy osądzi nas nie wyobrażenie o aktualnym geopolitycznym charakterze, lecz przyszłość, rola Waszego czasopisma okaże się wielka.



Uważnie przeglądam w miarę możliwości wszystkie nowe numery „Nowej Polszy” i nierzadko wracam do wcześniejszych, za każdym razem dochodząc do wniosku, że pośród innych periodyków, ukazujących się w języku rosyjskim, które można porównać objętością i orientacją na inteligencję, „Nowaja Polska” to czasopismo niewątpliwie najlepsze. Korzyść, jaką przynosi i Polsce, i wszystkim nam, ludziom kultury rosyjskiej, gdzie byśmy nie mieszkali, oraz – śmiem wyrazić nadzieję – Rosji – jest ogromna.⁸

Wszyscy zainteresowani relacjami polsko-rosyjskimi i oczywiście także wszyscy zajmujący się nimi zawodowo, pytają, jakie będą dalekosiężne skutki wydarzenia z 10 kwietnia roku 2010.

Katastrofa samolotu wywołała ogromną falę szczerego współczucia, obudziły się w społeczeństwie rosyjskim dawne propolskie sympatie, czego dowodzi ogromna fala artykułów, wierszy, listów, nadchodzących do redakcji. Jeden z najbardziej przejmujących zapisów pierwszych reakcji nadesłała z Moskwy 12 kwietnia Olga Blinkina z „Memoriału”: „Dziś o 10 w nocy byłam przed polską ambasadą. Ciemno, cicho, dwaj milicjanci i dozorca Tadżyk, który cały czas zamiata dróżkę, wzdłuż której leżą kwiaty. Choć tam czyściutko, ani śmiecia, ani drobinki kurzu. Ludzie kładą kwiaty, nawet wtedy było 10-15 osób. Jakaś rodzina – mama, tata i 12-letnia dziewczynka – zapalali świece, które gasły na wietrze. Miejsce jest odsłonięte, wieje wiatr. Zapiski, fotografie, do płotu przywiązana kartka: wyciągajcie kieliszki, wypijmy za nich... A pod spodem przyczepiona mała polska flaga... W innym miejscu dwie serwetki (zwyczajne, śniadaniowe) – biała i czerwona. Że to zwyczajne serwetki, widać tylko z bliska. Nie mieli niczego innego pod ręką, a jakoś chcieli wyrazić współczucie.

Dziś były msze za zmarłych. Nie tylko w kościołach katolickich, też we wszystkich prawosławnych. I wszędzie masa ludzi.

Cały czas, w tych dniach pokazują Warszawę, różni ludzie coś mówią – i wszyscy mówią jak LUDZIE. I tak sobie teraz myślę – dlaczego, żeby wszyscy – od najwyższych urzędników państwowych po proste baby – żeby wszyscy przemówili ludzkim głosem o ludzkich uczuciach – musiała się zdarzyć taka straszliwa tragedia”.

Jak już było powiedziane, „Nowaja Polska” jest pismem skierowanym do inteligencji, zamieszczamy wiele tekstów trudnych, których lektura wymaga pewnego przygotowania, wiedzy, dyskursywnego myślenia. Na zakończenie chciałbym jednak przytoczyć jeden z listów, który dotarł do nas drogą mailową. Pozwala on sądzić, że jesteśmy nie tylko czytani, ale też postrzegani, jako miejsce, poprzez które można rozmawiać z Polską:



26 kwietnia 2010

Temat: krzyk duszy.

A ja lubię Polaków. Wujka miałem Polaka. Oniszczyk Jan. Po wojnie został w Rosji i ożenił się z moją cicią. Janusz Przymanowski jest bardzo dobrym pisarzem. Bardzo go lubię.

Lubię język polski. Lubię polskie kobiety. Choćby taka Pola Raksa! I nie ona jedna! W głowie się nie mieści, jak to Polacy mogą nas, Rosjan, nienawidzić. Łkałem, kiedy się dowiedziałem o tragedii z polskim samolotem i prezydentem Lechem Kaczyńskim... A w prasie niedawno czytałem, że w Polsce ktoś pisze, że to Rosjanie tak urządzili, żeby się samolot rozbił. Przykro słuchać czegoś takiego od braci Słowian, z którymi ramię w ramię biliśmy faszystów!

Tak w ogóle to, drodzy Polacy, kochamy Was i będziemy kochać.

Pokazujcie Waszym dzieciom częściej *Czterech pancernych i psa*, jak nam w moim dzieciństwie pokazywał ten film główny program telewizji. Chciałoby się kochać z wzajemnością.

Ilia

Opracował Piotr Mitzner

Przekłady listów: Hałyna Dubyk, Piotr Mitzner, Eliza Wolska

⁸ „Nowaja Polska” 2008, nr 8.

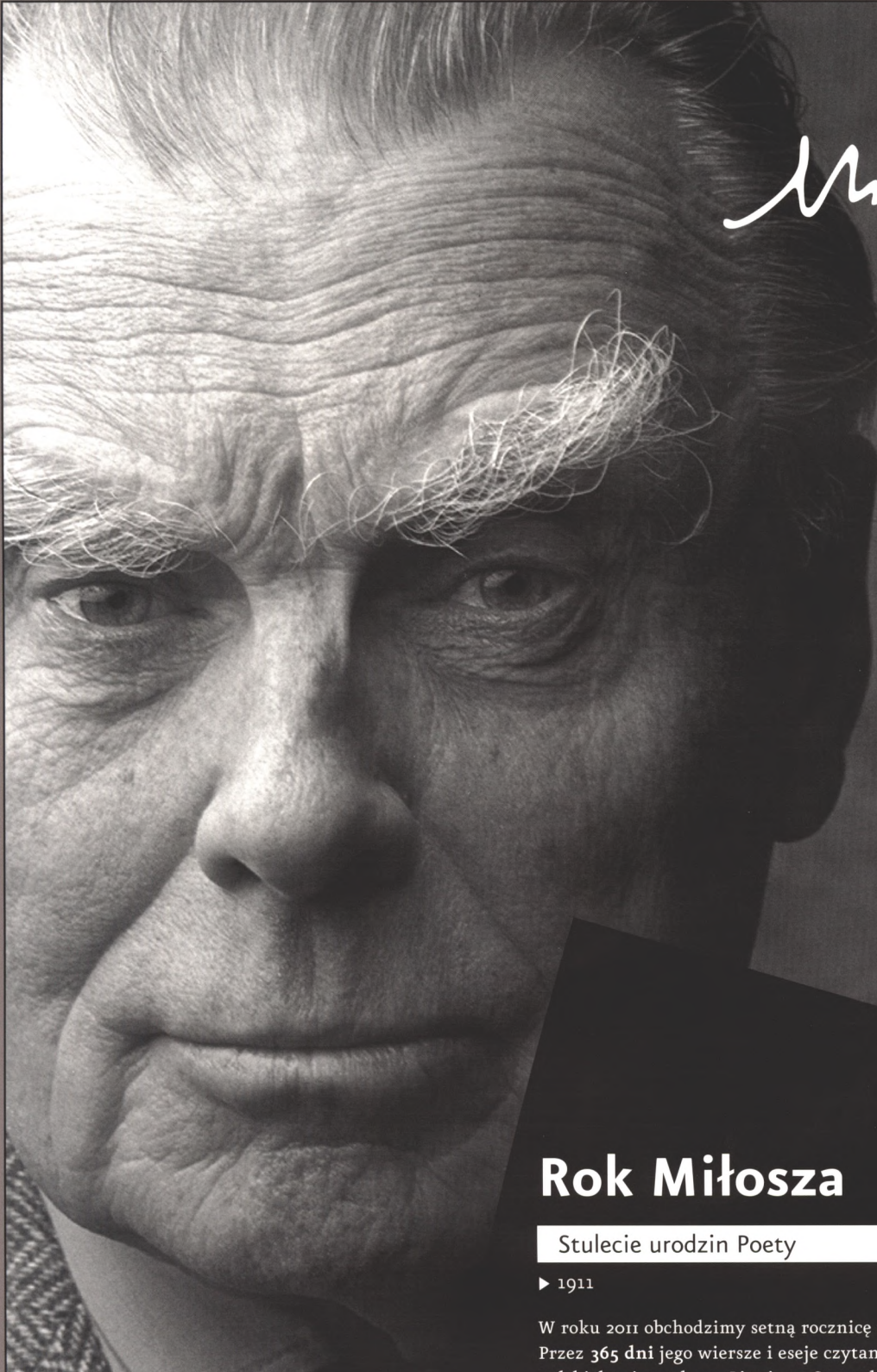
**„Nową Polskę” można zaprenumerować
dokonując wpłaty na konto wydawcy**

Instytut Książki
BANK MILLENNIUM S. A.
Numer rachunku: 79 1160 2202 0000 0000 4272 2741
(na dowolny okres)
Koszt prenumeraty na rok 2011:
Cena 1 egz. – 8 zł
Cena prenumeraty rocznej – 96 zł.

Prenumerata zagraniczna:
Nazwa: BANK MILLENNIUM S. A.
Numer rachunku: 79 1160 2202 0000 0000 4272 2741
SWIFT CODE: BIGBPLPW
Cena prenumeraty rocznej – 70 € lub 100 USD

Informacje o prenumeracie zagranicznej:
Tel. +48 22 608-27-95
Fax. +48 22 608-25-05
e-mail: nowpol@instytutksiazki.pl

Informacje o prenumeracie krajowej:
Tel./fax: 22 608-24-88, 22 608-23-74
e-mail: j.strzalkowska@instytutksiazki.pl



Miłosz

365

Rok Miłosza

Stulecie urodzin Poety

► 1911

2011 ◀

W roku 2011 obchodzimy setną rocznicę urodzin Czesława Miłosza. Przez 365 dni jego wiersze i eseje czytane będą we wszystkich polskich miastach, na Litwie, w Stanach Zjednoczonych Ameryki, we Francji i Chinach, Brazylii, Izraelu, Rosji i nie tylko. Najdonioślej zabrzmiały one jednak w Krakowie. W dniach 9 – 15 maja 2011 Instytut Książki zaprasza na drugą edycję Festiwalu Literackiego im. Czesława Miłosza, tym razem pod hasłem **Rodzinna Europa**. W programie: spotkania autorskie, wieczory poetyckie, panele dyskusyjne, wielka konferencja naukowa, warsztaty dla tłumaczy, przeglądy filmowe, wystawy, koncerty i przede wszystkim poezja.

ISSN 1508-5589



9 771508 558003

Cena 10 zł w tym 5% VAT

Szczegóły przez cały rok na: www.milosz365.pl